

Smith Craig

Włócznia Przeznaczenia

Tytuł oryginału: The Blood Lance



Prolog

Kufstein, Austria, Wilder Kaiser, czwartek 16 marca 1939

Nieboszczyk miał na sobie mundur, płaszcz oraz wysokie czarne oficerki. Brakowało czapki, pistoletu, dokumentów oraz pierścienia *Totenkopf*, który nosił każdy oficer SS. Żołnierze, którzy jako pierwsi dotarli na miejsce wypadku, od razu zdali sobie sprawę z powagi sytuacji i zadzwonili do Berchtesgaden po wsparcie. W końcu region Wilder Kaiser należał do strefy ochronnej Orlego Gniazda, rezydencji Hitlera.

Nie minęła nawet godzina, a w Kufstein zjawił się pułkownik Dieter Bachman z dwoma plutonami eskorty. Bachman, wysoki, masywny i łysiejący, obojętnym wzrokiem obserwował, jak jego ludzie przeszukują wioskę. Rzecz jasna Austriacy byli przerażeni, ale wyszli z domów, nie stawiając oporu. Zadowolony, że operacja przebiega gładko, zabrał ze sobą kilku żołnierzy i zarządził wymarsz w stronę górującego nad wioską szczytu. Dzień był tak samo chłodny jak poprzedzająca go noc. Z białego nieba na zamarzniętą ziemię sypał śnieg zmieszany z deszczem. U stóp góry porośniętej niskimi młodymi drzewami czekało na niego dwóch austriackich strażników SS, którzy wskazali Bachmanowi,

gdzie znaleziono ciało. Odesłał ich do wioski i samotnie ruszył na miejsce wypadku.

Zbliżając się powoli do ofiary, zauważył, że leży na plecach. Tors i głowa zatopione były w śniegu, otwarte oczy wpatrywały się w niebo. Ręce i nogi nieboszczyka wydawały się rozluźnione, pewnie wskutek uderzenia o ziemię. Bachman pokręcił głową z niedowierzaniem. Spojrzał na pokrytą śniegiem półkę skalną, z której spadł mężczyzna. Śnieg sypał mu na twarz, kiedy próbował ocenić, ile metrów dzieli ją od ziemi. Upadek musiał trwać kilka sekund: trzy, może cztery. To bardzo długo, kiedy się spada. Zatrważające chwile tuż przed śmiercią. O czym wtedy myślał? Jaki obraz stanął mu przed oczami? Tylko Bóg raczy wiedzieć.

Zrobił krok do przodu; chciał przyjrzeć się twarzy... Nagle zaszlochał. Fala emocji uderzyła go z taką siłą, że nie mógł nad nią zapanować. Ukląkł na jednym kolanie, chcąc ukryć swoją reakcję i zagłuszyć łkanie. Niepotrzebnie. Jego ludzie, stojący nieopodal, nic nie usłyszeli. Lub przynajmniej udawali, że nie słyszą. Pułkownik zdjął rękawiczkę i pogładził dłonią lodowaty policzek przystojnej twarzy. Skóra była woskowata, a pod palcami wyczuwało się jednodniowy zarost. Musnął delikatnie bezkrwiste już usta i łagodne łuki brwi. Pogodny wyraz twarzy ofiary wprowadził go w zakłopotanie. Jak to możliwe?

Znowu spojrzał w górę. To się stało prawdopodobnie w nocy. Spadając w ciemnościach, mógł nie widzieć szczytu, mógł patrzeć w niebo bez żadnego punktu odniesienia, ale z pewnością słyszał pęd powietrza - dziki okrzyk wiatru, który towarzyszył spadaniu, i czuł okrutną siłę grawitacji, ciągnącą go coraz szybciej w dół. Cztery sekundy życia. Wystarczająco dużo, by napęlić grozą każdego człowieka, ale prawda, którą oglądał była inna. Bachman pomyślał, że mężczyzna ruszył na spotkanie śmierci tak jak członek Zakonu Katarów, który z błogością w sercu wchodzi w ogień Wielkiego Inkwizytora...

Północna ściana Eigeru, Alpy Berneńskie, poniedziałek 24 marca 1997

Wtajemniczeni nazywają go Ogrem lub Olbrzymem. Samotne sąsiednie szczyty zyskały przydomki Mnicha oraz Dziewicy. Przez niemal sto lat, odkąd wspinaczka stała się sportem, Olbrzym uśmiercał każdego, kto śmiał wejść na jego chropowatą północną ścianę. Skalne półki, szczeliny, pęknięcia oraz strome monolityczne stoki - niemi świadkowie tych tragedii - okryły się ponurą sławą, zyskując przy okazji całą litanię wymyślnych nazw. A zatem na obrzeżach góry były sobie Czerwony Komin oraz Jaskółcze Gniazdo. Nieco wyżej Biwak Śmierci znaczył miejsce, gdzie dwóch niemieckich śmiałków, którzy dotarli wyżej niż ich poprzednicy, zamarzło w 1935 roku. Był też Trawers Bogów - kawałek skały, który przyprawiał o zawrót głowy. Niestety trzeba było go pokonać, aby dojść do Białego Pajaka, czyli do ostatniej, lecz najbardziej zdradzieckiej połaci lodu, która została nazwana na cześć licznych rozpadlin rozchodzących się koncentrycznie od środka. Na końcu były Rysy Wyjściowe: cienkie, niemal pionowe szczeliny w skale prowadzące na sam szczyt.

Pierwsze wejście po północnej ścianie Eigeru uwieńczone sukcesem miało miejsce w 1938 roku. Dwie drużyny, jedna z Niemiec, druga z Austrii, wyruszyły w jednodniowym odstępie, lecz przy Rysach Wyjściowych połączyły siły, aby wejść na szczyt na jednej linii. Kiedy dziewięć lat później przybyła kolejna drużyna, już z lepszym sprzętem, ślady po zdobywcach szczytu nadal były widoczne. Tak jak ich poprzednicy, druga ekipa zostawiła za sobą liny i punkty

asekuracyjne i przeszła po zachodnim ramieniu góry. Wszystkie późniejsze wyprawy szły w ślad za nimi, pokonując jedynie co trudniejsze stoki przy pomocy strategicznie umiejscowionych punktów asekuracyjnych oraz sporadycznie posiłkując się liną.

Od tamtego czasu mroczne oblicze Eigeru stało się poligonem doświadczalnym. Niektórzy wspinali się grupowo, inni solo. Pierwsze zdobycie szczytu w ciągu zaledwie jednego dnia miało miejsce w 1950 roku. Pierwsza kobieta weszła na szczyt po północnej ścianie w 1964 roku. Rok wcześniej grupa Szwajcarów zeszła po linie ze szczytu podczas dramatycznej akcji udzielania pomocy dwóm alpinistom z Włoch -jednego udało im się uratować, lecz sami stracili trójkę swoich ludzi. Odkryto też najkrótszą drogę, którą nazwano szlakiem Johna Harlina na cześć alpinisty, który zginął, próbując przetrzeć ten szlak. Potem przyszła kolej na zejście na nartach po zachodniej ścianie Olbrzyma, zdobycie szczytu przez najmłodszego śmiałka oraz rzecz na pierwszy rzut oka niemożliwą: wdrapanie się na szczyt w zaledwie osiem i pół godziny w 1981 roku. Wyczyn ten pobił na głowę wszystkie inne rekordy.

Eiger został ujarzmiony za pomocą lin i punktów asekuracyjnych. Szczegółowo opisano wszystkie wyzwania, jakie stawia góra, oraz akcje ratunkowe. Mimo to Ogr nadal budził się niekiedy ze snu i ryczał na całe gardło niczym ranna bestia. Wiatr potrafił zdmuchnąć alpinistów, którzy wspinali się bez zabezpieczenia. Lód był niepewny, a skała podziurawiona i krucha. Mgła miała w zwyczaju przychodzić po słodkim, czystym fenie, tak jak noc przychodzi po dniu, i była tak gęsta, że niemal przylepiała się do twarzy, przez co trzeba było wspinać się na wyczucie, polegając tylko na dotyku. Zdarzały się też lawiny kamieni, lodu i śniegu, miejsca, gdzie panowały wieczne cienie, nigdy nieogrzone przez

promienie słoneczne, a zmęczenie wywołane pełzaniem po pionowych ścianach przenikało aż do szpiku kości. Zanim pierwszy człowiek wdrapał się na szczyt, dziewięciu wcześniejszych śmiałków poniosło śmierć. W następnych dziesięcioleciach Olbrzym odebrał życie ponad czterdziestu nieszczęśnikom.

Kiedy Kate Wheeler robiła swoje pierwsze podejście do zdobycia Eigeru w 1992 roku, wydawało się, że wszystkie rekordy zostały już ustanowione. Olbrzym był po prostu górą w Alpach Berneńskich o dobrze udokumentowanej historii. Szlak niebezpieczny, to prawda, lecz jednocześnie już tak przetarty, że przejście nim wydawało się jedynie formalnością. Kate miała wtedy siedemnaście lat - nie była już nawet najmłodszym ze śmiałków. Od trzech lat na poważnie zajmowała się tym sportem i zdążyła już zaliczyć wiele znanych szczytów Europy, łącznie z legendarnym Matterhornem. Pierwszego dnia Kate wraz ze swoim ojcem wspinała się przez dziesięć godzin. Wymyślali żarty na temat pierwszej drużyny, w skład której wchodzi ojciec i córka. Wspinaczka szła im tak świetnie, że planowali dojść na sam szczyt następnego wieczoru. Jednak w nocy przyszła śnieżyca, nagła, biała i mroźna. Zepchnęła ich w dół. Rozbili namiot i próbowali przeczekać zamieć, lecz kiedy skończyły się im zapasy, postanowili się wycofać.

Następnego lata Kate podjęła kolejną próbę. Tym razem towarzyszył jej młody alpinista z Niemiec, którego poznała na wiosnę. W ciągu dwóch dni udało im się przedrzeć przez niższe pola lodowe. Przy Biwaku Śmierci przespali się ze sobą.

Trzeciego dnia planowali wejście na sam szczyt. Obudziła ich idealna pogoda. Pełni pewności siebie wspięli się na rampę i pokonali Trawers Bogów. Przy Białym Pająku pękła śruba lodowa - partner Kate poleciał prawie sto metrów w dół. Miał szczęście: skończyło się na połamanych nogach.

Przy trzecim podejściu Kate towarzyszył lord Robert Kenyon oraz szwajcarski przewodnik, który miał już na koncie tuzin wejść na szczyt Eigeru. To Robert wpadł na pomysł, by wdrapać się na Ogra w ramach... podróży poślubnej. „Albo go pokonamy - powiedział do Kate głosem mężczyzny, który nigdy nie poniósł żadnej klęski - albo oboje zginiemy. Innej możliwości nie ma”.

Ktoś mniej oddany swojej pasji niż Kate, mógłby się zawahać, słysząc podobną groźbę, lecz jej ogromnie się spodobało buńczuczne oświadczenie męża. W życiu Roberta Kenyona nie było miejsca na kompromisy i cierpliwość. Chwytał każdą chwilę i rozkoszował się swoimi zwycięstwami. Jakby były one jego świętym prawem, darem od Boga.

Wejście na szczyt miało im zająć trzy dni. Wybrali klasyczny szlak przetarty już w 1938 roku. Drugiego dnia wieczorem Alfredo, ich przewodnik, odkrył trochę śniegu zalegającego w wielkiej szczelinie i wykopał śnieżną jaskinię, podczas gdy Kate i Robert zajęli wąską półkę skalną zawieszoną nad przepaścią rodem z najgorszego koszmaru.

Po dwóch dniach gramolenia się po stokach i wbijania czekanów w płyty lodu, Kate była wycieńczona. Wiedziała jednak, że czeka ich jeszcze tylko trzy- lub czterogodzinna wspinaczka następnego ranka. Zapowiadała się piękna pogoda. Kate uświadomiła sobie nagle, że jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak szczęśliwa. Pod nimi noc okryła już wioskę Grindelwald, lecz z miejsca, gdzie siedzieli, nadal było widać ostatnie promienie zachodzącego słońca, odbijającego się w śnieżnych wierzchołkach niczym w lusterkach. Zabezpieczyli się linami i pozwolili sobie, by nogi zwisały im swobodnie poza półkę, gdy jedli zimny posiłek i popijali go gorącą czarną herbata.

Kiedy skończyli jeść, zapadła między nimi przyjemna cisza, jakby byli starym dobrym małżeństwem, choć w istocie ledwie cztery dni wcześniej powiedzieli sobie sakramentalne „tak”. Wreszcie Kate postanowiła przerwać milczenie.

- Nasza ostatnia noc... - powiedziała z westchnieniem.

Kate była dwudziestojednoletnią piękną o bardzo jasnej cerze. Wysoka, smukła i nadludzko silna. Jej nordyckie błękitne oczy oraz blond włosy w odcieniu miodu mogłyby jej zagwarantować karierę modelki lub aktorki, ale sama powtarzała, że nie byłaby w stanie chodzić po wybiegu wedle czyjegoś rozkazu albo udawać płomiennej miłości przed kamerą. Natomiast Robert miał lat trzydzieści siedem i twarz nieco „doświadczoną”, lecz przystojną. Był bogaty, atletyczny i opanowany. Spotkali się zaledwie pół roku wcześniej na przyjęciu u byłego chłopaka Kate, Luki Bartolego, które odbyło się w małym kurorcie na południe od Genui. Tak się złożyło, że Robert był starym znajomym Luki. Tego pierwszego wieczoru Kate i Robert tylko ze sobą rozmawiali. Jednak o świcie oboje wiedzieli, że już nic nigdy nie będzie takie samo jak wcześniej. Kate uważała, że ich znajomość powinna się rozwijać nieco wolniej, zgodnie z powszechnie przyjętymi zwyczajami, lecz oboje żyli tak, jak zdobywali szczyty. Nic nie było w stanie ich powstrzymać - a już na pewno nie zdrowy rozsądek.

Teraz Robert też uśmiechnął się łagodnie, usłyszawszy smutne westchnienie Kate. Wziął jej dłoń z czułością, która była słodsza niż pożądanie.

- Mówisz tak, jakbyś miała ochotę spędzić tu jeszcze kilka nocy.

- Jedna albo dwie więcej... Nie miałabym nic przeciwko - powiedziała Kate, podnosząc wzrok znad czarnej otchłani pod ich nogami. - Jeśli tylko moglibyśmy nadal się wspinać.

-Boże święty, z kim ja się ożeniłem! - jęknął Robert z udawaną rozpaczą. Kate zachichotała.

-Ostrzegałam cię, nie zaprzeczysz!

- Ostrzegałaś, nie zaprzeczę! - zgodził się. Kate uśmiechnęła się smutno.

- Od mojego byłego chłopaka i zaborczego ojca dowiedziałeś się o mnie wszystkiego, co najgorsze...

- I jak się okazuje, wszystko to było prawdą! Wiesz, gdybym nie zakochał się w tobie po uszy, to pewnie wziąłbym sobie do serca ich dobre rady.

O Robercie nikt nie chciał opowiadać podobnych anegdot. Nikt nie przestrzegał jej przed jego obsesjami, tak jak ojciec Kate i Luca przestrzegali Roberta. Tak naprawdę dopiero po kilku tygodniach dowiedziała się, że Robert jest siódmym hrabią Falsbury oraz właścicielem wiejskiej posiadłości na malowniczych wzgórzach Devon. W posiadłości w Falsbury zdumiały ją zdjęcia, na których Robert w mundurze brytyjskiej armii otrzymywał jakieś odznaczenie. Potem się przyznał -a raczej: Kate z niego wydusiła siłą - że faktycznie, odznaczono go kilka razy za męstwo, wzorową służbę oraz takie tam. Nie uważał się jednak za bohatera. Raczej za człowieka, który zawsze znajdzie się w złym miejscu w najgorszym czasie.

Kate była zbyt młoda, żeby być osobą praktyczną, oraz zbyt spełniona, żeby ostrzyć sobie zęby na arystokratyczny tytuł. Pomyślała jednak, że to wcale nie jest takie złe: ludzie zwracający się do niej per lady Kenyon, a także starsi panowie w wieku jej ojca spoglądający na Roberta z szacunkiem i uznaniem. To były jednak tylko dodatki. Przede wszystkim wyszła za mąż z jednego, najważniejszego powodu: z miłości. Zakochała się, bo trudno było się nie zakochać. Robert Kenyon miał męskie rysy, otaczała go aura tajemniczości niczym Heathcliffa z

Wichrowych Wzgórz, a urokiem, naturalną godnością i siłą ducha dorównywał panu Darcy'emu z *Dumy i uprzedzenia*. Osobiście znał premiera Wielkiej Brytanii. Kiedy był w wojsku walczył u boku wielu członków rodziny królewskiej. Zjeździł pół świata, płynnie władał pięcioma językami, a kilka innych znał na tyle dobrze, by dogadać się z drugim człowiekiem. Jednak Kate w jej mężu podobała się przede wszystkim jedna cecha: był nieustraszony. Nie cofał się przed niczym.

Odrobinę tylko martwiła się jedną sprawą, mianowicie różnicą wieku. Robert był od niej o szesnaście lat starszy! Oczywiście zawsze umawiała się ze starszymi mężczyznami, przynajmniej od swoich szesnastych urodzin. Jej sporadyczne romanse z młodszymi mężczyznami - rzecz jasna, każdy z nich był alpinistą - zazwyczaj kończyły się jakąś awanturą i brzydkim pożegnaniem.

W związkach ze starszymi mężczyznami rzadko kiedy musiała znosić chamską niechęć, która pojawiała się u młodych chłopaków, kiedy się okazywało, że Kate jest lepsza od nich w czysto męskich fizycznych dyscyplinach. Starsi mężczyźni byli po prostu bardziej pewni siebie, a przy tym doceniali jej zdolności alpinistyczne. Nic zatem dziwnego, że mężczyzna, którego poślubiła, był solidnie zakotwiczony w świecie i dobrze się czuł we własnej skórze. Różnica wieku? A kogo to obchodzi?

- Mam nadzieję, że nie zamierzają z nami biwakować - powiedział nagle Robert.

Kate przeniosła wzrok z zaśnieżonych szczytów zalanych zachodzącym słońcem na dwie postacie, które wspinały się na górę. W ciemności trudno było coś dojrzeć, lecz Kate, obserwując rytmiczne ruchy alpinistów, odgadła, że musi to być zgrany duet - taki, który współpracuje ze sobą od lat. Na pewno wspinają

się szybciej niż ona, Robert i Alfredo. To prawda, we dwójkę szło się łatwiej, ale mimo wszystko uznała, że to zawodowcy.

Pomyślała o tym, co powiedział Robert: biwakować, z nimi? Spojrzała na półkę, na której siedzieli. Tamci może zapytają, czy mogą się przyłączyć. Ale nic nie wskórają. Było tu bardzo mało miejsca do spania, ledwie mieściły się dwie osoby. Od góry przed spadającymi głazami chronił ich skalny nawis. Poniżej kilkusetmetrowa, pionowa ściana kończyła się lodowcem.

- Chyba nie będą się porywać na Trawers Bogów po ciemku - zaniepokoiła się Kate.

Była nieco zirytowana nagłą obecnością intruzów. Tu, na wysokościach, nie miała ochoty na żadne towarzystwo. Pragnęła wyłącznie całkowitej i niepodzielnej uwagi swojego męża. Niechętnie zapatrywała się nawet na Alfreda; na początku kłóciła się, żeby nie brać przewodnika, lecz Robert był nieugięty. „W razie wypadku trzecia osoba może ocalić pozostałej dwójce życie”, tłumaczył.

Teraz wbił wzrok w zbliżających się ludzi.

- Hm, to może być interesujące... - powiedział, mając na myśli nocną wspinaczkę na szczyt, na który nawet w pełnym słońcu porywali się tylko najlepsi.

- Interesujące? Tak się mówi o przeprawie przez Trawers Bogów, kiedy na niebie świeci słońce - odparła Kate. - W nocy to jest po prostu szaleństwo.

- Za kilka godzin wzejdzie księżyc, a teraz mamy pełnię - zaproponował Robert.

- Jeśli niebo nadal będzie czyste, to dwóch mocnych zawodników zdoła wejść na szczyt do drugiej albo trzeciej w nocy.

Słowa Roberta pobudziły Kate. Do tej pory nie wpadła na ten pomysł, ale raptem wspinaczka przy księżycowej poświacie wydała się jej idealnym uwieńczeniem przygody.

Dwójka nieznajomych wdrapała się na stok. Kate usłyszała, jak Alfredo wita się z nimi tradycyjnym *Gruezi-mitenand*. Odpowiedzieli po wysokoniemiecku. Byli nieco zaskoczeni, że ktoś biwakuje tak blisko rampy. Nie było tu już dla nich miejsca, więc sytuacja stawała się dość niezręczna. Jednak amatorzy wspinaczki słyną z tego, że są pomocni i pomysłowi.

-Chcecie tu biwakować? - zapytał Alfredo, jego akcent mieszał dialekty *Hochdeutsch* i *Schweizerdeutsch*. Przewodnik był w wieku Roberta, jednak jego pergaminowa skóra oraz siwe pasemka na brodzie sprawiały, że wyglądał raczej na pięćdziesięciolatka. Mówił prowincjonalną wersją dialektu berneńskiego - niewyobrażalnie powolnym, ospałym żargonem, który jednak miał swój górski urok.

-Nie, chyba że będziemy zmuszeni - powiedział jeden z mężczyzn, ten wyższy. Miał austriacki akcent. - Chcemy iść dalej, kiedy wzejdzie księżyc. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, jeśli poczekamy tu z tobą kilka godzin?

Alfredo spojrzał na Kate i Roberta.

- Szef tu decyduje - oznajmił.

Austriacy popatrzyli na półkę zdumieni, jakby wcześniej ich nie dostrzegli. Robert zawołał w przyzwoitym wysokoniemieckim, że się zgadza.

-Czekajcie, ile chcecie! Kiedy wyruszyliście? - Dziś rano o czwartej. Nadal mamy nadzieję, że uda nam się wejść w ciągu dwudziestu czterech godzin... tak na styk - wytłumaczył mężczyzna.

- Nam dojdzie tutaj zajęło dwa dni! - odparł Robert.

- To wy jesteście tą parką na „wspinaczce poślubnej”? - zapytał drugi mężczyzna.

- Zgadza się, to my! - odezwała się Kate.

- Jeśli chcecie iść z nami, to zapraszamy - powiedział ten wyższy. - Rano ma być gęsta mgła. Może być ciężko się stąd wydostać, jeśli będziecie czekać aż do wschodu słońca.

- Z tego, co słyszałam, przez kilka dni miała być ładna pogoda - zaproponowała Kate.

- Nasza trójka tylko by was opóźniała - dodał Robert.

- Hej, czytałem o was co nieco! Nie ma szans, żebyście nas opóźniali. Robert zaczął się zastanawiać nad zaproszeniem.

- Naprawdę nie mielibyście nic przeciwko naszemu towarzysztwu? - rzucił po chwili.

- Żartujesz? Jeśli wdrapiemy się na szczyt z wami na naszych linach, to może wylądujemy na okładce „Alpinisty”!

Robert zaśmiał się pogodnie.

- Racja, nie pomyślałem o tym. Wiecie co, dajcie nam minutę. Musimy to przedyskutować.

- Nie ma pośpiechu. Możecie się namyślać nawet kilka godzin - odparł nieznajomy.

- Alf redo! Zaparz kolegom kawy - zaordynował Robert.

- Przed chwilą to zrobiłem, sir! Jeszcze paruje.

- Świetnie! - zawołał pierwszy Austriak. - To bardzo miło z waszej strony.

Alfredo, który przepuścił linę przez stały punkt asekuracyjny, aby zejść i przywitać nieznajomych, teraz zaczął z powrotem kierować się do swojej prowizorycznej jaskini śnieżnej. Austriacy poszli za nim, używając jedynie raków. Kiedy zniknęli z pola widzenia, Kate zapytała:

- Naprawdę tego chcesz?

Roberta rozbawił entuzjazm w jej głosie.

- Wiedziałem, że będziesz na to reflektowała.

- Skoro nadciąga mgła, to może jest to niegłupie rozwiązanie? Robert myślał przez moment.

- OK. Czuję się na siłach. A ty?

- Ile tam się idzie? Cztery godziny? - zastanowiła się Kate.

- Jeśli dotrzemy im kroku, to może nawet krócej.

Nagle Kate usłyszała głośny dźwięk. Jakby ktoś uderzył kijem w kamień.

Obejrzała się w kierunku stoku. Jakiś cień mignął jej przed oczami. Trup, pomyślała w szoku.

Ciemna sylwetka ześlizgnęła się, a potem zaczęła bezwiednie spadać, jak kukła. Ciało przechyliło się przez krawędź i runęło w dół, w przepaść, na samo dno, prosto w lodowiec. Kenyonowie zerwali się na równe nogi. Zderzyli się ze sobą. Robert trącił ją ramieniem. Kate straciła równowagę. Przechyliła się i wyciągnęła rękę, by złapać dłoń Roberta, ale on nawet nie zrozumiał, że jest w tarapatach. Wykrzyknęła jego imię, a potem ześlizgnęła się z półki...

Usłyszała trzask i poczuła mocne szarpnięcie. Lina, którą była przyczepiona do skały, nagle się skończyła. Kate wyhamowała i uderzyła prosto w zbocze góry. Coś otarło się o jej głowę i spadło w dół. Śpiwór? Jeden z plecaków? Nie była pewna. Powiodła wzrokiem za przedmiotem, lecz ujrzała tylko mglisty lodowiec daleko w dole.

Zamrugła gwałtownie, próbując zrozumieć, co się dzieje. Zwisiała pod półką, okręcając się powoli na swojej linie. Była nieco zamroczone - zderzenie ze ścianą zrobiło swoje. Poczowała rwący ból w kolanie. W tej chwili była jednak tak nabuzowana adrenaliną, że z łatwością mogłaby wspiąć się z powrotem na górę.

Oceniła sytuację chłodnym okiem. Wisiała jakieś trzy metry pod półką. Jej punkt asekuracyjny był o metr wyżej. Największym problemem było znalezienie jakiegoś oparcia. Niestety czekany zostały na górze, tak samo jak raki. Miała tylko linę i własne ręce.

A potem uderzyła ją pewna myśl: dlaczego Robert nie wychyla się zza półki, żeby sprawdzić, czy Kate jest cała i zdrowa? Nie miała odwagi odpowiedzieć sobie na to pytanie. Nagle niczym strzała przeszło ją ostre poczucie straty. Nie! - krzyknęła w myślach. Uczucie grozy rosło z sekundy na sekundę. Robert i ona byli przecież przywiązani do tej samej liny. Widziała, jak Robert to robił. Rozejrzała się dokoła w nadziei, że jednak spadł razem z nią i gdzieś tu wisi.

- Robert? - wydusiła z siebie łamiącym się, stłumionym głosem.

Może jego punkt asekuracyjny wypadł? Ogarnęły ją mdłości. Nie mogła przestać myśleć o przedmiocie, który otarł się o jej głowę, spadając w dół. Śpiwór? Plecak...? Robert...

- ROBERT! - krzyk wyrwał się jej z ust.

Na półce ponad głową ujrzała czyjąś sylwetkę. Poczowała ulgę.

- Robert? Jestem tutaj. Nic mi się nie stało!

Nagle usłyszała czyjś głos.

- Odetnij linę - nakazał.

- Nie! - zawołała w nagłym przypiływie paniki.

Sylwetka zniknęła. Kate kopała nogami, starając się zbliżyć do ściany.

- BŁAGAM, NIE!

Musnęła palcami ścianę, ale nie zdołała jej uchwycić. Znowu nią zarzuciło i znowu oddaliła się od skały. Spróbowała jeszcze raz, kopiąc mocno w powietrzu.

Podniosła nogi i przechyliła się na swojej uprząży. Jedną rękę wyrzuciła rozpaczliwie do przodu, w kierunku ściany.

Tym razem zbliżyła się na tyle, by złapać się, lecz nogami nadal wisiała w powietrzu. Spojrzała w górę. Coś szarpnęło za jej linę.

-NIE!

Kiedy lina się urwała, z ust Kate wydarł się krzyk. Ujrzała cień wielkiego, sterczącego głazu, który zbliżał się do niej coraz szybciej.

Uderzyła w jego spadzistą ścianę i przeturlała się, zbyt oszołomiona, by się czegokolwiek złapać. Jej biodra i nogi ześlizgnęły się z krawędzi, lecz lina o coś się zaczepiła.

Bała się, że najdrobniejszy ruch strąci ją w otchłań. Obmacała głaz w poszukiwaniu czegoś, za co mogłaby się złapać. Znalazła tylko niewielki wyrostek. Przynajmniej odciążyla nieco linę. Przez chwilę była bezpieczna. Spojrzała w górę, na półkę, z której spadła. Ciemność utrudniała ocenę odległości. Spadła jakieś dwa metry, a od półki dzieliło ją trzy i pół albo cztery. Znowu ujrzała tę samą sylwetkę, wychylającą się zza skalnego gzymsu. Po chwili postać zniknęła. Kate podciągnęła się i skrzywiła z bólu. Pewnie przy drugim upadku złamała sobie żebro. Znalazła bruzdę, o którą zaczepiła się jej lina i starała się ją wyszarpnąć, lecz ta się zaklinowała. Wiedziała, że może rozwiązać ją przy karabinku na uprząży, a nawet zrzucić uprząż, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale nie chciała się pozbywać ani jednego, ani drugiego. Instykt wspinacza: kawałek liny i możliwość przywiązania się do czegoś może być różnicą pomiędzy śmiercią a ocaleniem. Włożyła rękę w kieszeń kurtki, by wyłowić swój szwajcarski nóż oficerski.

Po odcięciu liny straciła jej około metra. Zostały jeszcze trzy. Wystarczająco dużo, żeby do czegoś ją przywiązać. Porządnie zwinęła linę i wepchnęła ją do kieszeni, a potem zbadła oblodzoną ścianę ponad głową. Na horyzoncie migotało wątłe światło zachodzącego za górami słońca. Wkrótce zapanuje całkowita ciemność. Wspinanie się bez żadnej lampki czy latarki było samobójczym krokiem. Nie miała jednak wyboru. Nie mogła się tu przywiązać i czekać na księżyc. Była wystawiona na wiatr. W dwie godziny zamarzlaby na soplem lodu.

Poczuła, że zaczyna ją dopadać smutek, a zaraz za nim czai się strach. Starła się z tego otrząsnąć, nie dać się złapać. Wiedziała, że jeśli podda się tym uczuciom, to już po niej. Musi po prostu dostać się z powrotem na górę. To właśnie powinna zrobić. Ale którądy? Zerknęła w stronę skalnej półki. Gdyby wybrała ten kierunek, wpadłaby prosto w ręce Austriaków. Spojrzała na zachód; może udałoby jej się przedrzeć po gładkiej ścianie poniżej półki? Wyszłaby wtedy pod Austriakami. Z drugiej strony, nie miała sprzętu, który pozwoliłby jej na bezpieczne zejście z Eigeru. Zrobiła w myślach listę rzeczy, którymi dysponowała. Miała na sobie kurtkę i buty, do tego dochodził szwajcarski scyzoryk wojskowy, trzymetrowy kawałek liny i uprząż. To za mało. Musi zdobyć odpowiedni sprzęt. Znowu spojrzała w górę. Ogień, woda, prowiant, raki, czekany, lina, śpiwór - wszystko to było cztery metry wyżej. Bez nich sobie nie poradzi. Nie ma szans.

Delikatnie stąpała po wąziutkiej kamiennej wstążce w kierunku rampy. Zamierzała wyjść ponad Austriakami. Ale już po chwili otarła się o coś głową. Skuliła się i czujnie spojrzała na cień. Drogę na górę blokował jej wielki głaz. Znowu musiała poruszać się w bok. Ciężar całego ciała opierała na palcach rąk i nóg. Pod nią zionęła lodowa otchłań. Kiedy obeszła przeszkodę, poczuła na twarzy gwałtowny podmuch. Po chwili wiatr szarpał ją za kurtkę. Cały dzień

temperatura była łaskawa - nawet nieco za wysoka jak na tego typu wspinaczkę mikstową, której wymagał Eiger - ale w nocy zazwyczaj spadała, i to w szybkim tempie. Dzisiaj było tak samo. Wyciągnęła rękę i znalazła wystający kawałek oblodzonej ściany. Niestety nie dało się go uczepić. Nie bez czekanów! I tak oto stała na centymetrowej krawędzi, uczepiona jedynie butami i dłońmi, a pod nogami miała otchłań. Nagle zdała sobie sprawę, że nigdy nie uda jej się wdrapać na rampę. Co ona sobie wyobrażała? Z kim chciała wygrać - z Bogiem?

Jej ciało zaczęło drżeć. Do oczu napłynęły łzy. „Lady Katherine Kenyon zginęła wczoraj w wypadku na zboczu góry Eiger”.

Ładnie to brzmi, nie ma co, pomyślała sobie. Wyższe sfery by ją oplakiwały, a cała reszta by jej... zazdrościła?

- Nie! - wyszeptała, kręcąc głową i zaciskając palce na pofalowanej powierzchni z lodu i kamienia. - Jeszcze nie umarłam!

Podciągnęła się. Wybrzuszenie skalne zmusiło ją do wygięcia ciała. Stopy na moment straciły oparcie. Musiała przerzucić cały ciężar na koniuszki palców rąk. Poczowała panikę, którą zna każdy wspinacz, kiedy nie jest zabezpieczony i wisi w powietrzu. Ale ona знаła ten manewr - często go praktykowała.

Nie ma punktu asekuracyjnego - co z tego? Trudno. Była w stanie zrobić ten ruch bez użycia liny! To tylko klasyczna wspinaczka, przy użyciu rąk i nóg, tyle że w oparach mgiełki, wmawiała sobie. Wystarczy się złapać i wspinać. Łapać, wspinać. Byle do góry. Taka jest właśnie filozofia gór. Ile razy w życiu tak naprawdę potrzebowała zabezpieczenia w postaci przymocowanej liny? Powiedziała szeptem:

- Trzeba wziąć górę we własne ręce i robić to, co się umie! Sięgnęła ręką jeszcze wyżej i złapała guz porowatej skały.

Był prawie jak klamka, z łatwością się dźwignęła. Czubkiem buta znalazła wąską ryse. Wreszcie udało jej się wdrapać na wybrzuszenie. Położyła się na nim, łapiąc oddech.

Jeszcze... nie... umarłam...

Następny etap wspinaczki był łatwiejszy. Mnóstwo punktów zaczepienia oraz półeczek, które były typowe dla całej góry. Mimo to poruszała się wolno z powodu mroku. Wiedziała też, że Eiger bywa zdradliwy - nie wolno szarżować. Nie było żadnych wystających ścian, żadnych śliskich zboczy, które byłyby przeszkodą. Nie jest tak źle, pomyślała sobie. Po chwili nad głową ujrzała kompletnie zlodowaciałą ścianę. Od dwóch dni wspiniała się po tego typu płytach. Ta nie wyglądała strasznie. Z pomocą kilku czekanów w rękach oraz raków na butach pokonałaby ten odcinek w pięć sekund. Wystarczyło wpaść w rytm i można było pruć w górę jak błyskawica. Jednak bez sprzętu sprawa się komplikowała. Kate wiedziała, że jeśli zacznie się ześlizgiwać, to już po niej.

- Stop - wyszeptała do siebie. - Nie ruszaj się. Zostań tu. Przeczekaj... Nie zamarzniesz.

„Lady Katherine Kenyon zginęła wczoraj w wypadku na zboczu góry Eiger. Pograżony w żałobie ojciec...”.

Ojciec. Jak postąpiłby Roland Wheeler, gdyby był teraz na jej miejscu? Czy sam by siebie okłamał i poszedł spać, aż zimny wiatr we śnie zamroziłby mu krew w żyłach? Na samą myśl o tym Kate niemal wybuchła śmiechem. To w ogóle nie wchodziło w grę! Ojciec miał sporo wad - wśród nich całkowity brak skrupułów jeśli chodzi o przywłaszczanie sobie cudzej własności - ale na pewno nie był tchórzem. Nigdy się nie poddawał. Nigdy nie wywieszał białej flagi. I nigdy nie

pozwalał na to Kate. Kiedy pierwszy raz wspólnie wyruszyli w góry, Kate wpadła w panikę. Stała nieruchoma i zmarznięta na sopel lodu na półce skalnej.

- Łzy ci nie pomogą w zejściu, Katie - odezwał się ojciec. - Weszłaś tu dzięki wspinaczce i zejdziesz też dzięki wspinaczce!

- Nie mogę! - jęknęła Kate.

- W takim razie pomyliłem cię z kimś innym... - powie dział i ruszył dalej. Ruszył dalej bez niej! Zostawił ją samą. Miała zaledwie czternaście lat, telepała się z zimna, a jej ojciec poszedł sobie dalej, nawet nie oglądając się za siebie. Poczowała w sobie furję, która zastąpiła panikę.

I dokładnie o to chodziło jej ojcu.

Kate dotknęła karabinka przeciągniętego przez uprząż, nie był jednak przystosowany do takich wyczynów. Przeszukała kurtkę. Lina, nóż... hak! Wyjęła nóż i hak. W jednej ręce nóż, w drugiej hak - mogłaby spróbować użyć ich do wbijania się w lód. Spróbować i wygrać.

Albo spróbować i zginąć.

Wbiła ostrze noża w lód. Trzymał się mocno. Potem wbiła hak. Mogła się podciągnąć, odklejając się od skały. Teraz była już na lodzie. Spojrzała w dół. Nie widziała nic oprócz czystej, szarej ściany lodu pod kątem około czterdziestu stopni. Dalej było już tylko niebo.

Najgorsze dopiero przed nią. Wyjęła nóż z lodu i drżącą ręką kurczowo trzymała się haka. Szybko znowu wbiła nóż i oparła się na nim. Potem hak. I znowu nóż. Hak, nóż. Raz, dwa...

Furia, z jaką wbijała ostrza w lód, była bardzo męcząca, ale jeszcze bardziej męczące było wisieć w bezruchu. Lepiej iść do przodu.

Odcięli jej linę! Chcieli ją zrzucić z góry w przepaść! Czy Robert widział, jak to robią? Czy krzyknął za nią, a ona go nie usłyszała, bo wiatr porwał jego słowa? Jego milczenie martwiło ją bardziej niż cokolwiek innego. Bo to by oznaczało, że... to nie był śpiwór. To nie był plecak. To, co spadło tuż obok niej, to było jego ciało. Prawie zemdląca na samą myśl o tym. Z drugiej strony, nie mogła mieć pewności. Być może krzyknął, kiedy odcięli jej linę. Zaliczyła czołowe zderzenie ze skałą i niewykluczone, że na kilka sekund straciła przytomność. Musiała wierzyć w to, że Robert żyje. Może Austriacy chcieli go porwać? Porwać w świetle księżyca i zażądać jakiegoś nieprzyzwoitego okupu...

Oddychała szybko i głęboko. Wzbierała w niej fala płaczu. Musiała znaleźć w sobie wściekłość, która dodałaby jej energii, aby pokonać ten ostatni odcinek. Nie płacz, walcz! Jeśli Robert nie żyje, to będzie bardzo źle. Zerknęła przez ramię, ręce drętwiały od napięcia, brakowało jej sił. Szybko, załatw to!

Na pewno wtedy straciła przytomność. Dlatego nie usłyszała jego krzyku, kiedy tamci odcięli jej linę. Walnęła w skałę i urwał jej się film. Milczenie Roberta wcale nie oznaczało, że spadł. Po prostu straciła przytomność... On tam nadal był! I myślał sobie, że to ona jest martwa. Modlił się o cud - tak samo jak ona teraz! Wbiła hak w lód i podciągnęła się kilka centymetrów. Ręka, która trzymała hak, płonęła z bólu, zdrętwiała, ale wyżej widać już było skałę.

Szukała jakiegoś zaczepienia, powstrzymując się przed spojrzeniem w dół. Przeszła trochę w lewo, bardzo wolno. Wreszcie dotarła do łąty śniegu. Stok tutaj był bardziej stromy, a śnieg niepewny. Ponad głową ujrzała kilka bardzo obiecujących kamieni, które znaczyły koniec tego piekielnie ciężkiego etapu. Wpełzła na śnieżną skorupę, ale ta pękła pod ciężarem jej ciała. Kate błyskawicznie wrzuciła na górę brzuch i stopy. Poczowała trochę przyczepności, ale nie była

bezpieczna. W każdej sekundzie cała ściana śniegu mogła się ześlizgnąć, a ona razem z nią, prosto w otchłań. Wbiła w śnieg pięści i zakotwiczyła się w lodzie. Podciągnęła się trochę. A potem jeszcze trochę. I jeszcze...

Pełzła po luźnych kamieniach, aż wreszcie doszła do długiej stromej rampy. Schowała hak do kieszeni. Obliczyła dystans, który dzielił ją od Austriaków. Byli około dwudziestu metrów poniżej. Nie widziała ich. Nic nie widziała. Spojrzała na niebo, na które wypłynęły gwiazdy, ale jeszcze nie do końca roziskrzzone. Horyzont cały zaszedł już czernią. Jeśli ukryje się w cieniu, jeśli uda jej się cicho podejść, będzie mogła ich zaatakować, zanim zrozumieją, co się dzieje. Musnęła kciukiem ostrze noża. Kiepska broń. Ale lepsze to niż nic.

Zeszła w dół, jakby schodziła po drabinie. Przywarła do skały palcami rąk i nóg, kciukiem trzymała nóż. Dostrzegła szare połączenie lodu, a potem mglisty zarys jaskini, którą Alfredo wykopał w śniegu, by ochronić się przed wiatrem.

Była już prawie na półce, kiedy nagle usłyszała odgłos stali uderzającej o kamień tuż nad nią. Spojrzała w górę, ale było już za późno. Napastnik skoczył na nią. Kate zjechała w dół, przygnieciona jego ciężarem. Wywijiała swoim nożem i zaczepiła nim o kurtkę mężczyzny oraz jakiś kawałek jego ciała.

Facet krzyknął, uderzając pięścią w jej głowę. Kate zaczęła się ześlizgiwać w dół. Zanim się rozpędziła i wpadła prosto w przepaść, uczepiła się butem krawędzi. Wisiała jakieś trzy metry niżej niż napastnik, ale ten zbliżał się do niej. Żeby poruszać się tak prędko jak on, potrzebowałyby liny.

Być może Austriak przepuścił linę przez jakiś naturalny punkt asekuracyjny. Może dlatego tak szybko udało mu się za nią pójść. Jeśli faktycznie tak było, to lina z jednej strony była zaczepiona w jego uprząży, a on trzymał w dłoniach drugi koniec. To by mu umożliwiło zrzucenie ciężaru na linę i schodzenie w dół po

ścianie. Jednak to również oznaczało, że nie był zupełnie zabezpieczony. Kiedy uderzył ją po raz drugi, Kate była już gotowa: objęła ramionami jego kolana. Kopał ją, ale udało jej się przekręcić plecami do skały. Teraz oboje zwisali na jednej linie. Uczepiła się napastnika i przejechała ostrzem noża po jego nadgarstku.

Zaczęli razem ześlizgiwać się po stoku. Austriak rozpaczliwie trzymał się Kate. Przejechała mu nożem po twarzy i kopnęła go mocno kolanem. Z gardła mężczyzny wyrwał się wrzask pełen przerażenia. Jego ciało przyspieszało... prosto w przepaść. Kate poczuła, jak jej nogi zsuwają się z krawędzi rampy i złapała się obiema rękami wystającego kawałka skały. Kamień wpijał się jej w palce, ale nie puściła. Trzymała kurczowo. Jej nogi zwisały w powietrzu.

Drugi mężczyzna wyszedł zza półki. Krzyknął coś głośno do partnera, ale nie dostał odpowiedzi. Kate trzymała się już tylko jedną ręką. Straciła nóż. Spojrzała w górę, ale nie widziała nic prócz nieba i ciemnych kształtów gór. Wolną ręką sięgnęła pod występ i znalazła krawędź. Złapała się i zupełnie ześlizgnęła z rampy. Teraz zwisała z poziomej ściany, trzymając się czterema palcami, bez kciuka.

Ponad nią cień drugiego mężczyzny przysłonił gwiazdy. Jego raki drapały skałę tam, gdzie ona przed chwilą trzymała ręce. Jeśli ją zobaczy, to już po niej.

Dłoń Kate zaczęła drżeć. Mimo to czekała. Nie śmiała szukać lepszej pozycji.

- Jórg! - krzyczał facet tuż nad nią. Zęby jego raków były oddalone dosłownie o kilka centymetrów od palców Kate.

Poruszał się powoli. Bał się stracić równowagę i runąć w dół.

Kiedy zniknął w cieniu, Kate zaprzęła do pracy drugą ręką i zaczęła szukać wsparcia dla nóg. Oddychała cicho i wolno. Nawet nie przełykała powietrza.

- Jórg! - ponownie zawył Austriak.

Kate znalazła poziomą szczelinę i wetknęła w nią kawałek podeszwy. Podciągnęła się. Teraz już spokojnie trzymała się rękami i nogami; brzuchem nie dotykała powierzchni. Każdy jej ruch był łagodny, lecz najszybciej jak mogła, wspięła się na stromy stok. Ukryła się w czarnym cieniu w pobliżu wielkich głazów. Musiała się jakoś znaleźć ponad facetem. Był od niej większy i cięższy, więc aby go zaatakować, potrzebowała rozpędu.

Mężczyzna znowu głośno wykrzyknął imię kolegi, ale już nieco innym tonem. Teraz brzmiał po prostu jak osamotniony facet na górskim zboczu. Chyba obleciał go strach. Kate dostrzegła kontury rampy. Próbowwała ocenić dystans pomiędzy sobą a nim, ale mężczyzna nagle zamilkł. Czy nadal tam był, stojąc przy krawędzi? Może zbliżał się do niej tak bezszelestnie, że nawet go nie słyszała? A może znieruchomiał, przysłuchując się, czy naprawdę został zupełnie sam?

Mógł przypuszczać, że jego kolega i Kate spadli razem w dół, prosto w objęcia śmierci. Jednak na pewno brał też pod uwagę możliwość, że ona nadal żyje. Kate zaczęła przemieszczać się w bok. Nagle dotarł do niej jakiś dźwięk, jakby Austriak odwrócił się czymś zaniepokojony. Zamarła, nasłuchując z całych sił. Jeden krok i znowu cisza. Był blisko. Jak blisko? Całym ciałem przywarła do stoku, a potem odwróciła się tak wolno i cicho, jak tylko umiała. Noga za nogą, ręka za ręką. Podniosła głowę, nie miała już przed oczami jedynie swojego cienia.

Z kieszeni wyciągnęła kawałek liny. Zawiązała węzeł, pomagając sobie zębami. Mężczyzna nadal się nie poruszył. Była pewna, że on już wie. Wiedział, że wisi gdzieś nad nim i nie chciał zdradzić swojej pozycji. Gdyby musiała zgadywać, strzeliłaby, że dzieli ich około czterech metrów. Oboje byli ślepi w tym

gęstym mroku. Oboje trwali w bezruchu. Oboje mieli świadomość, że dojdzie do konfrontacji.

Zacisnęła dłonie na obu końcach liny, zostawiając sporo luzu. Podejrzewała, że facet jest gdzieś po prawej stronie, a nie tuż pod nią, jednak nie mogła mieć pewności. Nie mogła po prostu się ześlizgnąć - to zbyt ryzykowne. Gdyby w niego nie trafiła, runęłaby prosto w otchłań. Musiała go dokładnie zlokalizować. Niestety, było to równoznaczne z ujawnieniem własnej kryjówki.

- Błagam... - wyszeptała głosem, którego nawet nie rozpoznała. - Niech mi pan nie robi krzywdy.

Napastnik dokładnie na to czekał. Od razu ruszył w jej kierunku. W tym momencie Kate już wiedziała, gdzie się chował. Puściła się ściany i zaczęła ześlizgiwać w dół. Z impetem wpadła na mężczyznę. Przebiła się przez jego uścisk i uderzyła go w nogi. Austriak stracił równowagę. Kate błyskawicznie obwiązała mu kolana liną i szybko przeturlała się z dala od niego. Szarpnęła za linę i ścięła mężczyznę z nóg. Zawył przeraźliwie, ale Kate ciągnęła dalej.

A potem puściła. Usłyszała rozdzierający uszy wrzask...

Trzy czy cztery sekundy później jego ciało uderzyło z łomotem w lodowiec.

Potem cisza. Tylko oddech wiatru.

Kate podniosła się z kolan, wołając Roberta. Spęzła po rampie na półkę poniżej, gdzie wcześniej, nie tak dawno, siedziała razem z mężem.

- ROBERT!

Odpowiedziała jej cisza. Wmawiała sobie, że te dranie go nie zabiły. Nie wspięli się na górę wyłącznie po to! Niemożliwe! Na pewno chcieli go tylko porwać. Na pewno siedział gdzieś związany, z zakneblowanymi ustami... Musiał gdzieś tu być. Musiał!

- ROBERT!!!

Przeszła po całej półce, pogrążonej w mroku, ale znalazła jedynie dwa plecaki oraz dwa śpiwory. Z jednego z plecaków wyciągnęła latarkę. Oświetliła nią otoczenie. Sprzęt Roberta zniknął. Odwróciła się, zeszła z półki i przeszła przez rampę. Poświeciła wokół siebie. Wspięła się trochę wyżej, ciągle wołając imię męża. I znowu żadnej odpowiedzi. Wmawiała sobie, że Robert musi być gdzieś indziej. Kłamstwo, dzięki któremu była w stanie przeżyć kilka kolejnych sekund. Wiedziała jednak, że nie ma żadnego „gdzieś indziej”. Gdyby nadal żył... byłby tutaj. A nie było go. Nie było!

Jeszcze raz wykrzyknęła jego imię. Tym razem głos jej się załamał. Roberta nie było. Runęła na kolana i ukryła twarz w dłoniach.

Kiedy łązy się skończyły, Kate wzięła jeden ze śpiworów. Wsunęła się do niego, zapięła szczelnie, jak w kokonie. Chciała przespać się chwilę, godzinę.

Obudziła się, gdy na niebo wypływał księżyc. Od razu poczuła, że jej ciało jest całe obolałe. Nie mogła się właściwie ruszyć. Ale musiała spróbować. Księżycowa poświata rozświetliła okolicę. Kate przeszła na półkę, nie używając latarki, i przeszukała plecaki. Potrzebowała ekwipunku. Nie znalazła raków, ale były czekany i liny, kaski z latarką, prowiant, ogień, woda i aspiryna. Znalazła nawet kuchenkę gazową Alfreda. Pomyślała o wejściu na szczyt, ale bardziej pewne było zejście w dół - robiła to już dwa razy. Jeśli wpadnie w tarapaty, będzie wiedziała, gdzie najlepiej usiąść i czekać na pomoc. Miała dość sprzętu, by przetrwać kilka dni, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Kiedy księżyc zajął już swoje miejsce na niebie, Kate rozbiła biwak na połaci śniegu. O świcie zaczęła schodzić, choć ciało protestowało przy każdym ruchu. Po południu spotkała dwóch alpinistów.

- Co się stało? - zapytał jeden z nich, kiedy czekali, aż przyleci helikopter ratunkowy.

Kate pokręciła głową. Nie chciała nic mówić. Lekarze również zadawali to pytanie. Kate nadal milczała. Była zbyt zmęczona, zbyt obolała, zbyt przerażona, by powiedzieć prawdę. Lekarze zrozumieli. Lub przynajmniej tak im się wydawało.

To instynkt nie pozwalał jej mówić. Ktoś nasłał tych bydlaków na Roberta - była tego pewna. Ktokolwiek to zrobił, nadal gdzieś tam jest. Jeśli Kate skłamie, wymyśli jakąś bajkę i zacznie ją wszystkim opowiadać, to ten ktoś uzna, że jest bezpieczny. Na pewno pomyśli sobie, że ta głupia dziewczyna jest zbyt strachliwa, by go odnaleźć. Ale ona go znajdzie. Dorwie go i...

Albo on, albo ja, zdecydowała.

Po jakimś czasie nie mogła się dłużej wykręcać zmęczeniem, ale wtedy była już w szpitalu, gdzie czuła się w miarę bezpiecznie. Zmontowała historyjkę. Ona, jej mąż oraz przewodnik postanowili dołączyć do dwójki nieznajomych, którzy chcieli zdobyć szczyt w blasku księżyca. Cała piątka wchodziła po dwóch linach. Ledwie zaczęli się wspinać, kiedy prowadząca drużyna straciła punkt asekuracyjny. Spadli prosto na ekipę Kate. Impet kolizji wyrwał też ich punkt asekuracyjny i tak oto cała piątka ześlizgnęła się z rampy, zaplątana w liny. Powiedziała, że spadając, udało jej się odciąć od liny, ale reszcie się nie poszczęściło. Spadli prosto w przepaść.

W jej opowiadaniu było kilka luk i nieścisłości. Coś się nie zgadzało w kwestii sprzętu. Dlaczego Kate miała ze sobą jeden z plecaków Austriaków? Gdzie się podziały jej raki? Co się stało z jej plecakiem? Powiedziała, że nie ma pojęcia. Swoją ekwipunek zgubiła; znalazła czyjś inny. Przesłuchujący twierdzili, że to nie ma sensu. Naciskali. Żądali szczegółów. Roland wykonał kilka telefonów i następnego dnia odczepili się od niej. Koniec pytań. Gazety rzuciły się na sensacyjną historię. Wersja przedstawiona przez Kate została uznana za prawdziwą. Szwajcarzy polecili helikopterem ma miejsce wypadku tuż po tym, jak Kate wreszcie powiedziała władzom, gdzie dokładnie wszystko miało miejsce. Do tego czasu przyszła wiosenna burza śnieżna, która zasypała ciała i sprzęt. Gdy nadeszło lato, znowu przeszukano teren. I znowu bez sukcesu.

Ogłoszono, iż Olbrzym pochłonał kolejne cztery ofiary.

Zurych, Szwajcaria niedziela, 24 lutego 2008

Aby wejść na imprezę inaugurującą działalność Fundacji Rolanda Wheelera, należało być szczęśliwym posiadaczem zaproszenia. Na liście byli sami luminarze: politycy, szefowie firm oraz dyrektorzy najbardziej prestiżowych muzeów i fundacji w Zurychu. Naturalnie zjawili się także wszyscy miejscowi filantropi. Nigdy nie przegapiliby okazji, by rzucić okiem na dobra, które oferowali inni. Żeby ludzie nie pomyśleli sobie, że cała ta impreza kręci się wokół władzy i pieniędzy, córka Wheelera, Kate Brand, rozesłała połowę zaproszeń do muzyków, malarzy, czołowych architektów, pisarzy i uczonych. Listę zamykali fani wspinaczki - przyjaciele Kate i jej nowego męża, Ethana. Świątowali więc starzy i młodzi, bogaci i utalentowani, szaleni i piękni, a takiego właśnie koktajlu ludzkiego chciałby Roland, gdyby dożył tego dnia.

Najdziwniejszym gościem na liście zaproszonych był kapitan Marcus Steiner z zuryskiej policji. Na służbie już od dwudziestu dziewięciu lat, zrobił karierę po cichu, a może nawet -jak mówili niektórzy - potajemnie. Jeśli kiedykolwiek pojawiał się na tego typu imprezach, to jedynie w charakterze ochrony. Tego jednak wieczoru był pełnoprawnym gościem, co zdumiewało go prawie tak samo jak wszystkich innych.

Oczywiście bez problemu zintegrował się z gośćmi. W przeciwieństwie do większości glin, lubił towarzystwo bogaczy. Już na samym początku kariery za-

uważał, że majątni hojnie opłacali przysługi ze strony policji. Wystarczyło zdobyć ich zaufanie i dać do zrozumienia, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych, jeśli tylko wynagrodzenie będzie odpowiednie.

Rzecz jasna Marcus zdawał sobie sprawę, że na imprezie obecne są osoby, które uważają, że Kate Brand zaprosiła go z czystej przekory, że to przejaw jej brawury. Od lat krążyły pogłoski, według których Roland Wheeler zdobył fortunę, kradnąc dzieła sztuki w różnych krajach i sprzedając je szwajcarskim kolekcjonerom. Na stare lata -jak głosiła plotka - Wheeler przekazał swoje umiejętności córce. Nikt nie był w stanie tego potwierdzić, ale z drugiej strony nikt nawet nie próbował. Pan Roland Wheeler wkupił się w łaski społeczeństwa Zurychu dzięki hojnym darom dla miasta oraz dyskrecji, na którą zawsze mogli liczyć jego szwajcarscy klienci. Poza tym to, co się działo poza granicami, nie było problemem obywateli tego spokojnego państwa.

Marcus nie obraził się, słysząc kilka szyderczych uwag na temat swojej obecności na przyjęciu. Okazja była tak wielka, że grzechem byłoby ją przegapić. A poznanie kolejnych reprezentantów śmietanki towarzyskiej nikomu jeszcze nie zaszkodziło w karierze. Co prawda nie wręczał swoich wizytówek, ale bez oporów mówił ludziom, gdzie pracuje. Ktoś z nich może przecież kiedyś w przyszłości potrzebować jego pomocy. Zatem w rzeczywistości wyświadczał im jedynie przysługę, mówiąc, gdzie go można na co dzień znaleźć.

Chodził z pokoju do pokoju i z zachwytem czytał nazwiska twórców zgromadzonych tutaj dzieł. Tak go to pochłoneło, że same obrazy omiatał jedynie pobieżnie wzrokiem. Ale kogo one obchodziły? Rothko, de Kooning, Pollock, Kandinsky, Picasso: wszyscy oni chlapali farbą na płótno, a potem te malunki warte były więcej, niż on zarabiał w ciągu dziesięciu lat! Cena tych obrazów na-

prawdę robiła wrażenie. Szczególnie kiedy się pomyślało o tym, że Roland Wheeler zaczynał karierę jako zwykły rabuś na londyńskim East Endzie. Po kilku przygodach z policją oraz wyroku w zawieszeniu za posiadanie skradzionych dóbr, Wheeler wziął nogi za pas i uciekł do Niemiec. W Hamburgu dopisało mu szczęście -poślubił angielską piękność, znalazł pracę w galerii i urodziła mu się córeczka. Resztę wczesnej kariery Wheelera owiewała mgła tajemnicy. W każdym razie po kilku latach otworzył w Hamburgu własny sklep. Potem drugi w Berlinie oraz trzeci w Zurychu. Tym sposobem zrzucił z siebie odium okresu londyńskiego i był czyściutki jak łąza. Stał się powszechnie szanowaną osobą. Na początku lat dziewięćdziesiątych jego żona zmarła. Wheeler spakował walizki i przeprowadził się do Zurychu. Wyszło mu to na dobre. W ciągu kilku lat stał się obrzydliwie bogaty.

-Blisko sto milionów - powiedział jeden z gości, kiedy Marcus zapytał go, jaka jest wartość kolekcji, którą córka Wheelera przekazała na rzecz miasta.

-Franków? - zapytał Marcus zdumiony. Mężczyzna, rodowity Anglik, uśmiechnął się sztywno.

-W dobry dzień - funtów szterlingów. Franków - kiedy rynek jest nieco gorszy. Marcus, który nabył od Wheelera obraz Moneta w październiku 2006 roku, zapytał o aktualną sytuację na rynku.

-Bardziej opłaca się sprzedawać czy kupować?

-To chyba zależy od tego, o czym pan dokładnie mówi - odpowiedział po chwili wahania Anglik, po czym lustrował rozmówcę od stóp do głów: jego zegarek, buty oraz krój smokingu. W stroju Marcusa nie było nic, co pomagałoby go rozgryźć. Mógł być jedynie szanowanym urzędnikiem państwowym albo facetem wartym dziesięć milionów franków. Gdyby w grę wchodziła większa

kwota, wiedzieliby o tym wszyscy. Szwajcarzy to na co dzień szalenie uprzejma nacja, lecz uwielbiają plotki o pieniądzach.

- Mam na myśli, powiedzmy, Moneta - uściślił Marcus.

- Doprawdy, posiada pan Moneta? - zapytał Anglik, unosząc brew. Mężczyzna opanował język niemiecki w imponującym stopniu. Samą tonacją głosu nasycił sporą dozą sarkazmu. Oczywiście uniesiona po angielsku brew tylko spotęgowała efekt.

- Tak. Malutkiego - powiedział Marcus, niemal oblewając się rumieńcem. Wykonał gest, jakby chował mały obrazek za pazuchę. Anglik roześmiał się głośno.

- Naturalnie, Monetowi rynek zawsze sprzyja... niezależnie od wielkości obrazu. - Mężczyzna rozejrzał się po sali, ale nie znalazł tego, czego szukał. - Roland był właścicielem pięknego Moneta. Pamiętam, jak pewnego razu mi go pokazywał! Dziwne, że się go pozbył. Wiem, że miał do niego bardzo osobisty stosunek...

- Zupełnie zrozumiałe. Ja do swojego też mam bardzo osobisty stosunek - wyznał Marcus z uśmiechem.

Tak oto kapitan Steiner dowiedział się co nieco na temat wartości pośmiertnych darów Wheelera dla Zurychu. Policjant wpadł na Frau Goetz, żonę dyrektora małego, prywatnego banku, w którym załatwiał niekiedy różne interesy.

- Przejaw nieprzeciętnej hojności pana Wheelera, nie sądzicie państwo? - Marcus rzucił pytanie, kiedy zostali sobie przedstawieni przez wspólnego znajomego; tak się składało, że był nim sam burmistrz.

Rolanda nie było wśród żywych już od ponad roku, więc burmistrz pozwolił sobie na lekki żart.

- Nie mógł zabrać tego wszystkiego ze sobą do grobu, nieprawdaż? Marcus uśmiechnął się, czego zapewne oczekiwał jego rozmówca, a potem wzruszył ramionami, starając się, by ten gest wypadł naturalnie.

- Miałem na myśli to, że coś z tego powinno przypaść także córce pana Wheelera.

- Z tego co wiem - odezwała się Frau Goetz - to Kate, a nie Roland, jest odpowiedzialna za przekazanie tych darów.

- Naprawdę? - zdziwił się Marcus. Pierwszy raz usłyszał tę plotkę. Natychmiast zaczął się zastanawiać nad zawartością konta Kate, skoro mogła sobie pozwolić na taką hojność.

- Naprawdę - potwierdziła Frau Goetz nieco urażona. - Chyba ja wiem najlepiej. Przecież to mój mąż zajmował się majątkiem Rolanda.

- W takim razie to... niezwykle wspaniałomyślne z jej strony. Mam nadzieję, że nie będzie przez to głodować.

- W ubiegłym roku podobno borykała się z pewnymi problemami tu, w Zurychu. Domyślam się, że dzięki tym darom postanowiła z powrotem wkupić się w łaski władz miasta.

- Za dwieście pięćdziesiąt milionów franków szwajcarskich u każdego można kupić odrobinę dobrej woli - zaśmiał się burmistrz.

- Poza tym, Kate posiada własne pieniądze. I, pozwolę so bie dodać, jest z nich bardzo dumna - oświadczyła Frau Goetz.

- Myślałem, że ma fundusz powierniczy utworzony z majątku jej matki - wtrącił Marcus.

- Miała. Ale kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, za inwestowała w jakiś biznes ze swoim pierwszym mężem, lordem Kenyonem. To było... och, dziesięć

lat temu. Kiedy firma splajtowała po śmierci jej męża, biedna Kate straciła wszystko! Straszne! - Frau Goetz pokręciła głową, a skóra pod jej

brodą zadygotała w dziwny sposób. - Proszę sobie wyobrazić: stracić męża podczas podróży poślubnej, a kilka miesięcy później - cały majątek! Burmistrz wzruszył ramionami.

- Biorąc pod uwagę tę kolekcję obrazów, Roland na pewno miał pod ręką kilka milionów, żeby osłodzić córce stratę.

- Oczywiście, że tak, ale Kate nie chciała od niego złamanego grosza! Fundusz należał do niej. Straciła go, więc postanowiła sama odrobić straty. A nawet trochę więcej, zdaniem mojego męża.

W oczach Marcusa zamigotał psotny błysk.

- Czy orientuje się pani, jak udało jej się tego dokonać? - zapytał. Frau Goetz spojrzała na niego konfidencjonalnie.

- Z tego co wiem, pokochała sztukę. W takim samym sensie, jak jej ojciec. Dzieci po rodzicach dziedziczą nie tylko pieniądze.

Marcus przechylił głowę, przywołując na twarz wyraz autentycznego zainteresowania osobą Kate Brand.

- Czyli to nie tylko ładna buzia?

- Boże, oczywiście że nie! Uważam, że jest najbardziej niezwykłą kobietą, z jaką się w życiu zetknęłam! Czy wie pan, że Kate należy do grona czołowych alpinistów szwajcarskich?

- Chyba kilka lat temu widziałem o niej program w telewizji.

- A ja dostaję zawrotów głowy, gdy stoję na drabinie! - wyznała Frau Goetz.

Obiekt jej zachwytów stał w sali, która kiedyś była biblioteką jej ojca. W tym momencie Kate śmiała się z czegoś, co powiedział dyrektor Fundacji Jamesa

Joyce'a. Marcus pomyślał, że to niezwykle, z jaką łatwością ta młoda dama zjednuje sobie ludzi - zupełnie bez wysiłku! Kate Wheeler, zamożna spadkobierczyni, lady Kenyon, młoda wdowa po angielskim lordzie lub po prostu Kate Brand, żona amerykańskiego alpinisty: wszelkie zarzuty i aura skandalu zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy tylko spojrzano się na ten promienny uśmiech Kate.

Nie potrzebowała stu milionów funtów, aby odzyskać aprobatę kapryśnego Zurychu. Wystarczył jej uśmiech. Dar dla miasta w imieniu ojca był dokładnie tym, czym się z pozoru wydawał: gestem miłości córki do ojca.

Ethan Brand, mąż Kate, przeprosił dyrektora opery i dołączył do stojących w ogrodzie miłośników gór. Był tam wariat Reto, ciemnowłosa piękność Renate, niezrównany gawędziarz Karl oraz Wolfe, Niemiec, który prawie dotarł na szczyt Eigeru zanim spadł z Białego Pajaka i złamał obie nogi. Popijali białe wino i palili jointa, który kursował z rąk do rąk. Patrząc na ich szkliste oczy, wydedukował, że nie był to ich pierwszy skręt tego wieczoru.

Na widok Ethana Karl zawołał głośno:

- O co chodzi, człowieku?!

- Tam w środku jest glina - powiedział Ethan.

Reto się zaśmiał. zaproponował, żeby gliniarz do nich dołączył, może też chce zaciągnąć się trawką. Renate deliberowała na głos, czy pan władza przyniósł ze sobą kajdanki. Wolfe kompletnie zignorował temat i zapytał Ethana, czy chce się sztachnąć. Wiedział, że Ethan nie pali. Zapytał tylko po to, by po raz kolejny się z niego ponabijać.

Parę ładnych lat temu Ethan nie odmówiłby; palił, by przecierpieć liceum. Chociaż zawsze potem miał uczucie, że eksploduje mu głowa, jeśli wróci do

szkolnej ławki i będzie musiał słuchać gładzenia nauczycieli. Wolał więc urywać się ze szkoły. Za każdym razem szukał mieszkania, w którym nikogo akurat nie było. Na początku włamywał się tylko po to, by sprawdzić, czy ujdzie mu to na sucho. Zazwyczaj wypalał jeszcze ze dwa jointy, gapiąc się w telewizor, a potem robił rundkę po pokojach. Jeśli wpadła mu w oko jakaś forsa, to oczywiście zawsze ją sobie brał, ale na początku nie kradł nic innego. Po jakimś czasie trochę mu się odmieniło. W ten oto sposób sprawił sobie ładny zegarek, a mamie podarował mikrofalówkę. W końcu przyniósł do domu telewizor, wieżę stereofoniczną, biżuterię i płyty kompaktowe. Znalazł sobie kumpla, żeby stał na czatach. Jednak towarzysz okazał się gadułą, puścił gdzieś parę i w efekcie obaj wylądowali za kratkami.

Półtora roku w więzieniu zmieniło życie Ethana. Dowiedział się jednej bardzo ważnej rzeczy. Spotkał księdza jezuitę, który dojrzał w chłopaku coś, co uszło uwadze nauczycieli w szkole: Ethan miał niemalże fotograficzną pamięć.

Po wyjściu na wolność Ethan spędził dziewięć miesięcy w szkole katolickiej. Zaliczył dwuletni program przedmiotów oraz w jeden rok opanował z pomocą księdza czteroletni program łaciny. W wolnych chwilach uczył się wspinaczki - również z pomocą jezuitę. Dostał stypendium naukowe na katolickim uniwersytecie Notre Dame. Po rozdaniu dyplomów miał zamiar zostać księdzem. Podobały mu się zajęcia, szczególnie historia Kościoła. Był prymusem jeśli chodzi o łacinę, ale im bardziej poznawał religię, tym bardziej jego wiara słabła. Wreszcie uświadomił sobie, że może porzucić plan przywdziania sutanny - oraz w ogóle wiarę w Boga - bez po-padnięcia kolejny raz w moralną degrengoladę. Przynajmniej taki miał plan. Jak się okazało, degrengolada potrzebowała jedynie odrobiny zachęty.

Mimo wszystko studia na Notre Dame ukończył z wyróżnieniem i przyjęto go na prawo na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona. Zanim udał się do stolicy Stanów Zjednoczonych, spędził lato, podróżując po Europie, a cały ostatni miesiąc poświęcił górcom. Po tygodniu wspinaczki spotkał Kate. Właśnie rozwijali liny, dyskutując na temat trasy, kiedy pojawiła się piękna nieznajoma. Uśmiechnęła się promiennie do Ethana, a potem zaczęła się wspinać bez zabezpieczenia. Ethan zostawił znajomych i podążył za nią na sam szczyt. To było jego pierwsze wejście bez asekuracji. Ryzyko się opłaciło - zwrócił na siebie uwagę dziewczyny. Kilka dni przed powrotem do USA, podczas wspólnego spaceru, Kate przeskoczyła przez ogrodzenie i włamała się do czyjegoś domu. Ethan wiedział, jakie ma zamiary... lecz sama myśl o tym, że będzie leżał w jej ramionach w łóżku jakichś obcych ludzi, podnieciła go tak bardzo, że ruszył za nią.

Przez kolejnych siedem lat towarzyszył Kate w każdym włamaniu. Niezłe na tym wyszedł. Roland upłynniał obrazy, które kradli. Były chłopak Kate z Włoch, Luca Bartoli, zajmował się resztą. Czasami włamywali się na pewniaka, po obraz już zamówiony przez kupca, a czasami zdawali się na los szczęścia. Fortuna przestała im sprzyjać latem 2006 roku. Wystarczyła jedna sprawa, która wszystko im zepsuła. Musieli się wycofać z interesu i wyjechać za granicę. Nie byli co prawda oficjalnymi uciekinierami, ale narobili sporo bałaganu i postanowili się ewakuować. Nie chcieli czekać, aż policja zacznie węszyć i zadawać trudne pytania.

- Skąd ty w ogóle bierzesz tych ludzi? - zapytał Reto z pogardą.

Ethan odwrócił się i spojrzał przez okno. Ci ludzie, pomyślał sobie, należeli do najbardziej niezwykłych na całym kontynencie, ale w przekonaniu Reto, ten kto się nie wspinał, nie był wart nawet powietrza, którym oddychał.

- Ojciec Kate zawsze mawiał, że jeśli chcesz kasy, to najpierw musisz dojść do jej źródła.

Reto się zaśmiał.

- Stary, oni trzymają ją mocno i nie puszczą! - Dla Reto pieniądze były pożyteczne o tyle, o ile gwarantowały fundusze na wyjazd w góry i dobry sprzęt. -Ja wolałbym skoczyć prosto w przepaść, niż gadać z tymi waźniakami.

- Popatrz na nich. Istny zjazd pingwinów! - dorzuciła Renate po angielsku z niemieckim akcentem.

Ethan spojrzał na swój strój. Faktycznie, pingwin.

- Jest aż tak źle? - zapytał.

Renate pokiwała głową.

- No niestety jest, stary! W ogóle cię nie poznaję.

- Gadaj, gdzie się podziewałeś? - zmienił temat Reto. - Nie widzieliśmy się od lat!

- Przez większość ubiegłego roku mieszkaliśmy we Francji. A wcześniej kilka miesięcy obijaliśmy się w Nowym Jorku.

To obijanie się polegało na krótkotrwałych studiach na Uniwersytecie Nowojorskim. Ale jak się okazało, stypendia, tak jak cnota, jakoś się go nie trzymały. Większość jego profesorów kompletnie nie interesowała się niektórymi aspektami średniowiecza. Człowiek wspominał w ich towarzystwie o Świętym Graalu, Włóchni Przeznaczenia, Świętym Obliczu z Edessy, a nawet Całunie Turyńskim, a oni zaczęli wiercić się na krześle i dosłownie drzeć. Ethan najpierw tego nie rozumiał. Po kilku tygodniach rozgryzł tajemnicę. Dla akademików studiowanie templariuszy i Graala nie było częścią stypendium naukowego.

- Jeśli szukasz Świętego Graala, to nie ten adres - powiedział mu pewnego dnia jego promotor.

Tamtego popołudnia Ethan się wypisał. Sześć tygodni po rozpoczęciu studiów. Kate, która źle zniosła przeprowadzkę - za dużo miasta, za mało gór - zareagowała entuzjastycznie na decyzję Ethana. Rzuciła mu się w ramiona i obsypała setką pocałunków. Tydzień później byli już we Francji.

-Gdzie dokładnie we Francji? - chciała wiedzieć Renate.

- Wynajmowaliśmy mieszkanie w małej wiosce, niedaleko Carcassonne.

Carcassonne było średniowiecznym miastem warownym -nie do zniesienia,

kiedy zjeżdżali się letnicy i turyści. Jednak po sezonie, gdy pogoda się psuła i zostawali jedynie mieszkańcy oraz ludzie zatrzymujący się tu na dłużej, miasto kompletnie zmieniało swoje oblicze.

- Pireneje! - zawył w zachwycie Reto.

Ethan przytaknął, uśmiechając się.

-Tak, są super - przyznał. Wolfe się zaśmiał.

-Ach, ci Amerykanie... dla nich wszystko jest super.

-Co najbardziej ci się tam podobało? - zapytała Renate.

-Słońce... góry... stare zamki... wszystko. Było... - ugryzł się w język, zanim powiedział „super”. Aby móc nieco bardziej rozplýwać się w zachwytach, potrzebowałyby więcej pewności siebie. W towarzystwie ludzi takich jak Wolfe czy Reto nie mógł się przełamać. Poza tym trudno było się rozplýwać nad szczęśliwym życiem z Kate, kiedy stał tu jej były chłopak.

-To dlaczego stamtąd przyjechaliście... tutaj? - rzucił Wolfe, wypluwając słowo „tutaj” z lekkim obrzydzeniem.

Tutaj, czyli do zimnego, szarego Zurychu, oddalonego o dwie godziny jazdy od najbliższego szczytu.

- Kate chciała się zająć fundacją Rolanda, poza tym po myśleliśmy sobie, że miło by było znowu się ze wszystkimi spotkać.

- Kate! - zawołał Reto. Wszyscy się odwrócili i ujrzeli zbliżającą się ku nim dziewczynę i też przywitali się z nią głośno. Przy niej nikt nie wspominał o pingwinach. Wyglądała pięknie i zasługiwała tylko na komplementy.

- Ten dom - odezwał się Karl po angielsku - jest niesamowity.

- Obrazy są niesamowite! - zaćwierkała Renate. - Aż trzy płótna Picassa!

- To kolekcja Rolanda. Ethan i ja tylko wybraliśmy wina, które się dziś serwuje.

Wszyscy unieśli kieliszki w toaście.

- Wino jest super - oświadczył Wolfe, po czym spojrzał wyzywająco na Ethana.

- Jak było w Pirenejach? - zagadnęła Renate.

- Bardzo... pierwotnie - wyszeptała Kate. - Są tam miejsca, które nie zmieniły się od tysięcy lat. A te jaskinie! Nie uwierzylibyście, co tam widzieliśmy!

- Na co weszliście? - przerwał jej Wolfe. Kate uśmiechnęła się szeroko.

- Na absolutnie wszystko.

- Liny zostawiliście w domu? - włączył się do rozmowy Reto.

- A jak myślisz?

Kate kochała wspinaczkę klasyczną - wyłącznie przy użyciu rąk i nóg. Mawiała, że to jedyny prawdziwy sposób zdobywania gór. Czasami trenowała na linach, niektóre góry zresztą ich wymagały, ale kiedy chciała zdobyć dany wierzchołek i jeśli tylko było to możliwe, wchodziła bez zabezpieczeń. A niekiedy

nawet wtedy, kiedy było to niemożliwe. Ethan zazwyczaj włókł się za Kate, z głową kipiącą od myśli o śmierci, ale zawsze udawało mu się wejść bez uszczerbku na zdrowiu. W towarzystwie Kate nie było czasu na wahanie czy hamletyzowanie. A kiedy już doszło się na sam szczyt, i to za pomocą tylko i wyłącznie rąk i nóg, wtedy człowieka przepelniało takie uczucie, że strach wydawał się czymś głupim i niegroźnym.

- Taka filozofia któregoś dnia cię zabije, koleżanko - przestrzegła ją Renate.

- Nie Kate - zaśmiał się Reto. - Może Ethana... ale na pewno nie Kate! Kate wzięła męża pod rękę i powiedziała mu:

- Chcę, żebyś kogoś poznał. Masz wolną minutkę?

- Bartoli - wyszeptała, gdy byli sami we dwoje. Ethan zatrzymał się w pół kroku.

- Giancarlo czy Luca? - zapytał.

- Giancarlo. Bądź ostrożny. Stary umie czytać w myślach!

Pan Bartoli stał przy jeziorze odwrócony plecami do Kate i Ethana, którzy szli w jego kierunku. Kiedy Kate go zawołała, odwrócił się i wyrzucił papierosa. Bartoli miał siedemdziesiąt kilka lat, był wysoki i szczupły. Zaczerwienioną twarz poraną głębokimi zmarszczkami otaczała burza białych włosów. W bladych szarych oczach było coś bezlitosnego. Nic nie uchodziło ich uwadze. Tak jak Ethan, miał na sobie smoking. Wiał wiatr, więc dodatkowo narzucił na siebie żółty kaszmirowy płaszcz.

Giancarlo był jednym z najbliższych przyjaciół Rolanda. Kate opowiadała

Ethanowi, że kiedy była mała, często przychodził do nich do domu. Mieszkali wtedy w Hamburgu. Giancarlo i jej ojciec całą noc siedzieli, pili i dyskutowali o sztuce, polityce i historii. O wszystkim. Roland odsyłał małą Kate do łóżka, a potem, kiedy z powrotem wkradała się do pokoju, śmiał się i brał ją na kolana. Przysłuchiwała się ich rozmowom, zawsze toczonym w języku włoskim i wyobrażała sobie, że ci dwaj panowie decydują o losach świata.

Ethan rozumiał przyjaźń między tymi dwoma mężczyznami. Ojciec Kate był sympatycznym człowiekiem, miał instynktowny dar sprawiania, by ludzie w jego otoczeniu czuli się swobodnie. A jego intelekt był ostry jak brzytwa. Jako młody człowiek był dokładnie taki sam jak jego córka - nieustraszony, ciągle żądny nowych wyzwań. Kiedy Ethan go poznał, Roland miał już skroń przyprószoną siwizną i zmienił nieco swoje zwyczaje. Nie wycofał się z życia - po prostu zaczął je wolniej smakować.

Giancarlo Bartoli był natomiast nie tylko bystrym biznesmenem. Tak jak Roland, miał liczne pasje. Nade wszystko kochał sztukę, operę i historię, ale był świetny także w językach i znał się na prawie. Na studiach przez jakiś czas planował karierę matematyka, lecz po jakimś czasie skupił się na bardziej praktycznej stronie tej dziedziny nauki. Jako młody chłopak jeździł w góry - był świetnym narciarzem, niemalże na poziomie olimpijskim, a wspinał się z takim samym entuzjazmem, jak Roland w swych najlepszych latach. W późniejszym okresie Bartoli zaczął żeglować, a nawet opłynął cały glob wraz z dwunastoosobową załogą, której był kapitanem.

Kiedy Kate przyszła na świat, Giancarlo Bartoli podczas ceremonii chrztu złożył śluby jako *padrino* - ojciec chrzestny dziewczynki. Oczywiście Kate nie

była jedyną chrześnicą Bartolego, ale to ona była jego ulubienicą i nie krył się z okazywaniem jej względów. Każdego roku - przynajmniej do momentu, aż była dorosła - przysyłał na jej urodziny jakiś starannie dobrany, elegancki prezent. Do upominków dołączał długie, ręcznie pisane listy, w których w niesłychanie wyszukanych słowach lamentował nad upływem czasu lub rozpisywał się na temat piękna młodości, które przemija zanim sieje dostrzeże. Ethan znał włoski na tyle dobrze, by być pod wrażeniem poetyckiego talentu Bartolego. Wiedział też, że dla Kate starszy mężczyzna był właściwie członkiem rodziny.

Giancarlo przywitał ciepło Ethana wyjątkowo dobrym angielskim. Ethan odpowiedział po włosku, co bardzo ujęło chrzestnego Kate. Wypytywał, czy Ethan mieszkał kiedykolwiek we Włoszech.

- Nie, ale kiedy po raz pierwszy spotkałem swoją przyszłą żonę, powiedziała mi, że nigdy nie mogłaby wyjść za mężczyznę, który nie mówi po włosku.- Już następnego dnia poszedłem na pierwszą lekcję.

Bartoli zaśmiał się serdecznie.

- Podoba mi się ten młodzieniec, Katerino! Przykro mi, że nie byłem na ślubie... Ale przecież nie zostałem zaproszony.

- To była kameralna ceremonia - odparła Kate, oblewając się rumieńcem. - Tylko my dwoje, świadek oraz ksiądz.

- Wystarczyłoby, żebyś zadzwoniła. Wiesz o tym. Przemierzyłbym pół świata, żeby być tam z tobą.

- To moja wina - odezwał się Ethan. - Kiedy wreszcie zmusiłem ją, by za mnie wyszła, nalegałem na szybki ślub, żeby nie zdążyła zmienić zdania.

Bartoli zapytał ich o roczny pobyt we Francji. Chciał też wiedzieć, jakie góry zdobyli. Przez dłuższy czas rozmawiali o wspinacze. Potem Włoch zapytał o ich plany na przyszłość. Mieli zamiar zostać w Zurychu czy wrócić do Francji?

Kate spojrzała na Ethana.

- Lato spędzimy tutaj. A potem... Któż to wie?

- Czy istnieje szansa, bym namówił was na współpracę biznesową ze mną i Lucą? - powiedział nagle Bartoli.

- Jakiego rodzaju? - zapytała Kate.

- Mój współpracownik ubiegłego lata widział bardzo ładnego Cezanne'a w prywatnym domu w Maladze. Dom jest dobrze zabezpieczony, ale wy byście sobie poradzili.

- Wycofaliśmy się już z tego interesu. Na zawsze - poinformowała Kate.

Bartoli uniósł brew, zdziwiony.

- To też moja wina - wyjaśnił Ethan. - Wreszcie do mnie dotarło, że życie z kradzieży nie jest czymś bezpiecznym.

- Cóż, nie skrytykuję takiej decyzji - stwierdził Bartoli, a potem przeniósł wzrok na Kate. - Nadchodzi taki moment, kiedy ryzyko jest większe niż zysk. Domyślam się, że zdążyliście zarobić tyle, by podjęcie takiej decyzji było czymś łatwym.

- Dziękujemy za propozycję - powiedział Ethan. Bał się spojrzeć na Kate. - Bał się, że będzie zainteresowana ofertą Włocha. Jemu samemu ta robota przestała się podobać po ich ostatniej akcji. Postawił Kate ultimatum: albo kradzieże, albo on. Zdziwił się, kiedy wybrała jego. Teraz jednak obawiał się, że Kate przyjęła to ultimatum, myśląc sobie, że koniec końców uda jej się go przekonać.

Kate spojrzała na męża.

- Przepraszam, że mówię to w takim momencie... Ale któreś z nas powinno pójść do środka i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Zrobisz to dla mnie?

Ethan zwrócił się do Bartolego.

-Możemy pójść całą trójką, jeśli pan sobie życzy. Rzuciłby pan okiem na kolekcję Rolanda...

Mężczyzna odparł, że wkrótce ma samolot. Poza tym znał większość zbiorów Rolanda. Wpadł tylko po to, żeby złożyć Kate i Ethanowi życzenia. Gdyby chcieli kiedykolwiek go odwiedzić, wystarczy, że do niego zadzwonią. Niechby się paliło i waliło, on i tak znajdzie dla nich czas.

Ethan uścisnął dłoń Bartolemu, pożegnali się, a potem wszedł do domu.

Giancarlo, odprowadzając Ethana wzrokiem, powiedział do Kate:

- Lubię go.

-Ja też go lubię - odparła.

Bartoli spojrzał na nią uważnie. Jego oczy były spokojne, nieruchome. Nie powiedział tego na głos, ale zastanawiał się, czy to faktycznie wszystko, co Kate czuje do swojego męża.

-Cieszę się, że udało mu się przekonać cię do porzucenia tamtego trybu życia.

-Kiedyś nie mogłam bez tego funkcjonować. Tylko dzięki temu czułam, że żyję. Nawet teraz nie mogę powiedzieć, że mi tego w ogóle nie brakuje.

-Kiedy człowiek jest w czymś dobry, trudno mu się z tego wycofać - zauważył Włoch i odczekał chwilę. Potem zapytał:

- Zakładam, że powiedziałaś Ethanowi o tym, co się stało na Eigerze?

Kate odwróciła się twarzą do jeziora, splotła ręce. Spodziewała się tego

pytania, ale i tak było to dla niej trudne i bolesne.

- Powiedziałaś mi. Po ślubie. Męczyły mnie już te wszystkie tajemnice.

Giancarlo milczał, jakby zastanawiał się nad konsekwencjami kroku Kate.

- Obiecałaś mi, że nie powiesz nikomu.

- A ty obiecałeś, że znajdziesz tę osobę, która wydała wyrok śmierci na Roberta.

- Nie obiecałem. Powiedziałem, że się postaram.

- Nie - przerwała mu Kate. - Powiedziałeś, że nigdy nie przestaniesz szukać zabójcy Roberta!

- Poniosły mnie emocje. Przecież Robert był również moim przyjacielem.

- Robert nie był moim przyjacielem, *padrino*. Był moim mężem. Giancarlo w zamyśleniu spojrzął na dom.

- Czy chcesz stracić kolejnego męża? Z powodu tej obsesji?

- To brzmi jak groźba.

- Nie bądź niemądra. Chciałem tylko powiedzieć, że wtajemniczenie Et-hana było błędem.

- Nie zgadzam się.

- Rozumiem, że Ethan przysiągł ci znaleźć zabójcę Roberta.

- A co w tym złego? - zapytała poirytowana Kate. Bartoli wbił wzrok w tafle jeziora.

- Szukając prawdy, ryzykujesz życie, Katerino. Powiedziałem ci to już jedenaście lat temu. Wtedy twierdziłaś, że nic cię to nie obchodzi. Że nie masz nic do stracenia. Zastanawiam się, czy sytuacja aby się trochę nie zmieniła.

- Nic się nie zmieniło - odparła natychmiast Kate.

- A być może powinno. Życie toczy się dalej. Rozdrapujesz stare rany. Gdybyś przestała to robić, zagoiłyby się. a ból by minął.

- Ktoś zapłacił tamtym dwom Austriakom, żeby wdrapali się na Eiger i znaleźli Roberta - powiedziała Kate ignorując radę mężczyzny.

- Katerino, rozgniewałaś bardzo wielu niebezpiecznych ludzi.

- Doprawdy?

- Nie powinnaś się z tego cieszyć. To ludzie, którzy nagle wyskakują z cienia. Zanim zrozumiesz, co się dzieje, jesteś martwa.

- Widać, że masz sporą wiedzę, *padlino*. Czy możesz mi w takim razie podać nazwisko tej osoby, która jest odpowiedzialna za śmierć Roberta?

- Jeśli będziesz naciskała na poznanie prawdy, to... nie będę mógł już dłużej cię chronić. Katerino. Ethana też nie.

- Kto chce mi zrobić krzywdę, *padrino*? Możesz mi to chyba zdradzić? Stary pokręcił głową.

- Robert był zaplątany w różne sprawy. Miał większe problemy, niż myślisz.

- To znaczy, że ciągle coś przede mną ukrywasz? Bartoli znowu ponuro pokręcił głową.

- Nie słuchasz mnie, dziecko.

- Mówisz wprost, że wiesz, kto zabił Roberta!

- Nic takiego nie powiedziałem!

- *Padrino*, powiedz mi jedną rzecz. Czy ty kogoś chronisz?

- Zawsze starałem się chronić ciebie. Katerino, lecz obawiam się, że teraz mi to uniemożliwiasz.

- Od jak dawna wiesz o tych „groźnych ludziach“?

Włoch spojrzał Kate prosto w oczy. Wydawało się, że walczy z pokusą, by wszystko jej wyjawić.

- Od wielu lat. Przykro mi... - powiedział wreszcie.

- Więc okłamywałaś mnie, mówiąc, że nadal szukasz winnego śmierci Roberta?

- Chroniłem cię! Ale teraz znalazłaś kogoś, kto uważa, że może znaleźć mordercę...

- Ja sama dojdę do prawdy, a ci groźni ludzie niech wbiją sobie do głowy jedną rzecz: złożyłam przysięgę przed Bogiem, że nic mnie nie powstrzyma. Odkryję prawdę. Nie żartuję.

- W takim razie módl się. Katerino. o pomoc Boga. Ja już dłużej pomagać ci nie mogę - odparł stary Włoch.

Bartoli wszedł do limuzyny, gdzie od razu przywitał go po włosku Carlisle.

- I co? Jest bardzo zaangażowana? - padło pytanie z jego ust.

David Carlisle miał prawie pięćdziesiąt lat. Był wysoki i przystojny. Grzywa srebrnych włosów i pociemniała od słońca skóra tylko potęgowały to wrażenie. Bartoli usiadł naprzeciwko niego i patrzył na dom, który kiedyś należał do Rolanda Wheelera. W tej chwili był bardzo nieszczęśliwy.

- Jest dokładnie tak, jak przypuszczałaś - odezwał się w końcu. Samochód ruszył. Włączyli się w gęsty ruch uliczny.

- Rozumiem, że poradziłaś jej dać sobie spokój? - zapytał Carlisle, w jego głosie pobrzmiwał sarkazm.

Bartoli wbił wzrok w młodszego kolegę.

- Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy, Davidzie, ale Kate nie jest w stanie cię znaleźć bez pomocy Thomasa Malloya. Wyeliminuj Malloya. a znowu będziesz bezpieczny.

- Już raz posłuchałem twojej rady w sprawie Kate. I fatalnie na tym wyszedłem.

Bartoli spojrział na kompana zaintrygowany.

- Zatem naprawdę chcesz zabić całą trójkę?

- Chyba nie mam innego wyboru, prawda? Bartoli uśmiechnął się sardonicznie.

- Radzę ci dogłębnie przemyśleć całą sprawę, zanim zdecydujesz się na coś, czego będziesz żałował. Jeśli mnie pamięć nie myli, ostatnim razem, kiedy naślałeś na Kate zabójców, straciła ich prosto w przepaść.

Carlisle zaśmiał się, jakby usłyszał dobry żart. Patrzył przez okno na pejzaż miasta.

- Tym razem nawet się nie zorientuje, że ktoś na nią czyha.

- Powiedziałem jej to, a ona nic sobie z tego nie robi. I sądząc po jej spojrzeniu, Davidzie, to raczej ty możesz na tym ucierpieć.

- Dziewczyna łudzi się, że jest już blisko rozwiązania tajemnicy. To przez tego Malloya. Malloy wierzy, że Jack Farrell puści parę z ust.

- A jesteś pewny, że nie puści?

- Na sto procent. Ale powiedz mi coś, Giancarlo. Spotkałeś nowego męża Kate. Myślisz, że ona go kocha?

Bartoli wzruszył ramionami.

- Kobieta w pewnym wieku przyjmuje inną perspektywę postrzegania miłości. Jeśli Kate jest szczerą wobec samej siebie, to wie, że jest w stanie kochać tylko jednego mężczyznę. Ale on nie żyje. Dlatego jej mąż tak bardzo rwie się do

pomagania jej. Chce zająć w sercu Kate miejsce Roberta. Chce, żeby go pokochała całą sobą. Oczywiście ma świadomość, że to niemożliwe, ale wmawia sobie, że jeśli uda mu się pomóc Kate, to zbliży się do niej.

- Lord Kenyon był prawdziwym szczęściarzem - odezwał się Carlisle.
- Sam nie wiedział, jak wielkim - dodał Bartoli po chwili namysłu.
- Szkoda, że musiał umrzeć w tak młodym wieku.
- Ja również zawsze tego żałowałem.

Kate wpadła na Marcusa Steinera, kiedy właśnie wychodził z przyjęcia. Rozmawiała z nim w wysokoniemieckim, zwracając się do niego per *Sie*, które jest zarezerwowane dla nieznajomych. Z tego samego powodu podała mu dłoń, zamiast przywitać się pocałunkiem w policzek. W oczach Kate Marcus Steiner był chodzącą kwintesencją Szwajcara: czarujący, opanowany, dyplomatyczny oraz słowny - szczególnie w swojej pracy.

- Czy dobrze się pan bawił, kapitanie?
- Świetnie! Bardzo dziękuję za zaproszenie, pani Brand.
- Przy okazji, jestem ciekawa. Czy pan nadal... Marcus kiwnął głową i wzruszył ramionami.
- Nic się nie zmieniło, odkąd wyjechała pani z kraju.
- Ma pan do mnie zaufanie - zaczęła słodkim głosem - czy żąda pan pieniędzy z góry?
- Moje zaufanie do pani dzisiaj jeszcze bardziej wzrosło - oświadczył Marcus.
- Przepraszam, że nie uprzedziłam pana wcześniej, ale wkrótce będę czegoś potrzebowała. W płaszczu znajdzie pan listę moich życzeń. - Marcus spojrzał

zaskoczony na swoje okrycie wierzchnie. - W kieszeni, tuż przy sercu - powiedziała Kate, śmiejąc się ze swojej uwagi jak z dobrego żartu.

- Czy życzy sobie pani czegoś egzotycznego?

- Nic nie z tej ziemi.

- Mam dostarczyć wszystko do garażu w pani starym mieszkaniu, tak jak to robiłem kiedyś?

- Obawiam się, że garaż mają już na oku.

Marcus spojrzał na nią zbity z tropu. Wiedział, że to na pewno nie policja ma na oku garaż Kate. Zresztą Kate nie przejmowała się policją. Była zbyt lubiana, żeby martwić się tajnymi śledztwami - szczególnie po dzisiejszym wieczorze!

- Ethan i ja przeprowadziliśmy się. Teraz mieszkamy blisko Grossmiinster. Na liście w pana kieszeni zanotowałam adres. Jeśli nie będzie nas w domu, niech pan wszystko zostawi w salonie. Włożę w kopertę taką sumę, aby pokryła wszelkie koszty, a resztę niech pan odłoży na jakieś przyszłe potrzeby.

- Podoba mi się ten układ. Czy będę potrzebował klucza? Kate się uśmiechnęła.

- Człowiek obdarzony pana talentem?

Nowy Jork, czwartek 6 marca 2008

Thomas Malloy wysiadł z metra przy Osiemdziesiątej Szóstej ulicy i włączył się w popołudniowy potok przechodniów płynący Piątą Aleją. Miał na sobie czarne mokasyny, ciemne wełniane spodnie, szary sweter, okulary przeciwsłoneczne oraz czarną wiatrówkę. Kilku nietutejszych gapiło się na niego, zastanawiając się, czy aby nie jest jakąś znaczącą osobą. Zazwyczaj po chwili dochodzili do wniosku, że nie jest, ale niektórzy byli przekonani, że minęli kogoś ważnego. Malloy spostrzegł swoje odbicie w szybie budynku. Jego próżność została mile polechtana.

Włosy miał dłuższe, wolno siwiejące. Jego styl był nieco artystowski. Patrząc na niego, można było sobie pomyśleć: aktor, architekt, pisarz. Był wysoki i

szczupły oraz - według swojej oceny - stosunkowo przystojny. Ponieważ wykonywał zawód, w którym ważne było, by nie rzucać się w oczy, jego twarz wydawała się nieco zbyt charakterystyczna. Z drugiej strony, był mistrzem metamorfozy. Przebierał się, inaczej zaczesywał włosy, zmieniał niektóre gesty, modulował głos -i mógł udawać Francuza, Niemca, Szwajcara, Anglika oraz trzy lub cztery różne typy Amerykanów. Za granicę zazwyczaj podróżował, legitymując się szwajcarskim paszportem, a miał ich cztery. Poza tym dysponował również czterema paszportami amerykańskimi, dwoma niemieckimi, a nawet francuskim - tak na wszelki wypadek.

Przez większość życia Thomas Malloy pracował jako oficer wywiadu bez oficjalnej przykrywki. To oznaczało, że w większości krajów, w razie wpadki, groził mu areszt lub sąd, a w innych natychmiastowa egzekucja. Tego typu życie nauczyło go zawierać przyjaźnie z kryminalistami, czyli ludźmi, których zdolności oraz znajomości pomagały pokonywać bariery narzucane przez państwa. Czasem byli to niezależni złodzieje lub mordercy, czasem zdrajcy, a czasem patrioci, którym przyświecał jakiś szczytny cel, lecz którzy stosowali mniej szczytne metody. Wielu z tych ludzi chciało po prostu się wzbogacić albo zrobić „to, co należy”. A niektórzy darzyli Malloya sympatią i wyświadczali mu przysługi głównie dlatego, że posiadał dar przekonywania.

Życie zawodowe Malloya było spokojne, no, może z wyjątkiem kilku brutalnych incydentów. Najgorsza rzecz spotkała go, kiedy był jeszcze żółtodziobem, tajnym agentem na szkoleniu. Do dziś dnia miał po tym blizny - cała klatka piersiowa w szramach. W apogeum swojej kariery udało mu się dotrzeć do samego serca szwajcarskich konglomeratów bankowych oraz kilku czołowych europejskich syndykatów zbrodni. A wszystko to dzięki jego kontaktom. On sam

pozostawał w cieniu, z dala od agresywnych typów, których tropił. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Charlie Winger awansował na niemalże boskie stanowisko dyrektora pionu operacyjnego i uczcił swój sukces, ściągając Malloya z Europy i przywiązując go łańcuchem do biurka analityka w siedzibie ci A w Langley. To posunięcie miało rzekomo prowadzić do kolejnych zadań administracyjnych - ale była to jedynie wersja Charliego. Tak naprawdę chodziło o zemstę za bliżej niesprecyzowane grzechy, które miały podobno miejsce na farmie", czyli w centrum szkoleniowym ci A w Camp Peary, kiedy właściwie nie byli jeszcze agentami.

Malloy wytrzymał jako analityk na tyle długo, by mieć na koncie dwadzieścia lat przepracowanych w firmie i zapewnioną emeryturę - równowartość połowy jego pensji. Był wolny. Kilka miesięcy później, jedenastego września, miały miejsce pamiętne ataki na World Trade Center. W ich następstwie pojawiło się zapotrzebowanie na analityków kontraktowych i Malloy wykorzystał swoją szansę. Przynajmniej mógł wykonywać tę pracę we własnym domu w Nowym Jorku. W ciągu ostatniego roku odnowił część swoich kontaktów i znowu zaczął podróżować, używając swoich licznych paszportów. Dziesięć lat temu wypadł z gry - niekiedy miał wrażenie, że stracił niezbędny w tym okrutnym fachu nerw. Zestarzał się, spotulniał. Co gorsza, jego kontakty też się zestarzały i spotulniały. Już nie byli tak skłonni do podejmowania ryzyka, jak w latach młodości. Malloy postanowił więc nawiązać kontakty wśród ludzi młodszej generacji. I zrobić wszystko, by wrócić do formy.

Musiał przyznać, że jego dochody były nadal przyzwoite - od czasu do czasu opracowywał jakiś raport dla służb specjalnych, do tego dochodziła emerytura, spadek rodzinny oraz zyski z poczynionych inwestycji. Po prostu potrzebował

trochę czasu, aby teraz, w wieku prawie pięćdziesięciu lat, przypomnieć sobie mądrość z okresu swojej młodości: „rób to, co chcesz”, choć teraz miał przy tym świadomość, że za każdą decyzją idą konsekwencje. Nie była to jakaś głęboka filozofia, ale święcie w nią wierzył. Gdy jako czterdziestodwulatek -czyli jego zdaniem w kwiecie wieku - musiał zrezygnować z pracy, wokół której kręciło się całe jego życie, i przejść na emeryturę, potrzebował chwili na oswojenie się z myślą, że co prawda Charlie Winger wykreślił mu perfidny numer, ale z drugiej strony dał mu szansę, by coś zmienić w swoim życiu. Malloy widocznie potrzebował wstrząsu, kryzysu, żeby wszystko przemyśleć i uporządkować. A potem znowu pomyślał o pracy - tym razem na własny rachunek - przyszedł więc czas odkurzyć stare sztuczki.

Bez pośpiechu wszedł na szerokie schody przed budynkiem Metropolitan Museum of Art. Jego stara zasada - kiedy idziesz na pilne spotkanie, nigdy nie zachowuj się tak, jakbyś to właśnie robił - nadal wydawała się rozsądna. Spacerując, przyglądał się studentom i turystom. Czuł się jak dojrzały mężczyzna, który w to piękne, słoneczne popołudnie rozkoszuje się widokiem młodości. Dzieciaki siedziały rozparte na kamiennych schodach, biła od nich aura błędnego lenistwa, jaką stwarzają wokół siebie tylko młodzi. Malloy lubił myśleć, że on w ich wieku był inny, ale wiedział, że to nieprawda. Będąc w ich wieku, tak samo jak oni nie zdawał sobie sprawy, jakim bogactwem są puste kieszenie i szczery uśmiech. Wiele by teraz oddał za tę niewinność!

Czekając w kolejce do kasy biletowej, Malloy czytał ulotkę reklamującą wystawę, na którą chciała pójść jego żona, Gwen. Życie zawodowe męża było dla Gwen wielką tajemnicą - spotkała go, gdy był już na emeryturze. Wiedziała, że przez kilka lat pracował za granicą. Powiedział jej, że wykonywał wówczas zlece-

nia dla Departamentu Stanu jako biegły rewident księgowy, czyli osoba tropiąca wszelkie przekręty finansowe w firmach. Skrzyżowanie księgowego z detektywem. Stwierdzenie, że jest się księgowym, zazwyczaj ucina wszelkie pytania na temat życia zawodowego - tego się dowiedział na podstawie własnego doświadczenia. Co prawda ten drugi człon, czyli detektyw", pobudzał zainteresowanie Gwen, ale było to nieszkodliwe. Nie miał nic przeciwko temu, by jego żona myślała o nim jako o pewnego rodzaju detektywie. W resztę i tak by nie uwierzyła. Pewnego razu zapytała o bliźny.

- Pamiątka po wizycie w Libanie - powiedział jej zgodnie z prawdą. -Ktoś mnie wziął za kogoś innego. - Tu już musiał uciec się do kłamstwa.

To było pierwsze zadanie Malloya. W ciągu jednego popołudnia stracił wszystkie swoje kontakty, wtyczki i współpracowników, czyli ludzi, których zatrudniał. Nauczył się wtedy, by nigdy nikomu nie mówić o niczym prawdy.

Gwen była malarką. Ostatnio odnosiła spore sukcesy. W jej świecie zasady były proste i przejrzyste: to, co mówiła, było prawdą, a ludzi, z którymi los ją zetknął albo lubiła, albo unikała. Gwen wiedziała, że jej mąż kolekcjonuje broń i że potrafi strzelać, ale nigdy nie dotykała żadnego egzemplarza i szczerze mówiąc, widok broni w domu irytował ją. Malloy to rozumiał. W towarzystwie Gwen mógł być... może nie do końca sobą - sobą był jedynie wtedy, gdy pracował - ale na pewno był zadowolony. Niech będzie: był szczęśliwy z Gwen.

Jego żona była dobrą osobą. Cechowała ją przy tym pewna doza niechęci wobec władz i autorytetów, którą Malloy podzielał. Lubił myśleć, że przemiana, jakiej dokonał w swoim życiu, to wyłącznie jego zasługa, ale doskonale wiedział, że stanął na nogi tylko i wyłącznie dzięki miłości Gwen. Problem w tym, że Gwen nie wiedziała, jak bardzo mu pomogła. Żałował tego. Tylko tego.

Kupił bilet i wszedł do środka. Zajrzał do sal ze sztuką grecką i rzymską. Raz na jakiś czas zatrzymywał się, udając, że przygląda się kamiennym wizerunkom, lecz w rzeczywistości zapamiętywał twarze ludzi zwiedzających muzeum. Lubił mieć pewność, że nikt go nie śledzi bez jego wiedzy. Zazwyczaj byli to nieszkodliwi ludzie, lecz nic nie działało mu na nerwy tak bardzo, jak zdradzanie się przed kimś z tym, co robi.

Ujrzał ładną, długowłosą dziewczynę w krótkiej spódniczce przyglądającą się mozaice, na której widniały długowłose Najady, greckie boginki źródeł. Malloya naszała myśl, jak niewiele się zmieniło w ciągu tych dwóch tysięcy lat, przynajmniej jeśli chodzi o fryzury, młode dziewczęta oraz odwieczne, głęboko zakorzenione w męskiej psychice fantazje erotyczne. W następnej sali dziewczyna znowu się pojawiła i znowu oglądała eksponaty, unikając kontaktu wzrokowego z Malloyem. Gdyby wierzył w zbiegi okoliczności, to właśnie za coś takiego by to uznał, lecz nie był naiwny i zgubił dziewczynę, wymykając się z sali.

Czekała jednak na niego, kiedy dotarł do samego środka labiryntu muzealnych korytarzy, czyli imponującej kolekcji sztuki średniowiecznej. Była lekko zarumieniona i zmieszana, że tak łatwo jej się wymknął. Oprócz niej po sali kręciła się jeszcze wysoka blondynka w wieku trzydziestu kilku lat, która na jego widok z nieco przesadnym zaangażowaniem zaczęła się przyglądać bizantyjskiemu tryptykowi. Ach tak, więc teraz Jane korzysta z usług dzieci! Z drugiej strony, kiedy Jane go skaptowała również był bardzo młody. A na dodatek podziurawiony jak sitko i zdesperowany, by dostać drugą szansę.

Jane była niezła. Sterowała tajnymi agentami tak, jak najlepsi agenci sterują swoimi współpracownikami i wtyczkami: płacić, rozpieszczać, przymilać się, płacić jeszcze więcej i okazywać dobre serce - lecz tylko wtedy, kiedy to czemuś

służy. Za dwa lub trzy lata ta młoda dziewczyna pójdzie za Jane na koniec świata, oczywiście tak, by nikt jej nie zauważył. Ta druga, nieco starsza, mogła śledzić Malloya, a on nawet o tym nie wiedział. Gdyby Jane chciała go sprzątnąć, ta tutaj blondynka zrobiłaby to bez mrugnięcia okiem. Trzeba na nią uważać.

W rogu sali na krzeselku siedział wygodnie rozparty strażnik. Prawdopodobnie nie był jednym z ludzi Jane. Kiedy przez salę przebiegło dwóch rozwrzeszczanych chłopców, strażnik wstał i sumiennie wykonując swoje obowiązki, poszedł za nimi, by ich pouczyć. Tych dwóch chłopców również mogło być ustawionych przez Jane. Dziewczyna, ta z długimi włosami, udała się do mniejszej sali. Malloy ruszył za nią jak na umówioną schadzkę.

Jane Harrison kontemplowała bizantyjską kuszę, którą można było trzymać jedną ręką, jak pistolet. Zabijała człowieka z odległości dwóch lub trzech metrów. Rzecz jasna, kusza była nie tylko śmiertelna, ale też bogato zdobiona. Malloy jakoś nigdy nie przekonał się do sztuki bizantyjskiej. Jak na jego gust była zbyt sztampowa i monotonna. Trzeba jednak przyznać, że ich broń cechowała spora wyobraźnia. To właśnie broń była prawdziwą sztuką tej przesadnie ozdobnej i pobożnej kultury.

Jane była w swoim żywiole. Chciała pozostać incognito, przeobraziła się więc w brzydką, zaniedbaną, niemodną kobietę: ogromne, kwadratowe, nieco przybrudzone okulary, brak makijażu i nawet odrobina chwiejnego kroku starszki. Jej włosy były nieco zmierzwione, przez co wyglądała trochę jak wyprawiona z równowagi schizofreniczka.

Dzieła dopełniały buty: zdarte i pęknięte przy obcasie. Prawdziwi zawodowcy zawsze zwracają uwagę na buty. Jane uważała, że brzydkie, stare kobiety w brzydkich płaszczach są niewidoczne dla ludzkiego oka - niczym prototyp

bombowca typu „stealth”. Opowiadała mu kiedyś, że przeprowadziła nawet kilka eksperymentów, by udowodnić swoją hipotezę. Zebrała w sali piętnaście osób, a potem kazała wyszkolonym agentom opisać każdą z nich. Nikt nie był w stanie prawidłowo odtworzyć koloru włosów lub dokładnego wzrostu czy wagi starej brzydkiej kobieciny. Co więcej, sześćdziesiąt dwa procent agentów nie zapamiętało jej w ogóle - wyparowała im z pamięci. Tak przynajmniej utrzymywała Jane. A miała ona tę samą wadę, co Malloy. W stopniu najwyższym opanowała sztukę kłamania. Nigdy nie było wiadomo, kiedy mówi prawdę, a kiedy konfabuluje. Robiła to zarówno w przypadku spraw ważnych, jak i nieistotnych. Kłamstwo to sztuka, którą się uprawia w przeróżnych okolicznościach. Trzeba bowiem mieć świadomość, że bywają sytuacje, kiedy tylko ono może uratować życie. Najlepsi potrafili także odgadnąć, kiedy oszukiwał ktoś inny.

W tym przypadku, nawet jeśli cała ta statystyka nie była prawdą, to powinna nią być. Tyle że dla Malloya, Jane nawet w takim przebraniu wcale nie była przezroczysta. Uważał, że jest niesamowita. W życiu podziwiał zaledwie garstkę osób: swojego ojca, swoją matkę, Gwen oraz Jane Harrison. Grono osób, którym ufał, było nieco większe, ale tak się dziwnie złożyło, że zarówno jego ojciec, jak i Jane do niego nie należeli.

Patrząc na jej strój, trudno było uwierzyć, że Jane jest zastępcą szefa pionu operacyjnego w siedzibie ci A w Langley, a jeszcze trudniej - że zaczęła swoją karierę od infiltrowania struktur terrorystów włoskich, tropienia marksistowskich bzdur oraz sypiania z wrogiem w imię ci A.

- W tej sali jest tysiąc Madonn - wymamrotał Malloy - a ty stoisz przy jedynym obecnym tu egzemplarzu broni.

- Tu nie ma tysiąca Madonn, T.K.

Malloy rozejrzał się dokoła. Każda Madonna trzymała w rękach Jezusa, który wyglądał jak miniaturowy mężczyzna. Nad głową miał aureolę, a jedną dłoń unosił na znak pokoju, tak jak robią to starzy hipisi.

- Może i nie ma, ale takie jest ogólne wrażenie - odparł.

- Nie jesteś miłośnikiem sztuki bizantyjskiej?

- Robili niezłą broń. Jane się uśmiechnęła.

- Nieprawdaż?

Odwróciła się i poszła w kierunku wyjątkowo prymitywnego obrazu przedstawiającego ukrzyżowanie. Malloy ruszył jej śladem, mijając Madonnę z Dzieciątkiem. Potem podszedł do nieco bardziej interesującego obrazu, również ze sceną ukrzyżowania.

- W co ty mnie wpakowałaś, T.K.? - zapytała Jane.

Malloy przyglądał się obrazowi. Włócznia Longinusa właśnie przebiła bok Zbawiciela. Krew tryskała niczym z fontanny. Człowiek w jedwabnej szacie stał u stóp krzyża, łapiąc ją w złoty kielich. Malarz nie miał pojęcia o nauce - Chrystus był już martwy, kiedy przebiła go włócznia, więc krew nie miała prawa aż tak się wylewać. Obraz był kiepskim bohomazem, lecz Malloya uderzyła ta widoczna fascynacja krwią. Ludzie średniowiecza wierzyli ponad wszystko w jej moc. To właśnie krew Chrystusa uświęciła włócznię, kielich, koronę cierniową oraz sam krzyż - wszystkie te rzeczy stały się relikwiami, najcenniejszym dobytkiem wiary. To nie było to samo, co krew eucharystyczna. Nie dla ludzi żyjących w średniowieczu. Dla małej plamki krwi Syna Człowieczego byli w stanie sprzedawać całe księstwa. I robili to.

- Masz na myśli Jacka Farrella? - powiedział wreszcie. Jego zdziwienie było wyreżyserowane.

Jane stała krok za nim, nieco z boku, tak jakby również chciała się przyjrzeć fontannie bijącej z boku Jezusa prosto do kielicha.

- To miała być cicha akcja, T.K.

- Cóż mogę powiedzieć? Nie spodziewałem się, że Farrell zdecyduje się na ucieczkę.

- Media nie trąbiły o tym, że uciekał. Tylko o tym, że wcześniej wziął ze sobą pół miliarda dolarów.

- To, że wziął ze sobą swoją sekretarkę, skomplikowało sprawę - tłumaczył Malloy.

-Zabranie sekretarki było sprytnym zagranem. Z punktu widzenia mediów. - W głosie Jane słyhać było zmęczenie, frustrację oraz zrozumiałą złość. Może to Jack Farrell narobił problemów, ale Jane obwiniła Malloya.

Podeszła do innego obrazu, a on nadal wpatrywał się w Longinusa oraz jego włócznię. Święta Włócznia była ambiwalentnym symbolem, jeśli się nad tym zastanowić. Na co dzień obawiano się jej jako oręża niosącego śmierć, lecz w przypadku ukrzyżowanego mężczyzny użycie włóczni było aktem miłosierdzia. Ze zrozumiałych względów stała się ona najbardziej popularną relikwią w średniowiecznej Europie -bronią, którą każdy znał i rozumiał. W późniejszych czasach włócznia obrosła legendą: ten, kto posiadał Prawdziwą Włócznię, trzymał również w rękach losy świata. Podobno Hitler był zafascynowany tą legendą i wywiózł z Austrii to, co uważał za Prawdziwą Włócznię, kiedy anektował ten kraj w 1938 roku. Aż do końca wojny przechowywał relikw w katedrze w Norymberdze. Niektórzy mawiali, iż jest to najcenniejszy skarb Trzeciej Rzeszy.

-Powiedziałaś, że możesz zrobić z Farrella swoją wtyczkę - rzuciła Jane, przerywając rozmyślenia Thomasa.

Powstrzymał się przed wyznaniem, że po prostu się pomylił. Wyznania, nawet szczerze i prawdziwe, działały Jane na nerwy. Od początku nie podobał jej się pomysł zwerbowania Jacka Farrella. Jej zdaniem Farrell był postacią zbyt znaną, zbyt publiczną. Poza tym jeśli faktycznie był powiązany z europejskimi organizacjami przestępczymi, to powinna do tego zadania przydzielić kogoś innego. Malloy był dla niej cenniejszy, kiedy w grę wchodziły „misje niestandardowe”. Innymi słowy, kiedy wykonywał czarną robotę. Prawda była jednak taka, że Malloy chciał Farrella z własnych, osobistych powodów. Dlatego utrzymywał - choć nie miał na uzasadnienie swoich słów żadnych argumentów - że jest jedyną osobą, której może się udać namówienie Farrella do współpracy.

Jane słynęła z tego, że nikomu nie ufała. A już najmniej swoim najlepszym ludziami.

- Ukrywasz coś przede mną - powiedziała wtedy Malloyowi. Jak zwykle nie wyjawiał jej wszystkiego. Powiedział tylko:

- Jeśli pójdziemy śladem Farrella, to myślę, że będziemy mieć dostęp do największych organizacji przestępczych w całej Europie.

Jane łyknęła przynętę. Czy Farrell był naprawdę tak bardzo w to wszystko zaplątany? Malloy z najwyższym przekonaniem skłamał, mówiąc, że jest tego pewny.

Jane miała ludzi rozlokowanych w największych miastach europejskich. Znała najbardziej wpływowe rodziny, organizacje oraz polityków, którzy je chronili. Wiedziała całkiem sporo o charakterze ich działań i miała pojęcie o sumach pieniędzy, które wchodziły w grę. Czy Jack Farrell był w stanie bardziej ją oświecić?

- Dzięki niemu poznam numery kont bankowych samych bossów - zaręczył Malloy. To wywołało lawinę pytań ze strony Jane. Dlaczego uczeplił się tego Farrella? Bo to interesujący gość, odpowiedział. Jane wyśmiała go, nie przyjmując takiej odpowiedzi. Co mu się podobało w Farrellu? Jego starzy znajomi -ci, których teraz unika. Jane zapytała, czy zna którąś z tych osób. Malloy podał kilka nazwisk. Ciągłe powtarzało się jedno pytanie: ile Jack Farrell naprawdę wie? Czy Malloy orientuje się, jaką rolę Farrell odgrywa w strukturach rozmaitych syndykatów? Czym dokładnie się zajmuje? Kogo zna? Dzięki jakim informacjom będą mogli dostać się do samego środka? Jak Malloy zamierza skaptować tego faceta? Co takiego wiedział, czego nie mógłby się dowiedzieć i wykorzystać ktoś inny? Dlaczego Farrell musi być współpracownikiem Malloya? Oraz największa obawa Jane: a co, jeśli się okaże, że Farrell zajmuje się jedynie praniem brudnych pieniędzy?

- Mielibyśmy się tak bardzo narażać, żeby zdobyć informacje, które już mamy? - narzekła Jane. - A ja już poinformowałam pewnych ludzi... i po co?

- Farrell wie to, czego nie wiemy my - zapewnił ją Malloy wprost.

Jane miała mu niby ot tak uwierzyć na słowo? Przecież Farrell ma czyste akta policyjne, żadnych znanych kontaktów z jakimikolwiek organizacjami przestępczymi.

To nie do końca prawda, powiedział jej Malloy. Farrell robił interesy z różnymi firmami, które w taki czy inny sposób łączyły się z osobą Giancarla Bartolego. Na Jane nie zrobiło to żadnego wrażenia. Oświadczyła, że przecież większość międzynarodowych firm prowadzi interesy z Bartolim, niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie. Bartoli działał na skalę międzynarodową. Po prostu jeśli robiło się interesy z Włochami - albo generalnie z Europą -to siłą

rzeczy człowiek się ocierał o Bartolego. Malloy odpowiedział, że Bartoli cieszy się opinią człowieka, który działa w świetle prawa, tylko i wyłącznie z powodu braku dobrego agenta, który siedziałby mu na ogonie. Z Jackiem Farrellem jako wtyczką Malloya, można będzie zburzyć imperium Giancarla i jego syna Luki. Jane powiedziała, że zobaczy, co można z tym zrobić. Malloy odparł, że to za mało. Powierzchnowe rzucenie okiem na całą sprawę, a nawet długofalowa obserwacja, tak naprawdę nic nie da. Bo koniec końców okaże się, że Farrell jest zbyt czysty, by go o cokolwiek oskarżyć. Zdaniem Malloya, Jane powinna zawiadomić ludzi z SEC, czyli Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, żeby mieli oko na każde pogwałcenie prawa, którego dopuściła się jego firma, nawet jeśli chodziło o byle błahostkę. Kiedy Farrelowi postawi się akt oskarżenia, Malloy odbędzie z nim pogawędkę.

- Jeśli będzie skłonny współpracować - powiedział - to damy mu przepustkę. Jeśli będzie się stawiał, to na własnej skórze się przekona, czy więzienia o zaostrzonym rygorze są tak parszywym miejscem, jak się powszechnie uważa.

- Jeśli przekonam SEC, żeby ścigała Farrella, a on się okaże czysty, będę miała poważne kłopoty - oświadczyła Jane.

- Uwierz mi, Jane. - Malloy położył rękę na sercu. - Jack Farrell nie jest czysty. I będzie śpiewał.

- Jeśli się mylisz, T.K... Uwierz mi, że kiepsko skończysz.

Tak jak Malloy przewidywał, detektywi z SEC nie wykryli niemal żadnych nieprawidłowości w praktykach firmy Farrella. Było jednak wystarczająco dużo wątpliwych okoliczności, by wyjątkowo naiwna ława przysięgłych uznała, że trzeba mu dołożyć. Wszystko z powodu jego zapewnień o niewinności. Tuż przed aresztowaniem, Farrell zorientował się, co się święci, i zwiął. Nikogo to

specjalnie nie wzruszyło. Był dobrze znany, ale tylko w pewnych kręgach. Romansował z gwiazdkami drugiej kategorii i pisywały o nim brukowce, nie był jednak kimś, o kim słyszał każdy Amerykanin. Wszystko to zmieniło się, gdy do prasy przeciekły informacje, że Farrell uciekł z jedną ze swoich asystentek oraz ukradł pieniądze swojej korporacji. Sumka opiewała na blisko pół miliarda dolarów. To była wielka sensacja. Gazety nie przestawały o tym pisać.

W ciągu zaledwie dwóch dni FBI natrafiło na ślad Farrella w Montrealu, ale jego samego już tam nie było. Prawdopodobnie poleciał do Irlandii albo gdzieś indziej. Kiedy jego asystentka wpadła w ręce policji w jednym z hotelów w Barcelonie, cała historia przestała być jedynie amerykańską ciekawostką. Zaczęły się nią interesować media całego świata. Brukowce pokochały Jacka. Niektórzy dziennikarze specjalizujący się w tematyce finansowej zaczęli kwestionować decyzję SEC, aby w ogóle ścigać Farrella. Mówiąc eufemistycznie: akt oskarżenia brzydko pachniał. Nikt nie wypowiedział na głos trzech niesławnych literek, ci A, ale ludzie z SEC zaczęli się ze wszystkiego wycofywać. Kwestią czasu było to, by prawda wypłynęła na wierzch.

Poprzedniego wieczoru - w Hamburgu - tamtejsza policja otrzymała około północy anonimowy telefon na temat miejsca pobytu Farrella. Bezzwłocznie otoczono pięciogwiazdkowy hotel w samym sercu miasta. Spóźnili się dosłownie o kilka minut. Niemal natychmiast w Ameryce, na Wschodnim Wybrzeżu, rozpętała się burza medialna. Świeżutki news trafił w samą porę na wieczorne wiadomości. A następnego dnia telewizje śniadaniowe obwołały Jacka Farrella amerykańskim bohaterem ludowym, nadając mu przydomek Miliarder Uciekinier.

- W końcu go dorwą - wymamrotała Jane. - Wróci i stanie przed sądem. A wtedy media wplączą CIA w całą tę aferę. Szef nie będzie miał wątpliwości, kogo należy za to wszystko winić. Ja też nie będę miała.

- Powiedz, co mam zrobić.

- Chcę, żeby Jack Farrell zniknął.

Malloy odrzucił głowę w tył i wziął głęboki oddech.

- Zniknął? - zapytał po chwili.

- Umarł, przepadł, zgnił za kratkami w jakimś niemieckim więzieniu. Do wyboru, do koloru. Po prostu nie pozwól mu wrócić do Nowego Jorku. Ani do żadnego innego miejsca, skąd można by go ekstradować.

- Chyba mogę się tego podjąć.

- Farrell zostawił dwa różne paszporty w swoim pokoju hotelowym. Używał jednego, a drugi był prawdopodobnie zapasowy. Nie wyjedzie z Niemiec bez nowych dokumentów. Moje źródło w Hamburgu mówi, że będzie potrzebował mi minimum trzech dni, a prawdopodobnie około tygodnia, żeby je zdobyć. Nie wiemy, czy nadal przebywa w Hamburgu. Być może zwiął już do Berlina, ale zamelinowanie się to w tym momencie najmądrzejsza rzecz, jaką może zrobić, a jak na razie zachowuje się inteligentnie i nie popełnia błędów. Sądzę, że zostanie na miejscu, a za tydzień będzie miał już nowy paszport, przekroczy niemieckie granice i pojedzie w jakieś sympatyczniejsze miejsce, gdzie trudno go będzie dorwać.

- Jutro polecę do Hamburga i zobaczę, co da się zrobić - odpowiedział Malloy.

- Nie jutro. Dzisiaj wieczorem - poprawiła go Jane. - Musimy się śpieszyć, T.K. Jeśli Niemcy dorwą Farrella, zanim ty to zrobisz, odeślą go nam z czystej złości. A gdyby do tego doszło, spadną na nas ciężkie baty.

Malloy spojrział na zegarek. Wylot już dziś wieczorem, za kilka godzin, to lekka przesada.

- I jeszcze jedno - kontynuowała Jane. - Media jeszcze o tym nie trąbią, ale w wieczornych serwisach informacyjnych już będą. Nową towarzyszką Jacka Farrella jest Helena Chernoff.

Malloy zamrugał zaskoczony. Znał to nazwisko, ale nigdy by go nie powiązał z kimś takim jak Jack Farrell.

- Ta sama Chernoff, która jest na siódmym miejscu wśród osób najbardziej poszukiwanych przez Interpol? - zapytał.

- Widzę, że jesteś wtajemniczony.

- Niektórzy ludzie sprawdzają listy bestsellerów, a ja listy poszukiwanych przez FBI i Interpol.

- Chcesz się założyć, że w ciągu kilku tygodni Chernoff uda się wspiąć jeszcze wyżej na tej liście?

- Co płatny zabójca robi z gościem takim jak Farrell?

- Zdaniem Niemców: śpi z nim - powiedziała. Malloya zatkało. Jane westchnęła z rezygnacją. Była zbyt stara, żeby cokolwiek jeszcze ją dziwiło. - Ona pracuje dla pieniędzy, T.K.

A Farrell ma ich jak lodu. Poza tym Chernoff zna Hamburg jak własną kieszeń.

- Więc Farrell może sobie siedzieć spokojnie i czekać tyle, ile będzie musiał?

- Interpol poszukuje Chernoff od dwudziestu lat. Bez powodzenia. Ona chyba wie, co robi.

- Teraz ściągnie sobie na kark FBI.

- I tak interesują się nią już od dłuższego czasu - poinformowała go Jane - ale to zupełnie inna historia. Posłuchaj uważnie, T.K. Mamy dwóch agentów FBI na

miejscu w Hamburgu. W Barcelonie przesłuchiwali dziewczynę Farrella, ale polecieli do Hamburga od razu, kiedy dowiedzieli się o nie udanej obławie. Teraz chyba czują się nieco przytłoczeni całą sytuacją, szczególnie że żaden z nich nie zna niemieckiego.

- Skontaktowałam się z przyjacielem w Departamencie Stanu i zaaranżowałam dla nich małą pomoc.

Jane przeszła za plecami Malloya, podczas gdy on przyglądał się nagiej piersi Madonny, która była zbyt blisko ramienia. Średniowieczny erotyzm...

- Najlepiej by było, gdyby Niemcy zatrzymali Farrella dla siebie. Zrobilibyśmy aferę i historię, a Farrell nie postawiłby nogi w amerykańskim sądzie przez kolejnych dziesięć czy piętnaście lat. Wtedy ja już będę na emeryturze, a ty... ciebie zastrzeli jakiś zazdrosny mąż. Problem w tym, że jeśli Niemcy zauważą, jak wątpliwy jest akt oskarżenia, to będą współpracować, choćby z ciekawości i dla draki. Do sali weszła długowłosa dziewczyna, którą Malloy widział wcześniej.

- Nie mamy czasu do stracenia - powiedziała Jane. - Skontaktuj się z Dale'em Perrym w Hamburgu.

- Znam Dale'a.

- Wiem, że znasz. Sama was sobie przedstawiłam, pamiętasz? - Malloy skinął głową. W rzeczywistości Jane posłała Dale'a do Zurychu na pół roku, kiedy urzędował tam Malloy.

W tym fachu widocznie uznawało się to za przedstawienie sobie dwojga osób.

- Jeśli Chernoff i Farrell nadal są w Hamburgu, to Dale ma duże szansę ich znaleźć. Postaraj się, by był niewidoczny. Nie stać mnie na to, żeby Dale wyszedł z ukrycia - nawet w imię tak wielkiej sprawy. Aha, przy okazji, wyjedziesz, legitymując się dokumentami z Departamentu Stanu, jako biegły rewident. Skoro

Niemcy dogrzebali się do tyłu nieprawidłowości finansowych w całej tej sprawie, twoja obecność nie będzie niczym dziwnym.

- Niemcy wiedzą o operacjach finansowych Farrella coś, czego nie wiem ja?

- Nic a nic. *Nul.*

Dziewczyna, mijając Malloya, wręczyła mu wizytówkę. Był na niej tylko ciąg cyfr.

-To pozostałości po twoim starym funduszu łapówkowym w Zurychu. Na nowo go aktywowałam - poinformowała Jane. - Do pokrycia kosztów dodatkowych.

-Jaki mam limit?

-Jaki chcesz - powiedziała i odeszła.

Malloy wrócił do głównego holu. Trzydziestoletnia kobieta, którą widział wcześniej, podeszła do niego z mapką muzeum w ręce.

-Przepraszam - zagadnęła go, rozkładając mapkę - Czy wie pan, jak znaleźć salę z dziełami impresjonistów?

Na mapie leżał bilet lotniczy. Malloy wziął go i schował do kieszeni.

-Przykro mi. - Pokręcił głową. - Sam się zgubiłem w tym labiryncie.

Godzinę później wrócił do swojego mieszkania przy Dziewiątej Alei. Gwen nie było w domu; nie odbierała też telefonu komórkowego. Napisał liścik, spakował torbę, a potem zaczął kopiować pliki z komputera do swojego podróznego laptopa. Kiedy się z tym uporał, zadzwonił do Gila Fine. Gil był analitykiem w CIA, kiedy Malloy rezydował poza granicami Stanów. Po trzęsieniu ziemi w agencji w 2002 roku chwycił wiatr w żagle i awansował na stanowisko starszego analityka. Przez ostatnich kilka lat Gil dostarczał Malloyowi surowe dane do

analizy. Sporządzane na ich podstawie raporty T.K. przesyłał następnie różnym służbom wywiadowczym, dzięki czemu nadal był w obiegu oraz zasiliał swoje konto bankowe, choć sama robota była nudna i ogłupiająca.

Kiedy Gil podniósł słuchawkę, Malloy powiedział:

-Wiesz, kto sypia z Jackiem Farrellem?

-A powinienem wiedzieć?

- Policjanci z Hamburga mówią, że ubiegłej nocy był w łóżku z Heleną Chernoff.

- Media jeszcze bardziej zwariują na punkcie tego gościa.

- Co o niej wiesz, Gil?

Malloy słyszał, jak Gil stuka w klawiaturę.

- Sześć gigabajtów informacji. Fotki, raporty policyjne, raporty wywiadowcze, dane biometryczne, nagrania...

- Masz filmy z Chernoff? - zapytał Malloy. Gil znowu przez chwilę stukał w klawiaturę.

- Tak, i to kilka. Kiedy zabija się kogoś w hotelu, zazwyczaj kamery to nagrywają. Tak samo jak strzelaniny na parkingu. Jest tu nagranie, jak strzela do faceta, kiedy jeszcze pracowała dla Juliana Corbeau. Tony różnych rzeczy.

- Chernoff pracowała dla Corbeau?

- Pracowała. I chyba jako jedyna z tej ekipy jeszcze żyje, z tego co się orientuję.

- Potrzebuję wszystkiego, co masz na temat tej kobiety, Gil. Nie tylko jakieś tam raporciaki.

- Przykro mi. Nie da rady. Jedynie garstka ludzi ma prawo wglądu w większość tych rzeczy.

Malloy zerknął na zegarek.

- W czym problem?

- W wymiarze sprawiedliwości. Ktoś już zajmuje się tą sprawą. Nie możemy więc przesłać ci tych danych bez formalnego podania oraz zgody wysoko postawionych ludzi.

- Powiedz ogólnie, o co chodzi.

- Nie jesteśmy na podsłuchu?

- Tylko ty, ja i Big Brother.

- Główna sprawa dotyczy senatora Brooksa. Wybory z 2004 roku, pamiętasz?

Malloy nie od razu skojarzył, o kogo chodzi.

- A co się stało? Przypomnij mi.

- Była katastrofa lotnicza.

- A, pamiętam! I tak wygrał wybory.

- Dzięki gubernatorowi.

- Jasne. Dał w łapę komuś z partii opozycyjnej. To się nazywa demokracja. Ale co ma z tym wspólnego Chernoff?

- Media podawały, że to był błąd pilota, ale możliwe, że ktoś grzebał przy samolocie, F B I znalazło zapis z kamer, na którym być może widać naszą Helenę.

- Myślałem, że ona działała głównie w bloku byłych państw komunistycznych.

- Zgadza się, tam zaczynała. Jednak od dziesięciu lat pracuje na Zachodzie. Z tym że niezwykle dyskretnie. Jej celem są zazwyczaj politycy i biznesmeni.

- Muszę mieć te dane, Gil. Niech twój przełożony skontaktuje się z Jane Harrison, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Znowu współpracujesz z Żelazną Dziewicą?

- Musimy dorwać Farrella, to priorytet. A Chernoff jest naszym jedynym tropem.

- Biorąc pod uwagę jej akta, T.K., ona nie jest żadnym tropem.

Malloy się skrzywił. Wiedział, że jego szansę są znikome, ale tego typu uwagi i tak nie mogły go zniechęcić.

- Powiem ci, co mogę zrobić - odezwał się po chwili Gil. - Bez autoryzacji mogę przesłać te dane do Dale'a Perry'ego. I tak pewnie większość z nich już ma. Rozumiem, że jesteś z nim umówiony?

- Spotykam się z nim jutro wieczorem - odparł Malloy.

- Przy okazji, czy możesz mu przesłać wszystko, co FBI ma na temat lotu Farrella? Wiem dużo o nim i jego życiu, ale od momentu, kiedy zwiął, całą swoją wiedzę czerpię z dzienników telewizyjnych.

- Co nieco mogę ci przesłać już teraz. Resztę wpakuję do plików, które wyślę do Dale'a.

- Świetnie, ale pospiesz się, proszę! Za pięć minut muszę pędzić na lotnisko.

- Nie ma sprawy, T.K. Aha, właśnie wpadło mi coś do głowy.

-Co?

- Pamiętasz, że Chernoff miała w zwyczaju sypiać z niektórymi ruskimi mafiosami, zanim ich sprzątnęła?

- Do czego zmierzasz?

- Na miejscu Jacka Farrella, leżąc pod kołdrą z tą panią, dobrze bym się zastanowił, zanim bym poszedł spać.

Malloy wysłał kilka zakodowanych e-maili do swoich kontaktów w Europie, a potem wszedł na fundusz Jane dla niestandardowych operacji. Przeniósł dziesięć

tysięcy franków szwajcarskich na jedno ze swoich kont założonych pod fałszywym nazwiskiem. W Niemczech będzie mógł w każdej chwili skorzystać z tych pieniędzy, tyle że już jako euro. Sprawdził pocztę, przyszedł list od Gila z informacjami FBI na temat Farrella. Chwilę później

chwycił mały bagaż i ruszył w kierunku drzwi.

Wyszedł na klatkę, lecz uciekła mu winda - zaczęła jechać w dół. Renowacja budynku jeszcze nie była ukończona, lecz udało mu się już sprzedać dwa gotowe mieszkania, z których każde zajmowało całe piętro. Obaj lokatorzy w mieście spędzali jakieś trzy miesiące, nie więcej. Przez resztę czasu pewnie wylegiwali się w ciepłych krajach. W tej chwili żaden z nich nie przebywał w Nowym Jorku. Zatem to musiała być Gwen. Stara winda towarowa wjechała z terkotem na ostatnie piętro.

Gwen miała krótkie ciemne włosy i bladokremową cerę. Była bardzo szczupła i miała ogromne, brązowe oczy, którym Malloy nigdy nie był w stanie się oprzeć. Spotkali się tuż po tym, gdy odszedł z CIA. Chodzili ze sobą kilka lat, zanim się pobrali rok temu. Ich miesiąc miodowy skończył się już dawno, lecz nadal ze sobą flirtowali i droczyli się jak para nastolatków. Jemu się to bardzo podobało. To był jedyny rodzaj niewinności, jaki znał. Miał nadzieję, że nigdy tego w ich związku nie zabraknie.

Kiedy Gwen zobaczyła bagaż, powiedziała:

- Zostawiasz mnie dla innej kobiety?

- Jestem już na to za stary, Gwen. Muszę tylko za jedną panią pouganiać się przez kilka dni.

Gwen wyszła z windy i uśmiechnęła się do niego kwaśno.

- Te romanse cię wykończą, Thomas.

- Złapałem fuchę w Europie. Napisałem ci liścik. Przepraszam, że to wszystko tak nagle, ale...

- Gdzie w Europie?

- Zaczynam w Hamburgu. A potem - nie wiem jeszcze.

- Miliarder Uciekinier?

Gwen nie oglądała wiadomości ani nie czytała gazet, z wyjątkiem artykułów o kulturze, sztuce, jedzeniu i podróżach. Mawiała, że tylko w taki sposób można nie dać się zwariować.

- Słyszałaś o nim? - zapytał zaskoczony.

- Obudź się, kochanie. Nie żyj ę przecież na Księżycu! Jack Farrell to najnowsza gwiazda mediów!

Malloy stłumił w sobie jęk i próbował zbagatelizować swoje zadanie.

- Departament Stanu użyczył mnie F BI na kilka dni. Chcą sprawdzić, czy uda mi się coś wyśledzić dzięki kartom kre dytowym, które znaleźli.

- Ale oni już mają te informacje! Mówili w telewizji.

- No, to dobrze. - Poczul się głupio, przyłapany na kłamstwie. - W takim razie niewiele czasu mi ta cała delegacja zajmie. Jak tylko się dowiem, gdzie Farrell ukrył całą tę forszę, to od razu wracam. Bo tego jeszcze nikt nie wykrył, co?

- Nie. Żadnych śladów Jacka i pieniędzy. Mają za to jego DNA. Jego i jakiejś niezidentyfikowanej towarzyszki. Nie jest nią ta sekretarka! Sekretarka siedzi w Barcelonie. Mówi ę ci, Thomas, ten facet cieszy się popularnością wśród kobiet.

Na

prawdę będziesz brał udział w tej sprawie?

Gwen była podekscytowana, z kolei Malloy zrobił znudzoną minę.

- Będę się zajmował jedynie sprawą pieniędzy. Jeśli mi się uda. Gwen nagle zrobiła wielkie oczy.

- Ale nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo, co?

Malloy roześmiał się i pokręcił głową.

- Ten facet to tylko jakiś krętacz. Pewnie w życiu nie trzymał pistoletu. Poza tym ja będę tylko przeprowadzał wywiady z ludźmi z banku. - Jego uśmiech nosił ślady zmęczenia. - To co zwykle. Rutyna. Nuda.

- E tam, dla mnie to i tak wygląda ekscytująco! O tym facecie wszędzie teraz trąbią!

- Muszę złapać samolot do Hamburga, Gwen. Muszę już... lecieć. Dosłownie.

- Nawet się z tobą należycie nie pożegnam, mój odważny detektywie? -

Uśmiechnęła się zalotnie.

Malloy spojrział na zegarek.

- Niestety... Na lotnisku wściekliby się na mnie, gdybym się spóźnił, wiesz, że do odprawy trzeba się zgłosić przynajmniej dwie godziny przed odlotem.

- Wolisz, żeby wkurzała się na ciebie obsługa lotniska, czy własna żona?

- Zaprosiłem pewnego młodego człowieka, żeby wypił z nami dzisiaj drinka w barze. Chyba nie masz nic przeciwko temu.

Dieter Bachman powiedział to do swojej żony przez uchylone drzwi łazienki, a bezceremonialność tego stwierdzenia od razu pobudziła jej ciekawość.

- Kim on jest? - zapytała.

- Nazywa się Otto Rahn.

- Czyli... to Niemiec? - Eliza westchnęła rozczarowana. Przyjechała do Francji, licząc na nowe doznania i znajomości. Niestety jej mąż miał talent do wynajdowania Niemców nawet na pustyni.

- Niemiec albo Austriak. Szczerze mówiąc, nie jestem pewny. Tak płynnie mówił po francusku, że nie mogłem umiejscowić akcentu. Poznał nas ze sobą Magre.

Maurice Magre był pisarzem, umiarkowanie popularnym, którego poznali poprzedniego dnia dzięki zaprzyjaźnionemu Niemcowi. Magre udawał gwiazdę literatury, by wyłudzać drinki od turystów.

- A skąd Magre zna tego Niemca? Lub Austriaka...

- Nie wypytywałem go o to. Magre powiedział mi tylko, już na osobności, że Herr Rahn to łowca skarbów.

Na Elizie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Poszukiwacze skarbów byli w Langwedocji czymś tak powszechnym jak aspirujący pisarze w Paryżu. Wszyscy szukali złota katarów oraz... darmowych drinków.

Zdjęła z wieszaka morelową suknię i przyłożyła ją do ciała, spoglądając na swoje odbicie w zaparowanym lustrze hotelowego pokoju. Nie była przekonana do tej kreacji. Co prawda kolor podkreślał jej opaleniznę oraz ładnie się komponował z czarnymi włosami i ciemnobrązowymi oczami, ale jej mąż zaczął się

skarżyć, że wkrótce wszyscy będą ją brali za rodowitą Afrykankę. Według jego kanonów urody skóra powinna być śnieżnobiała, włosy blond, a oczy błękitne i kryształowo przejrzyste.

Pewnego razu zapytała go, dlaczego poprosił ją o rękę, skoro nie podobała mu się jej karnacja. Odparł, że nie ma nic przeciwko odcieniowi jej skóry i że wystąpił z propozycją małżeństwa, ponieważ się w niej zakochał! Eliza nie zadała sobie trudu, by skomentować jego słowa. Do ślubu zachęciły ich rodziny, widząc w tym znakomity układ finansowy. Być może kiedyś było między nimi jakieś uczucie, ale już dawno temu zamieniło się w wygodną przyjaźń. Rzuciła sukienkę na łóżko. I tak była zbyt pognieciona.

- A dlaczego *monsieur* Magre pomyślał sobie, że chcielibyśmy poznać tego młodego człowieka? Mam nadzieję, że nie z powodu jego narodowości. W Berlinie mamy Niemców pod dostatkiem.

- Szczerze mówiąc, to był mój pomysł - odparł Bachman.

Eliza spojrzała na niego podejrzliwie. Stał przed lustrem w łazience z brzytwą w dłoni. Był wysokim mężczyzną, z nieco przygarbionymi plecami oraz lekko wydatnym brzuchem. Miał okrągłą pospolitą twarz o pełnych policzkach i ciemne oczy. Odkąd go znała, zawsze nosił wąsy, lecz ostatnio postanowił je zgolić. Uważał, że brak wąsów go odmładza, mimo że jego włosy już się przerzedzały i były przyprószone siwizną. Eliza była uprzejma: powiedziała mu, że owszem, bez wąsów wygląda dużo młodziej. Tak naprawdę zgolił je z powodu komentarza, który usłyszał z ust jakiejś Szwajcarki kilka dni wcześniej w Sete. Kobieta wzięła ich za... ojca i córkę. Komentarz wywołał nieszczerzy śmiech. Bachman zapytał, czy jego żona naprawdę tak młodo wygląda, ale okazało się, że to nie z powodu Elizy popełniono owo *faux pas*. Bachman miał trzydzieści osiem lat, był więc

tylko o dziesięć lat starszy od żony. Problem w tym, że wyglądał, jakby dźwigał na karku piątą krzyżyk. A jego zachowanie tylko potęgowało to wrażenie.

- Powiedz mi - odezwała się Eliza - Czy wybadałeś polityczne sympatie swojego nowego znajomego?

Bachman uśmiechnął się, wchodząc do pokoju z ręcznikiem w dłoniach. Wiedział, że Eliza się z niego naigrawa, czego szczerze nienawidził, lecz starał się nie okazywać irytacji. W Berlinie nie tolerował nikogo, kto nie dzielił jego przekonań politycznych. We Francji - może pod wpływem słońca? - stał się nieco bardziej liberalny.

- Z tego, co mówi Magre, Herr Rahn ponoć w ogóle nie interesuje się polityką. Pewnie jest zbyt młody, by wiedzieć cokolwiek na temat wojny. Niechętnie o sobie opowiadał. Dowiedziałem się, że przez kilka ostatnich lat pracował w Szwajcarii.

- A zatem... drink z młodym miłośnikiem przygód, który nie ma własnego zdania na żaden temat. - Zaplanowałaś dla nas rozkoszny wieczór, kochanie!

Otto Rahn rzeczywiście wyglądał na łowcę skarbów. To była pierwsza myśl Elizy, kiedy ujrzała go z daleka. Był tak wysoki, jak jej mąż, czyli musiał mierzyć ponad metr osiemdziesiąt, lecz na tym podobieństwa się kończyły. Rahn był szczupły, muskularny oraz bardzo opalony. Wyglądał jak mężczyzna, który spędził całe lato, wędrując po Pirenejach. Miał podłużną, kanciastą twarz, a włosy koloru ciemny blond zaczesywał do tyłu, używając do tego brylantyny. Był to styl typowy dla młodych Niemców, lecz do niego pasował o wiele bardziej, niż do większości znanych jej mężczyzn. Takie uczesanie podkreślało delikatnie wygięte łuki brwi oraz wysokie kości policzkowe. Elizie przemknęła przez głowę myśl, że

ten człowiek wygląda jak gwiazdor filmowy, który przyjechał do Francji zagrać rolę poszukiwacza przygód i uznała, że idealnie by do niej pasował.

Gdy Rahn dostrzegł Bachmana, wstał od baru i ruszył w ich kierunku ze zwierzęcą gracją. Widok ten poruszył w Elizie coś, co od dawna uważała za martwe. To nie był aktor odgrywający rolę. On naprawdę wspinał się na strome skały i zapuszczał do mrocznych jaskiń. I robił to cały boży dzień! Uśmiech oraz pewność siebie - w których nie było ani odrobiny służalczości wobec Bachmana i jego pieniędzy - wywarły na niej piorunujące wrażenie. Doszła do wniosku, że Otto Rahn jest wyjątkowo przystojnym młodzieńcem!

Bachman przedstawiał jej niekiedy młodych mężczyzn, najczęściej artystów bez grosza przy duszy, którzy ochoczo nadskakiwali bogatemu patronowi. Eliza zawsze uważała, że w ten sposób Dieter chwali się swoimi podbojami lub przyszłymi zdobyczami. Nie mogła mieć jednak pewności. Takie tematy nie były podejmowane w kulturalnych małżeństwach, a ich nie było niczym innym. Jeśli również w tym przypadku Bachman snuł podobne plany - chciał odesłać żonę do Sete, podczas gdy sam spróbowałby uwieść łowcę skarbów - to grubo się mylił, pomyślała Eliza. Herr Rahn wołał kobiety. Dostrzegła to, gdy tylko na nią spojrzał, a po kilku minutach rozmowy była już całkowicie pewna swej opinii. Zabawiał ją konwersacją, spoglądając z uznaniem na jej ręce i ramiona. Potem przerzucił się na włosy. Kiedy wstała od stołu, w lustrze dostrzegła, że podąża za nią wzrokiem, podziwiając jej chód! To wszystko było dosyć zawoalowane i subtelne. Rahn nie był nieokrzesanym dzikusiem. Przeciwnie - zachowywał się jak dżentelmen. Balansował na granicy flirtu, chociaż nie mógł posunąć się za daleko, kiedy przy stoliku siedział jej mąż.

- Mam nadzieję, że zostaną państwo w Carcassonne jeszcze przez kilka dni? - zapytał Rahn. Eliza uznała, że tak na prawdę pytanie było skierowane do niej, lecz odpowiedział jej mąż.

- Niestety, jutro wyjeżdżamy. Przez całe lato wynajmujemy dom w Sete. Powinniśmy już tam wracać.

Czyżby Eliza dostrzegła w oczach młodego Niemca cień zawodu? Chciałaby tak myśleć, ale przywołała się do porządku: przecież Otto Rahn towarzyszy im jedynie przy drinku, prowadząc kulturalną rozmowę. Może pod tym względem była taka sama jak jej mąż i w spojrzeniu przystojnego nieznajomego widziała to, co chciała zobaczyć...

- Oczywiście, jeśli tylko ma pan ochotę, serdecznie zapraszam - dodał Bachman. - Pokoi mamy mnóstwo, a Morze Śródziemne jest tam wyjątkowo piękne.

- To bardzo miłe z państwa strony... - powiedział Rahn i rzucił spojrzenie Elizie.

Nie, jednak nie chodzi mu tylko o rozmowę, doszła do wniosku. Podobała mu się. Zastanawiał się, jakie byłyby jego szanse, gdyby faktycznie odwiedził ich w Sete. Niektórzy mężczyźni interesują się wyłącznie mężatkami. Miała przyjaciółki, które tego doświadczyły i każda z nich odczuła pokusę - przynajmniej tak utrzymywały. Wyrozumieli mężowie rzekomo przymykali na to oko. Czy Herr Rahn wyobrażał sobie, że toczy się między nimi jakaś gra?

Zerknęła na swojego męża. Często, gdy jakiś mężczyzna trochę zbyt otwarcie interesował się jego żoną, Bachman stawał się wobec niej przesadnie opiekuńczy, jakby chciał przypomnieć o swoim prawie własności. Ale nie dzisiaj. Był zbyt

podekscytowany osobą Rahna, by jego entuzjazm osłabł przez rzecz tak głupią jak zazdrość.

Temat polityki pojawił się dopiero przy drugiej rundzie drinków. Bachman wspomniał, że wraz z żoną mieszkają w Berlinie, lecz mają w zwyczaju wyjeżdżać w lecie, ponieważ w mieście dzieją się różne przykre rzeczy.

- Naprawdę jest aż tak źle? - zapytał Rahn. W jego głosie pobrzmiwała autentyczna troska.

- Czy był pan w Berlinie w ciągu ostatnich kilku lat, Herr Rahn? - odpowiedział pytaniem Bachman.

- Obawiam się, że nie... Ale studiowałem w Berlinie. To miasto zawsze mi się bardzo podobało. Przykro słyszeć, że idzie w rozsypkę...

- Ach, pan i wszyscy inni dobrzy Niemcy! To przecież nie dzieje się bez przyczyny. Winni są komuniści. To oni chcą wszystko zniszczyć!

Bachman czuł do komunistów nienawiść nawet większą niż do aktualnego rządu. Jeszcze dwanaście lat temu był arystokratą. Odebrano mu ten tytuł w 1919 roku na mocy dekretu parlamentarnego. Udawał, że nic wielkiego się nie stało, lecz w rzeczywistości dotknęło go to do żywego. A kiedy odkrył, że podobni jemu zaczynają się zadawać z nazistami, sam również wstąpił do NSDAP. Ze względu na swój majątek, Bachman został przyjęty do partii z otwartymi ramionami. To sprawiło, że z miejsca stał się zagorzałym zwolennikiem ideologii nazistowskiej. Eliza już nieraz była świadkiem, jak miłe spotkanie zamienia się w burzliwą dyskusję na temat nazistów i komunistów. Jej mąż tolerował niezdecydowanie czy nawet powściągliwość rozmówcy - takiego człowieka dało się przekonać do swoich racji. Natomiast kiedy spotykał się z oporem z czyjejś strony, zaciętrzewiał się i walczył jak lew.

I tak oto Herr Rahn teraz również musiał przejść ten test.

Eliza wstrzymała oddech...

Temat wyraźnie krępował młodego człowieka. Prawdopodobnie był komunistą, pomyślała. Starte podeszwy butów i postrzępiony kołnierzyk jego koszuli zdecydowanie wskazywały na to, że był wystarczająco biedny, by być komunistą. No i co z tego? W obecnych czasach każdy ma jakieś poglądy polityczne. Im bardziej radykalne, tym lepiej.

- Ach, naturalnie - zgodził się Herr Rahn - coś się musi zmienić. Wszyscy

tak uważają! Z wyjątkiem tych oszustów, którzy nami rządzą. Ale ja wolę stać z boku. Poczekam, aż nastąpi jakiś przełom.

- Niemcy znalazły się na rozdrożu - stwierdził Bachman.

- Ci, którzy stoją z boku i przyglądają się beczynnemu, zostaną w tyle, kiedy nasz świat się zmieni! Radziłbym panu dobrze się zastanowić nad swoim stanowiskiem.

Wyglądało na to, że Bachman lada moment wpadnie w gniew.

- Kochanie. - Eliza dotknęła ramienia męża. - Mamy wy starczająco dużo polityki w Berlinie. Posłuchajmy opowieści o skarbach katarów, które znalazł Herr Rahn.

- Skarbach? Nie wiedziałem, że szukam jakichś skarbów...

Młody mężczyzna uśmiechnął się do nich zmieszany. Był ciekaw, skąd wzięło się to nieporozumienie.

- Proszę wybaczyć, ale podobno - powiedziała Eliza, spoglądając na męża - jest pan...

Rahna nagle oświeciło.

- Magre powiedział panu, że jestem łowcą skarbów? Bachman przytaknął.

Na początku Rahn wydawał się zdumiony, a może nawet nieco zirytowany, lecz po chwili parsknął śmiechem. Widocznie miał jakieś zatargi z Francuzem...

- W takim razie co pan właściwie tutaj robi? - zapytała Eliza.

- Szukam materiałów do książki. Zamierzam napisać o krucjacie przeciwko albigensom w XIII wieku.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła Eliza podekscytowana.

Wszystko ułożyło się w sensowną całość. To, że jest pisarzem, tłumaczyło jego naturalną elokwencję oraz pewność siebie, którą nosił niczym koronę. Był

człowiekiem wszechstronnie wykształconym. Mogła się tego domyślić... Niemniej wydawał się zbyt młody na tak „bibliotekarskie” zajęcie.

- Kolejny miłośnik katarów! - zachnął się Bachman, upijając łyk drinka. Wyglądał tak, jakby miał zamiar powtórzyć jakiś błyskotliwy komentarz, który wczoraj usłyszał z ust Magre'a.

- Muszę panu coś wyznać - oświadczyła nagle Eliza. - To coś... okropnego. Obaj mężczyźni czekali w skupieniu na jej słowa. Uśmiechali się łagodnie.

Usłyszeć „coś okropnego” z ust pięknej kobiety - to nie lada gratka.

- Otóż ubiegłego wieczoru siedziałam przy kolacji, słu chając, jak nasz wspólny znajomy, *monsieur* Magre, tłumaczy nam, kim byli katarowie. Okropne jest to, że... nadal nie mam pojęcia, w co oni wierzyli! Ani kim tak naprawdę byli.

- Czy chce pani wiedzieć, dlaczego słowa Maurice'a nic pani nie wyjaśniły? - zapytał Rahn. Mówił przyciszonym głosem, jak ktoś, kto chce powierzyć przyjacielom swój naj większy sekret.

- Oczywiście! - odparła Eliza.

- Dlatego, że on sam nic nie wie o katarach! Powiedzieć pani coś naprawdę okropnego? - dodał z nieco szelmowskim uśmiechem. - Tak naprawdę nikt o nich nie wie nic pewnego! Nikt nie wie, w co wierzyli ani kim byli. - Rozparł się na krześle jak urodzony arystokrata i wychylił swój kieliszek do dna. - Na szczęście dla nas wszystkich - wyjął z dumą w głosie - zamierzam to zmienić.

Zarówno Eliza, jak i jej mąż chcieli poznać - przynajmniej w zarysie - teorię Rahna na temat tej sekty heretyków, która została dosłownie wybita w pierwszej połowie XIII wieku. Bachman doszedł jednak do wniosku, że najlepiej będzie przedyskutować to przy kolacji. Przenieśli się więc z baru do sali restauracyjnej, gdzie Rahn mógł dalej snuć swoją opowieść.

- Muszą państwo przede wszystkim zrozumieć - zaczął młody naukowiec - że u podstaw konfliktu legły przede wszystkim kwestie ekonomiczne. Rzekoma herezja posłużyła Watykanowi za wygodną wymówkę, by wypowiedzieć katarom wojnę. Nie był to ruch, który dążył do separacji czy oczyszczenia wiary chrześcijańskiej. Nie kwestionował żadnego z dogmatów. Katarowie po prostu skupiali się na sferze duchowej, tak jak, dajmy na to, święty Franciszek, który żył w tym samym czasie. Uważali się za uczniów Chrystusa i nie odrzucali otwarcie autorytetu papieża. Księża prosto z Rzymu, którzy dopiero co zawitali do Langwedocji, spotkali ludność

pobożną i głęboko wierzącą. Tak bardzo, że część z nich z czasem zaczęła przejmować niektóre lokalne obrzędy religijne. Kiedy jednak rozpętano wojnę, księża oczywiście natychmiast opowiedzieli się po stronie Watykanu.

- Z tego, co czytałem - odezwał się Bachman - katarowie byli gnostyckimi dualistami. Manichejczykami... czy jak tam ich nazwać. - Na pewno usłyszał to od Magre'a, pomyślała Eliza. - Bóg i diabeł na równej stopie. Coś w tym stylu.

- Świat podzielony przez Boga i Szatana? - podpowiedział Rahn, kiwając złotowłosą głową. - Dwa mocarne bóstwa walczące o rząd dusz?

- Właśnie! - zawołał Bachman. Tych samych słów użył Magre.

- To było stanowisko Kościoła w XIII wieku, a nie katarów! - rzekł Rahn ku zdumieniu Bachmana. - Święty Augustyn odwiódł Kościół od manichejskich herezji już na początku V wieku, lecz do XI i XII stulecia diabeł zdążył powrócić.

Wystarczy przejrzeć pierwszy z brzegu tekst średniowieczny, by od razu zauważyć wszechobecny lęk przed Złym. Wśród ciemnego ludu mogło pokutować nawet przekonanie, że prym wiedzie Księżę Ciemności, a nie Chrystus. Jezus, anioły oraz święci stali się życzliwymi duchami, które co prawda mogą pomóc człowiekowi w opałach, lecz tylko wtedy, gdy świeci słońce. Po zapadnięciu nocy władzę nad Ziemią przejmowała potężniejsza siła. Nikt nie śmiał nawet wymawiać imienia Szatana, nie mówiąc o przywoływaniu go. Natomiast katarowie kompletnie nie interesowali się diabłem ani się go nie lękali. Zło rozumieli tak, jak zdefiniował je święty Augustyn -jako odwrócenie się plecami od światłości Boga. Zdaniem Katarów człowiek czynił to za każdym razem, gdy zbyt wielkim uwielbieniem zaczynał darzyć przyjemności ziemskie, czyli rozkosze cielesne. Walka o duszę sprowadzała się do rywalizacji żądz cielesnych oraz pragnień duchowych. Katarowie rzecz jasna zdawali sobie sprawę z tego, że ludzkość zawdzięcza swoją egzystencję światu fizycznemu, ale wiedzieli również, że nasze fizyczne potrzeby, czyli to, czego potrzebujemy do przeżycia, osłabiają nasze pragnienie przebywania w świecie ducha. W dzisiejszych czasach wydaje się to oczywiste. Nawet Kościół głosi katarskie przekonania! Poza tym nie lękamy się już, że głupi komentarz obudzi cały legion diabłów... Zapewniam jednak, że w kiepsko wykształconym trzynastowiecznym świecie katarowie byli wyjątkiem. Mimo to nikt nie nazywał ich światopoglądu herezją, dopóki francuski król nie połączył się na bogactwa tego regionu.

- Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę - wtrącił znowu Bachman - ale czy nie byli oni przeciwni instytucji małżeństwa i, jeśli już o tym mowa, stosunkom płciowym w ogóle?

- To pierwsza rzecz, której można się dowiedzieć o katarach. Bywa też, że ostatnia... - westchnął Rahn.

- Magre nam to powiedział - wyjaśnił Bachman, zadowolony, że wreszcie coś poprawnie zapamiętał z rozmowy z Francuzem.

- A wszystko to stek bzdur! - zawołał nagle Rahn. - Prawda jest taka, że katarowie wynaleźli miłość romantyczną. Teraz nazywamy ją miłością dworską, by nie mylić jej ze schadzki kochanków. Jednak nie były to jakieś wydumane, teatralne zaloty wyższych sfer. Dla katarów związek miłosny nie polegał na adorowaniu, czystości oraz dobrych manierach. I nie był platoniczny! Przeciwnie: płonął namiętnością. Tak naprawdę miłość miała wręcz rozpaść do białości oboje

chanków. I tu dochodzimy do sedna sprawy: musieli... oprzeć się temu uczuciu. Kiedy rycerz ofiarował miłość damie, a ona ową miłość przyjęła, ich związek do końca życia pozostawał w sferze serca i ducha. Nie było to łatwe. Gdy taki związek został przypieczętowany i uświęcony, odbierano im prawo do zaspokojenia fizycznego, a czasem nawet prawo do przebywania ze sobą na osobności. W ten oto sposób kochankowie odkrywali głęboką duchową więź między sobą. Nie była to przyjaźń ani nic na kształt starego małżeństwa, w którym wypaliła się już iskra. Nie, to było prawdziwe, wstrząsające, dynamiczne uczucie, utrzymywane w punkcie wrzenia, tuż przed skonsumowaniem. Bez dotyku, bez pocałunku. Płomień namiętności palił się przez całe ich życie. A nawet dłużej, aż po wieczność. Tak przynajmniej wierzyli kochankowie...

- Innymi słowy - skonkludował Bachman - był to kult miłości skazanej na porażkę i rozczarowanie.

Rahna rozbawiło takie ujęcie sprawy.

- Tak to wygląda z perspektywy współczesnego człowieka. Jednak dla żyjących w tamtych czasach rzecz miała się zupełnie inaczej. Ta miłość była dla nich źródłem natchnienia. Aby zrozumieć ten proces sublimacji zmysłowości, proszę spojrzeć na uczucie Dantego do Beatrycze. Poeta nie tylko wyniósł swoją ukochaną na wyżyny piękna i dobroci. On podążał za tym wyobrażeniem, dopóki dzięki cnocie swego uczucia nie stał się godzien jej miłości. Zanim pojawili się katarowie, namiętność była grzechem. Doprowadzała do ruiny związki małżeńskie, co odbijało się negatywnie na ekonomii i polityce. Katarowie wystąpili z zupełnie nową ideą. Proponowali akceptowalną społecznie bliskość uczuciową między mężczyzną a kobietą, która w żaden sposób nie była zagrożeniem dla instytucji małżeństwa. Kobieta mogła rodzić dzieci swemu mężowi, wspierać go jako polityczny sojusznik bądź zaufany przyjaciel, a jednocześnie prowadzić korespondencję z jedyną prawdziwą miłością swego życia.

- A co o tym wszystkim myśleli sobie ci mężowie? - rzucił Bachman nieco oburzonym tonem. - Nie wierzę, że każdy z nich zgadzał się na taki układ, nie czując przy tym odrobiny. no cóż, staromodnej zazdrości! - Spojrzał na Elizę. - Ja na przykład nie mógłbym ścierpieć tego, że moja żona kocha innego mężczyznę.

- Proszę wybaczyć moją śmiałość, ale uważam, że tak naprawdę nie mógłby pan znieść myśli, iż pana małżeństwo mogłoby się zmienić lub skończyć z powodu duchowego romansu żony. W świecie katarów takie obawy były bezpodstawne. Miłość romantyczna miała tylko wywoływać namiętność - i kropka! Cała sprawa rozgrywała się w wiecznym królestwie ducha. W rezultacie kochankowie zbliżali się do Boga oraz do idealnej cnoty wiary. Poprzez dyscyplinę cielesną uczyli się być mniej zależni od świata zmysłów.

Bachman uśmiechnął się, lecz pokręcił głową. Nie był przekonany.

Eliza również nie była.

- Czy przeżył pan kiedykolwiek taką historię miłosną? - zapytała. Wreszcie adonis stracił odrobinę pewności siebie i wbił wzrok w stolik.

Jego uśmiech zabarwił się smutkiem.

-Świat się zmienił. Już nie jest tak, jak było kiedyś... Możemy sobie opowiadać o cnocie, sferze ducha i całej reszcie, ale przede wszystkim chcemy czuć smak naszego jedzenia i wina. - Podniósł kieliszek, aby zilustrować swoją wypowiedź.

- Kochanków chcemy mieć blisko siebie. A pieniądze -jeszcze bliżej... Żyjemy zanurzeni w świecie zmysłów. I z tego, co widzę, pograżamy się w nim coraz bardziej.

-Zatem tego typu miłość jest dziś nierealna? - chciała wiedzieć Eliza.

Rahn najpierw spojrzał na Bachmana, a potem odezwał się do jego żony:

-Przypuśćmy, że napisałbym do pani taki list, jaki katarscy rycerze pisali do kobiet, które kochali. Jestem przekonany, że pani mąż by mnie ukatrupił, a sąd by go uniewinnił!

- Nawet gdyby wiedział, że między nami do niczego nie doszło, że nawet się nie dotknęliśmy? - Jej głos drżał. Spojrzała na Bachmana. Ta chwila była wypełniona ciekawością, wyzwaniem, a nawet nadzieją. Czy pozwoliłby na to, żeby ona kochała innego mężczyznę - tego mężczyznę -jeśli nigdy nie doszłoby między nimi do kontaktu fizycznego?

- Ja w to nie wierzę. Nie wierzę, że to możliwe - odezwał się Bachman. - Uważam, że... tam, gdzie w grę wchodzi uczucia, tam nie da się zachować spokoju. Ani mężczyzna, ani kobieta nie są w stanie.

- Państwo mówią o współcześnie żyjących ludziach, takich jak my - oświadczył Rahn, jakby próbował rozsądzić spór między uczonymi. - Ale przecież my

jesteśmy skażeni. Nie tylko przez nasze żądze, lecz także przez poddawanie się im tak często. Potrzebujemy zbyt wiele asekuracji, zbyt wiele wygod. Nie ufamy miłości, jeśli nie idzie za nią kontakt fizyczny, który ma być dowodem tego uczucia.

- Czy wierzy pan, że to naprawdę miało miejsce? - zapytał Bachman. - Że ludzie szaleńczo w sobie zakochani nigdy nie zaznali zbliżenia fizycznego? Czy nie uważa pan, że tylko stwarzali takie pozory, a tak naprawdę, kiedy byli sami...

- Bez wątpienia niektórym się nie udawało. Taka już natura człowieka. Jestem jednak przekonany, że wiele osób doznało tej radosnej i głębokiej miłości, której my, mimo naszego wyrafinowania, nie jesteśmy w stanie nawet sobie wyobrazić. Proszę o tym pomyśleć jak o pierwszej iskierce głębokiej namiętności, która ma trwać wiecznie. Proszę pomyśleć o obłędzie, rozpaczy i szczęściu, które towarzyszą zakochaniu. O wrażeniu, że cały świat leży u naszych stóp. A następnie dodajmy do tego pewność, że nigdy nie przekroczy się wrót tego królestwa. Takie emocje muszą prowadzić na wyższy poziom, do pokory oraz cierpliwości, a nawet do modlitwy, ale rzecz jasna nie mogę mieć pewności. Dla mnie to tylko ćwiczenie akademickie. Tego typu miłość jest podróżą, której nigdy nawet nie rozpocząłem.

Kiedy wrócili do pokoju i znowu byli sami, Bachman zapytał:

- Co sądzisz na temat Herr Rahna?

Było już późno, ale Bachman wydawał się pobudzony. Uśmiechał się kwaśno, rzucając to pytanie. Miał chyba na myśli teorię Rahna. Wprowadzenie jej w życie...

Eliza oblała się rumieńcem, słysząc nazwisko młodego Niemca.

-Chyba nigdy dotąd nie spotkałam kogoś takiego. Wyjątkowa persona... -
odparła szczerze.

-Na tyle wyjątkowa, że mogłabyś się w nim zakochać?

Namiętność przeobrażona w coś, czego nie da się odwzajemnić - to była kusząca myśl. Pragnęła namiętności, ale nie chciała być kolejną mężatką, która zrobi z siebie pośmiewisko. Nie zaznała dotychczas zbyt wielu rozkoszy - jej życie było raczej monotonne i pomyślała, że to musi być cudowne... zakochać się w kimś do szaleństwa! Koniec z relacjami opartymi na uprzejmości! Chciała płonąć ogniem miłości! Jednak pod warunkiem, że nie wywołałoby to ani wyrzutów sumienia, ani skandalu obyczajowego. Berlińska śmietanka towarzyska była zamkniętym kręgiem: wszyscy wiedzieli o sobie wszystko.

A jedną z rozrywek elitarnego towarzystwa było przyglądanie się, jak niektóre lekkomyślne żony krążą wokół zakazanego owocu. Czasem podchodziły zbyt blisko i ulegały pokusie. Eliza wiedziała, że każda z tych kobiet została dyskretnie, lecz stanowczo wykluczona z liczących się kręgów. Jak powiedziała jej kiedyś, nie owijając w bawełnę, jedna z koleżanek: „Jeśli zbyt mocno pragniesz ulicznych uciech, to tam właśnie wcześniej czy później wylądujesz!”.

-Powiedz mi - zapytała, rzucając spojrzenie, które miało upewnić Bachma-na, że właśnie odpowiada na jego pytanie - czy naprawdę musimy wracać jutro do Sete?

Ramstein, Hamburg, Czwartek - piątek 6-7 marca 2008

Malloy dotarł na lotnisko JFK godzinę przed startem samolotu. Jako że leciał pierwszą klasą, kontrola przed wejściem na pokład nie była zbyt drobiazgową. Pytano jedynie dlaczego decyzja o podróży została podjęta w ostatniej chwili. Pokazał więc swoją legitymację z Departamentu Stanu. Zrobił to w oficjalnym stylu, typowym dla biurokratów rządowych: nie wypowiadając ani słowa, ze znużoną, lekko obrażoną miną.

-Jack Farrell? - zapytała kobieta, wpadając nieco w popłoch. Malloy spojrzał na nią z wystudiowaną obojętnością. -Kto?

-Przepraszam. Ja tylko... miłego lotu, proszę pana.

Kiedy Malloy dotarł do bramki, stacja CNN przerwała akurat program, by nadać wiadomości z ostatniej chwili. Chodziło oczywiście o Helenę Chernoff. Malloy zerknął na zegarek. Zdobyli tę informację w ciągu godziny - bez wątplenia dzięki Gilowi Fine. Na ekranie pokazano starą fotografię dwudziestodwuletniej wówczas Chernoff w mundurze wojskowym NRD. Wyglądała dobrze, a nawet bardzo dobrze. To znaczy, jeśli się gustuje w ładnych dziewczynach noszących mundur. Wyglądała trochę jak Gwen. Ładne wielkie oczy, ciemne krótkie włosy, zaciętość bijąca z twarzy oraz pewna niewinność. Oczywiście w przypadku Heleny Chernoff niewinność była tylko i wyłącznie mistrzowską mistyfikacją.

Ktoś w hali odlotów zawołał: „Dalej, Jack!”. Kilka osób uśmiechnęło się, słysząc doping dla zbiega. Na ekranie telewizora pojawił się ziarnisty kadr z kamery przemysłowej, na którym Chernoff wychodzi wraz z Jackiem Farrellem z Royal Meridien Hotel w Hamburgu. Według reportera, badania DNA przeprowadzone na podstawie śladów pozostawionych w ich wspólnym pokoju ho-

telowym potwierdziły, że między tymi dwojgiem istnieje zażyłość o wiele głębsza, niż relacje pracodawca - pracownica.

- Jack! Jack! Jack! - krzyczała jakaś grupka młodych mężczyzn, z wyglądu maklerów giełdowych. Nawet starsze panie się uśmiechały.

Reporter mówił, że Chernoff jest poszukiwana, by złożyć zeznania w przy- najmniej... - Niestety, Malloy nie dosłyszał, o ile spraw chodzi. Dźwięk telewizora był zagłuszany przez głośny doping dla Miliardera Uciekiniera ze strony obecnych na lotnisku ludzi. Kiedy znowu mógł usłyszeć słowa dziennikarza, mówił coś o rosyjskich i wschodnioeuropejskich biznesmenach powiązanych z organizacjami przestępczymi. W ogóle nie wspomniano o działalności Chernoff na Zachodzie.

Odwrócił się od ekranu telewizora i zastanowił przez chwilę nad Jackiem Farrellem, który bił obecnie rekordy popularności. Jane miała rację. Odkąd do akcji wkroczyła Chernoff, sprawa się skomplikowała. Nie da się tego wyciszyć ot tak, nawet po aresztowaniu uciekiniera. Media będą cały czas węszyć, szukając jakichś nowych sensacyjnych i skandalicznych wiadomości. Spisek ci A mający na celu wciągnąć w pułapkę ulubieńca Ameryki? To by była medialna bomba.

A gdyby wybuchła, Jane byłaby skończona - tak samo jak wszyscy, którzy są pod nią podczepieni.

W samolocie lecącym do Hamburga przez Londyn, Malloy przejrzał raporty FBI, które otrzymał od Gila.

Dowiedział się, że Farrell ulotnił się ze swojego apartamentu na Manhattanie trzydzieści sześć godzin przed tym, jak nowojorska policja dała cynk FBI. W pokoju nie było bałaganu -jedynie niezasałane łóżko oraz ubrania rozrzucone po podłodze. Zerknął na zdjęcia mieszkania. Jack Farrell bez wątpienia cieszył się

życiem. Przebiegł wzrokiem materiały, szukając informacji na temat Iriny Turner, czyli asystentki, która towarzyszyła Farrelowi w ciągu pierwszych dni ucieczki. Znalazł jej zdjęcie oraz życiorys. Jako asystentka administracyjna Farrella pracowała zaledwie kilka miesięcy. Była urodziwą blondynką lat trzydzieści dwa. Wykształcenie: brak danych. Urodzona na Litwie, od 2000 roku obywatelka Stanów Zjednoczonych. Obywatelstwo otrzymała po zawarciu związku małżeńskiego z Harrym Turnerem, amerykańskim biznesmenem, który często odwiedzał kraje nadbałtyckie. Para rozwiodła się cztery lata po ślubie. To było wszystko na temat pani Turner.

Malloy wrócił do dokładnego opisu poczynań Farrella, odkąd ten się ulotnił. Z jego telefonu komórkowego nie wykonano ani jednej rozmowy. Jego karta kredytowa również ani razu nie została użyta. Dwanaście godzin po jego zniknięciu ekipa FBI odkryła, że zrabował rezerwy gotówkowe trzech firm ubezpieczeniowych, których był właścicielem. Co ciekawe, miało to miejsce sześć tygodni przed ucieczką. Malloy głęboko się zamyślił nad całokształtem sprawy. Siedem tygodni temu SEC szykowało się do przesłuchań - zażądali, by Farrell przedstawił im swoje dokumenty finansowe. Facetowi zrobiło się nieco gorąco, ale niepotrzebnie wpadł w panikę. Zgarnął wtedy sześćdziesiąt milionów dolarów. To poważna kwota, ale jak się okazało, był to dopiero początek. Farrell dopiero się rozkręcał.

Kilka dni po kradzieży rezerw firm ubezpieczeniowych jedno z jego przedsiębiorstw handlowych zakupiło platynę za ponad pięćdziesiąt milionów dolarów, po czym natychmiast sprzedało wszystko niemieckiemu producentowi samochodów. To rutynowa transakcja, lecz otrzymane pieniądze zostały przekierowane do nowo utworzonego cash poolu. Stamtąd pieniądze uciekały we

wszystkie strony, na rozmaite konta, a potem ślad po nich ginał - nie można było ich dalej tropić. W ciągu kolejnych dwóch tygodni podobny proceder powtarzał się kilkakrotnie. To samo działo się w przypadku niektórych firm producenckich, w których Farrell posiadał pakiet kontrolny akcji. Dziesięć tam, trzydzieści gdzie indziej. Nie zwracało to niczyjej uwagi. Rutynowe operacje handlowe. Takiego rodzaju kradzieży może się dopuszczać każdy biznesmen. Szkopuł w tym, że podobne oszustwa zazwyczaj szybko wychodzą na jaw. Chyba że sprawca nagle znika jak kamfora...

Malloy nie miał wcześniej pojęcia, że Farrell przygotowywał się do swojego numeru od wielu tygodni. A powinien wiedzieć! Przecież nie wpycha się pół miliarda dolarów do walizki ani nie chowa dziesięciu ton złota w bagażniku samochodu. Nad tym trzeba posiedzieć, popracować. Trzeba zaplanować każdy krok. Tak długo, jak się da, należy robić wszystko dyskretnie, niezauważalnie. Bierze się pożyczkę, której nie ma się zamiaru spłacić, nie dostarcza się w terminie zeznań podatkowych, gubi się potwierdzenia poleceń przelewów. Celowo myli się tropy. Celowo tworzy się problemy z transportem towaru i wstrzymuje wypłaty pracownicze, rzekomo aż do momentu, gdy problemy zostaną rozwiązane, a w tym czasie przelewa się pieniądze na rachunek zbiorczy. A dalej na Kajmany, do Panamy, Nikozji, Bejrutu, Lichtensteinu czy innego miejsca, gdzie urzędnicy bankowi mogą odmawiać dostępu do danych zachodnim organom śledczym. Trochę pieniędzy tu, trochę tam. A przez cały czas wskazówki zegara nie stoją w miejscu. Farrell wiedział, że grunt pali mu się pod nogami. Wystarczy, że ludzie z jego różnych firm zaczną ze sobą rozmawiać i zauważą, że nagle spadły na nich identyczne problemy.

W Montrealu Farrell sprawił sobie i Irinie Turner nowe dowody tożsamości. Następnie prywatnym odrzutowcem polecili do Barcelony, mimo że pierwotnie mieli wylądować w Irlandii. Po kilku dniach od momentu ucieczki Farrella, złapano Irinę. Została aresztowana przez władze hiszpańskie, które postawiły jej zarzut posługiwania się fałszywymi dokumentami. Do Hiszpanii zaproszono agentów FBI, aby poprowadzili przesłuchanie. Malloy nie miał stenogramu, ale przeczytał raporty i sprawozdania. Turner wykazała chęć współpracy. Podała wystarczającą ilość szczegółów, aby F B i mogło odtworzyć wszystkie ruchy Farrella na drodze z Nowego Yorku do Barcelony. Wiedzieli, gdzie był wcześniej, ale nie wiedzieli, skąd wytrzasnął fałszywe dokumenty. A co najważniejsze, nie mieli pojęcia, dokąd Farrell zmierza.

Wkrótce po tym, jak znaleziono Irinę Turner, hamburska policja otrzymała anonimowy telefon z publicznego aparatu. Ktoś poinformował, że Jack Farrell ukrywa się w hotelu Royal Meridien. Dosłownie kilka minut po telefonie policja wtargnęła do pokoju, który zajmował Farrell. Lustro w łazience było jeszcze zaparowane, a ręczniki mokre. Na zmiętej pościeli świeże ślady stosunku seksualnego. Męski portfel na szafce. Paszporty i karty kredytowe. Wszystko oprócz samego Jacka Farrella. W ciągu kilku godzin policja zidentyfikowała jego nową dziewczynę, Helenę Chernoff.

Agenci specjalni FBI Josh Sutter oraz Jim Randal złapali w Barcelonie pierwszy samolot do Hamburga. Dotarli tam przed południem.

Malloy zamknął swój laptop i próbował się zdrzemnąć. Sen jednak nie przychodził. Cała ta sprawa nie dawała mu spokoju. Za dużo rzeczy w ucieczce

Jacka Farrella mu się nie podobało. Facet nie miał prawa wiedzieć o wiszącym nad nim nakazie aresztowania ani o poufnym akcie oskarżenia, a mimo to uciekł dosłownie kilka godzin po jego wydaniu. Najgorsze jednak było to, że zaczął wyciągać pieniądze z legalnych przedsiębiorstw i przelewać je na tajne konta bankowe - dokładnie w momencie, gdy ludzie z SEC zaczęli węszyć wokół procedur jego firmy. Gdyby każdy dyrektor generalny uciekał za każdym razem, gdy coś takiego ma miejsce, to wszyscy byliby zbiegami!

To nie miało sensu. Poza tym jeśli Farrell naprawdę bał się tego, że SEC coś wykryje, i wiedział, że patrzą mu na ręce, to powinien uciec gdzieś, gdzie nie groziłaby mu ekstradycja. Miał dostęp do co najmniej czterdziestu czy pięćdziesięciu milionów dolarów legalnej gotówki. Z taką kwotą oraz jego talentami mógł się osiedlić w jakimś nowym miejscu i zacząć nową karierę. Ludzie stale robią takie rzeczy. Istnieją kraje, które przymykają oko na „nieznaczące” pogwałcenie przepisów. Kraje, które z otwartymi ramionami witają miliarderów i ich fortuny. Kiedy jednak się okazuje, że chodzi o pieniądze z kradzieży, te same kraje nagle przestają chronić cię przed ekstradycją.

To właśnie mogło stanowić obecnie spory problem dla Farrella. Miał coraz mniej możliwości, a wszystkie były mało zachęcające. Mógłby zacząć działać na usługach jednego z tak zwanych państw zbójckich albo spróbować szczęścia z którymś dyktatorem. Mógł też zmienić swoje dane personalne i osiedlić się w jakimś kraju drugiego lub trzeciego świata.

Malloya dręczyło pytanie; dlaczego inteligentny człowiek, do grona których z pewnością zaliczał się Jack Farrell, miałby skazywać sam siebie na tak trudną sytuację?

Carcassonne, Francja, lato 1931

Następnego dnia po wspólnej kolacji Dieter Bachman odwiedził Rahna wczesnym rankiem w jego pensjonacie. Bachman wyglądał jak ktoś, kto ma zamiar złożyć jakąś niemoralną propozycję, lecz w rzeczywistości po prostu zapytał, czy Rahn nie mógłby na kilka dni zostać ich przewodnikiem. Młody Niemiec nie bardzo wiedział, co to oznacza, więc zaczął się wahać.

- Jest tu tyle do zobaczenia... - powiedział Bachman z nieco zakłopotanym uśmiechem. - Szczerze mówiąc, nie planowaliśmy z żoną zwiedzać okolic, ale pan wzbudził nasze zainteresowanie... to znaczy pana opowieści o katarach.

Dodał, że pokryje wszelkie wydatki Rahna oraz rzecz jasna wynagrodzi jego fatygę. Suma, którą podał, znacznie przekraczała średnią stawkę lokalnych przewodników. Rahn zastanowił się przez chwilę, zanim dał odpowiedź. Nie chciał sprawiać wrażenia człowieka, którego łatwo można kupić.

- Dokoła jest mnóstwo zawodowych przewodników - zauważył. - Czy dowiadywał się pan, ile biorą za swoje usługi?

- Jeśli ktoś szuka bajeczek, to z pewnością zapłaci mniej niż ja. Zdaję sobie z tego sprawę, Herr Rahn. Jednak nas nie interesują tego typu rzeczy. Jeśli pana grafik na to pozwala, chciałbym panu zająć tydzień lub dwa. Chodzi mi o niektóre zamki i większe jaskinie, trochę historii oraz kilka pouczających rozmów przy kolacji, tak abyśmy jak najwięcej wynieśli z naszego pobytu.

- Tego mogę się podjąć. Z całą pewnością. Szczerze mówiąc, to brzmi jak dobra zabawa.

Uścisnęli sobie ręce.

Kiedy został już sam, Rahn zastanowił się nad propozycją, którą przed chwilą przyjął. Słowa Bachmana nie sugerowały niczego niestosownego, ale jego zachowanie wydawało się dosyć dziwne, tak jakby prosił o coś więcej niż tylko o pokazanie Pirenejów. Chociaż instynkt podpowiadał mu, aby zachować ostrożność, postanowił zlekceważyć te ostrzeżenia. Bachman z pewnością nie wyglądał na kogoś, kto mógłby tolerować zdradę małżeńską. Przeciwnie: traktował te sprawy z powagą. Być może chciał jedynie poczuć, jak to jest, kiedy żona zdradza chęć zdrady. Być może lubił flirtować z niebezpieczeństwem. Oczywiście flirt z Frau Bachman nie byłby czymś trudnym. Wprost przeciwnie. Pani Eliza była wyjątkową kobietą. Śniada piękność, ponadprzeciętnie wysoka. Szczupła, atletyczna sylwetka. Zalotny uśmiech kobiety, która nadal ma ochotę kosztować ziemskich rozkoszy. Flirt z nią to byłaby betka! Poza tym wydawała się zainteresowana każdym słowem, które Rahn wypowiadał. Nie była więc słodką idiotką. I miała prawdopodobnie tyle lat, co on, pomyślał. Urodzona już w XX wieku. Dla niej też pierwsza wojna światowa musiała być tylko mglistym wspomnieniem z dzieciństwa. Była sporo młodsza od swojego męża - dziesięć, dwadzieścia lat różnicy? Sam Bachman nie był jakimś szczególnie odpychającym typem, tylko nieco zbyt pretensjonalnym.

Po wczorajszym wieczorze uznał, że są małżeństwem od kilku dobrych lat. Na pewno nie byli nowożeńcami. Prawdopodobnie poszukiwali iskry, dzięki której znowu poczuliby się tak, jak podczas miodowego miesiąca. Rahn zastanawiał się, czy Eliza wyszła za Bachmana z miłości, czy z wygody. Na pewno nie łączyła już ich żadna wielka namiętność. Dieter Bachman podobno dysponował sporym majątkiem. Tak przynajmniej mówiono. A bogaci zawsze dokładali wszelkich starań, by wieści o ich zamożności rozchodziły się tak szybko, jak tylko było to

możliwe. Niewykluczone, że Eliza była ubogą dziewczyną, która wpadła w oko niemieckiemu bogaczowi. A może sama również pochodziła z majątnej rodziny, tyle że zależało jej na zdobyciu lepszego nazwiska?

Rahn ciężko pracował, by móc spędzić lato we francuskich Pirenejach. Zaciśkał pasa, żeby jego wyjazd mógł trwać jak najdłużej. Miesiąc, nawet dwa. Całe szczęście, że Magre naraił mu tych Bachmanów... Miły wieczór przy winie zaowocował znaczną poprawą sytuacji finansowej młodego Niemca. Dzięki zleceniu Bachmana, które miało potrwać zaledwie tydzień, mógłby opłacić sobie dodatkowy miesiąc badań, nie wspominając o darmowym zwiedzaniu każdego średniowiecznego zabytku czy ruin w regionie.

A gdyby po drodze miał miejsce mały flirt z Frau Bachman, co by to komu szkodziło? Jeśli nikt nie wzięłby sobie tego wszystkiego za bardzo do serca, to cała trójka mogłaby się po prostu pysznie bawić...

-Chyba się zmieścimy, nieprawdaż?

Dieter Bachman wskazał ręką na auto. Był to Mercedes-Benz model SS K rocznik 1930 - długi, opływowy, sportowy kabriolet z niskim podwoziem. Jego wygięte niczym sylwetka kobiety przednie błotniki znajdowały się po obu stronach silnika biegnącego przez dwie trzecie długości wozu. Skromny bagażnik ledwo mógł pomieścić bagaże całej trójki, więc Rahn przywiązał swoje torby do tylnego zderzaka. Gdy zajął miejsce w wozie, okazało się, że delikatna Frau Bachman wylądowała mu prawie na kolanach.

- Ufam, że okaże się pan wierny zasadom katarów! - zażartował Bachman, czym rozśmieszył całą trójkę.

Wszyscy czuli się jak nastolatki jadące na ekscytującą wycieczkę.

Bachman lubił dociskać pedał gazu. Pruli przez wiejski krajobraz tak szybko, że Eliza bez przerwy obijała się o Rahna. Zaczęła zaprzętać głowę młodemu Niemcowi tak bardzo, że nie mógł myśleć już o niczym innym oprócz niej.

Czuł miły zapach jej czarnych włosów. Jej słodka, ciemna skóra była tak blisko jego ust... Łabędzia szyja, ciemne, nęcące oczy... W pewnym momencie, jakby zupełnie nie zdając sobie sprawy, jak na niego działa, rzuciła lekko:

- Czy przeszkadzam panu?

- Ależ skądże! - odpowiedział mężnie. Zatrzymali się, żeby rozprostować kości.

- Mam nadzieję, że przez moją żonę nie jest panu zbyt gorąco? - zapytał Bachman, zanim znowu wskoczyli do auta.

Wydawał się rozbawiony całą tą sytuacją.

Rahn skierował ich do wioski Ussat-les-Bains. Chciał im pokazać jedną z najokazalszych jaskiń w Europie. Zasugerował, że najpierw powinni jednak posiłkować się w Des Marronniers. Siedzieli na zewnątrz w cieniu kasztanów, którym hotel zawdzięczał swoją nazwę. Zamówili pieczoną kaczkę oraz butelkę miejscowego merlota. Podczas posiłku Rahn opisał najważniejsze rody żyjące w okolicy w latach poprzedzających krucjatę watykańską. Związki małżeńskie zawierano, nie bacząc na granice, język czy kulturę, co zresztą było normą w ówczesnej Europie. Zatem mówienie o katarach jako o narodzie było mało trafne. Stanowili raczej kulturę. Obecnie ten górzysty region południowej Francji jest terenem rolniczym i w dużej mierze zubożałym, lecz dawniej zdecydowanie wyróżniał się na tle feudalnej Europy: polityczną stabilnością, dobrze prosperującą gospodarką oraz pokojowymi stosunkami z sąsiadami.

- Biorąc pod uwagę tak świetną sytuację polityczną i ekonomiczną - tłumaczył Rahn - nie dziwi fakt, że mieszkańcy tego regionu zaczęli się interesować muzyką, poezją, sztuką oraz dobrymi manierami, co jest charakterystyczne dla cywilizacji na wyższym poziomie. To, co zrodziło się tutaj, a zwłaszcza tak zwana miłość romantyczna, rozprzestrzeniło się następnie po całej Europie, zawitało na wszystkie dwory królewskie. Wraz z licznymi legendami o Świętym Graalu.

Gdy podano kawę, Eliza zapytała Rahna, jak to się stało, że zainteresował się kulturą katarów.

-W moim przypadku wszystko zaczęło się od opowieści o Parsifalu Wol-frama Eschenbacha - odparł.

-To rycerz, który poszukiwał Graala?

-Tak. Był pierwszym człowiekiem, który wyruszył na poszukiwania Gra-ala, oraz jedynym, który ujrzał go na własne oczy.

- Czytałem Eschenbacha. Co prawda było to dawno temu - wtrącił Herr Bachman.

-Krótko mówiąc, Parsifal odnalazł drogę do zamku chromego Króla Rybaka. Podczas uczty był świadkiem procesji, w której rycerze oraz damy nieśli przez dziedziniec włócznię z kości słoniowej oraz złoty kielich. Z grotu włóczni bezustannie kapały krople krwi, które spadały prosto do kielicha. Parsifal był

zafascynowany tym widokiem, jednakże pamiętał pouczenia, by z racji swojego młodego wieku nie zabierać zbyt często głosu, bał się więc zapytać o to, co właśnie zobaczył. I to był jego wielki błąd. Gdyby tylko zadał wtedy to pytanie, święty kielich, czyli Graal, stałby się jego własnością, Król Rybak zostałby uzdrowiony, a chylące się ku upadkowi królestwo odzyskałoby dawną świetność.

Ponieważ jednak tego nie zrobił, zapadł w sen, a gdy się obudził, okazało się, że jest sam jak palec na jakimś pustkowiu. Bachman i Eliza słuchali z uwagą.

-Uświadomiłem sobie, że poemat Eschenbacha to nie jakaś bajka rozgrywająca się w świecie fantazji, tylko alegoria losu katarów. Kiedy autor tworzył swoje dzieło, ich kultura jeszcze nie całkiem upadła, lecz była już na skraju niebytu. Zacząłem czytać o miejscowych rodach i zrozumiałem, że mityczny zamek z opowieści Eschenbacha to Montsegur, ostatnia forteca katarów próbujących dać odpór armii Watykanu. Postanowiłem, że muszę tu przyjechać i zobaczyć wszystko na własne oczy.

Po posiłku Rahn zabrał towarzyszy podróży do jaskini Lombrives. Jest ona jednym z największych skarbów południowej Francji. Kolumny o barwie jaśminu oraz błyszczące stalaktyty wiszące u sufitu niczym zęby rekina. W głębi jaskini znaleźli tak zwaną Katedrę, podziemną kryptę, która rozmiarem przewyższała największe katedry europejskie.

- Iberowie oddawali tu cześć słońcu, na długo przed tym, zanim na te tereny przybyli Grecy - wyjaśnił Rahn. - Po tym jak w 1209 roku zaczęła się krucjata, katarowie z doliny rzeki Ariege pielgrzymowali tutaj, ponieważ Kościół odebrał im siłą wszystkie świątynie i zastąpił życzliwych wobec nich księży dominika-nami - członkami zakonu, który przewodził inkwizycji.

W jednej z bocznych krypt Rahn pokazał im wyblakły obraz włóczni, z której krew cieknie prosto do kielicha.

- W Zamku Graala Parsifal ujrzał Włócznie Przeznaczenia - powiedział młody Niemiec. - Włócznia, jako symbol religijny, cieszyła się wśród katarów większą

popularnością niż krzyż. Zresztą nie bez powodu. Symbolizowała rycerstwo i nie miała żadnego odpowiednika w Kościele. Stała się zatem emblematem ich wiary.

- Jeśli Włócznia wiecznie krwawi - zauważyła Eliza - a mimo to kielich nigdy nie jest pełny po brzegi, to musi też symbolizować wieczną i nieodwzajemnioną miłość między kochankami.

Rahn spojrział na nią z zaciekawionym wyrazem twarzy.

- Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy - odparł. - Na pewno jest to coś, nad czym warto się głębiej zastanowić!

- Czy jednak ówczesni ludzie byliby w stanie pojąć tego typu symbolikę Kielicha i Włóczni, które są rzekomo odbiciem uczucia pomiędzy kobietą a mężczyzną? - zapytał Bachman.

- Czy nie jest to zbyt współczesny koncept?

- Moim zdaniem dla katarów siła tego symbolu tkwiła we krwi, a nie we Włóczni czy Kielichu. Oni rozumieli ten obraz jako symbol wszystkiego, co nieustannie się odradza, tętni wiecznym życiem...

- Tak jak ich namiętność... - wyszeptała Eliza.

Francuskie Pireneje, lato 1931

Rahn, Eliza i Bachman niczego pomiędzy sobą nie ustalali. Nie musieli. Nikt z nich, a już najmniej Bachman, nie wytyczał granic ani nie dyskutował o naturze tego, za czym podążają. Mimo to w ciągu kolejnych dni relacje między całą trójką się pogłębiły. Czuli się z tym dobrze i wygodnie. Państwo Bachmanowie byli dobrymi kompanami podróży. Ciekawiła ich wiejska okolica oraz miejscowe zwyczaje, a nawet dialekt, który był wyjątkowy na tle całego regionu. Herr

Bachman zadawał inteligentne pytania na temat fortec. Sam walczył na wojnie, a zanim został zwolniony, był nawet przez chwilę majorem. Natomiast jego żonę bardziej interesowały historie miłosne. Wypytywała o małżeństwa, rodziny oraz romanse katarskie. Jej entuzjazm przywodził niekiedy na myśl kobiety, które lubują się w czytaniu dziewiętnastowiecznych powieści francuskich. Bachman, zamiast martwić się rosnącą sympatią Elizy dla ich przewodnika, czasami nawet zostawiał ich sam na sam. Nie na długo i nie w warunkach sprzyjających intymności, lecz widać było, że chce im dać możliwość zamienienia kilku słów w cztery oczy. Wraz z upływem dni, w młodym Niemcu nasilała się ochota, by za którymś razem, podczas ich *tete-a-tete*, zapytać, czy mógłby odwiedzić Elizę w Sete lub zimą przyjechać do Berlina. Rozpaczliwie pragnął się przekonać, czyjej zainteresowanie jego osobą to coś więcej niż przelotny kaprys i flirt - flirt, któremu jej mąż najwyraźniej kibicował. Prawda była taka, że Rahn... zakochawał się w Elizie. Wiedział, że nie ma najmniejszych szans na przekonanie jej, by porzuciła męża i jego majątek. Był jednak zdeterminowany zrobić wszystko, co w jego mocy, by przeżyć z nią romans. Sytuacja była jednak bardzo delikatna. Wystarczyło jedno słowo, żeby wszystko popsuć. Rahn nie miał zielonego pojęcia, czy Eliza wie, jakie wzbudza w nim uczucia. Nie wiedział też, czy bierze ich flirt na poważnie. Na pewno czuła się dobrze w jego towarzystwie, ale to nie to samo co zgoda na potajemną schadzke! Rahn czekał na jakiś sygnał z jej strony. Żaden się jednak nie pojawiał. Widać było, że Elizie sprawiało wielką przyjemność rozmawianie z młodym przystojnym Niemcem, czy to w cztery oczy, czy w obecności męża. Polubiła siedzenie blisko niego podczas przemierzania kolejnych kilometrów. Czasami opierała się o niego, a jej piękne włosy muskały jego twarz. Rahn zdążył już dostrzec, że był dla niej jak wytwór wyobraźni, postać

z książki. Nie mógł mieć pewności, czy traktuje go serio. Niekiedy miał wrażenie, że gdyby tylko dostatecznie długo mogli zostać sam na sam, Eliza rzuciłaby mu się w ramiona. Kiedy indziej znowu wydawało mu się, że nawet najsubtelniejsza prośba o pocałunek spotkałaby się z gniewnym protestem z jej strony.

Podczas kolacji, po całodniowym zwiedzaniu wspaniałych ruin w miejscowości Minerve na południu regionu, Herr Bachman zaproponował, by dać już spokój tym formalnościom. Czeka ich jeszcze kilka dni wspólnej podróży, więc jest rzeczą bezsensowną, żeby zwracać się do siebie per „pan” i „pani”.

- Przecież już zostaliśmy przyjaciółmi, a XIX wiek zdążył dawno odejść do lamusa! - obwieścił Bachman. - Ja mam na imię Dieter. Moja żona to Eliza.

- Mówcie mi Otto - powiedział Rahn.

Rzecz jasna, po czymś takim musiał mieć miejsce bruderszaft. Świątowali całą noc. Bachman porzucił sztywny sposób bycia oraz patologiczny lęk przed niewłaściwym zachowaniem. Eliza również była mniej powściągliwa i częściej się śmiała. Nie tylko zaczęli zwracać się do siebie po imieniu, ale też zrozumieli, że nawet gdy podróż dobiegnie końca, ich przyjaźń musi trwać dalej. Muszą pozostać w kontakcie! Co jakiś czas odwiedzać się nawzajem, prowadzić korespondencję. Przecież to rzecz naturalna w przypadku przyjaciół!

Było już bardzo późno. Kelnerzy kręcili się po ciemnej sali, dając do zrozumienia, że goście powinni już kończyć swoje przyjęcie.

- Drogi Otto - powiedział w pewnym momencie Bachman - jeśli zakochałeś się w mojej żonie, to ja nie mam nic przeciwko temu!

Na twarzy Rahna odmalował się wyraz kompletnego zaskoczenia.

- Mówię poważnie! - ciągnął Bachman. - Tylko proszę cię: nie rób ze mnie durnia, nie okłamuj mnie! Nie chcę być przez nikogo nabijany w butelkę!

- Ma się rozumieć - odparł Rahn po rycersku. Przeniósł wzrok na Elizę. - Pytanie brzmi: czy Eliza jest zainteresowana.

- W tym ci już nie pomogę! - stwierdził Bachman. - Człowiek nie jest w stanie zrozumieć kobiety. Kochanie, czy jesteś zainteresowana zacnymi uczuciami naszego przyjaciela?

Eliza była zbulwersowana grubiańskim zachowaniem męża. Wbiła wzrok w kieliszek wina.

- Upiłeś się, mój drogi. Lepiej zakończmy już ten wieczór i rozejdźmy się do swoich pokojów...

Jednak Bachman nie miał ochoty kłaść się do łóżka. Przez jakiś czas perorował o zwyczaju katarskich kochanków prowadzenia korespondencji, przyrzekania sobie wiecznej miłości w listach. To wcale nie taki zły pomysł, jeśli tylko małżeństwo na tym nie ucierpi. Nie miałby nic przeciwko miłości Elizy i Ottona, pod warunkiem, że ich związek pozostanie czysty.

- Robienie do siebie maślanych oczu to co innego - powiedział już z mniejszym humorem. - To trwa już od samego początku. Od waszego pierwszego wejrzenia...

Kiedy wracali do swoich pokoi, Bachman prawie spadł ze schodów. Rahn musiał pomóc Elizie wciągnąć pijanego męża na górę. Gdy znaleźli się w ciemnym pokoju, zapytał, czy ma jej pomóc położyć go do łóżka.

- Jeśli nie masz nic przeciwko! Chyba trochę przesadził z alkoholem... - powiedziała.

Była wściekła na męża. Zazwyczaj nie doprowadzał się do takiego stanu. Była też zła, że Herr Rahn nie zaprotestował, kiedy Bachman tak grubiańsko i nie-taktownie się zachował, oferując jej uczucia jak towar na targu - nieważne, czy jego intencje były czyste, czy nie.

Ułożyli Bachmana na łóżku. Rahn ukląkł na jednym kolanie, by zdjąć mu buty. Eliza pomyślała, że to bardzo ładnie z jego strony, niemniej trąciło to służalczością. Był ich przewodnikiem, a nie lokajem!

- Ja się tym zajmę - zaprotestowała. Rahn podniósł oczy, by na nią spojrzeć.

- To dla mnie żaden problem. Sam zaliczyłem kilka takich wieczorów i wiem, że nie powinno się spać w butach.

Eliza oddychała głęboko, zmęczona po dźwiganiu męża, lecz nagle zrozumiała, że zrobiło się jej gorąco z powodu tego, że znalazła się wreszcie sam na sam z młodym Niemcem.

- Ja to zrobię! - powtórzyła. Nachylając się, by zdjąć drugi but Bachmana, otarła się pierśią o ramię Rahna. To nie był planowany manewr, ale przez chwilę pozostała w takiej pozycji.

Zapomnieli o pijanym mężu. Rahn odsunął się odrobinę, ale tylko po to, by móc dotknąć jej włosów. Odgarnął je z twarzy Elizy, aby lepiej jej się przyjrzeć. Albo żeby ją pocałować - Eliza nie miała pewności...

Upuściła nogę męża i zerwała się na równe nogi, jakby ten dotyk parzył.

- Proszę iść do swojego pokoju, Herr Rahn.

Wstał, lecz nie wyszedł. Spojrzał jej głęboko w oczy. Uśmiechnął się. Nie był aż tak pijany, jak jej się wydawało.

- Pójdiesz ze mną?

- Wyjdź! W przeciwnym razie powiem Dieterowi, jak haniebnie się zachowałeś.

- Sądzę, że nie powiesz - odparł niewzruszony.

Ujął jej dłoń. Pokręciła głową na znak protestu, ale nie była w stanie mu się wyrwać. Nie chciała.

- Sądzę, że chcesz pójść ze mną... - powiedział.

Zbliżył się do niej. Chciał ją pocałować, jeśli mu na to pozwoli.

- Być może chcę - odezwała się, spuszczać głowę. - Być może chcę nawet bardziej, niż myślisz. Ale to, czego chcę, i to, co zrobię, to dwie zupełnie inne sprawy. A teraz proszę cię, wyjdź.

Rahn się uśmiechnął. Tym razem wziął sobie do serca prośbę Elizy. Odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. Po chwili jednak zatrzymał się w progu. Oparł się swobodnie o framugę drzwi.

- Domyślam się, że wszyscy dokoła zazdroszczą twojemu mężowi jego fortuny. Jestem też pewny, że prawie każdy mężczyzna zazdrości mu takiej pięknej żony. A chcesz wiedzieć, czego ja mu zazdroszczę?

- Nie mam bladego pojęcia. Nie mam również ochoty wysłuchiwać tych nonsensów - odparła.

- Zazdroszczę mu... twojej lojalności. Gdybyś była moja, ja bym tak nie ryzykował...

- Nie jestem twoja - przerwała mu.

- Nie dzisiaj.

- Ani dzisiaj, ani nigdy, Herr Rahn.

- Mam na imię Otto. Zdażyłaś już zapomnieć? - zapytał.

- Precz - wyszeptała. -I zamknij za sobą drzwi. Kiedy została już sama, nie była w stanie zmrużyć oka.

Rozmyślała o młodym mężczyźnie, tuż za ścianą. Słyszała, jak chodzi po pokoju, a potem się rozbiera. Słyszała, jak skrzypią sprężyny, kiedy położył się na łóżku.

Mogłabym teraz być tam, a nie tu... Mogłabym mieć teraz to, czego chcę. Wystarczyłoby zapukać. Nikt by się nigdy nie dowiedział, myślała, leżąc w ciemnościach w swoim łóżku.

Nie wstała i nie poszła zapukać. Dlaczego? Nie była w stanie powiedzieć.

Hamburg , Hotel Royal Meridien, piątek, 7 marca 2008

Samolot wylądował w Londynie zgodnie z planem. Trzy godziny później Malloy znów był w chmurach, lecąc już prosto do Hamburga. Przed dwunastą w południe przeszedł przez kontrolę celną i ujrzał postawnego blondyna, Amerykanina, trzymającego tabliczkę z napisem „Mr. Thomas”. Mężczyzna musiał zbliżyć się do czterdziestki. Miał przyjazną twarz, szerokie ramiona i wysportowaną sylwetkę. Na jego palcu błyszczała obrączka.

- Chyba czeka pan na mnie - powiedział Malloy.

- Miło mi, panie Thomas. Nazywam się Josh Sutter. - Mężczyzna wręczył mu swoją wizytówkę. Malloy nie dał mu własnej.

- Proszę mówić do mnie T.K. Mnie również miło pana poznać. - Uścisnęli sobie ręce.

Przed lotniskiem czekało auto. Jasnoczerwony, wypożyczony dzień wcześniej s u v. Partnerem Suttera był agent specjalny Jim Randal. Facet był miły i

uprzejmy, ale bardziej podejrzliwy niż jego kolega. Poprosił Malloya o okazanie dowodu tożsamości. Malloy wyłowił sfatygowaną legitymację Departamentu Stanu, na której widniało stanowisko biegłego rewidenta księgowego. Sutter i Randal błysnęli dwiema odznakami.

Randal był prawdopodobnie w wieku Suttera, ale wyglądał na starszego. Na pewno był bardziej zblazowany. Lekko łysiał i nosił kilka dodatkowych kilogramów. Po krótkiej wymianie zdań na temat pogody oraz podróży Malloy mógł się założyć o wszystko, że Randal urodził się i wychował w Nowym Jorku. Akcent Suttera był częściowo nowojorski, ale mężczyzna pochodził raczej gdzieś z Midwestu, na północ od Chicago. Może z Wisconsin. Jego sposób bycia sugerował, że jest uczciwym, pracowitym chłopakiem z prowincji, który przeprowadził się do miasta. Choć obaj agenci tak bardzo się od siebie różnili, widać było, że oprócz pracy łączy ich także przyjaźń.

- Royal Meridien. Pasuje ci? - rzucił Josh Sutter.

- Tam się zatrzymaliście? - zdziwił się Malloy.

- Niemiecki detektyw, który z nami współpracuje, załatwił nam zniżkę - odparł Sutter, uśmiechając się przy tym szeroko. Kto by nie chciał pokoju w pięciogwiazdkowym hotelu?

- Ładne mają pokoje?

- Bombowe!

- Brzmi nieźle.

David Carlisle założył podsłuch w wypożyczonym aucie agentów FBI kilka godzin po tym, jak wylądowali w Hamburgu. Wiedział więc, że jakiś „pan Thomas” z Departamentu Stanu został przysłany tu z Nowego Jorku. Carlisle od razu

założył, że pan Thomas to w rzeczywistości Thomas Malloy. Pojechał więc na lotnisko, aby rzucić na niego okiem. Trzymał bezpieczny dystans, kiedy Malloy i Sutter wyszli z hali przylotów i wsiedli do wozu, w którym czekał na nich agent Randal. Chwilę po tym, jak odjechali, pojawiła się taksówka i Carlisle wskoczył do środka. Za kierownicą siedziała Helena Chernoff.

- Jesteś pewna, że to Malloy? - zapytał ją.

- Nie obrażaj mnie. Carlisle się uśmiechnął.

Automatyczny, kobiecy głos, z brytyjskim akcentem, nawigował jazdę samochodem z lotniska do centrum miasta.

- W Barcelonie nie mogliśmy znaleźć żadnego odbiornika GPS - oświadczył agent Randal - i połowę pobytu spędziliśmy nad cholerną mapą. Przyjechaliśmy tutaj i kupiliśmy sobie taką oto panienkę w pudełku. Mówi takim tonem, że aż mnie ciarki przechodzą... Czasami, kiedy źle skręcę, potrafi mnie dosłownie zbesztać!

Josh Sutter był nieco zmieszany paplaniną partnera. Powiedział, że dzięki ciągłemu gubieniu się w Barcelonie przynajmniej udało im się zwiedzić miasto.

- Szprechasz trochę po niemiecku, T.K.? - zapytał Jim Randal.

Rodzice Malloya przenieśli się do Zurychu, kiedy miał siedem lat. Zanim ukończył czternasty rok życia, mówił już płynnie w dialekcie *Schweizerdeutsch* i powoli uczył się rozumieć niuanse *Hochdeutsch*. Dzięki dwudziestoletniej pracy w Europie, Malloy był niemalże Europejczykiem. Oczywiście FBI nie musiało o tym wiedzieć.

- Dam radę zamówić piwo albo kawę - powiedział.

Sutter przez chwilę główkował.

- To jest... tak samo jak po angielsku, co?

Malloy odpowiedział na to rozbrajającym uśmiechem. Przynajmniej miał nadzieję, że był rozbrajający.

- Tyle to my już wczoraj się nauczyliśmy. Znaczący, podstawy. Nie? - rzucił Randal. - Toaleta to *Toilette*. Piwo to *Bier*. Kawa to *Kaffe*. Dowiem się jeszcze, jak po niemiecku zamawia się stek i będę mógł tu normalnie zamieszkać.

- Posłuchaj tego. Myślałem, że znam co nieco hiszpańskiego - oświadczył Josh Sutter - ale kiedy dolecieliśmy do Barcelony, nie rozumiałem nawet ich angielskiego!

- Jak was traktują tutejsi gliniarze? - zapytał Malloy.

- Są w porządku!

- Prawdziwi profesjonaliści - potwierdził Randal. - Szczególnie Niemicy.

- Szczerze mówiąc, to mnie bardzo zaskoczyło. No wiesz, na starych filmach wojennych wszyscy Niemcy podnoszą ręce i krzyczą *HeilHitler*, nie? No więc... przylecieliśmy tu i szykowaliśmy się na swastyki co krok i ludzi maszerujących po ulicy jak żołnierze, ale oni się uśmiechają i są przyjacielscy...

- Wydajni! - przytaknął Randal. - Pierwsze co się rzuca w oczy. ich biura są czyste. Więcej: one lśnią czystością. Na biurkach nie walają się papiery i teczki. Nie ma śladów po kubkach z kawą. Czysto jak na sali operacyjnej! Wiesz, jak to jest, kiedy się trafi na posterunek w Nowym Jorku. Wszędzie się...

- Wczoraj przyjechaliśmy - Sutter przerwał koledze opisy nowojorskiego bałaganu - a oni nam od razu dają raporty, które są już przetłumaczone! Przydzielili nam takiego gościa... Jak mu tam...

- Hans! - zawołał Randal zza kierownicy. Widać było, że lubi Hansa.

- O, właśnie, Hans - potwierdził Sutter. - W życiu bym sobie nie przypomniał, nawet gdyby mi ktoś przyłożył spluwę do skroni! Chodzi o to, że Hans chodził do szkoły w Karolinie Południowej, więc jest takim pół Niemcem, pół Amerykaninem, ale po angielsku nawija lepiej niż ja!

- I o wiele lepiej niż ja! - dodał Randal.

- Niemcom jest głupio - obwieścił Malloy rzeczowym tonem.

Tak jak się spodziewał, obaj agenci zamilkli. Wreszcie odezwał się Sutter:

- Jest im głupio, że pozwoli uciec Farrelowi?

- Niemcy obserwują, co my robimy, a potem nas naśladują. Tylko że chcieliby to robić lepiej - zawyrokował Malloy.

- Ale my też pozwoliliśmy mu uciec! Malloy wzruszył ramionami.

- Bo nie jesteśmy aż tak wydajni, jak Niemcy - odparł.

Randal spojrział w lusterko, jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Suttera.

Oceniali Malloya, a nie to, co mówi. To było w porządku. Chodziło mu o to, żeby przeciągnąć obu agentów na swoją stronę.

- Mówię wam. Zasypię was tonami dokumentów, żeby wam udowodnić, jacy są wydajni - oświadczył.

- Niech robią, co chcą - powiedział Sutter ze śmiechem. - To i tak lepsze niż nasza przygoda w Hiszpanii.

- Tamci w Barcelonie - przejął temat Randal - nigdy nawet nie słyszeli o języku angielskim! Zawołali jakąś tłumaczkę. Nie mogliśmy zrozumieć ani słowa!

Wszystkie raporty mieli po hiszpańsku. Musieliśmy je faksować do Nowego Jorku,

żeby ktoś je tam dla nas przetłumaczył.

- Ciągłe czekamy na wyniki badań DNA pobranego z pościeli z pokoju hotelowego w Barcelonie - powiedział Sutter.

- Niemcy mieli już wyniki badań DNA, kiedy nasz samolot lądował na lotnisku. Dwanaście godzin po tym, jak znaleźli dowody.

- Rozumiem, że rozmawialiście z Iriną Turner w Barcelonie - zapytał Malloy.

Sutter kiwnął głową, ale na jego twarzy pojawił się wyraz ostrej frustracji.

- Nic się nie dało z niej wycisnąć. Ona była jego sekretarką. ..

- Sekretarką - poprawił go Randal. - Kochanką łamane przez asystentką.

Pewnie chodziło o bara-bara w biurze. Inne trzy czy cztery asystentki zajmowały się papierami i umawiały spotkania.

- Dziewczyna z Rosji? - dopytywał się Malloy.

- Z Litwy.

- No tak...

- Jest przerażona - mruknął Randal.

- Dalej trzymają ją w Barcelonie?

- Oni chyba tak naprawdę wcale jej tam nie chcą - odparł Sutter. - Podróżowała na fałszywym paszporcie, ale to wszystko, co można jej zarzucić.

- Władzom takie rzeczy się nie podobają - zauważył Malloy.

- Ale ona niczego nie podpisywała, nie chodziła po ambasadach. To Farrell wszystko ustawił i nagrał. Dziewczyna znajdzie sobie dobrego adwokata i będzie mówiła, że nic o tym nie wiedziała i myślała, że paszport, który dał jej Farrell, był prawdziwy.

- Że niby robiła tylko to, co kazał jej szef - dorzucił Randal.

- Opowiadała nam, że przylecieli do Barcelony, a tam w telewizji same kanały obcojęzycznie. Po angielsku było tylko CNN. Cały dzień siedzieli w pokoju, gapiąc

się na CNN. Kiedy wychodzili, to Farrell nawijał po hiszpańsku. Dziewczyna czuła się... wyalienowana. Powiedziała mu, że chce pojechać gdzieś, gdzie będzie mogła zrozumieć to, co ludzie mówią. Na przykład do Rosji. Tyle że Farrell nie mówi po rusku.

- W każdym razie - przejął wątek Randal - pewnej nocy Farrell każe jej zejść na dół do restauracji. Mówi jej, że zaraz do niej dołączy...

- Ale się ulatnia.

- Miał już dość jej głędzenia - zawyrokował Randal.

- Dziewczyna siedziała w hotelu całą noc. Czekala na niego - powiedział Sutter. - Rano poszła na policję. Nic nie miała - ani dokumentów, ani kasy. Tylko cholerny rachunek hotelowy, którego nie mogła zapłacić.

- Tamci gadali do niej po hiszpańsku, a ona nic nie rozumiała.

- Kiepska sprawa - przyznał Malloy.

- Zapytałem ją: przecież wiedziałaś, że nie mówisz po hiszpańsku. Po co poszłaś na policję? A ona mówi: „Nie wie działałam, że tak to będzie.” - opowiadał Sutter.

- Przynajmniej ładna z niej dziewczyna - mruknął Malloy.

- E tam. Zetrzeć jej makijaż, wsadzić ją w pasiaki, a oka że się, że całkiem przeciętna, nic specjalnego - zaproponował Sutter. Malloy doszedł do wniosku, że agent lubi wytapetowane kobiety. Pewnie swojej żony nie widział bez makijażu przez rok po ślubie.

- Chodzi o to, że ta panienska jest... - Randal szukał odpowiedniego słowa - jakby... jego niewolnicą. Robiła wszystko, czego Farrell sobie zażyczył.

- Szkoda, że moja żona nie jest trochę bardziej w tym stylu! - palnął Sutter.

- To znaczy, moja żona jest super. Tylko że czasami...

- Ciągłe ci powtarzam, chłopie, nosisz kajdanki, więc zrób z nich użytek!

- To mówi facet po dwóch rozwodach i z długą listą byłych narzeczonych. Jim Randal uśmiechnął się i machnął ręką. Widocznie jego kobiety spełniały rozkazy. Dopóki z nim wytrzymały...

-Hans mówił nam - odezwał się Sutter z tylnego siedzenia - że wiele z tych dziewczyn z byłego Związku Sowieckiego chce za wszelką cenę wyjechać na Zachód i wychodzą za mąż za pierwszego lepszego faceta przy kasie. No wiesz, jacyś starsi faceci, którzy nie chcą żadnych kłopotów. Te dziewczyny robią to, co im się każe, a w nagrodę mieszkają na Zachodzie.

-Wielu Niemców nienawidzi Rosjan - poinformował ich Malloy. - Trudno w to uwierzyć, ale to jeszcze pozostałości po II wojnie światowej. Obie strony dopuściły się koszmarnych zbrodni, ale wiecie jak to jest. Kiedy komuś z rodziny ktoś zrobi coś złego, to człowiek nie patrzy na to obiektywnie. Nie przebacza się tylko dlatego, że minęło pięćdziesiąt czy sześć dziesiąt lat. W przypadku Amerykanów niechęć do Ruskich była natury ideologicznej. U Niemców jest to coś, co oni mają we krwi. Poza tym przez zimną wojnę to wszystko trwało dalej. Dlatego tak na co dzień porządni obywatele pod byle pretekstem pozwalają sobie na niewybredne komentarze. No wiecie, że niby wszyscy Rosjanie to moczymordy, a wszystkie Rosjanki to dziwki. Tego typu rzeczy. Trzeba uważać, żeby nie nabrać się na takie obiegowe opinie. Irina Turner może być kimś, o kim nie macie pojęcia.

- Jedno jest pewne: panienska nie grzeszy inteligencją - powiedział Randal z mocnym akcentem rodem z Queens.

Sutter pokiwał głową.

- Dam ci przykład, T.K. W trakcie przesłuchania pada pytanie: gdzie Farrell planował pojechać. Dziewczyna mówi, że może do Włoch. Pytamy, czy wspominał o jakimś konkretnym mieście. A ona mówi: „Tak. Mówił coś o Genewie”.

- Pierwszego męża spotkała w Sankt Petersburgu - wyjaśnił Randal. - Był jakimś biznesmenem ze Stanów, który nie miał nic przeciwko temu, żeby zamieszkała z nim urodziwa kobitka. Tyle że sporządza intercyzę, według której dziewczyna

dostaje nic, dosłownie nic, w przypadku rozwodu. Faceta po jakimś czasie nudzi jej rosyjski akcent i dziewczyna ląduje na ulicy.

- W gazecie znalazła ogłoszenie - kontynuował historię agent Sutter. - Szukali hostessy na imprezy. I tak oto wylądowała na jednym z przyjęć Jacka Farrella na Long Island. Podczas orgii dziewczyna dobrze się spisała, więc tydzień później Farrell zatrudnił ją jako swoją asystentkę.

Malloy się roześmiał.

- Dobra, może ten cały Hans miał rację, jeśli chodzi o Rosjanki.

- T.K., jesteś biegłym rewidentem? - rzucił Jim Randal z akcentem z Queens. Zadając pytanie, spojrzął w lusterko wsteczne. On i jego partner przez cały czas spekulowali na temat nowego znajomego.

- Zgadza się - przytaknął Malloy. - Plan jest taki, żeby znaleźć pieniądze Farrella, a potem dzięki nim jego samego. Po nitce do kłębka.

- Tak, wiem co nieco o takich planach... - skomentował Randal protekcjonalnym tonem. - Spotkaliśmy już takich jak ty. Odkąd wybuchła ta afera, poca się nad sprawą dzień i noc. Ale powiem ci coś przykrego: forsy nie ma. Zginęła.

Zdobyliśmy karty kredytowe Farrella. To tylko jakieś małe konta bankowe gdzieś na jakimś wygwizdowie.

- Ale pieniądze muszą skądś płynąć.

- No jasne. Z Montrealu. Pierwsze, co zrobił Farrell, to otworzył sobie konto w Montrealu. Tak samo w Barcelonie. Na każdym zdeponował pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Urzędasy pocą się nad wyciągami i kartami kredytowymi. Ale ta wielka kasa, czyli to, co facet przelewał na różne konta, zanim się ulotnił, popłynęła przez banki, które nie chcą nam dać żadnych informacji. Mam na myśli miejsca takie jak...

- Wiem, o co chodzi - przerwał mu Malloy.

- A ty możesz wytropić te przelewy? - zapytał Josh Sutter.

W tej chwili uwierzyłby nawet, że Malloy umie przechodzić przez ściany. Sutter za wszelką cenę chciał dorwać Jacka Farrella. Złapanie go i odesłanie z powrotem do u s A oznaczałoby dla niego awans.

- Po to właśnie tutaj przyleciałem - odpowiedział Malloy.

Obaj agenci zamilkli. Trawili to, co przed chwilą usłyszeli. Agent, doszli do wniosku.

Chernoff i Carlisle słyszeli każde słowo wypowiedziane w samochodzie, którym jechał Malloy z dwoma agentami. Kiedy dotarli do miasta i wysiedli z wozu, podszuch się urwał.

Carlisle jednak namierzył obu agentów na komputerze Chernoff dzięki sygnałom z ich telefonów komórkowych. Obaj weszli do hotelu, a Malloy zapewne razem z nimi.

- Co o tym sądzisz? - zapytała Chernoff. Była niewysoką kobietą z ciemnymi oczami oraz jasną, kremową karnacją. Kilka lat temu byli kochankami. Ich romans podszyty był jednak obustronną nieufnością. Nawet kiedy się całowali, musieli mieć oczy szeroko otwarte. Dali więc sobie spokój i zostali współpracownikami. Po jakimś czasie darowali sobie nawet uprzejmości. Chernoff zabijała ludzi na zlecenie i brała za to gigantyczne pieniądze. Kiedy w końcu doszła do wniosku, że guzik ją obchodzi, co myśli o niej dawny kochanek, kompletnie zaprzestała grzecznościowych rozmów. Carlisle, który miał styczność z mordercami wszelkiego autoramentu, uważał, że Helena Chernoff jest najbardziej wyzutą z uczuć, zimnokrwistą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Wydawało się, że jej nigdy nie nudzi się ta gra i że nigdy nie kwestionuje wyborów, których dokonała, gdy była młoda. Patrzyła tylko i wyłącznie w przyszłość. Przeszłość odrzucała bez problemu, tak jak wyrzuca się stare ubrania. Chernoff nie wiedziała, co to przyjemność. Z wyjątkiem tych chwil, kiedy w trakcie intymnych zbliżeń odcinała swojemu partnerowi genitalia - podczas gdy ofiara patrzyła na to w kompletnym szoku. Nawet jadła jak robot. Zresztą mogła obejść się bez jedzenia i picia przez cały dzień, dopiero wieczorem coś przekąsić, nie dbając przy tym o smak potrawy i nie czerpiąc z tego ani odrobiny radości. Ciągle żyła w cieniu. Nauczyła się uprawiać seks jak dobrze opłacana kobieta do towarzystwa. Robiła to w sposób kompetentny, lecz wyrachowany. Dla niej był to czysty biznes. Po stosunku zachowywała się tak intymnie jak ulicznica.

Natomiast David Carlisle postrzegał siebie jako człowieka twardego, ale pogodnego. Dobrze znosił ból i jeśli sytuacja tego wymagała, mógł się obyć bez wszystkiego. Był żołnierzem, przyuczonym do znoszenia niewygód. Jednak kiedy miał sposobność i warunki ku temu, zamieniał się w człowieka zmysłowego, w

sybarytę. Uwielbiał trwonić pieniądze. Uwielbiał kobiety. Różnego rodzaju kobiety - czasem nawet tak twarde suki jak Helena. Był koneserem wina - potrafił cały wieczór rozprawiać o niuansach smaku danego rocznika. Lubił podróżować, odkrywać świat i jego różnobarwne oblicza. Nie gardził dobrą kuchnią. Dlatego cały dzień w towarzystwie Chernoff to było dla niego trochę za wiele. Czuł się tak, jakby siedział obok ducha.

- Zapytałam: co myślisz? - powtórzyła.

To było jej drugie zdanie, odkąd zidentyfikowała Malloya. Carlisle zaśmiał się kostycznie.

- Chyba przeceniliśmy tego naszego Malloya. Nie jestem pewien, czy ma na tyle sprytu, żeby cię znaleźć.

Chernoff skoncentrowała się na prowadzeniu auta.

- Znalazł Jacka Farrella - odparła.

- Nie sam. Ktoś mu w tym pomógł.

- Nie będzie problemu - powiedziała. - Jeśli on mnie nie znajdzie, to ja znajdę jego.

- Gdybym chciał go posłać na tamten świat, załatwiłbym to już w Nowym Jorku.

- Wiem. Ale niekiedy ludzie po prostu giną.

- Nie tacy jak Malloy - zaprzeczył Carlisle. - Jeśli trzeba go będzie zlikwidować, to musi być ku temu jakiś ważny powód. W przeciwnym wypadku jego znajomi zaczęliby węszyć, próbując ustalić, co tak naprawdę Malloy chciał osiągnąć. A wtedy miałbym o wiele więcej problemów niż teraz.

- To proste. Przyleciał, żeby złapać mnie - odparła Chernoff. - Nie udało mi się, za to udało się mnie: znalazłam go i wykończyłam.

Carlisle nic nie odpowiedział. Miała rację, to mogłoby się udać. Wolał jednak pierwotny plan. Wiedział bowiem, że Malloy skontaktuje się z Kate i Ethanem Brandami. Poprosi ich o pomoc. A to oznacza, że wtedy będzie można zlikwidować za jednym zamachem całą trójkę.

- Co nowego u Brandów? - zagadnął.

- Nadal poza zasięgiem.

Zniknęli jak kamfora tuż po imprezie Fundacji Rolanda Wheelera. Tak jakby wiedzieli, że ktoś ich obserwuje.

- Istnieje możliwość, że są w Hamburgu?

- Istnieje nawet możliwość, że depczą nam po piętach - oświadczyła. Carlisle spojrział nerwowo we wsteczne lusterko, a potem na Chernoff.

Czyżby się uśmiechała?

- Jesteś pewny, że Malloy wplącze ich w to wszystko? - zapytała.

- On robi to dla Kate. A jeśli naprawdę poluje na ciebie, to nie uda mu się tego dokonać tylko z pomocą tych dwóch błaznów z FBI. Nie wiem, czy się skontaktuje z Brandami... ale ja na jego miejscu bym to zrobił.

- Obstawić lotnisko?

- Skoncentrujmy się na Malloyu - odparł. - Chcę go mieć pod ciągłą obserwacją. Niech ktoś przeszuka jego pokój, kiedy tylko nadarzy się okazja. Trzeba też pilnować, czy jego nowi koledzy z FBI będą do niego dzwonić na komórkę. Jeśli

zdobędziemy jego numer, będziemy w stanie monitorować połączenia. Może nawet uda nam się zlokalizować Brandów.

Reeperbahn, Hamburg, piątek, 7 marca 2008

W hotelu Royal Meridien Malloy wynajął pokój, korzystając ze zniżki przy-
sługującej glinom. Poinformował agentów Suttera i Randała, że spotka się z nimi
w barze hotelowym około ósmej. Zjedzą razem kolację.

- A teraz - oznajmił - chciałbym się odświeżyć i trochę przespać. Agenci
spojrzeli po sobie, robiąc wielkie oczy.

- Myśleliśmy, że będziesz chciał się dziś po południu zobaczyć z Hansem -
powiedział Randal.

Sutter spojrział na zegarek.

- Może się chwilę kimmiesz i pojedziemy do niego za godzinę lub dwie?

- A nie możecie się z nim umówić na jutro rano? - zapytał Malloy. - Całą noc
nie spałem. Jestem padnięty.

Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było spotkanie z Hansem.

- Jak wolisz - rzucił Randal bez entuzjazmu.

Kiedy zamknęły się drzwi szklanej windy, Malloy patrzył, jak ze sobą dysku-
tują. Pewnie zastanawiali się, cóż to za gwiazda księgowości, która życzy sobie
pięciogodzinnej drzemki. Wsiadł na półpiętrze, obszedł budynek i poprosił
concierge'a o wezwanie taksówki. Dziesięć minut później auto podjechało.

Zamówił kurs do dzielnicy położonej nieopodal północnej części portu w
Neustadt i wynajął pokój w małym hoteliku. Na wszelki wypadek zameldował się
pod fałszywym nazwiskiem Imfeld. Zapłacił z góry za cały tydzień.

W pokoju Malloy rozpakował się, zasłonił żaluzje i przespał trzy godziny.
Kiedy się obudził, podjechał metrem na dworzec kolejowy, wypłacił pieniądze z

bankomatu, kupił bilet trzydniowy, walizkę i trochę tanich ubrań oraz wykonał kilka telefonów z budki. Potem wziął taksówkę i wrócił do Royal Meridien. Do hotelu dojechał za piętnaście ósma. W pokoju otworzył nowo zakupioną walizkę, porozrzucał ubrania i przybory kosmetyczne. Zadzwoił do recepcji i powiedział, aby nie łączyli żadnych rozmów zewnętrznych z jego pokojem. Zszedł do baru i zamówił piwo. Ubrany był w dżinsy, bluzę z kapturem i skórzaną kurtkę. W niczym nie przypominał księgowego, którego rano z lotniska odebrali agenci FBI.

Siedział w cieniu, czytając „Herald Tribune”, a agenci Sutter i Randal, którzy zjawili się kilka minut po ósmej, przeszli obok, nie rozpoznawszy go.

- Nasz nowy kolega chyba zasnął - zażartował Randal. Malloy wstał i zrobił kilka kroków za nimi.

- Zarezerwowałem nam stolik w chińskiej restauracji nie daleko portu - powiedział jak gdyby nigdy nic.

- Rany! - Randal tak się zdziwił, że aż podskoczył. - Nie zauważyłem cię! - Zrobił się czerwony na twarzy. Zastanawiał się, czy Malloy usłyszał jego uwagę przy wejściu. Obaj z Sutterem gapili się na strój Malloya. Już nie wyglądał jak typowy gość Royal Meridien.

- To podobno świetna restauracja - kontynuował Malloy. - Będzie mi miło, jeśli dacie się namówić.

- Ej, T.K. - odezwał się Sutter luzackim tonem - my tu wszyscy jesteśmy na diecie delegacyjnej. Nie musisz gdzieś tam latać na kolację tylko dlatego, że jesteś tu nowy.

- W Departamencie Stanu nie tępią nikogo za nadprogramowe wydatki. Cała przyjemność po mojej stronie. Muszę się wam zrewanżować za to, że odebraliście mnie dziś z lotniska.

Obaj agenci wybałuszyli oczy ze zdziwienia.

- Dobra, czemu nie? - zgodzili się po chwili.

- To odpowiednik Bourbon Street w Nowym Orleanie. Prawie pół kilometra czystego zepsucia i dekadencji - oświadczył Malloy.

Jakby na zawołanie w tym samym momencie podszedł do nich jakiś transwestyta i zapytał po angielsku, jakie Malloy ma plany na wieczór. Do Josha Suttera podeszła z kolei jakaś mocno umalowana dama.

- Cieszę się, że żonkę zostawiłeś w domu, kotku - zaszcebiotała, również po angielsku. - Możemy się zabawić, a ona nigdy się o niczym nie dowie.

Sutter zatrzymał się, lecz Malloy popchnął go, by szedł dalej.

- On nie jest zainteresowany - powiedział do prostytutki po niemiecku.

- Na moje oko był zainteresowany! - zawołała za nim.

Cała ulica była rozświetlona, a chodnikiem przelewał się potok ludzi.

- Nie rozmawiaj z nikim - ostrzegł Suttera Malloy. - Wtedy ciężko jest iść. Jeśli się zatrzymasz, będziesz musiał dać im kilka banknotów, bo nie puszcza cię bez zrobienia sceny.

Kiedy przedzierali się przez ulicę, coraz więcej kobiet zaczepiało ich po niemiecku i angielsku, a jedna nawet zagaiła do Randala po francusku. W pewnym momencie ujrzeli policjanta otoczonego wianuszkami prostytutek, podczas gdy mężczyźni przetaczali się przez ulicę, popijając piwo z kubków i lustrując dziewczyny na wystawach.

Jakiś transwestyta zagroził drogę Sutterowi.

- Wiesz, jaka jest różnica między mną a resztą, skarbie?

Oni wiedzą, czego chcesz. A ja wiem, czego potrzebujesz!

Sutter nie zwolnił kroku, ale minę miał jak człowiek, któremu przed chwilą przystawiono spluwę do skroni. Dwie dziewczyny przebrane za amerykańskie cheerleaderki zagwizdały na widok Jima Randal, posyłały mu całusy oraz podawały swoją cenę w dolarach. Powiedziały mu, że pracują jako duet.

- Zawsze chciałem się bliżej zapoznać z jakąś cheerleaderką - powiedział Randal do Malloya, kiedy już je minęli. - A dwie, naraz? To byłoby coś!

- To byłby drenaż kieszeni... - mruknął Malloy. Sutter uśmiechał się, jakby był już po kilku piwach.

- Co za odjechane miejsce!

- Domyślam się, że Hans was tu nie przyprowadził? - zapytał Malloy.

- Człowieku, Hans wczoraj wieczorem zabrał nas do ja kiegoś kulturalnego lokalu. Nie wspomniał nawet słowem o tym miejscu!

- Hej, chłopcy! - odezwała się nagle wysoka, piękna brunetka, która mogła być również... brunetem. Albo i tym, i tym.

- U mnie będziecie mieli zniżkę, jako grupa... Agent Sutter odwrócił się i uśmiechnął.

- Przykro mi, jestem żonaty! - zawołał.

- Żonę też zapraszam! - usłyszał w odpowiedzi.

- Zauważyłem, że gliny przymykają oko na ten cyrk - po wiedział Randal.

Malloy przytaknął.

- To wszystko jest legalne. Randal spojrzał na niego w szoku.

- Żartujesz! Myślałem, że takie rzeczy są możliwe tylko w Amsterdamie.

- Ta dzielnica istnieje od stuleci. Zajmuje drugą pozycję na liście najpopularniejszych miejsc, które odwiedzają turyści w Hamburgu.

- A co zajmuje pierwszą? - zapytał Sutter.

- Port. Przynajmniej taka jest wersja oficjalna - odparł Malloy.

Randal pokręcił głową. Prostytycja legalna w świetle prawa zburzyła jego dotychczasowe wyobrażenie o wszechświecie.

Kiedy byli w połowie Reeperbahn, zeszli schodkami do restauracji Yuen Tung. Kiedy Malloy rezerwował telefonicznie stolik, poprosił o miejsce z tyłu sali, żeby można było swobodnie rozmawiać.

Cała trójka popijała swoje drinki, czekając na jedzenie. Rozmawiali o tym, co przed chwilą widzieli na ulicy. Sutter namawiał Randalą, żeby się skusił i zabawił, skoro jest jedynym z całego grona facetem stanu wolnego. Randal jednak okazał się prawdziwym purytaninem: seks jest w porządku, ale płacenie za niego to grzech.

Kiedy podano jedzenie, Malloy przeszedł do rzeczy.

- Jakież wieści od Hansa? - zapytał.

- Jesteśmy umówieni jutro rano, na dziewiątą - odparł Sutter wesoło. - Mówi, że możemy na niego liczyć.

- Przyda mi się na coś? - zadał pytanie Malloy. Agenci wymienili spojrzenia.

- Prawdę mówiąc - zaczął Sutter - to oni dysponują do wodom rzeczowymi wyniesionymi z pokoju hotelowego, między innymi mają karty kredytowe i paszporty, które zostawili Farrell i Chernoff. Wczoraj zbadaliśmy cały ten majdan.

Wszystkie pieniądze i karty pochodzą z banków w Montrealu i Barcelonie.

Paszporty i dowody tożsamości zostały prawdopodobnie podrobione w Europie, ale trudno powiedzieć coś więcej bez szczegółowego badania.

- Odkryli, kim była osoba, która dzwoniła, żeby poinformować policję o miejscu pobytu Farrella?

- Namierzyli budkę telefoniczną i mają nagranie rozmowy. To była jakaś kobieta. Jeśli kiedykolwiek ją znajdą, na podstawie nagrania będą mogli zweryfikować, czy to ona.

- Słyszeliście jej głos? - chciał wiedzieć Malloy.

- Czytaliśmy raporty. Chodzi o to, że ona mówiła po niemiecku, więc co mielibyśmy niby z tego zrozumieć?

- Nie dostaliście tłumaczenia zapisu rozmowy? Agenci popatrzyli jeden na drugiego i pokręcili głowami.

Dziwili się, że Malloy tak się tym szczegółem zainteresował. Kobieta zauważyła, jak Farrell wchodzi do Royal Meridien. A potem zadzwoniła na policję.

- Jeśli chcecie znać moje zdanie - zaczął Malloy - ten telefon to jakaś podpucha.

Słowa Malloya zaskoczyły jego towarzyszy.

- W wiadomościach CNN - ciągnął Malloy - mówili coś o zaparowanym lustrze w łazience i jeszcze mokrych ręcznikach.

Sutter wzruszył ramionami.

- Widocznie zwiali tuż przed nalotem.

- Jak to więc było? Anonimowa kobieta widzi, że Farrell i Chernoff wchodzi do hotelu i leci zadzwonić na policję. - Malloy zawiesił na chwilę głos. - Z tego co wiem, hotel otoczono w ciągu kwadransa. Skoro więc lustro w łazience było zaparowane, to jakim cudem zdążyli się ubrać i ulotnić przed przyjazdem linii?

- Może ta kobieta zastanawiała się, zanim zadzwoniła? - zasugerował Sutter.

Jim Randal pałeczkami wpakowywał sobie do ust duży kawałek kurczaka.

- Do czego zmierzasz, T.K.? - zapytał.

- Oglądaliście nagrania z hotelowych kamer wideo?
- Pokazali nam jeden kadr. Powiedzieli, że na reszcie nie widać twarzy.
- Sądząc z tego, co pokazywało CNN - wpadł mu w słowo Malloy - nawet na tym jednym niewiele było widać.

Randal przytaknął.

- Ta kobieta na tym kadrze... powiem tak: to równie dobrze mogłaby być moja pierwsza żona.

- Ale to nie było nagranie z nocy, kiedy nieznana kobieta zatelefonowała na policję? - upewniał się Malloy.

- To, co nam pokazali, zostało nagrane, kiedy Farrell i Chernoff rejestrowali się w hotelu - wyjaśnił Sutter. - Hans powiedział, że to najlepsze nagranie, jakim dysponują.

- Nie nadażam za tobą, T.K. O co chodzi? - zdenerwował się drugi agent.

- Oni mają zainstalowane kamery bezpieczeństwa przy każdym wyjściu. Wiedzą co do sekundy, kiedy Farrell i Chernoff wchodzili i wychodzili z hotelu. Wypytuję was, żeby się dowiedzieć, czy niemiecka policja przekazała wam wszystkie informacje.

Obaj agenci bardzo się tym zainteresowali.

- Hans coś przed wami ukrywa - powiedział Malloy. - I ma ku temu powód.

Sutter upuścił widelec. Randalowi udało się nie upuścić pałeczek. Obaj bardzo polubili Hansa. O wiele bardziej niż Malloya - mimo że zabrał ich na wycieczkę do Reeperbahn. Ale faktycznie, może Hans był nieco zbyt miły? Przecież Sutter i Randal byli glinami. A glinom każdy próbuje wcisnąć kit. Nawet inne gliny.

- Ale dlaczego? Co mają z okłamywania nas? - chciał wiedzieć Randal.

- Gdyby mieli dokładny czas wyjścia Farrella z hotelu oraz czas telefonu od anonimowej kobiety, to dostalibyście ładnie przetłumaczone dowody. Nie dali ich wam, ponieważ coś tu nie gra. Coś, czego sami nie potrafią wytłumaczyć. Boją się, że wy rozgryziecie tajemnicę, a oni wyjdą na głupków.

- Nie chcą wyjść na głupków. Przecież nikt tego nie lubi - stwierdził Randal i znowu zajął się swoim talerzem.

- Macie numer telefonu budki albo znacie dokładną lokalizację tego aparatu, z którego dzwoniła kobieta?

Randal pokręcił głową.

- Nie wydawało nam się to priorytetem.

- Nie odmówią wam, jeśli o coś poprosicie. To nie jest żaden spisek. Wystarczy ich poprosić.

- No to poprosimy - zgodził się Randal, wpychając do ust ryż. - Problem z głowy.

- Chcę, żebyście teraz zadzwonili do Hansa i poprosili o numer telefonu, z którego dzwoniła anonimowa kobieta. Zobaczymy, czy naprawdę możecie na niego liczyć.

- Ale co nam to da? Przecież to publiczny telefon!

- Zdobądźcie numer. Przyciśnijcie trochę Hansa. Dajcie mu odczuć, że nie siedzicie beczynnienie.

Agenci spojrzeli na siebie. Nie podobało im się, że Malloy próbuje im dyktować, co mają robić. Z drugiej strony, dostali polecenie odebrania vip-a z Departamentu Stanu. Nie chcieli go więc skreślać. Jeszcze nie teraz.

Sutter wyciągnął swój służbowy telefon komórkowy, który był specjalnie przerobiony tak, by nie dało się go podsłuchiwać. Mimo wszystko to tylko ko-

mórka, pomyślał Malloy. Jeśli znało się numer telefonu i miało dostęp do oprogramowania miejscowego operatora, z łatwością można było go namierzyć. Co gorsza, ci dwaj podawali numery swoich telefonów na wizytówkach.

- Cześć, Hans! Tu Josh! Słuchaj, mam do ciebie sprawę... - zaczął Sutter. Po minucie rozłączył się. - Hans jest teraz u siebie w domu. Poda nam numer jutro z samego rana.

-Zadzwoń do niego jeszcze raz - zażądał Malloy. - Powiedz mu, że musisz mieć ten numer jeszcze dzisiaj.

-Z całym szacunkiem - mruknął Randal bez krzty szacunku w głosie. - Nie mamy obowiązku wykonywać twoich rozkazów.

-Myślałem, że jestem tu po to, żeby wam pomóc - zripostował Malloy.

-Jakoś tego nie widzę - odparł Randal.

-Wy zadzwonicie do Hansa, a Hans do kogoś ze swoich ludzi i po sprawie. W czym problem?

-Facet ma wolne.

- Dobra. Jeśli chcecie dać Farrelowi kolejne dwadzieścia cztery godziny...

Agenci wymienili spojrzenia. W końcu Sutter wybrał ponownie numer Hansa. Tym razem Niemiec obiecał, że za chwilę oddzwoni.

Josh Sutter spojrział na swojego partnera. Jego twarz chłopaka z prowincji płonęła zażenowaniem i złością.

-Hans jest wkurzony - oświadczył.

-Nie wątpię - odparł stoicko Malloy - ale da nam numer.

-Nie łapię - odezwał się Randal. - Na co ci się przyda numer publicznego aparatu telefonicznego?

-Popracuję nad nim, dopóki nie trafi się lepszy trop.

Randal skupił się na swoim talerzu. Zupełnie stracił humor. Jeszcze do niedawna mieli idealne relacje z Hansem. Aż pojawił się ten cały ważniak.

W ciężkiej ciszy, która zapanowała przy stole, nagle zabrzączał telefon Suttera. Agent zanotował numer telefonu i adres, które podyktował mu Hans, po czym wylewnie podziękował. Spojrzał na Malloya, nadal mając na linii Niemca, ale ten pokręcił głową, więc szybko zakończył rozmowę.

Malloy wziął kartkę papieru z informacjami i zostawił na stoliku dwieście euro, na pokrycie kosztów posiłku i drinków całej trójki.

-Dziękuję, koledzy. Bawcie się dobrze - oświadczył.

-Co? Gdzie się wybierasz? Malloy spojrział na zegarek.

- Pomyślałem sobie, że odszukam te dwie cheerleaderki i sprawdzę, czy są tak dobre, jak mówiły. Nie czekajcie na mnie, chłopaki!

Francja, lato 1931

Z oddali twierdza Montsegur wyglądała jak piramida, która przebija błękitne niebo. Dawno temu forteca tkwiła na tym wzgórzu niczym korona. Wśród ruin, które były częścią wybudowanego tu zamku, Rahn wyjaśnił Bachmanom, że Montsegur przetrwało ponad trzydzieści lat wojny, zanim poddało się w marcu 1244 roku.

- Poprosili jedynie o dwutygodniowe zawieszenie broni by mogli przygotować się na swój los - powiedział im Rahn - Watykańskie i francuskie siły zbrojne zgodziły się na chwilowy rozejm. To jest faktem. Cała reszta jest jednak tylko i wyłącznie czystą spekulacją. Rzecz jasna, wiele osób z rzekomo stuprocentową pewnością dopisuje dalszy ciąg tej historii Dla ludzi ze świata akademickiego taki proceder jest rzeczą karygodną. Wersja najbardziej rozpowszechniona mówi że czterech księży katarów wymknęło się za mury zamku i zeszło w dół zbocza, zabierając ze sobą legendarny skarb bractwa. W zależności od tego, kto opowiada historię, tym skarbem mogło być złoto, Całun Turyński, oryginalna Ewangelia świętego Jana... lub odwieczny faworyt, czyli Święty Graal Gdzie zabrali skarb? Tego nie wie nikt. Większość ludzi uważa jednak, że oddali go w ręce swoich przyjaciół z zakonu templariuszy. Oczywiście kiedy pół wieku później wszyscy templariusze zostali pojmani, nikt nic nie znalazł, co jest tłumaczone kolejną spektakularną ucieczką.

- A jak brzmi twoja teoria, Otto? - zapytał Bachman.

- Nie mam żadnej. Ale pewnego razu usłyszałem ciekawą historyjkę od starszaka mówiącego jedynie miejscowym narzeczem, czyli langwedockim francuskim. Było to wtedy, gdy po raz pierwszy wspiałem się na tę górę. Kiedy ten dziadek odkrył, że posługuję się jego językiem niemal tak płynnie, jak on sam, powiedział, że współczesna młodzież nie interesuje się w ogóle historią. Kiedy on był małym chłopcem, starzy mieszkańcy jego wioski przekazywali sobie legendę o Montsegur i przysięgali na własne życie, że jest prawdziwa. Wedle tej historii, księża, którzy pilnowali Graala w Montsegur, podarowali go rzekomo swojej królowej, Esclarmonde. Miało to miejsce w noc przed kapitulacją. Królowa była istotą tak

czystą, że po dotknięciu Graala przemieniła się w gołębicę i odfrunęła w kierunku góry Tabor. Święty kielich rzuciła gdzieś w tym rejonie...

- E tam, to jakaś bajka - skrzywił się Bachman. - O wiele bardziej podoba mi się opowieść o czterech księżach, którzy wynieśli skarb katarów. Oczami wyobraźni widzę, jak spuszczają się po linach, drżąc ze strachu i modląc się, by ich nie złapano... To jest o wiele bardziej, no cóż, prawdopodobne! Z kolei przemiana w gołąbka...

- Zgadzam się. To piękna historia. Szkopuł w tym, że od początku do końca zmyślona. Powiem wam jednak coś, co jest prawdą. Rankiem szesnastego marca 1244 roku, dwustu jedenastu katarów wymaszerowało ze swojej fortecy. Przeszli przez tę łąkę prosto w ogień przygotowany przez Wielkiego Inkwizytora dla tych, którzy nie chcieli się wyrzec swojej wiary. Katarowie szli prosto w płomienie. Nie zatrzymali się nawet po to, żeby się pomodlić lub pożegnać ze światem. Żaden się nie odwrócił, żaden nie wyrzekł się swojej wiary. Żaden z nich się nawet nie zawahał - ani jeden! Zdaniem świadków zdarzenia nawet nie krzyczeli, gdy

wchodzili w ogień. Tak właśnie umarli. A pamiętajcie, że jest to wersja ich wrogów! Raptem owiał ich podmuch wiatru. Eliza zadrżała.

- Czy naprawdę ktoś jest w stanie umrzeć tak odważnie, Otto? - zapytała.

- Wydaje mi się, że aby tak mężnie stanąć twarzą w twarz ze śmiercią, trzeba kochać coś więcej, niż tylko własne ciało i życie ziemskie - odparł młody Niemiec.

- Oddałabym wszystko za taką odwagę - odparła Eliza.

- Lepiej się modlić, żebyśmy nigdy nie musieli jej potrzebować! - odezwał się Bachman.

Jakiś czas później Eliza i Rahn siedzieli na trawie, podczas gdy Bachman przyglądał się naturalnym fortyfikacjom, które wspierały mury zamku.

- Poproszę Dietera, abyśmy jutro wrócili do Sete - powiedziała Eliza. - Oczywiście zaprosi cię, żebyś pojechał z nami.

- To bardzo miłe z waszej strony.

- Sądzę, że nie powinieneś przyjmować tego zaproszenia. Rahn popatrzył na nią, lecz ona tym razem nie spojrzała na niego.

- Kiedy wrócę do Berlina - zaczęła - chcę móc wyobrazić sobie, jak siedzisz tutaj, tak jak teraz. Nie chcę, aby coś mi popsuło to idealne wyobrażenie ciebie. Pragnę, aby choć jedna rzecz w moim życiu była czysta i dobra. - Nachyliła się ku niemu i musnęła ustami jego policzek. - Będę tu z tobą, pośród tych pięknych duchów, tak długo, jak długo będę oddychać.

Dzielnica St. Pauli, Hamburg, piątek- sobota, 7-8 marca 2008

Malloy opuścił Reeperbahn przy Davidstrasse i przeszedł do Herbertstrasse, gdzie jakiś gliniarz zawracał wszystkie kulturalnie wyglądające kobiety oraz chłopców poniżej szesnastego roku życia, aby nie szli dalej w dzielnicę zepsucia. Ta alejka była zarezerwowana dla mężczyzn i kobiet, które wykonują najstarszy zawód świata. Na skąpe odzienie, prostytutki zarzuciły długie płaszcze, których poły rozchylały, wabiąc potencjalnych klientów. Zachęcały głośno każdego, kto spojrzał na nie choćby dwa razy. Zarówno panie stojące na ulicy, jak i te w witrynach, reprezentowały różne typy urody. Wysokie i niskie, grube i chude. Były wśród nich nieziemskie piękności i podwędłe kurtyzany, których blask już przeminął. Do wyboru, do koloru - na każdy gust i na każdą kieszeń. Malloy płynął wraz z tłumem po Herbertstrasse. Widział to, co marynarze od wieków mogli podziwiać w Hamburgu. Niektóre kobiety były zupełnie nagie, z wyjątkiem podwiązek lub jakiegoś naszyjnika. Istny raj rozpusty i darmowy peep-show dla mężczyzn. Negocjacje toczyły się przez szkło wystaw, ale kiedy cena została ostatecznie ustalona, klient wchodził do środka i zasłona opadała.

Malloy skręcił w labirynt bocznych uliczek, gdzie oferowano nieco inne atrakcje. Były tu kluby ze striptizem, gdzie tańczyła tylko jedna dziewczyna. Oczywiście napiwki były mile widziane, ale ci naprawdę zainteresowani udawali się z tancerką na górę. W tym czasie scena stała pusta przez piętnaście lub dwadzieścia minut. Albo tyle, ile było potrzeba klientowi.

Były też lokale, w których mężczyźni i kobiety mogli podziwiać erotyczne wyczyny modelek, a jeśli ktoś miał ochotę, mógł sam spróbować swoich sił - pod warunkiem, że nie żądał pieniędzy. W seksklubach prostytutka była zakazana. Nie było tu tyle świateł i neonów co na Reeperbahn. Tutaj królował cień i półmrok. Na rogu ulicy dziewczyna paliła papierosa, obok stał oparty o ścianę chłopak. I tak co

krok. Malloy wszedł do baru ze striptizem, wypił powoli butelkę piwa i obejrzał występ tancerki. Potem przeszedł na drugą stronę ulicy i wślizgnął się do innego przybytku o nazwie Das Sternenlicht - czyli Światło Gwiazd.

Za barem stał Dale Perry. Jakaś niezdrowo wyglądająca, wychudzona blondynka tańczyła na małej brudnej scenie. Oglądało ją pięciu mężczyzn. Nikt oprócz tancerki nie zwrócił uwagi na Malloya. Dale Perry był czterdziestokilkuletnim Murzynem z długimi dreadami, kilkoma zasłużonymi bliznami oraz miłym uśmiechem - jeśli się dostatecznie wysilił. Posturą przypominał umięśnionego zapaśnika, który najlepszy okres miał już za sobą i od tamtej pory przytył parę kilogramów.

- Zastąp mnie na chwilę - rzucił Dale po niemiecku do jednego ze współpracowników.

Następnie, nie patrząc na Malloya, skierował się do czegoś, co wyglądało jak magazyn. Malloy zamówił butelkę piwa. Napił się tylko kilka łyków. Patrzył na występ dziewczyny i zrobiło mu się jej żal. Położył na scenie dwadzieścia euro. Wystarczy na jedną działkę heroiny.

- Gdzie się wybierasz, skarbie? - usłyszał jej głos. - Nie chcesz buzi? Malloy pokazał obrączkę i wzruszył ramionami, uśmiechając się niewinnie.

- Ja nie pisnę twojej żonie ani słówka! - powiedziała głosem, który kojarzył się z dźwiękiem tłuczonego szkła.

Znów na ulicy skierował się w stronę klubu z *sex show*, pokręcił się, jakby chciał wejść, ale ostatecznie ruszył dalej. Trochę się na pokaz pozataczał, na wypadek gdyby ktoś go obserwował. Znalazł przejście między budynkami i wszedł na podwórze. Poświata bijąca z okien okolicznych domów podświetlała rząd samochodów, kilka kontenerów na śmieci oraz tylne wyjście z księgarni dla

dorosłych. Malloy stanął na tyłach Światła Gwiazd i czekał. Punktualnie o północy Dale Perry otworzył drzwi.

- Witaj, T.K.! Wchodź, zapraszam.

Malloy wślizgnął się do środka. Uścisnęli sobie dłonie.

- Dawno się nie widzieliśmy! - przywitał się Dale.

- Zbyt dawno. Miło się znowu spotkać, stary.

- Posłuchaj tego. Kiedy Jane zadzwoniła, żeby mnie uprzedzić, że przyjedziesz, powiedziałem jej: „Myślałem, że ten skurczybyk już nie żyje!”.

Malloy się zaśmiał.

- Niejeden próbował mnie ukatrupić.

- Wiem coś na ten temat!

Dale przyjechał do Zurychu dwadzieścia kilka lat temu. Był wtedy młodym, dziarskim chłopakiem, którego Jane zwerbowała jako jednego z agentów pracujących tak jak Malloy, bez przykrywki. Został przeszkolony na „farmie”, jednak jego niemiecki trochę kulał i nie miał wyrobionego nazwiska w Europie. Reputacja nie jest czymś, co można podrobić. Trzeba sobie na nią zapracować. Malloy załatwił mu pracę za barem w klubie ze striptizem, którego właścicielem był jeden z jego kontaktów. Sześć miesięcy później Dale został wysłany do Hamburga.

Dale miał przebywać za granicą przez trzy lata, ale Jane Harrison namówiła go, żeby został w Europie przez kolejne dwa. Była w tym dobra. Po pięciu latach jej ludzie już tak bardzo wrastali w miejsce zamieszkania, że nie chcieli wracać do Stanów. Mieli zbyt dużo władzy, zbyt łatwy dostęp do pieniędzy oraz zbyt wiele swobody, żeby wracać do domu i na nowo układać sobie życie. Dale ożenił się z imigrantką z Rosji, która pracowała w biurze w centrum miasta. Zamieszkali w

dzielnicy St. Pauli, na północ od portu, turystów i prostytutek. To była przyzwoita okolica, pełna dobrych szkół, którą zamieszkiwały porządne robotnicze rodziny. Pięć lat zamieniło się w dziesięć. A dziesięć - w dwadzieścia... A teraz, tak jak Malloy w ciągu ostatniego okresu w Zurychu, Dale Perry najbardziej bał się telefonu wzywającego go z powrotem do Langley.

Dale znał Hamburg jak własną kieszeń. Niesamowite było to, że absolutnie nikt nie miał pojęcia, dla kogo pracuje - nawet jego żona! Kilka razy zdarzyło się, że został aresztowany. Raz nawet skazano go na dwa lata odsiadki w więzieniu o zaostrzonym rygorze. Źródłem wiedzy Dale'a był jego zawód: handlował kradzionymi telefonami komórkowymi. Dorabiał też sobie fałszowaniem paszportów i kart kredytowych. Oczywiście każdy, kto robił z nim interesy, przynajmniej raz odwiedzał go w barze. Dzięki temu Dale zbierał dowody: fotografie, odciski palców i próbki głosu. To nie wszystko. Telefony i dokumenty, które sprzedawał, były wykonane tak, by można było śledzić i namierzać właściciela. Komórki miały najkrótszy żywot, ale dawały najbardziej precyzyjne informacje na temat miejsca pobytu danego człowieka oraz jego kontaktów.

- Co u ciebie? Dobrze ci się żyje w Hamburgu? - zagaił Malloy. Dale wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

- Starzeję się, T.K. Chcę się wycofać z gry, kiedy Jane przejdzie na emeryturę.

- Ona nigdy nie przejdzie na emeryturę.

- No to kiedy ją zwolnią.

Na twarzy Malloya pojawił się zmęczony uśmiech.

- Obawiam się, że w tej chwili jest to całkiem prawdopodobne.

- Wiem. Żaliła mi się. Obawiam się, chłopie, że nie jesteś jej pupilkiem.

- Cóż mogę powiedzieć? - odparł Malloy niewinnym tonem. - Jack Farrell mnie zaskoczył.

- W naszym fachu takie rzeczy nie powinny się zdarzać.

- Każdy popełnia błędy, Dale. Tyle że w naszym fachu nikt się do błędów nie przyznaje. A to dwie różne rzeczy.

- W naszym fachu nikt się do niczego nie przyznaje! Chodź - powiedział Dale - pokażę ci moje sekretne cztery kąty.

Drewniane schody prowadziły do magazynu, za którym znajdował się bar, a drugie - do piwnicy. Zeszli nimi na dół, prosto do kotłowni. W ścianie znajdowały się stalowe drzwi. Dale otworzył je kluczem i wprowadził Malloya do zaskakująco wygodnego mieszkania.

- Potrzebujesz lokum? Jest twoje - rzucił Dale. Wskazał ręką na panele na ścianie. - Dźwiękoszczelne. Znajdziesz tu zapasy żywności, lekarstw, ubrań, sprzętu, broni, a nawet trochę gotówki. Słowem: raj.

W gabinecie Dale wyciągnął z kąta plecak, który przygotował specjalnie dla Malloya.

- Masz tu pistolet Glock 23, taki, jakiego używają agenci FBI. Jest też dodatkowy magazynek, tłumik i kabura naramienna. - Wrzucił wszystko z powrotem do plecaka. Wyjął za to telefon komórkowy i ładowarkę. - Kod to JA NE. Masz dwa numery w menu. Oba są bezpieczne. Pierwszy jest do mnie, drugi do Jane. Połączenia są szyfrowane, ale mimo wszystko ja bym mu za bardzo nie ufał... - stwierdził. - Za to komputer jest całkowicie bezpieczny. Do każdego wysłanego lub odebranego e-maila dostęp ma tylko ci A i Pan Bóg. Hasło dostępu to znowu JANE, żeby nie trzeba było wyęczać mózgowicy - powiedział, mrugając okiem. Z kieszeni wyjął jakieś kluczyki. - To klucze do drzwi i do toyoty, którą widziałeś na

parkingu przed budynkiem. Jeśli będziesz używał wozu, pamiętaj, żeby zamykać parking, kiedy wyjeżdżasz. W przeciwnym razie będziesz miał kłopot z parkowaniem. Auto należy do jakiegoś pętaka, który aktualnie siedzi w kiciu. W całym samochodzie jest pełno różnych odcisków palców, więc używaj rękawiczek. Jeśli wpadniesz w tarapaty, po prostu porzuć wóz. *Polizei* w pierwszej kolejności zgarnie tych, co zwykle.

Malloy wziął kluczyki i zapytał, czy Dale może dać mu dane, które przesłał mu Gil Fine.

- Spokojna głowa. Już się tym zająłem. - Wyjął z plecaka kilka dysków. - Dwie płyty DVD. Tony materiałów na temat Heleny Chernoff.

- Przeglądałeś je?

- Rzuciłem okiem, żeby sprawdzić, czego do tej pory nie wiedziałem. Znalazło się trochę nowości. Zgrałem sobie wszystko na mój komputer. Jeśli tym razem jej nie dorwiemy, to może znajdę w tym wszystkim jakiś trop. Ale pewnie niejeden tęższy umysł już nad tym główkował. Wiesz, że podobno Chernoff uderza teraz w zachodnich polityków?

- Gil mówił mi o katastrofie samolotu amerykańskiego senatora w 2004 roku.

- Rozbił się też kandydat na prezydenta w 2000 roku. A dwa lata temu była próba zamachu, który mógł zatrzeć w posadach amerykańskim senatem. Ale tu chodzi nie tylko o naszych polityków, T.K. Podobno Chernoff ma coś wspólnego ze śmiercią trzech członków Izby Lordów, które miały miejsce w ostatnim dziesięcioleciu. Dwa tragiczne wypadki, jedno samobójstwo. Był też przypadek naukowca z Londynu, który protestował przeciwko broni nuklearnej w przeddzień drugiej wojny z Irakiem. Oficjalnie ogłoszono, że sam ze sobą skończył, ponieważ

został zdyskredytowany z powodu swoich opinii. Z drugiej strony, akurat wtedy w Anglii przebywała Chernoff, więc niektórzy sądzą, że być może...

- Skąd wiadomo, że była wtedy w Wielkiej Brytanii?

- Kilka lat później wyszło na jaw jej fałszywe nazwisko. Odkryto, że posługiwała się nim w czasie trzech podróży na Wyspy. Czasowo wszystko się zgadza. Za każdym razem miała miejsce jakaś podejrzana śmierć, o której wspominałem.

- Kto ją opłaca, Dale? Mężczyzna pokręcił głową.

- Najwidoczniej ktoś, kto chce zmienić układ polityczny na Zachodzie. Albo ktoś zatrudniony przez ludzi, którym na tym zależy.

- Myślisz, że ona tylko wykonuje czyjeś rozkazy?

- Nie wyszła z ukrycia, żeby nagrać sobie te zlecenia. Ktoś inny to wszystko ustawia. Może nawet zatrudnia ludzi, którzy pomagają przy danym zleceniu. Mechanicy, lekarze, ochroniarze. Musi gdzieś być jakaś sieć. Po prostu nie umie my jej znaleźć.

- Chernoff zaczynała karierę, odstrzeliwując głównych rosyjskich mafiosów - przypomniał Malloy. - Być może nadal dla nich pracuje.

- Moim zdaniem to nie jest robota Ruskich. Oni mają wystarczająco dużo problemów w swoim kraju, żeby mieszać się do światowej polityki. Tylko przejrzałem te materiały, ale wydaje mi się, że Chernoff bierze na celownik osoby o określonych poglądach politycznych.

- Hm... Może teraz działa według głosu sumienia?

- Jasne... - powiedział Dale, zanosząc się śmiechem.

- Dobra, a teraz pytanie za sto punktów: finansista z Nowego Jorku, Jack Farrell, przylatuje do Hamburga i wynajmuje Helenę Chernoff w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin.

Jakim cudem? - zapytał Malloy. Dale rozłożył ręce.

- Musiał do kogoś zadzwonić - drażył Malloy. - Musiał tu kogoś znać.

- Ich kontakty były, że tak powiem, zaskakująco bliskie, T.K. Być może poznali się dawno temu? - zasugerował Dale.

- Moim zdaniem Farrell musiał się najpierw skontaktować z kimś innym, kto wiedział, gdzie szukać Chernoff.

- Mogę kazać naszym analitykom wziąć po lupę wszystkie rozmowy telefoniczne z Barcelony i Montrealu do Niemiec wykonane w ostatnim tygodniu - zaoferował się Dale.

- To zajmie sto lat. Mam lepszy pomysł. Jeśli dobrze pamiętam, kilka lat temu przyglądałeś się jakiemuś biznesmenowi albo prawnikowi...

- Ja ciągle się przyglądam takim typom, przyjacielu.

- Wiem, ale ten był wyjątkowy. Spotykał się z neonazistą, który nosił ksywę Xeno. Nikt nie wie, jak się naprawdę nazywał.

Dale przytaknął.

- Pamiętam, T.K., czyżbyś od przejścia na emeryturę zaczął czytać stare dokumenty dla rozrywki? Dziwne, że go pamiętasz.

- Jakieś półtora roku temu przypadkowo wpadłem na Xeno - wyjaśnił Malloy.

- A więc to ty byłeś zamieszany w tę sprawę z Julianem Corbeau? Nie miałem zielonego pojęcia!

- Jestem dobrym chrześcijaninem, Dale. Moja prawa ręka nigdy nie wie, co robi lewa. Nie dopuszczam do tego.

- Zaraz, zaraz. Sugerujesz, że twoje raporty dla Jane nie są kompletne? -zdziwił się Dale.

- Są kompletne. Tyle że nie zawsze prawdziwe w każdym szczególe.

- Pamiętam tego gościa. Prawie dwa lata obserwowałem Xeno przez kilku ópunów. Miałem za zadanie zbadać ich podziemną sieć. Najpierw Xeno wynajmował ludzi do handlowania drogami. Potem do włamywania się do mieszkań. Cały czas były to jakieś pomniejsze akcje, niskodochodowe. To było tuż po upadku muru berlińskiego. A potem Xeno zaczął się rozkręcać. Wynajął gości, którzy wykonywali każdy jego rozkaz. Konkurencja nie potrafiła dotrzymać mu kroku. Stał się czołowym graczem. Nie miałem jednak do niego dostępu. Moim zdaniem został przeciwiczony przez Stasi. W każdym razie, któregoś dnia się okazało, że telefon komórkowy, który sprzedałem jakiemuś typkowi, wylądował w kieszeni Xeno.

- Nie ma to jak ślepy traf! - wtrącił Malloy.

- Człowiek ma w życiu tyle pecha, że czasem należy mu się jakiś łut szczęścia. Używał tego telefonu aż do swojej śmierci w 2006 roku, więc znałem każdy numer, z którym się łączył i każdy jego ruch. Po jakichś trzech miesiącach rozrysowałem sobie to na mapie miasta. Okazało się, że zawsze w pierwszy poniedziałek danego miesiąca miał z kimś spotkanie o zmroku w Stadtpark, czyli w Parku Miejskim. Za każdym razem dokładnie w tym samym miejscu. Wynajmowałem kogoś, żeby podejrzwał całą sytuację w czasie kolejnego spotkania. Wiesz, z kim Xeno lubił przesiadywać na ławeczce? Z Hugonem Ohlendorfem.

- To on! - zawołał Malloy.

- Ohlendorf to wielka szycha. Ma wpływ na politykę. Były główny prokurator Hamburga, a teraz współwłaściciel jednej z bardziej liczących się kancelarii

prawnych. Forsy ma jak lodu. Ma też czyste ręce i jest zdeklarowanym wrogiem przestępczości. Co nie przeszkadzało mu spotykać się co miesiąc z Xeno. Zawsze odgrywali tę samą scenkę. Ohlendorf spaceruje z pieskiem po parku. Xeno udaje bezdomnego, który śpi na ławce. Ohlendorf podchodzi do niego i rozmawiają ze sobą przez kilka minut. Coś tam o psie albo czy zanosi się na deszcz. Takie tam głupoty. Potem Xeno odchodzi. I koniec. Mija miesiąc i znowu dokładnie to samo. Jak nieznajomi, którzy ucinają sobie pogawędkę na temat pogody.

- Domyślasz się, jaka była prawdziwa treść ich rozmów? - zapytał Malloy.

- Domyślam się tylko, że gadali szyfrem. Być może ustalali miejsca zrzutu albo coś w tym stylu. O co dokładnie chodziło? Nie mam pojęcia. Jestem jednak pewien, że Hugo Ohlendorf nie jest taki czysty, jak się powszechnie uważa.

Trudno mi jednak wyobrazić sobie, że pracował dla Xeno, to raczej

Xeno był na jego usługach. Może nadzorował operacje Ohlendorfa albo był kimś w rodzaju posłańca.

- To by tłumaczyło błyskawiczną karierę Xeno - stwierdził Malloy.

- Też mi to przyszło do głowy. Przez kilka miesięcy przyglądałem się dokładnie całemu temu Ohlendorfowi. Zdobyłem numer jego komórki. Monitorowałem jego rozmowy i ruchy. Przyglądałem się jego forsie, jego współpracownikom i znajomym. Wszystko na nic. Do niczego w ten sposób nie doszedłem. Myślałem nawet, żeby poprosić Jane, by zasugerowała Niemcom, że powinni się zainteresować Ohlendorfem, ale bałem się, że ktoś da mu cynk. Facet ma znajomości wśród glin, jeszcze z czasów, gdy pracował jako prokurator. Zna tam każdego: poczynając od gliniarzy od czarnej roboty, kończąc na szefach. Nie wspominając nawet o osobach, które wszystko i wszystkich trzymają w garści. Wycofałem się.

- Muszę porozmawiać z tym gościem. Jutro wieczorem. Na osobności - oświadczył nagle Malloy.

Dale spojrział na niego. Prośba kolegi zupełnie go zaskoczyła.

- Mogę znowu włączyć namiary na jego komórkę. Jeśli to w czymś pomoże.

Malloy się uśmiechnął.

- Na razie to wystarczy - odparł. - Zadzwoń do mnie jutro wieczorem, jeśli będziesz miał pewność, że Ohlendorf siedzi w domu i zostanie tam na noc. Ja zajmę się resztą.

- Nie ma sprawy, zrobię to dla ciebie. Chcesz obejrzeć jego chatę? Trasa rejsu po kanałach przebiega tuż za jego domem. Kilka razy zrobiłem sobie wycieczkę, żeby zobaczyć, jak mieszka.

- Co wiadomo na temat jego życia prywatnego?

- Mieszka razem z żoną i córką. Syn studiuje w Berlinie.

- A jacyś inni lokatorzy?

- Nie wiem. Nie udało mi się aż tak bardzo zbliżyć do tego gościa.

- Ma goryla?

- Ma licencję na posiadanie broni. Nigdy nie widziałem go z obstawą.

- Aha, jeszcze jedno pytanie, z zupełnie innej beczki. Domyślam się, że masz jakieś kontakty z kimś z firmy telekomunikacyjnej?

Dale zachichotał.

- Stary, to ja jestem właścicielem firmy telekomunikacyjnej. Czego potrzebujesz?

- Mam numer telefonu publicznego. Muszę znać wszystkie rozmowy wykonane z tego aparatu na telefony komórkowe w ciągu ostatnich siedmiu dni.

- Co ci to da? - zapytał Dale.

- To aparat, z którego zadzwoniła na policję jakaś kobieta z donosem na Jacka Farrella - wyjaśnił Malloy. - Powinna była podać swoje nazwisko, żeby dostać nagrodę, którą obiecano za informacje o zbiegu, ale tego nie zrobiła. Coś mi się wydaje, że to mogła być podstawiona osoba. Ktoś z bandy Chernoff.

- Zdrajca?

- Możliwe. Ale może też coś innego.

- Na przykład?

- Nie wiem. Może Chernoff kazała komuś zadzwonić na policję.

- Zaraz, zaraz. Chernoff niby sama chciała nalotu policji?

- Kto wie? Może miała problem z kontrolowaniem swojego klienta. Może chciała więcej pieniędzy. Chodzi o to, że jeśli jej ludzie korzystają z budek telefonicznych, to może ktoś z nich przez nieuwagę z tej samej budki zadzwonił na komórkę Chernoff, kiedy jeszcze była w hotelu

- A jeśli zdobędziemy numer telefonu Chernoff... - zaczął Dale.

-...to ją namierzemy - dokończył Malloy. Twarz Murzyna rozświetlił uśmiech.

- Zakładając, że nie wyrzuciła komórki po tej akcji w hotelu.

- Nawet jeśli wyrzuciła, to przynajmniej będziemy wiedzieli, dokąd chodziła i z kim się kontaktowała. W najgorszym wypadku zdemaskujemy jej kolejne fałszywe nazwisko i może znajdziemy ludzi, którzy zechcą się podzielić z nami swoją wiedzą na interesujące nas tematy. To daleka perspektywa, ale jeśli wszystko wypali, to może nie będę musiał przesłuchiwać Herr Ohlendorfa.

- Naprawdę chcesz porwać tego gościa?

- Doktor powiedział mi, że potrzebuję więcej wysiłku fizycznego.

Dale parsknął śmiechem.

- Obiecuj mi tylko, że nie dasz się zabić albo aresztować. A w ogóle to jak go zmusisz, żeby zaczął śpiewać? Jeśli faktycznie wie coś na temat Farrella i Chernoff, to nie wyzna wszystkiego jak na spowiedzi wyłącznie dlatego, że go o to poprosisz!

Teraz Malloy się roześmiał.

- Jeśli go ładnie poproszę, wyśpiewa wszystko.

Neustadt, Hamburg, sobota, 8 marca 2008

Malloy złapał tramwaj przy stacji Reeperbahn i wrócił na Bahnhof. Minęła już północ, ale nadal było tłoczno. Bawiło się tu mnóstwo młodych ludzi, tryskających dobrym humorem, ale co uważniejszy przechodzień mógł zauważyć również bardziej hardcorockową grupę. Pili, palili trawę, dawali sobie w żyłę, sprzedawali się za kasę i patrzyli, kogo by tu okraść. Z tego ostatniego powodu zainteresowali się Malloyem, kiedy korzystał z telefonu blisko strefy cienia, w której się chronili, ale widocznie instynkt kazał im się do niego nie zbliżać.

Wyglądał na gościa, który nosi przy sobie spluwę. Wystarczy chwila, a leżysz na ziemi w kałuży krwi. Nie warto ryzykować.

Malloy wrzucił kilka monet do automatu i wybrał numer telefonu komórkowego.

- Pomyślałem sobie, że może jutro sprawdzimy, jak mieszka nasz pan adwokat - powiedział, gdy telefon odebrała Kate Brand. - Piszesz się na to?

W hotelu Malloy zaparzył sobie herbaty i zaczął przeglądać materiały umieszczone na płytach DVD, które otrzymał od Dale'a. Przez dwie godziny studiował współpracowników i kontakty Heleny Chernoff - te, o których było coś wiadomo. Później obejrzał raporty Perry'ego na temat Xeno, ale była tam zaledwie mała wzmianka o Chernoff i żadnych bezpośrednich powiązań z Jackiem Farrellem czy Hugonem Ohlendorfem. Wrócił do Chernoff i wczytał się w jej życiorys, żeby dokładnie wiedzieć, z kim ma do czynienia. Podczas pierwszych akcji Niemkę cechowała brawura i pomysłowość. Załatwiała ludzi, których otaczał wianuszek goryli. Pierwsze trzy ofiary zabiła w ich własnych łóżkach. Użyła do tego brzytwy. Dwie następne zdjęła przy pomocy karabinu snajperskiego. Potem znowu zabiła z bliska. Poderwała ofiarę w seksklubie w Amsterdamie. Trupa znaleziono w bocznej uliczce za lokalem.

Rok później zabójstwo, którego dokonała w Sankt Petersburgu, zostało uwiecznione kamerą zamontowaną na podziemnym parkingu. Malloy najpierw przeczytał raport, a potem obejrzał nagranie. Celem Chernoff był amerykański biznesmen, który chciał wybudować w mieście hotel. Opłacił rosyjskich gangsterów, żeby zapewnili mu obstawę. Kiedy Chernoff dopadła go na parkingu, w tym samym momencie pojawiła się ekipa jego ochroniarzy. Kamera zarejestrowała fragment strzelaniny. Reszta rozegrała się poza kadrem. Cała akcja trwała około półtorej minuty - strasznie długo jak na wymianę ognia w mieście. Kiepska jakość nagrania nie pozwalała wyłapać, co tam się właściwie działo, ale jedno było pewne: pod koniec strzelaniny żyła tylko Helena Chernoff. To właśnie wtedy policja uzyskała wiarygodną próbkę jej krwi i DNA.

Z filmów nagranych przez kamery zainstalowane w posiadłości Juliana Corbeau Interpol zlepił prawdziwy „tele-dysk” z Chernoff w roli głównej. Dobrze

było słycać jej głos, a zdjęcia twarzy i sylwetki uznał za najlepsze z ostatnich lat. Dziwnie się czuł, oglądając strzelaninę, w której sam brał udział. Jednak najbardziej niepokojące były trzy fragmenty, na których Chernoff rozmawiała o nim z Julianem Corbeau. To, co mówiła, nie było zbyt głębokie, ale kontekst jej wypowiedzi sugerował, że wiedziała o Malloy u więcej, niż mógł przypuszczać. Biorąc pod uwagę możliwości Corbeau oraz to, jak zaaranżował sprzątnięcie Malloya, wyglądało na to, że Chernoff widziała jego zdjęcia. Mogła go więc rozpoznać.

Dopóki Gil Fine nie wspomniał o tym, że na nagraniach z posesji Corbeau występuje Chernoff, Malloy nie miał pojęcia, że była w to wszystko zamieszana. Ani przez chwilę nie wierzył, że Chernoff i Jack Farrell spotkali się wskutek jakiegoś niesamowitego zbiegu okoliczności. Nie wiedział jednak, jak to wszystko wytłumaczyć. Pociągała go myśl, że Farrell spiknął się z Chernoff właśnie dlatego, że widziała Malloya i miała z nim własne porachunki, ale był niemal pewny, że biznesmen nie miał pojęcia, iż to właśnie on dał cynk ludziom z SEC, aby wszczęli śledztwo. A to oznaczało tylko jedno. Ktoś trzeci musiał poinformować Farrella o tym, że we wszystko zamieszany jest Malloy. Ta nieznana osoba mogła zaaranżować również pomoc Niemki. Ale w jaki sposób Chernoff miała pomóc Farrelowi? Była płatnym zabójcą, a nie ochroniarzem. Nie zajmowała się też szmuglowaniem ludzi. Malloyowi brakowało zbyt wielu fragmentów układanki. Tylko jedno było pewne. Malloy został rozpoznany. Znali jego twarz.

Dalej przeglądał materiały. Patrzył przez jakiś czas na fotografie Chernoff, które różne agencje uzbierały przez lata. Miała wyraźnie słowiańskie rysy twarzy, posiadała jednak zdolność radykalnej metamorfozy. Była niemal jak kameleon: chuda, gruba, blondynka, brunetka, stara, młoda... za każdym razem odmieniona.

Kiedy skończył oglądać zdjęcia, wstał i podszedł do okna swojego pokoju hotelowego. Zbliżał się świt. Mimo tego, co wmówił Jane Harrison, był pewien, że związki Jacka Farrella ze światem przestępczym ograniczały się jedynie do finansowych przekrętów związanych z bankructwem firm, w których jego współnikiem był Giancarlo Bartoli. Najlepszym przykładem tak poprowadzonego przedsięwzięcia biznesowego był zakup firmy z sektora nowych technologii w Mediolanie. Farrell i Bartoli kupili tę spółkę, a następnie pozwolili jej się wykrwawić. Trik polegał na tym, żeby wyciągnąć z firmy o wiele więcej pieniędzy, niż się w nią zainwestowało, a potem ogłosić jej upadłość, tak aby inni ponieśli koszty plajty. W tym wypadku pogrążyli spółkę, a potem sprzedali ją swojemu dobremu znajomemu, Robertowi Kenyonowi.

Co Jack Farrell naopowiadał lordowi Kenyonowi na temat mediolańskiego przedsiębiorstwa? Malloy nie mógł tego wiedzieć. Na papierze rzecz wyglądała jednak jak finansowe samobójstwo. Z jakiegoś powodu Anglikowi spodobał się pomysł kupna spółki, przez co skończył zatopiony po uszy w długach. Po miesiącu od podpisania umowy Kenyon zginął na stoku góry Eiger, a sprawą przedsiębiorstwa zajął się sąd upadłościowy. Wdowa po Kenyonie, Kate, która włożyła w tę inwestycję własne dziesięć milionów funtów, straciła wszystko. Ogłoszono windykację długu w wysokości siedemdziesięciu pięciu milionów funtów i likwidację majątku Kenyona.

W momencie kupna mężowi Kate mogło się wydawać, że w firmie tkwi potencjał lub po prostu nie orientował się za dobrze w rachunkowości ani niuansach umów sprzedaży. Dla Malloya podejrzane było już samo to, że kontrakty kupna i sprzedaży wiązały spółkę niemal wyłącznie z przedsiębiorstwami, które

kontrolował Bartoli. Były dostawcami wszelkich komponentów i odbiorcami gotowych produktów. Ponadto firma była naszpikowana ludźmi, którym przysługiwały ogromne pensje oraz którzy mieli zagwarantowane wieczne synekury, a wszyscy oni byli współpracownikami Bartolego.

Kate Brand nigdy tak naprawdę się nie dowiedziała, dlaczego firma upadła. Nie miała wówczas żadnego doświadczenia w prowadzeniu biznesu. Zresztą później również nie bardzo. Sytuacji nie poprawiał także fakt, że Kate nadal była w żałobie i szoku po wydarzeniach, które rozegrały się na Olbrzymie. O wyjaśnienie tej finansowej katastrofy poprosiła naiwnie swojego ojca chrzestnego, Giancarla Bartolego, który przekonał ją, że z powodu nagłej śmierci jej męża złamane zostały pewne warunki kontraktów i dlatego firma nie miała szansy przetrwać.

Wyjaśnienie Bartolego mijало się z prawdą niemal w każdym punkcie.

Malloy poznał Kate i jej drugiego męża, Ethana Branda, w Szwajcarii, kiedy wszyscy troje znaleźli się na celowniku Juliana Corbeau. Rok temu, gdy Kate i Ethan mieszkali w Nowym Jorku, Kate skontaktowała się z Malloyem i poprosiła go, żeby zbadał sprawę śmierci Kenyona. Malloy specjalizował się w operacjach finansowych, a poza tym miał talent znajdowania „wtyczek” w Europie i tworzenia całych sieci wyjątkowo użytecznych kontaktów, dzięki czemu był tak niezastąpiony dla Jane Harrison. Obiecał więc Kate, że zbada sprawę. Na jego życzenie przedstawiła mu wszystkie dane finansowe firmy aż do momentu bankructwa, listę przyjaciół i współników męża, dane na temat jego innych interesów, a nawet plany podróży z ostatniego roku jego życia. Większość informacji pochodziła od prywatnych detektywów, którym nie udało się jednak wpaść na żaden poważny trop. Niektóre dostarczył sam Bartoli - dopracowane w

szczegółach i profesjonalnie napisane raporty od ludzi odpowiedzialnych za bezpieczeństwo jego interesów. Jeszcze inne pochodziły od radcy prawnego Roberta Kenyona z Londynu, który zajmował się także likwidacją jego majątku.

Malloy bardzo szybko ustalił motyw zabójstwa lorda Kenyona: jego przyjaciele oszukali go, ograbili z fortuny, a potem zamordowali, zanim się zorientował, jakie popełnił głupstwo. Według Malloya było trzech podejrzanych: Giancarlo Bartoli, syn Bartolego Luca oraz Jack Farrell. Wszyscy oni zyskali na inwestycji lorda Kenyona, a z drugiej strony znaleźliby się w poważnych tarapatach, gdyby żył na tyle długo, by dowiedzieć się prawdy.

Kiedy Malloy opowiedział Kate swoją wersję wydarzeń, zdumiała go jej reakcja. Nie była w stanie mu uwierzyć. Oczywiście wiedziała, czym zajmują się stary i młody Bartoli. Otwarcie przyznała się, że płynność finansową odzyskała poprzez współpracę z Lucą Bartolim - zbiła fortunę na kradzieży obrazów. Ale jej zdaniem Giancarlo traktował Roberta jak syna. A jeśli chodzi o Jacka Farrella był nie tylko przyjacielem, ale i kuzynem Kenyona - ich matki były siostrami. Obaj jedynacy, kiedy dorastali, spędzali razem większość wakacji. Jednego lata byli w Berlinie, innego w Falsbury Hali w Anglii. Dwa kolejne spędzili w posiadłości Farrelów na Long Island. Gdy mieli po trzynaście lat wysłano ich do Paryża, gdzie każdego ranka uczyli się francuskiego, a popołudniami zwiedzali Luwr. Utrzymywali ze sobą kontakty nawet wtedy, gdy poszli na studia. Spędzili wspólne lato we Włoszech - tym razem bez swoich matek. To właśnie wtedy poznali Luce Bartolego i zatrzymali się u niego w domu. Dla Jacka Farrella, którego ojciec był bliskim przyjacielem Giancarla, był to początek współpracy biznesowej z rodziną Bartolich. Z kolei dla Kenyona był to początek przypadkowego, lecz trwałego flirtu ze światem przestępczym.

Przyjaźń między Jackiem Farrellem, Robertem Kenyonem i Lucą Bartolim przetrwała aż do śmierci Kenyona. Wszyscy trzej de facto odziedziczyli fotele w zarządzie organizacji humanitarnej o nazwie Zakon Rycerzy Świętej Włóczni. Robert był najbiedniejszy z całej trójki i nie wchodził w żadne relacje finansowe z Farrellem ani Bartolim. Dlaczego zatem zdecydował się nagle porzucić bezpieczne inwestycje, które przez lata utrzymywały jego rodzinę, i kupić firmę wysokiego ryzyka? Kate nie była w stanie udzielić odpowiedzi na to pytanie. Wiedziała jedynie, że był bardzo podekscytowany całą sprawą. Chciał uratować spółkę i nie martwił się swoim brakiem doświadczenia w tego typu operacjach. Zapewne kierowała nim wrodzona potrzeba ryzyka, od którego był przecież uzależniony w wielu innych sferach życia. Być może doszedł do takiego etapu, że zapragnął posiadać więcej. Albo miał nadzieję, że spektakularne uratowanie firmy pomoże mu zdobyć uznanie ze strony otoczenia. Jego majątek był imponujący tylko dla kogoś, kto sam nie posiadał zbyt wiele.

W kręgach, w których lord Kenyon się obracał, uchodził za kiepsko sytuowanego. Arystokratyczna krew, ale puste kieszenie. Zaczynał nowe życie z piękną żoną. Majątek jego teścia był dwukrotnie większy, a ojciec Kate dorobił się w najbardziej niebezpiecznym fachu na świecie. Być może - ale tylko być może - Robert Kenyon znudził się bezpiecznym życiem i zaczął mieć większe ambicje. Jeśli tak właśnie było, to jego przyjaciele wykorzystali te ambicje przeciwko niemu.

Kate nie kupiła tej teorii. Żądała dowodów. Podkreślała, że zarówno Farrell, jak i stary Bartoli mieli już wówczas wystarczające ilości czystych pieniędzy i gigantyczne zyski. Siedemdziesiąt pięć milionów funtów, które wchodziły w grę

w przekręcie przeciwko Kenyonowi, nie było dla nich jakąś zawrotną sumą, mimo że stanowiły cały majątek Roberta. Jej mąż był wpływowym człowiekiem, twierdziła Kate. Miał wysoko postawionych przyjaciół, order wojenne oraz błękitną krew, a jego koneksje były warte o wiele więcej niż siedemdziesiąt pięć milionów funtów.

Malloy jeszcze nigdy w życiu nie spotkał nikogo, kto miałby wystarczającą ilość pieniędzy. Mimo to argumentacja Kate wydawała się do pewnego stopnia sensowna. Poza tym nie do końca umiał uzasadnić, dlaczego Giancarlo miałby nasłać zabójców nie tylko na Roberta, ale i na Kate. Była przecież jego córką chrzestną i ulubienicą, a z ojcem Kate łączyły go nie tylko wspólne interesy, ale też wieloletnia przyjaźń. Jeśli Bartoli chciał z jakiegoś powodu wysłać Roberta Kenyona na tamten świat, dlaczego nie wyłączył z tego Kate? Przez to pytanie Malloy musiał zrewidować swoją teorię. Być może Giancarlo był niewinny. Być może cały szwindel wyreżyserował jego syn Luca oraz Jack Farrell - i to oni również wydali wyrok śmierci na Kenyona. Luca z godnością i po męsku znosił romans, a potem małżeństwo swojej byłej dziewczyny. Może jednak buzowały w nim emocje, których nie uzewnętrzniał. Kate nie uwierzyła i w tę teorię. Co prawda przyznała, że po śmierci Kenyona odnowiła swoje relacje z Luca, ale chodziło głównie o interesy. Malloya zastanowiło to „głównie”, nie wnikał jednak głębiej. Poza tym sam dopuścił się kilku romansów, gdy był młody. W rezultacie doprowadził swoje małżeństwo do ruiny. Kiedy to wszystko się zaczęło, powiedziała mu Kate, Luca nosił już obrączkę na palcu, a jej zdaniem był typem Włocha, który żeni się jeden, jedyny raz. Kate była tylko dla niego chwilową zachcianką, niczym więcej. Gdy pojawił się Robert Kenyon, Luca z przyjemnością ustąpił miejsca swojemu przyjacielowi. Po śmierci Kenyona Kate spędziła kilka

miesiący w posiadłości Bartolego na Majorce, ucząc się nowego fachu. Przyznała, że spędziła z Lucą kilka nocy, ale nie było to nic poważnego. Malloy jej nie uwierzył. Kate nie należała do kobiet, którymi można się dzielić albo mieć, kiedy akurat ma się na to ochotę. Rzecz jasna, wtedy była dużo młodsza, prowadziła bujne życie towarzyskie i miała więcej pieniędzy w kieszeni niż rozsądku w głowie. Właściwie była jeszcze dzieckiem. Dopiero Eiger uczynił z niej kobietę, którą znał Malloy. Eiger oraz dziesięć lat życia na krawędzi.

Kate zwróciła się do Malloya o pomoc już ponad rok temu. Nadal nie miał jednak żadnych dowodów. Brakowało mu wielu części układanki. Tak wielu, że nie dało się ich nawet zliczyć. Ciągłe wracał do punktu wyjścia - motywu finansowego. To jedyna rzecz, która miała jakiś sens. Wiedział, że Jack Farrell mógłby go w wielu kwestiach oświecić. Gdyby tylko udało mu się porozmawiać z nim przez kilka chwil. Ale wszystko się nagle piekielnie skomplikowało. I tak oto znalazł się w Hamburgu, próbując posprzątać sytuację, której nie przewidział.

A w samym środku tego wszystkiego pojawiła się dodatkowo ta przeklęta Helena Chernoff!

Głos rozsądku nawoływał go do wycofania się. Przestrzegał: idziesz prosto w pułapkę. Tylko że było już za późno, żeby się wycofać. Pojawiła się Chernoff. Przez nią sytuacja zmieniła się diametralnie. Malloy musiał zacisnąć zęby i brnąć dalej. Do końca.

Malloy planował przejrzeć jeszcze kilka plików, ale zmorzył go sen. Wstał po paru godzinach i zszedł na dół na śniadanie. Był to typowo niemiecki zestaw: kawa, sok, chleb, dżem, płatki śniadaniowe, kawałki owoców oraz szwedzki stół z wędlinami i serami. Zateęsknił nagle za Gwen - śniadanie jedli zawsze razem.

Chciał do niej zadzwonić, usłyszeć jej głos. W Nowym Jorku był jednak teraz środek nocy.

Z budki na Bahnhof zadzwonił do hotelu Royal Meridien, żeby zostawić wiadomość dla Josha Suttera. Powiedział, że nie spotka się dzisiaj z Hansem, ponieważ zasnął. Prosił jednak obu agentów, aby pojawili się o ósmej wieczorem w barze hotelowym. Podkreślił, że to bardzo ważne.

Potem skierował się ku dokom przy Aussenalster. Rejs po kanale zaczynał się w samo południe.

Neustadt, Hamburg, sobota, 8 marca 2008

David Carlisle otrzymał telefon od Heleny Chernoff w sobotę rano. Meldowała, że Malloy wraz z parą agentów FBI poszli na kolację. Wszystko zgodnie z planem. W samochodzie Malloy pełnił funkcję przewodnika. Chodzili wzdłuż doków, podziwiając widoki, a potem przeszli na Reeperbahn i do restauracji. Przy stole agent Sutter wykonał dwa telefony do swojego zaprzyjaźnionego policjanta, a następnie otrzymał telefon z tego samego numeru.

- Wiemy, czego chciał od tego gliny? - zapytał Carlisle.

- Sutter i Randal rozmawiali o tym w drodze powrotnej do hotelu. To Malloy kazał im zadzwonić. Chciał, by zdobyli numer budki telefonicznej, z której zadzwoniłam na policję - powiedziała Chernoff.

Carlisle uśmiechnął się, zadowolony.

- Połknął przynętę - oświadczył.

- Przynajmniej patrzy w odpowiednim kierunku. Miejmy nadzieję, że jest dokładny.

Carlisle podszedł do okna i spojrzał w dół na spokojną okolicę, w której się zaszył. Nie opuszczał kryjówki, odkąd śledzili Malloya z lotniska.

- Po trzecim telefonie - relacjonowała dalej Chernoff - Malloy wyszedł z restauracji. Zginął w tłumie po kilku minutach. Wiem jedynie, że nie wrócił do hotelu.

- Pewnie spotkał się ze swoim kontaktem.

- Albo z Brandami - zasugerowała Chernoff. Carlisle zerknął na zegarek.

- Nadal nie wrócił do hotelu? -Nie.

- Co mówią o nim Sutter i Randal? - zapytał.

- Są rozczarowani. Mieli się z nim spotkać dzisiaj rano, ale wystawił ich do wiatru.

- Zadzwoń do mnie, kiedy się pojawi.

- Będziesz pierwszym, który się o tym dowie. Dobrze się czujesz? - zapytała nagle. - Coś ci przynieść?

- Jestem trochę skołowany.

- Mogę ci załatwić kobietę do towarzystwa. Carlisle przez chwilę zastanawiał się nad tą propozycją.

- Nie, dziękuję. Wolałbym... ciebie - powiedział. Chernoff zamilkła. Dopiero po chwili zapytała:

- Myślisz, że to dobry pomysł?

- Myślę, że najlepszy, jaki mam.

Aussenalster, Hamburg, sobota, 8 marca 2008

Niebo tego dnia było posepne i zachmurzone. Okropna pogoda jak na rejs. To dobrze, pomyślał Malloy. W soboty statki były wypełnione ludźmi aż po brzegi, ale dzisiejsza aura odstraszyła chętnych. Malloy wcześniej wszedł na statek, zamówił filiżankę kawy oraz croissanta, a następnie wrócił na górę na pustawy pokład. Kiedy załoga zaczęła składać już trap, młoda para w ostatniej chwili postanowiła dołączyć do wycieczki. Malloy obserwował ich przez chwilę, a gdy upewnił się, że został zauważony przez młodego mężczyznę, usiadł na ławce i czekał.

Kilka minut później para pojawiła się na pokładzie. Ubrani byli na sportowo: w grube kurtki, wełniane czapki i szaliki oraz okulary przeciwsłoneczne. Usiedli po drugiej stronie przejścia, naprzeciwko Malloya, nie zwracając na niego uwagi. Patrzyli, jak statek oddala się od brzegu.

Nieliczni pasażerowie wytrzymali tylko kilka minut na zimnym wietrze, a następnie schronili się w środku. Został tylko Malloy i młoda para.

- Ktoś wie, że jesteście w Niemczech? - zapytał, podchodząc do nich.

- Nie. Jesteśmy bezpieczni - odpowiedziała Kate.

- Przepraszam, że tak późno was powiadomiłem, ale musimy wytropić Farrella, zanim niemiecka policja założy mu kajdanki.

- Jesteśmy tu, żeby ci pomóc - odezwał się Ethan.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zacząć od porwania Hugona Ohlendorfa - poinformował Malloy.

Ethan zrobił wielkie oczy. Malloy doszedł do Ohlendorfa poprzez Xeno, lecz w rzeczywistości to Ethan wpadł na trop Niemca. Prawnik reprezentował interesy czterech starszków, którzy byli w zarządzie organizacji Zakonu Rycerzy Świętej Włóczni. W momencie morderstwa Kenyona zarząd, który nazywał siebie Radą Paladynów, składał się oprócz nich z Ohlendorfa, Jacka Farrella, ojca Farrella, Luki i Giancarla Bartolich oraz Roberta Kenyona. Po śmierci tego ostatniego i po wycofaniu się Farrella seniora, do Rady Paladynów dołączyli David Carlisle oraz Christine Foulkes. Zaskarbiwszy sobie przychylność czterech Paladynów, Hugo Ohlendorf z pewnością wzmocnił swoją pozycję, która nie była tak ugruntowana, kiedy jeszcze żył Kenyon.

Rycerze Świętej Włóczni zaczęli działać tuż po wzniesieniu muru berlińskiego latem 1961 roku. W tamtym czasie jedynym celem Zakonu było uświadamianie świata, jak bardzo rozpaczliwa jest sytuacja Berlina Zachodniego. Kiedy sytuacja się poprawiła, Rycerze Świętej Włóczni początkowo działali na rzecz złagodzenia restrykcji wobec podróżujących do N R D. Z czasem - a może już od samego początku? - Paladyni w tajemnicy zaczęli współpracować z różnymi służbami wywiadowczymi na Zachodzie w celu destabilizacji reżimów zza żelaznej kurtyny.

Po upadku muru berlińskiego Zakon zmienił swoje priorytety. Od tej pory stawiał sobie za cel niesienie pomocy krajom dotkniętym wojnami, poczynając od różnych konfliktów bałkańskich na początku lat pięćdziesiątych. Ethan i Malloy uważali, że charytatywny charakter organizacji był tylko doskonałą przykrywką dla tajnych działań Paladynów. Na pewno mieli do swojej dyspozycji

podziemną siatkę w bloku państw wschodnich, ale co dokładnie robili i w czym imieniu - pozostawało tajemnicą.

Jako że wszyscy ludzie zamieszani w bankructwo lorda Kenyona byli Paladynami, Ethan od dawna utrzymywał, że śmierć Brytyjczyka miała motyw polityczny - była pewnego rodzaju zamachem stanu. Z pozoru ta teoria wydawała się przekonująca i logiczna. Zakładając, że doszło do jakiejś schizmy, frakcja Farrell - Bartoli mogła się przeciwstawić Kenyonowi. Jedna rzecz nie miała jednak sensu: to, że Kenyon nie zdawał sobie sprawy z problemu. Gdyby jednak faktycznie poróżnił się ze swoimi byłymi sojusznikami, czy zdecydowałby się na robienie z nimi interesów, ryzykując całą swoją fortunę?

Usłyszawszy o planach Malloya względem Ohlendorfa, Kate uśmiechnęła się pogodnie.

- Chcesz porwać tego znanego prokuratora?

- Byłego znanego prokuratora - sprostował Malloy.

- Myślisz, że mógłby nas oświecić na temat Farrella?

- Właśnie tego muszę się dowiedzieć. Jest powiązany z hamburskim podziemiem przestępczym, może więc być łącznikiem pomiędzy Jackiem Farrellem a Heleną Chernoff. Nie mam jednak żadnych dowodów.

- Jeśli porozmawiamy z Ohlendorfem, to może będziemy mogli sobie odpuścić polowanie na Farrella - zasugerował Ethan. - Przecież chcemy się po prostu dowiedzieć, co się stało z Kenyonem.

- Możemy go o to zapytać - odparł Malloy - lecz sytuacja nieco się zmieniła. Musimy znaleźć Farrella, zanim dopadną go Niemcy. Naszym priorytetem jest teraz ustalenie, czy Ohlendorf wie, jak Farrell skontaktował się z Chernoff.

- Jaki masz plan? - zapytała Kate.

- Gdy tylko się dowiemy, że Ohlendorf jest w swoim domu i nie ma zamiaru nigdzie wychodzić, włamiemy się do niego i go porwiemy. Waszej dwójce pozostawiam decyzję, jak to dokładnie zrobić. Przygotowałem pokój w dzielnicy St. Pauli, gdzie możemy go maglować tak długo, jak będzie nam się podobało, ale oczywiście najpierw trzeba go tam dowieźć. To jest największy problem...

Ethan wyciągnął kieszonkowy system nawigacyjny GPS. Zapytał Malloya, czy może mu podać adresy domu Ohlendorfa oraz meliny. Przy okazji Thomas podał im także adres swojego hotelu w Neustadt oraz numer pokoju, a potem wręczył Kate klucz.

- Jak sobie poradzimy z jego żoną i dziećmi? - zapytał Ethan, wpatrując się w ekranik. Malloy pomyślał, że Brand jest wstrząśnięty planem uprowadzenia Niemca, ale robi wszystko, żeby nie dać tego po sobie poznać.

- To już wasza działka - odparł Malloy. - Wiem tylko tyle, że mieszka z żoną i córką. Jeśli będziemy mieli pecha, w domu możemy zastać dodatkowo dwudziestokilkuletniego syna, który studiuje w Berlinie. Niewykluczone, że mieszka też z nimi jakiś stały personel.

- Niedobrze - skonstatował Ethan. Spojrzał na Kate, żeby zobaczyć, jak ona na to wszystko reaguje. - Jest zbyt wiele niewiadomych. Nawet nie znamy zwyczajów tego faceta.

- Trudno, jakoś sobie z tym poradzimy - stwierdziła stanowczo Kate. Ethan przytaknął, ale widać było, że nie jest zachwycony.

Po kilku przystankach łódź opuściła jezioro i wpłynęła do kanału. To był teren najzamożniejszych enklaw w Hamburgu.

Wzdłuż brzegu stały wille i rezydencje różnej wielkości i w różnych stylach. Większość domów dysponowała własnym dokiem przy kanale. Gdzieś zakotwiczone były łódki, którymi można było pływać po stosunkowo płytkim Aussenalster, ale najczęściej widywało się motorówki odpowiednie do przemierzania głębszej Elby. Tuż po tym, jak wpłynęli do kanałów, Malloy wskazał głową biały pałacyk stojący w ogrodzie w stylu hiszpańskim. Posiadłość była otoczona wysokim żelaznym ogrodzeniem, a przy doku cumował dziesięciometrowy jacht.

- Rezydencja Ohlendorfa - oświadczył Malloy.

Kate i Ethan milczeli. Patrzyli na posiadłość. Kiedy już minęli dom, Malloy zapytał ich o wrażenia.

- Ma psa. Może nawet dwa - odpowiedziała Kate. - W doku jest zainstalowana kamera. Przy frontowej bramie zapewne też. Co poza tym? Podstawowe środki bezpieczeństwa. Biorąc pod uwagę to, jak mało mamy czasu, powinniśmy się po prostu włamać, zignorować alarm, złapać faceta i spływać, zanim się pojawi policja.

- To duży dom. Jest wysoce prawdopodobne, że mieszka z nimi pomoc domowa - zauważył Ethan. - Może być też jakiś facet, który zajmuje się posesją i jednocześnie pełni funkcję stróża i ochroniarza.

- Na pewno nie będziemy mieć czasu na zabezpieczenie terenu, kiedy już znajdziemy się w środku - dodała Kate. - Lepiej też, żeby jednak nie było akurat tego syna ani nikogo, kto został przeszkolony w walce z intruzami.

- A co ze schronem? - zapytał Malloy.

- Kiedy wtargniemy na teren posesji, najpierw usłyszymy ostrzeżenie alarmu. Jeśli nie podamy kodu, w ciągu kilku sekund, alarm zacznie wyć - przewidywała

Kate. - Powiedzmy, że mamy do czynienia z byłym prokuratorem, który uważa się za prawdziwego mężczyznę, oraz z gorylem, który przy szefie struga supertwardziela. Jeśli mają *panie room*, to wepchną tam żonę i córkę, a sami pójdą po swoje spluwy.

- Myślę, że zachowa się w taki sposób, nawet jeśli nie ma tam żadnego goryla - rzucił Ethan. - Z tego co wiem, Ohlendorf ma świra na punkcie broni. Należy do kilku klubów strzeleckich. Lubi też popisywać się przed policją, więc nie pozwoli kolegom, by wyciągali go ze schronu. Zbłąźniłby się. - Skupił się na wirtualnej mapce, którą wyświetlał jego nawigator. - Policja nie przyjedzie tak prędko ośesja jest na obrzeżach. Tak na oko, będziemy mieć od ośmiu do piętnastu minut.

- Nie za wiele, jeśli chce się obezwładnić faceta, który ma w domu skład broni - stwierdził Malloy.

- To nie jest problem - zaproponowała Kate. - Prawdziwym problemem jest ucieczka z miejsca przestępstwa.

Ethan przytaknął.

- Kiepsko z drogami - powiedział, wpatrując się w mapkę na ekranie. - Można jechać naokoło, ale w końcu ląduje się na mostach i kanałach. Jest kilka skrótów, ale gliny na pewno o nich wiedzą. Przecież płaci im się za to, żeby chronili wszystkich tych bogaczy.

- A nie można tego zrobić... wodą? - zasugerował Malloy. Kate pokręciła głową.

- Jeśli zauważą nas łodzie policyjne, a pewnie będziemy jedynymi ludźmi na jeziorze, to może być gorzej niż na lądzie.

- Od domu Ohlendorfa do pierwszego doku jest maksimum sześć minut - powiedział Ethan, nie spuszczając wzroku z ekranu. - Jeśli będziemy w domu jakieś cztery minuty, to wypłyniemy z jeziora, zanim policja się zorientuje.

- Jeśli mielibyśmy uciekać wodą, to nie chcę pierwszego doku - powiedziała Kate. - Chcę dopłynąć bliżej centrum. A potem przesiąść się do samochodu i wmieszać w ruch uliczny. Dok musi też być po zachodniej stronie jeziora, żebyśmy na drodze nie mieli żadnych mostów. Dzielnica St. Pauli?

Malloy przytaknął.

Ethan zastukał palcem w ekran.

- Tutaj. Dok przy Alte Rabenstrasse. Kate spojrzała na ekran.

- W nocy to dobra okolica, ale istnieje spore ryzyko, że będzie tam jakaś łódź patrolowa. A wtedy będą wiedziały o nas wszystkie jednostki policji w Hamburgu.

Cała trójka milczała, zastanawiając się nad sytuacją.

- Wydaje mi się - odezwał się wreszcie Ethan - że mógłbym zmylić łódź policyjną. Tak, aby popłynęła w zupełnie innym kierunku.

- Jak? - zdziwił się Malloy. Mąż Kate się uśmiechnął.

- Moja w tym głowa. Będziemy potrzebowali bezpiecznego samochodu, który zawiezie nas z doku do miasta.

- Mogę to załatwić - powiedział Malloy.

- Dzisiaj po południu podstaw samochód przy doku - polecił Ethan - a ja zajmę się łodzią policyjną.

- Jak wygląda sprawa ze sprzętem? - zapytał Malloy.

- Chyba wszystko w porządku - odparła Kate.

- A co z łódką?

- Jeśli ty załatwisz auto, my załatwimy łódkę. To nie problem - zapewniła

- Spotykamy się w hotelu w Neustadt około dziesiątej? - zaproponował Malloy.

- Będziemy na miejscu w okolicach czwartej, jeśli nie masz nic przeciwko temu - odparta Kate. - Chciałabym coś przekąsić i przespać się kilka godzin. Na wypadek, gdyby się okazało, że czeka nas bardzo długa noc.

Berlin, Niemcy, jesień 1931

Otto Rahn pisał do Elizy niemal codziennie. Opowiadał o Langwedocji, o niebie, o górach. Wspominał o ludziach, których losy odkrywał w jakichś zakurzonych bibliotekach. Pisał o ruinach, które dawniej były miastami. O miejscach, których nie zdążył jej pokazać. Niekiedy przywoływał utrwalone w księgach historie miłosne kochanków, którzy byli mężami i żonami innych osób, lecz każdego dnia marzyli o tym, co nie mogło się ziścić. Mimo to pozostawali wierni swej miłosnej przysiędze aż do śmierci. Rahn pisał, że zanim spotkał Elizę, ból serca opisywany w tych księgach wydawał mu się poetycką przesadą - pompatyczną pustką, która udawała prawdziwą miłość. Ale teraz już wiedział, że to nie wymysł - że ten ból jest jak najbardziej realny. Zapytał ją, czy istnieje coś piękniejszego niż nadzieja, że otrzyma od niej list. Czy istnieje coś bardziej czystego niż wspomnienie jej pocałunku przy zamku w Montsegur, który na zawsze wrył się w jego duszy? A jednak tym uczuciom towarzyszył również dojmujący głód niezaspokojonego pragnienia, niezgoda na to, że się zostało od-

trąconym, pobitym i zostawionym na pastwę losu. Czy nie mogliby pewnego dnia w przyszłości spotkać się? Czy nawet na to nie mógł liczyć?

Wydawało mu się, że życie bez niej jest niemożliwe. A mimo to, jak pisał, dni jakimś cudem mijały... Kiedy zwiedzał kolejną jaskinię, wyobrażał sobie, że Eliza stoi obok niego i się uśmiecha. To koło ból. Kiedy czytał opisy bitew lub słuchał jeszcze jednej niespisanej przez nikogo opowieści jakiegoś staruszka, który z kolei usłyszał ją od innych staruszków pół wieku wcześniej, nie myślał już o tym, czy ta historia będzie pasowała do jego książki. Jego kryteria się zmieniły; teraz zawsze się zastanawiał, czy ta opowieść spodobałaby się Elizie?

Pisał też, że Eliza miała rację, gdy odmówiła mu tamtej nocy. Nie wdawał się w żadne szczegóły. Przyznawał się tylko do błędu. Błędem było nakłanianie jej do zdrady. Jednak gdyby tylko wiedziała, jak bardzo jej pragnął, może byłaby mu w stanie wybaczyć... Eliza odpisywała, że nie ma mu czego wybaczać. Przeciwnie: codziennie żałowała, że powiedziała mu wtedy takie, a nie inne słowa. Wiedziała, że go zawiodła. Tamtej nocy tak łatwo byłoby im przeżyć to, czego oboje pragnęli z całego serca. Przeżyć to ten jeden, jedyny raz. Wiedziała, że nawet samo myślenie o tym jest grzechem, za który się idzie do piekła. Nic nie może jednak na to poradzić. Żałuje, że tamtej nocy nie poszła z nim do jego pokoju, kiedy ją o to poprosił.

Rahn w odpowiedzi na te wyznania chwalił jej cnotę. Eliza pokonała swoje pożądanie, wzniosła się ponad nie. Sam żałuje, że nie miał dość siły ducha, by to zrobić. Jego ciało przemawiało jednak zbyt głośno. Pragnął czegoś więcej niż tylko fantazji na szczycie wzgórza. Poddał się pokusie, która nie byłaby zaakceptowana przez świat. Świat zawsze tępi takie odruchy serca! To prawda, pisał, Eliza miała rację, że go odtrąciła -jednak oddałby wszystko za to, by móc jej

dotknąć, pocałować ją i posiąść. To uczucie wcale nie słabło wraz z upływem czasu. Było dokładnie tak, jak powiedziała Eliza: włócznia nie przestaje krwawić, kielich nigdy się nie napełnia!

Pewnego razu wspomniał o opisaney przez Dantego w *Boskiej Komedii* parze kochanków, którzy poddali się pokusie, a następnie zostali za karę skazani na wieczne bieganie w kółko za sobą, nigdy nie mogąc zbliżyć się do siebie na tyle blisko, by móc się dotknąć. Zatem ci, którym udało się pokonać pokusę są prawdziwymi kochankami, których spotka nagroda w życiu wiecznym! Mimo wszystko, za jedną godzinę spędzoną w jej towarzystwie Otto oddałby zarówno życie doczesne, jak i życie wieczne - gdyby tylko wiedział, że Elizie oszczędzono by gniewu bożego...

Ich korespondencja była niczym rozmowa przepełniona narkotycznym pragnieniem oraz dziwną teologią. Listy były jednocześnie wyzute z nadziei, przesiąknięte rozpaczą oraz pełne uczucia. „Żaden ze mnie Katar! - pisał Rahn pewnego razu -jestem człowiekiem dwudziestego wieku!". W następnym liście Eliza była Esclarmonde, światłem całego świata, właścicielką Graala, Królową Czystych Serc. Jeśli kiedyś odnajdzie święty kielich, przyniesie go i złoży u jej stóp...

Na widok listu od Rahna za każdym razem serce Elizy zaczynało bić szybciej. Kiedy kończyła czytać, znowu ogarniała ją żądza. Myślała sobie, że czułaby się tak samo, gdyby spędzili ze sobą cały wieczór wypełniony rycerskimi zalotami, a następnie ona pocałowałaby go na dobranoc. To było jak ekscytacja młodej dziewczyny, która nagle sobie uświadamia: „On mnie kocha!". Zawsze odpowiadała na listy Rahna w pierwszej wolnej chwili. Opisywała swój berliński

ogród, sny z ubiegłej nocy - zwłaszcza, jeśli znowu jej się śniło, że siedziała razem z nim na wzgórzu przy ruinach Montsegur. Pisała o książce, nad którą pracował. Obiecywała mu, że kiedy książka wreszcie się ukaże, świat oszaleje na jej punkcie!

W jednym z listów wspomniała, że cały Berlin płacze -dzień w dzień pada, a jej jest nieziemsko smutno. Miasto stało się nie do zniesienia. Ciągłe jakieś zamieszki, strzelaniny, anarchia. Pisała, że chyba nigdzie na świecie nie ukazuje się aż tyle gazet, a każda z nich, bez względu na to, jaką polityczną frakcję popiera, trąbi o tym samym: w Niemczech dzieje się coś złego, bardzo złego... Wolałaby teraz wspinać się w blasku słońca na jakąś górę, szukając Graala katarów. Pisała, że skoro nie może z nim tam być, jego listy są dla niej jedyną pociechą, więc czyta je ciągle na nowo.

Ani razu żadne z nich nie wspomniało nawet słowem o jej mężu. Bachman czasami doręczał jej listy od Rahna. Nigdy nie pytał, o czym pisze. Trzymała je pod kluczem. Mąż mógł z łatwością włamać się do szkatułki, gdzie je przechowywała, ale oczywiście wiedziałyby, że to zrobił. Bachmanowi dzięki niewyobrażalnej dyscyplinie udawało się za każdym razem pokonać pokusę. Zamiast tego, zaczął się dokładnie przyglądać żonie. Obserwował jej nastroje. Pewnego razu późno w nocy, gdy wypił zbyt dużo wina, zapytał Elizę, czy ma zamiar zostawić go dla Rahna.

- Jesteś moim mężem, Dieter - odparła. - Nigdy od ciebie nie odejdę.

Przy innych okazjach wypytywał o rozmowy, które toczyła we Francji z Ottonem.

- Czy kiedykolwiek poprosił cię, żebyś się z nim przespała?

- Nigdy - skłamała, oblewając się rumieńcem.

- A czy miałabyś na to ochotę, gdyby poprosił? - dopytywał się Bachman.

- Moje uczucia to moja prywatna sprawa.

- Ale jesteś w nim zakochana? - naciskał.

- To nie jest coś, na co człowiek ma wpływ - stwierdziła. - Z pewnością nie tak, jak w przypadku małżeństwa. Małżeństwo to kwestia świadomego wyboru.

Podejmujemy decyzje i składamy święte śluby w obliczu Boga.

To jedno kłamstwo splamiło jej czyste uczucie, którym do tej pory darzyła swego ukochanego. Dlatego znienawidziła męża, który wypytywał ją o rozmowy z Rahnem i nie dawał jej spokoju. Chyba nawet robił notatki! Powiedziała mu szczerze, że niektórych rozmów po prostu nie pamięta. Zresztą jakie to ma znaczenie? Przecież do niczego między nimi nie doszło!

- Czy jesteś rozczarowana, że ani razu nawet nie spróbował?

Jak mogła wyznać coś takiego mężowi? I jak mogła czerpać przyjemność ze swoich wspomnień, skoro Bachman ciągle ją przesłuchiwał? Jeśli celem tego typu katarskiej miłości była duchowa ekstaza, to Eliza na pewno jej jeszcze nie zaznała. Dowiedziała się jedynie wiele o rozpaczy...

Czasami Bachman wypowiadał się niezwykle ciepło o pięknie i dobroci swojej żony. Mówił, że jest wielkim szczęściarzem, skoro trafiła mu się taka kobieta.

Miał znajomych, którzy nie mieli żon. Wraz z upływem lat okazywało się, że brak żony jest dla nich kompletną porażką! Mieli poczucie pustki. On sam nie chciał dołączyć do tego klubu. Po jednym z takich wystąpień przyszedł do niej do łóżka. Pierwszy raz od lat się kochali. Eliza nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz doszło między nimi do zbliżenia. Jednak zamiast pocałunków i pieszczot czulego męża,

Bachman powiedział jej wprost: możesz teraz myśleć o nim. Nie wypowiedział jego imienia. To było wyjątkowo przykre zdarzenie...

„Czy Otto wie...” - tymi słowami Bachman zaczynał wiele rozmów tamtej zimy. Eliza odpowiadała, że nie jest pewna albo że po prostu nie wie. Mąż zawsze ją prosił, by zapytała Rahn o jakąś sprawę - zazwyczaj była to jakaś polityczna kwestia, o której Rahn nawet nie miał pojęcia. Innym razem wspomniał o nowej teorii na temat katarów, na którą ostatnio się natknął, i zapytał, czy Otto o niej słyszał. Bachman wpadł w manię czytania wszystkiego na ten temat.

Pewnej nocy na Elizę spłynął spokój i ukojenie, kiedy uświadomiła sobie, że tylko Rahn jest w stanie pojąć, przez co ona przechodzi, ponieważ sam cierpi z tego samego powodu. Kiedy pisała lub czytała listy od niego, żyła poza światem Bachmana. Nie była w tych chwilach ani zameżna, ani bogata, ani samotna, ani cnotliwa. Na kartach jego listów widziała opaloną, przystojną twarz, ujmujący uśmiech. Wydawał się tak bliski, że prawie mogła go pocałować... W takim stanie przez jakąś godzinę Eliza mogła być absolutnie wolna, nieustraszona. Potrafiła w najdrobniejszych szczegółach wyobrazić sobie ich intymne zbliżenie. Kiedy po takim seansie wychodziła z pokoju, jej twarz była zarumieniona niczym u świeżo upieczonej panny młodej.

Rahn na wiosnę wrócił do Niemiec i wysłał jej wiadomość, że przez kilka tygodni będzie w Berlinie. Prosił o spotkanie. Odpisała mu - na adres hotelu, w którym się zatrzymał - że nie chce go widzieć i błaga, by trzymał się od niej z daleka. I tak przyszedł pod drzwi jej domu. Kazała gosposi przekazać, że nie jest w stanie się z nim zobaczyć. Próbował jeszcze dwukrotnie. Żądał, aby powiedziała mu osobiście, prosto w twarz, że nie życzy sobie go oglądać. Eliza w tym czasie

siedziała sama i płakała. Żaden mężczyzna nie zniósłby takiej po-twarzy. To był koniec.

Listy przestały przychodzić. To było jak śmierć. Życie bez jego słów, życie bez odpisywania na jego listy. Życie bez namiętności i marzeń. Zanim Otto Rahn pojawił się w jej życiu, Eliza była w miarę zadowolona ze swojego losu. Z braku lepszego słowa nazwałaby się szczęśliwą kobietą. Nie zaprzętała sobie głowy swoim sercem - zajmowała się codziennymi sprawami. Po spotkaniu z Rahnem, poczuła się wyalienowana, a świat wydał się jej nieznośnie okrutny. Jedynie w momentach, kiedy w swoich fantazjach siedziała z nim na szczycie góry, potrafiła odnaleźć spokój umysłu. Jednak kiedy listy przestały przychodzić, przywoływanie w pamięci tamtej sceny przy zamku Montsegur stało się nagle rzeczą szalenie trudną.

Wkrótce wspomnienie wakacji we Francji zaczęło blaknąć.

Pewnego razu przy kolacji Bachman powiedział:

- Otto przysłał mi list. Wspominał ci o tym?
- Co pisze? - zapytała. Jej serce zaczęło bić jak oszalałe. Tym razem nie chodziło o pożądanie, tylko o strach. Nie wiedziała, dlaczego takim lękiem zareagowała na list Rahna do Dietera. Być może wcale nie chodziło o list. Być może chodziło o ten wyniosły wyraz twarzy męża.
- Chciał mi podziękować za ofertę biznesową, którą mu złożyłem - oświadczył.
- Jaką ofertę?
- Przekonałem kilku moich wspólników, by wzięli na dziesięć lat w dzierżawę hotel Des Marronniers. Pamiętasz go?

Oczywiście, że pamiętała! To hotel, w którym zjedli lunch, zanim zeszli do jaskini Lombrives.

- Tak wszystko zorganizowałem, żeby Otto był oficjalnym właścicielem. Odpisał, że jest szalenie podekscytowany myślą, iż będzie zarządzał hotelem.

- Ale przecież on jest pisarzem, a nie hotelarzem! - zdziwiła się Eliza.
- On się z tego bardzo cieszy, Elizo. Ty też powinnaś.
- Dlaczego miałabym się cieszyć z tego, że zrujnowałeś mu życie, namawiając go do jakichś podejrzanym interesów?
- Dlaczego? Dlatego, że... - Bachman zrobił dramatyczną przerwę, a po chwili dokończył: - Dlatego, że spędzimy lato w jego hotelu!
- Żartujesz!
- Myślałem, że się ucieszysz!

Hotel Royal Meridien, Hamburg, sobota, 8 marca 2008

Malloy opuścił pokład statku przy Alte Rabenstrasse i przy pomocy mapy znalazł najbliższą stację metra. Wrócił do Royal Meridien i uciął sobie kilkugodzinną drzemkę. Późnym popołudniem zjawił się na podwórzu za klubem Dale'a i zabrał z parkingu toyotę, do której przyjaciel dał mu kluczyki. Słońce już zachodziło na horyzoncie, ale było jeszcze na tyle jasno, by Malloy mógł się dokładniej przyjrzeć otoczeniu. Tak jak lokal Dale'a, okolica była raczej mało ciekawa: były nędznych hotelików, barów, klubów ze striptizem oraz księgarni dla dorosłych. Same budynki natomiast, były w dobrej kondycji. Dla przykładu, górne piętra nad lokalem Dale'a wykonano z okazałych kamiennych bloków, które biegły aż po sam dach. Gdyby domy znajdowały się w innych, lepszych dzielnicach Hamburga, to na pewno wielu bogaczy by się na nie połasiło.

Na podwórze prowadziły dwa przejścia. Jedno przylegało do Światła Gwiazd - był to bardzo wąski przesmyk, którym ledwo przecisnęłoby się małe auto. Za to

przez drugie spokojnie mogłaby przejechać nawet ciężarówka. Na środku skweru było kilka miejsc parkingowych, ale większa część parkingu przylegała do rozmaitych budynków w okolicy.

Malloy, kierując się na północ, przejechał przez boczne uliczki robotniczej części St. Pauli. Stamtąd pojechał aż do Aussenalster. Zaparkował toyotę w bocznej alejce przy doku Alte Rabenstrasse i w ciągu dziesięciu minut doszedł piechotą do stacji metra. O ósmej był z powrotem w hotelu Royal Meridien.

W barze hotelowym czekali już agenci Jim Randal i Josh Sutter. Siedzieli, popijając piwo. Bił od nich chłód. Nie trudno było się domyślić, że czują urazę do księgowego z Departamentu Stanu.

- Brakowało nam ciebie dziś rano - odezwał się Sutter, nie patrząc nawet w kierunku Malloya.

- Zaspałem. Zdarza się.

- Jasne...

- W czym problem, chłopaki?

- Jakoś nie możemy cię rozgryźć - wyrzucił z siebie Randal gardłowym głosem. - Nie chcesz gadać z policjantami prowadzącymi śledztwo. Nie mówisz nam, co robisz. Trujesz o jakimś numerze telefonu, a kiedy go w końcu dostajesz, zrywasz się od stołu i idziesz zabawić z dziewczynkami! - wygarnął mu.

Zapewne już wcześniej przygotował sobie to przemówienie.

Sutter, ten lepszy w duecie zły glina - dobry glina, nachylił się w stronę Malloya.

- Słuchaj, T.K. - zaczął pojednawczym tonem. - Chodzi o to, że ludzie nas cisną i zadają sporo pytań. A my nie mamy na nie odpowiedzi.

-Masz na myśli Niemców?

-Mam na myśli naszego przełożonego w Nowym Jorku. Chce wiedzieć, czy my tu naprawdę jesteśmy i czym się właściwie zajmujemy? Może więc wyjaśniłbyś nam, o co biega?

-O to, że Jack Farrell oddał się w ręce Heleny Chernoff.

-To już wiemy. Powiedz nam coś nowego - warknął Randal.

-Kiedy dowiem się, w jaki sposób Farrell skontaktował się z Chernoff, to będę miał w garści i jego, i ją. Powiem wam jedną rzecz: Hans mi w tym nie pomoże.

Randal nie był usatysfakcjonowany.

-A co z pieniędzmi? Myślałem, że jesteś ekspertem od forsy. Biegłym rewidentem, czyż nie?

-Forsa to tylko trop, który ma doprowadzić do Farrella, a tak się składa, że mam szansę dorwać go nawet dziś wieczorem.

Na twarzy Suttera odmalowała się ulga, ale Jim Randal nie dał się tak łatwo przekonać.

-Wszystko pięknie, ale potrzebujemy konkretów. Powiedz nam, co robisz.

Naprawdę coś masz czy to kolejna bajeczka.

Malloy pokręcił głową.

-Przykro mi, panowie, to nie może pójść do raportów - powiedział.

Począł, aż agenci spojrzeli na siebie nawzajem, ale tym razem tego nie zrobili. Obaj gapili się na Malloya, jakby przed chwilą popełnił bluźnierstwo. W ich świecie wszystko lądowało na papierze.

-Myślisz, że możesz dziś wieczorem znaleźć Farrella? - upewnił się Sutter. Żyła na szyi zaczęła mu pulsować. T.K. wreszcie coś miał. Sutter był podekscytowany.

Malloy przytaknął, lecz nic nie powiedział.

- Gdzie w tym wszystkim jest haczyk? - zapytał Randal. - Nie chcę, żeby Niemcy się w to mieszały.

Sutter parsknął śmiechem.

- Biorąc pod uwagę fakt, że znajdujemy się w samym środku Niemiec, to może być trochę trudne!

- Chcecie dorwać gościa i polecieć z nim do domu czy nie? - zażądał Malloy.

Randal zaklął pod nosem.

- Dla kogo pracujesz, T.K.? Nie kupuję tego kitu o księgowym!

- Posłuchajcie mnie. Niemcy nie chcą nam oddać Farrella. Jeśli go aresztują, to będą go trzymać tutaj. - To była bezczelna błaga, ale Randal i Sutter nie mogli tego wiedzieć. Z ich punktu widzenia, gdyby Niemcy nie oddali im Farrella, byłoby to totalną katastrofą.

- Hej! - odezwał się Randal, nagle wściekły, i to nie na Malloya. - Farrell jest nasz!

- Jeśli Niemcy się w to wpakują, to będzie ich, a nie nasz. Josh Sutter pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Przecież Hans mówił nam...

- W momencie, kiedy aresztują Farrella, ten wasz Hans nagle zniknie. Pojawią się goście, którzy nie znają ani słowa po angielsku. Mówiąc krótko, odleciecie do domu bez Jacka Farrella, a prokurator okręgowy otrzyma długą listę wszystkich niemieckich przepisów, które nasz uciekinier złamał, kiedy przekroczył granicę, posługując się fałszywym dowodem tożsamości.

- Dlaczego Niemcy mieliby zatrzymać go dla siebie? - dopytywał się Sutter. Malloy się uśmiechnął.

- Mógłbym wam podać pół miliarda powodów - Mrugnął okiem - ale odpowiedź jest prosta: zrobią tak, bo mają do tego prawo. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej i obaj o tym wiecie.

- Ale Hans... - zaczął znowu Sutter.

- Hans mówi wam tylko to, co każą mu jego przełożeni.

Nagle obaj agenci poczuli w sobie wielką złość. Uwierzyli Malloyowi. Nie chcieli mu wierzyć, ale uwierzyli. Wiedzieli, że jeśli Niemcy będą chcieli wytoczyć proces Farrellowi w niemieckim sądzie, to nic się na to nie poradzi.

- Z drugiej strony - powiedział Malloy - jeśli mi pomożecie w tej akcji, wasz człowiek znajdzie się na amerykańskiej ziemi, zanim Niemcy dowiedzą się, że go dorwaliśmy.

- Jakim cudem? Jak chcesz to zrobić, T.K.? Zapakujesz go w swoją walizkę? - zapytał agent Sutter.

- Mamy tuzin amerykańskich baz militarnych tu, w Niemczech. Kilka godzin jazdy na południe. Jeśli dowieziemy tam Farrella, to jest już nasz.

- Dziś wieczorem? - zapytał Sutter.

- Może wieczorem. Może nad ranem. Może jutro w nocy. Jeszcze nie wiem.

Nic nie jest jeszcze pewne. Ale jeśli coś się wydarzy, to po północy. Muszę wiedzieć, czy mogę na was liczyć, panowie.

- O czym ty mówisz? - zapytał Randal. - Znaczy, co mamy niby zrobić?

- Mam dwie osoby, które pomagają mi w ekstradycji i jedną, która nas ubezpiecza, ale to chyba za mało. Martwię się, że kiedy dorwiemy Farrella, do akcji wkroczą posiłki Chernoff, a my nie będziemy o tym wiedzieć. Potrzebuję was, żebyście nas na bieżąco informowali, co się dzieje i jak wygląda sytuacja. Poradzimy sobie ze wszystkim. Nie potrzebuję strzelców. Ale chciałbym, żeby ktoś

nas uprzedził, gdyby ludzie Chernoff się zbliżali. I to właśnie byłoby wasze zadanie - zakończył Malloy. Agenci spojrzeli po sobie.

- To solidny trop? - zapytał Randal.

- Wygląda obiecująco. W najgorszym wypadku do niczego nie dojdzie. Ale jeśli stanie się coś dobrego, a wydaje mi się, że tak właśnie będzie, to nikt nie każe mi się tłumaczyć z moich posunięć. Potrzebuję was dwóch. W przeciwnym razie będę musiał zająć się tym sam i modlić, żeby nie wpaść w pułapkę. Jeśli to jedyna opcja, trudno. Ale wtedy zapomnijcie o sławie, sam to zrobię, więc sam go zamknę. Jeśli jednak mi pomożecie, to po wszystkim się ulotnię i to wy będziecie przyjmować gratulacje.

Jim Randal spojrzał na partnera, a potem na Malloya.

- To miłe, że w końcu walisz prosto z mostu.

- Cieszę się, że to mówisz, bo... właśnie wmieszałem was w sam środek przestępczego spisku.

Obaj agenci nagle mieli takie miny, jakby ktoś im przyłożył prosto w szczękę.

- Jeśli się wypisujecie, to lepiej zadzwoncie do Hansa i powiedzcie mu o wszystkim, co ode mnie usłyszeliście. W przeciwnym razie jesteście już częścią całego planu, czy tego chcecie, czy nie.

- Nikt nie zadzwoni do Hansa - oświadczył Sutter.

- Jeśli dorwiemy Farrella - powiedział Malloy - a tutejsi gliniarze zrozumieją, co się stało, bo przecież w końcu musi to wyjść na jaw, będą się starać o waszą ekstradycję i doprowadzenie was przed niemiecki sąd. Oczywiście w Nowym Jorku będziecie bohaterami narodowymi i absolutnie nikt nie pomyśli nawet, by oddać was w ręce Niemców.

Agenci spojrzeli na siebie po raz kolejny. Rozważali ryzyko, a z drugiej strony plusy, gdyby wszystko zakończyło się sukcesem. To była niebezpieczna akcja i Malloy dopiero na końcu uświadomił im, że tak naprawdę to przecież przestępstwo.

- Co zrobią Niemcy, jeśli nas przyskrzynią? - zapytał Josh Sutter.

- Będą wam grozić. Wiecie, jacy są gliniarze. Ale jeśli dacie im to, czego chcą, puszcza was do domu. Oczywiście nigdy już nie pozwolą wam wrócić do Niemiec.

- Jakoś to przeżyję - mruknął Randal. - Czego będą od nas chcieli?

- Mnie. Ale nie martwcie się. Jeśli we wszystko wmiesza się policja, będzie to moja wina. Wyśpiewacie Niemcom wszystko, co wiecie, a ja nie będę miał wam tego za złe.

- A co zrobią tobie?

- Nie martwcie się o mnie. To moja praca.

Znowu spojrzeli jeden na drugiego. Nie ma mowy, żeby się z tego wycofali - nie, jeśli istnieje szansa, że zabiorą Farrella do Nowego Jorku w kajdankach.

- Dobra. Wchodzimy w to - zdecydował Randal.

- Dziś wieczorem czekajcie na telefon. Gdzieś tak między północą a świtem.

Bądźcie ubrani i gotowi wyjść w momencie, kiedy usłyszycie mój głos. - Wręczył Randalowi kawałek papieru z zapisanym adresem oraz numerem telefonu komór

kowego. - Przyjedźcie pod ten adres. To jest bar. Jeden z was musi wejść, usiąść i zamówić drinka. Drugi ma zostać w aucie. Silnik musi być włączony. Obaj jesteście uzbrojeni?

- Mamy tymczasowe pozwolenie na broń - odparł Randal - ale Hans powiedział, żebyśmy korzystali z niego tylko w ostateczności. W sytuacjach zagrożających życiu.

- Jeśli wpadniemy w tego typu kłopoty, nie będziemy się konsultować z Niemcami. Zrobimy, co mamy do zrobienia, a potem zaszyjemy się gdzieś i poczekamy na posiłki. Gdyby coś mi się stało, zadzwońcie pod numer, który wam dałem. Osoba, która się zgłosi, pomoże wam wyjechać z kraju.

- Jak się nazywa? - zapytał Randal.

- Nie musicie teraz tego wiedzieć. Po prostu zadzwońcie do niej, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu, i wykonujcie krok po kroku jej rozkazy. A teraz zjedzcie coś i prześpijcie się kilka godzin przed północą. Potem czekajcie na wezwanie i bądźcie przygotowani na to, że być może nie wrócicie po akcji do tego hotelu.

- A nasze bagaże? - zmartwił się Sutter.

- Wszystko wam odkupię albo w miarę możliwości odzyskam. Ale jeśli macie coś, z czym nie chcecie się rozstawać, to już teraz zapakujcie te rzeczy do samochodu. Moim zdaniem niegłupio byłoby zamienić numery rejestracyjne waszego auta z jakimś innym, które stoi na parkingu.

- Przecież to przestępstwo! - Randal był zbulwersowany. Nie żartował. Malloy uśmiechnął się i wstał.

- Akurat z tego powodu nie grozi wam ekstradycja - powiedział.

Neustadt , Hamburg, sobota, 8 marca 2008

Malloy zjadł dwie porcje spaghetti w małej rodzinnej włoskiej restauracji i wypił kilka kieliszków czerwonego wina. Dla kurażu i żeby się odprężyć. Nie zamawiał już kawy. W drodze do swojego hotelu w Neustadt odebrał telefon od Dale'a Perry'ego.

- Prawnik był w mieście dziś popołudniu, zajrzał do swojego biura - powiedział Dale. - A teraz siedzi w domu.

- Świetnie. Zobaczę się z nim za kilka godzin. Dowiedziałeś się czegoś w sprawie tych numerów telefonów, o które cię prosiłem?

- Nadal czekam na jakiś sygnał od mojego kontaktu.

Na drzwiach pokoju wisiała plakietka „Nie przeszkadzać”, tak jak zostawił ją, gdy wychodził, ale jeden róg był teraz zagięty. Malloy zapukał. Po chwili drzwi otworzył Ethan. Kate siedziała na łóżku. Widocznie spała, a teraz próbowała się rozbudzić. Ethan wyglądał jakby nie zmrużył oka od kilku dni.

Oboje ubrani byli w czarne dżinsy i ciemne swetry. Malloy zajrzał do jednej z dwóch czarnych toreb, które Brandowie postawili na podłodze. Zobaczył trzy karabiny AKS-74, czyli przeznaczony dla wojsk powietrznodesantowych ulepszony model klasycznego kałasznikowa. Do tego trzy granaty ręczne, wojskowy pistolet, amunicja, kamizelki kuloodporne, noktowizory oraz drobniejszy sprzęt.

- Skąd macie te skarby? - zapytał Malloy.

- Mam kolegę w Zurychu - odpowiedziała Kate, ziewając.

- Pewnie go znam...

Malloy był bliskim przyjacielem bossa przestępczego podziemia w Zurychu, Hasana Barzaniego. Prawdę mówiąc, to Malloy pomógł mu wejść na sam szczyt. Barzani był jedyną osobą w tym mieście, która handlowała tego rodzaju bronią.

Kate się uśmiechnęła.

- Wątpię, żebyś znał mojego dealera.

- Ale na pewno znam jego źródło.

- Pewnie tak, ale nie znasz mojego człowieka. On jest... wyjątkowy.

- Tylko żeby Giancarlo i Luca się o tym nie dowiedzieli.

- Od dłuższego czasu nie robię z nimi interesów - oświadczyła i zaczęła wkładać buty. - A już na pewno nie takie.

Ethan chodził po pokoju, wycierając ślady i odciski palców. Kiedy skończył, otworzył jedną z toreb i zaczął rozdawać sprzęt. Najpierw rękawiczki i noktowizory. Potem maski narciarskie, kamizelki kuloodporne oraz obszerne płaszcze przeciwdeszczowe. Na końcu dał im paralizatory, kajdanki, zwoje liny i zestawy słuchawkowe. Zapewniały one podstawową komunikację pomiędzy całą trójką, a ich zasięg wynosił czterysta metrów. Były bardzo wysokiej jakości, wychwy-

tywały każdy oddech i szept. Można je było włączać i wyłączać za pomocą jednego przycisku na słuchawce.

- Załatwiłeś auto? - zapytał Malloy.

- Za rogiem jest parking - odpowiedział Ethan, biorąc w ręce dwie torby. - Nie powinno być z tym problemu.

Wyszli prosto na ciemny korytarz hotelowy. Było tuż po dziesiątej wieczór. Na ulicy pusto i cicho. Na parkingu Ethan znalazł samochód zaparkowany w cieniu. Wsunął długie, cienkie ostrze pomiędzy drzwi a szybę od strony kierowcy. Następnie w szczelinę wsadził drucik i lekko pociągnął. Blokada wyskoczyła i drzwi się otworzyły. Kate i Malloy usiedli z tyłu. Tymczasem Ethan wyciągnął spod tablicy rozdzielczej jakieś kabelki, zdrapał izolację na kilku z nich i potarł nieosłonięte końcówki. Silnik obudził się i zawarczał. Cała akcja trwała krócej niż pół minuty.

- Domyślam się, że to nie był twój debiut - rzucił Malloy.

- Nienawidzę kraść samochodów - wyjąwił Ethan. - Zbyt wiele rzeczy może się nie udać.

Dokładnie w tym samym momencie wjazd na parking minął radiowóz.

- Wiem, o co chodzi - powiedział Malloy.

Skierowali się na północ, przecinając osiedla. Nieopodal mostu Krugkoppel, na północnym końcu Aussenalster, Ethan zatrzymał wóz na małym parkingu. W doku Malloy ujrzał kilka łódek na wodzie.

- Wkładamy maski - powiedziała Kate. - Wszędzie mogą być kamery.

- Która jest nasza? - zapytał Malloy, gdy szli po kładce.

Kate wskazała na łódkę zakotwiczoną jakieś trzydzieści metrów od brzegu.

- Ta ładna - odparła.

Aussenalster, Hamburg, sobota-niedziela, 8-9 marca 2008

Wybrana przez nich motorówka firmy Chris Craft z lat trzydziestych była długa i pływała głęboko zanurzona w wodzie. Miała tylko parę świateł, które łatwo można było wyłączyć, żeby stała się praktycznie niewidoczna na tafli jeziora.

Ethan z jednej z toreb wyjął szczypce do cięcia drutu i uwolnił nimi mały ponton przy brzegu. Wiosłując, podpłynął do motorówki, odpalił silnik

Chryslera i skierował łódź do brzegu. Malloy i Kate wrzucili sprzęt i weszli na pokład.

Motorówka była wykonana z mahoni i wykończona chromem. Kiedy wypłynęli na wodę, Kate wyłączyła światła. Ethan wyjął swój nawigator i zaczął dyktować drogę do kanałów.

Była już prawie jedenasta wieczorem, kiedy dopłynęli do rezydencji Hugona Ohlendorfa. Z wyjątkiem pojedynczego światła bezpieczeństwa przy doku, cała posiadłość zatopiona była w ciemnościach. Zanim zeszli na ląd, Kate ustawiła motorówkę w cieniu naprzeciwko posesji.

- Wygląda spokojnie - szepnęła.

Ethan schował do kieszeni nawigator, odszedł od steru i otworzył jedną z toreb. Wręczył Malloyowi jeden z kałasznikowów. Sam wziął drugi. Potem wyjął dwa pistolety z nabojami usypiającymi.

- Kiedy będziemy już na posesji - powiedział, umocowując broń - ja zajmę się psem. A ty, T.K., ubezpieczaj centralną część terenu, dopóki cię nie zawołam. Kiedy zajmiemy się tylnymi drzwiami, chcę wejść jak burza.

- Macie odwrócić uwagę prawnika - wyjaśniła Kate. Wzięła drugi pistolet ze środkiem usypiającym. - Ja jestem szefem akcji i to ja zajmę się Ohlendorfem osobiście.

Ethan wyjął młot i szczypce do cięcia drutu.

- Od tej pory żadnych imion ani nazwisk - przypomniał.

Kate przyspieszyła, a po chwili mocno szarpnęła ster w lewo. Motorówka skręciła łukiem, prując prosto na baylinera zacumowanego w doku Ohlendorfa.

Kolizja uruchomiła ostrzegawczy sygnał przy bramie.

- Ruszamy! - zawołała Kate.

Malloy wyskoczył z motorówki i przebiegł po jachcie Ohlendorfa. Kate ruszyła zwinnie jego śladem. Ethan rzucił jej młot i szczypce, po czym zaczął szczepiać dzioby i rufy obu motorówek.

Kończył wiązać drugi węzeł, gdy nagle całą posiadłość zalały światła, a powietrze przecięło wycie alarmu. Dziesięć sekund. Serce Malloya na chwilę stanęło ze strachu. Nadal byli w kanale, jakieś czterdzieści metrów od domu. Od Ohlendorfa dzieliło ich wysokie żelazne ogrodzenie. Alarm już wył. Prawnik bez wątpienia już był na nogach, już coś robił. Mimo to Ethan nadal zajmował się motorówkami, podczas gdy Kate przyglądała się temu cierpliwie.

Kiedy skończył, wskoczył na większą łódź, chwycił młot i po chwili był już w doku. Malloy miał lekkie problemy z zejściem -już nie ten wiek i forma. Kate położyła szczypce obok liny, którą do nabrzeża przywiązany był bayli-ner. Ethan podszedł do bramy i zamachnął się młotem.

Zamek pękł już przy pierwszym uderzeniu. Cała trójka ruszyła biegiem w kierunku domu.

Z cienia, zupełnie bezszelestnie, wyskoczył owczarek niemiecki. Był wyszkolonym psem obronnym, a nie rodzinną maskotką. Ethan wystrzelił w niego pocisk usypiający z odległości dziesięciu metrów. Pies zachwiał się lekko, gdy strzałka wbiła się w jego skórę, lecz dalej biegł z wyszczerzonymi kłami w kierunku intruza. Ethan wyjął nóż. Przyjął obronną pozycję, zasłaniając się lewą ręką. Kiedy pies rzucił się na niego, Ethan złapał go za szczękę prawą ręką. Pies zaskomlał, a potem nagle uleciała z niego cała agresja. Osunął się na ziemię. Próbował wstać, lecz szybko dał sobie spokój i zasnął w trawie.

Ethan sprintem podbiegł do ściany domu i ukląkł. Kate pokonała tę odległość niczym lekkoatleta przygotowujący się do odbicia z belki. Wykorzystując siłę

rozpędu, jedną nogę postawiła na udo, a drugą na ramię męża i zwinnie wskoczyła na pierwsze piętro. Kiedy Ethan zawołał Malloya, Kate pełzła już po dachu.

Thomas dobiegł do domu i w tym momencie Ethan kopniakiem otworzył drzwi.

Kiedy rozległo się wycie alarmu, Hugo Ohlendorf wraz żoną leżeli już w łóżku, pogrążeni każde w swojej lekturze. Pani Ohlendorf zakłęła pod nosem i zapytała, co się dzieje.

- Zostań tu - rozkazał jej mąż. - Zaraz się dowiem.

Wsadził zakładkę do książki i położył ją na nocnym stoliku. Z szuflady wyjął swoją berettę i pełny magazynek. Wprowadził nabój do komory pistoletu, a potem wsunął stopy w kaptcie i wstał.

- Zadzwoń na policję? - zapytała żona.

- Już są w drodze - odparł.

Ohlendorf od zawsze kochał broń. Raz lub dwa w miesiącu brał udział w zawodach strzeleckich. Miał już pięćdziesiąt trzy lata, więc nie miał zbyt wielkich szans na mistrzostwo, ale i tak uważał, że jest niezłym zawodnikiem. Jeszcze poprzedniego dnia był w swoim ulubionym klubie i oddał kilka strzałów. Zajął szóste miejsce na trzydziestu sześciu zawodników. Niezły wynik - biorąc pod uwagę liczbę rywali - ale nie jego najlepszy.

Mimo to, w tej chwili pistolet jakoś dziwnie leżał mu w dłoni. W ustach poczuł kwaśny smak... strachu. To na pewno jacyś gówniarze, pomyślał. Jeżdżą po mieście, rzucając puszkami piwa i uruchamiając alarmy. Tak podpowiadał mu rozum. Ciało mówiło jednak coś innego.

Wiele razy rozmawiał z policjantami na temat podobnej sytuacji. Zawsze słyszał, że pierwszą emocją w takich chwilach jest strach. A potem wyparcie. Pomyślał, że jak na razie jego reakcje są zgodne z wzorcem. Otworzył drzwi sypialni. W korytarzu stała jego siedemnastoletnia córka. Na jej twarzy malowały się zdziwienie i zaciekawienie.

- Wracaj do swojego pokoju, Michelle - nakazał. Dziewczyna zobaczyła pistolet w ręku ojca.

- Powiedziałem: wracaj do pokoju! Michelle głośno przełknęła ślinę.

- Co się dzieje?

- Pewnie jakieś dzieciaki niepotrzebnie grzebały przy bramie. Idę się upewnić.

- Słyszałam odgłos tłuczonego szkła - powiedziała córka.

Nie spytał, gdzie słyszała ten odgłos, tylko jeszcze raz powtórzył, żeby wracała do siebie.

Dziewczyna w końcu posłuchała. Ohlendorf szedł dalej ciemnym korytarzem. Zadzwoił telefon. Na pewno z firmy ochroniarskiej. Jeśli nie podniesie szybko słuchawki, zadzwonią na policję. Niech dzwonią, stwierdził. Ze strachu pociły mu się ręce. Miał ściśnięte gardło. Tłuczone szkło? To znaczy, że ktoś się włamał na posesję. Czuł w ustach metaliczny smak adrenaliny. Jego własny, zaciemniony dom -jego azyl - nagle wydał mu się straszliwym, złowieszczym miejscem. Modlił się o przyjazd policji. Chciał w tej chwili usłyszeć z ust jakiegoś opanowanego profesjonalisty, że wszystko będzie dobrze.

Jednak przez następne dziesięć lub piętnaście minut był skazany tylko i wyłącznie na siebie.

Jakieś dzieciaki, powtórzył w myślach, próbując uspokoić nerwy tym oczywistym kłamstwem. Nic z tego. Oczami wyobraźni widział już nie bandę

dzieciaków, tylko kogoś starszego, większego i o wiele bardziej niebezpiecznego. Przypomniawszy sobie, co mówili mu znajomi policjanci. Najpierw pojawia się strach, potem zaprzeczenie, a potem dziwne myśli. Co się stanie, jeśli strzelisz do kogoś, kto wcale nie był uzbrojony? Czy w ogóle będziesz w stanie to zrobić - czy może twoja ręka znieruchomieje. Mówili mu, że niekiedy samo podniesienie broni lub krok do przodu mogą przekraczać ludzkie siły.

Ohlendorf nigdy w życiu nie miał do czynienia z tak paraliżującym strachem, więc nie wiedział, czy uda mu się go pokonać. Stał kilka kroków od drzwi pokoju córki. Nagle dojście do schodów wydało mu się rzeczą nierealną. Śmierdział strachem, a serce waliło mu jak młotem. Ale potem, gdy usłyszał, że tylne drzwi rozsypują się w drobny mak, wydarzyło się coś dziwnego. Ogarnęło go zupełnie nowe uczucie: złość. Tak podobno również się zdarzało. W jednej chwili stoisz jak skamieniały, a w następnej ruszasz odważnie, bo nie podoba ci się, że jakiś intruz wtargnął do twojego domu.

Nagle zorientował się, że stoi już na schodach. Przyłgął do ściany i spojrzał w dół. Usłyszał dźwięk tłuczonego szkła w salonie. Ktoś rzucił krzesłem. Czekał, aż po niego przyjdą. Pomyślał o swoich treningach na strzelnicy. A potem tę skorupę twardziela przebiło nowe uczucie strachu. Pomyślał, że zabije kogoś. Reakcja jego ciała na tę myśl była zaskakująca i nie miała nic wspólnego z tym, co czuł, planując czyjeś morderstwo. Wtedy miał w sobie moc. I było w tym coś erotycznego. Wystarczyło jedno słowo. Wpłacało się pieniądze na konto płatnego zabójcy i ktoś, czasami bardzo ważny, lądował w zaświatach. Ale teraz będzie zupełnie inaczej. To wydarzy się na jego oczach. Będzie musiał sam nacisnąć spust. Na własne oczy zobaczy krew. Będzie musiał się tłumaczyć policji. Jego żona i córka będą przeżywały ciężkie chwile. Śmierć w takim wydaniu nie będzie

anonimowa. Niezależnie od tego, co się stanie w ciągu najbliższych kilkunastu sekund - on będzie za to odpowiadał.

Z dołu dobiegły kolejne odgłosy. Widocznie było ich dwóch. Jeden pojawił się w polu widzenia Ohlendorfa. Ciemna sylwetka, prawie jak cień. Na twarzy miał maskę, a w rękach -kałasznikowa. Na widok karabinu serce Ohlendorfa zamarło. Kałasznikow jest w stanie wystrzelić dziesięć pocisków na sekundę. Jeśli ten drugi też ma kałacha, to on, z berettą w ręce, jest bez szans. Nie mógł strzelać pierwszy, bo wtedy od razu poznają jego pozycję. Dziesięć strzałów pomnożone przez trzy lub cztery sekundy, i ściana za nim pójdzie w drobny mak - a on sam skończy podziurawiony jak sitko. Mógł jedynie poczekać, aż obaj napastnicy będą widoczni. Miał nadzieję, że uda mu się ich kropnąć, zanim się zorientują. Raptem poczuł ukłucie w plecy. Chciał się odwrócić, by odkryć, co się stało, ale dostał zawrotów głowy. Próbował wyciągnąć to coś, co go kłuło, lecz nagle runął przed siebie twarzą w dół.

Kiedy dotknął schodów, był już pogrążony w głębokim śnie.

Ethan zauważył, że Ohlendorf zaczyna lecieć w dół, wbiegł więc szybko na schody i złapał go. Zbadał mu puls, a potem ułożył sobie ciało Niemca na plecach.

- Prowadź - powiedziała Kate do Malloya, kiedy zeszli ze schodów. Ruszył tą samą drogą, którą weszli do willi. Na rozkaz Kate zatrzymał się

na samym środku ogródka i odwrócił, aby ubezpieczać Brandów. Nikt za nimi nie wybiegł. W domu nie zapaliło się więcej świateł.

- Do łódki. Biegiem! - rozkazała Kate przez mikrofon, stojąc już w doku. Malloy sprintem rzucił się do ucieczki, podczas gdy Kate go kryła. Nie było jednak takiej potrzeby: światła wokół domu nadal były włączone i dalej wyl

alarm, ale nikt za nimi nie pobiegł. Kate odcięła linę baylinera i wskoczyła na pokład, gdzie czekał już Ethan z Ohlendorfem na plecach.

- Pomóżcie mi go przerzucić - poprosił.

Kate przedostała się do motorówki, a Malloy za nią. Chwycili uśpionego Niemca i ułożyli w mniejszej łodzi. Kate usiadła za sterem, a Malloy obok Ohlendorfa, na pokładzie.

- Wszystko gra? - zapytała Kate.

- Gra - usłyszeli odpowiedź Ethana w swoich słuchawkach. Nadal był na baylinerze. Oba silniki ryknęły w tym samym momencie i łódki zaczęły się oddalać od doku. Światła jachtu były włączone.

Kiedy wypłynęli na jezioro, Ethan odwiązał ster. Ustawił kurs jachtu na południowy wschód, tak żeby przepłynął przez całe jezioro, zanim wryje się w brzeg. Następnie przeskoczył na zabytkową motorówkę i odciął linę wiążącą obie łódki. Zostali w tyle za baylinerem, a potem skręcili w prawo, prując wodę niczym cień.

Siedem minut po uruchomieniu alarmu porywacze usłyszeli syreny wozów policyjnych jadących szosą na północ. Gdy minęła kolejna, zauważyli łódź policyjną która pędziła za świecącym na wodzie baylinerem. Trzy minuty później łódź patrolowa dogoniła jacht, gdy tymczasem ich motorówka wpłynęła cichutko do doku Alte Rabenstrasse. Brandowie siłowali się z ciałem Niemca, aby wyciągnąć je z łódki, a potem Ethan ponownie zarzucił sobie prawnika na plecy. Malloy pobiegł przodem na parking i zapalił silnik toyoty.

Trzydzieści minut po tym, jak zaczął wyc alarm, porywacze byli już w samochodzie.

Dzielnica St. Pauli Hamburg, sobota-niedziela, 8-9 marca 2008

Skrećili w cichą alejkę i ujrzeli radiowóz jadący z przeciwnej strony. Jechał szybko, bez świateł i bez sygnалу. Malloy zwolnił i zjechał mu z drogi. Kiedy okazało się, że policjant wcale nie jest nimi zainteresowany, wjechał z powrotem na środek jezdni i spojrzał w lusterko wsteczne.

- Zamykają ulice - powiedział Ethan. Zatrzymali się na światłach. Kolejny wóz policyjny nadjechał z naprzeciwka, znowu bez świateł i bez sygnалу. Wjechali w główną arterię, gdzie ruch uliczny był większy. W pobliżu Reeperbahn utworzyły się korki. Malloy wjechał w labirynt alejek i kluczył nimi, aż dotarł na parking na tyłach baru Dale'a Perry'ego.

Kate złapała torby, a jej mąż wytaszczył Ohlendorfa. Malloy zaprowadził ich na zaplecze baru, a potem schodami w dół, do tajnego mieszkania.

Ethan ułożył Niemca na drewnianym krześle stojącym pośrodku pokoju, a potem przywiązał mu do niego nadgarstki i kostki. Kate nastawiła w kuchni kawę w ekspresie, a Malloy włączył telefon komórkowy i odebrał wiadomość od Dale'a.

- Macie gagatka? - zapytał Dale, gdy Malloy do niego zadzwonił.

- Właśnie go przynieśliśmy. Znalazłeś coś?

- Chyba tak - odparł Dale. - Gdzie jesteście?

- W twoim tajnym mieszkaniu.

- Wyjdź na zewnątrz.

Malloy powiadomił Kate i Ethana, że musi na chwilę wyjść. W ciągu pięciu minut na parking wjechał land-rover i zaparkował przy toyocie. Murzyn pozostał w aucie, więc to Malloy do niego podbiegł.

- Po południu dostałem wiadomość od mojego informatora - powiedział Dale - Przez bite cztery godziny grzebałem w numerach telefonów.

- Znalazłeś Chernoff?

- Numer aparatu publicznego, który mi podałeś, na nic się nie przydał, ale kiedy przyjrzałem się rozmowom wykonanym z innych aparatów w tamtej okolicy, znalazłem coś ciekawego - oznajmił Dale. - Okazuje się, że dwa dni przed nalotem policji na pokój w Royal Meridien wykonano telefon na komórkę, która znajdowała się w hotelu. Ta sama komórka była wynoszona i wnoszona do hotelu wielokrotnie, zanim zjawiła się policja, ale już po akcji mundurowych znalazła się nagle w mieszkaniu w Altstadt. - Podał Malloyowi zwitek papieru. - Tu masz adres.

- Co wiesz o tym telefonie? - zapytał Malloy, chowając karteczkę głęboko w kieszeni.

- I tu właśnie zaczyna się robić ciekawie, T.K. Na ten telefon dzwoni ktoś raz dziennie, zazwyczaj o tej samej porze, zawsze z aparatu publicznego z Hamburga. Za każdym razem jest to jednak inny aparat. Komórka z kolei nigdy nie opuszcza mieszkania.

- Myślisz, że Chernoff i Farrell są gdzieś zamelinowani, a ktoś załatwia za nich sprawy, dopóki nie dostaną nowych paszportów?

- Na to wygląda - przytaknął Dale.

- Coś jeszcze?

- Numer został aktywowany tu, na miejscu, kiedy Farrell był wciąż w Barcelonie. Zarejestrowany na nazwisko H. Langer, opłacony z banku w Zurychu. Jane zarządziła obserwację tego konta na wszelki wypadek, gdybyśmy dzisiaj nie dopadli Chernoff.

- Sprawdziłeś tamten adres?

- Zrobiłem tylko mały rekonesans. Sześciopiętrowy bliźniak. Na każdym piętrze są chyba dwa mieszkania. Wejście do budynku znajduje się z południowej strony. Inaczej da się wejść tylko przez jedno z okien albo przez balkon.

- Czy można dokładnie stwierdzić, w którym mieszkaniu siedzi Cher-noff?

- Nie za pomocą programu, który śledzi lokalizację numeru. Wyniki są podawane z dokładnością do trzydziestu metrów, a to znaczy, że telefon może się znajdować równie dobrze na pierwszym, jak i na szóstym piętrze. Pokręcę się przed budynkiem z kamerą termowizyjną. Może to coś da.

- Będę cię potrzebował, żebyś nadzorował obstawę. Nikt nam nie może deptać po piętach. Czy to dla ciebie jakiś problem? - zapytał Malloy.

- Żaden - odparł Dale.

- Dwóch agentów FBI zgłosiło się na ochotnika, żeby stać na warcie. Nie powinno być niespodzianek. Ile czasu potrzebujesz, żeby się dobrze wszystkiemu przyjrzeć?

- Spotkajmy się pod tamtym budynkiem za pół godziny - zaproponował Dale.

- Dobra. Zadzwoń do ciebie, gdy będziemy wyjeżdżać.

Dale wycofał land-rovera, podczas gdy Malloy wybrał numer recepcji w hotelu Royal Meridien. Poprosił o połączenie z pokojem Jima Randala. Kiedy agent podniósł słuchawkę, Malloy rzucił:

- Już.

David Carlisle spał, kiedy zabrzęczał jego telefon.

- Słucham? - powiedział wstając z łóżka.

- Ktoś porwał Hugona Ohlendorfa. Carlisle zaklął głośno.

- Kiedy?

- Tuż przed północą.

- Malloy?

- Policja bada sprawę. Nie znam żadnych szczegółów, z wyjątkiem tego, że Ohlendorf zniknął i nikt nie ma pojęcia, gdzie jest. Poza tym Malloy przed chwilą telefonował do Randal. Nie mam pojęcia, o czym rozmawiali, ale Randal zadzwonił do Suttera i powiedział, że muszą już ruszać.

Na twarzy Carlisle'a pojawił się uśmiech.

- A zatem zbliżają się.

- Zadzwoń, kiedy będę pewna - pożegnała się Chernoff.

Malloy dał znak Kate i Ethanowi, żeby weszli do sypialni. Zamknął za nimi drzwi.

- Istnieje szansa, że znaleźliśmy Chernoff i Farrella - ogłosił.

Wyjął skrawek papieru, a Ethan użył swojego nawigatora GPS, żeby odszukać adres.

- Altstadt - powiedział, pokazując ekran Malloyowi i Kate. Cała trójka studiowała sieć ulic. W zależności od ruchu ulicznego, który nadal był całkiem spory, ale zaraz powinien zacząć maleć, można było dojechać pod ten adres w mniej niż dziesięć minut.

- Co zrobimy z Ohlendorfem? - zapytała Kate.

- Mamy kwadrans, góra dwadzieścia minut. Dowiedzmy się, ile osób pracuje dla Chernoff.

- To bardzo mało czasu - zauważył Ethan.

- Nie chcemy go złamać. Chcemy się dowiedzieć jedynie podstawowych rzeczy. A teraz posłuchaj mnie. Żeby naprawdę przykuć jego uwagę, będziesz musiał uderzyć go ręką w tył głowy albo w czoło. Nie zrób mu krzywdy. Chcę tylko, żeby

skupił się na tym, co mówi ę. Daj mu do zrozumienia, że chętnie byś się nad nim bardziej poznać, ale ja ci na to nie pozwalam. - Malloy wskazał na Kate. -Ty będziesz Wielką Niewiadomą. Kiedy coś ci się nie spodoba, zacznij chodzić niespokojnie po pokoju. Udawaj zniecierpliwioną. Jakbyś czekała na możliwość włączenia się do gry, bo uważasz, że potrafisz wyciągać informacje z ludzi o wiele skuteczniej.

Kate skinęła potakująco głową.

- Niech najpierw cię widzi, a potem stań za jego plecami. W takim ubraniu, w masce na twarzy, nawet nie będzie pewien, czy jesteś kobietą, czy mężczyzną, więc nie odzywaj się, jeśli nie będzie takiej potrzeby. Niech facet będzie zaniepokojony. Niech się zastanawia, jaka jest twoja rola w tym wszystkim. Kiedy każę ci coś zrobić, nie zwlekaj. Wykonuj moje polecenia tak, jakby były dokładnie tym, co sama chciałabyś zrobić.

Wrócili do pokoju. Malloy usiadł na takim samym krześle, do jakiego przywiązany był Ohlendorf. Prawie dotykał go kolanami. Wytarł mu twarz zimnym ręcznikiem.

- Czego ode mnie chcecie? - zapytał prawnik po niemiecku. Jego ciemne włosy przerzedzały się już na czubku głowy, a na skroniach pokrywała je siwizna, ale był opalony i jak na swoje pięćdziesiąt kilka lat, trzymał się nieźle. Malloy wyobraził sobie, że Ohlendorf na co dzień jest czarującym, raczej wyrafinowanym mężczyzną. Teraz jednak, przywiązany do krzesła w piżamie i kapciach, z

wybałuszonymi oczami i zmierzwionymi włosami, wyglądał raczej jak ktoś, kto wymaga leczenia w zakładzie zamkniętym.

- Chcesz kawy? - zapytał go Malloy w wysokoniemieckim. Używał dialektu berlińskiego z domieszką rosyjskiej intonacji. Chciał, żeby Ohlendorf obawiał się najgorszego.

- Chcę wiedzieć, o co chodzi! - zawołał Niemiec.

- Ciszej - upomniął go Malloy spokojnym tonem.

Ohlendorf głośno przeklął Malloya, który z kolei dał sygnał Ethanowi. Mąż Kate wkroczył do akcji i uderzył zakładnika w tył głowy. Potem zacisnął dłoń w pięść, ponieważ nie był pewien, czy Niemca nie trzeba będzie potraktować mniej subtelnie. Malloy kazał mu odejść. Ohlendorf gniewnie patrzył na zamaskowanego Ethana, ale nie ryzykował żadnych głupich uwag. Nie był kimś, kim można było pomiatać i nie dawał się zastraszyć. Całe życie spędził na procesach z przestępcami w roli głównej, a dodatkowo miał kontakty z typami takimi jak Xenon czy Helena Chernoff, więc bez wątpienia uważał się za osobę, która wie, jak postępować z kryminalistami. Nie okazywać strachu - to była pierwsza zasada w tym środowisku.

- Chcesz kawy? - powtórzył swoje pytanie Malloy.

Tym razem Niemiec zastanowił się nad propozycją.

- Tak - powiedział po chwili.

Malloy skinął głową na Ethana, żeby poszedł po kawę. Czekał, Ohlendorf rozglądał się po pokoju. Palila się tylko jednak lampka, przez co większość pomieszczenia tonęła w ciemnościach. Widać było jednak, że nie jest to normalne mieszkanie. Za mało mebli. W jednym rogu stała kanapa i krzesło, a pomiędzy

nimi mały stolik. W innym stało biurko i komputer. Obok półka z książkami i gazetami w różnych językach.

- Chcę, żebyś zrozumiał - zaczął Malloy - że nie zamierzamy zrobić ci krzywdy. Jednak potrzebujemy od ciebie informacji. I zrobimy wszystko, co będzie konieczne, aby je uzyskać.

W oczach Ohlendorfa dało się zauważyć błysk zaciekawienia. Powstrzymał się przed pytaniem, o jakie informacje im chodzi. Tak samo jak powstrzymał się przed zapewnieniem ich, że nic nie wie. Tymczasowo pewność siebie czerpał ze swojego doświadczenia zawodowego. Niejeden raz był stawiany w trudnych sytuacjach, musiał prowadzić niewygodne rozmowy. Ethan wrócił, niosąc kubek kawy. Przystawił go do ust Niemca, aby ten mógł upić łyk.

- Jeszcze? - zapytał Malloy.

Zakładnik skinął głową i wziął jeszcze jeden łyk. Ethan odszedł kilka kroków i odstawił kawę. Ohlendorf skupił swoją uwagę na Kate, tak jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej obecności. - Chcemy się dowiedzieć czegoś o Helenie Chernoff-powiedział Malloy.

Na ułamek sekundy w oczach Niemca błysnęła panika.

- Nie rozumiem... - odparł.

- Nie rób ze mnie idioty - warknął Malloy. - Nie chcemy cię skrzywdzić. To Chernoff jest naszym celem, nie ty.

- Kto was nasłał?

-Stary przyjaciel jednej z ofiar pani Chernoff. - Aluzja do rosyjskiej mafii odniosła skutek. Ton głosu Ohlendorfa zmienił się na bardziej nerwowy.

-Nie znam nikogo takiego! - zaprzeczył szybko. - Nie mam pojęcia, o kim mówisz!

-Dajcie mu więcej kawy - zaordynował Malloy.

Ohlendorf patrzył na Ethana tak, jakby ten miał zamiar poparzyć go gorącym płynem.

-Co w niej jest? - zapytał Niemiec, kiedy Ethan podsunął mu kubek pod usta. - Dlaczego każecie mi to pić?

Malloy kazał Ethanowi odstawić kubek na poprzednie miejsce.

-Musi pan zmienić swój stosunek do nas, Herr Ohlendorf - rzucił złowieszczo. - Czas nas goni. Jeśli będziesz stawiał opór to... spróbujemy innych metod. - Spojrzał znacząco na Kate. - A teraz mów, co wiesz o Helenie Chernoff.

-Nic nie wiem! Wiem tylko, że złapaliście niewłaściwego człowieka! - bronił się Niemiec.

-Opowiedz mi o Jacku Farrellu.

-To ten... Amerykanin? - zapytał Ohlendorf zdezorientowany.

-Wszyscy wiedzą, kim jest Farrell, a ja chcę się tylko dowiedzieć, jak namówił Helenę Chernoff, żeby dla niego pracowała. To chyba dziecinnie proste, prawda?

- Skąd miałbym to wiedzieć?

- Posłuchaj. Nikt nie ma ochoty czytać o torturach i bolesnej śmierci znanego adwokata z Hamburga... - ostrzegł Malloy. - Nie utrudniaj nam życia.

- Nie znam Farrell'a ani tej drugiej osoby. Jak ona się nazywa? - Kiedy nie uzyskał odpowiedzi od Malloy'a, dodał z naciskiem: - Pomyliliście mnie z kimś innym. Musicie mi uwierzyć!

Kate, która do tej pory stała oparta o ścianę z założonymi rękami, nagle zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Wyglądała, jak bomba, która zaraz wybuchnie. Ohlendorf wpatrywał się w jej milczącą, zakapturzoną postać. Przerażała

- To na nic - odezwał się Ethan. Znał niemiecki na tyle dobrze, że nie brzmiał jak Amerykanin. - Facet łże!

Malloy uniósł prawą rękę, jakby prosił o spokój i nieco cierpliwości.

-Daj mu jeszcze jedną szansę - powiedział. Kate znowu oparła się o ścianę, krzyżując ręce na piersi.

-Nie mam pojęcia, czego ode mnie chcecie! - protestował Niemiec. - Przecież mówię, że to jakieś nieporozumienie!

-Gadaj, jak często spotykałeś się z Xeno.

Na twarzy Ohlendorfa odmalował się wyraz zdziwienia. Zatkąło go na kilka długich sekund. Jakby zaczął w myślach przewartościowywać sytuację, w której się znalazł.

-Nie znam nikogo o takim imieniu - oznajmił wreszcie spokojnym tonem.

-Pytam raz jeszcze: jak często się z nim widywałeś.

Ohlendorf spojrział na Kate. Próbował zrozumieć, jaką odgrywa w tym wszystkim rolę i które z nich jest tu szefem?

-Wiemy o waszych schadzkach w parku - dodał Malloy. Niemiec doznał szoku. Krew odpłynęła mu z twarzy. Był blady jak ściana.

-N-n-nie wiem, o czym mówisz!

-Od lat jesteś współnikiem Jacka Farrella.

-Nie znam go!

- Opowiedz nam o Helenie Chernoff.

- Jej też nie znam!

Malloy wstał. Wyglądał na zrezygnowanego. Spojrzął na Kate.

- Miałaś rację - oświadczył, wzdychając. - Dobra, poddam się. Odetnij mu nos.

- Czekaj!!!

Malloy podniósł rękę, aby powstrzymać Kate.

- Gadaj. Jak to działa. Jak mogę skontaktować się z Chernoff, jeśli miałbym ochotę skorzystać z jej usług? - zapytał.

Ohlendorf milczał przez kilka chwil. Grał na zwłokę. Gorączkowo kalkulował.

- Nie dowie się, że to ty sypnąłeś. Obiecuję - zapewnił go Malloy. - Jeśli nam pomożesz, zostanie zmieciona z powierzchni ziemi. A ty znowu będziesz wolnym człowiekiem.

Ohlendorf nie uwierzył

Kate stanęła za jego plecami. Wyciągnęła nóż wojskowy. Tak, by Niemiec usłyszał, jak ostrze wychodzi z futerału i żeby przez ułamek sekundy zobaczył błysk stali. Kiedy zniknęła z pola widzenia, Malloy podniósł rękę, znowu ją powstrzymując.

- Daj mu jeszcze jedną szansę. Wydaje mi się, że mimo wszystko chce nam pomóc.

Ohlendorf chciał spojrzeć na Kate, ale był unieruchomiony, zbyt mocno przywiązany do krzesła. Oddychał szybko i nierówno. Cała jego pewność siebie wyparowała.

- Jak. Mam. Się. Z nią. Skontaktować? - wycedził przez zęby Malloy.

Kate przyłożyła ostrze do nosa Ohlendorfa i przycisnęła je do ciała. Natychmiast pojawiła się krew. Pocięła po nożu i brodzie mężczyzny.

- To ona kontaktuje się ze mną! - zawołał nagle.

- Łżesz. To ty dajesz jej zlecenia! Ohlendorf próbował odsunąć twarz od noża.

- Nie! Ona każe mi tylko wybierać miejsca spotkań. - Znowu spróbował obejrzeć się na Kate.

- W jaki sposób się z tobą kontaktuje?

- Daje ogłoszenia w gazecie, w „Zeitung”. Jeśli chce, żebym się z nią skontaktował, to podaje w ogłoszeniu numer. Numer się zmienia, ale zawsze jest w rubryce *Pan Szuka Pani*. Daje trzy identyczne ogłoszenia i zawsze używa tych samych słów kluczowych: „pełna figura”, „zażywny” i „dyskretny”. Ostatnie dwie cyfry numeru są odwrócone, żeby nie dzwonili przypadkowi ludzie. Malloy wstał. Spojrzał na zegarek. Czas naglił.

- Dzwonisz pod ten numer i co wtedy?

- Mówi mi, czego potrzebuje.

- Odetnij mu nos.

- Mówię prawdę!

Malloy znowu kazał Kate się powstrzymać. Oddech Niemca stał się szybki i płytki. Oczy wychodziły mu z orbit, rzucał głową na boki. Kate trzymała ostrze tuż przed jego twarzą. Chwyciła głowę Niemca, żeby nie mógł się wyrwać.

- Masz ostatnią szansę - poinformował go Malloy. - Jeśli chcesz, żeby twoje dzieci zobaczyły tatuśka bez nosa, to jeszcze raz spróbuj mi wcisnąć
kit.

- Nie kłamię!

- Czy Jack Farrell prosił cię o kontakt z Chernoff?

- Nie! Nie mam pojęcia, co on robi.

- A więc jednak go znasz?

- Spotkałem go kilka razy. Ale nie powiedziałbym, że go znam.

- Kiedy ostatni raz Chernoff potrzebowała twojej pomocy?

- Pod koniec ubiegłego roku. Nie pamiętam dokładnie... chyba pod koniec grudnia.

- Proszę o więcej szczegółów.

- Muszę się napić - powiedział zakładnik.

Mrugał oczami. Grał na zwłokę. Główkował.

- Znasz jakichś dobrych chirurgów plastycznych?

Ohlendorf spuścił wzrok. Malloy kazał Kate cofnąć się, poczym stanął za prawnikiem i uderzył go w tył głowy. Wziął nóż od Kate, przycisnął głowę mężczyzny do swojej klatki piersiowej i przytknął mu nóż do nosa.

- Zrobię to własnoręcznie, jeśli dalej będziesz ze mną tak pogrywał.

- Chernoff planowała zbiorowy zamach. Potrzebowała specjalistów, a ja się z nimi kontaktowałem.

- Zbiorowy zamach? Kim miały być ofiary?

- Nie mówiła. Ja tylko szukam odpowiednich ludzi. W resztę się nie mieszam! - krzyknął Niemiec.

Malloy puścił jego głowę i znowu stanął naprzeciwko niego.

- Nie wierzę ci.

- Mówię prawdę!

- Czy znasz kogoś o nazwisku Langer?

To pytanie zaskoczyło Ohlendorfa. Odpowiedział dopiero po kilku chwilach.

- Czasami Chernoff przelewa mi pieniądze, posługując się tym nazwiskiem.

- To ona płaci tobie, a nie ty jej?

- Przecież pomagam jej organizować akcje. Płaci mi za to!

- Z jakiego banku korzysta?

- Sardis & Thurgau. W Zurychu.

- Co łączyło Xeno z Chernoff?

- Pracował dla mnie. Kontaktował ją z ludźmi, kiedy kogoś potrzebowała. Dawał jej bezpieczne schronienie. Zaopatrywał w sprzęt, broń... telefony.

- Czy Xeno i Chernoff byli kochankami? Ohlendorf zaśmiał się.

- Ona obraca się w lepszym towarzystwie.

- W takim jak... twoje, Hugo?

Niemiec zamilkł. Malloy przycisnął czubek noża do jego krocza.

- Czasami! Raz na jakiś czas - odparł wreszcie.

Malloy spoliczkował go lekko, żeby zakładnik skoncentrował się na jego słowach.

- Ile osób Chernoff potrzebowała w grudniu?

- Nie wiem! Zależy...

- Ilu? Gadaj, Hugo!

- Ośmiu. Dziewięciu! Ośmiu w mieście. No i ten jeden, dodatkowy...

- Dodatkowy?

- Jakiś specjalista. A reszta to... uliczne zbiry. Malloy znowu stanął za nim.

Nóż oddał Kate.

- Załatwiasz jej paszporty?

To pytanie zdumiało Niemca.

- Nie. To znaczy... nie ja.

- A kto?

- Nie wiem.

Malloy znowu stanął z nim twarzą w twarz.

- Łżesz - warknął.

- Ma kontakty w Hiszpanii. Ja nie zajmuję się paszportami ani dowodami tożsamości. Ja tylko... kontaktuję ją z ludźmi, którzy dają jej to, czego potrzebuje...

- Ile zapłaciła ci za grudniowe morderstwa?

- Nie zapłaciła.

- Dlaczego nie?

- Kontrakt jest nadal otwarty. Już powiedziałem wam to, co chcieliście wiedzieć. - Mówiłeś, że jeśli powiem wszystko, co wiem o Chernoff, to mnie puścicie.

- Ale nie spełniłeś jeszcze tego warunku. Okłamujesz mnie, Hugo! W tym co mówisz jest więcej bajek niż prawdy.

- Nie! Powiedziałem wszystko, co wiem!

Malloy wyszedł z pokoju, żeby poszukać czegoś w torbach. Wyciągnął pistolet uspokajający Kate oraz wziął zapasowy nabój. Kiedy wrócił do pokoju, ujrzał przerażenie w oczach Ohlendorfa.

-Co chcesz zrobić? - zapytał Niemiec, wybałuszając oczy. - Nie, czekaj ! Błagam!

Strzałka wbiła się w jego ciało. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale wstrząsnął nim dreszcz, oczy uciekły mu w tył głowy, a powieki zatrzepotały. Kilka sekund później opadła mu głowa.

-Włóżcie mu jakiś kaptur albo czapkę - powiedział Malloy - i zanieście sprzęt do toyoty. Kiedy już skończycie, będę czekał przed wejściem do baru.

-Udało się coś złowić, T.K.? - zapytał Josh Sutter, kiedy Malloy wszedł do baru.

-Prawdopodobnie namiary na Jacka Farrella.

-Żartujesz!

-Nie, mówi ę jak najbardziej serio. Idziemy - zaordynował. Randal siedział w aucie zaparkowanym przed wejściem.

Rozmawiał z prostytutką, która chciała go namówić na spotkanie. Malloy wcisnął jej w rękę pięćdziesiąt euro i kazał spływać. Wystarczyło. Kobieta wmieszała się w tłum.

- Myślałem, że gustujesz tylko w cheerleaderkach - mruknął, stając przy szybie od strony kierowcy.

Randal uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Cóż mogę powiedzieć? Grzecznie sobie na was czekam, a tu nagle ta pani chce odbyć ze mną... miłą pogawędkę.

- Istnieje podejrzenie, że Chernoff przetrzymuje Farrella w mieszkaniu nie-daleko stąd. - Toyota wyjechała z alejki, skręciła w ich uliczkę i zatrzymała się tuż przy Malloyu. - Wkraczamy do akcji za dziesięć minut. Spróbujcie za nami nadażyć - rzucił do agentów.

Malloy usiadł na tylnym siedzeniu toyoty, którą prowadziła Kate. Dale Perry odebrał po drugim sygnale.

-Tak?

- Lecimy!

- Trzy przecznice na północ od celu jest stacja benzynowa BP, zamknięta na noc - poinformował Dale.

Malloy podał Ethanowi adres, a potem obejrzał się, by sprawdzić, czy Sutter i Randal jadą za nimi. Ulice były zapchane samochodami i przechodniami, ale kiedy opuścili teren dzielnicy rozpusty, ruch się przerzedził.

- Co myślisz o Ohlendorfie? - odezwała się Kate.

- Myślę, że on nadal mówi nam tylko to, co uznaje za stosowne.

- Uważasz, że dla Chernoff naprawdę pracuje aż dziewięć osób?

- Ktoś musi biegać na posyłki, stać na czatach. Ma też pewnie kilku goryli. Jeśli ochraniają ją non stop, dwadzieścia cztery godziny na dobę, to w sumie mogłoby dać dziewięć osób. Martwię się o tego specjalistę. Jaka jest jego działka?

- Też nad tym główkuję - odezwał się Ethan i spoglądając na ekran GPS-U, kazał Kate skrócić.

- Po co facet taki jak Ohlendorf miesza się w mokrą robotę? - zapytała.

- Moim zdaniem on po prostu prowadzi agencję najemnych przestępców.

- Jak sądzisz, pracuje dla kogoś? - rzucił Ethan.

- Może... a może oni sobie po prostu nawzajem pomagają.

Ohlendorf za pieniądze zaopatruje Chernoff w specjalistów od brudnej roboty. Kiedy potrzebują paszportów, zgłaszają się do przyjaciela w Hiszpanii...

- Luca? - zastanowił się mąż Kate.

- Jak wiadomo, Luca robi w paszportach. Giancarlo Bartoli i Jack Farrell piorą brudne pieniądze. Jeśli Ohlendorf...

- Tu chodzi o Paladynów, T.K. - stwierdził Brand. - Tylko w ten sposób ma to jakiś sens.

- Być może, ale nadal mam sporo pytań, które chcę zadać Farrelowi i Ohlendorfowi.

- Przypuszczam, że Kenyonowi nie podobał się kierunek, w jakim zmierzała ich organizacja, a reszta zdecydowała, że pozwolić mu odejść byłoby zbyt dużym ryzykiem.

- Mnie ciągle nie daje spokoju ten przekręt na siedemdziesiąt pięć milionów funtów - wyznał Malloy. - Jeśli ich tajna organizacja borykała się z jakimiś problemami, to dlaczego Robert Kenyon zainwestował cały swój majątek w niepewny, szemrany interes?

Ethan nie znał odpowiedzi na to pytanie.

- Mnie też to ciekawi - odparł.

- Powiedz nam coś więcej o ludziach, z którymi będziemy pracować - zwróciła się Kate do Malloya. Zbliżali się do celu.

- Czy oni się w tym wszystkim orientują? Można im ufać?

- Facet, który wytropił Chernoff, pracuje dla ci A. Mieszka w Hamburgu od ponad dwudziestu lat. Z jego strony nic nam nie grozi. Pamiętajcie tylko, że jeśli będzie wam zadawał pytania na wasz temat, omijajcie prawdę szerokim łukiem.

- A pozostała dwójka?

- To agenci FBI, którym zlecono wytropienie Farrella. Ta misja trochę ich przerasta, ale to wytrenowane gliny, więc na pewno potrafią stać na warcie.

- Czy oni mają pojęcie, że popełniamy przestępstwo za przestępstwem? - zapytał Ethan.

- Zapomniałem ich poinformować, że są zamieszani w porwanie miejscowe-go polityka, jeśli to miałeś na myśli. Wypadło mi z głowy.

Ussat-les-Bains, Francja lato 1932

Tego lata hotel przeżywał inwazję turystów. Głównie zatrzymywali się tu Niemcy, którzy dostawali w Des Marronniers zniżki. Spacerowali po okolicznych terenach, szukając Świętego Graala i katarskiego złota. Bachman, jako główny udziałowiec, zajął najlepszy pokój w całym hotelu, i to zupełnie za darmo. Integrował się z innymi Niemcami i spędzał z nimi mnóstwo czasu. Niekiedy towarzyszył im Rahn, pokazując okoliczne jaskinie i ruiny, najczęściej jednak zostawał w hotelu i nadzorował jego funkcjonowanie.

Eliza widywała go całkiem często, ale ich stosunki wyraźnie się ochłodziły. Byli jak uczniowie, którzy przeżyli wakacyjną przygodę, by przy następnym spotkaniu odkryć, że są sobie zupełnie obcy.

- Jak ci idzie pisanie książki? - zapytała go pewnego razu, kiedy rozmowa wydała się nieunikniona. - W porządku. Pojawiają się oczywiście jakieś problemy, ale nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić - odparł.

Kiedy mijali się przypadkiem, czasami się witali, a czasami celowo patrzyli gdzie indziej. Nawet kiedy Bachman był na wycieczce poza hotelem, do niczego między nimi nie dochodziło. Żadnych liścików, żadnych spacerów. Żadnej intymnej rozmowy, która mogłaby naprawić stosunki między nimi. Wpadali na siebie jedynie przypadkiem i zawsze było to krępujące.

Za każdym razem, gdy Eliza miała jakikolwiek kontakt z Rahnem, Bachman zaczynał ją o to wypytywać. Eliza szybko wydedukowała, że mąż kazał ją komuś śledzić. Zaczęła się bać spotkań z młodym Niemcem, bo wiedziała, że jej mąż znowu o tym wspomni. Pewnego wieczoru Eliza zeszła na dół do hotelowego baru. Rahn też tam był, opowiadał przybyłemu z Afryki Północnej barmanowi o swojej podróży do Hiszpanii sprzed kilku lat. Bachman tego dnia wyjechał na kolejną wycieczkę. Eliza stanęła przy drugim końcu baru. Zamówiła brandy. Rahn wychylił całą swoją whisky jednym haustem i natychmiast opuścił lokal, zaledwie skinąwszy jej głową.

Tamtego wieczoru w barze nie było nikogo innego, ale jej mąż i tym razem zapytał, jak wyglądało ich spotkanie.

- W Berlinie źle się dzieje - mruknął Bachman pewnego poranka po powrocie z kolejnej wycieczki, którą odbył z nowo przybyłymi turystami z Niemiec.

- Zamieszki? Pokręcił głową

- Chodzi o Hitlera. Nie będzie nowym kanclerzem! Nie będzie miał ani odrobiny władzy!

Eliza pozostała niewzruszona. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie, kto jest kanclerzem? Robiło jej się już niedobrze od polityki.

- Muszę polecieć do Berchtesgaden - oświadczył Bachman dwa dni później. - Rozmawiałem z Ottonem. Obiecał, że się tobą zaopiekuje.

- Sama się sobą zaopiekuję!

- Przecież wiesz, co mam na myśli! Jeśli jakiś mężczyzna zobaczy kobietę taką jak ty...

- Kobietę taką jak ja? Czyli, Dieter, niby jaką?

- Chciałem tylko powiedzieć, że samotna kobieta przyciąga uwagę!

- I uważasz, że nie jest sobie w stanie z tym poradzić?

- Nie to miałem na myśli. Posłuchaj, moja droga. To tylko kilka tygodni...

- Tygodni?

- Prezydent Hindenburg ma... to znaczy, mamy kolejny problem. Musimy się spotkać w Berchtesgaden i wszystko przedyskutować.

- Chcę wrócić do Berlina, Dieter. Jestem już zmęczona tą całą Francją! Zabierz mnie ze sobą...

- Kiedy sytuacja się uspokoi, zabiorę cię do domu. Przysięgam! Ale na razie nie jest bezpiecznie.

- Planujecie kolejny pucz?

- Nie wiem, co planujemy.

Przez tydzień od wyjazdu Bachmana nic się nie zmieniło. Po śniadaniu Eliza szła na spacer. Po południu, gdy słońce prażyło niemiłosiernie, zagłębiała się w lekturze. Przed obiadem zazwyczaj wypijała drinka w towarzystwie turystów z Niemiec. Przy posiłku zawsze siadała razem z jakąś parą lub w nieco większym gronie. Rozmowy zawsze kręciły się wokół Hitlera i jego świty. Po obiedzie wracała do pokoju, włączała radio i znowu zatapiała się w lekturze. Z powodu nieobecności Bachmana, który Bóg wie co planował w Niemczech, Eliza czuła się niespokojna. Pewnego wieczoru wyszła na chwilę pooddychać chłodnym powietrzem, zanim znowu stawi czoło kolejnej bezsennej nocy. Nagle ujrzała, że w jej kierunku idzie Rahn. Miał na sobie sprzęt do wspinaczki, włącznie z liną, czekanem, latarką i plecakiem.

- Wspinałeś się? - zapytała.

Rahn przytaknął i spojrzał w ciemność, z której się wyłonił.

- W grocie Lombrives jest rozpadlina, którą zawsze chciałem zbadać.

Wreszcie zebrałem się na odwagę, żeby tam zajrzeć.

- Znalazłeś coś ciekawego?

- Stos kości - odpowiedział z uśmiechem. Po chwili namysłu dodał: -Wszystko w porządku?

- A dlaczego miałyby nie być w porządku?

- Mam na myśli sytuację w Niemczech. Słyszałem, że Hindenburg nie wpuszcza Hitlera do parlamentu - wyjaśnił.

- Guzik mnie obchodzi Hitler! - odparła. Tak samo jak mój mąż! - dodała w myślach.

Otto zawahał się na moment. Brawura, którą emanował ubiegłego lata, zupełnie z niego wyparowała.

- Dieter wyglądał na zmartwionego, kiedy wyjeżdżał - powiedział.
- Interesujesz się jego nastrojami?
- Sytuacja w Niemczech jest... niepokojąca.
- Jeśli chcesz wiedzieć, co mnie naprawdę wyprowadza z równowagi, to ty prowadzący ten przeklęty hotel! - rzuciła gniewnie, po czym wróciła do swojego pokoju.

Po jakimś czasie usłyszała pukanie. Wiedziała, że to on.

- Odejdź! - zawołała przez zamknięte drzwi.

Szpiedzy Bachmana byli wszędzie. Rahn na pewno też zdawał sobie z tego sprawę, ale nadal uparcie stał przed drzwiami. Zapukał jeszcze raz.

Eliza podeszła, by otworzyć. Otto chciał coś powiedzieć, lecz zamiast tego zaczął gapić się na jej koszulę nocną, która, jak zauważył w mdłym świetle jej pokoju, była prześwitująca. Eliza skrzyżowała ręce na piersiach. Wzrok Rahna powędrował niżej. Odwróciła się w poszukiwaniu szlafroka, czując się nagle naga. Kiedy się ubierała Rahn wkroczył do pokoju i zamknął drzwi.

- Czego chcesz? - zapytała. Zaskoczył ją jej własny ton głosu. Dało się w nim wyczuć lekkie drżenie. Czyżby to strach?

Spojrzenie Rahna zmiażdżyło. Zgarbił się nieco.

- Chcę ci powiedzieć, że... przestałem pisać książkę.
- Prze... przestałeś? Kiedy?
- Już w ubiegłym roku. Prawdę mówiąc, w momencie, kiedy spotkałem ciebie.
- Spuścił głowę. - Nie było sensu ciągnąć tego dalej. To, co przelewałem na papier, brzmiało jak słowa kogoś innego. Pisałem tak, jakbym chciał się przypodobać moim profesorom: w starym, formalnym stylu.

- Piszesz pięknie, Otto.

- Pisanie książek to co innego niż pisanie listów.

- Dlaczego?

- Po prostu... tak się nie da!

- Możesz pisać tak, jak ci się podoba. Dlaczego nie na piesz długiego, pięknego listu o katarach? - zasugerowała.

- O twoich katarach. Przecież oni są twoi! Nikt nie kocha ich tak bardzo jak ty. Nie pisz dla swoich profesorów. To ci sami zgrzybiali profesorowie, którzy wyśmiewali się z odkrywcy Troi, Schliemanna, aż w końcu pokazał im złoto znalezione w ruinach. Pisz dla ludzi, którzy są jeszcze w stanie poczuć namiętność. Pisz o swoich trubadurach i damach, które kochali. Tchnij w nich życie tak jak w historiach, które mi opowiadałeś!

- Ja już nie umiem pisać, Elizo! - wymamrotał. - Ale... to też mnie wykańcza. - Wskazał ręką pokój, mając na myśli cały hotel. - Nie jestem biznesmenem!

- Powiedz Bachmanowi, że rezygnujesz.

- Nie mogę! On uważa, że ten hotel to nasz wielki sukces! Ale to nieprawda. Podpisałem umowę na dziesięć lat... Nienawidzę tego bardziej, niż wszystkich innych zapchlonych prac, których się miałem. A było ich sporo.

- Na zimę go jednak zamkniesz, prawda? Będziesz miał pieniądze, żeby tu zostać i dużo wolnego czasu na pisanie. Nikt nie będzie ci przeszkadzał.

Rahn spuścił głowę. Wyglądał jak ktoś, kto przed chwilą usłyszał, że zostało mu już tylko kilka miesięcy życia.

- Chyba słyszałaś, że Maurice Magre opublikował kolejną książkę.

- Dieter coś mi o tym wspominał. Ale co to ma do rzeczy?

- Widziałaś ją? - zapytał, a gdy zaprzeczyła, mówił dalej: - To książka o wpływie buddyzmu na kulturę katarów. Oczywiście gniot, tak samo jak wszystkie inne jego książki.

- Musisz napisać swoją! - kolejny raz powtórzyła Eliza. Otto pokręcił głową.

- Ona nic nie zmieni. Katarzy byli buddystami. Tak piszą Francuzi. Nikt już teraz nie uwierzy w moją wersję... Nikt nie uwierzy w to, co powiem.

- Więc nic nie mów. Jesteś trubadurem! Musisz wyśpiewać swoją opowieść. A jeśli to zrobisz, reszta ludzi zapomni na kilka godzin o bożym świecie i zaczną marzyć o tych odległych czasach, o wszystkich tych miłosnych historiach, w których kochankowie nie mogli się pocałować ani nawet dotknąć.

- Ale ja chcę, żeby ludzie się dowiedzieli, co tu się na prawdę wydarzyło! Krucjata Watykanu była zbrodnią, Elizo.

- Może i była, ale siedemset lat temu. Teraz to już tylko historia. Pisz o ludziach... i o tej ziemi. Przecież to właśnie kochasz. Często myślę o pierwszym liście, który przysłałeś mi, kiedy wróciłam do Berlina... Otto się uśmiechnął.

- Pamiętasz go jeszcze? - zapytał.

-A ty?

-Próbowałem w tamtym liście opisać ci niebo. Bo wiedziałem, jak szare i brzydkie są zimy w Berlinie. Jak człowiek dusi się w mieście. Chciałem, żeby przed oczami stanęło ci słońce i kolory tutejszego krajobrazu.

- To była najbardziej czarująca rzecz, jaką w życiu czytałam. Mógłbyś od tego opisu zacząć swoją książkę. Spójrzmy prawdzie w oczy, Otto. Dla ciebie jestem tylko wytworem wyobraźni.

-Nie!

- Tak. Twoją prawdziwą miłością jest to miejsce. Musisz przelać tę miłość na papier, wtedy twoja książka ożyje. Pisz dokładnie tak, jak pisałeś w swoich listach zimą, a Montsegur będzie twój. Na wieki.

- Nie jesteś wytworem mojej wyobraźni! Jesteś kobietą, dla której żyję. Urodziłem się po to, żeby cię kochać. Nie mogę przestać o tobie marzyć, nawet kiedy chcę o tobie zapomnieć. A gdy cię widzę, chcę tylko jednego: wziąć cię w ramiona... Jakbyś rzuciła na mnie jakiś urok!

- Powinieneś już pójść.

Rahn uśmiechnął się nieznacznie. Na chwilę wróciła mu dawna pewność siebie.

- Zanim to zrobię, chcę cię zobaczyć.

- Już mnie zobaczyłeś! - odparła. - Idź już. Jutro możesz mnie zabrać na wycieczkę. Pokażesz mi, gdzie zamordowano jakiegoś katarskiego księdza albo gdzie jakiś rycerz nie pocałował damy, którą kochał.

- Zdejmij szlafrok. Zrzuć koszulkę. Chcę na ciebie spojrzeć, nawet jeśli nigdy nie pozwolisz mi się dotknąć. Kochałem cię przez cały rok. Chyba zasługuję choć na tyle?

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Jestem...

Nie dokończyła. Otto zrobił krok w jej kierunku. Rozwiązał szlafrok i zsunął go z jej ramion. Potem dotknął cieniutkiego ramiączka koszulki i uniósł je delikatnie.

- To najprostsza rzecz na świecie - powiedział. - Dlaczego nie możesz tego zrobić?

Eliza chciała odpowiedzieć, ale nadal nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Ramiączko zsunęło się z jej ramienia. Otto zrobił to samo z drugim. Eliza przycisnęła koszulkę, żeby nie spadła.

- Nie - zaprotestował cicho. Jego głos przepełniony był namiętnością. -Nie rób tego. Pokaż mi to, czego nigdy nie będę mógł mieć. Zrób to. Ten jeden jedyny raz. A potem zostawię cię na zawsze.

Eliza zaczęła płakać. Objął ją i zaczął się kajać.

- Przepraszam... j jestem okropny... j jestem potworem!

Eliza powiedziała, że nie dlatego płacze. Płacze, ponieważ ten moment zmieni wszystko.

Od tej pory oboje będą potworami.

Neustad, Hamburg, sobota - niedziela 8-9 marca 2008

- Zbliżają się - powiedziała Chernoff. Jej głos był wyzuty z emocji, ale Carlisle wiedział, że tak naprawdę ona też czuje dreszcz podniecenia. - Malloy jedzie

z dwoma osobami. Jedna z nich to kobieta. Agenci jadą z tyłu za nimi. Carlisle podszedł do okna i spojrział w dół na zatopioną w mroku ulicę.

- A co z Ohlendorfem? - zapytał.

- Jeśli nadal go przetrzymują, to potem go znajdziemy.

Kate zatrzymała auto pod murem na pustym parkingu przy stacji benzynowej. Randal zaparkował suv-a tuż obok, a Dale Perry zatrzymał się swoim land-roverem po drugiej stronie ulicy. Wsiadł z auta i podszedł do reszty. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną, a pod płaszczem ukrywał pistolet maszynowy. W kaburze miał jeszcze drugą sztukę broni - przydziałowego glocka.

- Wszyscy obecni to obywatele Ameryki? - zapytał Randal żartobliwie, choć nikogo nie rozbawił.

- To ściśle tajna informacja, agencie - odparł Malloy. Bezceremonialnie przedstawił ich sobie nawzajem. Podał imiona agentów oraz Dale'a. Z kolei Kate i Ethana nazwał Damą i Waletem. Wszyscy uścisnęli sobie dłonie.

- Udało ci się ustalić, w którym są mieszkaniu? - zapytał Malloy Dale'a.

- W całym budynku w tej chwili znajduje się pięćdziesięciu ludzi. Szykują się pewnie do snu.

- Thomas spojrział na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. Kim są lokatorzy?

- W takich mieszkaniach ludzie przebywają tylko w tygo dni, od poniedziałku do czwartku. Większość ma prawdziwe domy gdzie indziej. W każdym razie spośród tej piątki tylko w jednym mieszkaniu przebywają w tej chwili dwie osoby jednocześnie. Kobieta i mężczyzna - powiedział Dale.

- Farrell i Chernoff?

- Na to wygląda. Są we wschodniej części budynku, na drugim piętrze. Mieszkanie naprzeciwko stoi puste. Na czwartym piętrze jest dwoje innych ludzi, w oddzielnych mieszkaniach. Piąta osoba zajmuje lokum na ostatnim piętrze. Zazwyczaj w takich budynkach nie ma wind. Trzeba będzie obstawić schody. Wtedy odetniemy im drogę ucieczki.

- A co z punktem obserwacyjnym? - zapytał Malloy. Pomyślał sobie, że jeśli Chernoff zauważy kogoś na czatach, od razu wezwie kilku dodatkowych ludzi z bronią, którzy mogą nadejść z dowolnego kierunku i pokrzyżować ich plany.

- I tu pojawia się problem. Naprzeciwko wejścia do budynku stoi kilka innych domów. Oświetlenie jest całkiem niezłe. Wyobraź sobie, że wchodzimy, przeprowadzamy akcję, wychodzimy... A oni czekają na nas i strzelają jak do kaczek.

- Nie da się wejść do budynku od tyłu? - zapytał Ethan.

- To byłoby najlepsze rozwiązanie. Jeśli udałoby się komuś wspiąć na drugie piętro. Można spróbować wdrapać się po balkonach. Co prawda ulica jest niebezpiecznie blisko, ale o tej porze nie ma już dużego ruchu, a z tamtej strony jest ciemno.

Malloy spojrzał na Kate.

- Co o tym sądzisz?

- Wejdziemy przez jeden z tych balkonów - zdecydowała.

- Jeśli dorwiemy Farrella, będziemy mogli wyjść frontowymi drzwiami i szybko wskoczyć do podstawionego auta. Jeśli będziemy musieli się wycofać - wrócimy tą samą drogą, którą przyszliśmy, i wskoczymy do drugiego auta, które będzie na nas czekało.

- Ktoś musi pilnować liny od strony balkonów - przytomnie zauważył Ethan - skoro to nasza droga ucieczki.

- Ja się tym zajmę - zadeklarował Dale. - A wy ustalcie między sobą, gdzie który będzie stać - zwrócił się do agentów FBI.

- Mam ochotę przywitać się z Farrellem jako pierwszy oświadczył Randal.

- Będę więc czekał w aucie pod frontowym wejściem.

Po twarzy Josha Suttera przemknął cień zawodu, ale po chwili wziął się w garść. Ta akcja to praca zespołowa.

Wzięli potrzebny sprzęt z toreb leżących na tylnym siedzeniu toyoty, a resztę wrzucili do bagażnika. Sutter i Randal dostali od Dale'a po pistolecie maszynowym i pojechali zająć swoje stanowiska. Gdyby któryś z nich zauważył coś niepokojącego, mieli zadzwonić do Dale'a na komórkę, a on da znać o wszystkim Malloyowi.

Dale i Malloy ruszyli w stronę domu jedną ulicą, a Ethan i Kate drugą.

- O co chodzi z tą Angielką, T.K.? - zapytał Dale, mając na myśli Kate.

- O nic.

- To twój człowiek czy jest wypożyczona?

- Dama i Walet są od Jane - skłamał Malloy. - Przynajmniej takie mam wrażenie. Nie urządzałem im przesłuchania. Wiem tylko, że to nie żółtodzioby. Od kilku lat działają tu i tam.

- Jeśli są tak dobrzy, jak mówisz, to pewnie bym już o nich coś słyszał.

- Masz rację. Chyba że są naprawdę dobrzy. Dale się roześmiał.

- Zaciąg Jane.

- Tak właśnie myślę.

Cała czwórka spotkała się pod balkonem pustego mieszkania. Kate, Ethan i Malloy, każde z kałasznikowem przerzuconym przez ramię, włożyli noktowizory i włączyli swoje zestawy słuchawkowe. Ethan rzucił linę z kotwicą w kierunku balkonu.

Pierwsza ruszyła Kate. Jak na alpinistkę przystało, pokonała dziesięciometrową wysokość w zaledwie kilka sekund. Ethan pomknął na górę równie zwinnie. Patrząc na nich, można było pomyśleć, że to bułka z masłem.

-Jak na razie jestem pod wrażeniem - szepnął Dale.

Malloyowi nie poszło tak dobrze. Wspinał się powoli i z wysiłkiem. Kurczowo trzymał się liny. Bał się poślizgnąć i spaść, co z pewnością miałoby śmiertelny skutek. Ethan i Kate przyszli mu w sukurs, podciągając do góry. Przynajmniej pozwolili mu zachować resztki godności i samemu przejść przez balustradę. Kate szybko wciągnęła linę i starannie ją zwinęła.

Balkon był mały, przylegał do kuchni i wałały się po nim worki ze śmieciami i jakieś stare graty. Drzwi wykonane z drewna i szkła zamykały się na zasuwę. Ethan użył małego łomu i jednym ruchem ręki wyłamał zamek.

Nie włączyli światła. Mieli na oczach noktowizory. Obejrzeliby dokładnie mieszkanie, aby zapoznać się z jego układem, wiedząc, że za chwilę wkroczą do bliźniaczego, w którym - jak mieli nadzieję - siedzieli Chernoff i Farrell. Dwa pokoje, łazienka i kuchnia. Z korytarza będą mogli z łatwością widzieć salon oraz sypialnię. Drzwi do kuchni i łazienki są naprzeciwko sypialni, tuż przy drzwiach wejściowych. Kate zasygnalizowała, by wrócili do kuchni.

- Wchodzisz pierwszy - powiedziała do Ethana. To ma być mocne wejście. - Ja obstawiam drzwi do sypialni. T.K. będzie pilnował schodów.

- Ja chcę sypialnię - oświadczył Malloy.

- Ale, T.K., przecież... - zaczęła Kate.
- Widziałas kiedyś jakieś zdjęcie Heleny Chernoff? - przerwał jej Malloy. -Nie.
- A ja wczoraj obejrzałem ich kilkaset. Biorę sypialnię. Ty pilnuj schodów.

Drzwi wejściowe mieszkania, do którego weszli przez balkon, mogły być otwarte jedynie kluczem uniwersalnym. Nie chcieli tracić czasu na szukanie go, więc Ethan ukląkł i zaczął majstrować przy zamku zestawem wytrychów. Wystarczyło mu kilka sekund. Zamek przekręcił się dość głośno. Tego typu odgłosy w normalnych warunkach nikogo nie byłyby w stanie obudzić. Zdarzają się jednak ludzie bardzo wyczuleni na najcichsze nawet odgłosy w środku nocy. Helena Chernoff całe życie się ukrywa. Na pewno jest nieludzko czujna. Trzeba było działać szybko.

Kate ustawiła się przed drzwiami, u stóp schodów. Ethan natychmiast otworzył drzwi jednym kopnięciem. Malloy wbiegł tuż za nim. Naprzeciwko zobaczył drzwi do salonu, a po lewej stronie otwarte drzwi do kuchni oraz zamknięte do łazienki. Drzwi do sypialni również były zamknięte. Malloy bez chwili namysłu wystrzelił w nie kilka serii z kałasznikowa.

Dale usłyszał stukot wysokich obcasów na chodniku po drugiej stronie ulicy jeszcze wtedy, gdy Malloy usiłował wejść po linie. Kątem oka zerknął na kobietę. prostytutka. Błada cera, włosy w kolorze siana. Zapalała papierosa. Zamierzała przejść przez ulicę, ale nagle zobaczyła Dale'a.

Każdy inny, szczególnie w środku nocy, przestraszyłby się na sam widok rośłego Murzyna. Ta jednak się nie zlekła. Szła prosto w jego kierunku. Dale już dawno temu przestał się interesować paniami, które sprzedają ciało za pieniądze. Miał z nimi do czynienia na co dzień. Wiedział, że w najstarszym zawodzie świata

nie ma nic romantycznego ani tajemniczego. prostytutki najczęściej robiły to, co robiły, z lenistwa lub z powodu niskiej samooceny. Czasami pod maską służalczości skrywały nienawiść do wszystkich i wszystkiego. A czasami były po prostu uzależnione od narkotyków. Ta, która szła w jego kierunku, miała pod płaszczem jedynie pas i pończochy.

Choć odporny na tego typu pokusy Dale Perry był przecież mężczyzną i jego uwagę przykuło obnażone łono kobiety. Zmusił się jednak, by spojrzeć na jej twarz. Wśród ham-burskich prostytutek zdarzały się młode dziewczyny, które miały kiepski start życiowy, oraz starsze kobiety, które już za bardzo wrosły w środowisko. Niekiedy jednak spotykało się prawdziwe piękności. Ta tutaj nie była ani młoda, ani nadto „zjechana”.

Z daleka wydawało się, że kobieta nieco się chwieje. Kiedy weszła na chodnik i znalazła się dość blisko Dale'a, poczuł od niej woń alkoholu.

- Masz ochotę się zabawić, skarbie? - zapytała

Rozchyliła poły płaszcza. Teraz jej smukłe, apetyczne ciało było doskonale widoczne w świetle latarni. Kobieta wiedziała, że ma się czym pochwalić. Widać to było w jej zachowaniu.

- Trzydzieści euro za numerek. Dwadzieścia za orał - mówiła z takim akcentem, jakby wychowała się w jednej z wiosek pod Hamburgiem. -Może być tu na miejscu. Nie jestem wybredna.

- Spadaj - rzucił Dale.

- Co tu porabiasz? - zapytała, podchodząc bliżej. Jej wysokie obcasy grzęzły w ziemi, niemal się przewróciła. - Jesteś z kimś? - Rozejrzała się dokoła. - Może z facetem? Wolisz facetów? - Zachichotała i znowu się zachwiała, kiedy jej drugi

obcas również utknął w ziemi. - Obsłużę was obu za cztery dychy. - W końcu złapała równowagę, ale wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć albo zwymiotować.

Dale zaklął pod nosem i zrobił krok w jej kierunku. Musi ją spławić. Może nie być łatwo...

- Tylko trzydzieści euro - wymamrotała. Ujął jej rękę, nie opierała się. Jej płaszcz był przesiąknięty dymem tytoniowym, a oddech i skóra alkoholem. - Dwadzieścia euro za wszystko, czego sobie zażyczysz. - Sprawiała wrażenie, jakby ledwo stała na nogach. Jak kobieta może się tak urznąć, pomyślał Dale.

Raptem dobiegł go głuchy odgłos strzałów z karabinu. Gdzieś w środku, w budynku. Odwrócił się instynktownie. Nadal trzymał prostytutkę za rękę, ale zupełnie o niej zapomniał. Potem usłyszał wystrzały ze śrutówki. I znowu karabin maszynowy.

Ciało prostytutki nadal było bezwładne. Zbliżyła wolną rękę do szyi Dale'a, jakby chciała się go objąć i uchronić się przed upadkiem.

Raptem poczuł ukłucie.

Nie. Nie ukłucie. Pocięła go. Jego pierwszą reakcją była złość. Odepchnął prostytutkę. Zamiast upaść na ziemię, kobieta wyprostowała się i chwyciła go za nadgarstek. W tym momencie Dale zrozumiał, że go oszukała. To nie była żadna pijana dziwka. Spróbował wyszarpnąć się jej i wpakować w nią serię z uzi, ale jej chwyt był jak ze stali. Trzymała go i patrzyła prosto w oczy. Z jawnym zadowoleniem obserwowała, jak się wykrwawia. Dopiero gdy powiódł spojrzeniem za jej wzrokiem, zauważył, że krew z rany na szyi zalewa mu całą koszulę i kuloodporną kamizelkę.

Starał się przypomnieć sobie nazwisko kobiety, która go przed chwilą

załatwiła. Zabiła. Ale w głowie pozostało mu tylko jedno słowo: Stasi. Wschodnioniemiecka policja nie istniała już od dwudziestu lat, ale samo słowo nadal było synonimem tortur, terroru i morderstw. Coś pomiędzy gestapo i KGB. Agenci Stasi byli tak samo nieustraszeni jak ci drudzy i tak samo skuteczni i bezduszeni jak ci pierwsi. A ta kobieta, pomyślał Dale, kiedy ugięła się pod nim kolana... ta tutaj to ich ostatnia agentka. Nie mógł sobie jednak przypomnieć jej nazwiska. Gdyby było w nim jeszcze dość krwi na kilka uderzeń serca, to mógłby przez chwilę pomyśleć o tym, jak przeżyją jego żona i dzieci. Całe życie spędził w podziemiu, w ukryciu, w przebraniu. I tak to się skończyło. Jego rodzina nawet nie wiedziała, że to wszystko była przykrywką. Że w rzeczywistości był kimś lepszym i wartościowszym, niż wszyscy dokoła myśleli.

Dale nie miał jednak czasu na żale ani rozmyślanie o rodzinie. Przez jego gasnący umysł nie przemknęło ani jedno wspomnienie z ojczyzny. W głowie miał tylko jedno słowo - zimne, skuteczne i śmiertelne: Stasi.

Kiedy Malloy posłał serię z karabinu w drzwi sypialni, z kuchni ktoś wystrzelił ze śrutówki. Prosto w jego plecy.

Ethan momentalnie się odwrócił i zobaczył mężczyznę, który strzelił do Thomasa. Facet przeładowywał broń. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną, ale to mu nie pomoże...

Zanim jednak Ethan nacisnął spust swojego kałasznikowa, ktoś i jemu strzelił w plecy. Padł twarzą na podłogę. Dopiero wtedy uprzytomnił sobie, co się tak naprawdę wydarzyło - dostał w osłonięte plecy i nieosłonięte ramię.

Napastnik, do którego mierzył, przygniatał go teraz butem. Ethan próbował się odwrócić, żeby zobaczyć jego twarz. Przy upadku upuścił broń. Sięgnął po nóż.

Przez moment nie rozumiał, kto znowu strzela i do kogo. Zobaczył, jak nagle w kuchni wszystko zaczyna wybuchać i latać w powietrzu. Jako ostatnia eksplodowała głowa mężczyzny, który miał właśnie zamiar dobić Ethana. To Kate wkroczyła do akcji.

Ethan szybko podciągnął się i wstał. Malloy dalej leżał na podłodze. Ranny czy martwy? Nie wiadomo.

Kate zabiła także kobietę, która schowała się w salonie -to ona strzeliła Ethanowi w plecy - a teraz z buta otworzyła drzwi do sypialni.

- Nikogo nie ma - powiedziała. - T.K., jesteś ranny?

Thomas oparł się na kolanach i łokciach. Na wysokości nerek jego kamizelka kuloodporna była cała w strzępach.

- Chyba przeżyję - odparł.

Kate spojrzała na Ethana. Ethan stał, więc nie domyśliła się, że coś jest nie w porządku. Dopiero teraz to dostrzegła. Podbiegła do niego.

- Dostałeś!

Ethan chciał spojrzeć na swoje ramię, ale przeszkadzał mu noktowizor.

- Możesz ruszać ręką? - Kate nachyliła się, usiłując coś dojrzeć.

Ethan posłusznie spróbował nią poruszyć. Nie była złamana. Malloyowi wreszcie udało się wstać. Zachwiał się jednak nieco. Strzał prosto w nerki zrobił swoje.

- Nic mi nie będzie - rzucił Ethan. - Dostałem w ramię śrutem.

- Musimy się zmywać, i to szybko! - stwierdziła Kate. - T.K., jesteś w sta nie zejść po linie?

Malloy zatoczył się, spojrzał na Kate, Ethana oraz dwa trupy, kobietę i mężczyznę.

- Farrell - wymamrotał.

- Zapomnij o nim. Musimy uciekać. Teraz! Dasz radę zejść po linie? Schylił się jak staruszek, aby podnieść swoją broń, a potem się wyprostował.

- Dam - odparł, lecz mało przekonująco.

- A ty? - zwróciła się do męża. Skinął głową.

- Jest OK.

Wyszli na korytarz, sprawdzili, czy nikogo tam nie ma, a potem wrócili do mieszkania, przez które tu dotarli.

Chwilę po tym, jak rozległy się strzały, Jim Randal zadzwonił do Suttera.

- Słyszałeś? - zapytał.

-Tak.

- Nie jest dobrze.

- Siedź i się nie ruszaj!

- Nie ruszam się. Mówię tylko, że nie jest dobrze. - Randal rozłączył się i rozejrzał. Postawili go pół przecznicy dalej, w cieniu, ale w ciągu kilku chwil mógł być przed wejściem głównym do budynku. Ulica nadal była pusta, ale wystrzały rozświetliły okna mieszkania po drugiej stronie. Potem dostrzegł jakiś ruch w tylnym lusterku. Kobieta w długim płaszczu biegła jakby w panice środkiem jezdnii. Była sama. Biegając, wpatrywała się w budynek. Poły jej płaszcza rozwiewały się na boki, a Randal zagapił się, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Kobieta była całkiem naga, z wyjątkiem butów na wysokich obcasach, pasa oraz pończoch! Zaklął pod nosem na niemieckie obyczaje, ale nie

mógł się powstrzymać i nadal się na nią gapił. Prawie wpadła na jego samochód, jakby go wcześniej nie zauważyła. Po chwili Randal usłyszał, jak kobieta wykrzykuje coś po niemiecku. Milczał. Zziębnięta dopadła do okienka auta i wskazując ręką na budynek zaczęła coś mówić po niemiecku - coś o jakimś „shizi” albo „shitzi”.

Jej płaszcz nadal był rozpięty, jakby to była najnormalniejsza w świecie rzecz. Nie wiedział, co zrobić. W końcu opuścił szybę i zapytał:

- Mówisz po angielsku?

Gdyby potwierdziła, kazałby jej spływać. A gdyby zaprzeczyła, pokazałby jej swoją spluwę i też kazał spływać. Nagle poczuł uderzenie na szyi. A potem zakręciło mu się w głowie.

Ethan pierwszy spuścił się po linie na dół. Tym razem użył nóg. Prawa ręka nie utrzymałaby jego ciężaru. Na ziemi ujrzał jakiś cień. Od razu poznał, że to Dale.

- Straciliśmy człowieka - wyszeptał, wyciągając broń.

- Co się stało? - zapytał Malloy.

Ethan doskoczył do ciała i ruszył je za ramię.

- To Dale. Ktoś poderzwał mu gardło.

Ethan zaczął rozglądać się dokoła, przeszukując mrok swoim noktowizorem. Zobaczył ślady damskich butów na ziemi. Te, które prowadziły w stronę ciała, tworzyły dość pokrętny szlak i pojawiały się w nieregularnych odstępach, te które od niego odchodziły, były zadziwiająco proste. Ethan asekurował Malloya, który wolno schodził po linie. Był ranny, może nawet poważnie. Kate, z balkonu na drugim piętrze, obserwowała pozostałe mieszkania w budynku.

Kiedy Malloy znalazł się już na dole, błyskawicznie chwyciła linę. Stawiając stopy na ziemi, spostrzegła jakiś ruch na balkonie powyżej. Ethan spojrzał w to samo miejsce, zobaczył rękę oraz pistolet i oddał kilka strzałów. Usłyszał silnik samochodu, który miał prowadzić Josh. Kate podbiegła, stanęła obok Ethana i wystrzeliła serię z karabinu w stronę budynku.

Malloy próbował podnieść ciało Dale'a.

- Ja go wezmę - szepnął Ethan. - Osłaniaj mnie. Zarzucił sobie ciało Murzyna na plecy, niemal padając na ziemię pod jego ciężarem oraz z powodu rwącego bólu w rękę. Kate i Malloy nadal strzelali w stronę balkonu, cofając się w kierunku chodnika. Josh czekał w ostrzeliwanym aucie.

Kate wskoczyła na tylne siedzenie wozu. W karoserię trafiło kilka kolejnych kul. Ethan wepchnął ciało Dale'a obok żony i sam również wskoczył do środka. Malloy wślizgnął przez otwarte okno od strony pasażera.

- Jedziemy! - krzyknął Ethan, chociaż Josh już chwilę wcześniej ruszył z piskiem opon.

Sutter skręcił ostro przy końcu budynku i teraz jechali od frontowej strony domu. Zdumiał się, kiedy nie zobaczył land-rovera Dale'a, w którym miał siedzieć Randal. Nagle na przednią szybę ich auta posypał się grad kul. Josh szarpnął kierownicą, otarł się o jakiś zaparkowany wóz, ale udało mu się wyjechać ze strefy zagrożenia. Kate z tylnego siedzenia dyrygowała, w którą stronę i kiedy skręcić. Wreszcie dojechali na parking opuszczonej stacji benzynowej.

Było cicho. Nikt ich nie gonił. Dzięki temu mogli przenieść się do toyoty. Malloy i Ethan wsadzili zwłoki Dale'a do bagażnika. Tym razem za kierownicą

usiadł Thomas. Powoli wyjechał z parkingu, jak gdyby nigdy nic. W przeciwną stronę po ulicy przemknął radiowóz na sygnale.

- Zadzwoń do Jima - rozkazał Malloy Sutterowi i sam też wybrał numer na swojej komórce.

W Stanach był właśnie wczesny wieczór. Telefon dzwonił przez chwilę, zanim Jane go odebrała. Wiedziała, że to Malloy.

- Słucham - rzuciła do słuchawki.

Sądząc po tonie jej głosu, spodziewała się dobrych wiadomości.

- Dale nie żyje - oświadczył Malloy.

- Jak? - zapytała Jane. Była spokojna i opanowana. Można by pomyśleć, że ktoś inny był w pokoju i Jane nie mogła swobodnie rozmawiać, ale ona zawsze taka była. Im trudniejsza sytuacja, tym bardziej beznamiętna się stawała.

- Ktoś poderzwał mu gardło. - Malloy zerknął na Suttera, który nie mógł się dodzwonić do swojego partnera - Mamy też jednego człowieka zaginionego w akcji. Agent FBI.

- Którego?

- Agent specjalny James Randal.

- Poinformuję jego przełożonych - odparła Jane. - Możesz mi podać jego ostatnie miejsce pobytu?

Malloy podał jej adres budynku i powiedział, że Randal siedział w land-roverze należącym do Dale'a. Ethan dorzucił numer tablicy rejestracyjnej, więc Malloy podyktował go szefowej, zastawiając się jednocześnie, jakim cudem Ethan był w stanie pamiętać taki szczegół w tak krytycznej sytuacji.

- Zajmę się tym - zapewniła Jane.

- Zabraliśmy ciało Dale'a z miejsca wypadku. Zostawię go w tajnym mieszkaniu w piwnicy jego baru.

- Gdzie jest drugi agent, T.K.?

Malloy zerknął na Suttera, który wyglądał na zszokowanego i zagubionego.

- Jest tutaj, ze mną.

- Jeszcze dziś wieczorem musisz go wyekspediować z Niemiec.

- Nie dam rady. Mam inny problem na głowie.

- Możesz mi o nim opowiedzieć?

- Raczej nie.

- Dobrze, przyślę dwie ekipy. Jedną po Dale'a, drugą po agenta Suttera. Zabiorą go do naszej bazy lotniczej w Ramstein. A co z tobą?

- W porządku... - powiedział. Nie poinformował Jane, że jest być może ranny. Jeszcze na to za wcześnie. I tak cały raport brzmiał już dość kiepsko...

- Musisz dorwać Chernoff, T.K. Ona jest teraz priorytetem. Podczas pościgu zginął agent, więc pan Farrell cieszy się już o wiele mniejszą sympatią ze strony mediów. Jasne?

- Sprzątnęliśmy jakąś babkę - oświadczył Malloy. - To mogła być Cher-noff. A jeśli nie, uwierz mi, że ją dopadnę.

Kiedy Malloy skończył rozmowę z Jane, natychmiast odezwał się agent Sutter.

- Istnieje szansa, że Jim nadal żyje? - zapytał Malloya. Ciągle próbował się dodzwonić do kolegi. Nawet wypatrywał go na chodnikach i ulicach.

Malloy milczał.

- Myślisz, że nie żyje? - odezwał się agent.

- Myślę, że powinieneś być przygotowany na najgorszy scenariusz - powiedział Malloy po chwili.

Josh Sutter zaczął wybierać inny numer.

- Muszę zadzwonić do mojego przełożonego - poinformował.
- Nie martw się, już ktoś się zajmuje całą sprawą - próbował uspokoić go Malloy. Nie udało się. Sutter dalej wybierał numer. Malloy chwycił go za rękę. - Josh, nie musisz na razie nic robić. Odpowiedni ludzie wszystkim się już zajmują.
- Ale przecież Jim jest zaginiony w akcji! Nie można od razu zakładać, że nie żyje!
- Niemiecka policja wszystkim się zajmie, uwierz mi. Już dotarli na miejsce zbrodni. Mają numer rejestracyjny land- -rovera.
- Muszę zadzwonić do Hansa! - powiedział Sutter.
- Zadzwon... - zaczął Malloy - .a oskarżą cię o współudział w morderstwie. Sutter spojrzał na niego wstrząśnięty.
- O czym ty mówisz?
- W Stanach, kiedy kogoś zabijesz, popełniając przy tym jakieś inne przestępstwo, to w pierwszej kolejności będziesz sądzony za morderstwo, a nie za to przestępstwo, prawda? - odezwał się Ethan z tylnego siedzenia. - Tak samo jest tutaj. Z tą różnicą, że Niemcy nie mają kary śmierci.
- Hans nie jest twoim przyjacielem, Josh - dodał Malloy. - Już nie.
- Mylisz się, T.K. To ty nie jesteś moim przyjacielem.
- W tym momencie - włączył się ponownie Ethan - czy ci się to podoba, czy nie, masz troje przyjaciół. Są nimi osoby obecne w tym samochodzie. Wszyscy inni traktują cię teraz jak przestępcę.

Neustad, Hamburg, sobota-niedziela, 8-9 marca 2008

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał Carlisle.

Jim Randal siedział związany w pokoju obok. Był przytomny, ale skołowany. Helena Chernoff zdążyła się już przebrać. Miała na sobie kamizelkę kuloodporną i strój bojowy.

- Reszta lokatorów w naszym budynku nie odpowiada - powiedziała. - Wszyscy się ewakuowali przed pojawieniem się glin.

- Więc możemy odzyskać Ohlendorfa?

Chernoff spojrzała na Jima Randala i pomyślała przez chwilę.

- To nie powinno stanowić problemu. Musimy tylko namówić agenta Randala do wykonania jednego telefonu.

Dzielnica St Pauli, Hamburg, sobota-niedziela, 8-9 marca 2008

- Lepiej powiedzmy Joshowi o Ohlendorfie - stwierdziła Kate, kiedy wysiedli z samochodu zaparkowanego na tyłach lokalu Dale'a.

- Właśnie chciałem to zrobić - odparł Malloy. Spojrzał na Josha, który zmarkotniał, odkąd się dowiedział, w jakiej jest sytuacji. - Facet, od którego wyciągnęliśmy informacje, jest tam w środku.

- Nadal mu ufacie? - zapytał Sutter. Jeśli miał to być żart, nikt się nie roześmiał.

- Ani przez chwilę mu nie ufaliśmy - sprostował Malloy.

- Kiedy wejdziemy do środka, chcę, żebyś poszedł do pokoju obok. Nie odzywaj się ani słowem. Nie chcę, żeby cię usłyszał. Będziemy musieli go później wypuścić i nie chcemy, żeby wiedział coś, dzięki czemu mogłyby nas wytropić gliny.

Malloy wszedł pierwszy, aby upewnić się, że w środku nie ma niepożądanych gości. Ethan i Sutter wyjęli zwłoki Dale'a z bagażnika toyoty i zanieśli je do piwnicy. Kate wzięła torby ze sprzętem.

Malloy wprowadził całą trójkę do sypialni. Ułożyli ciało Dale'a pod ścianą.

- Nie możemy go tak tutaj zostawić - skomentował Sutter.

- Przed świtem pojawi się tu ekipa. Zajmą się nim. - Thomas nie pofatygował się wyjaśnić, co to oznacza. Ekipa przyjedzie, weźmie ciało i zostawi je gdzieś, gdzie znajdzie je ktoś inny.

Sutter rozejrzał się po skromnie urządzonej sypialni.

- Tutaj mieszkał? - zapytał.

- Nie. To tylko kryjówka. Miał żonę i dzieci. Własny dom. Własne życie... - powiedział Malloy, czując nagle wielki żal. Nie pozwolił jednak, by to uczucie w tej chwili nim zawładnęło.

Kate zdjęła kamizelkę i broń.

- Jest tu jakaś apteczka?

- W łazience.

- Chodź ze mną. Trzeba obejrzeć twoje plecy.

- Nie, najpierw zajmij się Ethanem. Muszę jak najszybciej wykasować dane z komputera.

Kiedy wyszli, Thomas zwrócił się do agenta.

- Rozgość się, Josh. Będziemy musieli poczekać tu ze trzy, cztery godziny. Potem polecisz do domu. Za około osiem godzin będziesz już na pokładzie samolotu lecącego prosto do Nowego Jorku. Głowa do góry!

- Nigdzie nie polecę, dopóki się nie dowiem, co się stało z moim partnerem.

- Obawiam się, że nie masz wyboru. Jeśli znajdzie cię policja, postawią ci

zarzut porwania oraz morderstwa, i to podwójnego.

Sutter nagle zbladł. Obleciał go strach. Mimo to nadal myślał o Randalu.

- A co się stanie, jeśli niemieckie gliny znajdą Jima całego i zdrowego?

- Nie będzie za pięknie - skrzywił się Malloy. - Ale przynajmniej Jim będzie żywy. Spróbujemy negocjować z Niemcami. Może uda się złagodzić wyrok.

Na twarzy agenta pojawił się teraz wyraz gniewu.

-W co ty nas wpakowałeś, T.K? Malloy spojrzał na ciało Dale'a. Poczł mdłości.

-Nie wiem, Josh. Naprawdę nie mam pojęcia.

Wszystkie ważne pliki dotyczące Chernoff miał w swoim pokoju hotelowym w Neustadt, ale pomyślał sobie, że zanim zacznie czyścić komputer Dale-'a, poszuka kilku rzeczy na temat Rycerzy Świętej Włóczni. Wpisał słowa kluczowe: „rycerze”, „włócznia” oraz „Paladyni”, ale nic się nie pokazało. Następnie spróbował z Ohlendorfem i znalazł trochę materiału, w tym nazwiska znanych współpracowników. Zgrał informacje na pendrive'a i wsunął go do kieszeni. Potem włączył program czyszczący dane. Wskoczyło żądanie hasła. Wstukał na klawiaturze słowo JANE. Proces kasowania plików został zainicjowany. W szufladach biurka znalazł płyty DVD. Wszystko materiały z ci A. Był też jakiś pendrive, ale nie mógł go teraz odczytać. Wyniósł płyty do kuchni i zaczął je metodycznie niszczyć. Kiedy twarde dysk został oczyszczony z wszelkich plików, wyjął go i też rozwalił w kuchni. Następnie wrzucił jego pozostałości wraz z połamanymi płytami DVD i znalezionym pendrive'em do szklanej misy i polał to wszystko środkiem do udrażniania rur. Chciał mieć pewność, że informacje zostały wytepięone niczym bakterie.

Zapukał do drzwi łazienki. Kate kazała mu wejść. Ethan siedział z nagim torssem na wannie, a ona stała obok, zszywając mu ranę igłą i nicią chirurgiczną.

- Bardzo paskudna rana? - zapytał Malloy.

- Całe ramię i bark ma naszpikowane śrutem. W miarę możliwości oczyściłam, co się dało, ale będzie potrzebował lekarza, żeby wszystko wydłubał. Ale tym - wskazała na płat skóry - trzeba się było zająć od razu.

Malloy przejrzał apteczkę.

- Czego używałaś do uśmierzania bólu?

Kate przeniosła wzrok z zakrwawionej rany na Malloya.

- Niczego. Spojrzał na Ethana.

- Bolało?

Twarz mężczyzny była blada jak ściana. Znalazł jednak resztki siły, by odpowiedzieć:

- Troszeczkę.

Kate uporała się z ostatnim szwem i sięgnęła po bandaż.

- Teraz twoja kolej, T.K. Rozbieraj się. Ethan wreszcie mógł się lekko uśmiechnąć.

- Pamiętasz jeszcze czasy, kiedy takie słowa z ust pięknej kobiety wydawały ci się początkiem drogi do raj, T.K.?

Malloy zdjął kamizelkę i koszulę. Czuł ból. Głęboki, rwący ból. Jakby ktoś przez długi czas rzucał nim o ścianę.

- Zdejmij spodnie - rozkazała Kate.

- Czy aby nie za wcześnie na takie rzeczy? Może najpierw powinnaś zaprosić mnie na kolację? - zapytał, siląc się na żart.

- O rany! - zawołał Ethan, kiedy Malloy odwrócił się od Kate. - Co się stało z twoją klatką piersiową?

Zrzucając spodnie Malloy spojrzał w dół na swój tors.

- Pamiątka z Libanu. Moja pierwsza misja.

- Wygląda na to, że niewiele brakowało, by była też ostatnia! Malloy uśmiechnął się smutno.

- Ludzie, którzy mnie znaleźli, mówili potem, że dawali mi zerowe szansę na przeżycie. Praktycznie byłem trupem.

Poczuł ból w dole pleców. Skrzywił się, a oczy mimowolnie zaszyły mu łzami. Kate chyba zszywała mu ranę.

- Nieźle oberwałeś, nie wiem, czy nie ma wewnętrznego krwotoku. Z nerkami lepiej nie zadzierać - powiedziała.

- A rany od śrutu? Są poważne?

- Krwawa miazga. Później się nimi zajmę i je opatrzę. Wolisz sól czy alkohol?

- A może demerol? - zaproponował Malloy.

- Demerol to alkohol - odparła.

Oczyszczanie rany bolało bardziej niż sam strzał, który zainkasował podczas akcji. Ale i tak nie było niczym w porównaniu ze zszywaniem na żywca, więc zniósł to nadspodziewanie dobrze.

- Czy moja żona zorientuje się, że coś mi się stało? - zapytał.

- Nie wiem - odparł Brand. - To zależy od tego, czy jest kompletną kretynką.

Do drzwi zapukał Sutter. Po chwili je otworzył. Był blady jak duch. Wyciągnął rękę z telefonem komórkowym w kierunku Malloya.

- Zadzwoń do mnie jakaś kobieta. Chce rozmawiać tylko z tobą.

Thomas spojrzął na Kate, a potem na Ethana. Wziął telefon z ręki agenta.

- Kto mówi? - odezwał się po niemiecku.

- Chcę zaproponować transakcję - powiedziała kobieta również po niemiecku.

Malloy rozpoznał głos. Słyszał go na nagraniach, które odtwarzał ubiegłej nocy w hotelu.

- Czym chcesz się wymienić, Heleno?

- Jeden agent FBI za jednego hamburskiego prawnika.

- Potrzebuję dowodu, że Rand... - zaczął Malloy. Nagle w tle usłyszał głos Randal.

- T.K.! Na miłość boską, pomóż mi!

- Wystarczy? - zapytała kobieta.

- Chcę z nim porozmawiać.

- Na samym końcu ulicy Alsterchaussee jest parking.

W pobliżu jeziora. Jeśli przyprowadzisz prawnika, będziesz mógł porozmawiać sobie ze swoim agentem.

Malloy powtórzył nazwę ulicy na głos.

- Będę tam.

- To dobrze. Masz dwadzieścia pięć minut. Jeśli nie zdążysz, agent Randal podzieli los twojego czarnoskórego przyjaciela.

Dzielnica St. Pouli, Hamburg, niedziela 9 marca 2008

Malloy skończył rozmawiać przez telefon.

-Chernoff przetrzymuje Jima - poinformował. - Chce dobić targu. Ohlendorf za Randala.

-Kiedy? - zapytała Kate.

-Teraz. Zaraz.

-Myślisz, że mówi prawdę? Nie blefuje?

Malloy nie mógł mieć pewności. Wymiana miała jednak jakiś sens.

-Ohlendorf sporo wie na jej temat. Sądzę, że wpadła w panikę i chce za wszelką cenę go odzyskać.

-Skąd wiedziała, że został porwany? - zainteresował się Ethan.

-Ma kontakty w policji. A może informacja trafiła już do radia i telewizji. Kto wie? Zresztą to nieistotne. Ważne, że wie, i że chce go odzyskać. - Malloy spojrzał na Suttera. - Pisziesz się na to, Josh?

-Nie powstrzymasz mnie, nawet gdybyś próbował - powiedział agent stanowczym tonem.

Thomas skinął głową i popatrzył na Kate, która z kolei spojrzała na męża.

-Wchodzimy w to - oświadczył Ethan bez chwili wahania. Malloy pomyślał, że Brandowie robią to właściwie charytatywnie. Nic z tego nie będą mieli. Najwyżej same kłopoty.

-Najlepiej byłoby po prostu szybko i gładko dokonać transakcji, a potem grzecznie odejść - stwierdził. Po chwili dodał:

-Problem w tym, że... nie jestem w stanie tak tego zrobić. Ja muszę załatwić tę kobietę.

-Ona nie będzie sama, pamiętaj o tym! Ma za sobą małą armię - przestrzegła go Kate.

-Wychodzi na to, że ich też trzeba będzie sprzątnąć - oświadczył butnie Malloy.

-Chernoff straciła dzisiaj dwoje ludzi - wtrącił się Ethan. - W dodatku skleca całą tę akcję naprędce. To prawda, że może mieć jeszcze kogoś w odwodzie... Myślę, że jakieś trzy osoby. To żadna armia.

-Musimy uratować Jima. To najważniejsze! - odezwał się Josh. Widać było, że się już bardzo niecierpliwi.

-Skupcie się. Walet i Dama wysiądą jakieś półtora kilometra od miejsca spotkania, a ty pojedziesz ze mną - zwrócił się Malloy do agenta. - Kiedy już dokonamy wymiany, ci dwoje wezmą Chernoff na celownik.

-Zabijając, Chernoff stracimy Farrella - powiedziała Kate.

-Farrell już się nie liczy. Po zlikwidowaniu Chernoff naszym priorytetem będzie odzyskanie Ohlendorfa. Sądzę, że powie nam wszystko, czego chcemy się dowiedzieć.

Trzeba było skompletować strój i sprzęt dla Josha. Znalazły się gogle noktowizyjne, Ethan oddał mu swoje trzy granaty oraz zapasową amunicję z kałasznikowa. Wszyscy się ubrali i załadowali broń.

Następnie Malloy oswobodził Ohlendorfa. Narzucił na niego płaszcz i skulił kajdankami. Prawnik nadal miał na głowie kaptur. Podwórze było niemal ciemne, oświetlone tylko przez nieliczne palące się światła w budynku naprzeciwko. Poza tym w tej okolicy człowiek z kapturem na głowie i kajdankami na rękach był powszednim widokiem.

Malloy, Kate i Ethan założyli zestawy słuchawkowe, ale na razie ich nie włączyli. Musieli oszczędzać baterie.

- Wszyscy gotowi? - zapytał Malloy. Po sprawdzeniu sprzętu wskazał na Josha. - Idź i upewnij się, że nikt nie przechodzi przez magazyn w barze Dale'a.

- Jak mam to zrobić? A jeśli ktoś będzie chciał przejść...

- Wtedy pokaż mu swoją odznakę i powiedz: *Raus!* Jeśli to nie zadziała, strzelaj. Kiedy wyjedziemy z parkingu, zamknij go za nami, bo być może będziemy musieli tu wrócić.

- Wręczył agentowi kluczyki i zwrócił się do Kate: - Ty stój na czatach. Pilnuj, żeby nikt nie wszedł do bramy, kiedy będziemy prowadzić Ohlendorfa do wozu. - Przyszła kolej na instrukcje dla Ethana: - Usiądziesz z Kate na tylnym siedzeniu. Musicie przytrzymać Ohlendorfa, tak żeby nikt go nie zobaczył.

Josh wyszedł na schody. Kate i Ethan ruszyli za nim, a Malloy na końcu, prowadząc Ohlendorfa. Na zewnątrz szybko podbiegli do auta. Kate stała już po drugiej stronie toyoty, obserwując przejście w bramie. Ethan przytrzymał tylne drzwi samochodu dla Malloya i Ohlendorfa. Sutter zgodnie z instrukcją wyszedł z tyłu budynku i stanął, czekając, aż Malloy wyjedzie, żeby móc zamknąć za nim parking.

Ohlendorf szedł krnąbrnie, niechętnie. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje i co się dzieje. Być może uznał, że robiąc scenę, zwróci na siebie uwagę jakiejś

postronnej osoby. Nagle upadł na chodnik. Po sekundzie Malloy poczuł, jak w jego ciało wbija się kilka pocisków. Zupełnie zniecacka, bez żadnego dźwięku...

- SNAJPER! - zawołał, padając na ziemię.

Kate stała akurat po drugiej stronie toyoty, kiedy usłyszała okrzyk Thomasa. Obok niej znajdowało się puste miejsce parkingowe Dale'a Perry'ego. Dalej była brama prowadząca na ulicę. Zobaczyła, jak kule trafiają w Malloya i Ohlendorfa. Ethan, zaskoczony tym nagłym atakiem, złapał się za lewe ramię, jakby został ukąszony. Po chwili padł na chodnik. Trafili go. Kate rzuciła się w stronę budynku. Nic jej nie osłaniało. Dostała trzy kule w plecy. Czwarta przeszła udo.

Karabin miała schowany za pazuchą, więc zamiast niego wyjęła swój pistolet. Usłyszała czyjeś kroki w przejściu w bramie. Strzeliła i usłyszała dźwięk pocisków odbijających się od pancerza. Napastnik skrzywił się nieco i zwolnił kroku. Drugi facet właśnie celował do niej ze strzelby, kiedy Kate posłała mu dwie kulki.

I trzecią, prosto w głowę. Przeturlała się, ale pierwszy napastnik znowu wziął ją na muszkę. Zanim jednak zdążył nacisnąć spust, Kate wystrzeliła serię prosto w jego krocze.

Ethan zobaczył, że ktoś biegnie prosto na niego przez podwórze. Karabin miał pod kurtką. Lewa ręka tak bardzo go bolała, że prawie stracił w niej czucie. Sięgnął do kabury po colta.

Usłyszał, że Kate również do kogoś strzela i spojrzał przed siebie. Napastnik zbliżał się nieubłaganie. Kiedy wypalił ze śrutówki, Ethan momentalnie się przeturlał, lecz poczuł, że oberwał w nogi. Szybko wystrzelił ze swojego pistoletu,

ale spudłował. Strzelił raz jeszcze. Trafił mężczyznę w tors, kula trafiła go w kamizelkę, ale nie posłała na ziemię. Napastnik przeładował strzelbę i podniósł ją do twarzy, kiedy Ethan wymierzył prosto w

jego głowę i nacisnął spust. Mężczyzna padł na ziemię, strzelając na oślep.

Chernoff strzeliła do Ohlendorfa i Malloya dwiema szybkimi seriami ze swojego M4 z tłumikiem. Obaj upadli. Puściła spust i przeniosła celownik na Brandów. Znowu nacisnęła spust. Resztę magazynku wystrzelała w agenta FBI. Załadowała ponownie broń i przestawiła karabin na pojedyncze strzały.

Wszyscy leżeli na ziemi. Ranni, skuleni albo martwi. Chernoff kazała swoim ludziom najpierw zająć się Brandami. Wbiegli, kiedy zmieniała magazynek. Ethan Brand kropnął jej człowieka trzema strzałami. Chernoff podniosła broń, by wykończyć Branda, ale nagle dostrzegła, że druga ekipa - ta, która miała sprzątnąć Kate - też już leży na ziemi. Wycelowała w kobietę, ale poczuła jak odłamek muru uderzają w twarz. Doznała szoku. Druga kula przeleciała tuż obok jej głowy, trafiając w wentylator.

Ethan Brand ją wypatrzył.

Cofnęła się, zanim ją trafił. Pobiegła dachem, stawiając ostrożnie stopy. Usłyszała głos Kate.

- Idę za nią! Osłaniaj mnie.

Chernoff wycelowała w Kate, ale nagle Ethan strzelił do niej z nowej pozycji. Kule świsnęły tuż przy jej głowie. Druga seria trafiła ją w kamizelkę. Upadła, turlając się i szukając osłony.

Malloy zdołał usiąść. Słyszał wystrzały i usiłował wyjąć swojego kaskownika. Kate upuściła opróżniony magazynek, załadowała nowy i zaczęła biec przez parking. Krzyknęła, by ją osłaniać.

Patrząc na nią, doszedł do wniosku, że musiała oberwać. Schowała się, podczas gdy jej mąż strzelał w kierunku dachu. Prawnik leżał martwy. Malloy podbiegł więc do auta i znalazł Josha Suttera leżącego na ziemi. Agent ciężko oddychał. Był przerażony. - Trafili mnie – wycharczał.

Kate wskoczyła na bagażnik sportowego samochodu stojącego w pobliżu ściany budynku, a potem odbiła się od jego dachu. Próbowała dosięgnąć ozdobnego elementu elewacji jakieś trzy metry nad ziemią. Złapała obiema rękami za jego krawędź, a stopami oparła się o gipsową ścianę. Mogłaby bez problemu wspiąć się po budynku, gdyby nie rana. Piekła jak diabli. Ból odbierał jej siły. Chwyła palcami krawędź pierwszej płyty i podciągnęła się.

Dopały ją mdłości, lecz z drugiej strony była nabuzowana czystą furją. Sięgnęła wyżej, łapiąc za spoinę pomiędzy dwiema wielkimi płytami. Zdrową nogę podniosła tak wysoko, że stanęła na następnej spoinie i złapała się kolejnej płyty. Szybko się podciągnęła. Chernoff nie będzie czekać, aż przyjedzie policja i ją zgarnie. Kate miała zamiar tym razem naprawdę ją dopaść. Tuż pod dachem, sięgnęła ręką i złapała się rynny. Tego typu rzeczy zazwyczaj były mało stabilne. Rynna mogła się złamać albo zgiąć. Kate nie miała jednak wyboru. Musiała albo spróbować szczęścia, albo stchórzyć i się wycofać. Uczepiła się rękami. O dziwo, rura nie ugięła się pod jej ciężarem. Solidna niemiecka robota. Widocznie Niemcy nawet w dzielnicy uciech przeprowadzali regularne prace konserwacyjne. Sama się zdziwiła, że takie myśli przyszły jej do głowy dwadzieścia metrów nad ziemią.

Wyjęła wojskowy nóż przyczepiony do buta i wsadziła go sobie między zęby. Uniosła brodę ponad krawędź rynny. Teraz trzymała się już tylko jedną ręką. W drugą wzięła nóż, wbiła go z całych sił w dach, w solidny kawałek sklejki.

Nagle usłyszała w oddali syreny policyjne. Radiowozy zjeżdżały się z różnych stron miasta. Podciągnęła się i po chwili leżała płasko na dachu. Założyła noktowizor i wyjęła swoją czterdziestkępiątkę. Chernoff jednak, jak można się było spodziewać, zdążyła się już ulotnić.

- T.K.? Jesteś tam? - odezwał się Ethan.

- Josh dostał.

- Trzyma się?

- Jest przytomny.

Ethan odwrócił się i ujrzał Malloya klęczącego przy agencie.

- Kula przebiła moją kamizelkę! - powiedział Sutter łamiącym się głosem. Był przerażony.

- Zdarza się - odparł Malloy. - Miejmy nadzieję, że pocisk nie wszedł głęboko w ciało. Możesz chodzić?

- Nie wiem.

Thomas pomógł mu wstać. Pierwszy wóz policyjny wjechał w bramę po drugiej stronie podwórza. Syreny przeszywały nocną ciszę i rozświetlały mrok.

- Do środka! - zawołał Malloy. Dobiegli do tylnych drzwi klubu Dale'a, kiedy drugi radiowóz właśnie wjeżdżał na parking.

- Słyszysz mnie? - rzucił Ethan do słuchawki, wołając Kate. Głucha cisza. Nie widzieli jej.

Malloy wskazał drogę do magazynu.

- Biegniemy przez bar - rozkazał.

Josh uwiesił się na Malloyu. Na szczęście mógł poruszać nogami. Ethan schował pistolet, kiedy mijali wychudzoną tancerkę. Dwie osoby siedziały na widowni. Trzecia przy barze. Wszyscy gapili się na Malloya i słaniającego się na

nogach Josha. Ale nikt się nie odezwał, nikt nie wyjął telefonu komórkowego. Kiedy wyszli na zewnątrz drugą stroną, Ethan kątem oka ujrzał, jak kolejny wóz policyjny skręca w podwórze, zagradzając przejście przez bramę.

- Słyszysz mnie? - rzucił ponownie do słuchawki. i znowu odpowiedziała mu głucha cisza.

Wyprzedził Josha i Malloya, wbiegł na ulicę w kierunku bmw, które zatrzymało się, żeby przepuścić radiowóz.

- *HALT!* Stać! - krzyknął Ethan, wyciągnął broń i przez przednią szybę samochodu skierował lufę prosto w głowę kierowcy. Mężczyzna podniósł ręce.

Ethan podszedł do drzwi.

- Wyłaź! - rozkazał nieszczęśnikowi.

Malloy i Josh wskoczyli na tylne siedzenie. Ethan usiadł za kółkiem. Ktoś na chodniku zaczął krzyczeć. Z bramy wyjechał wóz policyjny na wstecznym biegu.

Ethan wjechał prosto w tył radiowozu. Bmw otarło się o jakiś zaparkowany samochód, ale nie wpadło w poślizg. Brand dodał gazu.

- Nikt nas jeszcze nie goni - powiedział Malloy dziwnie spokojnym tonem.

Ethan wziął kilka ostrych zakrętów, prując do przodu.

- Nieźle! - pochwalił go Thomas.

Zdaniem męża Kate wcale nie było aż tak nieźle. Mieli po prostu dziesięciosekundową przewagę nad policją. Wyhamował, skręcił z piskiem opon w boczną uliczkę. Nadal nie było widać glin. Nieopodał ujrzał to, czego szukał. Dwudziestoletni mercedes, stary, ale zadbane. Starsze modele tej marki mają w sobie więcej stali niż plastiku. innymi słowy, są bardziej opancerzone.

Wyskoczył z bmw, przestrzelił szybę mercedesa od strony kierowcy, wsiadł i zaczął majstrować nożem pod kierownicą.

Zanim Malloy i Josh wpakowali się na tylne siedzenie i zamknęli drzwi, Ethan zdążył już uruchomić silnik. Ruszył z kopyta.

- Nadal nie widać glin - powiedział Malloy, a w jego głosie pobrzmiwała radość. Już prawie udało im się uciec.

Ethan skręcił w prawo i nagle zobaczył przed sobą wóz policyjny jadący bez sygnału. Grzecznie zjechał na pobocze i przepuścił gliny. Po chwili z całej siły docisnął pedał gazu.

Trzy, cztery, pięć sekund.

- Droga wolna! - zawołał Malloy.

Ethan znowu skręcił i zmniejszył prędkość do obowiązujących przepisów.

- Nadal nic?

- Nie mamy ogona! - potwierdził Thomas.

Brand próbował ustalić ich położenie. Ciągłe znajdowali się w dzielnicy St. Pauli. Chwilowo byli sami na ulicy. Niedobrze. Muszą wmieszać się w ruch uliczny. W przeciwnym razie lada moment zatrzyma ich jakiś radiowóz.

- Musimy zawieźć Josha do szpitala - stwierdził Malloy.

- Nie! - zaprotestował Sutter. W jego głosie słychać było strach.

- Wydaje mi się, że to może być coś poważnego.

- To bez znaczenia! Jeśli pojedziemy do szpitala, wyląduję w pudle.

- Przynajmniej wyjdiesz z tego żywy - zauważył Ethan. Zorientował się, na jakiej jest ulicy. Znowu skręcił. Nadal jechał wolno, nie przekraczając dozwolonej prędkości.

W tym momencie zaczął wierzyć, że może faktycznie udało im się uciec.

- Błagam was! Nie zabierajcie mnie do szpitala! - jęczał Sutter.

- Nie rozumiesz? Możesz się wykrwawić na śmierć! - ostrzegł go Malloy.

- Mam to gdzieś! Nie chcę wylądować w pace... nie tu! Nawet nie mówi ę po niemiecku!

Kate znalazła drzwi prowadzące na dach. Były zamknięte. Przestrzeliła zamek. Weszła na schody, obiema rękoma trzymając pistolet. Pod kurtką nadal miała kałasznikowa. Przesuwała się wzdłuż ściany, schodząc bardzo ostrożnie. Jej postrzelona noga pulsowała niehumanym bólem. Kate czuła, że traci dużo krwi.

Zatrzymała się u stóp schodów. Zdjęła kurtkę, karabin, kamizelkę i bluzkę. Opuściła spodnie, by spojrzeć na ranę. Kula przestrzeliła ciało na wylot. Jej noga drżała w niekontrolowany sposób i obficie broczyła krwią. Kate, używając noża, wycięła długie pasma materiału z bluzki i zaczęła nimi opatrywać ranę. Materiał natychmiast zabarwił się na czerwono. Nałożyła drugą warstwę. Po chwili prowizoryczny bandaż ponownie nasiąkł krwią. Kate poczuła mdłości. Musi przestać się ruszać, w przeciwnym razie straci zbyt wiele krwi. Musi znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę. Problem w tym, że jeśli przestanie się ruszać, zaraz dopadnie ją policja.

Weź się w garść albo pożegnaj z życiem, upomniała się w myślach, przypominając sobie sytuację ze zbocza góry Eiger.

Z powrotem włożyła kamizelkę kuloodporną oraz ochraniacze, przyczepiła sobie kałasznikowa i narzuciła kurtkę. Noktowizor schowała do kieszeni. Otworzyła drzwi u podnóża schodów. W rękach trzymała pistolet.

Weszła na klatkę schodową. To wyglądało na hotel typu „szybki numerek”. Nagle jakiś facet zaczął biec w jej kierunku. Ochroniarz. Miał na wierzchu splotkę, ale nie celował nią w Kate. Za to ona wycelowała w niego. Zatrzymał się

natychmiast. Wyglądał, jakby zamierzał stanąć do pojedynku. Za późno. Zorientował się że nie ma już szans. Upuścił broń.

- Masz telefon? - zapytała.

Mężczyzna powoli włożył rękę do kieszeni koszuli i wyjął komórkę.

- Cofnij się - rozkazała mu.

Wykonał jej polecenie. Nadal celując w ochroniarza, Kate wzięła jego pistolet, a telefon zmiażdżyła butem. Szybko pobiegła korytarzem i znowu dotarła do schodów. Z boku znajdowały się drzwi. Szarpnęła za klamkę - zamknięte. Strzeliła w zamek i wydostała się na zewnątrz, na tyły księgarni dla dorosłych. Na ziemi znalazła karabin i kamizelkę Chernoff. Poszukała wzrokiem, ale jej samej nigdzie nie było.

Po księgarni kręciło się tylko kilku fanów pornografii. Niektórzy zaczęli się na nią gapić. A raczej na jej pistolet. Na szczęście w tej dzielnicy takie widoki były na porządku dziennym. Po wyjściu ze sklepu Kate wyjęła pistolet ochroniarza i wrzuciła go do kosza. Wyszła na chodnik, mocno kulejąc.

Rozejrzała się dokoła.

Helena Chernoff znowu jej uciekła.

- Ruszaj ! - wrzasnęła Chernoff, wskakując do wozu prowadzonego przez Carlisle'a.

Docisnął pedał gazu, ale zaraz musiał wyhamować. Ruch uliczny był tu całkiem gęsty. Nie mógł skręcić, musiał czekać. Spojrzał w tylne lusterko i ujrzał jakąś kulejącą kobietę. Zauważył, że Chernoff patrzy na nią z zainteresowaniem.

- Jakieś komplikacje? - zapytał.

Chernoff oglądała się to tyłu, dopóki ich wóz nie skręcił za rogiem i kobieta nie zniknęła z jej pola widzenia.

- Kate Brand uciekła - powiedziała.

- Jakim cudem?

- Wspięła się na dach budynku!

Carlisle najpierw cisnął przekleństwem, a potem zaniósł się śmiechem.

- Z czego rżysz? Ona i jej mężulek prawie mnie zabili!

- A co z resztą?

- Kiedy się ulatniałam, wszyscy leżeli na ziemi - odparła. - Łącznie z moją ekipą. Jeśli cudem przeżyli, to zostali już aresztowani.

- A Malloy?

- Trafiłam go, ale miał na sobie kamizelkę.

- Trzeba go wyeliminować. Nie masz jakiegoś znajomego w policji, który mógłby go zlikwidować?

- Znam detektywa w jednym z oddziałów wywiadu, ale on nie będzie chciał mieć na sumieniu morderstwa.

- Pieniądze mają to do siebie, że ludzie na ich widok zmieniają zdanie... - rzucił Carlisle sentencjonalnie.

Chernoff spojrzała na niego, a potem znowu zaczęła wpatrywać się prosto przed siebie w szosę.

- Zobaczę, co da się zrobić - powiedziała niechętnie. Po chwili dodała: - A co z Brandami? Jak się z nimi uporasz?

- Zajmę się nimi, kiedy wrócę z Nowego Jorku - odparł.

Ethan skręcił w kolejną szeroką, dobrze oświetloną ulicę. Dopiero po chwili zauważył, że samochody stoją tu w miejscu.

- Blokada! - zawołał Malloy.

Ethan nagle ujrzał przed sobą gliny. Odwrócił głowę. Trzymał kierownicę tylko jedną ręką. Zaczął cofać z piskiem opon. Stracił kontrolę nad autem i ostro porysował karoserie stojących w korku wozów. Malloy zobaczył, jak gliny wskakują do swoich samochodów. Zanim jednak ruszyli, Ethan zdążył już się oddalić o dwie przecznice.

- Mamy jeszcze szansę! - dopingował go Malloy.

Ethan wziął ostry zakręt w prawo, a potem w lewo. Pruli na północ przez boczne uliczki, ale było już bardzo późno, a ruch uliczny zbyt słaby, by zapewnić im odpowiednią osłonę. Ethan skręcał na oślep. Wyglądało na to, że udało mu się zgubić dwa radiowozy, które się ich uczepiły.

- Jesteś ranny w rękę? - zapytał Malloy.

- Postrzelili mnie w nadgarstek.

- Poważna kontuzja?

- Kości w proszku.

Ponownie skręcił przy następnej przecznicy. Nadal słyszeli policyjne syreny, i to nawet więcej niż wcześniej, ale w polu widzenia nie było żadnych radiowozów. Ethan przytrzymał kierownicę kolanami i wyjął z kieszeni komórkę. Rzucił ją na siedzenie obok.

- Dzwoni Dama. Odbierz - poprosił Malloya.

- Tu mówi T.K.

- Gdzie Walet? - zapytała Kate.

- Jest w tej chwili zajęty. Prowadzi auto.

- Macie problemy?
- Według moich obliczeń, za minutę lub dwie dopadną nas gliny.
- Gdzie dokładnie jesteście?

Trudno powiedzieć. Pewnie gdzieś na zachód od Aussenalster. Malloy spojrzął w lusterko wsteczne i ujrzał jadący za nimi w oddali radiowóz. Chciał powiedzieć o tym Ethanowi, ale ten zdążył już zauważyć.

- Jeśli jesteście przy jeziorze, to w pobliżu macie amerykański konsulatu.
- Nie wmieszam ich w taką aferę - odparł Malloy.
- Nie masz wyjścia! - zaprotestowała Kate.
- I tak nie udałoby się nam nawet wjechać na teren konsulatu.
- A co z ludźmi, którzy mieli ci pomóc?
- Dotrą tu dopiero za dwie lub trzy godziny.
- Wystarczy. Jedźcie do Stadtpark i schrońcie się tam. Możesz to dla mnie zrobić?

- Gliny za nami pojadą.
- A od czego macie broń?
- Nie mam zamiaru strzelać do oficerów policji - oświadczył Malloy.
- Nie każę ci ich zabijać. Po prostu ich odstraszcie - wytłumaczyła.
- A co potem?
- Potem módlcie się, żebym was wyciągnęła z tego bagna. - Rozłączyła się.
- Jedziemy do parku - powiedział Malloy, oddając Ethanowi telefon.
- Żeby się tam dostać, musimy przejechać przez most - zauważył mąż Kate.
- Chyba nie zrobili blokady na każdym moście?
- Jesteś tego pewien?
- Nagle ujrzeli przed sobą wóz policyjny. Zatrzymał się w poprzek jezdni.

Dwa radiowozy nadal siedziały im na ogonie. Byli w potrzasku.

-Trzymajcie się mocno! - zawołał Ethan.

-Wdepnął hamulec i szarpnął kierownicą w lewo. Auto wpadło w kontrolowany poślizg. Z impetem uderzyło bokiem - od strony pasażera - w bok wozu policyjnego, powodując przeraźliwy hałas. Siła uderzenia cisnęła Malloyem o drzwi. Zobaczył, że niemieckich policjantów, będących teraz na wyciągnięcie ręki, też zarzuciło z niebywałą mocą. Wyglądali jak manekiny do testów wypadkowych.

Josh krzyknął. Posypało się szkło. Teraz już oba auta wpadły w poślizg i zaczęły wirować jak na lodzie. Ethan próbował zapanować nad kierownicą. Mercedes piruetem przejechał przez skrzyżowanie, stanął w miejscu, a potem wyrwał do przodu.

-Wszyscy żyją? - zapytał Ethan.

Malloy odwrócił się i zobaczył, że dwa wozy policyjne, które mieli na ogonie, wpadły na radiowóz, z którym się zderzyli. Następnie spojrzał na Josha, który leżał na siedzeniu z wytrzeszczonymi oczami.

-Ominął mnie niezły show, co? - wychrypiał.

-Żyjemy! - odpowiedział Malloy na pytanie Ethana. - Kiedy dojedziemy do parku, musimy się schronić i nie dać schwytać policji. Nawet jeśli trzeba będzie trochę sobie postrzelać. Tak każe Dama. Będzie z tym jakiś problem?

-Pewnie nie mały, ale to nasza ostatnia deska ratunku... Josh, posłuchaj mnie. Nie chcę się zbytnio rządzić, ale uważam, że powinieneś zostać w aucie. Niech gliny cię zwiną i zabiorą do szpitala.

W oczach agenta pojawiła się wściekłość. Pokręcił głową na znak protestu.

-Josh idzie z nami - zdecydował Malloy.

- Chciałem tylko... - zaczął tłumaczyć Ethan.

- Koniec dyskusji. Będzie z nami tak długo, jak długo wystarczy mu sił.

- OK. Ale kiedy się zatrzymamy, Josh musi samodzielnie wysiąść z wozu i iść o własnych siłach. W przeciwnym wypadku zostaje.

- Dam sobie radę! - wycedził przez zęby agent. Malloy patrzył przez okno. Chyba już zbliżają się do parku.

Obejrzał się do tyłu. W oddali jechał wóz policyjny, ale już ich nie ścigał, jedynie śledził. To znaczyło, że policja zablokowała wszystkie ulice w okoli-

Przejechali przez jezioro jednym z tuzina mostów. Ethan wyłączył światła i prowadził z noktowizorem na oczach. Malloy na podstawie syren wyliczył, że musi ich ścigać od sześciu do ośmiu radiowozów, w tym dwa na równoległym moście. Ethan umknął przed jadącą z naprzeciwka policyjną furgonetką i przebił się przez ozdobne ogrodzenie przy wejściu do parku. Jechał szeroką spacerową alejką, wijącą pomiędzy drzewami, aż dotarł do dużego trawnika. Łączka kończyła się szpalerem drzew.

- Panowie, oto nasze Alamo! - obwieścił.

Zjechał z alejki i pruł prosto przez trawę. Kiedy dotarli już prawie do drzew, nagle wyhamował, aż nimi zarzuciło. Wielki mercedes stanowił niezłą osłonę, kiedy cała trójka wyskoczyła z wozu od strony kierowcy. Ethan złapał Josha i pomógł mu usiąść na ziemi. Malloy schował się za przednim kołem i na komendę Ethana wystrzelił pełny magazynek.

Strzały przyniosły natychmiastowy efekt.

Wozy policyjne wyhamowały, ustawiając się bokiem w równym rzędzie jakieś osiemdziesiąt metrów od linii drzew. Malloy wetknął rezerwowy magazynek do

swojego kałasznikowa. Usłyszał wystrzały, ale policjanci byli za daleko, żeby ich pistolety mogły dosięgnąć uciekinierów.

Kiedy usiadł obok Ethana i Josha, zobaczył nadjeżdżające kolejne wozy policyjne. Pewnie planują otoczyć cały park i odciąć wszelkie drogi ucieczki. Malloy podejrzewał, że policjanci zostaną na swoich pozycjach i poczekają na ekipę

SWAT.

- Nie ruszajcie się stąd - wyszeptał Ethan. - Muszę się trochę rozejrzeć. Wrócę za kwadrans.

Ethan ruszył przed siebie sprintem. Malloy przez chwilę pomyślał, że jego przyjaciel już nie wróci. Po co miałby wracać? Jeśli był w stanie tak szybko biec, to równie dobrze mógłby uciec, zanim policja otoczy cały park. Spojrzał na Josha. Czy mu się to podoba czy nie, agent Sutter wyląduje w więzieniu. Razem z nim. Obaj pójdą siedzieć. To pewne.

- Trzymasz się?

- Czuję się, jakby najpierw ktoś mnie walnął młotem w klatkę piersiową, a potem wrzucił do betoniarki. To drugie dzięki naszemu mistrzowi kierownicy.

- Nigdy wcześniej nie oberwałeś? - zapytał Malloy.

- Nigdy. A ty?

- Dostałem kilka kulek w klatkę piersiową na początku kariery - odparł.

- Brzmi bombowo.

- To była dla mnie nauczka - wyjaśnił Malloy.

- Naprawdę? Czego się nauczyłeś?

- Że jedyną rzeczą gorszą niż ból jest brak bólu. Brak bólu oznacza, że jest już po tobie.

- W takim razie chyba będę żył wiecznie!

- Trzymaj się tej myśli.

Siedzieli w milczeniu, słuchając wycia syren policyjnych, nadciągających ze wszystkich stron. Istna symfonia. Josh oddychał ciężko, jakby się śmiał.

- Chłopak się ulotnił, co?

Malloy spojrzał na łąkę. Poczł pewnego rodzaju ulgę. Koniec z tajemnicami.

- Tak. Jeśli ma mózg, to na pewno się ulotnił. Nie wróci.

- Powinienem być zostać w aucie. To znaczy, beze mnie miałbyś szansę. Ze mną nie masz żadnej. Jestem jak kula u nogi. Myślałem tylko o sobie. O tym, że...

- Jeszcze nas nie dopadli, Josh.

- Już dopadli, T.K. Już dopadli... to tylko kwestia czasu. - Malloy nic nie odpowiedział. Po chwili Sutter zapytał: - Jesteś żonaty?

- Tak. - Nagła myśl o Gwen sprawiła, że poczuł pieczenie w oczach. Jak ona to zniesie? Trzy, pięć lat odsiadki...

- A dzieci? - zapytał agent.

- Mam dorosłą córkę, z którą nie najlepiej się dogaduję.

- Przykro mi.

- Mnie też... - odparł ze smutkiem w głosie.

- Ja mam trzy córki i żonę. Są dla mnie całym światem - powiedział Sutter ze ściśniętym gardłem.

Malloy westchnął.

- Posłuchaj, Josh. To, co mówił Walet, to chyba nie do końca prawda. Niemcy wcale nie oskarżają nas o zabójstwo.

To znaczy pewnie to zrobią w trakcie przesłuchań, żeby cię złamać. Będą chcieli wydusić z ciebie wszystko, co wiesz o mnie i o Dale'u. Proszę cię, żebyś

udawał idiotę. Dopóki nie dostaniesz prawnika. Prawnika z ambasady Stanów Zjednoczonych w Berlinie. Kiedy już będziesz mógł negocjować warunki, powiedz im wszystko, co wiesz. Niczego nie zatajaj. Jak do tej pory nawet nie drasnęliśmy żadnego gliny, a ty nie byłeś bezpośrednio zamieszany w porwanie tamtego Niemca. Ja powiem im to samo. Nasze zeznania będą identyczne. Dostaniemy od trzech do pięciu lat odsiadki.

Josh Sutter trawił to, co przed chwilą usłyszał. Obaj zaczęli wreszcie akceptować nieunikniony scenariusz. Oddać się w ręce policji... - Trzy lata to kawał czasu, T.K. - Wolałbyś dwadzieścia? - W ciągu trzech lat można stracić rodzinę. Bliscy mogą się od ciebie odwrócić. Wiem też, że natychmiast wyleją mnie z roboty, kiedy tylko się dowiedzą, w czym maczałem palce. - W takim razie zaczniesz wszystko od nowa, kiedy już wyjdiesz na wolność. Znowu złapiesz kontakt z dzieciakami. Pogodzisz się z byłą żoną. Znajdziesz jakąś pracę. Dasz sobie radę. Trzy lata w więzieniu to nie koniec świata. - Jim jeszcze żyje? Jak uważasz? - Nie mam pojęcia, Josh. - Może wsadziliby mnie i Jima do jednej celi. Tak byłoby najlepiej. Miałbym z kim pogadać. To nawet śmieszne, co? Dwóch agentów FBI w jednej celi.

Po osiemnastu minutach Ethan wrócił. Podbiegł do nich, z trudem łapiąc oddech. - Idziemy, chłopaki! - zawołał i dźwignął Josha. - Dokąd idziemy? - zapytał Malloy. - Znalazłem kryjówkę. Dla was dwóch. Będziecie tam bezpieczni. Przynajmniej przez noc. - Jaki masz plan? - Powiem wam, gdy tam dojdziemy. Aby dojść do kryjówki, musieli oddalić się od drzew i przejść przez drugą, mniejszą łączkę. Potem szli alejką parkową, aż dotarli do rozłożystego krzaka. Ethan natarł Malloyowi i Joshowi twarz błotem, tak samo jak sobie, a potem pomógł im przedrzeć się przez gąszcz grubych niskich gałęzi.

Kazał im usiąść i pozgarniał liście wokół nich. Będą tu bezpieczni przez kilka godzin, przynajmniej do świtu. Chyba że napatoczy się jakiś patrol policyjny...

- Kate chce, aby twoi ludzie z Berlina spotkali się z nami na wschód od trasy E22, czyli przy autostradzie na północ od Hoisburga. Możesz im to przekazać?

- Jasne. A gdzie jest Hoisburg? - zapytał Malloy.

- Wychodzi na to, że na totalnym pustkowiu. Powinniśmy tam dotrzeć mniej więcej o wschodzie słońca. Jeśli będziemy mocno spóźnieni, to znaczy, że ucieczka się nam nie udała i mają na nas nie czekać.

- Jak się tam dostaniemy?

- Najważniejsze, żeby oni tam byli. Kate zajmie się całą resztą - odparł Ethan.

Malloy zadzwonił do Jane. Czekając, aż odbierze telefon, zerknął na zegarek. W Hamburgu było teraz wpół do czwartej w nocy. W Langley - wpół do dziesiątej wieczorem.

- Halo? Odezwała się Jane.

- Gdzie jest ekipa z Berlina?

- Są w drodze. Dlaczego pytasz?

Malloy podyktował jej dokładne instrukcje, które przekazał mu Ethan.

- Będziemy mieli rannych - dodał.

- Co się stało?

- Zasadzka.

- Załatwię śmigłowiec medyczny.

- Dobra, ale niech trzyma się z dala od miejsca spotkania. Niemcy nie mogą nic podejrzewać.

- Ściga was policja? - zapytała szefowa.

- Tak... w hurtowych ilościach.

- Świetnie.

- Na kilka godzin wyłączam komórkę, Jane. Zadzwoń, gdy będę mógł.

- Jaki jest stan rannych?

- Większości wystarczy pomoc ambulatoryjna, ale jedna osoba ma ranę w klatce piersiowej. Nie jest głęboka, może jednak być groźna, jeśli ktoś się nią nie zajmie.

- Jeżeli będziesz mnie potrzebował, dzwoń.

Malloy rozłączył się i spojrzał na Ethana.

- Ekipa będzie na nas czekać.

Brand wziął noktowizor Suttera.

- Do piątej trzydzieści miej wyłączony zestaw słuchawkowy - powiedział Malloyowi. - Musisz oszczędzać baterie.

Ussat-les-Bains, Francja, jesień 1932

Ich romans trwał trzy tygodnie. W ciągu tego czasu Rahnowi wydawało się, że nie rozstają się ani na moment. Oczywiście to byłoby nierealne, ale takie miał wrażenie, ponieważ myślami bez przerwy był przy niej. Nic nie miało znaczenia. Tylko ona. Nigdy nie rozmawiali o przyszłości. Żyli albo idealną chwilą obecną, albo dawno, dawno temu, w czasach katarów. Tak jak w listach pisanych zimą, nigdy nie wspominali Bachmana. Spędzali długie godziny na wzajemnej adoracji, która zawsze miała w sobie nutę melancholii. Często jeździli w góry. Brodzili po

chłodnych strumykach. Zwiedzali jaskinie regionu Sabarthes, trzymając się za rękę. Gdziekolwiek poszli, wszędzie znajdowali jakieś ustronne, ciche miejsce, które stawało się ich miejscem. Często się całowali i kochali. W nocy Otto spał z Elizą. Przychodził do jej łóżka późno w nocy, wstawał przed świtem. Wszystko po to, by uniknąć plotek wśród hotelowych gości. Kilka godzin później spotykali się przy śniadaniu. Pijąc kawę i jedząc kanapki, planowali kolejne wycieczki.

Cieszyli się każdą chwilą. Dopiero teraz czuli, że naprawdę żyją. Dopiero teraz doceniali smak potraw. Doznawali głębokich emocji, po prostu patrząc na siebie. Czuli się jak młoda para. Byli kochankami. Przeżywali coś, co do tej pory pozostawało tylko i wyłącznie w sferze fantazji. Jeszcze niedawno to wszystko było nierealne.

Teraz też było nierealne - nierealnie cudowne...

Żałowali tylko jednej rzeczy. Tego, że już wcześniej nie ulegli pokusie. Czasami, milcząc, próbowali nawzajem odgadnąć swoje myśli. Jednak nawet jeśli bywały one ponure i pełne obaw o przyszłość i nieuchronną rozłąkę, żadne z nich nie wypowiedziało ich na głos.

- O czym myślisz? - pytała.

- O tym, jaki jestem szczęśliwy. Teraz. Tutaj - odpowiadał

- Czy to się dzieje naprawdę?

- A czy ty naprawdę jesteś ze mną szczęśliwa?

Na te pytania można było odpowiedzieć tylko pocałunkiem. Tylko kochankowie mogą być aż tak ślepi i nie dostrzegać tego, co nieuniknione.

W końcu Bachman wrócił z Berchtesgaden. Wylądował w Carcassonne, a następnie wynajął szofera, aby zawiózł go do Ussat-les-Bains. Podróż trwała cały

dzień. Dotarł do Des Marronniers dopiero po zmroku. Wszedł bezszelestnie jak złodziej do hotelowego holu i ujrzał ich razem. Siedzieli przy barze, patrząc na siebie w milczeniu. Nie musiał nawet pytać o nic barmana, którego opłacał, by obserwował Elizę. Prawda była oczywista. Rahn na jego widok oblał się rumieńcem, a Eliza uśmiechnęła się sztucznie.

Bachman zgromił wzrokiem młodego Niemca. To była jego wina! Otto siedział nieruchomo przy Elizie, z czego wywnioskował, że to musi trwać od długiego czasu. Pewnie od momentu, kiedy wyjechał. Czekali jedynie na sprzyjające okoliczności i gdy tylko opuścił hotel, zrobili z niego rogakca!

Pomyślał, że powinien zabić ich oboje. Gdyby w tej chwili miał przy sobie broń, prawdopodobnie by to zrobił. Zamiast tego odwrócił się na pięcie i poszedł na górę do swojego pokoju. Po drodze opanował się. Ujarzmił swoją wściekłość i upokorzenie, był w tym dobry. Poskromił swoje pragnienie. On, nie oni! Co za ironia losu. Aż się uśmiechnął, kwaśno i z wyższością. Poczuł, jak na usta wypływa mu uśmiech - zimny, okrutny i pełen gorzkiej ironii. Tego się właśnie po nich spodziewał! Całe to gadanie o czystości to jedna wielka bzdura! Dlaczego miałby więc być rozczarowany ich zachowaniem? Od samego początku wiedział, że tak będzie. Czekali tylko na okazję. Czy można mówić o zdradzie, skoro nigdy nie było mowy o zaufaniu?

Eliza wstała bez słowa od stolika i poszła za mężem do pokoju. Następnego ranka ich bagaże były już spakowane. Opuścili hotel bez wyjaśnień. Rahn obserwował ich ze swojego małego, dusznego gabinetu. Chciał zobaczyć, jak zachowa się Eliza. Nie wyglądało na to, by Bachman zmuszał ją do wyjazdu. Raczej zdecydowała się na to z własnej woli. I nawet się nie obejrzała. Nie spojrziała tęsknie na Des Marronniers ani na wioskę Ussat-les-Bains. A jeszcze

tydzień temu zarzekała się, że kocha to miejsce, ponieważ należy tylko do nich. Teraz stała sztywno przed hotelem i czekała, aż mąż otworzy jej drzwi samochodu. Usiadła w mercedesie i wbiła wzrok w swoje kolana. Samochód odjechał, wzbijając tumany kurzu. Po czym zniknął na horyzoncie. Dni po wyjeździe Elizy były nieludzko bolesne. Modlił się o odwagę, by móc popełnić samobójstwo. Kiedy po jakimś czasie próbował przypomnieć sobie te pierwsze chwile bez niej, w głowie miał kompletną pustkę. Tak jakby wtedy w ogóle nie żył.

Po dwóch tygodniach uznał, że na pewno dotarła już z powrotem do Berlina i poczuł, że powinien napisać do niej list z wyjaśnieniami. Jedyne, co mu się udało, to postawić datę na czystej kartce papieru - i ani słowa więcej. Nie mieli przed sobą przyszłości.

Eliza podjęła decyzję. Poza tym co mógł do niej napisać? Czy istnieją słowa, które są w stanie zmienić przeszłość?

Francja, Jesień, 1933

Pod koniec sezonu, zaledwie kilka tygodni po wyjeździe Bachmanów, Rahn zamknął hotel i wrócił do Niemiec. Zostawił za sobą nieopłacone rachunki i długi. Nic go to nie obchodziło. I tak nigdy tam nie wróci.

Nadal mógł podjąć pracę jako nauczyciel języków obcych, ale było to mało perspektywiczne zajęcie. Zresztą miał dość pracy. Chciał... nie wiedział, czego chce. Wrócił więc po prostu do domu. Rodzice natychmiast zauważyli, że ich syn się zmienił. Byli zafrasowani, lecz milczeli i o nic nie pytali. Po kilku tygodniach ojciec Rahna nie mógł już dłużej tego wytrzymać. Wybuchnął.

- Otto! Masz prawie trzydzieści lat. Co zamierzasz zrobić ze swoim życiem? Jeszcze rok temu odpowiedzi same cisnęłyby mu się na usta. Miał tyle marzeń, tyle planów, tyle ambicji... Wszystko się zmieniło.

- Nie wiem - bąknął.

- Obiecuj mi, że nie zmarnujesz sobie życia, szukając jakichś niedorzecznych skarbów! - prosił ojciec.

- Skończyłem z tym.

- Mam nadzieję! W prawdziwym świecie, synu, mężczyzna musi dorobić się majątku ciężką pracą, a nie wykopać go spod ziemi!

- Wiem - odparł. I mówił prawdę. Przynajmniej taki wniosek mógł wyciągnąć z dotychczasowego życia.

Pewnego ranka kilka dni później usiadł i zaczął pisać. Nie wiedział, co go do tego popchnęło. Na pewno nie uwagi ojca. Dopiero jakiś czas później Otto zrozumiał, że uczucie pustki i straty wywołało w nim pragnienie upamiętnienia skazanego na zagładę świata.

Zaczął od opisu nieba, które pewnego dnia ujrzał na południu Francji. Taki odcień błękitu można zaobserwować tylko w Pirenejach. Słowa popłynęły po papierze.

Niekiedy pisał przez kilka godzin, bez wytchnienia, dopiero później grzebiąc w swoich notatkach i zebranych wcześniej materiałach. Nie pisał jak uczonec, którym był, tylko jak poeta. Rzecz jasna używał cytatów oraz informacji z wiarygodnych źródeł. Nie opisywał krainy fantazji, która nigdy nie istniała, ale też nie trzymał się kurczowo suchych faktów. Jego pisanie było przepełnione namiętnością. Jego styl był syntezą historii, poezji oraz ludowych gawęd. Książkę zatytułował *Krucjata przeciwko Graalowi*, mimo że w tekście ani razu nie wspomniał, czym

według niego był Graal. Nie zaprzętał sobie umysłu zakopanymi skarbami ani losem świętego kielicha. Te tematy pozostawiał innym pisarzom i akademikom. Zamiast tego odmalował portret ówczesnej arystokracji. Opisywał historie miłosne, polityczne intrygi, uwarunkowania ekonomiczne regionu oraz oświeconą kulturę katarów, która górowała nad ówczesną cywilizacją europejską. Pisał o wierze i miłości oraz o rycerzach tworzących poematy. Przedstawiał świat, w którym Żydzi byli wolni i szanowani, a gdy stawali się nauczycielami chrześcijańskich dzieci, nikt nie uważał tego za dziwne. Opowiadał o kobietach, będących kapłankami, oraz o romansach, które nigdy nie zostały skonsumowane. W swojej książce uwiecznił niezwykle krajobrazy, niezliczone jaskinie w paśmie Sabarthes oraz oczywiście wszystkie zamki, których ruiny znaczyły co krok teren południowej Francji. Opisał Włócznie Przeznaczenia, namalowaną na ścianie jaskini Lombrives, ale nie próbował wyjaśniać jej tajemnicy. Nie wspominał nawet o teorii, która łączyłaby Włócznie z miłością dworską oraz pragnieniem ducha, które reprezentowała. Pisząc, był jak malarz świata, który miał za chwilę zniknąć. I mimo że opisywał wydarzenia sprzed wielu stuleci, wydawało mu się, że pisze autobiografię.

Francja, lata 1934-35

Pomiędzy przelaniem na papier pierwszych magicznych słów a publikacją całej książki minął niespełna rok. Otto miał nadzieję, że *Krucjata* spotka się z zainteresowaniem i uznaniem ze strony krytyków. I tak też się stało. Uznano, że jego styl jest oryginalny, a wiedza na temat katarów góruje nad wszystkim, co dotychczas zostało o nich napisane. Rzecz jasna książka nie przyniosła autorowi fortuny, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę nakład pracy i liczbę lat poświęconych

na badania, ale też sukcesu tego rodzaju publikacji nie mierzy się w kategoriach finansowych.

Po ukończeniu książki, kiedy jeszcze szukał wydawcy, Rahn przyjął posadę nauczyciela, a do skromnej pensji dorabiał jako tłumacz. Flirtował też z kinem: napisał scenariusz do jednego z filmów, a w innym zagrał małą rolę. Jednak wraz z wydaniem książki Otto zaczął mieć wyższe aspiracje. Miał zaledwie trzydzieści lat. Całe życie dopiero przed nim. Zawsze pragnął zostać krytykiem literackim, jednak nie obracał się w odpowiednich kręgach towarzyskich - zamiast bywać na salonach, wolał zwiedzać Pireneje. Niestety, pomimo dobrych recenzji książka nie rozchodziła się zbyt szybko i nie uczyniła go sławnym.

Wiosną 1935 roku Rahn spędził w Paryżu, gdzie przygotowywał francuskie wydanie *Krucjaty*. Pewnego wieczoru czekała na niego w hotelu koperta z berlińskim stemplem pocztowym. Wewnątrz była spora suma pieniędzy i list, w którym proszono, by zgłosił się pod wskazany adres, jeśli tylko pragnie dopomóc swojej karierze.

Pisarze mają to do siebie, że najpierw izolują się od świata, a potem zaczynają żyć w krainie fantazji. Wierzą, że dzieło, nad którym pracują, zmieni wszystko. Piętno anonimowości, nieudane życie osobiste, nieczyste sumienie, ułomności fizyczne - wszystko to przestanie istnieć w momencie, gdy ich książka stanie się rzeczywistością. Dlatego doznają szoku, gdy po publikacji ich genialnego dzieła życie toczy się dalej jak gdyby nigdy nic z tą samą ponurą nijakością. Książka, o zgrozo, przepada jak kamień w wodę, niesprzedane egzemplarze tłoczą się w magazynach, cały wieloletni trud idzie - jak się zdaje - na marne. Autor czerpie pociechę z kilku przypadkowych komplementów opublikowanych na łamach

jakiejś gazety, a jego rozbite ego żyje nadzieją, że książka, niedoceniona przez współczesnych, zostanie na nowo odkryta przez potomnych.

Ale pieniądze w kopercie i list od anonimowego wielbiciela, który obiecuje pomoc w zrobieniu kariery? To więcej niż można wyczarować w najbardziej nawet fantastycznych snach! Rahn zaśmiał się triumfalnie, włożył marki do kieszeni, list rzucił na stolik. Musiał zająć się pracą. Francuskie wydanie jego książki, według autorskiego tłumaczenia, było ważną rzeczą - właściwie drugą szansą. Gdyby w kopercie nie było pieniędzy, potraktowałby list jako głupi żart któregoś z kolegów. Ale banknoty były jak najbardziej prawdziwe. Otto pomyślał, że nadawca z pewnością jest szaleńcem... albo homoseksualistą. Zanim poszedł spać, przeczytał list jeszcze raz. To samo zrobił rano po przebudzeniu. Chciał się upewnić, że to nie sen. List był napisany na papierze wysokiej jakości, charakter pisma zdradzał wyrafinowanie i prawdopodobnie arystokratyczny rodowód. Treść była co prawda lakoniczna, lecz słowa starannie dobrane. Autor z pewnością należał do osób elokwentnych. Tak, to prawdopodobnie homoseksualista. albo bogaty mecenas. Czy takie osoby jeszcze istnieją? - zastanawiał się Otto.

Berlin, Niemcy lato 1935

Rahn i tak zamierzał tego lata odwiedzić Berlin. Nie zaszkodziłoby zatem zajrzeć pod adres, który został wskazany w tajemniczym liście. W najgorszym wypadku po prostu powie temu facetowi, że nie jest zainteresowany.

Zatrzymał się w tanim pensjonacie, a następnie poszedł na ulicę Księcia Albrechta i odszukał budynek oznaczony numerem siedem. Okazało się, że to budynek rządowy. Rahn miał ochotę odwrócić się na pięcie i odejść, teraz już niemal całkowicie przekonany, że list był tylko głupim dowcipem. Może któryś z

jego uniwersyteckich kolegów z nadmiarem gotówki i kiepskim poczuciem humoru postanowił zrobić mu taki kawał. Z drugiej strony, nikt nie przesyła takiej sumy, by można było opłacić podróż z Paryża do Berlina w ramach żartu. Być może autor listu błędnie podał swój adres. Otto postanowił wejść i wybadać sprawę.

Recepcjonista w mundurze sierżanta powitał Rahna bez entuzjazmu. Kiedy jednak Otto przedstawił się i pokazał list, jego zachowanie zmieniło się diametralnie, wpadł nawet w lekki popłoch. Uniżenie prosił doktora Rahna o cierpliwość. Wykonał szybki telefon, rzucając kilka słów szeptem do słuchawki i wprawiając Ottona w lekki niepokój z powodu całej tej sytuacji. Po chwili zjawił się wyższy rangą oficer.

- Proszę za mną, doktorze Rahn - rzucił na powitanie.

Powiedział to niemal takim tonem, jak policjant tuż przed aresztowaniem i pomimo że użyty przez niego tytuł mile schlebiał próżności Rahna, zaczął się nagle zastanawiać, czy nie wpakował się w jakąś kabałę, której będzie później żałować.

- Przepraszam - odezwał się do oficera, a raczej jego pleców - czy można wiedzieć...

- Tędy proszę! - przerwał mu mężczyzna. Widocznie został poinstruowany, żeby nic nie zdradzać doktorowi.

Przemaszerowali przez kilka korytarzy, aż doszli do windy. W windzie Rahn przyjrzał się mundurowi człowieka, który go eskortował. Uznał go za twarzowy i nowoczesny. Szczególnie pociągające były litery SS na kołnierzu stylizowane na starożytnie pismo runiczne. Oczywiście wiedział, że to skrót od *Schutzstaffel* - czyli eskadra ochronna. Dawniej był to mały odłamek militarnego skrzydła partii

nazistowskiej, ale teraz stał się potężną organizacją. Pierwotnie jej zadaniem była ochrona Fiihrera, teraz jednak SS stała się czymś w rodzaju gwardii pretoriańskiej, która służyła cesarzom w starożytnym Rzymie - elitarnym oddziałem żołnierzy, którzy podlegali bezpośrednio imperatorowi. W starożytnym Rzymie dowódca pretorianów był drugim najpotężniejszym człowiekiem w państwie. Najwyraźniej dowódca s s, młody człowiek nazwiskiem Heinrich Himmler był na najlepszej drodze do uzyskania takiego samego statusu. Na palcu oficera Rahn ujrzał pierścień z trupa czaszką. Taki sam widział u cywila, z którym jechał pociągiem do Berlina.

- Ma pan bardzo interesujący pierścień... - zagadnął Otto przyjaznym tonem.

W odpowiedzi usłyszał beznamiętne „Dziękuję”. I nic więcej. Od tego momentu Rahn po prostu gapił się bez słowa w drzwi windy.

- Tędy, doktorze - powiedział jego przewodnik, gdy winda się zatrzymała. Po chwili stanęli przed jakimiś drzwiami. Oficer zapukał.

- Wejść! - zawołał ktoś z wnętrza pokoju.

Młody członek SS otworzył drzwi, zasalutował ubranemu po cywilnemu człowiekowi siedzącemu przy wielkim biurku i poinformował, że doktor Rahn przyszedł zobaczyć się z Reichsführerem. Mężczyzna niemal podskoczył na krześle. Błyskawicznie wstał i zapukał do innych drzwi.

Po chwili pojawił się Heinrich Himmler we własnej osobie.

Rahn, spoglądając na Himmlera, był nieco skonfundowany. Myślał, że... a właściwie nigdy by nie pomyślał, że jeden z najpotężniejszych ludzi w Niemczech chce promować jego karierę pisarską!

Himmler miał trzydzieści kilka lat - zapewne jedynie trzy lub cztery więcej niż Rahn. Pomimo szczupłej sylwetki wydawał się bardzo energicznym człowiekiem.

Miał ciemne włosy, specyficznie mały podbródek, a oczy osadzone nieco zbyt blisko siebie. Ogólnie rzecz biorąc, sprawiał jednak dobre wrażenie. Bez wątpienia był to wykształcony i elokwentny. Po samych jego gestach można było poznać, że wywodził się z arystokracji. Rahn nie był w najmniejszym stopniu przygotowany na to, że jest on entuzjastycznym wielbicielem jego *Krucjaty przeciwko Graalowi!*

Himmler wyznał, że wizyta Rahna jest dla niego niesłychanie ważna.

Otto aż poczuł zawroty głowy. Przed chwilą był prowadzony przez labirynt rządowych korytarzy, zastanawiając się, czy nie zostanie aresztowany, a teraz stoi twarzą w twarz z Heinrichem Himmlerem, który oświadcza, że Otto jest autorem najwspanialszej książki XX wieku! A w dodatku widać było, że przeczytał ją dokładnie. Nie chciał w obecności eksperta chwalić się swoją wiedzą, ale na podstawie zadawanych przez niego pytań Rahn wywnioskował, że Herr Himmler posiada całkiem dużą wiedzę w tej dziedzinie.

Rozmawiali przez niemal godzinę. Najwidoczniej Reichsführer nie miał nic lepszego do roboty niż spędzać czas na pogawędce o katarach. Wreszcie podjął temat kariery Rahna. Doszły go słuchy, że doktor Rahn zmuszony jest podejmować rozmaite prace dorywcze, by móc pisać. Chciał wiedzieć, jak to możliwe. Rahn odparł, że zaliczka od wydawcy była bardzo skromna - tak samo skromna jak sprzedany nakład książki.

- Niemniej rozumiem, że jest pan zainteresowany karierą pisarza i historyka? - zapytał Himmler.

- Naturalnie, jestem zainteresowany. Pytanie brzmi, czy będę w stanie to zrobić.

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

- A co by pan powiedział, gdybym zatrudnił pana jako mojego pracownika? Przysługiwałyby panu pensja będąca równowartością pensji, dajmy na to, kapitana. Miałby pan własny gabinet oraz sekretarkę. Czy byłby pan zainteresowany takim stanowiskiem?

- Byłbym bardzo zainteresowany. Chciałbym tylko wiedzieć, co by wchodziło w zakres moich obowiązków... - zapytał Otto, zupełnie oszołomiony.

- To jest sedno sprawy, doktorze Rahn! Pana obowiązkiem byłoby kontynuowanie badań, które prowadził pan do tej pory - zaczął Himmler, a gdy na twarzy Ranna odmalował się wyraz niedowierzania, dodał: - Pomijając gabinet oraz sekretarkę, mogę panu również udostępniać asystentów. W zależności od natury projektów, na które pan się zdecyduje, jestem w stanie pokrywać koszty podróży oraz badań, a nawet ekspedycji, jeśli będzie pan miał ochotę takowe poprowadzić.

Rahn był podekscytowany jak nigdy w życiu i nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać:

- Czy mówi pan poważnie? Himmler się uśmiechnął.

- Tak poważnie, jak tylko to możliwe.

Hamburg , niedziela9 marca 2008

Pierwsza opancerzona brygada policyjna pojawiła się w parku w ciągu godziny. Członkowie grupy nosili noktowizory i sprawiali wrażenie zawodowców w każdym calu. Ethan, który biegał pomiędzy różnymi punktami obserwacyjnymi, strzelił kilka razy w ich stronę, a następnie przebiegł przez trawę w kierunku moczaru. Tam wypatrzył drugą brygadę, która stała jakieś dwieście metrów dalej. Im też posłał kilka kul. Trafił w samochody i latarnie.

Tak samo było przy trzecim punkcie obserwacyjnym. W oddali również stała brygada specjalna. Ethan strzałami z pistoletu uszkodził kilka świateł w ich wozach. Potem wrócił na środek parku, do swoich kolegów.

- Co on wyprawia? - zapytał Josh Sutter, kiedy rozległy się pierwsze strzały.

Malloy nie miał pojęcia. Po chwili jednak, gdy usłyszał, że strzela w innym miejscu, powiedział:

- Chyba chce, żeby gliny pomyślały sobie, że cała nasza trójka się rozdzieliła i bronimy terenu.

- Po co to robi?

- Żeby zyskać na czasie.

- Czy on jest jednym z twoich ludzi, T.K?

- Chodzi ci o to, czy też jest księgowym?

- Właśnie... - przytaknął agent niemal z uśmiechem. - Księgowym z Departamentu Stanu.

- Nie. On i dziewczyna wykonywali brudną robotę dla Dale'a. Misje nie-standardowe. Z tego co zrozumiałem, są najemnikami.

- Ona to prawdziwa piękność, prawda? Nawet w stroju bojowym wyglądała bardzo... no wiesz... gdybym nie był żonaty...

- Rozumiem, że czujesz się lepiej? - odparł Malloy nieco rozbawiony.

- Pomijając to, że jest mi zimno, że ból w piersi nie ustępuje i że mam mdłości, tak czuję się świetnie.

Milczeli przez chwilę.

- Właśnie sobie przypomniałem - odezwał się nagle Malloy - że o północy skończyłem pięćdziesiąt lat.

Josh Sutter roześmiał się cicho, choć nie bez trudności.

- Rany! A ja tu leżę z kulą w piersi i myślę sobie, że nie ma na świecie większego pechowca ode mnie.

- Wiesz, że generał Patton miał pięćdziesiąt sześć lat, kiedy wybuchła II wojna światowa? - zapytał Malloy. - Ten stary skurczybyk podobno nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie przyjedzie do Europy prać Niemców po pyskach.

- Takich twardzieli już nie ma.

- Nie ma - przytaknął Malloy.

- Myślisz, że nawet Patton niekiedy czuł strach?

- Każdy miewa takie chwile słabości, Josh. Nawet Patton.

- Kiedy mnie stuknie pięćdziesiątka... - zaczął agent, ale nie dokończył.

- To co wtedy?

- Chciałem powiedzieć, że nie chciałem już robić takich rzeczy. Ale przypomniałem sobie, że może będę świętował za kratkami. Za dwanaście lat... -Przez chwilę milczał, pogrążony w myślach. - Chyba wolałbym jednak z pięćdziesiątką na

karku siedzieć spokojnie w kiciu niż... niż robić coś takiego.

- Naprawdę? Wolałbyś papierkową robotę, a nie akcje?

- Nie mów mi, że tobie to naprawdę sprawia przyjemność! - Sutter popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Może niekoniecznie coś takiego... ale dla mnie to i tak lepsze niż siedzenie za biurkiem.

- Wiesz, co powiedział Randal, kiedy pierwszy raz cię spotkaliśmy? Powiedział: „Ech, ci księgowi! Każdy, którego w życiu poznałem, jest kompletnym świrem”.

Wszystkie trzy brygady śledcze były na miejscu już przed piątą rano. W ciągu kolejnych dwudziestu minut na niebie pojawiły się dwa helikoptery monitorujące teren. I kolejne posiłki.

Ethan wspiał się na drzewo. Gdzieś w dole przemaszerowały dwa oddziały policyjne, ale nie udało mu się ich zobaczyć. Baterie w obu noktowizorach już się wyczerpały. Nad jego *głową* zawisł na niebie helikopter przeczesujący teren snopem światła. Na szczęście nie zauważyli Ethana, szukali na ziemi, a nie na drzewach. Po kilku sekundach helikopter odleciał.

O szóstej, chociaż pozostało jeszcze około pół godziny do wschodu słońca, policja postanowiła wreszcie przeczesać park. Ethan słyszał trzeszczenie ich krótkofalówek. Wyczuwał narastającą w gliniarzach frustrację. Strach, że jakimś cudem trzech przestępcy zdołali uciec.

W ciągu ostatniej godziny przed wschodem słońca patrol policji czterokrotnie przemaszerował wąską alejką niemal przed nosem Malloya i Josha. Zgodnie z wcześniejszymi poleceniami Ethana Malloy włączył zestaw słuchawkowy i usłyszał oddech męża Kate.

- Jak wygląda sytuacja? - wyszeptał.

Ethan nie odpowiedział. Zamiast tego zapukał w mikrofon.

- Nie możesz rozmawiać? Dwa puknięcia. Czyli „nie”.

Dwadzieścia minut później Ethan nagle się odezwał:

- Musicie wyjść z ukrycia dokładnie za dwie minuty. Biegnijcie alejką na północ, przez drzewa. Kate będzie tu za dosłownie trzy minuty.

Nagle Malloy usłyszał kroki kolejnego patrolu. Puknął raz w mikrofon. Ethan zrozumiał sygnał. Malloy policzył w myślach do sześćdziesięciu, a potem wyrwał z drzemki Suttera, zatykając mu przy tym usta.

- Musimy zaraz ruszać.

- Nie mogę, T.K. Nie mam siły.

- Nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię nosił, Josh. Pamiętaj, jestem już starszym panem.

- Naprawdę nie dam rady.

Malloy nasłuchiwał. Patrol stanął w miejscu. Ktoś coś mówił po niemiecku. Nagle w ich stronę zaczął biec jeden z policjantów. Malloy położył rękę na swoim karabinie i modlił się, by nie musiał go użyć.

- Sprawdźcie tam za krzakami! - krzyknął dowódca patrolu.

Malloy położył palec na spuście. Był gotowy do strzału, gdy raptem gdzieś wybuchł granat.

- Wszystkie jednostki do... - zaczęły trzeszczeć krótkofalówki.

Po chwili wybuchł kolejny granat. A potem trzeci. Każdy w innym sektorze parku. Cała brygada ruszyła biegiem w stronę pierwszego wybuchu. Malloy bez chwili zwłoki wyciągnął spod gałęzi opornego Josha.

- No dalej, chłopie - wyszeptał, próbując postawić go na nogi. - To nasza ostatnia szansa.

Kate przyleciała z zachodu samolotem, Bonanzą A36. Kiedy już się upewniła, że zgodnie z instrukcjami Ethana, wykurzyła wszystkie brygady z okolic lasu, jednocześnie wychyliła klapy oraz wypuściła podwozie. Efekt był taki, jakby wyhamowała. Spojrzała, jak wskazówka wariometru idzie w dół, więc przez moment po prostu szybowała ponad zupełnie jeszcze czarną ziemią. Zorientowała się w swoim położeniu dzięki noktowizorowi. Lądowanie nie było zbyt miękkie. Odbiła się. Dostosowała klapy i tym razem poszło jej lepiej. Pędziła z dużą szybkością, ziemia była w miarę płaska i równa. Ujrzała, jak spomiędzy drzew po prawej stronie wybiegają w jej kierunku brygady policji. Świecili na nią, ale nikt nie wydał komendy, by otworzyć do niej ogień.

Kate wykonała samolotem półpiruet, zawróciła i znowu przejechała po ziemi tą samą trasą.

Ethan dołączył do Josha i Malloya, kiedy minęli alejkę i wbiegli już na łąkę. Wyrzucił swój karabin, podtrzymał Josha i pomógł mu dowlec się do samolotu.

Ktoś strzelał. Na szczęście z pistoletu, więc kule do nich nie dolatywały. Kate najpierw przyspieszyła, a potem zwolniła, by dać Ethanowi osłonę.

Oświetlały ich reflektory i znowu ktoś otworzył ogień. Malloy został nieco w tyle, strzelał pojedynczymi kulami ze swojego kałasznikowa. Kiedy Ethan wpakował Josha do samolotu, a potem sam za nim wskoczył, Kate dodała gazu. Malloy wyrzucił karabin i zaczął biec. Usłyszał, jak strzelają do niego z broni większego kalibru. Kule przelatywały tuż nad jego głową. A potem poczuł, że oberwał. W plecy. Stracił równowagę, prawie się przewrócił. Dalej do niego strzelali, z różnych stron parku.

Kate musi lada moment wzbić się w powietrze, żeby przelecieć ponad drzewami. Jeśli tego nie zrobi, wjedzie prosto w las i to będzie koniec wszystkiego. Malloy podjął ostatnią desperacką próbę. Zbliżył się do pędzącego po ziemi samolotu i wskoczył długim susem do środka - Ethan złapał go za rękę. Krzyknął z bólu, lecz jego chwyt nie osłabł. Kule dziurawiły samolot jak sitko.

- Mamy go! - krzyknął Ethan.

Kate nagle wyrwała do przodu, osiągając prędkość stu kilometrów, a po chwili wzbiła się w powietrze. Strzały ucichły. Policja nie chciała zestrzelić samolotu na zabudowanym terenie. Las był tuż pod nimi. Malloy złapał się kurczowo jednego z foteli, aby nie rzucało nim na wszystkie strony. Samolot nadal się wzbijał z maksymalną prędkością, silniki warczały jak szalone. Brzuch bonanzy otarł się o najwyższe drzewa, gałęzie rysowały metal z przeraźliwym zgrzytem. Po chwili las pozostał daleko w dole, a oni szybowali w powietrzu ponad miastem

Dwa policyjne helikoptery ruszyły za nimi w pościg.

Malloy odetchnął z ulgą. Spojrzał na Ethana.

- Jakim cudem granaty wybuchają w różnych sektorach parku?

- Wspiąłem się na drzewo i rzucałem granatami, siedząc kilka metrów nad ziemią.

- Zdażyłeś zejść z drzewa i nas dogonić? - zdziwił się Malloy.

- Nie zaryzykowałbym stwierdzenia, że biegliście z prędkością światła... - ironizował Ethan.

- Ważne, że zdążyliśmy.

Szybko zgubili śledzące ich helikoptery. Kate włączyła światła. Malloy spojrzał na Josha Suttera. Wyglądał, jakby umierał. Kiedy leżeli w ciemności w lasku, miał nadzieję, że nie jest z nim aż tak źle.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Jak wolny człowiek - odparł Sutter.

Malloy rozerwał na nim kamizelkę kuloodporną, by spojrzeć na jego ranę. Kula złamała kość, ciało było potwornie opuchnięte. Nacisnął delikatnie obrzęk. Josh zawył z bólu.

- Chyba czuję kulę pod skórą - powiedział Malloy. To była dobra wiadomość. Natomiast zła była taka, że pocisk prawdopodobnie się rozprysnął. W okolicach serca i płuc mógł wywołać krwotok wewnętrzny. Próbował przysłuchać się płucom Josha, ale ryk silnika i łomot jego własnego serca uniemożliwiły badanie.

- Jak twój oddech? - zapytał Josha.

- Tak jak przez całą noc. Nie mogę wciągnąć głębiej powietrza, bo to sprawia mi ból. - Być może chodziło o ból. A może jego płuca były wypełnione krwią. Tego jednak Malloy nie powiedział na głos.

- Mamy tu jakąś apteczkę?! - zawołał do Kate.

- A woda? Może jest chociaż woda? - dodał Ethan.

- Woda jest z tyłu - odpowiedziała Kate. - Apteczka tutaj.

Malloy przyniósł wodę dla Josha i Ethana, a jedną butelkę zaniósł Kate do kokpitu.

- Dzięki. To była długa noc, prawda? - zapytała.

- Najdłuższa w moim życiu - odparł. - Może tamta w Bejrucie była gorsza, ale nie pamiętam jej. Byłem w śpiączce przez dwie doby.

- Z tego, co wcześniej mówił mi Ethan, nie wiedziałam, czy będzie was dwóch, czy trzech...

- Josh jeszcze nie umarł. - Malloy spojrzał na horyzont.

- Zgubiliśmy ich - powiedziała Kate, jakby czytała w jego myślach. Leciała nad wierzchołkami drzew i dachami budynków. Niebo nadal było ciemne, atramentowe.

- Gdzie dokładnie jest Hoisburg?

- Na zachód. Dolecimy za dziesięć minut - poinformowała.

Malloy znowu spojrzał na horyzont. Dobrze, że to tak niedaleko. Dziesięć minut dłużej, a policja już wysłałaby za nimi samoloty.

- Idę pomóc Joshowi. A przynajmniej spróbować - rzucił. Wziął apteczkę pierwszej pomocy i podszedł do rannego agenta. Jedyne, co mógł zrobić, to zdezynfekować ranę i nałożyć bandaż. Potrzebował antybiotyków, ale w apteczce ich brakowało. Potem spojrzał na Ethana. Nadgarstek miał owinięty prowizorycznym bandażem.

- Przynajmniej kula przeszła na wylot - powiedział mąż Kate. Pokazał Malloyowi ranę wyjściową. Nie była czysta.

- Chyba w środku zostały odłamki - ocenił Malloy. Przemył ranę alkoholem i ją zabandażował. Wrócił do kokpitu i usiadł obok Kate. Samolot brzuchem prawie

ocierał się o korony drzew. To było bardzo niepokojące. Jakby zaraz mieli się rozbić.

- Jak tam twoja noga? - zapytał.
- Skąd wiesz, że coś mi się stało w nogę?
- Zanim wtedy wspięłaś się na dach, widziałem, że kulejesz.
- Zabandażowana.
- Musi piekielnie boleć...
- Bywało gorzej - stwierdziła.

Malloy wyciągnął swój telefon komórkowy i wybrał numer Jane. Za oceanem było kilka minut po północy.

- Za pięć lub dziesięć minut spotkamy się z ekipą - oświadczył Malloy. - Lecimy samolotem. Możesz ich o tym uprzedzić.

- Powiem im - odparła Jane.
- Będzie helikopter medyczny?
- Przekazałam twoją prośbę.
- Będziemy mieć troje rannych - powiedział Malloy. - Jeden w stanie krytycznym.

- Dlaczego troje? - zapytała Kate.

- Ty, Ethan i Josh. Ja jadę do ambasady w Berlinie.

- Wsadź nas po prostu w jakiś pociąg, T.K. Ethan i ja damy sobie radę - zapewniła Kate.

- Może najpierw powinnaś zerknąć na nadgarstek twojego męża - zasugerował.
- Jeśli załatwisz nam jakieś antybiotyki, to wszystko będzie dobrze.
- Jak chcesz - ustąpił. - Kiedy nauczyłaś się latać? - zapytał, zmieniając temat.
- Ubiegłego roku we Francji.

- Trudno było zorganizować samolot?

- Miałam problem ze znalezieniem jakiegoś prywatnego lotniska. Zadzwoiłam do znajomego, który podpowiedział mi, gdzie znajdę coś odpowiedniego. Ukradłam jakiś samochód, wjechałam przez ogrodzenie lotniska, a drzwi hangaru otworzyłam sobie pistoletem. Kiedy nocny stróż się obudził, ja już dawno byłam za horyzontem.

Kate spojrzała na dwa SUV-y zaparkowane na wiejskiej drodze.

- To twoi ludzie?

Malloy nałożył noktowizor i przyjrzał się postaciom.

- Chyba tak.

- Mam nadzieję - odparła. - Dostyc już niespodzianek.

Zniżyła się do dwustu metrów ponad ziemią. Nadal nie mieli ogona. Ani w powietrzu, ani na ziemi. Samolot zaczął zwalniać, wypuścił podwozie. Teraz byli już tylko pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Na tym odcinku droga szła prosto, mogła posłużyć za pas do lądowania. Po obu stronach jezdni rosły drzewa, na szczęście samolot nie miał aż tak szerokich skrzydeł, żeby o nie zahaczać. Kate wylądowała bardzo miękko, ale hamowanie było już nieco mniej delikatnie.

- Brawo - powiedział Malloy, gdy zatrzymali się jakieś dziesięć metrów przed zaparkowanymi samochodami.

Droga z Pittsburga do Uclezen, niedziela, 9 marca 2008

Przedstawiciel ambasady USA uścisnął dłoń Malloyowi i przedstawił się jako Brian Compton.

- Jak mogę wam pomóc? - zapytał.

Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna z wojskową fryzurą i błękitnymi oczami. Tak jak trzech jego ludzi, był uzbrojony i miał na sobie kamizelkę kuloodporną.

Malloy podał mu adres hotelu w Neustadt.

- Ktoś musi pozbierać moje *rzeczy* z pokoju. Jeśli Niemcy wejdą w posiadanie mojego komputera, dowiedzą się, kto jest odpowiedzialny za całe to nocne zamieszanie - wytłumaczył.

- Myślę, że już to wiedzą - stwierdził Compton.

- Być może, ale nie są w stanie niczego udowodnić.

- Dobrze, zajmiemy się tym w pierwszej kolejności.

- Kiedy już odzyskacie mój komputer, chcę, żeby ktoś sprawdził również nasze pokoje w hotelu Royal Meridien, to znaczy mój i agenta Suttera. Policja na sto procent będzie chciała zadać kilka pytań na temat pana Thomasa z Departamentu Stanu oraz agenta specjalnego Suttera. Niech wasz człowiek wie tylko tyle, że Jim Randal wczoraj zniknął, a Thomas i Sutter, którzy powiadomili o tym swoich przełożonych, dostali rozkaz stawienia się w bazie lotniczej Ramstein wczoraj o dziewiątej wieczorem. Sfałszujcie księgę wylotów z Niemiec, bo nasi przyjaciele być może domagać się będą jakichś dowodów, nie sądzę jednak, żeby trzeba się było z tym spieszyć. W każdym razie, wersja oficjalna brzmi: pan Thomas i agent Sutter są w drodze do Stanów.

- Nie uwierzą w tę bujdę. W ani jedno słowo - skomentował Compton plan Malloya.

- Co z tego? Wszystkich pana ludzi chroni immunitet dyplomatyczny, prawda?

- Jak wygląda sytuacja z kryjówką Dale'a Perry'ego? - zapytał Compton.

- Wpadliśmy w zasadzkę. A do kryjówki prowadzą ślady krwi. Niemcy na pewno już tam byli.

- Co z komputerem Perry'ego?

- Wyczyściłem go do cna - odparł Malloy.

- Zgrał pan jakieś dane przed zniszczeniem komputera?

Malloy pokręcił głową i skłamał z nawyku.

- Nie miałem czasu.

- OK - powiedział Compton, wzdychając głęboko. - Sprawa nie wygląda zbyt różowo. Ale nie jest też aż tak tragicznie.

Podszedł do swoich ludzi i wydał im rozkazy. Dwóch z nich natychmiast odjechało do Hamburga. Trzeci wsiadł do drugiego wozu i czekał w środku. Compton pomógł Malloyowi wyciągnąć agenta Suttera z samolotu i przenieść go do s u v-a. Malloy usiadł z przodu. Compton wyciągnął apteczkę i usiadł tyłu, razem z Ethanem, Kate i Joshem.

- Agent Sutter poleci helikopterem. Ta dwójka - Wskazał głową Brandów - woli się leczyć w innym miejscu.

Compton zrobił zdziwioną minę.

- To ich decyzja, nie moja. - Malloy wzruszył ramionami.

- OK - powiedział Compton. - Co my tu mamy?

- Agent Sutter może mieć krwotok wewnętrzny - zaczął Malloy. - Rana jest czysta, żadnych odłamków.

- Jakim cudem?

- Nie wiem. Szczerze mówiąc, bardziej martwię się o tych dwoje... Compton zbadał ranę na ramieniu Ethana.

- Kto to zszywał? - zapytał.

- Ona. - Ethan wskazał głową swoją żonę, uśmiechając się do niej.

- Dobra robota, proszę pani. Ma pani jakieś doświadczenie medyczne?

- Nie. Ale uczyliśmy się szyc w szkole na zajęciach technicznych - odparła. Na twarzy Comptona pojawił się uśmiech, który po chwili przerodził się w grymas, gdy mężczyzna zobaczył nadgarstek Ethana.

- O Boże! To nie wygląda ładnie. - Spojrzał na zakrwawioną nogawkę spodni Kate. - Proszę mi pokazać swoją nogę.

Kate opuściła spodnie. Compton rozwinął prowizoryczny bandaż z pasków pociętej bluzki. Gdy zobaczył gołą ranę, wciągnął głośno powietrze przez zęby, jakby sam widok piekielnie go zabolął.

- Przykro mi, ale oboje koniecznie musicie polecieć helikopterem medycznym - odezwał się kategorycznym tonem.

- Nie. Potrzebujemy tylko antybiotyków - zaprotestowała Kate. Compton zaczął przetrząsać swoją torbę.

- Jestem przygotowany do zajmowania się ranami postrzałowymi. a nie czymś takim - powiedział. Znalazł fiolkę cefalosporyny. - Ten lek stosuje się, żeby zapobiegać infekcjom. Powinienem go dać agentowi Sutterowi. Wy dwoje już macie

infekcje, i to paskudne. Potrzebna wam pomoc medyczna, w przeciwnym razie nabawicie się wstrząsu septycznego. Chyba wiecie, że to zazwyczaj kończy się śmiercią?

- Proszę oczyścić nam rany i załatwić antybiotyki. - Kate była nieustępliwa.

Spotkanie z wojskowymi medykami miało miejsce na południowy zachód od Uclezen. Kiedy helikopter wylądował na polu jakiegoś rolnika, Compton i jego

kierowca przenieśli do niego Josha Suttera. Malloy poszedł za nimi. Compton poprosił jednego z lekarzy o penicylinę, a Malloy ukląkł przy agencie.

- Josh, obiecuję ci, że dorwę ludzi, którzy są odpowiedzialni za to piekło.
- Jeśli ci się uda, zadzwoń do mnie. Chcę zobaczyć, jak ich aresztują.
- Masz to jak w banku, stary - odparł Thomas.

Kiedy Malloy, Compton i jego szofer wrócili do auta, Kate zapytała, czy dałoby się podrzucić ich do Uclezen. Chciałaby z Ethanem złapać tam jakiś pociąg.

- Możemy. Gdziekolwiek sobie życzyście... - powiedział Compton, dając im penicylinę i strzykawki.

- Dzięki. Chcemy do Uclezen.

Na zabytkowym dworcu Compton kazał Brandom zaczekać w samochodzie, a sam poszedł do sklepu, żeby kupić im trochę czystych ubrań. Po chwili kierowca oświadczył, że musi rozprostować kości. Gdy wysiadł, Malloy wskazał na mikrofon ukryty obok wewnętrznego oświetlenia, jakby chwalił się nowinką techniczną.

- Niezłe, co? Trudno zauważyć, a może mieć katastrofalne skutki...

Kate i Ethan po tym ostrzeżeniu wdali się w bezpieczną dyskusję na temat pogody i architektury dworca. Po chwili wrócił Compton i jego kierowca. Przez okno podali Brandom nowe ubrania. Kate i Ethan szybko w nie wskoczyli. Ethan wysiadł, podziękował Comptonowi za podwiezienie i uścisnął mu dłoń.

Kiedy odchodzili, Malloy wyskoczył z wozu i odciągnął Kate na bok. Ucałował ją trzy razy w policzki.

- Jutro będę w Zurychu.
- Nie wiem, gdzie się zatrzymamy.
- Zadzwonię do ciebie.

- Nie da rady. Po drodze wyrzucimy nasze telefony. Wiesz co, skontaktuj się z kapitanem Marcusem Steinerem z zuryskiej policji. Powiadomię go, gdzie jesteśmy.

Malloy uśmiechnął się czymś rozbawiony.

- To jest twój tajemniczy przyjaciel?

- Znasz go?

- To mój stary kumpel - poinformował Malloy.

- No proszę!

- Jaki ten świat mały... - stwierdził mało oryginalnie.

- A przynajmniej mały kraj - bardziej przytomnie zauważyła Kate.

- Jeszcze jedna sprawa - zaczął Malloy. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że Compton będzie starał się was śledzić?

Kate o tym nie pomyślała. Spojrzała na faceta z ambasady.

- Tak na wszelki wypadek - wytłumaczył Malloy. - Gdyby władze amerykańskie zechciały z jakiegoś powodu oddać was w ręce Niemców, Compton musi wiedzieć, gdzie was szukać.

- Czy to prawdopodobny scenariusz?

- Sprawdźcie dokładnie wasze nowe ubrania. Na pewno przyczepił gdzieś nadajnik. W końcu to agent CIA ...

Compton usiadł na tylnym siedzeniu obok Malloya i zapytał go, gdzie chcejechać.

- Czy macie jakąś klinikę przy ambasadzie w Berlinie?

- Pan też jest ranny?

- Oberwałem wczoraj w tyłek - odparł Malloy.

- W... tyłek?

- To nie jest aż tak zabawne, jak się może wydawać.

- Pewnie uda nam się coś z tym zrobić - zapewnił go Compton. Kazał szoferowi jechać i rozparł się na siedzeniu.

Był zmęczony. Dla niego to też była bardzo długa noc. Po jakimś czasie zapytał: - O co chodzi z tą Angielką i jej amerykańskim chłopakiem?

- Sam nie wiem. Dale wynajął ich do tej roboty. Wiem tylko tyle, że to zawodowcy. Są naprawdę nieźli. Gdyby nie oni, byłbym już trupem. Albo siedziałbym za kratkami.

- Widziałem, że zaprzyjaźniłeś się z tą Angielką - zauważył Compton.

- Pomyślałem sobie, że może potrzebuje nowego zleceniodawcy. Dałem jej namiary na siebie. Tak na wszelki wypadek, gdyby szukała roboty.

- Dlaczego tak bardzo nie chcieli, żeby zajął się nimi nasz personel medyczny?

- Może nie mają ubezpieczenia zdrowotnego? Compton uśmiechnął się, ale nie był to przyjazny uśmiech.

- A może się bali, że oddalibyśmy ich w ręce Niemców?

- Chyba nie zrobilibyście tego, co? - zapytał Malloy.

- Nie ja tu decyduję. Ale szef się nad tym zastanawia. Malloy zrobił się czujny.

- Szef? Charlie Winger?

- Widzę, że zna pan dyrektora Wingera?

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Niemcy nam tak łatwo nie odpuszczą, T.K. Możesz być tego pewny. Bądź tak miły i zrób, co należy. Oddaj im tych dwoje.

Droga Do Berina niedziela, 9 marca 2008

Podróż miała trwać dwie godziny. Compton starał się wejść przyjacielskie relacje z Malloyem. Malloy też się starał, ale nie bardzo mu to wychodziło. Próbowali rozmawiać o swoim szkoleniu na „farmie”. Dzielili ich jednak przepaść pokoleniowa, mieli inne doświadczenia. Następnie trochę podyskutowali o sztychach w C I A , ale i tym razem się okazało, że nie mają ze sobą zbyt wiele wspólnego. Malloy powiedział kilka ciepłych słów o Jane Harrison, którą Compton nazwał Żelazną Dziewicą, natomiast za totalną porażkę uznał Charliego Wingera, podczas gdy Compton uparcie go wychwalał. Mówił, że to jeden z najwspanialszych gości, jakich w życiu spotkał. Co pewnie oznaczało, że końcowy raport z misji wyląduje na biurku Wingera, bez wtajemniczenia Jane.

Potem obaj panowie wymienili się anegdotami. Compton opowiadał historyjki, które ponoć usłyszał kiedyś od „starych wyg”, z kolei Malloy, zgodnie ze swoją specjalnością, wcisnął mu kilka wyssanych z palca opowieści. Porozmawiali trochę o pracy ambasady amerykańskiej w Berlinie. Wreszcie znaleźli jakiś wspólny mianownik. Malloy wspominał, że jego ojciec przez siedem lat pracował w konsulacie USA w Zurychu, kiedy jeszcze takowy konsulat istniał.

- Przez cały ten czas nie miałem pojęcia, że jest w CIA. Ukrywał to przede mną - zaczął Malloy. - Wiesz, kiedy się dowiedziałem? Podczas mojej trzeciej

rozmowy kwalifikacyjnej. Nagle do gabinetu wszedł mój stary. Powiedział: „Chciałbym wiedzieć, czy potrafisz dochować tajemnicy tak samo dobrze jak twój ojczulek”.

Comptonowi spodobała się ta historyjka, mimo że była kolejną bajką Malloya. Zadał nawet kilka dodatkowych pytań na temat jego ojca, ale Malloy powiedział, że stary zabrał wszystkie swoje tajemnice do grobu. Wreszcie Compton też już chyba się zmęczył tą pseudoprzyjacielską pogawędką. Zapytał wprost, co poszło nie tak w Hamburgu.

Z początku Malloy uparcie twierdził, że nie wie. O dziwo, była to prawda. Jednak podczas przesłuchania takie odpowiedzi nikogo nie satysfakcjonują. Compton zaczął obwiniać Dale'a Perry'ego. Mówił, że to on źle rozegrał całą sprawę. Malloy zaprzeczył. Powiedział, że to dzięki niemu w ogóle wpadli na trop.

- Wszystko zaczęło się od porwania prawnika? - zapytał Compton.

- Dale powiedział, że facet ma coś na sumieniu. I miał rację. Ohlendorf załatwiał Chernoff ludzi i sprzęt.

- Chcę wiedzieć, jak mogło dojść do tego, że nagle ktoś podszedł do wielkiego Murzyna i ot tak poderżnął mu gardło.

- Nie wiem. Nie było mnie z nim wtedy. Nic nie widziałem - odpowiedział zgodnie z prawdą Malloy.

- Jakim cudem napastnik dostał się tak blisko wytrenowanego agenta, T.K.? Wytłumacz mi to.

- A gdybym to ja teraz tobie nagle poderżnął gardło, powiedziałbyś, że to twoja wina?

Compton uśmiechnął się, ale nie spodobało mu się to pytanie.

- Chcesz powiedzieć, że Dale znał napastnika?
- Uważam, że zrobiła to Helena Chernoff.
- Helena Chernoff po prostu podeszła sobie do niego i go załatwiła?
- Byliśmy pewni, że Chernoff jest w mieszkaniu. Że leży w łóżku z Farrel-lem.
- Czyli co? Wina kiepskiego wywiadu?
- Nie. To mój błąd - odparł Malloy.
- Niby dlaczego?
- To była moja misja. To ja wpakowałem nas w pułapkę.
- Nie obraż się, T.K., ale wydaje mi się że ubiegłej nocy wpadłeś w kilka takich pułapek.

Droga do Zurychu, niedziela 9 marca 2008

Kate obudziła się nagle i uświadomiła sobie, że jest na pokładzie samolotu. Przez chwilę nie mogła zrozumieć, jak się tu znalazła. Przypomniała sobie jednak, że Ethan zadzwonił do kolegi z Berna. Czekali na niego w nieskończoność. Ból w nodze był niewyobrażalny. Zamartwiali się, czy w ogóle uda im się wydostać z tego kraju. Potem nagle znaleźli się na pokładzie samolotu. Kate zemdlała...

- Jak się czujesz? - zapytał Ethan.

Rozejrzała się dokoła i zobaczyła, że siedzi tuż za nią.

- Chce mi się pić.

Ethan skrzywił się, chwytając chorą ręką butelkę wody. Kate zachichotała.

- Ale z nas para, co?

- Będziemy w Zurychu za kilka godzin. Dzwonił Marcus - poinformował ją Ethan. - W hotelu będzie na nas czekał lekarz.

- A jak ty się czujesz?

- Boli... ale przeżyję - odparł.

- Przepraszam, że cię w to wpakowałam, Ethan.

- O czym ty mówisz! Było... wystrzałowo. Bombowo - powiedział z uśmiechem.

- Giancarlo ostrzegał mnie, że wpakuję nas oboje do grobu.

- Jeszcze nie umarliśmy, Kate.

Uśmiechnęła się. Wróciła pamięcią do góry Eiger. Trzymała się kawałka skały, zwisając nad przepaścią i powtarzała sobie: Jeszcze nie umarłam.

- Wiesz, kiedy zginął Robert, nie sądziłam, że kiedykolwiek będę w stanie zakochać się w kimś innym.

- Każdy, kto miał złamane serce, miewa czasem takie myśli.

- Nie bałam się, że od tej pory będę miała serce z kamienia. Nie. Ja po prostu nie pragnęłam żadnej nowej miłości. Kochałam Roberta i zamierzałam spędzić z nim całe życie. Chciałam, żeby moja miłość do niego trwała nadal, tak długo, jak długo będę żyła. Nawet jeśli on nie może jej odwzajemnić...

- Wiem, jak to jest.

- Jak to: wiesz? Byłeś kiedyś w takim związku? Kiedy? - zapytała zdziwiona.

- Teraz jestem w takim związku.

Kate zaśmiała się, a potem spojrzała zamyślona na chmury za oknem.

- Czy nie czujesz się... oszukany? - zapytała. -I zazdrosny o Roberta? W pewnym sensie musisz się z nim mną dzielić...

- Chyba się już przyzwyczaiałem - odparł szczerze. - To z powodu Ke-nyona mnie odtrącałaś. Wszystko, co mówiłem na poważnie, zamieniałaś w żart. Po jakimś czasie zrozumiałem, że albo odejdę, albo nauczę się z tym żyć. Wybrałem tę drugą opcję.

Kate zamknęła oczy.

- Gdybym w końcu dała sobie spokój z Robertem, żadne z nas nie zostałyby postrzelone ubiegłej nocy.

- Ja nie robię tego dla niego, Kate. Robię to dlatego, że ktoś, kto nasłał na was zabójców, chciał zabić ciebie. Nie odpuszczę, dopóki nie dowiemy się prawdy.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś zobaczymy się z T.K.?

- To bez znaczenia - stwierdził Ethan. - Jeśli okaże się, że ma już dość, że się z tego wypisuje, to trudno. Sami to zrobimy. Uda nam się.

- Gdybym była na jego miejscu, to chyba po prostu wróciłabym do domu, do Nowego Jorku.

- Nie, nie zrobiłabyś tego - zaprzeczył Ethan. - Znam cię, Kate. Może brałabyś takie wyjście pod uwagę. Ale tylko przez chwilę. Nie zostawiłabyś na pastwę losu przyjaciela w potrzebie.

- To dlatego jesteś we mnie zakochany?

- Między innymi.

Ambasada USA, Berlin, niedziela 9 marca 2008

Operację Malloya przeprowadził jeden ze strażników w ambasadzie.

Wyjął mu z ciała dwadzieścia trzy odłamki, a potem oczyścił i opatrzył rany. Na koniec dał mu zastrzyk przeciw infekcji, zastrzyk ze sterydów oraz fiolkę

środków przeciwbólowych. Po zabiegu Malloy przespał kilka godzin. Potem zjadł ciepły posiłek.

Tego samego popołudnia zadzwonił do Gwen. W Nowym Jorku był wczesny poranek. Gwen złożyła mu życzenia urodzinowe i powiedziała, że czekała na jego telefon.

- Jak masz zamiar świętować swoje urodziny?

- Dzisiaj pracuję. Świętowałem wczoraj w nocy.

- Co robiłeś?

- Pojeździliśmy po Hamburgu z przyjaciółmi - odparł.

- To wszystko?

- Kilka godzin spędziliśmy w parku miejskim, rozmawiając o sensie życia. No wiesz, takie tam.

- Ale z ciebie nudziarz! Masz pięćdziesiąt lat, jeszcze nie jesteś trupem! Powinieneś się zabawić.

- Tęsknię za tobą, Gwen.

- Ja za tobą też. Kiedy wracasz do domu?

- Odkryliśmy w Zurychu pewne konto bankowe, któremu trzeba się dokładniej przyjrzeć, więc kilka dni zabawię w Szwajcarii. Kiedy się zorientuję w sytuacji i będę wiedział, ile to potrwa, dam ci znać.

- Dorwiesz go? - zapytała Gwen.

- Przecież jestem tylko biegłym rewidentem, a nie supermenem - przypomniał.

Porozmawiali jeszcze przez kilka minut na temat tego, co się dzieje w Nowym Jorku. Wczoraj pewna galeria zaproponowała Gwen zrobienie dużej retrospektywnej wystawy jej prac.

- To bardzo miłe z ich strony, ale... retrospektywa? Jeszcze nie jestem taka stara! - oświadczyła z urazą w głosie. - A może jestem?

- Wystawa retrospektywna będzie ci się należeć za trzydzieści lat - odparł.

- A jak to jest w środowisku księgowych? Pięćdziesiątka na karku to starość?

- Skądże. Wtedy jest się w kwiecie wieku!

Po rozmowie z Gwen pojawił się Brian Compton. Zdał mu raport na temat sytuacji w Hamburgu. Policja znalazła ciało agenta Jima Randala w mieszkaniu oddalonym o kilometr od miejsca, w którym został porwany. Nie przeprowadzono jeszcze autopsji, ale śmierć prawdopodobnie spowodował pojedynczy strzał w głowę. Czysta robota. Z bazy lotniczej Ramstein były lepsze wiadomości. Josh Sutter przeszedł operację i lekarze są dobrej myśli. Jeśli chodzi o sprawy związane stricte z CIA, stracili kryjówkę w klubie Dale'a Perry'ego, udało się natomiast odzyskać laptop i bagaże Malloya.

Thomas zapytał o policjantów. Czy któryś został ranny? Agent powiedział, że było kilka obrażeń, głównie uszkodzeń kręgów szyjnych, ale żadnych ran postrzałowych. Z wyjątkiem Hugona Ohlendorfa w całej akcji zginęło tylko kilku kryminalistów z Hamburga. Compton przedstawił pokrótce ofiary, między innymi kobietę zastrzeloną podczas akcji w mieszkaniu. Miała bogata kartotekę, w której znaleźć można było także morderstwa i przestępstwa z bronią w ręku. Wszystkie ofiary były notowane, i to nie raz. Wszyscy pochodzili z Hamburga, z wyjątkiem jednego berlińczyka. Byli to ludzie, których Hugo Ohlendorf mógł zatrudnić przez pośrednika, jakim kiedyś był Xenon. Żadna z tych osób nie wyglądała jednak na specjalistę, o którym wspomniał prawnik.

- Zgodnie z przewidywaniami - poinformował Compton władze niemieckie żądają aresztowania oraz ekstradycji pracownika Departamentu Stanu, pana Thomasa, oraz agenta specjalnego rui. Joshui Suttera.

- Jak sobie z tym poradzimy? - zapytał Malloy.

- Charlie Winger zarządził, że w zamian damy Niemcom tych dwoje od Dale'a. Malloy z całych sił zmusił się, by wyglądać, jakby ta informacja nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

- Czy to już załatwione? - zapytał obojętnym tonem.

- Okazało się, że ich zgubiliśmy.

- Dlaczego nie wysłaliście nikogo, żeby ich śledził? - Malloy postarał się. by w jego głosie zabrzmiało zdziwienie z delikatną nutą rozczarowania.

Compton spuścił głowę.

- Śledziliśmy ich na podstawie sygnałów z nadajnika, który przyczepiłem dziewczynie. Trop prowadził na dworzec we Frankfurcie. Okazało się, że podrzuciła nadajnik jakiemuś niemieckiemu biznesmenowi.

- Spartaczona robota - prychnął Malloy. - Mówiłem, że są nieźli. Myślałem, że jesteś na tyle inteligentny, by wysłać za nimi jakichś ludzi, a nie siedzieć i gapić się w ekranik.

- Nie było na to czasu! - bronił się Compton.

- Kiepska wymówka.

- Byliśmy gotowi przyskrzynić ich na dworcu we Frankfurcie. Nie wiesz przypadkiem, dokąd się naprawdę udali?

- Gdybym wiedział, to bym powiedział.

Compton wbił w Malloya spojrzenie. Nie wierzył mu.

- Jeśli któreś z nich się z tobą skontaktuje, T.K.. to...

- To będziesz pierwszą osobą, która się o tym dowie.

9

Drezno, niedziela 9 marca 2008

Malloy dzięki uprzejmości ambasady dostał świeże ubrania, włożył nową kamizelkę kuloodporną, a za pazuchą długiego, zimowego płaszcza schował pistolet maszynowy Uzi. Do walizki wrzucił pięćset naboii razem ze szczoteczką do zębów, maszynką do golenia, zapasowymi ubraniami, laptopem oraz butelką szkockiej, którą zgarnął komuś z biurka w ambasadzie.

Ochroniarz zawiózł go prosto do Drezna.

O tym, że Malloy oraz Brandowie zdołali uciec, Helena Chernoff dowiedziała się późnym rankiem w niedzielę, kiedy dostała telefon od swojej wtyczki w hamburskiej policji. Namierzyła Malloya na podstawie sygnału jego komórki, której numer zdobyła z telefonu Dale'a Perry'ego. Okazało się, że Malloy jest w trasie. Kilka godzin jazdy na południowy wschód od Hamburga.

David Carlisle niebawem odlatywał do Nowego Jorku, a Ohlendorf został wyeliminowany. Helena Chernoff została nagle sama. Wiedziała, że Malloy ze

względów bezpieczeństwa wkrótce wyrzuci swój telefon i sprawi sobie nowy. Nie będzie więc mogła namierzać go w nieskończoność. Miała kontakty w Berlinie, ale nie była w stanie tak prędko zmontować ekipy, która zajmie się pościgiem. Śledziła więc sama jego sygnał, który zniknął, kiedy Malloy dotarł do ambasady amerykańskiej w Berlinie.

Chernoff spodziewała się tego. Jednak, ku swojemu zdumieniu odkryła, że po kilku godzinach sygnał znowu się uaktywnił. Malloy zaczął się przemieszczać. Ruszyła za nim. W Dreźnie jego auto wjechało do podziemnego parkingu pod dworcem kolejowym. Kilka minut później razem z ochroniarzem poszli do dworcowej restauracji. Chernoff pomyślała, że Malloy najwidoczniej ma zamiar wsiąść w pociąg. Oczywiście mógł to zrobić już w Berlinie, ale Drezno było o wiele lepszym miejscem dla kogoś, kto czuł, że jego życie jest nadal zagrożone. Późnym wieczorem w niedzielę na dworcu nie ma zbyt wielu ludzi. Chernoff uznała, że jakakolwiek akcja w tym miejscu odpada. Zbyt łatwo mógłby ją wypatrzeć. W Berlinie, dzięki wiecznym tłumom, zabójca mógł podejść do ofiary niemal niezauważony. W Dreźnie nie mogła wykorzystać tego handicapu.

Wreszcie zobaczyła, że Malloy z ochroniarzem u swego boku opuścił restaurację i wszedł na otwartą przestrzeń. Wyjął walizkę ze schowka w przechowalni, a następnie wjechał ruchomymi schodami na peron. Jego ochroniarz wyglądał na pracownika rządowego. Obaj mieli na sobie identyczne długie zimowe płaszcze. Chernoff przypuszczała, że pod nimi mają broń oraz kamizelki kuloodporne. Przyjrzała się dokładnie twarzy ochroniarza, żeby potem nie było żadnych niespodzianek, ale okazało się, że to zbędne. Po odeskortowaniu Malloya na peron, ochroniarz wrócił na halę główną, a następnie opuścił dworzec. Kilka

minut później zobaczyła, że na peron podjeżdża pociąg międzynarodowy, a Malloy wskakuje do wagonu sypialnego pierwszej klasy.

Chernoff wróciła do swojego wozu. Sprawdziła w Inter-necie rozkład jazdy pociągu, do którego wsiadł Malloy. Następnego ranka miał być w Zurychu.

- Mówiłaś, że nie ma możliwości, żeby uciekli! - pieklił się Carlisle, mając na myśli zasadzkę w Hamburgu.

- Davidzie, nic nie rozumiesz - powiedziała Chernoff. Jechała swoim autem na zachód.

- Nie, doskonale rozumiem. Masz szansę wreszcie sprzątnąć Malloya i chcesz się dowiedzieć, ile jeszcze kasy możesz ode mnie wyciągnąć! - rzucił gniewnie do słuchawki.

- Nie interesują mnie pieniądze.

Carlisle zamilkł. Dopiero po chwili znowu się odezwał:

- To czego chcesz? - zapytał.

- Siatki Ohlendorfa.

Hugo Ohlendorf stał na czele wyjątkowo dochodowej organizacji, której wpływy sięgały od Oslo aż po Budapeszt. W zakres jej zainteresowań wchodził handel narkotykami, prostytutka, kradzieże, piractwo. Dla kontrastu, organizacje Davida Carlisle'a i Luki Bartolego pod względem struktury bardziej przypominały gangi. Mogli się za to pochwalić o wiele lepiej wyszkolonym personelem i dlatego za swe usługi żądali o wiele większych sum. Ohlendorf wypadł z gry. Carlisle prawdopodobnie przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny zachodził w głowę, jak przejąć lwią część jego zarobków - i zrobić to zupełnie niepostrzeżenie. Na pewno jego intencją nie było wyprowadzenie z równowagi Chernoff ani Luki Bartolego, którzy w tym momencie byli jedynymi nadal aktywnymi graczami.

Teraz Chernoff zapędziła Carlisle'a w kozi róg. Jeśli faktycznie chce jak najprędzej dorwać Malloya - a wiedziała, że chce, i to bardzo - to będzie musiał jej za to zapłacić.

Z jednej strony Carlisle ostrzył sobie zęby na profity Ohlendorfa, ale z drugiej trafiła go świadomość, że jego własna siatka może zostać wkrótce zniszczona. Wystarczy, że Malloy przeżyje następną noc i zrobi to, co zamierza. Dlatego priorytetem było go sprzątnąć. Po chwili namysłu powiedział:

- Wiesz, że nie decyduję o takich rzeczach sam. Będzie musiało się odbyć głosowanie. Musimy wspólnie ustalić, co zrobić z zyskami Ohlendorfa.

Chernoff spodziewała się takiej odpowiedzi.

- To ty masz kontrolę nad głosowaniem, Davidzie. Zawsze ją miałeś.

- Luca nie odda ci za darmo działki Ohlendorfa.

- W takim razie daj mu coś - zasugerowała Chernoff. - Znasz moją cenę. Albo płacisz, albo sam sobie szukaj Malloya. Jeśli jeszcze nie jest za późno.

- Dlatego chciałem, żebyś załatwiła Malloya, kiedy jeszcze ścigał Farrel-la! - krzyknął do słuchawki.

- Pociąg, do którego wsiadł Malloy, opuścił już stację. Chcesz, żebym pozwoliła mu odjechać?

Carlisle znowu zamilkł. Kalkulował, ile będzie go kosztowało udobruchanie Bartolego.

- Zgoda - powiedział wreszcie. - Dostaniesz siatkę Ohlendorfa, jeśli jeszcze dziś w nocy sprzątniesz Malloya.

Berlin, Niemcy, lato 1935

Otto Rahn przez ponad dziesięć lat miał się prac będących poniżej jego godności tylko po to, by móc przez miesiąc lub dwa prowadzić swoje badania za granicą. Przez lata z trudem znajdował czas, by pisać. Nagle, jak za sprawą czarów, los się do niego uśmiechnął! Od tej pory będzie żył na poziomie. Będzie miał fundusze na badania. Będzie mógł kupić każdą książkę, której zapragnie. Zdobędzie dostęp do wszystkich bibliotek w całej Europie. Będzie miał własny gabinet oraz sekretarkę, a nawet pomocników, którzy będą wedle jego życzenia przynosić mu zamówione książki, raporty, a nawet kawę! A przede wszystkim - i to właśnie cieszyło go najbardziej - nikt nie będzie mu rozkazywał. Reichsführer obiecał mu zupełną niezależność. Który pisarz byłby na tyle głupi, by odrzucić tak wspaniałą propozycję?

Po kilku tygodniach od wizyty u Himmlera Rahn osiedlił się w Berlinie. Każdego dnia szedł do swojego gabinetu. Mógł tam siedzieć cały dzień albo zaledwie kilka godzin. Mógł przychodzić o świcie albo późnym popołudniem. Nawiązał kontakty z innymi cywilami z SS i był zdumiony, gdy się okazało, że wszyscy czytali jego książkę. Jak to możliwe? Himmler wręczył ją swoim podwładnym w ramach prezentu.

Pewnego ranka, kiedy zajęty był planowaniem badań dotyczących nowego projektu, nad którym pracował, a mianowicie historii najważniejszych arystokratycznych rodzin w Europie, usłyszał nagle znajomy głos w sekretariacie.

- Czy można się zobaczyć z doktorem Rahnem? Zabiorę mu dosłownie kilka minut.

Sekretarka odpowiedziała, że nie wie, czy w tej chwili wolno przeszkadzać doktorowi Rahnowi. On bardzo nie lubi, gdy się wybija go z rytmu pracy. Rahna rozbawiła ta uwaga. Jego sekretarka była młodsiutką dziewczyną, ale miała tupet i

świetnie chroniła go przed intruzami i wszelkimi niepożądanymi czynnikami zewnętrznymi. Rahn wyszedł ze swojego gabinetu. Dieter Bachman miał na sobie mundur majora SS. Jak zwykle garbił się, a jego cera była niezdrowo blada. Jedyne różnica, jaką zauważył u niego, to kilka dodatkowych kilogramów.

- Dieter? - powiedział Otto. Nie próbował ukryć swojego zdziwienia ani nie silił się na uśmiech.

- Otto, mój przyjacielu! - zawołał Bachman, wzruszony i pełen uczucia. Zachowywał się tak, jakby nic między nimi się nie stało. - Mam nadzieję, że wybaczysz mi moją niespodziewaną wizytę. Nie mogłem się doczekać, by cię znowu

zobaczyć! Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem szczęśliwy, że dołączyłeś do ekipy Reichsführera!

- Miło mi to słyszeć - odparł Rahn. Nie był tak naiwny, by uwierzyć w teatrzyk Bachmana. Udawał jego przyjaciela, choć obaj wiedzieli, że nie ma to nic wspólnego z prawdą.

Bachman uściskał jego dłoń.

- Tak dawno się nie widzieliśmy! Przyszedłem w złym momencie? Myślałem, że moglibyśmy przez chwilę porozmawiać.

- Ależ naturalnie - zgodził się Rahn. - Zapraszam do mojego gabinetu.

Za zamkniętymi drzwiami, już bez świadków, Bachman nie przestawał zachowywać się w entuzjastyczny sposób. Rahn był wytrącony z równowagi i zaintrygowany.

- Powiedziałem Elizie o twojej karierze! Ona też cieszy się z twojego sukcesu, Otto.

- A co u niej? Mam nadzieję, że nie narzeka na zdrowie? - zapytał ostrożnie Rahn.

- Bynajmniej! Macierzyństwo sprawiło, że na nowo rozkwitła!

- To znaczy... że urodziło się wam dziecko? - Rahn poczuł, że kręci mu się w głowie. W jednej sekundzie poczuł, jakby coś się skończyło. Na zawsze. Z drugiej strony, przecież minęły już trzy lata. Eliza miała prawo do normalnego życia.

- Tak! Mamy najpiękniejszą córeczkę na świecie.

- To wspaniale, Dieter! - Rahn próbował się uśmiechnąć ale nie potrafił. Poczuł przyływ mdłości. - Cieszę się waszym szczęściem.

- Macierzyństwo odmienia kobietę, Otto. Dla Elizy bycie matką to... to cały jej świat! Śmiem twierdzić, że pierwszy raz w ciągu naszego małżeństwa Eliza jest szczęśliwa.

Te słowa były ciosem prosto w serce Rahna. Ciosem ostatecznym, takim jakim dobija się ranne zwierzę. Eliza należała teraz w całości do swojego męża. Rahn już nie będzie w stanie zmienić jej zdania. Klamka zapadła. Eliza miała dziecko, nowe życie, swój świat, który nie miał z nim nic wspólnego. To dlatego Bachman przyszedł tu do niego obwieścić mu dobre nowiny. To dlatego z jego twarzy nie schodził uśmiech! Chciał pokazać Rahnowi, że to on, Bachman, wygrał.

- Wygląda na to - powiedział Rahn z uśmiechem, który sprawiał mu nieznośny ból - że ojcostwo także ciebie zupełnie odmieniło!

- No cóż, człowiek zaczyna myśleć innymi kategoriami. Zmieniają się jego priorytety. Sara to mój skarb! Mój Święty Graal, światło mojego życia!

- Powiedz mi coś - zaczął Rahn przyciszonym głosem. Chciał zmienić temat, zanim zemdleje. - Czy to ty polecieś moją książkę Himmlerowi?

- Herr Himmler zakochał się w twojej książce, Otto. Jest wielbicielem twojej twórczości!

- To już wiem - odparł Otto. - Od niego samego. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Przez twarz Bachmana przebiegł skurcz, choć jego uśmiech ani na sekundę nie przygasł.

- Wielu ludzi wciska Himmlerowi różne książki, w nadziei, że któraś z nich mu się spodoba. Ty zasłużyłeś sobie na jego uwagę dzięki swojemu talentowi, przyjacielu, a nie dzięki mnie. Ja tylko dałem mu egzemplarz twojej książki. Nie mam nic wspólnego z twoim awansem i zawrotną karierą!

- Co mu o mnie powiedziałaś, Dieter?

- Powiedziałem, że jesteś prawdziwym katarem. Człowiekiem, który raczej da się pochłonać płomieniom inkwizycji, niż wyrzeknie się swojej wiary i prawdy!

Słowa Dietera wzruszyły Rahna. Jeśli w ten sposób odpłacił mu za zdradę, to był kimś naprawdę wyjątkowym - prawdziwym przyjacielem.

- Mam wobec ciebie dług wdzięczności - wydusił z siebie nieco drżącym głosem.

- Nonsens, mój drogi!

- Mówię poważnie. O cokolwiek mnie poprosisz, spełnię twoje życzenie.

- W takim razie - zaczął Bachman z dziwnym błyskiem w oczach - zjedz kolację ze mną i Elizą. W sobotę wieczorem. Może być?

- Kolację? - Rahn poczuł nagły przypływ irracjonalnej paniki. Bachman zapewniał go, że Eliza z przyjemnością się z nim zobaczy. Otto był jednak przekonany, że to nieprawda. Nie przeżyłby wyrazu niechęci malującej się na jej

twarży na jego widok. Z drugiej strony obiecał Bachmanowi, że zrobi dla niego wszystko...

Jeśli nawet Bachman zauważył paniczną reakcję Rahna, postanowił ją zignorować.

- Drogi Otto, Eliza i ja chcemy zakopać topór wojenny. Pragniemy na powrót odnowić przyjaźń z tobą. Oczywiście chcielibyśmy też, abyś zobaczył naszą piękną córeczkę!

Rahn nie miał żadnej wymówki, żeby się nie zgodzić. Przyjął więc zaproszenie z udawanym entuzjazmem. Dopiero później zaczął się martwić. Zdaniem Bachmana Eliza z przyjemnością się z nim zobaczy, ale czy naprawdę? Pewnie przez cały wieczór będzie albo ignorować Rahna, albo traktować go z obojętnością. Uśmiechać się sztucznie...

Czy tak jak Bachman będzie udawała, że nic się między nimi nie wydarzyło? Być może w pewnym momencie wyzna mu, że żałuje ich romansu. A kiedy to zrobi, jak powinien się zachować? Zgodzić się, że był to straszny błąd? Cokolwiek powie, zdradzi go jego ton. Będzie widać, że jest urażony.

Gdy ubierał się na kolację do Bachmanów, pomyślał krótko, że mógłby nie pójść i wysłać liścik z przeprosinami. Jeszcze nie było za późno na taką decyzję. Starannie przemyślana notatka z bukietem kwiatów powinna załatwić sprawę. Tak naprawdę nic nie łączyło go z Bachmanami. A jeśli Dieter był naprawdę taki życzliwy, nie powinien robić z tego problemu.

Ale przecież właściwie taki wspólny wieczór również od niego nie będzie wymagał niczego innego, jak tylko życzliwości. Musi być zwyczajnie uprzejmy i stawić czoło konsekwencjom. Może po prostu pójść tam i mieć to już z głowy?

Był przekonany, że pierwsza wizyta będzie zarazem ostatnią. Poza tym cały czas się zastanawiał, czy Eliza się zmieniła...

Czy naprawdę się zmieniła.

Niemcy, niedziela, 9 marca 2008

Przejazd z Drezna do Erfurtu zajął Helenie Chernoff zaledwie godzinę. Dzięki temu mogła zostawić auto na publicznym parkingu nieopodal dworca kolejowego, a potem wziąć taksówkę do Weimaru, przez który dopiero co przejeżdżała. Tam kupiła bilet i czekała na swój nocny pociąg. Od stacji w Weimarze do Erfurtu będzie miała osiemnaście minut. Osiemnaście minut na to, żeby znaleźć przedział, w którym jedzie Malloy, zabić go, a następnie opuścić pociąg. Zanim ktokolwiek zauważy ciało, Chernoff będzie już przekraczać czeską granicę.

Włożyła kapelusz, aby zakryć twarz, a dla zachowania pozorów wzięła ze sobą pospiesznie opróżnioną walizkę. Czekiła w cieniu na przyjazd pociągu. Kiedy się zatrzymał na peronie, weszła do szóstego wagonu, licząc od tego, który zajmował Malloy. W pociągu od razu pozbyła się walizki. Przechodząc przez korytarze kolejnych wagonów, patrzyła na twarze mijanych pasażerów, ale nic nie wzbudziło jej podejrzeń. Wagon pierwszej klasy składał się z trzech oddzielnych segmentów. Dwa znajdowały się na niższym poziomie, a jeden na wyższym. Drzwi były numerowane, ale bez karteczek z nazwiskami, za to w każdym z nich, niestety, był judasz, przez który pasażer mógł sprawdzić, kto stoi przed drzwiami.

Chernoff przeszła na sam koniec wagonu, gdzie w małej kabinie znalazła stewarda.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał dość lekceważącym tonem. Chernoff wyciągnęła odznakę policyjną.

- Policja z Hamburga. Interesuje mnie pewien pasażer, który podróżuje tym pociągiem. Chciałabym jednak zachować dyskrecję - powiedziała.

- Oczywiście, pani oficer! - odparł steward, którego stosunek do przedstawicielki prawa zmienił się momentalnie.

- Mężczyzna, podróżuje sam - uściśliła.

- Aktualnie w wagonie jest czterech takich pasażerów. Wie pani, jak on się nazywa?

- Tak, ale prawdopodobnie podróżuje pod fałszywym na zwiskiem - poinformowała.

Steward chwilę pomyślał, a potem powiedział:

- Mam karty identyfikacyjne wszystkich pasażerów z tego wagonu. Chce pani rzucić na nie okiem?

Helena spojrzała na listę pasażerów i wybrała kartę Francuza.

- To on - rzekła.

- *Monsieur Dupin*? Wszelkie formalności związane z jego podróżą załatwiła ambasada amerykańska w Berlinie! Czy na pewno o niego pani chodzi?

Chernoff skinęła głową.

- Podejrzewamy, że to on jest odpowiedzialny za wydarzenia z ubiegłej nocy w Hamburgu.

Ta wiadomość zelektryzowała młodego człowieka. Wyjął plan wagonu, po czym wskazał przedział numer 106. Chernoff cofnęła się o krok. Steward był raczej wątłej postury, nie miała więc problemu z podniesieniem jego brody szybkim, delikatnym ruchem. Zanim zrozumiał, co się dzieje, poderżnęła mu gardło i przewróciła na podłogę. Kiedy mężczyzna nadal jeszcze wił się w konwulsjach, Chernoff podziwiała dziwne wzory, jakie na ścianie zostawiła krew. Przyłożyła rękę do zakrwawionej ściany, aby policja nie miała wątpliwości, kto dokonał mordu. Na koniec wytarła ostrze noża i swoje palce o uniform stewarda.

Wyłączyła światło w jego kabinie, przeszła korytarzem i znalazła przedział numer 106 w górnej części wagonu. Przyłożyła odznakę do judasza i zapukała do drzwi lufą pistoletu z tłumikiem. Malloy odezwał się zaspanym głosem.

- Kto tam? - zapytał po niemiecku z francuskim akcentem. Zapukała raz jeszcze.

- *Ein Moment.*

Na dźwięk otwieranego zamka Chernoff zaczęła strzelać przez cienką przegródkę. Strzeliła pięć razy. Przy czwartym strzale usłyszała jęk, a potem odgłos ciała padającego na podłogę. Pchnęła drzwi, zdecydowana zakończyć całą tę sprawę z Malloyem raz na zawsze.

Steward pojawił się o dziewiątej piętnaście, tuż po tym, jak pociąg ruszył z dworca. Sprawdził bilet Malloya i zabrał jego kartę identyfikacyjną. Malloy podróżował pod fałszywym nazwiskiem Dupin, którego nie używał już od wielu lat.

Steward obiecał oddać kartę przy śniadaniu, przekazał pasażerowi gratisową butelkę wina oraz życzył dobrej nocy.

Malloy zamknął drzwi i rozgościł się w przedziale. Przez jakiś czas próbował analizować to, co się wydarzyło w Hamburgu, ale po kilku minutach poczuł, że jest zbyt zmęczony, a brak dystansu do wczorajszych wydarzeń sprawiał, że myślenie o nich nie miało zbyt wiele sensu. Wkrótce uspiło go monotonne kołysanie pociągu. Przebudził się na krótko na jednym z postojów. Zerknął na zegarek, było nadal wcześnie. Siedział na podłodze. Pomyślał sobie, że powinien zachować przytomność, ale gdy pociąg ruszył i znowu zaczął łagodnie kołysać, Malloy ponownie odpłynął w sen. Kwadrans po jedenastej pociąg zatrzymał się w Weimarze. Wstał, by spojrzeć na peron, ale ujrzał jedynie czarne kontury miasta na tle nocnego nieba.

Kiedy pociąg znowu ruszył, usiadł z powrotem na podłodze. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. W mgnieniu oka się rozbudził. Leżąc płasko na podłodze, zawołał:

- Kto tam?

Zamiast odpowiedzi ponownie usłyszał pukanie.

Już wcześniej położył na stoliku walizkę i przywiązał ją sznurkiem, który trzymał pod ręką. W razie czego pociągnie za sznurek, wtedy walizka spadnie na krzesło, a potem na podłogę, z odgłosem - jak miał nadzieję - upadającego ciała. W prawej ręce trzymał kurczowo paralizator.

- Chwileczkę! - zawołał.

Sięgnął ręką do zamka i nagle wpadł w panikę. Wiedział, że Chernoff albo wtargnie jak burza, albo zacznie od razu strzelać. Przekreślił zamek i zobaczył, jak pociski dziurawią drzwi. Wydał odgłos, który miał naśladować jęk trafionego.

Szarpnął za sznurek przywiązany do walizki. Pięć strzałów z broni niemal obróciło w perzynę drzwi przedziału.

Malloy najpierw zobaczył wsuwającą się lufę pistoletu z tłumikiem. Kiedy pojawiła się noga Chernoff, użył paralizatora. Efekt był natychmiastowy. Kobieta upuściła broń i runęła na ziemię. Próbowwała wstać, ale Malloy podbiegł do niej i znokautował ją jednym uderzeniem pięścią. Zarejestrował wzrokiem odznakę detektywa z Hamburga, kapelusz oraz kilka łusek. Wyrwał jej odznakę i zaczął podnosić nieprzytomne ciało Chernoff z podłogi korytarza. Nagle otworzyły się drzwi i ubrany w piżamę pasażer z przedziału znajdującego się tuż pod przedziałem Malloya zapytał po niemiecku:

-Co tu się dzieje? Malloy pokazał mu odznakę.

-Akcja policyjna! Proszę wracać do swojego przedziału! - zawołał również po niemiecku.

Otworzyły się kolejne drzwi, tym razem w przedziale obok. Mężczyzna w szlafroku gapił się na Malloya trzymającego w ramionach nieprzytomną kobietę.

-Proszę wracać do siebie! - nakazał Malloy, wymachując odznaką. - Interwencja policyjna!

Obaj pasażerowie się zmyli. Malloy wygiął rękę Chernoff za plecy i wepchnął kobietę do swojego przedziału. W środku zakuł ją w kajdanki i zaczął przeszukiwać. Znalazł nóż z zakrwawioną rączką. Krew była świeża. Rzucił Chernoff na łóżko, związał jej kostki linką, a usta zatkał kawałkiem prześcieradła, żeby po odzyskaniu przytomności nie zaczęła wyć.

Wrócił na korytarz i zauważył kolejnego ciekawskiego. Uniósł odznakę i kazał mu wracać do przedziału. Poszedł do kabiny stewarda. Było tam ciemno, ale kiedy otworzył drzwi i zapalił światło, zobaczył go leżącego na podłodze. Zgasił światło

i wrócił do swojego przedziału. Przez okno ujrzał światła miasta. Miał nadzieję, że w ciągu kilku najbliższych minut dotrą do jakiejś stacji. Szkoda, że nie nauczył się na pamięć rozkładu jazdy.

Kapelusz oraz puste łuski zostawił na podłodze. Otworzyły się kolejne drzwi. Malloy podszedł do nich pewnym krokiem.

- Proszę nie wychodzić! Interwencja policyjna!

Wiedział, że wcześniej czy później ktoś zadzwoni na policję. Znowu popatrzył przez okno, a potem na Chernoff. Obserwowała go swoimi ciemnymi, poważnymi oczami. Nawet w kajdankach była przerażająca i przemknęło mu przez myśl, że być może powinien ją zabić.

Zerknął na zegarek, a potem na rozkład jazdy. Powinni dojechać do stacji za cztery minuty. Wyjął swoją komórkę.

- Słucham? - usłyszał głos Jane, a w tle ludzi w restauracji.

- Zadzwoń do Niemców. Powiedz im, że Helena Chernoff jedzie pociągiem z Drezna do Zurychu. W tej chwili jest obezwładniona i bezpieczna w przedziale numer 106 wagonu pierwszej klasy, ale jeśli się nie pośpieszą, jakiś dobry samarytanin może pomóc jej uciec.

- Gdzie jesteś?

- Wjeżdżamy do Erfurtu.

- Nie mógłbyś w jakiś sposób dowieźć jej do Frankfurtu? - zapytała Jane.

- Frankfurt jest daleko stąd. Będę miał szczęście, jeśli uda mi się wysiąść w Erfurcie. Może Niemcy mogliby wykazać odrobinę dobrej woli?

- Jesteś już na dworcu?

- Za kilka minut będę.

- Czy orientujesz się, co ta pani może nam wyśpiewać, T.K.?

- Obawiam się, że kiedy wreszcie uda nam się ją złamać, to co powie, nie będzie już wiele warte - odparł Malloy.

- Mimo wszystko chciałabym spróbować...

- Zadzwoń do nich, Jane. I niech się pośpieszą.

Nowy Jork niedziela, 9 marca 2008

David Carlisle wyleciał z Hamburga o szóstej rano prywatnym odrzutowcem. Poprzedniej nocy nie zmrużył oka, więc przespał cały lot. Kilka minut po dziesiątej rano czasu wschodnioamerykańskiego wylądował na lotnisku JFK.

Gdy jechał limuzyną z lotniska, wyjął telefon komórkowy. Nieodebrane połączenie od Heleny Chernoff. Miał bardzo mało czasu, więc oddzwonił do niej dopiero po lunchu, wchodząc na dworzec Grand Central. Kiedy Chernoff oznajmiła mu, że Brandowie i Malloy wymknęli się z zasadzki na tyłach baru Światła Gwiazd, jego pierwszą reakcją był gniew. A potem zaczął myśleć, jakie będą konsekwencje tej porażki.

Ale Chernoff udało się wytropić Malloya w Dreźnie, musiał więc zgodzić się na jej warunki. Miała rację, jeśli chodzi o głosowanie. Mógł wynegocjować porozumienie z Lucą po prostu kusząc go odpowiednią sumą pieniędzy. Priorytetem było to, aby jego siatka pozostała bezpieczna. Nie podobało mu się jednak, że Helena Chernoff, przejmując działkę Ohlendorfa, zyskałaby znaczną władzę. Hugona dało się kontrolować. Łatwo było wywierać na niego presję, strasząc utratą reputacji. Kiedy Chernoff przejmie jego działkę, zmieni siatkę pomniejszych kryminalistów do wynajęcia w coś zupełnie innego - w coś, czego ani on, ani Luca

Bartoli nie będą w stanie nadzorować. Carlisle nie miał jednak wyboru. Nie mógł pozwolić na to, by Malloy znowu wkroczył do akcji.

Po rozmowie telefonicznej z Chernoff, udał się na spotkanie ze swoim wieloletnim informatorem, wysoko postawionym agentem FBI. Minęli się niczym nieznajomi. Carlisle niezauważalnie wziął od niego kluczyk do schowka. W środku znalazł wydrukowany plan trasy z lotniska JFK do miasta, kluczyki do motocykla, mundur patrolowy strażnika portowego oraz naładowaną służbową broń. Na kartce napisany był adres, gdzie może odebrać swój motor.

Erfurt, poniedziałek, 10 marca 2008

Malloy znalazł bmw zaparkowane nieopodal stacji kolejowej w Erfurcie. Stukł szybę i ukradł samochód. Na pierwszej głównej ulicy skręcił na południowy zachód, w kierunku Frankfurtu. Znowu zadzwonił do Jane.

- Muszę wymienić wóz we Frankfurcie. Ze względów bezpieczeństwa - powiedział.

Omówili szczegóły. Jane obiecała, że do niego oddzwoni. Odezwała się po dwudziestu minutach. Przy dworcu we Frankfurcie na Malloya będzie czekało nowe auto.

- Co u Chernoff? - zapytał.

- Z tego co zrozumiałam, Niemcy chcą zrobić nalot na pociąg w Eisenach. Za... pięć minut.

- Ciekawe, jak ona sobie z tym poradzi.

- To już nie nasze zmartwienie, T.K. Nie mam zamiaru przekazywać Niemcom naszych informacji na jej temat.

- O to chodzi. Wydaje mi się, że Chernoff chciała to załatwić jak najszybciej, żeby uniknąć jakiejś wpadki. Moim zdaniem wsiadła do pociągu w Weimarze, a wysiąść zamierzała w Erfurcie - to jakieś piętnaście, góra osiemnaście minut. Jeśli miała współnika z samochodem, to zapewni już dawno się ulotnił. Jeśli natomiast pracowała sama, to musiała zostawić wóz w Weimarze albo w Erfurcie. Ja stawiam na Erfurt - dodał.

- Niemcy sami do tego dojdą, T.K.

- W tej chwili nawet nie wiedzą, skąd Chernoff się tam wzięła i co planowała. To jasne, że na początku będzie szła w zaparte, wciskając im kit, że aresztowali niewłaściwą osobę, że to pomyłka. Pamiętaj, ona jest zawodowcem. Dzięki temu będziemy mieli około dwunastu godzin na odnalezienie jej auta, zanim Niemcy się do tego zabiorą. Chernoff straciła wielu swoich ludzi w sobotę wieczorem. A w samochodzie musiała mieć laptop, skoro śledziła mój sygnał z komórki.

- Dlaczego sądzisz, że zostawiła wóz w Erfurcie? - zapytała Jane.

- Bo tam zamierzała wysiąść z pociągu. O tak późnej godzinie mogłaby mieć problem ze znalezieniem taksówki. Woląa mieć auto w Erfurcie, niż wracać do Weimaru.

- Sprytnie - stwierdziła Jane. W jej głosie wyczuwało się podniecenie. Telefony komórkowe i laptopy były jej specjalnością.

Malloy znalazł rządowy SUV przy dworcu we Frankfurcie, porzucił więc kradziony wóz na poboczu. W ciągu niecałej godziny był już w Mannheim. Kiedy dojeżdżał do miasta, zadzwoniła Jane.

- Co słyhać? - zapytał.

- Szukamy kogoś, kto pojechałby do Erfurtu poszukać samochodu Cher-noff.
- Ale nie dlatego dzwonię. Pamiętasz Irinę Turner?
- Malloy zdziwił się, słysząc ni stąd ni zowąd to nazwisko.
- Masz na myśli sekretarkę Jack Farrella, którą porzucił w Barcelonie?
 - Tak. Trzy godziny temu wylądowała w Nowym Jorku w towarzystwie dwóch oficerów hiszpańskiej policji. Na lotnisku przeszli przez kontrolę i zostali przywitani przez dwóch agentów FBI. Nasi ludzie mieli odwiedzić Turner oraz Hiszpanów na Manhattan. Ale nagle straciliśmy z nimi kontakt.
 - Zaraz, zaraz. - Malloy był lekko zdezorientowany. - Chcesz powiedzieć, że Irina Turner załatwiła czterech oficerów federalnych, a potem rozplynęła się w powietrzu?
 - Może ktoś jej pomógł. W każdym razie, to nie taka pusta idiotka, jak sądzi-
liśmy.
 - Muszę się nad tym zastanowić - westchnął Malloy.
 - Tak myślałam. Jeśli przyjdzie ci coś do głowy, daj mi znać. Dzisiaj chyba nie uda mi się zmrużyć oka.

Bazylea, Szwajcaria poniedziałek 10 marca 2008

Malloy zaparkował SUV-a na dworcu w Offenburgu. Kluczyki zostawił w środku wozu, zgodnie z instrukcją, którą dostał. Kilka godzin później wyrzucił swój telefon komórkowy do śmietnika i z samego rana złapał pociąg przejeżdżający przez granicę do Bazylei w Szwajcarii. Tam kupił nowy telefon i wskoczył do pociągu jadącego do Zurychu. Na jego zegarku była dopiero dziesiąta rano, ale w

Stanach był środek nocy. Mimo to zadzwonił do Jane, tak jak mu kazała. Odebrała po pierwszym sygnale i wcale nie miała zaspanego głosu. Poinformował ją, że ma już nowy telefon.

- Znaleźliśmy wóz Chernoff - oświadczyła nagle.

- Świetnie! I co w nim było?

- Laptop, komórka, ubrania, fałszywe dokumenty, karty kredytowe, broń, amunicja i gotówka - skrupulatnie wyliczyła Jane.

- Pewnie jeszcze nie wspominałaś o tym Niemcom?

- Nie. Chcę najpierw zobaczyć, czy będą chętni podzielić się z nami informacjami wyciśniętymi z Chernoff podczas przesłuchań.

Drugi telefon Malloy wykonał do kapitana Marcusa Steinera z policji miejskiej w Zurychu.

- Thomas! - ucieszył się Marcus. - Miałem nadzieję, że się dziś odezwiesz!

- Właśnie wjeżdżam do miasta. Pomyślałem sobie, że może zjemy lunch w twoim ulubionym barze. Może być w samo południe?

- Naturalnie! Do zobaczenia - odparł Szwajcar.

Malloy opuścił dworzec wyjściem prowadzącym na Bahnhofstrasse i przeszedł kilkaset metrów do hotelu Gotthard. W recepcji zapytał szwajcarskim niemieckim, czy mają pokój do wynajęcia na tydzień. Recepcjonista grzebał dłuższy czas w komputerze, marszcząc czoło, a potem uśmiechnął się, jakby udało mu się ułożyć skomplikowane puzzle, i powiedział:

- Mogę panu dać ten sam pokój co ostatnim razem, Herr Stadler. Pasuje panu?

Malloy, który nie wspomniał swojego nazwiska, uśmiechnął się szeroko.

- Świetnie! Biorę - powiedział. W ciągu ostatniego roku był kilka razy w Zurychu, ale fałszywego nazwiska Stadler używał ostatnio w tym właśnie hotelu

jesienią 2006 roku. Zawsze był bardzo ostrożny, jeśli chodzi o wykorzystywanie różnych tożsamości. A ta sytuacja była najlepszym przykładem, jak łatwo można popełnić błąd. Co pomyślałby recepcjonista, który zapamiętał Herr Stadlera, gdyby Malloy przedstawił się zupełnie innym nazwiskiem? Wystarczył jeden fałszywy krok, zapomniana twarz, kelner albo urzędnik obdarzony dobrą pamięcią, jakiś przyjaciel przyjaciela i już można było mieć problemy. Czasami oznaczało to, że trzeba się pożegnać

z paszportem, a sprawienie sobie nowej tożsamości kosztuje bardzo dużo i trwa bardzo długo. Niekiedy taki błąd był nawet w stanie zdemaskować całą siatkę. Zdarzały się też ofiary w ludziach.

Szwajcarzy pod tym względem sprawiali wyjątkowo dużo problemów. Większość z nich trzymała się jednej pracy przez wiele lat, a nawet przez całe życie. Chlubili się tym, że oferują najwyższej jakości usługi. Czasami elementem tego profesjonalizmu było zapamiętywanie nazwisk klientów. Ten tutaj recepcjonista niewątpliwie był prawdziwym szwajcarskim zawodowcem.

Malloy otworzył portfel, znalazł kilka banknotów. Dał recepcjoniście sto euro. To nie wystarczało nawet na jeden nocleg w hotelu Gotthard.

- Bardzo dziękuję za życzliwość - oświadczył Malloy.

Recepcjonista był nieco zdezorientowany; nie wiedział, czy to zaliczka za pokój, czy napiwek.

- To dla pana, ale proszę o drobną przysługę - powiedział Malloy.

- Cokolwiek pan sobie życzy, panie Stadler.

- Proszę mi obiecać, że wyda pan te pieniądze na coś kompletnie niepraktycznego!

Recepcjonista wsunął napiwek do kieszeni i zawołał kogoś, by zastąpił go na chwilę na stanowisku.

- Zaprowadzę pana Stadlera do jego pokoju - poinformował kolegę.

Recepcjonista musiał się nieźle napocić, żeby wnieść walizę Malloya, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Przepraszam za bagaż. Ale tym razem zapakowałem trochę więcej amunicji.

Pan Hess, nowy przyjaciel Malloya, uśmiechnął się uprzejmie.

Malloy miał się spotkać z Marcusem Steinerem w pubie Jamesa Joyce'a, całkiem blisko hotelu Gotthard. Pub był luksusowym lokalem - wysokie ceny miały odstraszać niepożądaną klientelę. Malloy przyszedł pierwszy i usiadł na tyłach sali. Zamawiał właśnie piwo, gdy ujrzał Marcusa.

Poznali się przed czterdziestoma trzema laty na ulicy w Zurychu. W tamtym czasie Marcus nie mówił jeszcze ani słowa po angielsku. Malloy natomiast dopiero co przyjechał do Europy prosto ze Stanów i był w szoku, że wszyscy dokoła przemawiają w języku, którego ni w ząb nie rozumie. W ciągu kilku miesięcy nauczył się mówić szwajcarską odmianą niemieckiego i mógł już swobodnie rozmawiać ze swoim nowym przyjacielem. Przy okazji uczył się podstaw sztuki włamywania się do mieszkań. Miał zaledwie siedem lat, ale już zdążył zauważyć, że Szwajcarzy masowo przetrzymują pieniądze w różnych schowkach w swoich domach. Potrzebował jedynie współnika, który odwracał uwagę gospodarzy przy frontowych drzwiach, podczas gdy mały Malloy wchodził przez otwarte okno na tyłach domu. Gdy mieli po dziesięć lat obaj byli już zbyt znani w swojej dzielnicy, dlatego przerwali się do innych części miasta. Dwa lata później włamywali się do

mieszkań na całego i wynosili, co się dało. To było o wiele bardziej niebezpieczne, ale przynosiło nieporównywalnie większe zyski.

Kiedy rodzice postanowili wreszcie wrócić do Stanów, Thomas miał czternaście lat. Władał *Schweizerdeutsch* jak rodowity Szwajcar i znał wysokoniemiecki na tyle dobrze, by czytać i komunikować się w tym języku. Przede wszystkim jednak był już bardzo zdolnym i doświadczonym złodziejem. A wszystko to dzięki Marcusowi Steinerowi. Ich przyjaźń oczywiście nie przetrwała rozłąki. Nie byli fanami pisywania do siebie listów. W ciągu następnych dziesięciu lat obaj skupili się na swoim wykształceniu oraz znalezieniu porządnej pracy. Kiedy Malloy przyleciał do Zurychu na trzyletnie zlecenie jako agent wywiadu, w pierwszej kolejności zwerbował starego znajomego, Marcusa Steinera, który zdecydował się na karierę w policji! Jak twierdził, w policji dobrze płacą, dostaje się dodatkowe przywileje, a przede wszystkim jest się blisko świata przestępczego, czyli tego, co Marcus lubił najbardziej.

Po kilku minutach rozmowy na tematy osobiste i przedstawieniu przez Malloya skróconej wersji wydarzeń w Hamburgu obaj przyjaciele przeszli do konkretów. Thomas potrzebował na kilka dni ochroniarza. Steiner uniósł brew.

- Helena Chernoff wypadła już z gry, ale ktoś, kto ją wynajął, nadal grasuje na wolności - wyjaśnił Malloy.

Opracowali szczegóły, łącznie z sowitą zaliczką dla Marcusa, którą Malloy miał wpłacić na jego konto bankowe otwarte na fałszywe nazwisko. Potem Thomas zapytał przyjaciela, co wie o włoskiej mafii. Steiner był zbity z tropu. Wymienił nazwiska rodziny działających na północy, a zakończył, co było do

przewidzenia, wzmianką o starym Bartolim, który odgrywał chyba całkiem poważną rolę w strukturach tej organizacji.

- Czy Giancarlo Bartoli działa w Szwajcarii? - zapytał Malloy.

- On działa wszędzie, przyjacielu. Jest w zarządzie piętnastu lub nawet dwudziestu firm. Sam na własność posiada kolejne dwadzieścia.

- Ale w jaki sposób jest powiązany z mafią?

- Znam tylko plotki. Jeśli chcesz bardziej konkretnych informacji, proponuję skontaktować się z Hasanem - zasugerował Marcus.

Oczywiście Malloy sam wpadł na ten pomysł już dużo wcześniej, ale wolał najpierw usłyszeć co nieco od Marcu-sa. Jednak nieuniknionym następnym krokiem Malloya było skontaktowanie się z rosyjską mafią działającą w Zurychu.

- Możesz mnie z nimi umówić?

- Zobaczę, co da się zrobić.

- Świetnie. Aha, jeszcze jedna sprawa... - zaczął Malloy.

- Państwo Brandowie zatrzymali się w hotelu Savoy. Są pod opieką lekarza.

Żeby się do nich dostać, musisz pytać o Piotra Bartłomieja.

Malloy przez chwilę główkował, a potem się uśmiechnął.

- To facet, który znalazł Włócznie Przeznaczenia.

- Ethan mówił, że będziesz wiedział, o co chodzi - oparł Marcus.

- Jak się czują?

- Lekarz ciągle namawia ich na hospitalizację, ale oni nawet nie chcą o tym słyszeć. Kate powinna przez tydzień lub dwa leżeć w łóżku. Zgodziła się jedynie na kilka dni. Widziałem się z nimi dziś rano. Kate prosiła, żebym załatwił jej zestaw noży do rzucania.

- Żartujesz.

- Mówi, że rzucanie nożami do celu jest bardzo terapeutyczne.

Marcus zawiózł Malloya do jednego z banków, gdzie Amerykanin zrobił przelew pieniężny pokrywający koszt osobistej ochrony, którą mieli mu zapewnić funkcjonariusze policji w Zurychu - co prawda po godzinach służby, ale przecież nadal z tymi samymi uprawnieniami. Gdy Malloy wrócił do hotelu Gotthard, czekał już na niego ubrany po cywilnemu policjant, znajomy Marcusa.

W swoim pokoju Malloy zasłonił żaluzje i przespał się kilka godzin, nie zdejmując kamizelki kuloodpornej. Jego karabinek Uzi oraz dodatkowy magazynek leżały na podłodze obok łóżka. W tym czasie glina pilnował drzwi jego pokoju. Malloy obudził się o dziewiątej wieczorem, tylko dlatego, że zadzwonił Marcus.

- Spotkajmy się w Parku Igieł za godzinę. Szukaj znajomej twarzy - powiedział Steiner.

Malloy zamówił do pokoju kolację, którą przyniósł mu pan Hess. Następnie zadzwonił do Jane do jej biura. Sekretarka powiedziała, że szefowej nie ma, ale po chwili Jane oddzwoniła do niego na komórkę.

- Co u Josha Suttera? - zapytał.

- Jutro leci do domu.

- A Irina Tuner?

- Sześć godzin temu policja w Newark znalazła samochód, którym była przewożona, z czterema martwymi agentami w środku.

- Ona to zrobiła?

- Znalaziono porzucony na ulicy motocykl Straży Portowej. W tej chwili zakładamy, że ktoś podszył się pod funkcjonariusza i zatrzymał ich wóz. Ale to nie wszystko. Jest coś jeszcze gorszego.

- Co może być gorszego niż to? - zdziwił się Malloy. - FBI uważa, że ktoś ich biura na Manhattanie zdradził trasę samochodu, w którym eskortowana była Irina Turner.

- Zaraz, zaraz. Ktoś z FBI?

- Coś mi mówi, że to o wiele poważniejsza sprawa niż się wydawało na początku. Nie chodzi tylko o złapanie Jacka Farrella, który ukradł sobie trochę pieniędzy - odparła Jane.

- Coś nowego na temat Chernoff?

- Niemcy mówią, że milczy jak zakłeta. W laptopie znalazło się jednak trochę ciekawego materiału.

- Mogę dostać kopię wszystkiego, co było na twardym dysku?

- Prześlę te dane bezpieczną linią do Berna i jutro rano ktoś przyniesie ci je do hotelu.

Przez chwilę uzgadniali szczegóły, a potem Malloy zapytał:

- Znaleźliście coś na temat H. Langer - to fałszywe nazwisko, z którego Chernoff korzystała w Hamburgu. - Kiedy Jane nie odpowiedziała, Malloy przypomniał jej: - Miała konto w banku Sardis & Thurgau w Zurychu...

- Zgadza się! Skontaktowali się z nami wczoraj. Do końca ubiegłego roku na koncie było osiemset tysięcy franków szwajcarskich. Cała kwota została w pewnym momencie przelana na jakieś inne konto, do którego oczywiście nie mamy dostępu...

- Pod koniec ubiegłego roku, tak?

- Tak - potwierdziła Jane. - Myślisz, że to coś oznacza?

- Uważam, że Chernoff odkryła przed nami to fałszywe nazwisko na pokaz.

Berlin, Niemcy, jesień 1935

Bachman uściskał dłoń Rahna stojącego w progu ich domu, przywitał się z nim wylewnie, po czym zaprosił go do środka ich imponującej dziewiętnastowiecznej willi. Otto miał przy sobie bukiet polnych kwiatów dla Elizy oraz piękną lalkę bawarską dla dziecka. Oba prezenty wręczył Elizie, która powitała go w holu. Eliza podziękowała za kwiaty, a szczególnie za lalkę, która była prawdziwym unikatem.

- Sara będzie wniebowzięta!

Mówiła swobodnym tonem, zwracała się do Rahna jak do starego przyjaciela. Na przekór zapewnieniom Bachmana wcale się nie zmieniła, nic a nic! Nadal była zjawisko piękna. Szczupła i spokojna tak samo jak pierwszego dnia, kiedy się poznali. Zwracała się do Rahna po imieniu i zdawało się, że jego wizyta wprowadziła ją w dobry humor. Pocałowali się w policzek, jak członkowie rodziny lub bliscy przyjaciele. Ten chwilowy intymny kontakt przywołał w Rahnie dawne wspomnienia i jego serce na chwilę zamarło. Eliza natomiast przyjęła to zupełnie normalnie. W jej oczach było widać jedynie radość z tego, że oto nagle zobaczyła po latach starego przyjaciela. I to wszystko. Zaprowadziła go do stolika i usiadła na przeciwko niego, a kiedy Bachman wyszedł, by zająć się drinkami, powiedziała mu, że zaskoczyło ją, iż Rahn zgodził się dołączyć do świty Himmlera.

- Nigdy nie sądziłam, że któregoś dnia wmieszasz się w politykę... - wyznała.

- To nie jest posada polityczna - odparł. - Himmler po prostu jest moim mecenasem.

- I nic nie chce od ciebie w zamian? - w jej głosie po brzmiewało zdziwienie. A może sceptycyzm? Nie mógł rozszyfrować wyrazu jej twarzy.

- Nie bądźże niemądra, Elizo! - rzucił Bachman, wkraczając do salonu. Nie miał drinków. To znaczy, że cały czas stał za drzwiami i podsłuchiwał. -Himmler chce, aby Otto znalazł dla niego Świ ętego Graala!

Eliza uniosła brew.

- Tylko to? Taka błahostka? - zapytała. Cała trójka wybuchnęła śmiechem. Bachman wrócił do barku, by dokończyć nalewanie drinków.

- Bardzo podobała mi się twoja książka - powiedziała Eliza do Rahna. -To było jak czytanie jednego z twoich listów. Kiedy skończyłam czytać ostatnią stronę, od razu wróciłam na pierwszą i jeszcze raz przeczytałam wszystko od deski do deski.

Bachman wszedł do pokoju. Emanował zdenerwowaniem.

- Coś mi nie daje spokoju, Otto - oświadczył. - W tytule twojej książki jest Graal, ale w żadnym miejscu nie tłumaczysz, czym on jest! To trochę nie w porządku, nie uważasz?

Rahn już wcześniej spotkał się z podobnymi uwagami.

- Pomyślałem sobie, że zostawię ten temat na kolejną książkę - wyrecytował swoją standardową w takich sytuacjach odpowiedź.

- A więc masz jakąś teorię na temat Graala!

- Mam szereg teorii. Nie wiem tylko, która jest prawdziwa - odparł Rahn.

W tym momencie niania przyprowadziła córeczkę Bachmanów. Dziewczynka zjadła już kolację i była przebrana do spania. Spojrzała na Rahna. Była nieco zaskoczona, ale się nie przestraszyła.

- To wujek Otto - przedstawiła go Eliza córeczce.

Rahn pomyślał, że biorąc pod uwagę wiek dziewczynki, musiała zostać poczęta późnym latem 1932 roku. Czyli dokładnie wtedy, gdy on i Eliza zostali kochankami. Sara miała teraz nieco ponad dwa latka. Być może była dzieckiem

Bachmana, ale kompletnie go nie przypominała z wyglądu! Była podobna do jego żony - mała ciemnowłosa piękność. Rahn spojrział na Elizę, szukając w jej zachowaniu jakiegoś sygnału. Chciał, by w jakiś sposób dała mu znać, że to jego córka. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Zerknął więc na Bachmana, który po prostu wpatrywał się w małą jak w obrazek. Jeśli nawet Bachman miał jakieś wątpliwości co do tego, który z nich jest ojcem, to najwidoczniej była to dla niego nieistotna kwestia. Sara była jego dzieckiem - bez względu na wszystko.

Przy stole rozmowa krążyła wokół Langwedocji, która teraz, z perspektywy czasu, wydała im się innym światem, owianym mgłą tajemnicy. Czy Otto ma zamiar tam wrócić, pytali Bachmanowie. Rahn nie był na południu Francji od momentu, gdy wymknął się, pozostawiając za sobą hotel w stanie upadłości.

- Być może. Jeśli Herr Himmler każe mi szukać Graala.

- Musisz mu to zaproponować, a on na pewno się zgodzi! - powiedział

Bachman wesoło.

Po kolacji Dieter wrócił na szczęście do swojego ulubionego tematu, czyli polityki. Twierdził, że Niemcy cierpiały z powodu braku przywództwa. Hitler był jego zdaniem antidotum na ten problem. Wystarczy spojrzeć, jak zmienił się Berlin w ciągu trzech lat, odkąd został kanclerzem. Niesamowita metamorfoza! Nie było już śladu po zamieszkach i biedzie. Ludzie mieli znowu pracę.

- Nawet tacy jak ty, Otto! - zażartował Bachman. - A wiecie, co jest najbardziej niesamowite w tym wszystkim? To, że sytuacja przedstawia się tak samo we wszystkich innych miastach na terenie Niemiec! Jesteśmy naprawdę wspaniałym narodem!

Zanim Rahn wyszedł, Bachman oświadczył, że musi wreszcie coś wyjaśnić.

Eliza i Rahn momentalnie oblali się rumieńcem i wbili wzrok w ziemię. Bachman zaczął mówić o ich romansie.

- Moi drodzy, byliśmy ofiarami słabego i skorumpowanego rządu! - oświadczył. Rahn spojrzał na niego zdumiony. - To był kryzys ekonomiczny i moralny. Cóż więc dziwnego, że trochę się w tym pogubiliśmy? Straciliśmy poczucie tego, co dobre, a co złe, ponieważ brakowało nam prawdziwych autorytetów! Właśnie tak to widzę. Ale to już przeszłość! Myślę, że najwyższa pora, żebyśmy sobie nawzajem wybaczyli. Bądźmy znowu przyjaciółmi!

Rahn entuzjastycznie pokiwał głową. Raptem poczuł przyływ szczerego szacunku i podziwu dla męża Elizy. Nie tylko zaoferował przebaczenie, ale sam siebie również uznał za winnego. Nie było to łaskawe rozgrzeszenie, stawiające go moralnie ponad ich dwojgiem. Nie, Bachman brał na siebie część winy. A przede wszystkim odpowiedzialność za popełnione przez nich błędy spadała na innych: komunistów, Żydów, nieudolnych parlamentarzystów. Z kolei teraz, ze wspaniałym rządem, mogli zacząć wszystko od nowa. Dzięki Führerowi cała ich trójka, tak jak wszyscy Niemcy, odzyskała zdolność rozróżniania dobra od zła.

Po tym wieczorze przyjaźń Rahna z Bachmanami odżyła. Otto twierdził, że dzięki Dieterowi mógł rzucić pracę w szkole, co było równoznaczne z uratowaniem mu życia! Co więcej, Bachman nie okazywał ani odrobiny zazdrości.

Niemal co tydzień, zawsze w niedzielę, jedli razem kolację. Czasami też wybierali się gdzieś na drinka w czwartek lub piątek. Dieter, Eliza i Sara stali się rodziną Rahna. Sara zaczęła go nazywać wujkiem. Za każdym razem dzieliła się z nim nowinkami ze swego życia. Pokazywała mu nowe zabawki, nowe ubrania,

nowo odkryte miejsca. Zaczęła go nawet całować w policzek na powitanie oraz przed snem.

W pracy Bachman zadał sobie trud, by przedstawić Rahna ludziom z militarnej sekcji SS, którzy mogli się okazać cennymi i przydatnymi sojusznikami. Co więcej, wszyscy z nich powtarzali, jakim zaszczytem jest dla nich poznać doktora Rahna osobiście. Otto był zasypywany zaproszeniami na drinki i kolacje. Eliza z kolei wprowadziła go na salony oraz organizowała mu odczyty dla wpływowych ludzi w Berlinie. Zdobywała dla niego niemożliwe do zdobycia dla zwykłego śmiertelnika bilety na różnego rodzaju imprezy, a nawet udzielała rad w sprawie małżeństwa. Powtarzała, że musi się ożenić. Himmler był wielbicielem instytucji rodziny. Promował żonatych mężczyzn, szczególnie tych, którzy mieli liczne potomstwo. Na kawalerów nie patrzył przychylnym okiem i utrudniał im karierę w szeregach SS.

- On ma bzika na punkcie arystokratów, Otto. Nieważne, czy są bogaci. Po prostu upewnij się, że w twojej wybrance płynie błękitna krew. To zagwarantuje ci fortunę! - mówiła mu Eliza.

- A co się stanie, jeśli powiem, że chwilowo nie mam ochoty na małżeństwo? - odparł.

- Nie można być wiecznym idealistą i buntownikiem, Otto. Najwyższa pora założyć rodzinę, póki jesteś młody!

- Nie ograniczała się jedynie do dawania dobrych rad. Poszła o krok dalej i zaczęła umawiać Rahna na spotkania z młodymi, dobrze urodzonymi kobietami. Otto nawet wkładał w te znajomości odrobinę serca, wszystkie jednak okazały się katastrofami.

Niemcy, zima 1936

Z początkiem kolejnego roku Otto wstąpił w szeregi SS jako oficer, mimo że oficjalnie nadal zatrudniony był jako cywil. Dostał pierścień, który nosili wszyscy oficerowie, oraz złożył przysięgę wobec Zakonu Trupiej Czaszki -przysięgę przypieczętowaną własną krwią, której nigdy nikomu nie wolno było złamać.

Kilka dni po uroczystej ceremonii do gabinetu Rahna zawitał Bachman. Powiedział, że musi go porwać na cały dzień.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał grozić ci bronią, żebyś się zgodził - powiedział.

Otto zaśmiał się nerwowo, lecz coś w tonie głosu jego przyjaciela sprawiło, że nieco się zaniepokoił.

- Himmler poprosił mnie, żebym ci coś pokazał. Tylko tyle mogę zdradzić. Rahn wzruszył ramionami. Rozkazy Himmlera są od tego, by je wykonywać.

- Dobrze, idziemy.

- Raczej jedziemy. To będzie dość daleka wyprawa. Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy wrócić do Berlina jeszcze dziś wieczorem! - rzucił Bachman.

Kilka godzin później dotarli do celu, czyli do Wewelsburga położonego niedaleko miasta Paderborn. Malownicze miejsce, z którego rozciągał się widok na pola, wioski oraz renesansową fortecę, dumnie wznoszącą się na tle nieba.

- Czy chodzi o zamek? - zapytał Rahn. Podczas jazdy Bachman cały czas opowiadał o Sarze i o tym, że ciągle przychodzi w nocy do ich sypialni.

Dziewczynka nalegała, by połączono łóżka rodziców, tak by mogli spać we troje w jednym wielkim łóżu.

- Imponujący, prawda? - odpowiedział pytaniem Bachman.

- Swego czasu pewnie tak... - zgodził się Rahn.

Podobnie jak wiele innych starych fortec niemieckich, Wewelsburg już dawno temu stracił swe strategiczne i militarne znaczenie. Tak naprawdę budowla nie przeszła nigdy nawet chrztu bojowego. Została porzucona i przez ostatnie dwieście lat popadała w ruinę.

Kiedy podjechali pod wzgórze, z budki strażniczej wyłonił się sierżant SS, żądając okazania dokumentów. Obaj mężczyźni wylegitymowali się. Dodatkowo Bachman pokazał list podpisany osobiście przez Himmlera. Strażnik obejrzał go dokładnie, a potem wrócił do budki. Rahn widział, jak żołnierz rozmawia przez telefon. Kiedy pojawił się znowu, był o wiele bardziej uprzejmy.

- Majorze, proszę zaparkować w środku. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę dać znać pierwszemu lepszemu strażnikowi. Są do pana dyspozycji!

Bachman złożył list i zaczął wkładać go z powrotem do kieszeni.

- Mogę zerknąć? - poprosił Rahn.

Bachman podał mu go, próbując nie okazywać nadmiernej dumy. List był oficjalnym pozwoleniem, dającym im dostęp do każdej części fortecy, bez żadnych ograniczeń. Himmler podpisał go własnoręcznie, a jego nazwisko otwierało wszystkie drzwi.

Rahn spojrzał w górę, na ogromne mury, które wzbijały się ku niebu.

- Bez tego listu nie moglibyśmy wejść do środka? - zapytał.

- Wewelsburg jest zamknięty dla cywilów. Wstęp mają jedynie wybrani strażnicySS. Nikt nawet nie wie o istnieniu tej fortecy, z wyjątkiem generałów Himmlera oraz jego osobistych asystentów. Można tu wejść tylko z listem podpisanym przez Reichsführera. Powinieneś też wiedzieć, że jeśli komukolwiek wspomnisz o tym, gdzie dzisiaj byliśmy, Himmler ukatrupi nie tylko nas, ale też osobę, której zdradzisz tę informację - oświadczył Bachman.

Jego ton był tak spokojny i pogodny, że Rahn zerknął na niego uważnie, chcąc się upewnić się, czy to nie żart. Jednak nie, nie żartował.

- Po co ta cała tajemnica? - zapytał.

- Himmler chce, aby SS dalej rosła w siłę. Słyszałem z jego ust, że nie spocznie, póki nie dostarczy Hitlerowi tuzina elitarnych dywizji pancernych. Ta operacja może nieco zachwiać równowagą s s. Nikt, nawet tak genialny człowiek jak Himmler, nie jest w stanie w pełni kontrolować tak złożonego, zakrojonego na wielką skalę procesu. Jednak, aby SS była potęgą, trzeba tego dokonać.

Reichsführer ma ambicje stworzyć sekretny zakon w ramach SS na wzór paladynów, którzy służyli na dworze Karola Wielkiego. Ma to być elitarna grupa ludzi fanatycznie oddanych ideałom SS. Kiedy Himmler powoła do życia tę organizację, Wewelsburg będzie miejscem tajnych spotkań i narad, podczas których decydować się będą losy Zakonu Trupiej Czaszki.

Przez ogromną bramę weszli na małe podwórze. Od wewnątrz twierdza nie wydawała się aż tak wielka. Był to wysunięty posterunek, nawet nie cytadela, mogący pomieścić zaledwie kilka regimentów. Budowlę wzniesiono na planie trójkąta, którego wierzchołki stanowiły potężne okrągłe wieże. Łatwo było się z niej bronić przez atakiem z zewnątrz. Na terenie fortecy nie było żadnych dróg ani placyków. Panował tu wieczny cień i półmrok, a powietrze było wilgotne i cuchnęło zgnilizną.

Rahn domyślał się, że Himmler chce zamienić wnętrze zamku w coś zupełnie wyjątkowego, przypominającego mroczną katedrę. Miejsce godne Zakonu Trupiej Czaszki. Załazek tego dało się dostrzec, patrząc na najwyższą wieżę, która została już odnowiona. Aby się do niej dostać, musieli najpierw zejść kilka schodków w dół. Przeszli przez mały hol, a potem do idealnie okrągłej komnaty. W samym

środku pomieszczenia znajdowało się palenisko otoczone kamiennymi ławami - każda z nich przeznaczona była dla jednej osoby. Okna w okrągłych ścianach rozmieszczone były na różnych poziomach, sprawiając, że światło wpadało przez nie nieco asymetrycznie. U samego szczytu wieży, wewnątrz kopuły, zawieszona była swastyka, jakiej Rahn nigdy dotąd nie widział. Na końcu każdego ramienia symbolu doczepiona była runiczna litera f, przez co swastyka wydawała się dwa razy większa. Ten zmodyfikowany znak był niepokojący, a nawet nieco trącił zdradą, herezją i nagle przyszło mu do głowy, że to elitarne w ramach struktur SS bractwo, w skład którego wejdą oficerowie zwani paladynami, zamierzało kierować nie tylko Zakonem Trupiej Czaszki, ale całym krajem - całymi hitlerowskimi Niemcami.

W tym osobliwym pomieszczeniu panowała niemal mistyczna atmosfera. Głos odbijał się echem. Właściwie echami-jedno nakładało się na drugie. Stojąc z boku, nie sposób było w tej kakofonii zrozumieć tego, co mówiła osoba zajmująca miejsce pośrodku komnaty. Z drugiej strony osoba siedząca pod ścianą na kamiennej ławie mogła usłyszeć nawet szept każdej innej usadzonej wokół paleniska. Był to swego rodzaju Okrągły Stół. Brakowało jedynie rycerzy oraz Świętego Graala.

Zanim wyszli, zwiedzili jeszcze kwatery oficerskie. Prace nad nimi nadal trwały, ale pokoje już sprawiały bardzo dobre wrażenie. Rahn i Bachman zobaczyli tu grupę więźniów przy pracy pilnowanych przez strażników. Wszyscy byli przeraźliwie wychudzeni. Nagle jeden z robotników zemdlał, kiedy próbował wynieść z pomieszczenia wiadro pełne gruzu. Nikt mu nie pomógł. Inni robotnicy zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. W końcu do leżącego podszedł

strażnik i kopnął go mocno. Bachman i Rahn pospiesznie opuścili teren budowy i ruszyli w stronę swojego mercedesa.

-Skąd oni biorą tych robotników? - zapytał Rahn, wsiadając do samochodu. -
Wszyscy tacy wychudzeni... to chore!

Bachman nie zaprzętał sobie głowy tą sprawą. Odpowiedział lekkim tonem:

-Herr Himmler chyba zgarnia ich z ulicy.

Droga powrotna dłużyła się niemiłosiernie.

- Dlaczego Himmler chciał, żebym zobaczył to miejsce? Jestem historykiem, a niejednym z jego generałów! - rzucił Rahn.

- Nie rozumiesz? Himmler buduje swoją twierdzę, odpowiednik Montsegur! Oczekuje od ciebie, że przyniesiesz mu Świętego Graala.

- Nie ma żadnej pewności, że Graal kiedykolwiek naprawdę istniał poza sferą duchową.

- Ale przecież w swojej książce opisałeś tę legendę! Esclarmonde wyrzuciła święty kielich, przelatując jako gołębica nad górą Tabor! - przypomniał Bachman.

- To tylko legenda, którą usłyszałem od jakiegoś staruszka!

- Himmler chce, abyś odnalazł Graala. Oczywiście nie poprosi cię o to wprost. Ten, kto chce wyruszyć na poszukiwanie świętego kielicha, musi samodzielnie podjąć taką decyzję. Ale Reichsfuhrer zrobi wszystko co w jego mocy, by ułatwić ci to zadanie, kiedy wreszcie się zdecydujesz. Musisz jedynie poprosić go o zgodę.

- Szukanie skarbów to już zamknięty rozdział mojego życia. Są lepsze sposoby spędzania czasu.

- Ale nie szkodzi spróbować, prawda? Himmler tak wiele dla ciebie zrobił. Powinieneś mu się odwdziżyć.

- Dieter, ja już szukałem Graala! Przeczesałem całą dolinę rzeki Ariege. Wchodziłem w każdą szczelinę. Zaglądałem do każdej dziury pełnej węży. Zapuszczałem się tam, gdzie nikt inny przede mną nie postawił nogi. I co znalazłem? Sterty kości i malowidła ścienne.

- Pozwól, że powiem ci coś na temat Himmlera. On nie akceptuje odmowy, a jego życzenia są rozkazem. Nie możesz mu powiedzieć, że znalezienie Graala jest niewykonalne! Dla niego nie ma rzeczy niemożliwych. Jeśli Himmler chce Graala, to lepiej dla ciebie, żebyś ty też tego chciał.

- Jeśli wciągnął mnie w szeregi SS tylko po to, żebym przyniósł mu Graala, to chyba postradał zmysły!

- Uważaj na to, co mówisz, przyjacielu. Nie pozwolę ci obrażać jednego z najznakomitszych ludzi w całej Rzeszy! - zawołał Bachman.

- Chciałem tylko powiedzieć - zaczął się tłumaczyć Rahn - że Graal pewnie nie istnieje, więc jakim cudem miałbym go znaleźć? Mam go wyczarować?

- Pamiętaj, Otto: odmówić czegoś Himmlerowi to jest dopiero szaleństwo.

- Ale przecież mówię ci, że Graal to tylko legenda! Esclarmonde zamieniła się w gołębia i odleciała z Graalem. Kiedy po raz pierwszy opowiedziałem ci tę historię, roześmiałeś mi się w twarz. Pamiętasz?

Bachman zignorował jego pytanie.

- Himmler uważa, że to może być nie tylko legenda.

- Zrozum, Dieter, to historyjka, a nie mapa prowadząca do skarbu! Bachman zamilkł na kilka minut, a Rahn osunął się w fotelu zmęczony dyskusją.

- Musisz poszukać jeszcze raz, Otto - odezwał się w końcu jego kompan. - Jeśli powiem Himmlerowi, że nie obchodzi cię Graal, to możesz być pewny, że wystąpią komplikacje.

- Nie rozumiem.

- Myślisz, że Eliza jak gdyby nigdy nic znajduje ci bilety na te wszystkie zamknięte imprezy? Albo że ma taki dar przekonywania, by w każdy weekend umawiać cię z jakąś piękną, bogatą arystokratką? Otto, przejrzyj na oczy! Z wdzięczasz to Himmlerowi. Jeśli nadal będziesz jego protegowanym, wszystkie drzwi będą stały przed tobą otworem i będziesz się cieszył specjalnymi względami. Jednak w momencie, w którym uzna, że nic nie możesz lub nie chcesz dla niego zrobić, te same drzwi zamkną ci się przed nosem!

- Przecież on mi płaci za to, że piszę, że pracuję!

- Płacił, a nie płaci. Teraz jesteś członkiem Zakonu Trupiej Czaszki. Płaci ci za to, żebyś wykonywał jego rozkazy. I żebyś założył rodzinę, Otto. Potrzebujesz żony. Nie możesz w nieskończoność być zakochany w mojej.

Zurych, Szwajcaria, poniedziałek, 10 marca 2008

Malloy przeszedł przez Bahnhof w dyskretnej asyście swojego ochroniarza i doszedł do miejsca zwanego kiedyś Parkiem Igieł. Stał tam zaparkowany czarny mercedes. W środku siedział facet, którego Malloy znał tylko z imię

nia. Maks był detektywem z zuryskiej policji, miał czterdzieści kilka lat, minę taką, jakby wiecznie bolał go ząb i zawsze wyglądał na nieco wymiętego. Otaczała go aura cynizmu, charakterystyczna dla doświadczonych glin, którzy całe życie spędzili na ulicy. Ulubioną bronią Maksa była podpiłowana śrutówka z nabojami na jelenie. Co prawda śrut ma większe pole rażenia, ale nabojami, które preferował Maks, można przedziurawić ścianę niczym kartkę papieru. Malloy miał już okazję przekonać się, jakie spustoszenie sieje ta giwera. Dlatego zawsze starał się być bardzo miły dla jej właściciela.

- Jak leci? - zapytał Malloy po angielsku, wślizgując się na przednie siedzenie.

Maks wzruszył ramionami.

- Wszystko było pod kontrolą. Dopóki ty się nie pojawiłeś.

- Narobiłem trochę bałaganu w Hamburgu - przyznał się Malloy.

- To jeszcze nie koniec. Jeszcze nie dojechałeś do domu, T.K. Malloy
uśmiechnął się smutno i spojrzał przez okno. Nie, jeszcze nie
jest w domu.

Zajechali na tyły jednego z klubów nocnych Hasana Barzaniego.

- Idź schodami na górę - powiedział Maks i wręczył Malloyowi telefon komórkowy. - Zanim wyjdiesz na zewnątrz, zadzwoń i uprzedź mnie.

Tylne drzwi klubu były zamknięte. Stał przy nich uzbrojony strażnik.

- Pan do kogo? - zapytał mężczyzna.

- Przyszedłem się zobaczyć z Aleksą - odparł Malloy.

- Schodami na górę. Ostatnie drzwi na prawo.

Na schodach Malloya nagle dopadło dziwne wrażenie, że to pułapka. Wsunął rękę do kieszeni płaszcza, która była przecięta, by łatwo mógł sięgnąć po swój pi-

stolet maszynowy. U szczytu schodów zobaczył kolejnego strażnika, lecz minął go bez słowa. Doszedł do ostatnich drzwi po prawej i nacisnął klamkę. Ujrzał przed sobą malutką klitkę, w której stały łóżko, krzesło i niewielka komoda z szufladami, a na ścianie wisiało lustro.

- Mówili mi, że jeśli szukam kłopotów, to tuje na pewno znajdę.

Hasan leżał na łóżku i czytał rosyjską gazetę. Na widok Malloya zerwał się na równe nogi.

- Thomas! - zawołał wesoło. - Marcus mówił, że wczoraj każdy niemiecki policjant marzył, by dobrać ci się do tyłka.

- Nie byli dość szybcy - oświadczył Malloy i uściśnął go z całych sił, krzywiąc się z bólu z powodu rany na plecach. Położył uzi na stole tuż obok kałasznikowa Hasana. Barzani miał prawie dwa metry wzrostu. Kiedy spotkali się po raz pierwszy czterdzieści trzy lata temu, zapowiadał się na takiego właśnie giganta. Już w tamtych czasach Hasan nie był grzecznym chłopcem; do jego ulubionych rozrywek należało terroryzowanie kolegów. Malloy nauczył się kilku chwytów samoobrony od ojca, więc kiedy Hasan pewnego razu stanął mu na drodze i kazał zapłacić ze przejście przez jego ulicę", Malloy w sekundę położył dryblasa na łopatkę. Chwył był tak niespodziewany i tak perfekcyjnie wykonany, że Hasan prawie uwierzył, że to jakieś czary! Nigdy wcześniej nic takiego mu się nie przydarzyło. A już na pewno nie powalił go szczeniak dwa razy mniejszy od niego. Hasan, zamiast się wściec i szukać zemsty, postanowił się z nim zaprzyjaźnić.

Malloy nie znał żadnych innych sekretnych chwytów, więc bez wahania przystał na tę propozycję, po czym przedstawił Hassana Marcusowi. Hasan, którego rodzice byli uchodźcami ze Związku Radzieckiego, z początku niechętnie patrzył

na Marcusa, rodowitego Szwajcara z wyższej klasy średniej. Zmienił jednak zdanie, gdy Marcus nauczył go otwierać drzwi wytrychem. To zapoczątkowało ich długoletnią przyjaźń.

Kiedy Malloy po kilkunastu latach wrócił do Zurychu, Hasan był na prostej drodze do wylądowania w pudle - i to na wiele lat. Thomas wziął los kolegi w swoje ręce i sprawił, że już po roku Hasan był właścicielem klubu, w którym pracował kiedyś jako bramkarz. Po trzech latach i dwóch udanych zamachach, by nikt nie miał wątpliwości, kto naprawdę jest bossem, Hasan przejął kontrolę nad handlem seksem, narkotykami oraz kradzionym towarem. W Zurychu był to rynek mały, lecz lukratywny.

Hasan nigdy nie zapomniał, że to Malloy uratował mu życie; zgarnął z ulicy i pomógł zrobić karierę. Obaj jednak wiedzieli, że Barzani spłacił dług wdzięczności - wielokrotnie przekazywał Malloyowi informacje na wagę złota. Od jakiegoś czasu znajomość z Malloyem nie przynosiła Hasanowi żadnych korzyści. Przestał go już potrzebować. Dlatego Malloy uważał na to, by nie nadużywać Barzaniego jako kontaktu, ale z drugiej strony nie mógł już we wszystkim przyjacielowi wierzyć. Problem w tym, że pomijając siedzibę ci A W Langley, to właśnie Hasan był dla Malloya najcenniejszym źródłem informacji.

- Marcus mówił mi, że chcesz porozmawiać o mafii włoskiej - zagaił Hasan.
- Powiedz mi, co wiesz na temat Giancarla i Luki Bartolich. Hasan skrzywił się na dźwięk tego nazwiska.
- Masz z nimi jakieś zatargi, Thomas?
- Myślę, że próbowali sprzątnąć mojego przyjaciela. Na razie nie mam jednak dowodów.
- Obawiam się, że twój przyjaciel ma spory problem.

- On? Nie... To Włosi mają problem - odparł Malloy. - Hasan zaśmiał się entuzjastycznie. Podobała mu się taka postawa. - Z tego co wiem, Giancarlo trzykrotnie pomnożył swoją fortunę w ciągu ostatnich dziesięciu lat - kontynuował Malloy. - Chcę poznać jego receptę na sukces.

- Cóż mogę powiedzieć? - Hasan rozłożył ręce. - Widocznie stary ma szczęście. Sytuacja we Włoszech jest teraz sprzyjająca.

- Czy Bartoli jest nowym szefem mafii?

- Słyszę to czasem od ludzi, którzy nie wiedzą, o czym mówią. To plotki. Kompletne bzdury!

- Czytałem o tym w tajnych raportach. Hasan wydawał się niezadowolony.

- Posłuchaj, Thomas. W tej chwili dwa syndykaty walczą o kontrolę nad północną częścią kraju. Na południu Włoch wszystko bez zmian, już chyba od czasów Cezara. Z tego co wiem, Bartoli tylko płaci obu stronom za ochronę i nie miesza się do polityki.

- Mówisz, że się nie wtrąca... - Malloy przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

- Czy to ma coś wspólnego z zamordowaniem jego najstarszego syna?

Hasan wzruszył ramionami.

- Może tak, może nie.

- Chcesz powiedzieć, że Bartoli nie jest nawet pośrednio powiązany z mafią?

- Ja nic takiego nie powiedziałem! - odparł Hasan. - Starzy donowie toczą bitwy o miasta i o wioski, Thomas. Siedzą w ukryciu... albo w pudle, skąd przekazują swoim ludziom rozkazy za pośrednictwem prawników. Tak to wygląda. Z kolei Giancarlo to jeden z głównych graczy w Europie. Zapłacił za swoje błędy i teraz woli legalny biznes. Nie miesza się już do sytuacji we Włoszech - wyjaśnił.

- Dlatego właśnie chciałem z tobą porozmawiać - oświadczył Malloy. - W raportach jest wyraźnie napisane, że Giancarlo Bartoli to nowy szef szefów. Podobno to on teraz wszystkim trzęsie.

Hasan pokręcił głową, ale jawne pochlebstwo skłoniło go do większej wy-
lewności.

- Zrozum, Thomas, Europa się zmieniła w ciągu tych piętnastu czy dwudziestu lat. Dawniej wszystkie organizacje były hermetycznie zamknięte, miały własne problemy, działały tylko w granicach danego kraju. Teraz jest inaczej, granice są otwarte. W Hiszpanii działają Niemcy, we Francji Hiszpanie, we Włoszech Anglicy, a Rosjanie... wszędzie!

Malloy wiedział to i owo o rosyjskiej mafii.

- Problem z Rosjanami jest taki - mówił dalej Hasan - że nie potrafią się zorganizować. Lądują gdzieś, zagarniają dla siebie teren, a potem trzymają się go kurczowo i warczą na wszystkich dokoła. A z kim toczą wojnę? Z innymi imigrantami! Zaczynają się stresować. Przecież nie mogą na każdej ulicy na każdym rogu tępić innych imigrantów! A inaczej mimo wszystko się po prostu nie da. Tak jak mówię, brak organizacji. Czysta anarchia! Malloy przytaknął.

- Znam to. Teoria przestępczości niezorganizowanej.

- Właśnie! Ale oni mają wrodzoną awersję do zasad. W przeciwnym razie nie zostaliby kryminalistami.

Malloy uśmiechnął się rozbawiony.

- Czar pieniądza jest jednak potężny - stwierdził Hasan sentencjonalnie. - Stara mafia zaczyna się kumpłować z anarchistami. Zawsze jest popyt na usługi specjalne. Z Ameryki Południowej i z Afryki przyływają prochy, ale pojawia się pytanie: co dalej? Jak z jednego portu europejskiego rozprowadzić towar na cały kontynent? Jak przemycić do Ameryki? Mięśniaki z ulicy nie mają o tym pojęcia. Są tępi. Nie mają pojęcia o istocie rzeczy, o zasadach, na jakich funkcjonuje świat przestępczy. A przecież to biznes jak każdy inny! Towar to towar, trzeba go umieć opchnąć. Mam na myśli wszystko: kobiety, fury, sprzęt, podróbki, hazard, przekrety gospodarcze i tak dalej. A to jeszcze nie koniec. Sprzedałeś towar, więc musisz teraz pomyśleć o kasie. Trzeba ją wyprać. Nikt nie chce być przyłapany z brudną forszą w łapie, prawda? Poza tym każdy musi się jakoś chronić przed politykami, tymi cholernymi pijawkami.

- Sugerujesz, że nastąpiły poważne przetasowania, ale starzy bossowie nadal wszystko kontrolują? - zapytał Malloy.

Hasan rozłożył ręce.

- A czy wygląda na to, że jest inaczej? Przez jakiś czas wszyscy dokoła powtarzali, że mafia rosyjska przejmie kontrolę nad całą Europą. Teraz już nikt tak nie gada.

- Dlaczego? - dążył Malloy.

- Wszystko przez konkurencję! Nowe sojusze. Wewnętrzne spory i wojny. Politykę. Rosyjska mafia jest jak dawny Związek Radziecki - istnieje, tyle że w kawałkach.

- No dobrze, ale co z Luca i Giancarlem? - wrócił do wcześniejszego tematu Malloy.

- Stary Bartoli robi od czasu do czasu jakiś przekręt finansowy, ale generalnie już się nie udziela. Kto w jego wieku chciałby trafić do pudła? Luca to co innego. On lubi to, co robi. Nadal go to kręci. Lata mu lecą, tak jak tobie, ale chłopak nie chce siedzieć w domu i odcinać kuponów od dawnych sukcesów, więc nadal działa. Zbiera ludzi, robi interesy, umacnia swoją pozycję.

- Czym dokładnie się zajmuje?

- Luca? Oficjalnie siedzi w zarządach kilku spółek - zaczął Hasan - ale tak naprawdę to ludzie ojca kierują tymi firmami. Współpracuje z chłopcami z Marsylii, którzy zajmują się sprzedażą dzieł sztuki i antyków różnym agencjom z Londynu. W Barcelonie prowadzi lukratywną działalność - podrabia paszporty i inne dokumenty unijne. W Amsterdamie półlegalnie pierze pieniądze. Zatrudnia też kilka osób, które szmuglują towar z Afryki Północnej do Francji i Hiszpanii.

- Macza palce w zamachach i zabójstwach?

- Nie, na pewno nie - odparł Hasan. - Chociaż... kilka lat temu, kiedy jego brat został zabity, wpadł w szał i upolował ludzi, którzy to zlecili. Wybił wszystkich członków rodziny. Ale to wyjątkowa sprawa, porachunki osobiste.

- Skoro porywa się na walkę z konkurencją na tak zatłoczonym rynku, to na pewno nie należy do nieśmiałych domatorów - zauważył Malloy.

- Jego stary nadal ma kontakty tu i ówdzie. Jeśli ktoś tknie interesów Luki i zechce wypchnąć go z rynku, to wpakuje się w niezłe bagno. Podobno młody Bartoli nie boi się nikogo. Ma też chody w policji.

- Można powiedzieć, że to aktualnie jeden z głównych graczy?

- Na pewno ma do swojej dyspozycji kilka ekip. Ciągnie niezłą kasę, ale stary nauczył go, jak nie ściągać na siebie uwagi - wyjaśnił Hasan.

- Szukam kogoś, kto jest w stanie zorganizować zamach na życie polityka - powiedział nagle Malloy.

- Nie pomogę ci, przyjacielu! - odparł Hasan, rozkładając ręce. - Nic na ten temat nie wiem. Osobiście nie tknąłbym nawet szwajcarskiego gliny, a co dopiero polityka! Zabijesz jednego, a zatrujesz sobie całe życie. Zyskasz jedynie wrogów, a przyjaciół stracisz i ściągniesz sobie na głowę masę kłopotów. Jeśli chcesz sprzątnąć polityka i nie mieć z tego tytułu żadnych przykrości, musisz wynająć kogoś, kto odwali za ciebie brudną robotę, a ponieważ nie ma zbyt wielu takich ludzi, kosztowałyby cię to fortune! Za taką kasę lepiej po prostu przekupić tego czy innego polityka, czyż nie?

- Masz rację, ale ktoś się tym zajmuje.

- Na pewno nie Luca - zapewnił Hasan.

- Czy mówi ci coś nazwisko Carlisle? David Carlisle. Znasz takiego faceta? Hasan Barzani od razu pokręcił głową, lecz przez ułamek sekundy Malloy dostrzegł nerwowy skurcz na jego twarzy.

- Nie znam. Pierwszy raz w życiu słyszę to nazwisko.

- Jesteś pewny? To Anglik. W naszym wieku, może ciut młodszy... prawdopodobnie jest przyjacielem Luki Bartolego...

Hasan po raz kolejny rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- Przykro mi, przyjacielu. Nie znam tego człowieka.

Malloy wiedział, że Barzani kłamie, ale nie naciskał, bo to było właściwie wszystko, co potrzebował w tej chwili wiedzieć. Hasan najwyraźniej drżał na samą myśl o Davidzie Carlisle'u. A Malloy zawsze uważał, że Hasan nie boi się absolutnie nikogo...

- Helena Chernoff?

- Z tą panią na pewno nie umówiłbym się na randkę - odparł Hasan.
- Znasz ludzi, dla których ona pracuje?
- Z tego co wiem, działa na własną rękę, jest niezależna.
- W ostatnich dziesięciu latach miała powiązania z kartelem. - zaczął Malloy.
- Nie - przerwał mu Hasan - to nieprawda. Ma ludzi, którzy pracują dla niej, ale ona sama jest wolnym strzelcem. Wykonuje zlecenia dla tego, kto da najwięcej.
- Czy byłaby w stanie sprzątnąć polityka?
- Gdyby ktoś jej załatwił kontrakt i zorganizował całą akcję od strony logistyki.
- A czy znasz człowieka nazwiskiem Ohlendorf? Hugo Ohlendorf. Hasan ponownie pokręcił głową, tym razem zapewne nie kłamał.

Zanim Malloy wyszedł, zapytał o rodzinę Hasana. Z twarzy wielkoluda wyparowało napięcie i zaczął swobodnie opowiadać o swoich córkach i synach. Potem pogawędzili przez chwilę na temat starych przyjaciół, a skończyli na smutnym wyliczaniu

nieszczęść i chorób, które dotyczą ludzi wraz z upływem czasu.

- Uważaj na siebie, Thomas! - powiedział Hasan przy pożegnaniu.

To była bardzo miła uwaga i na pewno płynęła prosto z serca, lecz Malloy wiedział, że ostatnim razem, kiedy znalazł się w tarapatach, Hasan zaoferował pomoc. Tym razem wyglądało na to, że jest zdany wyłącznie na siebie.

Malloy zadzwonił do Maksa, wyszedł tylnymi drzwiami klubu i wsiadł do mercedesa.

- Dobre spotkanie? - zapytał Maks, rozglądając się dokoła i przeczesując wzrokiem cienie.
- Pouczające.

- Dokąd jedziemy?
- Na drinka. Do Savoya.

10

Zurich Hotel Savoy, poniedziałek - wtorek, 10-11 marca 2008

Umundurowany prywatny ochroniarz stał przed drzwiami pokoju Kate i Ethana.

- Jest pan umówiony? - zapytał Malloya.
- Chcę się zobaczyć z panem Piotrem Bartłomiejem - odparł.
- Pana godność?
- T.K.

Ochroniarz zapukał do drzwi, nie spuszczać wzroku z Malloya. Otworzył Ethan. Na widok Thomasa uśmiechnął się szeroko.

- Wszystko gra. To nasz przyjaciel - powiedział do ochroniarza, a Malloya zaprosił gestem do środka. - Wejdz. Właśnie się martwiliśmy, że coś ci się stało.

Kate siedziała w łóżku. Na kolanach trzymała trzy noże. Na ścianie wisiała bardzo już poznaczona pilśniowa tarcza w kształcie człowieka. Kate wzięła do ręki jeden nóż i uśmiechnęła się.

- Chcesz spróbować?
- Nie rób tego - powiedział Ethan do Malloya. - Ona gra na pieniądze.

- Sąsiedzi muszą cię uwielbiać - stwierdził Malloy.
- Sąsiedzi po obu stronach to ochroniarze - poinformował go Ethan. - Dostają forszę także za to, żeby znosić w bólach hobby Kate. Napijesz się czegoś?
- Dzięki, piłem już piwo podczas lunchu.
- My nie możemy pić alkoholu, ani kropli. Ciągłe jesteśmy na antybiotykach - wyjaśniła Kate, po czym błyskawicznie rzuciła trzema nożami, jednym po drugim. Pierwszy i trzeci rzuciła prawą ręką, a drugi lewą. Tylko drugi nie trafił w dziesiątkę.
- To może chociaż soku pomarańczowego? - zaproponował Ethan.
- Z miłą chęcią - odparł Malloy.
- Co słyszeć? - zagała Kate.
- Niemało - powiedział takim tonem, że Brandowie nagle wbili w niego wzrok.
- Najpierw dobre wiadomości. Josh Sutter przeszedł operację bez komplikacji i jutro leci do domu.
- A co z Jimem Randalem? - zapytał Ethan. Malloy spuścił głowę.
- Jim był już martwy, kiedy Chernoff zaproponowała nam wymianę. Kate i Ethan nagle przestali się uśmiechać.
- Z tego co wiemy, Chernoff lub jeden z jej ludzi zawiózł Randala do jakiegoś mieszkania kilometr dalej i nagrał jego wołanie o pomoc. Chernoff zaplanowała zasadzkę na tyłach klubu Dale'a i zadzwoniła do Josha. Kiedy rozmawiałem z nią przez telefon, ona już była na dachu.
- Myślisz, że to Jim Randal zdradził jej, gdzie się ukrywamy? - wpadł mu w słowo Ethan.
- Nie, przecież on chyba nawet nie wiedział, gdzie jesteśmy. Bez swojego GPS-u był jak dziecko we mgle. Chernoff śledziła mój sygnał z telefonu komórkowego.

-A skąd znała twój numer?

-Znalazła go w telefonie Dale'a. To proste. Miał zapisane jedynie dwa numery, a jeden z nich był do kogoś w Ameryce. Włamała się do sieci operatora i już mnie miała. W taki sam sposób Dale zlokalizował telefon, który rzekomo należał do Chernoff.

-Mam nadzieję, że masz już nowy numer - powiedziała Kate, niby żartem.

-Tak. Ale używałem starego do momentu, aż udało mi się zwabić Cher-noff.

Te słowa zrobiły na Brandach piorunujące wrażenie. Najpierw nie dowierzali, potem byli zaskoczeni, aż w końcu - gdy się dowiedzieli, że Chernoff rzeczywiście została schwytana - poczuli, że spada im kamień z serca. Malloy opowiedział wszystko po kolei, ze szczegółami. Kiedy wspomniał, że weszli w posiadanie komputera zabójczyni, Ethan zapytał, czy materiał z twardego dysku laptopa Chernoff może zawierać jakiś trop prowadzący do Jacka Farrella. przecież o niego chodziło w tej całej hamburskiej akcji.

-Istnieje prawdopodobieństwo, że Jack Farrell był już martwy w momencie, kiedy Irina Turner odlatywała z Nowego Jorku - oznajmił Malloy.

-Co ty powiesz! - Kate była w szoku.

-Cały czas tropiliśmy ducha.

Ethan też nie dowierzał.

- Myślałem, że były dowody na obecność Farrella na lotnisku w Barcelonie, a potem w hotelu Royal Meridien. Zdjęcia, odciski palców, ślady DNA... - Spojrzał na Kate, która mu przytaknęła. W telewizji o tym mówili i wszystko pokazywali.

- Irina Turner załatwiła sobie statystę. Udawał Farrella, robił za niego przelewy. A podłożyć próbki DNA i odciski palców to żadna sztuka.

- Ale jakim cudem ona... - Ethan nie dokończył. Faktycznie, wystarczyło mieć płyny ustrojowe Farrella w probówkach, a potem sprytnie je poroz-mieszczać. Kiedy to, co Turner powiedziała na przesłuchaniu, pasowało do dowodów, każdy założył, że...

- Ale po co ta cała mistyfikacja? Po co ten cały show z Miliarderem Uciekinierem? - zapytała Kate - Nie pojmuję tego.

- Szef Chernoff dowiedział się, że na moją prośbę ludzie z SEC wszczęli śledztwo. Postanowił więc uciszyć Farrella, zanim ten puści parę. Przy okazji kazał Irinie zdefraudować czterysta sześćdziesiąt milionów dolarów. Aby zatrzeć ślady, należało rzucić podejrzenie na Farrella, który rzekomo uciekł z forszą. Wszystko to jeszcze bardziej podkreślił policyjny nalot w hotelu Meridien. Z kolei mój szef, którego namówiłem do węszenia wokół Farrella, wysłał mnie do Hamburga, żebym się go pozbył.

- Zaraz, zaraz. Czyli szef Chernoff wiedział, że jesteś zamieszany w całą sprawę, zanim jeszcze Farrell zniknął? - zapytał Ethan.

- Wiedzieli, że cała nasza trójka jest w to zamieszana. Z tego, co wiem, to my byliśmy celem zamachu, o którym wspominał Ohlendorf - oświadczył Malloy.

- Ale przecież mówił, że to miało się wydarzyć kilka miesięcy temu!

- Po kolei. To Irina Turner była specjalistką, której po trzeba było Chernoff. Najpierw zajęła się pieniędzmi, a potem najwyraźniej zabiła Farrella. Następnie trzeba było stworzyć pozory, że Irina Turner razem z Farrellem uciekli samolotem do Europy. Historia okazała się idealną pożywką dla mediów. A cała ta akcja w hotelu Royal Meridien, kiedy to niby para uciekinierów wymknęła się zaledwie kilka minut przed nalotem policji, była obliczona tylko i wyłącznie na to, żeby... zwabić całą naszą trójkę do Hamburga.

- Dlaczego po prostu nie odszukali nas w Zurychu, a ciebie w Nowym Jorku?

- Jeśli udałoby im się sprzątnąć całą naszą trójkę za jednym zamachem w Hamburgu, moi przełożeni, nigdy by się nie dowiedzieli, czym się tak naprawdę zajmowałem. Pomyśleliby sobie, że zginałem w czasie wykonywania zlecenia, i to wszystko. Żadnych dodatkowych pytań, sprawa zamknięta. Natomiast gdyby ktoś mnie kropnął w Nowym Jorku, to od razu sprawa wyglądałaby podejrzanie. Moi ludzie zaczęliby węszyć. Trop doprowadziłby ich do Farrella, Roberta Kenyona oraz Rady Paladynów. Sprzątnięcie mnie w Nowym Jorku zamiast zamknąć sprawę, tylko by ją roz dmuchało.

- Jakim cudem ktoś wiedział, że to ty zainicjowałeś śledztwo w sprawie Farrella? - zapytała Kate.

- Wypytywałem, to tu, to tam, o Kenyona. Czasami nawet wynajmowałem ludzi, żeby sprawdzili pewne adresy, pewne dokumenty. Widocznie zabójca Roberta Kenyona dowiedział się, że węszę. Doszedł do wniosku, że w takiej sytuacji trzymanie przy życiu Farrella jest zbyt ryzykowne.

- Giancarlo kazał mi dać sobie spokój z tą sprawą - wtrąciła Kate. - Powiedział, że w przeciwnym razie nie będzie mógł już dłużej chronić ani mnie, ani Ethana.

- Kiedy to było?

- Kilka tygodni temu. Na przyjęciu.

- W tym samym czasie, kiedy zniknął Farrell... - powiedział Malloy. Przez chwilę intensywnie o czymś myślał. - A więc odradzał wam wyjazd do Hamburga?

- Przecież nie mógł wiedzieć, co się szykuje.

- Może skontaktował się z wami żeby sprawdzić, czy moje prywatne śledztwo ma jakiś związek z morderstwem Roberta Kenyona.

Kate zastanowiła się nad sugestią Malloya. Nie odezwała się jednak ani słowem.

- Jak się dowiedzieli o naszej trójce? - zapytał Ethan.

- Helena Chernoff pracowała dla Juliana Corbeau, kiedy ja, ty i Kate byliśmy wmieszani w jego sprawę. Chernoff знаła nasze nazwiska i miała przynajmniej podstawowe informacje o nas. Zakładam, że Paladyni wynajęli ją, żeby nas po prostu zamordowała. Możliwe też, że śledziła mnie na długo przed tym, zanim zastawiła na nas pułapkę w Hamburgu. A to by znaczyło, że Chernoff jest nie tylko płatną morderczynią. Ona musi odgrywać o wiele większą rolę. Może być współniczką

niektórych albo i wszystkich, osób, którym się przyglądamy.

- Czegoś tu nie rozumiem - odezwał się Ethan. - Jeśli Jack Farrell musiał zostać usunięty, ponieważ wiedział zbyt wiele i mógł wszystko wyśpiewać, to dlaczego po jego sprzątnięciu dalej zawracali sobie nami głowę, skoro nie mogliśmy go już przesłuchać?

- Z prostego powodu: nie tylko Farrell jest w posiadaniu informacji, które nas interesują. Sądzę, że Ohlendorf również doprowadziłby nas w końcu do mordercy Roberta Kenyona. Podejrzewam też, że Giancarlo i jego syn doskonale znają prawdę. W tym momencie musimy przyznać, że Ethan od samego początku miał rację - powiedział Malloy i spojrzał na niego. - Od początku mówiłeś, że Paladyni byli zamieszani w śmierć pierwszego męża Kate.

- Jest dziewięciu Paladynów - przypomniał Ethan.

- Ohlendorf reprezentował czterech z nich: Johannes'a Diekmanna oraz trzech pozostałych założycieli. Kiedy wykluczy się starców, na scenie pozostają następujące osoby: Jack Farrell, ojciec Farrella, Robert Kenyon, Hugo Ohlendorf, Giancarlo i Luca Bartoli. Wszyscy byli żywi w momencie śmierci Kenyona. W tej chwili, z wyjątkiem obu Bartolich, wszyscy nie żyją.

- Nie mamy pewności, że Farrell nie żyje - zaproponował Ethan.

- Farrell był biznesmenem - zaczął Malloy - Z tego co wiem, zajmował się głównie praniem brudnych pieniędzy i robieniem przekrętów z udziałem upadających firm, specjalnie dla Giancarla. Nie sądzę, żeby był w stanie wymyślić i przeprowadzić to, co przytrafiło się nam w Hamburgu.

- No i właśnie dlatego wynajął Helenę Chernoff! Malloy wzruszył ramionami.

- Dobra - westchnął. - Poddaję się. Założmy, że jest to prawdopodobne.

Przynajmniej dopóki nie znajdziemy jego ciała.

- A co z dwoma pozostałymi Paladynami? - zapytała Kate.

- W miejsce Roberta Kenyona wskoczył David Carlisle.

- Kilka lat później, po śmierci ojca Farrella, dołączyła do nich Christine Foulkes. Sądzę, że w śmierci starego Farrella mógł maczać palce Carlisle. On na śmierci Kenyona jedynie zyskał, i to sporo ale Christine Foulkes mi tu w ogóle nie pasuje.

Zakładam, że ona, tak jak Diekmann i reszta założycieli, nie angażuje się w działalność przestępczą organizacji.

- Jakie posiadamy informacje na temat Carlisle'a? - chciała wiedzieć Kate. Malloy głośno westchnął.

- To facet widmo. Ma stały adres zamieszkania w Paryżu. Apartament w centrum miasta. Tyle że nigdy go tam nie ma. Nigdy. Apartamentu używają

niekiedy jacyś inni ludzie. Jest tam zatrudniona na stałe gosposia, ktoś raz na jakiś czas wyciąga korespondencję ze skrzynki pocztowej i uzupełnia zapasy w domu, ale nikt nigdy nie widział tam pana Carlisle'a.

- W corocznych raportach, które piszą Paladyni, można co nieco na jego temat znaleźć - powiedział Ethan. - Widziałem zdjęcia i czytałem trochę na temat jego działalności. Ale to wszystko. Poza organizacją Paladynów, nie ma prawie żadnych śladów, które by ten gość po sobie zostawiał.

- Ja widziałem raporty na temat jego kont bankowych, słyszałem co nieco o tym, gdzie i kiedy przekraczał granice, posługując się swoim paszportem, ale to wszystko do niczego nam się nie przyda - podzielił się swoją wiedzą Malloy.

- Co wiemy na temat jego przeszłości? - zapytała Kate.

- Same ogólniki. Urodził się w Liverpoolu i tam spędził dzieciństwo. Wałęsał się po dokach, aż wstąpił do wojska. Nie ma żadnej bliskiej rodziny, a jego kuzyni nie widzieli go od czasów dzieciństwa. Koledzy z klasy nawet go nie pamiętają. Albo był bardzo nieśmiały, albo prawie przezroczysty i nieciekawym.

- Przez sześć lat służył w brytyjskiej jednostce antyterrorystycznej SAS - zauważył Ethan.

- Jego koledzy z wojska mówią, że był typem samotnika. Wspominają też, że był niezły w tym, co robił. No ale oczy wiście do SAS trafiają tylko i wyłącznie najlepsi. W pewnym momencie rozstał się z SAS. Powody jego odejścia to też jakaś podejrzana sprawa... Na trzy lata zapadł się pod ziemię. Nie pracował, nie podróżował, nie utrzymywał z nikim kontaktu. To zazwyczaj oznacza rozpoczęcie kariery przestępczej. Albo bycie bezdomnym. Po trzech latach nagle pojawił się w Afryce i Ameryce Południowej, gdzie pracował dla jakiejś firmy ochroniarskiej, wynajętej przez jedną ze spółek naftowych.

- Został najemnikiem? - zdziwił się Ethan.

- Oficjalnie to się nazywa ochroniarz, ale w niektórych przypadkach ktoś na takim stanowisku, gość naprawdę wybitny, jest w stanie wyciągnąć za swoją pracę nawet tysiąc dolarów dziennie. Przez kilka lat Carlisle właśnie tym się zajmował, a potem zaczął podróżować po krajach bałkańskich. To było w czasach, kiedy Bałkany były ostatnim miejscem na ziemi, w jakim człowiek chciał się znaleźć... W tym samym czasie w tamtych rejonach przebywał Robert Kenyon. Kenyon i Carlisle wspólnie walczyli w wojnie o Falklandy. Przypuszczam, że na Bałkanach też działali razem. Ale co tam dokładnie robili? Tego nie wie nikt - zakończył Malloy, rozkładając bezradnie ręce.

- Robert mówił, że kupował tam obrazy i zabytkowe meble - oznajmiła Kate. Malloy uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Robert prawdopodobnie był agentem brytyjskiego wywiadu. Wiemy, że jego dziadek ze strony matki, był po wojnie agentem MI6, i że tak naprawdę to on był odpowiedzialny za wykorzystanie Rycerzy Świętej Włóczni jako przykrywkę dla wielu operacji, które zakon prowadził za żelazną kurtyną. Być może lord Kenyon faktycznie handlował antykami na Bałkanach, ale możesz mi wierzyć, że nie tylko tym się zajmował. Kate patrzyła na Malloya w milczeniu.

- Przez długie lata nikt w Europie nie chciał się mieszać w wojny bałkańskie - powiedział Malloy. - Przynajmniej nie oficjalnie. Dlatego wysyłano tajniaków. Paladyni nieśli pomoc humanitarną ofiarom wojny, co było idealną przykrywką dla tajnej działalności wywiadowczej.

- Myślisz, że Carlisle ukrywa się z powodu czegoś, co miało miejsce jeszcze na Bałkanach? - zapytał Ethan.

- To całkiem możliwe, ale ci najbardziej niebezpieczni ludzie są już albo martwi, albo za kratkami. Jestem bardziej skłonny wierzyć, że Carlisle jest po prostu współnikiem Chernoff. Zamachowcem. Być może również zaopatruje niektóre miejsca w najemników i broń. Tak to wszystko w tej chwili wygląda.

- A może Carlisle wcale nie pracował dla Kenyona? - zasugerował Ethan. - Może pracował dla drugiej strony: dla wroga.

- To by tłumaczyło, dlaczego pozostaje w ukryciu, ale nie wyjaśnia jego członkostwa w Radzie Paladynów.

- Wydaje mi się, że powinniśmy sobie uciąć pogawędkę z całym tym panem Carlisle'em... - oświadczyła Kate.

- Kiedy w ubiegłym roku zaczęliśmy się interesować tą sprawą, miałem trzech głównych kandydatów: Jacka Farrella, Hugona Ohlendorfa oraz właśnie Davida Carlisle'a. Wiele tropów prowadziło prosto do Farrella, ale teraz to już nieaktualne, facet nie żyje, tak samo jak niemiecki prawnik. Został nam tylko Carlisle. Rozmowa z nim byłaby bardzo pouczająca i wartościowa... Wystarczy go znaleźć - powiedział Malloy. Ethan spojrzał na Kate.

-Być może Giancarlo wie, jak do niego dotrzeć. Nie za szkodziłoby zapytać, co? - zaproponowała.

Malloy pokręcił głową.

-Biorąc pod uwagę nasze przygody w Hamburgu, nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł.

-Więc co możemy zrobić? - spytał rzeczowo Ethan.

Wyzdrowieć - odpowiedział Malloy. - I poczekać na informacje z komputera Chernoff, które dotrą jutro. Jeśli jest współnikiem Carlisle'a, to na pewno coś znajdziemy. I może uda nam się złapać gościa, zanim znowu zapadnie się pod

ziemię. Ale na razie to wszystko, co możemy zrobić. No chyba że chcecie zapytać Bartolich o rolę, jaką odegrali w zamachu na Roberta Kenyona.

-Oni są poza podejrzeniem - odparła szybko Kate.

-Mogą być w posiadaniu bardzo ciekawych informacji... - zasugerował Malloy.

-Oni są moją rodziną, T.K.

-To właśnie rodziny są kolebką przemocy.

-Nie ma mowy. Odpada. Oni są czyści!

Malloy spojrzał na Ethana w nadziei, że ten stanie po jego stronie. Ale Ethan milczał.

-W takim razie musimy znaleźć Davida Carlisle'a - oświadczył.

Zurych, wtorek 11 marca 2008

Kiedy Malloy wrócił do hotelu, zadzwonił z pokoju do Gwen. W Nowym Jorku była już prawie północ. Gwen podniosła słuchawkę i odezwała się takim głosem, jakby czekała na jego telefon. Malloy powiedział, że to jeszcze nic pewnego, ale za kilka dni powinien być już w domu.

- Strasznie za tobą tęsknię, Thomas.

- Ja za tobą też, Gwen - odparł. I dopiero w tym momencie uświadomił sobie, jaki jest samotny.

Zaczął przygotowywać się do snu, ale nagle zdecydował, że jeszcze nie pora. Jego zegar biologiczny kompletnie się rozregulował. Spał w dzień, działał w nocy. Wyjął z walizki butelkę szkockiej, usiadł i zaczął przeglądać materiały na temat Ohlendorfa, które zgrał z komputera Dale'a.

Dale Perry znalazł prawnika dzięki ulicznemu bandzirowi o ksywce Xeno, który nagle zaczął robić większą karierę.

Dzięki spotkaniom Xeno i słynnego prokuratora, Dale zrozumiał, że Ohlendorf jest zamieszany w jakąś grubszą aferę. Nie miał jednak pojęcia, o co chodzi i jak głęboko prawnik w tym siedzi. Dale poświęcił kilka miesięcy na obserwowanie Niemca. Sporządził listę organizacji, do których należał Ohlendorf- wymienił także Zakon Rycerzy Świętej Włóczni. Odnotował jego znajomość z Johannesem Diekmannem oraz trzema innymi osobami z berlińskich wyższych sfer, które latem 1961 roku założyły owo bractwo. Chociaż Dale spędził niemal tysiąc godzin, badając sprawę, tak naprawdę odkrył niewiele więcej ponad to, co Malloy już wcześniej wiedział. Zakon Rycerzy Świętej Włóczni został powołany do życia przez sir Williama Savage'a, Anglika mieszkające go w Berlinie Zachodnim we wczesnych latach zimnej wojny. Sir William był ważną osobą w wielkiej firmie budowlanej, lecz jak pokazują najnowsze raporty, w rzeczywistości agentem brytyjskiego wywiadu. Kiedy tylko Berlin Zachodni został otoczony murem, sir William przekonał jednego ze swoich tajnych agentów, niemieckiego arystokratę i byłego oficera SS, Johanna Diekmanna, aby pomógł mu założyć organizację ruchu oporu... na wypadek, gdyby wybuchła kolejna wojna. Diekmann zasugerował, żeby zwerbować wybitne osobistości, które uświadamiałyby Zachód, jak ważna jest kwestia wolności Berlina Zachodniego. Miały prowadzić coś na kształt PR-owskiej kampanii. Diekmann i Savage postanowili także zwerbować osoby będące w stanie przedostać się do NRD i prowadzić tam tajne operacje w środowiskach quasi-kry-minalnych. Wraz z upływem czasu sytuacja w Niemczech stawała się mniej napięta, zatem niewidzialne macki organizacji sir Williama zaczęły sięgać pozostałych państw bloku wschodniego. Z początku wszelkie

operacje były bez wątpienia sponsorowane przez brytyjski wywiad, lecz z czasem Savage i inni Paladyni stworzyli finansową bazę dzięki, po części tylko legalnej działalności handlowej. Do lat osiemdziesiątych udało się im nawiązać raczej ciepłe stosunki z głównymi organizacjami przestępczymi w Europie.

W Radzie Paladynów zasiadało dziewięciu członków, każdy dysponował jednym głosem. Zakon był więc z pozoru niezależny od wpływów i nacisków ze strony sir Williama. W rzeczywistości jednak Savage obsadził Radę swoimi przyjaciółmi i członkami rodziny, poczynając od mężów córek, ojców Jacka Farrella i Roberta Kenyona. Znalazło się w niej także miejsce dla dwóch włoskich biznesmenów, z którymi łączyły go bardzo zażyłe stosunki, mianowicie Giancarla Bartolego oraz jego ojca.

W momencie zjednoczenia Niemiec Robert Kenyon reprezentował w Radzie interesy sir Williama, swojego dziadka, i został Paladynem po jego śmierci. Kiedy Luca i Jack Farrell również zostali mianowani Paladynami, świat zdążył się już zmienić. Komunizm jako zagrożenie został niemal całkowicie wyeliminowany. Zakon Rycerzy Świ ętej Włóczni musiał zareagować na te zmiany - skorygować swoją misję oraz priorytety. Nie zmieniła się tylko jedna rzecz - przynajmniej do śmierci Roberta Kenyona - kontrola nad Paladynami. Frakcja sir Williama, składająca się z pięciu Paladynów, wygrała z czterema głosami frakcji Johanna Diekmanna, przez co organizacja przyjęła nowy kurs. To oznaczało, że do roku 1997 Paladyni nie sankcjonowali żadnej działalności, która przynajmniej nie popierała by korony.

Wszystko się zmieniło, gdy do rady dołączyło dwoje nowych Paladynów, mianowicie David Carlisle oraz Christine Foulkes. Oboje nie należeli do żadnej z frakcji. To dało im możliwość zawierania tymczasowych paktów czy to z

Ohlendorfem, czy z Bartolim. Łatwo było założyć, że śmierć Roberta Kenyona mogła być powiązana z jakimiś wewnętrznymi tarciami w strukturach organizacji, lecz Malloy nie znalazł żadnych dowodów, które by przemawiały za tą teorią. Paladyni mieli spore udziały w czarnym rynku w całej Europie. To był niekwestionowany fakt. Jednak czy rzeczywiście doszło do konfliktów w obrębie Rady - tego Malloy nie mógł wiedzieć.

Co nie znaczy, że nie doszedł do żadnych ciekawych wniosków. Po pierwsze, Hugo Ohlendorf miał dostęp do przestępców o różnych specjalnościach. Być może nawet ich kontrolował. Byli wśród nich osobnicy chętni do popełniania morderstw i współpracy z jedną z najbardziej znanych i groźnych terrorystek w Europie. David Carlisle miał z kolei kontakty wśród najemników i być może także polityków w różnych krajach. Zajmował się handlem bronią, narkotykami oraz najemnymi żołnierzami. Jack Farrell, tak samo jak jego ojciec, współpracował z Giancarlo Bartolim przy licznych - czasami legalnych, a czasami niekoniecznie - przedsięwzięciach po obu stronach Atlantyku.

Na koniec: Christine Foulkes. Kobieta zagadka. Dawniej była celebrytką lubiła się bawić i chętnie się pokazywała się na różnych bardziej i mniej oficjalnych imprezach. Od kiedy wstąpiła do Rady Paladynów, zupełnie wycofała się z życia publicznego. Tak jak w przypadku Davida Carlisle'a, niewiele było aktualnych informacji na jej temat. Pisano o niej w raportach Zakonu, lecz poza jego obrębem nikt jej nie spotykał. To oznaczało, że Paladyni fałszowali informacje na temat jej działalności lub że podróżowała pod fałszywym nazwiskiem. Malloy nie rozumiał, dlaczego ktoś taki jak Christine Foulkes miałby tak bardzo ryzykować, korzystając z nielegalnych dokumentów.

Po przeczytaniu raportów Dale'a, Malloy przeszukał pliki pod kątem informacji na temat Christine Foulkes, Davida Carlisle'a, obu Bartolich oraz nieaktywnych już Paladynów, których reprezentował Ohlendorf, a byli to: Johannes Diekmann, Sara von Wittsberg, lady Margarite Schoals oraz Ann Marie Wolff. Malloyowi wyskoczyła na ekranie istna kopalnia informacji, lecz jak to bywa w przypadku kopalni: większość złóż to kamienie i piach, a nie złoto. O piątej rano, kiedy już prawie zamykał komputer, znalazł kilka portretów Davida Carlisle'a, będących kadrami z nagrań kamer bezpieczeństwa. Materiał ten pochodził z 2005 roku, kiedy Carlisle spotkał się w Paryżu z Hugonem Ohlendorfem.

Zdjęcia były w miarę aktualne, więc facet wyglądał nieco inaczej niż na fotografiach, które publikowała Rada Paladynów. Malloy zgrał je na pendrive'a, razem z innymi informacjami na temat szefów Zakonu. Zakładał, że Ethan już posiada te informacje, ale uznał, że nie szkodzi je sobie skopiować. Miał nadzieję, że z raportów, które Jane powinna mu przesłać rano, będzie w stanie dowiedzieć się czegoś więcej. Potrzebował bardziej konkretnych informacji.

Na razie zamknął laptop i spróbował złapać kilka godzin snu.

Berlin, Niemcy, zima 1936

Po wizycie w Wewelsburgu Rahn obiecał sobie, że nie będzie się widywał z Bachmanami, przynajmniej przez jakiś czas. Był zbyt wściekły na Dietera, by spędzić z nimi wieczór i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało! Kiedy jednak nadeszła sobota, znowu stał przed ich drzwiami. Przyniósł książeczkę z obrazkami dla Sary, bukiet polnych kwiatów dla Elizy oraz butelkę dobrego wina dla

Bachmana. Przyjął pocałunki od dziewczynki i jej matki, a następnie usiadł, by porozmawiać przy kieliszku. Atmosfera była taka sama, jak wcześniej.

Kiedy wychodził, w trakcie pożegnania Eliza nagle powiedziała:

- Dieter mówił mi, że masz jakieś problemy z Himmlerem...

Wyglądała na zmartwioną. Nigdy wcześniej nie widział takiego wyrazu na jej twarzy. Nagle zrozumiał, że przeciwstawianie się absurdalnym pomysłom Reichsführera mogło stworzyć poważne problemy dla Bachmana. A pośrednio - również dla Elizy.

Pokręcił głową i próbował nie okazać zdenerwowania, które nagle poczuł.

- Bynajmniej. Po prostu źle zrozumiałem jedną z wypowiedzi Dietera.

- Musisz być ostrożny, Otto. Himmler nie jest stały w uczuciach. Rób wszystko, co ci każe, a będziesz miał jedwabne życie - poradziła.

- Ach tak! Więc mam mu znaleźć tego Świętego Graala!

- Tak jak sugeruje Dieter: dawaj mu nadzieję. Wtedy dalej będzie cię chwalił. Jeśli go zlekceważysz, to... - zaczęła, lecz nie dokończyła, ponieważ pojawił się jej mąż.

- O czym tak namiętnie szepczecie? - zapytał jowialnie.

- Knujemy spisek przeciwko Hitlerowi! Chcemy go sprzątnąć - zażartował Rahn, lecz zapomniał się uśmiechnąć.

Bachman zamarł na moment, a potem roześmiał się teatralnie.

- A już myślałem, że to coś poważnego! - zawołał.

W następnym tygodniu Rahn odwiedził Bachmana w jego gabinecie.

- Myślałem o tym, co mi powiedziałaś. Chciałbym, abyś zorganizował spotkanie. Ty, ja i Himmler. W odpowiednim dla was terminie - rzekł Rahn.

- Mam nadzieję, że nie planujesz niczego niemądrego?

- Wprost przeciwnie. Mam dla was obu propozycję. Twarz Bachmana wyrażała ulgę.

- To wspaniale, Otto!

- Sądysz, że Himmler zgodzi się pokryć koszty ekspedycji?

- Jeśli ekspedycja ma jakieś szansę powodzenia, to na pewno się zgodzi!

- Chcesz mi towarzyszyć?

- Ma się rozumieć! - Bachman ucieszył się jak mały chłopiec.

Do spotkania doszło wieczorem następnego dnia w gabinecie Himmlera.

Reichsführer najwyraźniej był bardzo zmęczony. Zapewne myślał już jedynie o powrocie do domu i rodziny.

-Czym mogę panom służyć? - zapytał z uprzejmym uśmiechem, który po chwili zgasł.

Rahna obleciał strach. Łamiącym się głosem odparł:

-Major Bachman mówi, że... to znaczy, z tego co rozumiem... - Rahn wziął głęboki oddech i uspokoił się. Czuł treść, jak uczeń zdający egzamin u wymagającego profesora.

-Rozumiem, że pokłada pan pewne nadzieje w moich poszukiwaniach Świętego Graala! - powiedział wreszcie.

Himmler nie wydawał się zaskoczony. Spojrzał na niego z zaciekawieniem.

-Napisał pan w swojej książce, że Graal ostatnio znajdował się w zamku Montsegur, zanim katarowie oddali się w ręce inkwizycji. A potem kielich został ukryty gdzieś wewnątrz góry Tabor.

-Cytowałem jedynie opowieść, którą miejscowa ludność przekazuje sobie od pokoleń. Nikt inny, poza tubylcami, nie zna tej wersji legendy - wytłumaczył Rahn.

W twarzy Himmlera nie było ani krzty emocji. Był nieprzenikniony.

-I to właśnie mnie zafascynowało. Jestem ciekaw, czy wszystkie jaskinie zostały dokładnie przeczesane?

-Od jakiegoś czasu można zaobserwować wzmożone zainteresowanie grotami w tamtym regionie, ale muszę chyba stwierdzić, że wiele jaskiń pozostaje nadal nieodkrytych lub niezbadanych - powiedział Rahn. Po chwili dodał: -Problem w tym, że nie jestem nawet przekonany, czy Graal jest przedmiotem.

Himmler spojrzał na Bachmana. Przeszył go wzrokiem.

Rahn nagle wszystko zrozumiał. Bachman nie tylko podsunął Himmlerowi jego książkę o katarach. Zrobił coś o wiele więcej. Przekonał Reichsführera, że Rahn, aby odnaleźć Graala, potrzebuje jedynie funduszy na pokrycie kosztów ekspedycji. Pewnie dodał też, że doktor Rahn na własną rękę od dziesięciu lat potajemnie poszukuje Graala, a kiepska sytuacja finansowa nie pozwala mu się tym zająć w pełnym wymiarze. No cóż, kiedyś, dawno temu, Rahn faktycznie z wielkim entuzjazmem zaczął szukać świętego kielicha, ale szybko z tego zrezygnował. Doszedł do wniosku, że bardziej fascynująca jest historia, a raczej wiele pięknych historii, które odkrywał na swej drodze, zwiedzając ruiny, zabytki, grotty. Właśnie taką opowieść chciał snuć w swojej książce. Himmler jednak nie interesował się historią, jeśli nie mógł jej wykorzystać do własnych celów. Chciał wierzyć, że katarowie byli Aryjczykami i właścicielami Świętego Graala oraz że byli prześladowani przez przeżarty złem i korupcją Kościół.

- Nie znaczy to - zastrzegł Rahn - że w zamku Montsegur nie było żadnej świętej relikwii! - Nagle poczuł się tak, jakby słuchał własnych słów z perspektywy kogoś innego. - Szczerze mówiąc, zawsze wierzyłem, że katarowie czcili Świętą Włóczęgę, którą Parsifal ujrzał w zamku Króla Rybaka.

Himmler poruszył się w fotelu, nagle ożywiony.

- Świętą Włócznię?

- Tak. Oczywiście nigdy nie została ona zidentyfikowana jako ta prawdziwa włócznia, którą został przebity bok ukrzyżowanego Chrystusa. Była to po prostu włócznia z kości słoniowej, z której kapała krew prosto do złotego kielicha - podkreślił Rahn.

- Uważa pan, że to był właśnie skarb katarów? - zapytał podekscytowany Himmler. Zmęczenie, które wcześniej odbijało się na jego twarzy, nagle wyparowało bez śladu.

- Z tego co wiem, katarowie bardziej czcili Włócznię Przeznaczenia niż Krzyż, na którym umarł Chrystus. Jeśli pamięta pan opowieść Eschenbacha o Parsifalu, to wie pan, że bohater ujrzał Włócznię podczas uczty na dworze Króla Rybaka w Zamku Świętego Graala. Przez wiele lat byłem przekonany, że Włócznia niejako broniła Graala, który był kielichem lub czymś, co znajdowało się w kielichu, a czego Parsifal nie mógł zobaczyć. Teraz jednak bardziej skłaniam się ku myśleniu, że Święty Graal to nic innego jak krew, która kapała z Włóczni Przeznaczenia.

Himmler i Bachman słuchali Rahna w stanie najwyższego skupienia.

- Wystarczy przyrzeć się słowu *Sangraal* - kontynuował Rahn. - Zazwyczaj dzielimy je na dwa wyrazy: *San Graal*, czyli Święty Graal, ale jeśli podzielimy je inaczej, czyli na *SangRaal*, to „święty” nagle zamienia się w „krew”, a z kolei *raal* oznacza „królewski”. Krótko mówiąc, *Sangraal* to Królewska Krew - krew, która w nieskończoność skapuje z Włóczni.

- Chce pan powiedzieć - odezwał się Himmler - że Święty Graal to w istocie ?

- Mówiąc bardziej dokładnie: krew z Włóczni Przeznaczenia - sprostował Rahn. Natychmiast jednak uniósł ręce i przekrzywił głowę. - Rzecz jasna, to tylko

teoria! Nie chcę panu wmawiać, że rzeczywiście istnieje gdzieś włócznia z kości słoniowej, która wiecznie krwawi. Musi pan zrozumieć, że Włócznia Przeznaczenia oraz złoty kielich to nie przedmioty, lecz wizje. Katarowie byli przecież ludźmi kultywującymi życie duchowe. Dla nich był to absolutny priorytet. Odrzucali świat materialny, gardzili skarbami. Nie oddawali się ziemskim rozkoszom, ponieważ poszukiwali czegoś lepszego w królestwie ducha. A owa duchowość przejawiała się między innymi wizją krwawiącej włóczni.

W oczach Himmlera nagle zgasł błysk. Nienawidził uczucia rozczarowania.

- Nie można oczywiście wykluczyć tego, że katarowie rzeczywiście coś posiadali - dodał pospiesznie Rahn. - Dla mnie problemem było zawsze ustalenie, co dokładnie miałyby być tą relikwią. Łatwo jest snuć teorie i domysły, lecz zanim nie znajdzie się tego przedmiotu i nie ujrzy go na własne oczy, wszelkie zgadywanki wydają się bezcelowym zajęciem. Obecnie jestem jednak przekonany, że relikwią tą była Święta Włócznia, którą Piotr Bartłomiej odkrył w Antiochii pod czas pierwszej krucjaty. Zapewne pamięta pan, że krzyżowcy przez siedem miesięcy oblegali Antiochię, cały czas modląc się o posiłki, które nigdy się nie pojawiły. Kiedy już mieli się wycofać, jeden z przywódców krucjaty przekonał kogoś wewnątrz miasta, aby otworzył jedną z bram. I to wystarczyło. Jeszcze tego dnia Antiochia należała do krzyżowców. Następnego ranka wszakże na równinie pod miastem pojawiła się armia dwustu tysięcy Turków. Dzień wcześniej unicestwiliby bez problemu armię Watykanu, teraz jednak musieli się zadowolić oblężeniem miasta. System obronny Antiochii z jej czterystu wieżami był imponujący, ale chrześcijanie borykali się z innym problemem: brakiem zapasów. I nie mogli mieć nadziei, że ktoś przyjdzie im z pomocą.

Widząc zaciekawienie na twarzy Himmlera, Rahn opowiadał dalej:

- Wszystkie racje żywnościowe skonsumowali już w pierwszych dniach oblężenia. Potem każdy sam musiał sobie jakoś radzić. Cała armia przymierała głodem. Żołnierze nie mieli już nawet siły wchodzić na wieże i mury, by bronić miasta. Kiedy pewnego wieczoru wybuchł pożar, co zdarzało się bardzo często w czasach średniowiecznych, żaden z mieszkańców nawet nie wstał z łóżka, by próbować ugasić ogień. Poddając miasto krzyżowcom, mogli prosić o pokój, ale w przypadku Turków oznaczało to krwawą rzeź. Woleli więc głodować i modlić się o cud. A potem nawet modły ustały. Wszyscy wiedzieli, że są już tylko chodzącymi trupami. Śmierć była nieunikniona.

W tym momencie Otto zmienił nieco ton głosu dalej snuł opowieść:

- Wówczas to kleryk zwany Piotrem Bartłomiejem poszedł do znajomego księdza i opowiedział mu swój sen lub też wizję, której często doświadczał. Otóż za każdym razem święty Andrzej mówił mu, że , czyli ta, którą został przebity bok ukrzyżowanego Chrystusa, została zakopana pod podłogą kościoła na terenie miasta. W owych czasach takie rzeczy traktowano bardzo poważnie, jako znak od Boga. Ksiądz natychmiast pobiegł do hrabiego Rajmunda IV z Tuluzy, który był panem feudalnym Bartłomieja. Rajmund z kolei przekazał wiadomość pozostałym wodzom krucjaty. Z początku byli sceptyczni, lecz koniec końców zgodzili się oprowadzać kleryka po mieście, od kościoła do kościoła, by powiedział, czy któraś ze świątyń przypomina mu tę z jego wizji. Kiedy doszli do kościoła Świętego Piotra, Bartłomiej zawołał: „To tutaj!”. W ciągu kilku godzin rozkopano podłogę świątyni tuż przed ołtarzem. Nadaremnie. Wszyscy gotowi byli już opuścić kościół, nawet ci najbardziej entuzjastycznie nastawieni. Nagle kleryk rzucił się do rowu i zaczął sam kopać gołymi rękami. Chwilę później wykrzyknął,

że coś znalazł! Wyciągnął jakiś żelazny przedmiot oblepiony błotem. Himmler słuchał z zapartym tchem.

- Kleryk nie zdążył jeszcze nawet wygrzebać się z rowu - ciągnął dalej

Rahn - kiedy Rajmund padł na kolana, a następnie, co zostało udokumentowane przez kroniki, zaczął całować oblepioną błotem włócznię, obmywając ją swoimi łzami. Wieść rozniosła się błyskawicznie. Nadzieja, która umarła wśród żołnierzy, nagle znowu odżyła w ich sercach. To było tak, jakby na niebie ukazał się im sam Bóg i obiecał zwycięstwo! To był znak i każdy to wiedział: wołają Pana, by chrześcijanie odbili Jerozolimę z rąk niewiernych i Żydów. Musieli jedynie wstać i walczyć. Zwycięstwo było na wyciągnięcie ręki! Zamiast wspinać się na mury, by bronić miasta, żołnierze błagali o możliwość stawienia czoła przeciwnikowi na otwartej przestrzeni. Krzyżowcy wymaszerowali z miasta zwartą formacją. Włócznię niesiono wysoko, tak by każdy mógł ją widzieć. Tego popołudnia wycięli w pień armię turecką.

Himmler ledwo mógł usiedzieć w fotelu - tak był urzeczony tą historią!

-A teraz rzecz najciekawsza. Przez jakiś czas po tym wspaniałym, triumfalnym zwycięstwie, zanim podjęto jakąś militarną decyzję, najpierw konsultowano ją z Piotrem Bartłomiejem. Kleryk brał w ręce Włócznię, trzymał ją przy piersi, po czym nawiedzały go myśli oraz wizje, które od razu opisywał. Oczywiście nie mogło się to podobać księżom, którzy byli niewolnikami papieża. Zżerała ich zazdrość. Zaczęli więc buntować lud i żołnierzy przeciwko boskim wizjom Bartłomieja.

-Zmijcie! Przeklęte klechy... - wyszeptał gniewnie Himmler. Z całego serca nienawidził Kościoła, choć dawniej darzył go miłością.

-Finał historii był taki, że księża, chcąc odsunąć od władzy potężnego dzięki Włóczni kleryka, zorganizowali próbę, w której nieszczęśnik musiał udowodnić, że Święta Włócznia jest prawdziwa. W owych zamierzonych czasach próba ognia nie była jedynie poetycką przenośnią. Rozpalano wielkie ognisko, a następnie

czekano, aż zgaśnie i zostaną jedynie rozżarzone węgle. Sądzony musiał przejść przez nie boso, aby udowodnić, że Bóg go chroni. Bartłomiej, kurczowo trzymając przy piersi Włócznię, przeszedł przez rozżarzone węgle, kiedy nagle część księży zaczęła nawoływać go, żeby zawrócił i przeszedł jeszcze raz w drugą stronę. Nieszczęśnik odwrócił się i zaczął iść z powrotem, do miejsca, z którego wyruszył. Teraz już każdy krok po rozżarzonych węglach palił jego ciało. Przyjaciele chcieli pomóc mu wydostać się z żaru, lecz kleryk za wszelką cenę chciał udowodnić, że Włócznia jest prawdziwa. Szedł więc dalej. Ból był tak potworny, że omal nie zemdlął i nie umarł. Uratowała go myśl o Włóczni... Oczywiście żaden człowiek nie podołałby tak okrutnej próbie! Przez trzynaście następnych dni Piotr leżał na łożu śmierci, ściskając Świętą Włócznię. Potem umarł. Niektórzy utrzymują, że został zamordowany. Jakkolwiek było, jego życie skończyło się dwudziestego kwietnia 1098 roku.

- Dwudziesty kwietnia?! - wykrzyknął Himmler, wstając z fotela. - Przecież to data urodzin Führera!

Rahn przytaknął. Powstrzymał się jednak przed okazaniem nadmiernego entuzjazmu. Powiedział jedynie:

- Ja również uważam, że to swego rodzaju znak.

- Ale co się stało z Włócznią? - zapytał po chwili Himmler.

- Po śmierci Bartłomieja Włócznia powędrowała do jego pana, Rajmunda z rodu Saint Gilles. Zdaniem świadków hrabia zrobił dla Włóczni relikwiarz. Nie była to rzecz zbyt imponująca ani zrobiona z rozmachem. Nowy właściciel kazał jednak

szkatułkę pozłocić, a jej wieko pokryć perłami i rubinami. Następnie zarządził, by uzbrojeni księża strzegli relikwii dzień i noc i nosili ją zawsze za nim,

gdziekolwiek by się ruszył. W ówczesnych czasach za relikwie Męki Chrystusa można było kupić niejedno królestwo! Przede wszystkim jednak, jak ówczesnie wierzono, Włócznia była pokryta krwią Zbawiciela, a w Antiochii udowodniono, że ma cudowną moc. Za cud uważano także fakt, że Piotr Bartłomiej nie zginął od razu podczas piekielnej próby, do której go zmuszono. Przez pięć lat księza, nawet na polu bitwy, nosili za Rajmundem Włócznię Przeznaczenia. Przez pięć lat armia, która szła za hrabią z Tuluzy i świętą relikwią, ani razu nie została pokonana.

- Prawdziwa Święta Włócznia - wyszeptał Himmler.

- Na to wygląda - przyznał Rahn. - Jednakże podczas wizyty Rajmunda w Konstantynopolu, Włócznia nagle zniknęła!

Rahn przerwał opowieść. Wpatrywał się przez chwilę w twarz Re-ichsführera, potem zerknął na Bachmana. Nie mogli się doczekać dalszego ciągu opowieści. A raczej jej końca.

- Tak przynajmniej twierdził Rajmund. Moim zdaniem miał powód, by kłamać i ukrywać fakt, że nadal posiada świętą relikwię. Już tłumaczę dlaczego. Kiedy hrabia opuszczał Konstantynopol, porwał go jego dawny rywal, książę Antiochii, i zgodnie z ówczesnym zwyczajem zażądał okupu. Rzecz jasna książę, również będący krzyżowcem, spodziewał się, że w zamian za wolność Rajmunda otrzyma Włócznię. Chciał, by wróciła ona do Antiochii, co jest zresztą zrozumiałe, lecz Rajmund uparcie twierdził, że relikwię skradziono mu w Konstantynopolu. Przez ponad rok torturowano i przesłuchiowano hrabiego, który uparcie obstawał przy swojej wersji historii. „Włócznię mi skradziono! Jak mam oddać coś, czego nie posiadam?”, mówił. Rok później książę wreszcie mu uwierzył. W ramach okupu przyjął złoto zamiast świętej relikwii. Od tamtej pory

nikt nigdy nie słyszał o Włóczni z Antiochii. Jakby rozplynęła się w powietrzu... - zakończył opowieść Rahn.

-Ale przecież on jej nie stracił! Ciągle ją miał! Prawda? - dopytywał się Himmler.

Rahn się uśmiechnął.

-Skoro Bartłomiej był w stanie chodzić po rozżarzonych węglach, to Rajmund miał dość odwagi, by wytrzymać tortury. Wyszedł na wolność. Oczywiście już nigdy nie powrócił do zdrowia. Zresztą był już nie taki młody, kiedy zaczęła się kruczata. Teraz wiedział, że pozostało mu już tylko kilka tygodni życia, a przed śmiercią musiał pozalać swoje sprawy najlepiej jak to możliwe. Swojego najstarszego, ale nieślubnego, syna mianował dowódcą armii w Lewancie. Drugiemu synowi, niepełnoletniemu wtedy, lecz prawowitemu dziedzicowi, przekazał majątek w Langwedocji, gdzie zresztą kazał mu się przenieść. Sądzę, że razem z chłopcem do Langwedocji zawędrowała także Włócznia z Antiochii.

Himmler rozparł się wygodnie w fotelu z rozmarzonym wyrazem twarzy.

-Proszę zrozumieć - powiedział Rahn - że Włócznia to tylko kawałek wygiętego, zardzewiałego żelaza. Nawet nie przypominało to włóczni. Tyle dowiadujemy się z opisów naocznych świadków. Jednak ten kawałek złomu posiadał cudowną moc. Trudno temu zaprzeczyć! Przez lata przekazywano sobie tę historię z ust do ust. Relikwia obrosła legendą. Stała się czymś więcej niż tylko kawałkiem żelaza. Rdza, którą była pokryta, w wyobrazeniach jej czcicieli zamieniła się w *Sang Raal* - Świętą Krew. Przestała być wygiętym, zardzewiałym prętem - przemieniła się we włócznię z kości słoniowej, po wieki krwawiącą prosto do złotego kielicha, który nigdy do końca się nie napełnia. Aby pojąć tę wizję, należało rozumieć wierzenia katarów, którzy całe życie tęsknili za króle-

stwem ducha. Kiedy twierdza Montsegur została zrównana z ziemią, rycerze mogli oddać swoje życie, ale nie relikwię, która wywoływała te boskie wizje. Za nic w świecie nie oddaliby Włóczni znienawidzonym rzymskim klechom! Otto przerwał opowieść, by złapać oddech. Po chwili kontynuował:

- Proszę sobie wyobrazić: dwieście osób - mężczyzn, kobiety i dzieci - kroczących prosto w ogień inkwizycji rankiem szesnastego marca 1244 roku. Wychodzili z fortecy i szli prosto na śmierć, nie wydając z siebie żadnego odgłosu bólu, kiedy pochłaniały ich płomienie...

Oczy Himmlera rozjarzyły się na myśl o tym wydarzeniu.

- Oni nie wierzyli oblepionej błotem relikwii, którą znalazł Piotr Bartłomiej. Oni wierzyli w boską wizję Włóczni Przeznaczenia. Dzięki niej stanęli w obliczu śmierci nieustraszeni.

- Mimo wszystko co się z nią stało? Czy, tak jak głosi legenda, zakopano ją wewnątrz góry? - zapytał Himmler.

Rahn pokręcił głową.

- Nikt tego nie wie. Widziałem obraz przedstawiający Włócznię i Kielich w jednej z grot w jaskini Lombrives - odparł.

- Wspomniał pan o tym w swojej książce!

- Pokazałem nawet owo malowidło majorowi Bachmanowi. Pamiętasz, Dieter? Bachman przytaknął.

- Być może Włócznię ukryto właśnie tam, w jaskini Lombrives, lub w jakiejś innej w tym regionie. W górze Tabor jaskiń jest niemal bez liku! Oczywiście istnieje możliwość, że ta legenda to czysty nonsens, tak samo jak inne historyjki, które się nieraz słyszy. Być może żadna Włócznia nie istnieje! Możliwe też, że to

tylko wytwór wyobraźni, nagroda dla ducha, którą może zdobyć jedynie Prawdziwy Katar.

Wyraz twarzy Himmlera momentalnie się zmienił.

- Chce pan powiedzieć, że jedyne, na czym pan się opiera, to legenda zasłyszana od jakiegoś starca oraz obraz na ścianie groty?

Rahn wzruszył ramionami.

- Dokładnie to samo powiedziałem kilka tygodni temu majorowi Bachmanowi. Mówiłem mu, że sprawa nie wygląda zbyt obiecująco. Ale od tamtego czasu sporo o tym myślałem...

- Proszę mówić dalej! - Himmler znowu się ożywił.

- Według legendy, Esclarmonde wrzuciła Graala do wnętrza góry Tabor. Tabor to także nazwa góry znajdującej w Galilei, gdzie zdaniem ludzi wierzących miało miejsce Przemienienie Jezusa. Chrystus ukazał się tam trzem swoim uczniom jako ktoś różniący się od zwykłych śmiertelników. Dokładnie tak samo jest z Włócznią. Kawalek żelaza, który został przemieniony w coś boskiego - Świętą Włócznię z legendy o Świętym Graalu autorstwa Eschenbacha. Jest jeszcze pewien interesujący szczegół. Szczyt góry Tabor w Langwedocji nazywany jest Saint- Barthelemy czyli święty Bartłomiej - dodał Rahn.

- Na część Piotra Bartłomieja, który znalazł Włócznię?

- Być może to kolejny zbieg okoliczności, tyle że jaskinie, do których rzekomo został wrzucony Graal, znane są pod nazwą *Sabarthes*, co brzmi jak skrót od *Saint-Barthelemy* - powiedział Rahn.

Himmler był wniebowzięty! To jest trop, którym trzeba pójść! Trop, który prowadzi prosto do Włóczni! Rahn siedział z zamyśloną miną uczonego, który po prostu omawia pewną hipotezę.

- Odwaga i męstwo Piotra Bartłomieja na pewno natchnęły wszystkich tych, którzy mieli zginąć w ogniu inkwizycji. On sam przecież też padł ofiarą księży i ognia. Z początku był prostym, skromnym klerykiem, lecz jego nieprzeciętna wiara zamieniła go w pierwszego rycerza Włóczni Przeznaczenia.

- To jest niebywałe! - wykrzyknął Himmler. – *Sabarthes!* W tych grotach ukryta jest święta relikwia!

Rahn uśmiechnął się niewinnie.

- Przez pięć lat miałem przed nosem wszystkie elementy układanki, wszystkie wskazówki i dowody. Lecz zrozumiałem to dopiero wtedy, gdy major Bachman namówił mnie na ekspedycję! Oczywiście, nie mogę niczego obiecać... ale wydaje mi się, że... być może... istnieje odrobina nadziei... - mówił Otto niezwykle ostrożnie, drżącym głosem.

- Czego pan potrzebuje do odnalezienia Włóczni? - zapytał Himmler. - Proszę mówić! Dostanie pan wszystko, czego zażąda.

Rahn zrobił zdziwioną minę, lecz w głębi serca wiedział, że taka właśnie będzie reakcja Himmlera.

- Myślę, że... około tuzina ludzi. A gdyby się dało, to dwudziestu. Powinni być górnikami albo mieć doświadczenie w ciężkiej pracy pod ziemią. Jeśli Włócznia gdzieś tam jest, to na pewno ukryta głęboko wewnątrz góry. Schowana tak, by żaden wydelikacowany księżulek nie był w stanie się do niej dorwać - powiedział Otto. Zwrócił się do Bachmana: - Będę również potrzebował ekipy, która zajmie się transportem, sprzętem oraz organizacją ekspedycji. Uważam, że jej cel powinien być utajniony. Francuzi niechętnie będą z nami współpracować. Być może nawet powinniśmy zmylić wszystkich dokoła, tak aby nikt się nie domyślił naszych prawdziwych intencji...

-To się łatwo da załatwić! - oświadczył z przekonaniem Bachman, po czym spojrzał na Himmlera. - Możemy rzekomo wysłać ekspedycję na Islandię! Że niby szukamy dowodów istnienia Hiperborejczyków!

-Statek to dobry pomysł - przytaknął Himmler. - Sobowtór doktora Rahna wejdzie na pokład i odpłynie. Jeśli odpowiednio nagłośnimy tę wyprawę, to ludzie w nią uwierzą.

-Po chwili spojrzał na Rahna i zapytał: - Kiedy pan będzie gotowy?

- Najpierw chciałbym się spotkać z kilkoma osobami ze Szwajcarii, które mają doświadczenie w badaniu jaskiń. Chciałbym też dotrzeć na miejsce kilka dni wcześniej niż reszta załogi, żeby opracować systematyczny plan działania.

Jestem gotowy zacząć niemal od zaraz. Gdyby major Bachman mógł wyruszyć, dajmy na to za miesiąc, to byłoby idealnie. Himmler spojrzał na Bachmana.

-To nie będzie dla pana problem, prawda, majorze?

-Bynajmniej! Żaden problem. Żaden! - odparł Bachman.

-Aha, jeszcze jedna rzecz... - zaczął Rahn.

Reichsführer spojrzał na niego z ciekawością.

-Proszę mówić, proszę się nie wstydzić.

-Chciałbym, aby w ramach SS utworzono Zakon Katarów. Jeśli, rzecz jasna, uda nam się znaleźć Włócznie.

Himmler uśmiechnął się nieco protekcjonalnie.

- Najpierw proszę znaleźć Włócznie z Antiochii, doktorze Rahn. Resztą będziemy się martwić później!

Bachman był wyraźnie zadowolony. W przeciwieństwie do Rahna.

-Załatwiłem ci ekspedycję! Czego ci jeszcze potrzeba do szczęścia? - pytał zdziwiony posępnym humorem kolegi. - Co cię trapi?

-Co mnie trapi? Wyobraź sobie, że przeczeszemy wszystkie jaskinie, co do jednej, i okaże się, że Włócznia nie istnieje! - wykrzyknął Rahn. - Co wtedy zrobimy?

Bachman był zaskoczony.

-Przecież wiemy, gdzie szukać - odparł.

-Oni ją zakopali, Dieter. Ponieważ nie chcieli, by ktokolwiek ją znalazł! Oczywiście zakładając, że w ogóle istnieje!

-Himmlerowi tak o tym wszystkim opowiadałeś, jakby to nie był żaden problem!

Rahn odwrócił wzrok. Był wściekły na siebie, na Bachmana, na wszystko.

- Co się z nami stanie, jeśli wrócimy z pustymi rękami? - zapytał.

-Ależ drogi Otto, przecież mówiłeś że...

-Co się stanie? - powtórzył z naciskiem.

Bachman zastanowił się przez chwilę.

-Nic dobrego, to pewne...

-Potrzebuję pieniędzy, Dieter. Całej góry pieniędzy!

Bachman uniósł brew, lecz odparł:

-Naturalnie. Cokolwiek sobie życzysz, Otto.

Góry Tabor, Langwedocja lato 1936

Po spędzeniu kilku dni ze starym przyjacielem w Genewie, Otto Rahn pojechał do Prowansji, a potem do Langwedocji. Przenocował w pobliżu ruin w Foix, skąd podobno Esclarmonde mogła patrzeć na południe w kierunku góry Tabor oraz doliny rzeki Ariege. Następnego ranka przebył jeden z najpiękniejszych szlaków południa Francji, Ścieżkę Katarów. Ta starożytna ścieżka, która zaczyna się w Olmes, czyli dolinie wiązów, na obrzeżach pirenejskiej góry Tabor, wije się dalej wokół twierdzy Montsegur, następnie biegnie na szczyt Saint-Barthelemy, a kończy się przy jaskiniach Sabarthes.

Otto rozbił biwak nieopodal jaskiń Bouan oraz Ormolac. W Ormolac roiło się od węży, z kolei Bouan przypominało zamek: były schodki, wieże, a nawet zbiornik wodny. Rahn zaglądał także do innych jaskiń, penetrując zapomniane przez świat zakątki i planując prace ekspedycyjne. Dwa tygodnie później miał opracowany szczegółowy program. Zadzwoił do Bachmana i oświadczył, że jest już gotów.

Górnicy przyjechali do Francji jako członkowie Towarzystwa Thule. Bachman był ich rzecznikiem. Urzędnikom francuskim powiedział, że celem wizyty jest spędzenie kilku tygodni na eksplorowaniu jaskiń w dolinie Ariege. Ponad dwunastu młodszych oficerów SS przekroczyło granice kraju osobno. Kiedy akurat nie musieli chronić obozu, rozjeżdżali się do swoich hotelów, udając turystów. Co tydzień zmieniali miejsce zamieszkania. Ich zadaniem było zaopatrywanie obozu w prowiant i sprzęt. Nadzorowali również prace w jaskiniach oraz pilnowali obozowiska w nocy.

Kilkukrotnie Rahn i jego ekipa natknęli się na łowców skarbów, którzy szukali szczęścia w tych samych jaskiniach, lecz Bachman dzięki przekupstwom lub szantażom skutecznie zachęcał ich do przenoszenia się w inne miejsca. W ciągu pierwszych tygodni ekspedycji Rahn i Bachman często wypuszczali się na drinka do jednej z pobliskich wiosek. Pewnego razu jakiś miejscowy wieśniak, który najwyraźniej wypił tego wieczoru o wiele za dużo, zaczął głośno narzekać na inwazję Niemców.

„Niech smrodzą we własnym kraju!”, darł się wniebogłosy. Miał na myśli niemieckich turystów w ogóle, lecz Bachman nieco się przestraszył i oświadczył, że członkowie ich grupy muszą bardziej dbać o to, żeby nie rzucać się nikomu w oczy.

Oczywiście górnicy nie stanowili pod tym względem żadnego problemu. Przekroczyli granice Francji, zeszli do jaskiń. Rozmawiali tylko między sobą, odzywali się jedynie wtedy, gdy ktoś zadał im bezpośrednie pytanie. Rahn dowiedział się, że wszyscy oni są więźniami, którym obiecano zwolnienie warunkowe po zakończeniu ekspedycji. Dieter powiedział mu również, że jeśli wyprawa odniesie sukces, każdy z górników otrzyma sowite wynagrodzenie. Mimo wszystko Bachman im nie ufał. O wschodzie słońca byli eskortowani do jaskiń, a po zachodzie oficerowie odprowadzali ich do obozu. W nocy czuwało nad nimi dwóch strażników. Nawet we wnętrzach jaskiń Bachman nie ryzykował i zawsze kazał komuś monitorować ich pracę.

Sama praca była ciężka i często niebezpieczna. Górnikom kazano zapuszczać się głęboko w wąskie przesmyki i szczeliny oraz odkopywać przejścia, które zostały zasypane lub które same się zapadły. Kazano im szukać nowych przejść, opukiwać ściany. Mieli za zadanie szukać, jak to Rahn wielokrotnie powtarzał

Bachmanowi, małej pozłacanej skrzyneczki. Był przekonany, że Włócznia cały czas była przechowywana w relikwiarzu, który wykonano na żądanie Rajmunda. Mogła znajdować się wszędzie, ale na pewno została starannie ukryta. Gdzieś, gdzie nie miały nigdy dotrzeć „wydelikaczone dłonie średniowiecznych księży”.

Nie śpieszyli się. Ekspedycja pracowała systematycznie. W wielu jaskiniach odkopywano prehistoryczne narzędzia, kości, a nawet średniowieczne artefakty. W jednej z jaskiń górniczy rozkuli pękniętą podłogę i znaleźli podwodny strumyk oraz szczątki jakiegoś śmiałka z xix wieku. Prawdopodobnie spadł i się zabił. Bachman zarządził, by nie dotykać szczątków. Niech kości leżą tak, jak zostały rzucone...

Po miesiącu wiara w powodzenie ekspedycji, którą ciągle nosił w sobie Bachman, zaczęła słabnąć. Rahn przypominał mu, że przecież nikt nie gwarantował sukcesu! Po chwili dodawał, że zostało jeszcze trochę jaskiń i nie można się zniechęcać. Pewnego wieczoru Dieter zastanawiał się na głos, czy katarowie przypadkiem nie wrzucili swego skarbu do górskiego stawu w pobliżu szczytu Świ ętego Bartłomieja. Czy w którejś z legend nie pojawiała się przypadkiem woda? - pytał Bachman. Oczywiście Rahn znał taką legendę. W głębokich wodach miały rzekomo być ukryte skarby starożytnych Teb. Jednak Otto odrzucił teorię Bachmana. Powiedział, że katarowie nigdy nie wrzuciliby świętej relikwii do nieświętych wód.

- Włócznia może być dosłownie wszędzie! - upierał się Bachman. Rahn zazwyczaj reagował na takie komentarze furją.

- Ta cała ekspedycja to był twój pomysł, Dieter! To ty obiecałeś Himmlerowi Bóg wie co! Przestań więc jęczeć.

- Tak, ale zrobiłem to tylko dlatego, że ty opowiadałeś o tym wszystkim z taką pewnością siebie!

Rahn odwrócił się. Wbił spojrzenie w zapadający nad doliną mrok.

- To także przez ciebie. Zmusiłeś mnie do tego, swoimi niedorzecznymi obietnicami złożonymi szaleńcowi!

Bachman czuł się tak przegrany, że nawet nie stanął w obronie poczytalności Himmlera.

Było tu tyle jaskiń, że można by pomieścić w nich ludność średniej wielkości miasta. Niektóre ciągnęły się przez kilometry. Inne były małe niczym pustelnie; mogła się w nich schować para zakochanych podczas ulewy. A jeszcze inne były po prostu głębokimi pęknięciami w ziemi i trzeba było uważać, żeby nie spaść w dół. W jaskiniach Rahn niekiedy odłączał się od ekspedycji i pracował sam. Lubił spokój i ciszę, którą gwarantowała praca w samotności. Wraz z mijającymi tygodniami coraz częściej sam zapuszczał się w nieznane jaskinie. Bywały dni, kiedy zupełnie tracił poczucie czasu. Zapominał na jakim świecie żyje. W takich chwilach nie mógł zdecydować, czy oszalał, czy wreszcie osiągnął idealną równowagę psychiczną.

Niekiedy gasił latarkę i myślał o Elizie. Zastanawiał się, jak by się do niego odnosiła, gdyby nie ciągnęła obecność Bachmana w pobliżu. Miała teraz swoją córeczkę i w pewnym sensie była już nieco inną kobietą. Może bardziej zadowolona ze swojego losu... ale daleko jej było do szczęścia. Nigdy nie będzie szczęśliwa, dopóki będzie żoną Bachmana! Siedząc w ciemności, Otto przywoływał jej twarz i wspominał czasy, kiedy byli razem...

Oczywiście jej decyzja, by zostać z Bachmanem, była słuszna. Jakie życie Otto był w stanie jej zaoferować wtedy, w czasie ich romansu? Teraz wszystko się jednak zmieniło. Rahn był znaną osobistością. Cenionym intelektualistą! Kiedy wróci do Berlina z Włócznią Przeznaczenia, kto wie, jakie bogactwa zaoferuje mu Himmler! Będzie miał taki majątek, że zapewni Elizie i jej córeczce życie na odpowiednim poziomie. Jeśli Eliza zdecyduje się na rozwód z Bachmanem.

Lubił sobie wyobrażać, że Eliza i Sara mieszkają razem z nim. Każdego dnia spędzał wiele czasu na rozmyślaniach, jaki powinni kupić dom. Może jakąś willę w Poczdamie, gdzie powietrze było tak świeże i czyste? Jeździłby do Berlina tylko raz lub dwa w ciągu tygodnia. Sarze na pewno spodobałaby się piękna okolica, a on sam mógłby wreszcie pracować w ciszy i spokoju nad powieścią, którą zawsze planował napisać.

Ale wtedy uprzytamniał sobie, jak absurdalne i bezcelowe są te sny na jawie. Eliza nigdy nie odejdzie od Bachmana! Nie chodziło o pieniądze ani o uczucia. Chodziło o przysięgę. Nie mogła jej złamać. Nie może zmienić swojego losu, nawet dla Rahna. Będzie trwać u boku męża, ponieważ przysięgała, że go nigdy nie opuści. Rahn mógł nadal sobie ją kochać. Co więcej, był pewny, że ona też go kocha. Wiedział jednak, że ich los nigdy się nie odmieni. Rycerz-trubadur i jego dama nigdy nie będą razem.

Minęło już sześć tygodni. Pewnego dnia Rahn wyszedł o zmierzchu z kolejnej groty i wpadł na Bachmana.

- Włócznia była schowana w Bouan, Otto! - krzyknął Dieter - W szczelinie! Tak głęboko, że prawie ją przegapiliśmy! Wszędzie było pełno węży!

- Co było schowane? O czym ty w ogóle mówisz?

- Wreszcie ją znaleźliśmy, Otto! Znaleźliśmy Włócznie z Antiochii! Grota Bouan była częścią kompleksu jaskiń na obrzeżach drogi z Tuluzy do

Barcelony, nieopodal przełęczy Puymo-rens. Jaskinia składała się z wielu komnat. Rahn dobrze ją znał, wiedział, że trzeba uważać na węże. Ostrożnie szedł do miejsca, gdzie ponoć znaleziono skarb.

Górnicy odpędzili węże, które owinęły się wokół skrzynki. Żaden z nich nie został ukąszony, co samo w sobie było cudem. Żaden też nie próbował unieść wieka. Czekano, aż przybędzie szef.

Szkatułka była niewielkich rozmiarów, tak jak opisywał ją Rahn. Pozłacana i udekorowana małymi rubinami oraz perłami.

Unosząc wieko, Rahn zauważył, że jeden z zawiasów jest kompletnie zardzewiały i pękł, starał się więc, żeby drugi pozostał w całości. W środku ujrzał kawałek żelaza wielkości pięści. Leżał na wypłowiałym płótnie. Rahn pokazał skarb Bachmanowi i jego ludziom. Następnie zademonstrował szkatułkę wszystkim sześciu górnikom, którzy byli obecni na miejscu. Patrzyli, nie wiedząc, co tak naprawdę im pokazuje. Żaden z nich się nie odezwał.

Rahn wyszedł z jaskini prosto w mrok, który panował na zewnątrz. Usłyszał głos Bachmana:

- Himmler obwoła cię bohaterem narodowym, Otto!
- To w takim samym stopniu moja zasługa, jak i twoja, Dieter.
- Myślałem, że będziesz bardziej szczęśliwy, przyjacielu!
- Jestem szczęśliwy! Tylko strasznie zmęczony.
- Znam na to lekarstwo! - odparł wesoło Bachman. - Chodźmy na drinka do wioski! Co ty na to?

Skończyli świętować późnym rankiem następnego dnia. Ekipa Bachmana miała odwieźć dwunastu górników z powrotem do Niemiec trzema osobnymi samochodami. Rahn wracał razem z Bachmanem.

Podróż do Berlina zajęła im całe trzy dni. Przyjechali bardzo późno, więc Rahn spędził noc w domu Bachmanów, w ich pokoju gościnnym. Następnego ranka wziął relikwię i zawiózł ją Himmlerowi.

Reichsführer był oczywiście zadowolony, gdy usłyszał o powodzeniu ekspedycji. Kiedy jednak rzucił okiem na skarb, na jego twarzy odmalowało się wielkie rozczarowanie. Być może nappełniała wiarą armię średniowiecznych krzyżowców, lecz w obecnej dobie wydawała się mało efektowna, warta mniej niż jej legenda.

- Patrzę na to i nawet nie wiem, czy to jest faktycznie grot włóczy! - narzekał.

- Bo być może nie jest - przyznał Rahn. - Istnieje teoria, że boku Chrystusa nie przebito włócznią, lecz drzewcem rzymskiej chorągwi.

- Pierwsze słyszę - oparł Himmler.

- Nie to jest sednem sprawy. Chodzi o to, co ten przedmiot w ludziach wyzwał. Jest on symbolem siły wyobraźni. Ten nieefektowny kawałek żelaza katarowie przemienili w potężną boską wizję, w której pojawiły się krew, kość słoniowa i złoto - przekonywał Rahn.

Himmler kiwał głową, próbował to wszystko ogarnąć umysłem. Po chwili spojrzał na Bachmana i zapytał:

- Rozumiem, że zajął się pan górnikami?

- Naturalnie. Gdy tylko dotarli na niemiecką ziemię.

Himmler otworzył szufladę i wyjął cztery zaproszenia na zbliżające się Igrzyska Olimpijskie. Wręczył je obu mężczyznom, mówiąc, że świetnie się spisali. Ich trud zostanie hojnie wynagrodzony, lecz tymczasem, zanim odpowiednia

ceremonia zostanie przygotowana, pragnie, aby byli jego gośćmi na Olimpiadzie. Poświęcił kilka minut na opisywanie zbliżającej się imprezy oraz tego, jaki będzie miała wpływ na umocnienie pozycji państwa niemieckiego w świecie. Kiedy skończył, znowu spojrzął na stojący na jego biurku skarb. Z pewnością był rozczarowany, że jego poszukiwania Świętego Graala nie zostały zwieńczone wspaniałą Włócznią oraz pięknym Kielichem. Podziękował raz jeszcze Rahnowi i Bachmanowi, po czym niemal wypchnął ich ze swojego gabinetu.

Bachman chyba nawet nie zauważył niezadowolenia Reichsführera. Był za bardzo uradowany faktem, że został awansowany do stopnia pułkownika.

- Poszło chyba całkiem nieźle, co? - zapytał.

Rahn kiwnął głową.

- Czym się znów martwisz, Otto?

- Co Himmler miał na myśli, gdy zapytał, czy się zająłeś górnikiemami?

- Ci, którzy na własne oczy ujrzeli relikwię w jaskini, mogli coś wypaplać innym górnikom. Zdecydowaliśmy zatem, żeby tuż po przekroczeniu niemieckiej granicy wszystkich ich rozstrzelać - powiedział Bachman.

- Co?! - wykrzyknął Rahn. Jego twarz wyrażała czystą grozę.

- Musieliśmy się upewnić, że nasze odkrycie pozostanie tajemnicą, Otto! A ty jak byś to załatwił?

- Zabiłeś tych ludzi? O Boże, Dieter! Zamordowałeś dwunastu ludzi z powodu tego... tego kawałka złomu?

- Oczywiście, że ich nie zabiłem! Wydałem tylko rozkaz! No, już, nie denerwuj się. Chodź, wypijemy drinka i coś przekąsimy. Przyszła pora na prawdziwe uczczenie naszego sukcesu!

- Oni wszyscy... nie żyją? - Rahn cały się trząsł. Zbierało mu się na wymioty.

Runął na fotel w swoim gabinecie, ponieważ nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

A potem w jego oczach pojawiły się łzy...

- Na litość boską, Otto! - odezwał się Bachman - Weź się w garść, chłopie! Jesteś ślepy czy co? Przecież to byli tylko Żydzi!

Zurych, wtorek 11 marca 2008

Kate rzadko wracała myślami do wydarzeń na zboczach góry Eiger. Nie pamiętała prawie nic z licznych przesłuchań, a nawet z pogrzebu Roberta w rodzinnej kaplicy w Devon. Pamiętała jedynie spotkanie w Londynie z prawnikiem rodziny Kenyonów oraz swoim ojcem. Prawnik oświadczył, że inwestycje lorda Kenyona poczynione tuż przed śmiercią okazały się „niefortunne”. Facet za wszelką cenę nie chciał użyć słowa bankructwo. Dopiero po wyjściu prawnika ojciec Kate musiał jej wszystko wyjaśnić, by zrozumiała sytuację, w jakiej się nagle znalazła.

Bankructwo tuż po śmierci Roberta wydało jej się jakimś chorym dowcipem. Ruina materialna była dopełnieniem pustki duchowej, którą odczuwała. Nawet nie bardzo się tym przejęła. Nic nie czuła, pogrążyła się w apatii i odrętwieniu. Ten stan trwał kilka tygodni, potem miesięcy. Nie myślała już nawet o znalezieniu mordercy Roberta. Przysięga wyparowała z jej pamięci, tak jak wszystko, co miało miejsce tuż po tragicznych wydarzeniach na Olbrzymie. Do Zurychu przyjechał Giancarlo Bartoli. Zdobył wiele informacji na temat dwóch Austriaków, którzy zaatakowali Kate i Roberta, lecz trop prowadził donikąd. Kate słuchała

słów Włocha w milczeniu. Teraz miała już pewność, że nigdy nie pozna mordercy męża.

Przy pożegnaniu Giancarlo zaproponował, aby Kate zatrzymała się w jego domu w Santa Margherita, małym kurorcie na południe od Genui.

- Czasami - powiedział Bartoli - jedynie morze zna odpowiedź na nasze pytania.

Kate nie chciała tam jechać. To właśnie w Santa Margherita spotkała Roberta. Nie byłaby w stanie znowu przebywać w tym miejscu. Jej ojciec powiedział, że właśnie dlatego powinna tam pojechać. Kate nie chciała kontynuować swojego życia w Zurychu. Nie chciała wracać na uniwersytet. Nie miała żadnych planów. Koniec końców zadzwoniła do Giancarla i oświadczyła, że przyjmuje zaproszenie.

Przez pierwszy tydzień miała całą wspaniałą willę oraz całą plażę tylko dla siebie. Teraz, po jedenastu latach, nie umiała przypomnieć sobie tego, jak spędzała tam wolny czas. Pamiętała jedynie, że nie oddalała się od domu. Wpatrywała się w miejsce, gdzie po raz pierwszy spotkała Roberta. O czym wtedy ze sobą rozmawiali? Nie pamiętała ani jednego zdania! Jedno wspomnienie pozostało jednak bardzo wyraźne: z każdą chwilą coraz bardziej zakochiwała się w tym mężczyźnie. Nawet po jedenastu latach to uczucie było tak samo silne jak tamtej nocy. Kate pomyślała, że to właśnie ten obraz stanie jej przed oczami, kiedy będzie umierała. To wspomnienie zachowa na wieczność. Reszta jej życia nie miała znaczenia - liczyło się tylko spotkanie z Robertem. Wiedziała to wtedy i wiedziała teraz. Robert Kenyon był jedynym mężczyzną, którego tak naprawdę kochała. Całym sercem i całą duszą.

Santa Margherita jesień 1997

Po tygodniu pobytu Kate w willi Giancarla nagle pojawił się Luca. Jak twierdził, nic nie wiedział o tym, że Kate tu jest. Luca przyjechał jednak sam. Rozpakował się, a potem starał się zachowywać tak, jakby go nie było. Nie urządzał żadnych imprez, nie zapraszał znajomych. Nie prosił Kate o wspólne pójście na plażę czy na spacer. Widać było, że chce, by miała święty spokój. Razem przygotowywali posiłki i jedli, lecz dni spędzali oddzielnie.

Luca był w wieku Roberta, czyli sporo starszy od Kate. W dzieciństwie traktowała go niemal jak półboga, choć prawie nic o nim nie wiedziała. Kiedy była odpowiednio dojrzała, udało jej się w końcu go uwieść. I to bez większych trudności. Włoch miał już wtedy żonę i dzieci, ale Kate była na tyle młoda, że nie zwracała sobie jeszcze głowy konsekwencjami swoich czynów i wyborów. Poza tym dla Luki romanse były chlebem powszednim. Spędzili kilka namiętnych tygodni w blasku włoskiego słońca, a życie wydawało się bliskie ideału. Jednak po jakimś czasie ich romans zaczął obumierać. Kate zrozumiała, że nie mają ze sobą zbyt wiele wspólnego. Nie zaliczyła złamanego serca, tylko raczej zimny prysznic. Luca był jednak mężczyzną czarującym i pełnym energii, więc nadal towarzyszyła mu od czasu do czasu. Wszystko to skończyło się w dniu, w którym spotkała Roberta Kenyona. Minęło pół roku od śmierci Roberta. Luca już otrząsnął się z szoku, ale wobec Kate był niesłychanie czuły i wyrozumiały. Pewnego razu przeprowadzili długą rozmowę na temat Roberta oraz tego, jak Kate radzi sobie z jego brakiem. Luca wydawał się rozumieć, co czuje dziewczyna. Empatia ze strony Włocha była tak wielka, że postanowiła zupełnie otworzyć się przed nim. Mówiła mu rzeczy, których nigdy nikomu nie wyznała. Luca nie był idealnym

partnerem do głębokich, natchnionych rozmów, ale dobrze znał Kate, jej lęki, obsesje i dziwactwa. Nie było między nimi żadnych tajemnic.

- Już nigdy nie będę w stanie wejść na żadną górę - powiedziała mu, gdy zapytał, czy myślała o wspinaczce od czasu wypadku na Eigerze. - Ciężko mi było nawet wyjść z domu i przyjechać tu, do Włoch.

- Dlaczego? - zapytał zdziwiony.

Kate przez chwilę milczała.

- Bałam się - wyznała w końcu ściszym głosem.

Luca był zdumiony. Czy to możliwe, żeby nieustraszona Kate Wheeler czegokolwiek mogła się bać? Nie mieściło mu się to w głowie.

- Ale czego dokładnie się boisz? - naciskał Luca.

- Wszystkiego - odparła. - Czuję się bezpiecznie tylko w dobrze mi znanych miejscach. Ale nawet wtedy strach mnie dopada. Wyobrażam sobie, że w każdej chwili ktoś może włamać się do domu, drzwiami czy oknami. Jacyś uzbrojeni ludzie... Czasami mam wrażenie, ktoś czeka tuż za rogiem. A kiedy mam naprawdę paskudny dzień, to wydaje mi się, że zaraz zawali się pod moimi nogami podłoga. Mam halucynacje. Stoję na skraju przepaści - wyznała.

Najgorsze było jednak to, że Kate straciła coś, co kochała najbardziej - wspinaczkę. Całe swoje dotychczasowe życie poświęciła zdobywaniu szczytów. Tylko to chciała robić. A teraz straciła tę możliwość, straciła odwagę. Straciła wszystko.

- Każdego dnia - wyszeptała - myślę o samobójstwie. Słyszając to wyznanie, Luca zapytał:

- W jaki sposób byś to zrobiła?

- Co masz na myśli?

- Mówisz, że ciągle o tym rozmyślasz... Jak byś chciała to zrobić?

- Nie wiem...

- Nóż, pistolet, gaz, pigułki... na pewno rozmyślałaś nad metodą. Kate nagle się przestraszyła.

- Luca, nie powinieneś mnie do tego namawiać! - zaprotestowała.

- Jestem tylko ciekaw!

- Spodziewałabym się raczej, że każesz mi pójść do psychiatri!

-Dlaczego miałbym to robić, skoro sama uważasz, że to najlepsze rozwiązanie twoich problemów? - bronił się Luca.

-Nie bierzesz mnie na poważnie!

-Bo nie zachowujesz się poważnie. Po prostu masz doła - skwitował.

Kate trzasnęła drzwiami i pobiegła do swojego pokoju. Po chwili wróciła do salonu, kipiąc złością.

-Chcę umrzeć, rzucając się ze szczytu w przepaść! - krzyknęła.

-Nie da rady - odparł Luca spokojnym głosem.

-Dlaczego?

-Cierpisz na lęk wysokości. Pewnie nie byłabyś nawet w stanie wejść na drabinę.

Kate wyrzuciła z siebie wiązaną przekleństw. To było jej samobójstwo, więc może je popełnić tak, jak jej się żywnie podoba!

Po chwili oboje wybuchnęli śmiechem. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak głośno i długo się śmiała. Cały wieczór spędzili, planując idealne samobójstwo, rozpatrując każde za i przeciw zrobienia z siebie mokrej plamy. Doszli do wniosku, że to jednak kiepski pomysł. Zwyciężyła wola życia, a raczej ciekawość, co może przynieść. Nawet jeśli miałyby to być same złe rzeczy.

Następnego ranka Kate obudziła się z dojmującym kacem, jednak czuła też, że coś się w niej zmieniło. Przełamała się. Roztopił się lód, w którym uwięzione było jej serce.

- Naucz mnie strzelać - poprosiła Luce przy śniadaniu.

- Nigdy jeszcze tego nie robiłaś?

- Nie - odparła.

- To proste. Bułka z masłem. Mierzysz do celu i naciskasz spust. Tak jak na filmach.

- Naucz mnie wszystkiego, co wiesz na ten temat. Wszystkiego - zażądała. - Jestem zielona i zdesperowana.

- Dlaczego tego chcesz?

- Obiecałam sobie, że odnajdę zabójcę Roberta. Najwyższa pora, żeby się do tego zabrać. Muszę być gotowa, kiedy tego dokonam.

- Jeśli o tym myślisz - przerwał jej Luca - to nie wystarczy, że nauczysz się strzelać. Bo co zrobisz, jeśli się okaże, że on stoi akurat na zboczu góry? Jak do niego dotrzesz, skoro masz lęk wysokości?

- Nie żartuj sobie ze mnie!

- Nie żartuję. Jeśli chcesz dalej tylko fantazjować o zemście, to ja nie będę sobie zawracał tym głowy. Jeśli chcesz naprawdę dopaść tego bydlaka, to nie możesz być nadal więźniem swoich lęków i złudzeń. Strach jest po to, by spojrzeć mu prosto w oczy. Myślisz, że ta osoba albo osoby, które napuściły na was zabójców, nigdy w życiu nie widziały nikogo ze spluwą w ręku? Taki widok nie robi na nich żadnego wrażenia! Musisz być silniejsza, szybsza i mądrzejsza. I musisz wiedzieć, jak to osiągnąć. Ludzie, którzy załatwiają innych ludzi, wiedzą jak o siebie zadbać i jak się bronić. W ferworze walki wszystkie teorie i plany rozpadają

się w pył. Sam fakt, że chcesz zemsty, nie oznacza, że ci się uda. Musisz być gotowa na zwycięstwo za wszelką cenę. Czy tego właśnie chcesz - wygrać za wszelką cenę? A może myślisz, że wystarczy po prostu wziąć w rękę pistolet i strzelać na oślep?

- Chcę wpakować tego bydlaka do grobu - wycodziła przez zęby Kate. Luca popatrzył na nią przez chwilę, a potem poszedł do garażu. Kilka minut

później wrócił z zestawem noży oraz pilśniową deską. Postawił ją przy ścianie i kredą narysował na niej sylwetkę człowieka. Wziął dwa noże, odwrócił się tyłem do celu i odszedł na trzy kroki, a potem zrobił gwałtowny zwrot i prawą ręką rzucił pierwszym nożem, który wbił się głęboko w deskę. Po chwili rzucił drugim - tym razem ręką lewą, a nóż utkwiał kilka centymetrów od pierwszego. Kate wpatrywała się przez moment w noże, a potem spojrzała na Luce.

- Wyobraź sobie, że morderca Roberta - powiedział Luca - jest tak samo dobry jak ja. Musisz się podszkolić. Musisz być lepsza niż on. Albo zapomnieć o całej sprawie.

Kate wbiła wzrok w noże, po czym podeszła do deski i je wyciągnęła.

- Naucz mnie, jak to się robi - poprosiła, ściskając noże, aż kostki jej dłoni stały się białe.

Zurych, wtorek, 11 marca 2008

Jedenaście lat później nadal pamiętała tamtą chwilę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Ethan. Kate się uśmiechnęła.

- Tak. Tylko trochę mi się nudzi - powiedziała i rzuciła dwoma nożami do celu, najpierw lewą, później prawą ręką. Oba trafiły w dziesiątkę.

- Nie wyglądasz na znudzoną - zauważył Ethan. - Wyglądasz, jakbyś o czymś myślała.

- Luca nie zabił Roberta. Giancarlo też nie.

- Może i nie... ale na pewno wiedzą, kto to zrobił - stwierdził Ethan. Kate spojrziała przez okno.

- Gdyby wiedzieli, to dlaczego mieliby przede mną zatajać tę informację? - zapytała.

- Oni należą do tajnego stowarzyszenia - przypomniał Ethan. - Nieważne, w co dokładnie są zmieszani, ale możesz być pewna dwóch rzeczy. Po pierwsze, stając się członkami Rady Paladynów, złożyli przysięgę krwi, że nigdy nie wyjawia tajemnic Zakonu. Po drugie, że zawsze będą sobie nawzajem pomagali. Wobec takiej przysięgi są bezsilni, nie mogą zrobić dla nikogo wyjątku. Nawet dla rodziny i przyjaciół. Nawet dla ciebie.

- Ale Robert był jednym z nich! Dlaczego mieliby zabić Paladyna?

- Może toczyła się u nich jakaś wewnętrzna wojna. A może Robert zdradził Zakon...

- A czemu ja zostałam w to wszystko wmieszana? Jeśli to Robert coś przekrobał, to dlaczego chcieli ukarać też mnie? Byłam niewinna. Luca nauczył mnie... wszystkiego. Nie po to, żebym się mogła utrzymywać z kradzieży obrazów. To przyszło później. Najpierw nauczył mnie, jak się zemścić. Uczył mnie, jak kogoś zabić! Kiedy zamordowano jego brata, Luca odszukał ludzi, którzy byli za to odpowiedzialni. Opowiadał mi ze szczegółami, jak upolował każdego z nich, jak reagowali, co zrobili, żeby uchronić się przed jego zemstą i jak ich pokonał. Luca się nie przechwalał. Po prostu pokazywał mi na przykładach to, co musiałam wiedzieć. Chciał, żebym była przygotowana na konfrontację z mordercą Roberta.

- Albo mordercami.

- Zadbaj o to, żebym wszystko dokładnie zrozumiała. Żebym była gotowa do walki. Mówił, że polowanie może mnie kompletnie wykończyć. Że role nagle mogą się odwrócić i to ja będę zwierzyną. Przestrzegał, że w decydującej chwili mogę akurat nie mieć w ręku pistoletu. Nauczył mnie wszystkiego, co sam potrafił. Dlaczego miałby to robić, gdyby to on był zabójcą? Miałby mnie szkolić, żebym była w stanie zabić jego?

- Nie mam pojęcia, Kate. Ale on na pewno wie, kto zabił Roberta. On i Giancarlo ukrywają przed tobą prawdę. Musisz w to uwierzyć, jeśli chcesz się kiedykolwiek dowiedzieć, co się wydarzyło na Eigerze.

- Wiem o tym! - odparła Kate. - Ale nie jestem w stanie ich tknąć! Po prostu nie jestem! Chyba że faktycznie to oni zabili Roberta. A jestem przeświadczona, że nie. To po prostu nie miałoby najmniejszego sensu.

Kate poruszała się po pokoju o kulach, kiedy wieczorem przyszedł Malloy. Ethan zaproponował mu drinka. Tym razem Thomas nie odmówił.

- Szkocka z lodem, jeśli da radę - powiedział i usiadł. - Dokładnie przyjrzałem się zawartości komputera Chernoff. Dużo przydatnego materiału. Będziemy w stanie wytropić jej głównych zleceniodawców i przynajmniej część źródeł dochodów. Problem w tym, że mamy mało czasu. Jeśli znajdziemy jakiś numer telefonu, który zaprowadzi nas prosto do siatki jej kontaktów, to musimy się uwijać, żeby zdążyć, zanim ci ludzie nie wyrzucą swoich telefonów do śmietnika. W przeciwnym razie będziemy jak łowcy duchów.

Ethan podał mu drinka.

- Czyli depczemy już po piętach temu facetowi, ale potrzebujemy jeszcze kilku dni?

Malloy upił łyk ze szklanki.

- Jeśli dopisze nam szczęście. Carlisle nigdzie się nie pokazuje. Przynajmniej nie pod tym nazwiskiem. Jeśli jednak przelał Chernoff w ubiegłym roku jakieś pieniądze albo jeśli kontaktował się z nią w ciągu ostatnich kilku miesięcy, to może trafimy na jedno z jego fałszywych nazwisk.

- To łebski facet. Na pewno wie, że wpadł po uszy - zauważył Ethan.

- Tak, pewnie wie to już od jakiegoś czasu. Dlatego próbuje nas dopaść - powiedział Malloy.

- Ale jak dotąd nikt nie próbował dopaść jego - stwierdził Ethan. - Jeśli twoi ludzie znajdą powiązania pomiędzy nim a Chernoff, to facet będzie musiał się gdzieś zamelinować.

- Kiedy do tego dojdzie, żadne informacje od Chernoff nie doprowadzą was do niego.

- Wiem.

- Więc co teraz? Jaki mamy plan? - zapytała Kate

- Zanim oczyściłem komputer Dale'a skopiowałem trochę plików - zaczął Malloy. - Nic, że tak powiem, przełomowego. Ale przynajmniej znalazłem kilka w miarę aktualnych zdjęć Carlisle'a. Te publikowane w raportach Paladynów niewiele nam dają... - Wyciągnął z kieszeni pendrive'a i wręczył go Ethanowi. - Zdjęcia zostały zrobione trzy lata temu w Paryżu.

- Więc nasz duch czasem się materializuje? - mruknęła Kate, przeszła kilka kroków o kulach i stanęła za Ethanem, który włożył przenośną pamięć do komputera.

- Carlisle spotkał się wtedy z Hugonem Ohlendorfem. Ludzie Dale'a śledzili prawnika, Carlisle nawinął się jakby przypadkiem. - Na ekranie komputera po-

jawiły się pliki. - Te inne foldery też są dla was do przejrzania. Kiedy Dale dowiedział się, że ten facet nazywa się David Carlisle, od razu utworzył jego dossier. Nie ma w tych materiałach chyba nic, czego byśmy do tej pory nie wiedzieli, ale co trzy głowy to nie jedna.

- Święte słowa. Biorę wszystko, co masz. Później sobie skopiuję - powiedział Ethan, otwierając folder ze zdjęciami.

Na pierwszym z nich Carlisle i Ohlendorf siedzieli w ogródku jakiejś paryskiej kawiarenki. Najwyraźniej Carlisle'owi udało się kompletnie odciąć od robotniczych korzeni, ponieważ na fotografii wyglądał na człowieka równie wyrafinowanego, jak Hugo Ohlendorf.

-Przystojny facet. Nie sądzisz, Kate? - rzucił Malloy. Na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie. Kate milczała.

Malloy zerknął na nią. Stała nieruchomo i wpatrywała się w ekran, jakby zobaczyła ducha.

- Co się dzieje? - rzucił zdezorientowany.

Ethan również spojrzał na żonę. Oczy Kate wciąż były wbite w ekran. Milczała jak zaklęta.

- O co chodzi, kochanie? - W jego głosie było słychać niepokój. I słusznie - Kate wyglądała jak sparaliżowana.

- To... Robert - wyszeptała.

- Co? O czym ty mówisz? - zapytał Ethan.

- To nie jest zdjęcie Davida Carlisle'a. To... Robert Kenyon.

O dziwo, z twarzy Kate bił spokój. Powoli zaczynała uświadamiać sobie, że to nie sen. Patrzyła na zdjęcie swojego pierwszego męża, zrobione jakieś osiem lat po tym, jak rzekomo zginął na zboczu Olbrzyma.

- Odetnij linę! - wyszeptała. Malloy zauważył, że po po liczku zaczyna jej spływać pierwsza łza. - Jeden z napastników, wtedy w górach, coś powiedział. Nie zrozumiałam, o co mu chodzi. Powiedział: „Co z nią? Co mamy z nią zrobić?” czy coś w tym stylu. A Robert odparł: „Odetnij linę”. Uderzyłam głową w skałę, byłam zamroczona. Wiedziałam, że Robert nie mógłby powiedzieć czegoś takiego... To znaczy, po prostu w to nie uwierzyłam.

- To wyjaśnia wiele spraw - stwierdził Malloy, rewidując swoje teorie. Części układanki, które wcześniej nie miały sensu, nagle zaczęły pasować do całości. Całości prawdy.

- Może i tak - rzucił Ethan - ale rodzi tyle samo nowych pytań!

- Niekoniecznie - zaproponował Malloy. - Pomyśl o tym. Robert Kenyon decyduje się, co tu dużo mówić, na głupią inwestycję. Wszystko traci, łącznie z pieniędzmi Kate. Kto jest beneficjentem bankructwa? Jego wieloletni przyjaciele. Nie zgarnęli tej kasy, tylko ją przelali, przynajmniej większość, na nowe konta założone na nazwisko David Carlisle. Facetowi udało się rzecz niemożliwa: umarł oraz na tym zarobił.

- Co się w takim razie stało z prawdziwym Carlisle'em? - zapytał Ethan. Malloy wzruszył ramionami.

- David Carlisle był żołnierzem najemnym na Bałkanach w 1994 roku. A potem jakby się zapadł pod ziemię. Dopiero w trzy lata później wypłynął na powierzchnię jako następca Kenyona w Radzie Paladynów. Moim zdaniem prawdziwy Carlisle został zabity i pochowany gdzieś w Serbii lub Bośni. Kenyon przywłaszczył sobie jego tożsamość, ponieważ obaj wyglądali podobnie.

- Robert tamtej nocy zdobył szczyt - odezwała się Kate. Nadal wpatrywała się w zdjęcie mężczyzny, którego poślubiła niemal jedenaście lat temu. - Kiedy na

niebie pojawił się księżyc, on już dotarł do Trawersu Bogów. Zdobył szczyt około trzeciej lub czwartej w nocy, a przed świtem zdażył już zejść z Olbrzyma.

- Nie rozumiem czegoś - wtrącił Ethan. - Dlaczego Kenyon wyrzekł się własnej tożsamości?

Malloy poczekał, aż głos zabierze Kate, ale widocznie nie miała żadnej teorii.

- Moim zdaniem jest tylko jeden powód - oświadczył. - Kenyon wpadł w tarapaty. A ponieważ miał czas załatwić swoje sprawy finansowe, sądzę, że chodziło o jakieś śledztwo w sprawie jego działalności.

- Pół roku - powiedziała Kate. - Pół roku minęło od momentu, kiedy się poznaliśmy, do naszego ślubu. Tyle właśnie miał czasu.

- Zakup firmy miał miejsce w tym samym okresie - przypomniał Malloy.

- Teraz już rozumiem ten przekręt z bankructwem - oznajmił Ethan. - Kenyon potrzebował forsy, a nie chciał zostawiać żadnych dowodów na papierze. Ale dlaczego wmieszał w to wszystko Kate? Po co brał z nią ślub?

Malloy zerknął na Kate. Na jej twarzy nie było już śladu łez.

- Każdy magik wie, że kluczem do sukcesu jest odwrócenie uwagi widzów - powiedział. - W jego sztuczce tę rolę miała odegrać góra Eiger. Nagłośniona przez media podróż poślubna na niebezpieczne zbocze to przecież mistrzowski pomysł! Dwóch Austriaków opisałoby, że widzieli, jak Kate, jej mąż oraz ich przewodnik spadają prosto w przepaść. To byłby news na skalę światową.

- Więc tamci Austriacy mieli być tylko naocznymi świadkami? - zapytał Ethan.

- Oni nie byli tylko świadkami! - zaproponowała Kate.

- Wiem o tym. Zostali jednak zatrudnieni dlatego, że nigdy nie byli notowani przez policję i nie byli w żaden sposób związani z tobą, Kenyonem ani waszym przewodnikiem. Zamysł był taki, żeby po fakcie obaj mężczyźni wszystko dokład-

nie opowiedzieli, wskazali miejsce wypadku oraz miejsce, gdzie powinny być ciała. Gdyby nie odnaleziono ciała Kenyona, nikt by się specjalnie nie dziwił. Takie rzeczy zdarzały się już na Eigerze.

- Robert pewnie się dowiedział o moich losach dopiero kilka dni później - zgadywała Kate.

- A kiedy usłyszał twoją wersję, bardzo się ucieszył! Była jeszcze lepsza niż to, co sam zaplanował. Doszedł do wniosku, że nie musi cię eliminować - zasugerował Malloy.

- Opowiedziałam wszystko staremu Bartolemu. Jak na spowiedzi. Wysłuchał mojej opowieści bez mrugnięcia okiem. A następnie obiecał mi, że dorwie mordercę Roberta, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi.

-Był we wszystko wtajemniczony - stwierdził Malloy.

-On, Luca, Jack Farrell i jego ojciec oraz Hugo Ohlendorf. Wszyscy aktywni Paladyni.

-Co z tym wszystkim zrobimy? - zapytał przytomnie Ethan. - Przecież ciągle nie wiemy, gdzie znaleźć tego faceta. - Spojrzał na Kate i dodał nieco niepewnie: - Nadal chcemy go znaleźć... prawda?

-Oczywiście! - powiedziała Kate z zaciśniętymi zębami.

- Musimy go dorwać.

- Pragnę tylko jeszcze raz przypomnieć, że nadal nie wiemy, jak go znaleźć - wymamrotał Ethan.

- Giancarlo wszystko nam powie - wycedziła Kate. Jej głos był pewny siebie i przyprawiał o gęsią skórkę.

Berlin, Niemcy, lata 1936 -38

Alkohol zawsze lał się strumieniami. To był skutek uboczny życia pisarza. Potrzeba rozładowywania emocji po wielu godzinach intensywnej pracy umysłowej. Pieniądze i liczne zobowiązania towarzyskie tylko pogarszały sytuację.

Himmler zaniepokoił się problemem doktora Rahna już w 1937 roku, tuż po jego pierwszym awansie. Postarał się o to, by Rahnowi zwrócono uwagę na „niegodne zachowanie”. Latem tego roku Otto opublikował swoją drugą książkę *Dwór Lucyfera* i zaczął sprawiać pewne problemy. Proszono go o

wprowadzenie zmian w tekście, a on zwyczajnie odmówił. Korekty i tak dokonano - zadbano o zgodność tekstu z oficjalnym stanowiskiem wobec czystości rasowej. Rahn publicznie nie wypowiadał się na temat tych zmian, ale w gronie przyjaciół kipiał gniewem i pomstował na bezprawną redakcję jego dzieła. To wtedy zdecydowano, że autor powinien znajdować się pod stałą obserwacją. Poza tym sam tytuł również wzbudził duże kontrowersje. Rahn tłumaczył, że Szatan to tak naprawdę postać pozytywna, prometejska, jednak i tak obawiano się, że była to zawołowana obelga pod adresem Trzeciej Rzeszy Hitlera, lub -co gorsza - kierowanej przez Himmlera SS.

Dla doktora Rahna przyszedł czas, by się obudzić i stawić czoło rzeczywistości. We wrześniu Himmler wysłał go do obozu w Dachau, aby pracował tam jako strażnik aż do grudnia. Wrócił do Berlina skruszony i posłuszny, jednak Himmler otrzymał wiele niepokojących raportów na temat zachowania pisarza w obozie. Podobno w rozmowach z innymi strażnikami wypowiadał się niepochwlebnie o Rzeszy, niemal jak zdrajca. Absolutną koniecznością było więc założenie podsłuchu na jego telefon oraz kontrolowanie korespondencji.

W styczniu 1938 roku jeden z pomocników Himmlera zgłosił, iż doktor Rahn nie złożył certyfikatu czystości rasowej. Każdy, kto wstąpił do SS po 1935 roku był zobowiązany do dostarczenia owego dokumentu. Doktor Rahn został zwerbowany, zatem procedura jego wstąpienia do SS była niestandardowa, a poza tym nikt nie śmiał kwestionować rasowej czystości „złotego chłopca” Trzeciej Rzeszy! Teraz jednak przyszła pora, by Otto złożył ów certyfikat. Himmler obiecał, że upomni swojego krnąbrnego podwładnego. I tak też zrobił - uprzejmie, lecz stanowczo. Otto Rahn powiedział, że oczywiście, zajmie się tym, nie ma najmniejszego problemu, a następnie zlekceważył prośbę Himmlera. Tak samo zresztą, jak wszystkie inne.

Berlin, Jesień 1938

Wiosną 1938 roku Hitler zaanektował Austrię. Była to operacja zupełnie bezkrwawa - nie został oddany ani jeden strzał. Miał to być dowód na skuteczność polityki Hitlera. Dowód, który powinien raz na zawsze zamknąć usta niedowiarkom i przeciwnikom. Oficjalnie ogłoszono, iż zagarnięcie Austrii nie było agresją, lecz ponownym zjednoczeniem, jako że Niemcy i Austria nie są dwoma narodami, tylko jednym. Jakby na potwierdzenie tej teorii, w lipcu los rzucił dwie drużyny alpinistów - austriacką i niemiecką - na tę samą niezdożytą północną ścianę góry Eiger. Po pokonaniu sporej części skalistej trasy obie ekipy połączyły siły i wspólnie zdobyły szczyt. Aby upamiętnić to wydarzenie, Führer osobiście uścisnął ręce wszystkim śmiałkom i wykorzystał tę okazję do wygłoszenia kolejnej mowy na cześć Niemiec oraz rasy aryjskiej.

Następnie Hitler przeniósł Włóczęgę Świętego Maurycego ze skarbca cesarskiego w Wiedniu do katedry w Norymberdze, w której dawniej była jednym z insygniów Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Wydarzenie to przeszło bez echa poza granicami kraju, lecz w Rzeszy stało się wielkim świętem. Niektórzy twierdzili, że to właśnie Włóczęgą Świętego Maurycego został przebity bok ukrzyżowanego Chrystusa. Podobno została znaleziona w Jerozolimie przez matkę Konstantyna Wielkiego, a wśród jej kolejnych właścicieli było wielu wybitnych wojowników i królów. Miał ją ponoć wódz Hunów, Atylla, Karol Wielki, Otton I Wielki, a nawet Napoleon. Legenda głosiła, że człowiek będący w posiadaniu Włóczęgi może wpływać na losy świata. Jej przeniesienie z powrotem do katedry w Norymberdze oznaczało, iż Hitler niejako wskrzesił władzę starożytnego Świętego Cesarstwa Rzymskiego i sam sobie przyznał status kolejnego wielkiego wodza i władcy, który dzięki Włóczędze Przeznaczenia kroczy od zwycięstwa do zwycięstwa.

Kiedy pamiątka Męki Pańskiej spoczęła już w norymberskiej katedrze, Hitler rozkazał czołowym historykom i uczonym Himmlera z najwyższą dokładnością opisać jej losy, włączając w to wszystkie legendy i mity. Himmler rzecz jasna powierzył to zadanie Rahnowi, który w starannie udokumentowanej pracy naukowej doszedł do wniosku, że relikwia ta rzeczywiście ma bogatą historię i gościła na wielu dworach królewskich w Europie, jednak nie jest tak stara, jak się powszechnie przyjmuje. Zdaniem Rahna Włóczęga Świętego Maurycego pochodziła z epoki karolińskiej, czyli z czasów Karola Wielkiego, który żył osiem wieków po Chrystusie. Natomiast Włóczęga Longinusa, przechowywana w Watykanie, jest o wiele starsza, a jej pochodzenie bardziej wiarygodne. To właśnie tę włóczęgę prawdopodobnie opisywali pielgrzymi, którzy w VII wieku odwiedzali

Jerozolimę. Po przejęciu miasta przez wyznawców Mahometa Włócznia powędrowała do Konstantynopola, gdzie w niewyjaśniony sposób została uszkodzona. Jej grot dotarł do Paryża razem z Koroną Cierniową jako że Baldwin u z Konstantynopola sprzedał w XIII wieku wiele relikwii Ludwikowi IX, aby móc sfinansować obronę swego chylącego się ku upadkowi imperium. Relikwia, czczona przez stulecia, zniknęła po wybuchu rewolucji francuskiej pod koniec XVIII wieku. Pozostała część Włóczni, bez grotu, została przechwycona w 1452 roku przez Turków i przesłana czterdzieści lat później do Rzymu, kiedy to sułtan Bajazet podarował ją papieżowi Innocentemu VIII.

Ponadto Rahn wspominał w swojej pracy także o Włóczni z Antiochii, znalezionej podczas pierwszej krucjaty, a następnie zagubionej. Pisał, że ta właśnie włócznia mogła opuścić Jerozolimę zaledwie kilka dekad po ukrzyżowaniu, można więc uznać, że sporą dozą prawdopodobieństwa, że Włócznia z Antiochii jest autentycznym.

Pierwszą osobą, która zapoznała się z gotowym raportem, był oczywiście Himmler. Po lekturze wpadł w popłoch. Rahn wyraźnie napisał, że ukochana relikwia Hitlera to tylko nędzny średniowieczny falsyfikat! Reichsführer wydał rozkaz podwładnym Rahna, aby przerobili raport. Rahn nadal oficjalnie figurował jako autor pracy, jednak Himmler bardzo się zawiódł na swoim etatowym historyku.

Skazał go na pobyt w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie.

Gdyby nie starania i rozpaczliwe błagania Bachmana, Otto wylądowałby w nim jako więzień. Dzięki staremu przyjacielowi został wcielony do jednostki strażniczej.

Eliza pierwszy raz dostrzegła zmianę w Rahnie podczas igrzysk olimpijskich w 1936 roku. Tamtego lata wszyscy mieszkańcy Niemiec byli w szampańskich humorach - wszyscy z wyjątkiem Rahna. Z początku kładła to na karb tego, że Rahn zawsze był dość zmienny w nastrojach. Ten sam brak chęci do życia widziała w jego oczach, kiedy prowadził hotel we Francji. Po dreszczyku nagłej sławy odrobina depresji była zrozumiała. Tyle że ta depresja mu nie przechodziła. Czasem widziała, jak Otto się śmieje, ale nie było w jego śmiechu nic radosnego. Nawet kiedy patrzył na Sarę, którą wprost uwielbiał, jego oczy były pełne smutku i melancholii. Stał się bardziej cyniczny i kostyczny, a jego wypowiedzi bardziej cięte. Był chodzącą encyklopedią ezoteryki. Nie było w tym jednak śladu dawnej pasji.

Rahn coraz częściej miewał burzliwe romanse. Niektóre z tych historii były dość drastyczne. Eliza słuchała z niedowierzaniem Bachmana, który relacjonował najświeższe plotki na temat życia osobistego Rahna oraz sytuacje, których sam był świadkiem. Była wstrząśnięta, ale starała się go tłumaczyć. Mówiła, że to wszystko z powodu alkoholu. Kazała mężowi namawiać przyjaciela do większej wstrzemięźliwości. W głębi serca Eliza wiedziała jednak, że alkohol w przypadku Rahna to skutek, a nie przyczyna problemów, które sięgały znacznie głębiej.

Po powrocie z obozu w Dachau, gdzie odbywał służbę jako strażnik jesienią 1937 roku, próbował być taką osobą jak dawniej, skończyło się jednak tylko na próbach. Jego zachowanie stało się nieprzewidywalne. Wybuchał śmiechem w najmniej oczekiwanych momentach. Rozповідаł na lewo i prawo, że chodzi mu po głowie nie jedna, ale cztery czy pięć książek i że wrócił do pisania swojej powieści, którą porzucił dawno temu. Oczywiście nic z tych planów nie wyszło.

Wkrótce uśmiech zniknął z jego twarzy i Rahn znowu pogrążył się w melancholii i apatii. Mocno się postarzał: przerzedziły mu się włosy, a skóra stała ziemista. Przybrał też na wadze. Nadal był przystojny, tyle że mając trzydzieści cztery lata wyglądał raczej na mężczyznę w średnim wieku. Różnica pomiędzy nim a Bachmanem zaczęła się zacierać. Zaczynali się do siebie upodabniać jak starsi panowie, których widuje się przesiadujących razem w podejrzanych spelunkach. Nawet garbili się podobnie.

Dawno temu Eliza powiedziała, że pragnie na zawsze zapamiętać Rahna jako pięknego młodzieńca, z którym siedziała przy ruinach zamku Montsegur, słuchając wiatru i wyobrażając sobie, że to głosy katarów, którzy oddali życie za swoją wiarę. Ten idylliczny obraz rozsypał się na kawałki. Nie odżywał w jej pamięci, kiedy myślała o Rahnie. Życie wszystko zbrukało i zniszczyło.

Teraz stawał jej przed oczami obraz mężczyzny, który przeholował z alkoholem. Niekiedy myślała o nim jako o hotelarzu z Francji. W koszmarach widywała go w roli strażnika w obozie. W lepsze dni pamiętała go jako uczonego, który podczas odczytu opowiada dobrze urodzonym paniom z Berlina o Szatanie, który co prawda miał złą prasę w Rzymie, ale tak naprawdę był fascynujący...

Eliza za upadek Rahna winiła... Bachmana. Wiedziała, że to nie fair -przecież Otto sam podejmował decyzje życiowe. Z drugiej strony był zawsze takim wolnym duchem, wiecznie podekscytowanym wszystkim dokoła... Jakim cudem nagle to stracił? Odpowiedź narzucała się sama, mimo że nie była ani sprawiedliwa, ani do końca prawdziwa. To wina Bachmana, który jak wampir wyssał z niego życie, zamieniając w kogoś szarego i starego jak on sam. Eliza zakochała się w Rahnie, lecz ostatecznie Bachman podporządkował sobie jego duszę. Wieczory, które spędzali we trójkę oraz niedzielne obiady, na które zawsze

Otto przychodził, by móc się zobaczyć z Sarą -były po to, by Bachman mógł się pochwalić swoją najnowszą zdobyczą: oswojonym, złamanym cudzołożnikiem.

Mąż Elizy doznałby wstrząsu, gdyby znał jej myśli. Naprawdę lubił swojego przyjaciela. Zawsze wypowiadał się o nim w samych superlatywach i zmartwił się nie na żarty, gdy Rahn podpadł Himmlerowi. Pewnego razu Bachman nie wytrzymał i wybuchł złością.

- Otto jest taki inteligentny! Dlaczego więc nie rozumie, że niszczy swoją karierę i siebie samego?

Miał na myśli raport Rahna, przez który Himmler zesłał go do Buchenwaldu, lecz to samo zdanie mógł powtórzyć przy wielu innych okazjach.

Berlin, Memcy, Sryczeń 1939

Po powrocie z Buchenwaldu w styczniu 1939 roku Rahn przestał przykładać się do swojej pracy, a co więcej zrezygnował z podstawowych nawet zasad etykiety towarzyskiej. Zaczął opowiadać różne rzeczy... bardzo niemądre rzeczy. Bachman próbował je ignorować, lecz z czasem zaczął się niepokoić. Rahn ryzykował nie tylko swoje życie, ale też życie swoich przyjaciół.

- Czy doszło już do tego, że zabija się ludzi za ich myśli, Dieter? - zapytał Otto prowokującym tonem.

- Doskonale wiesz, że ludzi zabija się nawet z bardziej błahych powodów! - odparł Bachman. - Musisz się pilnować. Igrasz z ogniem.

- Bo napisałem, że ukochana włócznia Hitlera nie jest prawdziwa.

- Twoje kłopoty to więcej niż jeden raport, chociaż pisząc go też okazałeś się głupcem. Kto przedkłada prawdę nad zdrowy rozsądek!

- Chciał poznać dzieje swojej włóczni, więc mu je opisałem!

- Chciał tylko potwierdzenia swojej opinii! - Bachman uśmiechnął się zimno. - A poza tym kimże ty jesteś, by za rzucać mu kłamstwo.

- Ekspertem!

- Problemem jest twoja postawa, Otto. Prowadzisz wystawne życie dzięki Himmlerowi, drugiemu po Hitlerze najważniejszemu człowiekowi w Niemczech, ale zachowujesz się, jakby to dla ciebie była udręka!

- A nie przyszło ci do głowy, że może to nie moja postawa jest problemem, ale postawa wszystkich dokoła!

- Idź na drinka. Chluśnij sobie porządnie, przyjacielu. Przerażasz mnie, kiedy jesteś trzeźwy.

Oczywiście Otto nie zawsze się tak zachowywał. Gdyby cały czas był w tak paskudnym humorze, jego towarzystwo byłoby nie do wytrzymania dla Bachmanów. Niekiedy opowiadał o dziewczynie, którą niedawno poznał. Twierdził, że być może jej się oświadczy. Ani Eliza, ani Bachman nie widzieli wybranki Rahna. Był bardzo tajemniczy. Powtarzał tylko, że na pewno by im się spodobała. Potem się uśmiechał i mówił, że chce zaprosić *Heiniego* na swój ślub. Tak nazywali Himmlera jego najbliżsi oraz kompletni głupcy. Rahn nie był jego bliskim.

Bachman odpowiadał wtedy, że Reichsführer na pewno ucieszy się z zaproszenia.

- Zaproś go, oczywiście! Przynajmniej zobaczy na własne oczy, że spoważniałeś, Otto. Kto wie, może nawet pojawi się na ceremonii? Wielokrotnie

wspominał, że jego zdaniem twoim problemem jest samotność. Musisz się ożenić i mieć dzieci. W przeciwnym razie będziesz całe życie dryfował. A ty potrzebujesz kotwicy!

- Astrid będzie moją kotwicą! O tak, porządnie mnie zakotwicz - odparł Rahn.
- Zmienię się nie do poznania, zobaczycie!

- Kiedy zamierzasz poprosić ją o rękę? - zapytała Eliza.

- Na razie zbieram w sobie odwagę... ale chyba już wkrótce to zrobię!

- Na twoim miejscu bym nie zwlekał - radził Bachman.

W jego głosie pobrzmiwało ostrzeżenie. Eliza zauważyła, że Rahn to wyczuł. Miała przeczucie, że zdarzy się coś strasznego.

Przed snem Bachman powiedział, że martwi się o Rahna. Eliza próbowała go uspokoić.

-Wygląda lepiej. I częściej jest trzeźwy niż pijany, prawda? A ta dziewczyna, Astrid, chyba myśli o niej poważnie. - Wypowiadając to ostatnie zdanie, uświadomiła sobie, że Rahn może aż nazbyt poważnie myśli o Astrid. Zastanowiła się przez moment, czy on jej aby nie wymyślił. Może wcale nie było żadnej Astrid. Może tym imieniem określał swoje... samobójstwo? Kiedy o niej mówił, jego spojrzenie stawało się dziwne, mroczne. Eliza martwiła się o niego, ponieważ mimo wszystko nadal go kochała.

- Szczerze mówiąc, Elizo - zaczął Bachman - wątpię, czy na tym etapie jest jeszcze jakiś ratunek dla Rahna. Himmler wszczął śledztwo przeciwko niemu. Jest to absolutna tajemnica, nie mogę o tym nawet wspominać. Sytuacja jest jednak bardzo delikatna. Nasz przyjaciel może stracić wszystko!

- Dlaczego? - przestraszyła się Eliza. - Czy zrobił coś złego?

- Nie chodzi o to, co zrobił, tylko o to, kim jest. - Widząc, że nie rozumiała jego słów, dodał: - Istnieje podejrzenie, że Otto coś ukrywa.

- Ukrywa? Co ukrywa?

- Na przykład to, że jest Żydem. Unika przedstawienia dokumentów potwierdzających jego czystość rasową. Himmler doszedł więc do wniosku, że Rahn chce coś przed nim zataić. Zlecił dokładne zbadanie historii jego rodziny.

Eliza zadrżała. Wśród jej przodków również byli Żydzi z Europy Wschodniej, którzy przeprowadzili się do Niemiec, gdzie zaczęło im się dobrze powodzić. Przeszył ją strach. Już do tego doszło? Grzebią w historiach rodzin, żeby sprawdzić, czy ktoś ma w sobie kilka kropel żydowskiej krwi?

- Uważam, że na jakiś czas powinniśmy przestać się widywać z Rahnem - oświadczył Bachman. - Powinniśmy się od niego nieco odsunąć, na wypadek gdyby podejrzenia okazały się prawdziwe.

- A co powiemy naszej córce? Ona jest zapatrzona w wujka!

- Powiedz jej to, co zawsze jej mówimy. Wujek Otto jest bardzo zajęty i nie może już nas tak często odwiedzać.

- Ale przecież chcesz całkowicie zakazać mu wizyt w naszym domu!

- Jeśli się okaże, że jest Żydem, ściągnąłby na nas poważne problemy! Nie możemy się z nim zadawać. A w szczególności nasza Sara.

Soglio, czwartek, 13 marca 2008

Wioska Soglio, założona jakieś trzysta czy czterysta lat temu, położona jest na wzgórzu z widokiem na dolinę Bergell oraz wiecznie ośnieżone wierzchołki gór Piz Cengalo oraz Piz Badile. W centrum wioski stoi hotel Salis, dawniej znany

jako Palazzo Salis. Istnieje od ponad stu lat, a nazwisko Salis jest jednym z najstarszych nazwisk rodowych w okolicy. Rodzina Salisów zbiła fortunę na sprzedawaniu żołnierzy najemnych monarchom europejskim.

Droga wiała się przed pagórki wśród ogromnych kasztanowców. Samochód dojechał na obrzeża wioski, na wielki parking. Wjazd na teren Soglio wymagał okazania pozwolenia. Dzień był słoneczny, lecz chłodny. Parking świecił pustkami. Stały na nim jedynie auta wieloletnich rezydentów hotelu. Salis był prawdziwym pałacem z X VII wieku. Teraz oferował pokoje gościnne i znakomitą kuchnię. Od frontu znajdował się plac, do którego dochodziły trzy alejki wyłożone kocimi łbami. Z tyłu, w ogrodzie, rosły dwa najwyższe drzewa w całej Europie - sekwoje sprowadzone na kontynent pod koniec XIX wieku. Za ogrodem wznosił się wysoki szary mur, odgradzający posesję od rozległych terenów górskich.

W marcu 1997 roku Roland Wheeler przywiózł tu swoją córkę, aby spotkała się ze swoim ojcem chrzestnym, Giancarlem Bartolim. Roland i Kate nocowali w hotelu. Następnego ranka przyjechał Bartoli i odwiedził Wheelerów w ich apartamencie.

Tak się złożyło, że i tym razem Kate dostała ten sam pokój co wtedy. Spało się jej wyjątkowo dobrze. Z pewnością była to zasługa czystego powietrza górskiego oraz ciszy, której współcześni ludzie rzadko mają okazję zaznać. Zjadła lekkie śniadanie i wróciła o kulach na górę do apartamentu. Usiadła i czekała na człowieka, któremu ufała kiedyś jak ojcu.

Giancarlo podjechał ciemnozielonym mercedesem w asyście szofera i dodatkowego ochroniarza. Kierowca nie musiał okazywać pozwolenia na wjazd. Zaparkował na środku skweru. Giancarlo przeszedł przez plac, rozglądając się po-

dejrzliwie. Wysłał jednego ze swoich ludzi do pokoju Kate. Przez chwilę pomyślała, że goryl dostał rozkaz, by ją zastrzelić, ale to był przejaw zwykłej paranoi. Giancarlo zawsze trzymał się z daleka od miejsc zbrodni, które zlecał.

Ochroniarz powiedział, że musi sprawdzić jej pokój. Kate stanęła z boku i pozwoliła mu wejść. Mężczyzna przeczesał całe pomieszczenie, szukając ukrytych dyktafonów, podsłuchów i broni. Zeskanował ściany, by wykryć wszelkie nadajniki. Kiedy skończył, zarekwirował telefon komórkowy Kate i zszedł na dół.

Kilka minut później przez otwarte drzwi wszedł Giancarlo. Rozejrzał się z zaciekawionym po apartamencie i uśmiechnął się, rozpoznając go w końcu. Był rozbawiony tym przejawem ironii Kate - ponieważ to właśnie w tym pokoju przyrzekł jej, że odnajdzie zabójcę Roberta.

Nie było pocałunku na powitanie. Giancarlo stał przy drzwiach, zaniepokojony. Kate siedziała na krześle. Zero uśmiechów, zero uprzejmości.

- Pytasz, czy ja zabiłem Roberta? - powiedział Bartoli i skrzywił się z niesmakiem.

W wiadomości do Giancarla Kate napisała, że zna tożsamość mordercy Roberta. Pisała, że chce się spotkać w Soglio, w hotelu Salis, w czwartek o dziesiątej rano.

- Nikt nie zabił Roberta - oznajmiła Kate. - Wiesz o tym i ja także już to wiem. Bartoli uśmiechnął się niemal szczerze.

- Z przykrością muszę powiedzieć, że nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

- Nie rób tego - wydusiła z siebie. Czuła gniew, którym się niemal dławiła. - Przestań mnie okłamywać. Możesz mnie zabić, ale przestań wreszcie łąać!

- Dobrze, już dobrze - powiedział. - Robert żyje i ma się świetnie. Zadowolona?

- Prawie - odparła. - Chcę wiedzieć: dlaczego. Giancarlo rozłożył ręce.

- To stare dzieje... Interesy. Teraz już nieistotne.

- Dla mnie szalenie istotne.

- W Izbie Lordów byli ludzie, którzy wszczęli śledztwo przeciwko niemu. Mówiło się, że zostanie postawiony przed sądem pod zarzutem zdrady stanu.

- Pozwoliłeś mi wspiąć się na tamtą górę, abym umarła - w imię zdrajcy?

- Ależ nie! Ja tylko pomogłem Robertowi załatwić jego sprawy finansowe. Nie powiedział mi, że jesteś częścią jego... zniknięcia.

- To nie było zniknięcie, tylko morderstwo.

- Luca i ja wiedzieliśmy o pieniądzach, reszta była tajemnicą Roberta. Gdybym tylko wiedział...

- Wiedziałaś. Widziałam to w twoich oczach, podczas mojego ślubu z Robertem. Miałeś w nich łzy. Pomyślałam sobie, że jesteś... sentymentalny. Ale to nie o to chodziło. Ty wiedziałeś...

- Wiedziałem, że Robert złamie ci serce! Wiedziałem, że zrobi z ciebie wdowę!

- Bardzo biedną wdowę.

- Nie masz pojęcia, co to bieda, Katerina. - Bartoli spojrzał w bok, w przy-
pływie gniewu.

- Więc nie chodziło mu o pieniądze? - zapytała. - Wiedział o dziesięciu mi-
lionach funtów, do których miałam dostęp, i je sobie wziął. Ot tak! Tylko dlatego,
że mógł!

- Robertowi bardzo na tobie zależało.

- Jemu zależy tylko i wyłącznie na sobie! Dziwi ę się, że tego nie dostrzegasz.

- Widziałem, jak na ciebie patrzy! Widziałem w jego oczach miłość! I smutek, bo wiedział, że zaraz cię straci!

- Miłość? Posłuchaj, Giancarlo. Ten bydlak nasłał na mnie ludzi w Hamburgu. Z karabinami, a nie kwiatami. Chciał mnie zabić.

- To dlatego, że nie dało ci się wyperswadować, byś przestała szukać jego zabójcy! Ostrzegałem cię...

- Powiedz mi, gdzie mogę go znaleźć. Włoch pokręcił głową.

- Nie mogę tego zrobić.

- Jesteś mi to winny!

- Nie mogę złamać przysięgi.

- Przysięgi? - zdziwiła się Kate.

- Złożyłem świętą przysięgę. On też. Nie możemy jej złamać, Katerino. Pewnie tego nie zrozumiesz... ale uwierz mi, że nie mogę ci tego zdradzić.

- Wydaje mi się, że nieważne co teraz zrobisz, to przysięga i tak zostanie złamana. Pamiętasz, jak przyrzekałeś w kościele przed obliczem Boga, że będziesz mnie zawsze chronił, jeśli coś się stanie moim rodzicom? Czy pamiętasz tę przysięgę? -

Bartoli milczał. - Moi rodzice umarli, Giancarlo. Pytam więc: dlaczego mnie nie chronisz?

- Katerino...

- Nie jestem twoją małą Katerinką! Już nie. Dotrzymaj słowa. Chronź mnie tak, jak ojciec chroni córkę. Powiedz mi, gdzie on jest.

- Nie wiedziałem, że chce cię aż tak skrzywdzić!

- Dla jasności: masz na myśli akcję na Eigerze czy tę w Hamburgu? A może był też w Zurychu i podsłuchiwał naszą rozmowę? Obserwował mnie? Mów!

- Proszę, pozwól mi z nim porozmawiać - powiedział Bartoli. – Jeśli wreszcie dasz sobie spokój z tą sprawą... Kate pokręciła głową.

- Nie. Nie zgadzam się. Mam gdzieś jego przysięgę. Powiedz, gdzie mogę go znaleźć. Wtedy nie będziesz mi już nic winny. Możesz mi wierzyć - już nigdy o nic cię nie poproszę.

Giancarlo stał przed nią, milcząc. Wyglądał jak człowiek na rozdrożu, rozdarty wewnątrz.

- Czego chcesz? - syknęła, widząc, że Włoch nie ma zamiaru przerwać swojego milczenia. - Pieniędzy? Ile, dziesięć milionów euro? Dwadzieścia? Wiem, że twoja pazerność nie zna granic. Modlę się, żebyś stracił całą swoją fortunę i wylądował w rynsztoku!

Oczy starca zaszyły mgłą. Poczul się urażony.

- Skończyłaś już?

- Nie. To się nie skończy, dopóki nie powiesz mi, gdzie go znajdę.

- Grozisz mi? - zapytał.

- Naprawdę chcesz wojny w imię człowieka, który wymordował twoich przyjaciół? Chcesz wiedzieć, dlaczego jeszcze oddycham, dlaczego przeżyłam? To dlatego, że Robert jest pazerny. Mógł mnie zamordować i pozbyć się swoich problemów, ale nagle wywąchał kasę Farrella i nie mógł się jej oprzeć. Czy wspominał ci o tym? O tym, że zamordował swojego kuzyna, żeby zgarnąć pół miliarda dolarów?

- To kłamstwo! Jack nie...

- Jack Farrell nie żyje. Nie wiedziałaś? Myślałaś, że udało mu się zwiać? Powiem ci coś na temat twojego przyjaciela, szacownego lorda Kenyona. On czyha też na twoją fortunę.

Giancarlo milczał.

- Wiesz, co myślę? Myślę, że ty jednak chcesz mi zdradzić miejsce jego pobytu. Myślę, że bardzo się zawiodłeś na Robercie. Z powodu jego zdrady, jego kradzieży oraz tego, że próbował mnie zabić. Myślę, że ucieszyło cię fiasko jego zamachu na moje życie w Hamburgu. Jesteś lojalny wobec niego z powodu jakiejś przysięgi, która kiedyś może i była dla ciebie ważna, ale już nie jest. W głębi serca nienawidzisz jego i tej przeklętej przysięgi! Giancarlo odwrócił się bez słowa i wyszedł.

Kate stała przy oknie i patrzyła, jak Włoch wychodzi z hotelu. Jego szofer i ochroniarz stanęli na baczność, gdy pojawił się w drzwiach.

Ochroniarz otworzył tylne drzwi mercedesa przed szefem. Zanim Włoch wsiadł do auta, zdjął płaszcz i starannie go złożył. Rozejrzał się wokoło, nieco niepewnie. Czy spodziewał się nagłego ataku? Strzału snajpera leżącego na dachu? A może to był znak dla jego ludzi, aby zaczęli akcję - wpadli do hotelu i... Kate nie miała pojęcia, jak rozumieć zachowanie Gia-carla. I nagle uświadomiła sobie, że nigdy go nie rozumiała. Poczwała wielki smutek. Jego uczucia, tak jak uczucia Roberta, okazały się kłamstwem.

Bartoli usiadł na tylnym siedzeniu, a ochroniarz z przodu przy kierowcy. Zapanowała idealna cisza. Włoch spojrział w okno, w którym stała Kate. Ich oczy na moment się spotkały. A potem auto ruszyło.

Kate rozejrzała się dokoła, patrząc na dachy i uliczki. W wiosce nadal panowała cisza. Poczekała, aż samochód zniknie na horyzoncie i doszła do wniosku, że przeceniała Giancarlo. Wcale nie był szlachetnym człowiekiem.

Chciała już dać znać Ethanowi i Malloyowi, którzy czekali ukryci na zewnątrz, kiedy nagle zadzwonił jej telefon hotelowy.

- Słucham?

- Pomyślałem sobie, Kate... - odezwał się Bartoli - że dawno nie byłaś w mojej posiadłości na Majorce. Może powinnaś się tam wybrać na dzień lub dwa. Ładne miejsce na rekonwalescencję. Najlepiej, żebyś się pojawiła przed poniedziałkiem. Później zapowiadają brzydką pogodę...

- Dziękuję - wyszeptała Kate.

- Uważaj na siebie - odparł Giancarlo.

Majorka, Hiszpania Sobota, 15 marca 2008

Majorka, słynąca z plaż, częstych wizyt celebrytów oraz całonocnych imprez, tak naprawdę nadal jest przede wszystkim wyspą o charakterze rolniczym. Wzdłuż jej wybrzeża biegną świetnej jakości autostrady, wioski połączone są ze sobą dość przyzwoitymi drogami, jednak przez większość terenu jedzie się po prostu po wertepach.

Na wyspie czas biegnie w zwolnionym tempie. Każdy mieszkaniec zawsze znajdzie chwilę wolnego czasu, by pogawędzić ze znajomym czy sąsiadem. Życie toczy się tu spokojnym rytmem. Niewiele się zmieniło od czasów, gdy ojciec Giancarla Bartolego zbudował swoją willę na szczycie wysokiego płaskowyżu, z którego rozciągał się malowniczy widok na okolicę.

Robert Kenyon nigdy nie darzył sympatią tego miejsca. Było zbyt ciche, zbyt odseparowane od świata. W czasach młodości Robert i Luca organizowali w willi imprezy, aby urozmaicić sobie nieco pobyt. Kiedy pierwszy raz po przyjęciu

nowej tożsamości i odcięciu się od przeszłości David Carlisle przyleciał na wyspę, zrozumiał wreszcie, za co Bartoli tak bardzo kochał swoją farmę. Wkrótce potem wydzierżawił całą posiadłość od jednej z firm Włocha. W ciągu ostatnich kilku lat bywał tu tak często, jak tylko mógł. Czuł się tu bezpiecznie. Nie musiał się stresować, że nagle spotka jakiegoś znajomego ze swojego poprzedniego życia, nie musiał się przejmować fałszywymi paszportami. Tutaj obowiązywała rutyna, królowała codzienność - i bardzo mu to odpowiadało. Wino było znakomite. Góry dawały dużo frajdy. A słońce wyganiało lęki, które dręczą każdego uciekiniera.

Jeśli już o tym mowa, odosobnienie farmy było czymś więcej niż luksusem. Helena Chernoff zaginęła. Ponieważ ostatni raz rozmawiali ze sobą, gdy zamierzała dopaść Malloya, domyślał się, że coś poszło nie tak i została schwytana. A teraz ją przesłuchują. Carlisle wiedział, że nawet ktoś taki jak Chernoff nie jest impregnowany na szantaż i tortury i wcześniej czy później puści parę. Chodziło tylko o to, by jak najdłużej odwlec moment, kiedy w końcu zaczyna się śpiewać.

Fałszywa tożsamość Chernoff, czyli Christine Foulkes, zostanie zdemaskowana, a kiedy do tego dojdzie, zaczną się przesłuchania wszystkich Paladynów. Oczywiście nie pozostanie im nic innego, jak tylko twierdzić, że nie mieli pojęcia o tym, czym naprawdę zajmowała się Chernoff, ale wszyscy będą musieli się spotkać ze śledczymi. Od czasu śmierci Roberta Kenyona reszta członków Rady unikała publicznych kontaktów z Davidem Carlisle'em oraz Christine Foulkes. Zamiast tego przysyłali na coroczne obrady swoich reprezentantów. Wszyscy mogli więc utrzymywać, że nie mieli pojęcia, iż Foulkes to Chernoff, a Carlisle to Robert Kenyon, który wrócił z zaświatów. Niestety, jego fałszywa tożsamość nie wytrzyma tej próby, nawet pobieżne przesłuchanie nie wyjdzie mu

na zdrowie. Trzeba będzie wyrzucić tę maskę do kosza i zacząć znowu od zera. Większość jego majątku była bezpieczna, zdążył przelać pieniądze do banków, które nie oddadzą ich bez walki. Jednak nieruchomości, wyceniane na jakieś pięćdziesiąt milionów funtów musiał spisać na straty. Takie jest wpisane w ten biznes ryzyko.

W poniedziałek na Majorcę ma przylecieć Luca i przywieźć ze sobą trzy nowiutkie paszporty. Zostały więc jeszcze niecałe dwie doby. Nawet jeśli glinom uda się w miarę szybko złamać Chernoff, co było zresztą mało prawdopodobne, to Carlisle i tak ma dość czasu. Rzecz jasna, niczego nie można być pewnym. Może Chernoff ubiła z policją jakiś interes? Za prywatną celę z oknem mogła wyśpiewać jego adres. Mimo to, czekanie tu, na Majorce, było lepsze niż miotanie się po świecie z fałszywymi dokumentami. Używane przez niego nazwiska mogły już wypłynąć. Zbyt wielkie ryzyko. Nawet kiedy dostanie nowe paszporty, to i tak jego problemy się nie skończą. Numery telefonów oraz kryjówki, do których miał kiedyś pełne zaufanie, teraz mogły być pułapkami. Jego przyjaciele i osoby, z którymi się kontaktował, mogli być pod stałą obserwacją. Aibo już zaczęli sypać, by zachować wolność. Niemal każda osoba, którą znał Carlisle, stanowiła teraz potencjalne zagrożenie. Nie chodziło więc tylko o zmianę nazwiska. Trzeba będzie naprawdę zacząć wszystko od nowa.

Majorka, Hiszpania Niedziela, 16 marca 2008

Ethan i Malloy mieli na sobie kamizelki kuloodporne i noktowizory. W bladej poświacie księżycy wspinali się na wzgórze, na którym usytuowana była posiadłość Bartolego. Zatrzymali się sto metrów od ogrodzenia posesji.

- To tam - powiedział Ethan, patrząc na swój odbiornik GPS. Oprócz colta miał przy sobie również karabin Double-Star z tłumikiem. Specjalny celownik optyczny pozwalał na oddanie strzału również w nocy. Broń była skonfigurowana tak jak popularny M 4. Miała krótszą lufę i była nieco podobna do kałasznikowa. Ethan wrzucił do kieszeni kilka dodatkowych magazynków, chociaż zarówno on, jak i Malloy mieli nadzieję, że nie trzeba będzie z nich korzystać. Ethan załadował pierwszy magazynek i spojrzął przez celownik.

- Ładnie - wyszeptał. Patrzył na nocny pejzaż, który nagle stał się zielony. Wśród ciemności błdziło czerwone światełko rzucane przez karabin.

- Możesz sprawdzić celownik tutaj - powiedział Malloy, wskazując taras obok domu. Sam dwa razy upewnił się, czy w pobliżu nie ma jakichś niepożądanych osób, ale teren był bezpieczny. Ethan przestawił karabin na tryb strzelania pojedynczymi kulami. Wycelował i oddał jeden strzał w kierunku szpaleru drzewek oliwnych. Tłumik był prawdziwym majstersztykiem! Jedyne dźwięki, jakie karabin wydawał, pochodził od wypluwanej przez niego łuski. Ethan oddał jeszcze dwa strzały próbne.

- Fantastyczny sprzęt - rzucił z uśmiechem.

Malloy miał przy sobie kamerę termowizyjną, model Mil-Cam LE. Potrafiła wykrywać obrazy termiczne nawet przez niektóre ściany. Przeskanował posiadłość. Na parterze nie było nikogo. Na drugim piętrze kobieta i mężczyzna przebywali w sypialni, w jednym łóżku. W stróżówce przy bramie znajdowało się, w oddzielnych pomieszczeniach, dwóch mężczyzn. Według Kate, która

szczegółowo opisała Malloyowi posiadłość, byli to strażnicy, zazwyczaj ludzie Bartolego. Kiedy szefa akurat nie było w domu, budki strażników stały puste.

Ci dwaj obecni dzisiaj to bez wątpienia ochroniarze Kenyona.

Malloy podał Ethanowi kamerę termowizyjną i skierował ją na budynek. Na ekranie pokazał mu kobietę i mężczyznę znajdujących się w sypialni.

- Jak uważasz, kto to może być? Irina Turner?

- W idealnym świecie tak właśnie by było - odparł Ethan. Malloy zadzwonił ze swojej komórki.

- Co jest? - usłyszał głos Kate.

- Kobieta i mężczyzna w sypialni. Dwóch mężczyzn na drugim piętrze stróżówki, w oddzielnych pomieszczeniach.

- Trzy minuty - poinformowała.

Przekazał wiadomość Ethanowi i zaczął skanować posesję. Z przodu domu znajdował się dobrze oświetlony, spory trawnik. Dalej stróżówka oraz ogrodzenie. Za ogrodzeniem na zachodzie kamienista łąka prowadząca do naturalnej ściany skalnej oraz górskiego zbocza. Na wschód równina ciągnęła się przez ponad pół kilometra, a potem nagle przechodziła w teren górzysty. W tej okolicy Malloy znalazł jakieś budynki, prawdopodobnie domek dozorca. Dozorca leżał w łóżku ze swoją żoną, która była również kucharką. Według Kate reszta pracowników przychodziła z wioski oddalonej o ponad cztery kilometry od farmy Bartolego.

Malloy dalej skanował teren kamerą termowizyjną, szukając obecności innych ludzi, ale nikogo już nie znalazł. Minutę po rozmowie z Kate, usłyszał w oddali samolot. Omiótł kamerą niebo ponad domem i zobaczył jedynie ogromne ciemne góry, które wyrastały za posiadłością. Znajdowały się w odległości około sześciuset metrów, nadal w zasięgu karabinu Ethana.

Malloy przejechał kamerą po murze, którym otoczona była posesja i jeszcze raz upewnił się, czy ochroniarze są w swojej stróżówce, a Kenyon przewraca z boku na bok w swoim łóżku.

Przez słuchawkę usłyszał Kate.

- Odległość pięćset metrów - powiedziała.

Chwilę później wszystkie reflektory na terenie posesji zgasły i cała okolica pogrążyła się w mroku.

David Carlisle źle sypiał, odkąd wyleciał z Nowego Jorku. Obwiniął o to zaliczenie zbyt wielu stref czasowych podczas lotu z Hamburga do Nowego Jorku, a potem na Majorkę, ale wiedział, że nie jest to prawdziwa przyczyna. Prawda była taka, że nagle poczuł się... zagrożony. Co gorsza, nie mógł z tym nic zrobić. Mógł to jedynie przeczekać. Tak czy inaczej była to już trzecia bezsenna noc.

Wstał i po omacku doszedł do łazienki. Umył ręce, a potem przyjrzał się swojej twarzy w lustrze. Przez jedenaście lat był Davidem Carlisle'em, nawet dla swoich najbliższych przyjaciół. Lord Robert Kenyon był martwy. Nikt ani razu nie zwrócił się do niego per Robert. Sam o sobie też myślał jako o Davidzie Carlisle'u. To było bardzo łatwe. Nazwisko człowieka nie jest jego immanentną częścią. Pomimo zmiany tożsamości pozostaje się tą samą osobą. Wewnętrzny głos nie ma imienia. Przekonał się o tym dopiero wtedy, gdy zabił Roberta Kenyona. To świat, czyli inni ludzie, potrzebuje nazwisk. Mimo to Carlisle zrozumiał, że dzięki nazwisku człowiek może być... kimś. Bez niego istota człowieka nie ma związku z otoczeniem. W tej chwili znowu nie miał nazwiska, przez co czuł, że brakuje mu zakotwiczenia w rzeczywistości. Czy nadal był zbiegiem nazwiskiem David Carlisle? Czy powinien już myśleć o sobie w kategoriach nowej tożsamości, którą

da mu Luca? A może stał się wskrzeszonym lordem Kenyonem? Na liście Interpolu na pewno będzie figurował jako Kenyon, ze wszystkimi swoimi tytułami. Już wyobrażał sobie przydomki, jakimi obdarzą go tabloidy. Ale skoro nic takiego nie miało jeszcze miejsca, to czy nadal był po prostu Davidem Carlisle'em?

Wyłączył światło. W głowie kołatało mu się wiele myśli. Fałszywe tożsamości nigdy nie były dla niego niczym innym jak tylko narzędziami. Teraz jednak zaczynał mieć wątpliwości: był człowiekiem mieszkającym na wyspie na szczycie góry... i niczym więcej.

Wrócił do łóżka, spojrzał na elektroniczny budzik. Za dziesięć pierwsza. Środek nocy, a on myśli o takich bzdurach! Chętnie poszedłby spać, gdyby nie to, że był tak strasznie umęczony dwiema poprzednimi bezsennymi nocami. Położył się na plecach z otwartymi oczami. Bezsenna noc. Uśmiechnął się. Dawniej, gdy człowiek zrobił coś wyjątkowo podłego, mówiło mu się: „Módl się o to, byś mógł zasnąć!”. Tak naprawdę poczucie winy nikomu nie spędza snu z powiek. Za to lęk i zmartwienie - jak najbardziej! Spojrzał na Irinę. Dziewczyna zrobiła wszystko, co w jej mocy, by zmęczyć Carlisle'a podczas łóżkowych wyczynów. A teraz spała snem sprawiedliwego, choć była krwiożerczą dziwką. Nadal pamiętał wyraz jej twarzy, kiedy przeprowadzała egzekucję na tych czterech agentach w Newark. Ona to lubiła. Dla niego zabijanie nigdy nie było czymś przyjemnym. Zabijało się zawsze z jakiegoś powodu. To wszystko. Czuł tylko adrenalinę wywołaną strachem, że ktoś go złapie i osądzi za odebranie komuś życia.

Gdyby był teraz sam, pewnie zapaliłby lampkę i trochę poczytał. Ale nie był sam. Leżał więc nieruchomo w łóżku z pustką w głowie. Nie ma się czym martwić, powtarzał sobie. Świat nadal będzie się kręcić, niezależnie od tego, co się

wydarzy. Musi sobie z tym poradzić, tak jak zawsze, albo umrzeć - co i tak czeka każdego. Takie rzeczy nie powinny spędzać człowiekowi snu z powiek.

Dla Iriny nowe życie było po prostu częścią jej planu. Zgarnęła dla siebie jedną trzecią fortuny Farrella i przestała pracować dla Ohlendorfa. W zamian za „fatygę” otrzymała od Carlisle'a nową tożsamość oraz miejsce w Radzie Paladynów. Zawiózł jej nowy paszport do Nowego Jorku, a następnie opuścili Stany. Nawet nie musieli się męczyć nad charakteryzacją - wystarczyło trochę farby do włosów. Irina mówiła, że móc być kimś innym to niesamowite uczucie, wyzwalające. Naprawdę takie było? Wrócił pamięcią do pierwszych dni, kiedy sam przyjął nową tożsamość. Faktycznie poczuł wtedy dreszczyk podniecenia. Ekscytujące było zwłaszcza wytropienie ludzi, którzy chcieli go pogrążyć. Jednak ogólnie rzecz biorąc, miał mieszane uczucia. Na pewno nie rwał się do tego, by znowu przez to wszystko przechodzić.

Spojrzał na zatopioną w mroku Irinę, leżącą u jego boku. Miała tu zostać tylko dzień lub dwa. Taki był pierwotny plan. Trochę zabawy, a potem każde z nich ruszy w swoją stronę. Kiedy się jednak okazało, że znalazł się w bardzo niebezpiecznej sytuacji, Irina postanowiła zostać. Gdyby jej nie znał na wylot, mógłby sobie pomyśleć, że jest to wyraz jej lojalności, ale tak naprawdę ona po prostu zaczęła się na nowo ustawiać w życiu. Helena Chernoff wypadła z gry i ktoś musiał ją zastąpić. Irina wspominała nawet, że chciałyby przejąć siatkę po Ohlendorfie. Przynajmniej nie brakuje jej ambicji, pomyślał wówczas.

Teraz leżał w ciemnym pokoju, lawirując między półsnem a pełną świadomością. Parokrotnie już zapadał w sen, ale nagle znowu się wybudzał. Przechodził kryzys osobowości, stąd ten niepokój, tłumaczył sobie.

Raptem poczuł jednak, że coś jest nie tak. Usłyszał dźwięk. Nie. To nie był dźwięk. Przeciwnie: brak dźwięków... W domu było zbyt cicho. Zerknął na cyfrowy budzik, ale jego tarcza była ciemna. Spojrzał przez okno i zobaczył szare niebo. Oświetlenie posesji, które zawsze było w nocy włączone, nagle zgasło.

Ktoś odciął prąd.

Majorka, Hiszpania Niedziela, 16 marca 2008

Kate skoczyła ze spadochronu z wysokości dwóch tysięcy metrów ponad ziemią. Wiatr wył jej w uszach jak opętany, a serce kipiało adrenaliną. Zawsze tak było, kiedy skakała z samolotu. Kochała te momenty przed otwarciem spadochronu. Błyskawiczne spadanie ku ziemi. Strach. Podniecenie. W takich chwilach czuła, że żyje.

Przed skokiem Kate koncentrowała się na swojej misji. Na swoim celu. Nie ma co - ładne określenie kogoś, z kim się wzięło ślub... Martwiła się szczegółami. Zawsze się nimi przejmowała, gdy planowała akcję. Ale teraz nie było już sensu się nad nimi zastanawiać. Albo wszystko pójdzie zgodnie z planem, albo nie. Nie dało się już wprowadzić żadnych zmian ani ulepszeń. Nagle cel misji przestał być „celem”. Chodziło już o człowieka, Roberta. Robert Kenyon: zdrajca, morderca, kłamca, złodziej. Jej eks. Trudno o gorszego byłego męża...

Kiedy jeszcze niedawno zastanawiała się, kto uśmiercił Roberta, T.K. nawet przedstawił profil jego zabójcy. Zdaniem Thomasa był to tchórz, który nie miał dość odwagi, żeby wziąć sprawy we własne ręce. Kate często tak nazywała tego nieznanego wroga: tchórz! Dodawało jej to odwagi. Teraz jednak poznała już jego personalia i musiała zrewidować swoje poglądy. Robert nie był tchórzem.

Będzie z nią walczył - zabije ją, jeśli będzie musiał. Było w nim jednak coś, czego nie umiała nazwać. Był socjopata, ale były w nim jakieś ludzkie uczucia. „Odetnij linę”. Te słowa wracały do niej jak bumerang. Celowo strącił ją wtedy z półki skalnej. Wiedziała o tym. Ale on zdawał sobie sprawę, że Kate była przy-mocowana do punktu asekuracyjnego, więc nic jej nie grozi. Robert nie przeciął też liny, co powinien był zrobić, jeśli chciał się jej pozbyć na dobre. Dopiero po jakimś czasie rozkazał zrobić to jednemu z Austriaków.

Dlaczego? Kiedy spadała, widziała przez ułamek sekundy twarz Roberta. Do dzisiaj nie umiała rozszyfrować jej wyrazu. Być może jednak ją kochał, wówczas to spojrzenie oznaczałoby żal. Był uczuciowym kochankiem. W tamtych ostatnich dniach wyraźnie coś go toczyło od środka. Jakieś zmartwienie. Jakby próbował podjąć jakąś bardzo trudną decyzję. Tamtej nocy, na zboczu Olbrzyna, Robert wydawał się zamyślony i melancholijny. Może zastanawiał się, czy opłaca mu się stracić Kate? Może wcale nie chciał jej zabić? Może chciał uciec razem z nią? Wiedział, że wystarczyłoby jedno słowo, a zrobiłaby to. Poszłaby za nim na koniec świata. Kochała go całym sercem. Dlaczego więc nie zaproponował jej tego? Dlaczego zabrał ją na górę, aby tam umarła?

To bez znaczenia, wmawiała sobie. Tamtej nocy Robert podjął decyzję. Koniec, kropka... Ale to, że nie przeciął liny, ciągle nie dawało jej spokoju. Przecież było to takie proste. Linę miał tuż przed nosem. Nie zrobił tego, kazał ją przeciąć komuś innemu dopiero po jakimś czasie. Jedyne logiczne wytłumaczenie, jakie przychodziło jej do głowy, było następujące: Robert coś do niej czuł i nie potrafił zmusić się do tego, by własnoręcznie ją uśmiercić.

I właśnie tego najbardziej w nim nienawidziła! Tej odrobiny człowieczeństwa tkwiącej głęboko w jego duszy. Zakładając, że posiadał coś takiego, jak dusza...

To wprowadzało bałagan w jej myśli. Torpedowało jej pewność siebie. Nagle Robert przestał być celem i tchórzem, którego należało po prostu zabić bez skrępowań. Po tylu latach żałoby i bólu, chciała wreszcie wyrównać z nim rachunki. Pragnęła, by poczuł ból, którego był sprawcą. Zamiast tego, w tym ostatnim momencie zastanawiała się dlaczego sam nie przeciął liny.

Robert był w jej życiu postacią ważniejszą niż wszyscy inni ludzie. Zdeponował nawet jej ojca. Ethan także był w cieniu Roberta. Ethan, najmądrzejszy i najdzielniejszy człowiek, jakiego w życiu znała, znosił to wszystko bez słowa skargi. Wiedział, że Kate nieustannie porównuje go do Roberta. Zaakceptował fakt, że zawsze będzie na drugim miejscu. A mimo to trwał przy niej i ryzykował dla niej życie. Przyjął do wiadomości, że to jest jej wojna, i że Kate sama chce to załatwić. T.K. nie chciał się zgodzić, ale Ethan rozumiał. Tego właśnie potrzebowała. Nawet gdyby miała przy tym stracić życie. To była jej zemsta. Czekala na nią przez dziesięć lat.

Robert udawał miłość. Jeśli jednak tliła się w nim odrobina uczucia dla Kate, to nie pozwolił, by pokrzyżowało ono jego plany. Odrzucił sentymenty i skupił się na pieniądzu. O to właśnie chodziło. W gruncie rzeczy był bezdusznym, pazurem biznesmenem. Wykorzystywał emocje innych ludzi do własnych celów. Był w tym niezły i miał ku temu warunki - szalenie przystojny, z czarującym uśmiechem, odznaczał się błyskotliwym umysłem i nigdy nie przejawiał żadnego rodzaju okrucieństwa, nawet słownego. Miał jednak poważny defekt. W miejscu, gdzie normalny człowiek ma serce i duszę, on miał czarną dziurę.

Nawet Luca Bartoli był tego świadom. To dlatego nauczył ją walczyć. Nie chciał zdradzić Roberta i złamać swojej przysięgi, tak samo jak jego ojciec, ale

chciał, żeby była gotowa, gdyby udało jej się wytropić i dorwać Kenyona na własną rękę.

Carlisle nachylił się do Iriny, gdy tylko zrozumiał, co się stało. Dotknął jej ramienia i szepnął: - Ktoś tu jest.

Wiedział, że ten „ktoś” to Kate. Czuł to.

Irina podniosła się z pościeli bez słowa, niemal bezszelestnie. Carlisle ujrzał jej nagą sylwetkę na tle okna i szarego nieba. Sam też wstał, włożył spodnie i koszulę przewieszoną przez krzesło. Pogrzebał w szafie, szukając butów do wspinaczki i kurtki. Złapał pistolet leżący na stoliku przy łóżku.

A potem usłyszał, jak pękają szyby w stróżówce.

Spadochron Kate rozwinął się z trzaskiem. Przestała spadać z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i zaczęła wolno szybować. Na oczach miała noktowizor. Patrzyła w dół na budynek, szukając miejsca do lądowania. Chciała wylądować na dachu, lecz najpierw musiała sprawdzić kierunek i prędkość wiatru. W pobliżu gór zawsze szalały różne prądy powietrzne, które potrafiły być bardzo silne i zdradliwe.

Spojrzała na dom, a potem na góry wznoszące się nad posiadłością Bartolego. Kiedy przybyła tu z Lucą, by ją przeszkolił, spędzała długie godziny na tych skałach, ani razu nie używając liny. To było zresztą zalecenie Luki, a nie kaprys Kate. Przez długie tygodnie uczyła się używania różnego rodzaju broni oraz wyłączania systemów alarmowych. Skały najpierw ją przerażały, ale potem zawsze potrafiły natchnąć spokojem.

Na tych stokach wracało do niej uczucie niewinności, którą straciła na zboczu Eigeru.

Na wysokości trzystu metrów zaczęła niespiesznie zataczać kółka w powietrzu, łapiąc w spadochron wiatr. W pewnym momencie pociągnęła za linkę od wyrzutnika granatów, który miała przymocowany na udzie. Wyglądał jak nieco przerośnięty rewolwer. Trzy granaty spadły prosto w okna drugiego piętra stróżówki. Usłyszała dźwięk tłuczonego szkła i wyrzuciła granatnik.

Carlisle podszedł do okna, ale niewiele zobaczył. Trawnik, drzewa, brama - wszędzie było ciemno. Gdzieś tam czaiła się Kate. Tylko jeszcze jej nie widział.

Właśnie tak zawsze wyobrażał sobie ten moment, kiedy wreszcie Kate go odnajdzie. Kiedy przyjdzie po swoją zemstę...

„Furia porzuconej kobiety gorsza niżli piekło”, wyciągnął z pamięci stary cytat.

Trzy eksplozje wstrząsnęły stróżówką, a potem wybuchła rura gazowa, podświetlając na moment całą posesję.

- Co się stało? - zapytała Irina.

- Stróżówka - wyjaśnił. Wiedział, że takie fajerwerki nie są w stylu policji. To była Kate.

- Ilu może ich być? - odezwała się znowu dziewczyna.

Carlisle wpatrywał się w cienie za oknem. Pomyślał o Kate, Ethanie i Malloyu. Uniknęli śmierci w Hamburgu i przyjechali tutaj, zabić go. Dokładnie tak, jak ostrzegał go Giancarlo...

- Nie wiem. Nikogo nie widzę...

Kate opadała w stronę dachu. Złapała podmuch wiatru w spadochron, dzięki czemu mogła miękko wylądować, przenosząc ciężar ciała na zdrową nogę.

Szybko zebrała spadochron i owinęła go wokół jednego z kominów, wokół drugiego obwiązała długi kawałek liny, aby móc spuścić się z dachu. Wychyliła się zza rynny, by spojrzeć przez okno sypialni i z powrotem wspięła się na dach.

- Gdzie oni są, T.K.? - zapytała przez mikrofon.

- Dokładnie pod tobą - odparł.

Kate wyciągnęła swój karabinek Uzi, odbezpieczyła go, wzięła głęboki wdech i skierowała lufę w stronę dachu, a następnie nacisnęła spust.

W ciągu kilku sekund przez sufit wpadł grad pocisków. Kule dziurawiły podłogę i ściany. Carlisle i Irina rzucili się w stronę wyjścia z sypialni. Doczołgali się do korytarza i dopiero wtedy odpowiedzieli serią strzałów w sufit.

Nadal strzelali, kiedy do sypialni znowu wpadł deszcz kul, tłukąc szyby. Pociski przewiercały się przez ściany i świszczwały im koło uszu.

Schodząc z dachu, Kate rozpędziła się, odbiła od muru i wpakowała serię z uzi w ścianę domu. Wyczerpała cały magazynek, tłukąc szyby w oknach i dziurawiąc cały pokój. Jeszcze raz odbiła się od elewacji, trzymając się liny, i z impetem wskoczyła do środka. Uważała na to, by przy lądowaniu stanąć na zdrowej nodze. Niestety uderzyła w oderwany, wystający kawałek gipsu, straciła równowagę i upadła na podłogę.

Noktowizor spadł jej z głowy, a karabinek poleciał w kąt pokoju. Jej ranna noga znowu zaczęła krwawić. Nie pozwoliła sobie jednak nawet na sekundę

użalania się nad sobą. Wyciągnęła pistolet, wstała i znowu była w pełnej gotowości.

Doskonale wiedziała, jak wygląda to pomieszczenie. W mdłym świetle padającym przez okno doszła do kamiennego kominka. To było jedyne miejsce w pokoju, gdzie pociski nie mogły przebić ściany.

Nagle z korytarza dobiegły odgłosy strzałów z pistoletu. Otworzyli ogień. Deszcz kul przebił się przez ścianę. Kiedy strzały ustały, Kate usłyszała brzęk dwóch pustych magazynków lądujących na podłodze. A zaraz potem zastąpiły je nowe, pełne śmiertelnych naboju.

- Wycofują się! - zawołał Malloy, gdy Kenyon i kobieta skończyli faszrować ścianę kulami. - Kenyon przesuwa się w stronę okna! Damo, jesteś tam? Słyszysz mnie?

- Co się z nią dzieje? - zapytał Ethan.

- Straciliśmy łączność. - Malloy nagle ujrzał sylwetkę mężczyzny, wychodzącego przez okno. - Kenyon ucieka przez okno!

- A co z kobietą, która z nim była? - zapytał Ethan.

- Nie mogę jej znaleźć.

- Co masz na myśli?

- Kamera termowizyjna nie wykrywa jej! - zawołał w panice. - Damo, daj znać, jeśli mnie słyszysz!

W momencie, kiedy puste magazynki odbiły się od podłogi, Kate odskoczyła od kominka, wystrzeliła kilka pocisków przed siebie, a potem przeturlała się w kierunku drzwi. Wyrzuciła pusty magazynek i załadowała nowy, pełny.

Nagle w domu zapanowała idealna cisza. Słyszała, jak odpada tynk z podziurawionych ścian. Wszystko dokoła tonęło w mroku, jedynie przez okno wpadało blade, szare światło.

Czekała, wstrzymując oddech. Nagle coś usłyszała. Dźwięk odbezpieczanego pistoletu? Znowu wystrzeliła serię przez ściany. Tym razem, kiedy przeładowywała broń, dostała odpowiedź. Dziesięć strzałów z pistoletu. Jedna kula trafiła prosto w jej kamizelkę kuloodporną. Kilka centymetrów wyżej, a dostałaby w głowę. Kate aż wzdrygnęła się ze strachu, zmieniła pozycję, schodząc z linii ognia. Wystrzeliła cały trzeci magazynek, celując w ścianę.

Z drugiego pokoju nie oddano już żadnego strzału. Uciekł? Nie żyje? Oszczędza amunicję? Kate potrzebowała noktowizora, aby połapać się w tym gęstym mroku. Gdyby jednak postanowiła wrócić na środek pokoju, naraziłaby się na atak. Tamci chwilowo kryli się przed jej kulami. Może zaczynało brakować im amunicji.

Musiała atakować, a nie wycofywać się.

- Nadal nie widzę kobiety! - odezwał się Malloy.

- Może wyszła przez okno? - zasugerował Ethan.

- Nie. Widzę wszystkie okna jak na dłoni - zaprzeczył. - Damo, słyszysz mnie?

Głucha cisza. Znowu...

- Nie jest dobrze - powiedział po chwili do Ethana.

Irina Turner schowała się za kominkiem w pokoju gościnnym. Wystrzeliła już prawie dwa magazynki. Zostało jej pięć, może siedem kul. Nie miała więcej amunicji i nie miała kamizelki kuloodpornej. Żadnego sygnału od Davida. Żadnego ze stróżówki. Domyśliła się, że nikt nie przeżył wybuchu. To znaczyło, że została sama jak palec. Dobra wiadomość jest taka, że jej przeciwnik też jest sam. Na pewno niedługo przybędzie ich więcej, ale na razie Irina nie była bez szans. Podniosła się ostrożnie i zaczęła obmacywać kominek. Najpierw znalazła szuflkę, ale po chwili jej ręce trafiły na metalowy pręt - pogrzebacz. Podniosła go ostrożnie.

- Poddaję się! - zawołała po hiszpańsku, a potem po angielsku.

- Rzuć broń! - odpowiedziała jakaś kobieta z brytyjskim akcentem. W jej głosie nie było słyhać ani odrobiny strachu. To musiała być Kate.

- Dobrze, już rzucam! - zapewniła Irina. Cisnęła swój pi stolet na drewnianą podłogę. Poleciał prawie pod same drzwi drugiego pokoju. - Jestem w sypialni po prawej stronie korytarza! Właśnie rzuciłam swój pistolet.

- Wyjdź z rękami założonymi za głowę i stań w drzwiach! - rozkazała Kate.

- Nie mogę podnieść obu rąk. Jestem ranna.

- Wyjdź z jedną ręką za głową - oparła Kate.

- Nie zastrzelisz mnie? - zapytała Irina. Była przerażona i pozwoliła, by Kate usłyszała ten strach w jej głosie.

- Nie zastrzelę. Wyjdź w tej sekundzie.

Kate wyczołgała się z sypialni na korytarz. Pistolet trzymała wyciągnięty przed siebie. Widziała broń Turner na podłodze przy drzwiach sypialni gościnniej.

Z cienia wyłoniła się kobieta. Jedną rękę miała założoną na głowę. Gdy stanęła tak, że była doskonale widoczna na tle okna i szarego nieba, Kate powiedziała do niej:

- Stój! Zatrzymaj się!

- Nie zabijaj mnie...

Kobieta mówiła z rosyjskim akcentem. Teraz była już pewna, że to Irina Turner.

- Jeśli choćby drgniesz, to cię zastrzelę! Nie ruszaj się - ostrzegła ją Kate.

- Nie ruszam się!

- Gdzie jest Robert?

- Kto?

- Facet, z którym sypiasz - wyjaśniła Kate.

- Nie wiem! Chyba go zabiłaś.

Robert mógł się chować za drzwiami, w zatopionym w mroku korytarzu, właściwie wszędzie. Pewnie tylko czekał, aż na jego linii ognia pojawi się Kate.

Kate oddała dwa strzały w ścianę po obu stronach drzwi, a potem również dwa strzały w podłogę. Wyrzuciła pusty magazynek i włożyła nowy.

Kobieta pisnęła ze strachu i wzdrygnęła się, słysząc wystrzały.

- Błagam, nie zabijaj mnie! - powtórzyła, tym razem niemal łkając.

- Kate ma Irinę! - oświadczył Malloy.

Czerwona plamka karabinu snajperskiego Ethana zatrzymała się na plecach Kenyona. Ethan położył palec na spuście.

- Mam Kenyona - zasygnalizował.

- Strzelaj - ponaglił Malloy.

- Na kolana! - krzyknęła Kate do kobiety. Nie widziała jej twarzy ani żadnego szczegółu wyglądu. Nadal było ciemno. Widziała tylko kontury jej sylwetki.

- Proszę! Nie rób mi krzywdy.

- Założę ci kajdanki - poinformowała ją Kate. - Nie skrzywdzę cię. Kobieta padła na kolana, łkając.

- Bądź ostrożna, proszę! Jestem ranna.

Kate podeszła do kobiety i chwyciła jej nadgarstek. Musiała najpierw odłożyć do kabury swój pistolet, aby móc skuć przeciwniczkę. Zaczęła to robić, gdy nagle tamta wykonała płynny, zaskakujący ruch.

Plecy i łokieć Kate przeszył niehumaniczny ból.

- Dama jest ranna! - wrzasnął Malloy. - Dama jest ranna! Daj jej wsparcie!
Otwórz ogień!

Ethan przeniósł celownik z pleców Kenyona na dom. Przełączył karabin na tryb auto.

- Strzelaj! TERAZ!

Kate upadła na podłogę. Kamizelka kuloodporna ochroniła jej kręgosłup, ale prawy łokieć miała złamany. Ból był tak niehumaniczny, że nie dało się go porównać z niczym, co kiedykolwiek czuła. Usiłowała skupić się, zrozumieć, co się stało... ale ból był zbyt paraliżujący.

Usłyszała świst kul nad głową. Dziurawiły ściany. Nie były to odgłosy wystrzałów z pistoletu, a zatem musiał to być Ethan. Dlaczego strzelał?

Nagle zrozumiała! Przeturlała się dokładnie w momencie, kiedy żelazny pręt, który przeciął jej łokieć, wbił się w drewniany panel tuż przy jej głowie.

Turlając się dalej, zobaczyła, że jej przeciwniczka podnosi z podłogi swój pistolet i rzuca się w kierunku pogrążonego w mroku kominka. Kule przeszywały powietrze, aż do opróżnienia magazynka. Raptem w pokoju zapadła cisza. Kate oddychała pyłem z pokruszonych ścian, który wlatywał do oczu i palił w gardle. W ręce trzymała nóż. Czysty instynkt - nie pamiętała, w którym momencie straciła pistolet i złapała nóż.

Spojrzała w tył, a potem omiotła wzrokiem cały pokój. Pomieszczenie było ogromne, niemal tak duże jak sypialnia, a trzy okna dawały tyle światła, że Irina bez problemu mogła zauważyć najdrobniejszy ruch. Wystarczył jeden dźwięk. Skrzypnięcie podłogi, szelest ubrania, kawałek tynku rozdeptany podszwą... Jeden dźwięk, a Kate padnie trupem.

- Wstrzymaj ogień!
- Dama żyje?
- Jest ranna!
- Idę do niej! - rzucił Ethan.

Ktoś otworzył ogień dosłownie na kilka sekund, ale i tak zdążył sprawić, że w pokoju było aż białe od unoszącego się w powietrzu pyłu z podziurawionych ścian. Gipsowe odłamki wirowały jak płatki śniegu.

Zapadła cisza. Irina mogła się skupić. Strzelano z zewnątrz, prawdopodobnie od strony gaju oliwnego. Nie słyszała, żeby ktoś wchodził do domu. Nikt nie ruszał się na podwórku. Nie było żadnych świateł. Żadnych helikopterów.

Pozostało jej jeszcze trochę czasu. Podniosła z podłogi pistolet. Zostało w nim siedem kul. Jeden ruch, jeden dźwięk, a Kate będzie martwa.

Nasłuchiwała. Czekala. Wpatrywała się w zacienione kąty. Cisza. Bezruch. Dostała? Czy udaje? - zastanawiała się Irina.

Ethan rzucił karabin na ziemię i pobiegł w kierunku domu. Biegł przez gaj oliwny, co chwila potykał się o korzenie, raz nawet upadł, lecz podniósł się i biegł dalej w kierunku ogrodzenia.

Bał się najgorszego. W jego głowie echem odbijały się słowa Malloya: „Kate jest ranna!”.

Co miał dokładnie na myśli - draśnięta czy postrzelona? A może umiera. Ile ma czasu, zanim ta kobieta ją wykończy. Jakie miała szansę na przeżycie? Irina Turner, jeśli to faktycznie była ona, na pewno walczy nie tylko z Kate, ale i z ciemnością. Kate ma noktowizor. Ma więc przewagę! To znaczy, zakładając, że nie straciła noktowizora. I że nadal ma broń...

Zaklął pod nosem, gdy znowu się poślizgnął i zsunął ze stromego zbocza. Podniósł się i biegł najszybciej jak mógł, gdy nagle uderzył twarzą w nisko zwieszającą się gałąź.

Kiedy wstawał z ziemi, przypomniał sobie rozmowę, od której zaczęła się ta akcja. Kate uważała, że powinna wkroczyć do posiadłości sama. Czekala na ten dzień jedenaście lat. Zasłużyła sobie na to. To był jej argument. Ethan stanął po stronie żony, wbrew protestom Malloya. Dlaczego nie przemyślał wszystkiego od początku do końca? Wiadomo przecież, że w takich akcjach zawsze coś może nie wypalić. Dlatego potrzebny jest partner. Jeden chroni drugiego. We dwójkę można było stawić czoło temu, czego się nie przewidziało. A jednak Ethan zawsze nabierał się na jej słowa: „To moja walka”. Chciał jedynie tego, żeby Kate

wreszcie się zemściła i dała sobie spokój z Keny-onem raz na zawsze. A teraz nagle zrozumiał, że chciał zbyt wiele. Jego błąd będzie kosztować Kate życie.

Gdyby nalegał na swój udział, gdyby nie zgodził się, by poszła sama, najwyżej ucierpiałaby tylko jej duma. Przecież zawsze pracowali we dwoje. Dlaczego, do diabła, chciała tę akcję przeprowadzić solo? Powinien był jej powiedzieć, że...

Powinien był jej powiedzieć, że Kenyon nie jest tego wart! Niech zajmie się nim policja. Tak jak radził Malloy. Ale oczywiście Kate nigdy by się na to nie zgodziła. O nie. To ona go znalazła i to ona zada mu kilka pytań -nawet za cenę swojego życia. Ale Ethan mógłby z nią pójść, gdyby tylko nalegał. Tak właśnie powinien był zrobić.

Kate trzymała nóż na wysokości talii. Ścisnęła go kurczowo, kciuk dotykał ostrza. Była gotowa zadać cios, jeśli Irina podejdzie bliżej, mogła też rzucić nożem, gdyby nadarzyła się okazja. Po chwili jednak uznała, że lepiej zrobić to według własnego planu, niż czekać na ruch przeciwniczki. Bardzo powoli podnosząc rękę - tak by jej ubranie nie zaszeleściło - wsadziła nóż w zęby i wyciągnęła z kieszeni ostatni magazynek. Zaczęła wyluskiwać naboje na dłoń prawej ręki, której już nie czuła z bólu. Kiedy wysypała wszystkie kule, przełożyła je do lewej dłoni i jednym ruchem wyrzuciła wysoko w powietrze.

Gdy kule spadały na drewnianą podłogę, błyskawicznie złapała nóż lewą ręką i korzystając z zamieszania, zrobiła krok do przodu. Irina otworzyła ogień w kierunku rozrzuconych naboju. Kate zobaczyła rozbłysk lufy jej broni. Wzięła zamach i rzuciła nożem prosto w migotliwe iskry.

Usłyszała jęk bólu i skoczyła w stronę, z której dobiegł. Rozległy się dwa wystrzały, chyba na oślep, a potem do jej uszu dotarł odgłos broni padającej z

łomotem na podłogę. Kate wpadła prosto na Irinę i ścięła ją z nóg. Kobieta była naga, a nóż tkwił w jej ramieniu.

- Błagam - skamlała Turner. - Jestem ranna! Kate uwolniła ostrze i poderżnęła nim jej gardło.

Na dole ktoś sforsował drzwi wejściowe strzałami z pistoletu i krzyknął:

- DAMA!

- Jestem na górze! - odkrzyknęła Kate i zeskoczyła z Iriny Turner, która leżała, wykrwawiając się. Jej ciałem targały konwulsje, kiedy umierała. W tym momencie Kate czuła jedynie paraliżujący ból, promieniujący ze złamanej kości. Ledwo trzymała się na nogach. Ethan raz jeszcze zawołał z holu.

- Tutaj! Na górze! - odpowiedziała Kate. Jej głos drżał. Była wycieńczona.

Kiedy Ethan dobiegł do niej i ukląkł obok, Kate zrozumiała, że na chwilę straciła przytomność.

- Jesteś ranna? - zapytał, unosząc jej głowę.

- Złamała mi łokieć.

Nadal podtrzymując głowę żony, dotknął dłonią jej ręki. Kość wystawała na zewnątrz. Kate syknęła z bólu. Położył jej głowę na podłodze i zapytał:

- Gdzie twój zestaw słuchawkowy?

- W sypialni - odparła. - Gdzieś przy oknie...

Ethan znalazł słuchawki Kate. Włączył je i powiedział do mikrofonu:

- Jesteś tam, T.K.?

- Jestem. Co u Damy? - zapytał.

- Ma złamany łokieć, ale jest przytomna. Kobieta nie żyje. Wytropiłeś Kenyona?

- Widziałem go wspinającego się na skałę. Strzeliłem, ale spudłowałem. Zaraz dzwonię na policję. Nie mamy wyboru.

- Uprzedź mnie pięć minut wcześniej, dobrze?

- Walet, niech się tym zajmie policja!

- To nadal wykluczone, T.K.

- Idę za Kenyonem - powiadomił Kate, wkładając jej na głowę zestaw słu

chawkowy. - Zostań tu i nie przestawaj rozmawiać z T.K.

- Zostaw go. Niech sobie ucieka - wydusiła z siebie Kate. - Nie jest tego wart.

On jest... nikim.

- Po tym, co ci zrobił, nie może tak po prostu odejść.

- To nie on mi to zrobił. To Irina.

- Nie. To wszystko wina Kenyona. Zapłaci za to.

Zanim Kate zdołała go powstrzymać, Ethan wstał, zbiegł schodami i znalazł się na tyłach domu. Skały zaczynały się jakieś pięćdziesiąt metrów od posesji Bartolego i wznosiły na ponad sto. Gigantyczne głazy i monolityczne bloki ciemnego porowatego kamienia. Góra oferowała tu i ówdzie niemałe wyzwania techniczne, lecz były też tak łagodne miejsca i łatwe szlaki, że Ethan pokonywał ją w całkiem dobrym tempie. Chwilami było trudniej, ale tylko dlatego, że nie miał na sobie butów do wspinaczki. Blisko samego szczytu musiał przeskoczyć przez małą rozpadlinę, a potem wejść łagodnym filarem na sam wierzchołek.

Zanim ruszył dalej, spojrzął na teren przed sobą i zobaczył oświetlone światłem księżyca pole - pokryte kamieniami, drzewami, chwastami i wąwozami. Czteryście metrów dalej zaczynała się kolejna ściana, a wyszczerbione skały stanowiły wyzwanie nawet dla wprawnego adepta wspinaczki. To był ogródek Roberta Kenyona - jego kryjówka na wypadek, gdyby farma Bartolego została zaatakowana.

Ethan przez chwilę się zawahał. Obleciał go strach. Spojrzął za siebie i zobaczył kontury posiadłości Bartolego. Gaj oliwny, w którym nadal czekał Malloy, był oddalony o jakieś trzysta metrów. Thomas był jeszcze w stanie go widzieć, lecz kiedy Ethan ruszy dalej, wkroczy na ziemię niczyją. Bez osłony, bez wsparcia. A nawet bez planu...

-Powiedz mi coś - usłyszał nagle czyjś głos blisko siebie. - Czy Kate jeszcze żyje?

Ethan natychmiast wyjął broń i odwrócił się, lecz nawet mając na nosie noktowizor, nie mógł nigdzie dostrzec Kenyona. Ten znajdował się gdzieś niżej i miał lepszą pozycję niż Ethan, który był wyraźnie widoczny na tle nieba. Trudno o łatwiejszy cel. Żeby uniknąć strzałów, musiałby zjechać po filarze skały, a potem spaść trzy metry w dół, prosto w rozpadlinę pomiędzy głazami.

Wobec tego nie zostało mu nic innego, jak tylko wyprostować się i zmierzyć ze swoim największym wrogiem.

- Żyje - odpowiedział. - Nieważne, czy uciekniesz i gdzie się ukryjesz, Kate nie odpuści i dorwie cię, nawet gdyby miało jej to zająć całe życie.

- Ale ciebie już przy niej nie będzie, prawda? - Ethana przeszył dreszcz na dźwięk tych słów. Wiedział, że Anglik rozkoszuje się tymi kilkoma chwilami, zanim ostatecznie zakończy ich pojedynek. - To musi być bardzo bolesne wiedzieć, że Kate sypiała z tobą przez te wszystkie lata, a i tak ciągle była zakochana we mnie. Jak mogłeś z tym żyć, Ethan?

- Kate poszłaby za tobą na koniec świata, gdybyś ją o to poprosił. Jestem ciekaw, czy nie żałujesz, że tego nie zrobiłeś?

- Może wcale nie jest jeszcze za późno! - stwierdził Kenyon - Ty za chwilę będziesz już trupem, a kiedy z czasem Kate się z tym pogodzi... to kto wie, może dojdzie do wniosku, że znowu chce być ze mną?

- Chyba sam w to nie wierzysz.

- Uważasz, że nie byłbym w stanie jej zdobyć?

Ethan wreszcie się domyślił, gdzie ukrywa się Kenyon. Był jednak schowany za skałkami, więc nie mógł do niego strzelić.

- Skoro uważasz, że Kate nadal jest w tobie zakochana, dlaczego uciekłeś?

- Prawdę mówiąc, Ethan, przyszedłem tutaj w nadziei, że to ty ruszysz moim śladem...

- Wiesz co, Rob, nigdy jeszcze nie spotkałem tchórza, który nie miałby gotowej wymówki w minucie, w której rzucił się do ucieczki!

Strzał, który trafił Ethana, posłał go w stronę filaru. Od impetu zaczął się chwiać. Po chwili druga kula ścięła go z nóg. Ethan zaczął zjeżdżać w dół. Próbował wyhamować, lecz nie miał kontroli nad swoim upadkiem.

Udało mu się zjechać do końca filara, a potem runął w dół, prosto na głązy poniżej. Jego kamizelka kuloodporna zamortyzowała upadek, dzięki czemu nie złamał sobie żeber. Uderzył za to twarzą o kamienie. Stracił przytomność, po czym znowu spadł w dół.

Kiedy się ocknął, poruszył powoli nogami, niemalże z ciekawością. Nie był sparalizowany, ale ciało miał obolałe. Z trudem udało mu się usiąść. Zastanawiał się, gdzie jest Kenyon. Spojrzał w górę, spodziewając się przez chwilę, że ujrzy wycelowaną w siebie lufę.

Zobaczył jednak tylko szare niebo oświetlone mdłą poświatą księżyca.

- Jesteś tam jeszcze, Rob?! - zawołał. Cisza.

- Już dobrze, kolego - mówił dalej Ethan. - Spadłem i upuściłem pistolet. Nie będę stawiał oporu, jeśli tego się boisz. Jestem twój. Ale kiedy będziesz mnie zabijał, chcę móc patrzeć ci prosto w twarz. Wiem, że to może być trudne dla kogoś, kto wynajmuje innych ludzi, aby odwalali za niego całą brudną robotę...

Nagle ujrzał nad sobą sylwetkę Kenyona, odcinającą się na tle nieba. Stał u podnóża filaru, trzy metry ponad Ethanem.

Ethan widział, jak Kenyon podnosi rękę i celuje prosto w niego.

- Powiedz mi, Ethan. Czy była tego warta?

Malloy wiedział, że Ethan wpadł w tarapaty. Stał tam nieruchomo z bronią w ręku. Nie strzelał. To źle wróżyło. Mógł jednak tylko patrzeć i czekać, aż pojawi się Kenyon. Nie słyszał ani słowa z rozmowy, ale był w stanie wyobrazić sobie ich pojedynek na słowa, wymianę zdań naładowaną emocjami i otwartą wrogością. Tylko nienawiść mogła tłumaczyć zachowanie Kenyona. Zamiast uciekać, podjął ryzyko i został, byle zabić Ethana.

Nagle usłyszał strzał. Drugi niemal pokrył się z echem pierwszego. Ethan już ześlizgiwał się po skale. Malloy nie miał pojęcia, czy kamizelka uchroniła go przed śmiercią, czy może Kenyon trafił go prosto w głowę. Nie był nawet w stanie powiedzieć, gdzie zatrzymał się Ethan po upadku, ponieważ stracił go z widoku.

Kiedy patrzył na tę scenę, zrobiło mu się niedobrze. Skręcało go w brzuchu na myśl, że może stracił przyjaciela. Nie miał jednak teraz czasu na żałobę. Chciał dorwać Kenyona. Wiedział, że zaraz zacznie uciekać, w obawie przed policją, która pewnie niedługo przybędzie.

Malloy czekał na odpowiedni moment. Kenyona zasłaniały głazy, a on nie chciał się zdradzić nietrafionym strzałem.

W pewnym momencie Anglik wyszedł zza dwóch wielkich głazów, stanął nieruchomo na filarze, z którego zsunął się Ethan, i skierował swoją broń prosto w dół, prawdopodobnie w Branda.

Czerwony punkcik tańczył wokół serca Kenyona. Malloy nacisnął spust. Usłyszał świst kuli i patrzył, jak Kenyon upada, niemal w tym samym momencie, w którym dobrze naoliwiona broń wyrzuciła łuskę.

Malloy, Kate i Josh Sutter czekali przy głównym wejściu, kiedy policyjny helikopter przetransportował Ethana ze skały na jasno oświetlony trawnik przed domem Bartolego. Gdy tylko śmigłowiec wylądował, wyskoczył z niego Ethan i podszedł do Kate, która wyszła mu na spotkanie, kulejąc i krzywiąc się z bólu.

- Policjanci mówią, że Kenyon poprosił o rozmowę z tobą - powiedział jej Ethan. - Dadzą wam kilka minut, jeśli chcesz...

- Niech idzie do diabła - odparła.

- Następną okazja nie nadarzy się zbyt szybko, Kate. Może dopiero za wiele lat.

- Ten facet dla mnie nie istnieje, Ethan. Nigdy więcej nie chcę go widzieć. Nawet nie chcę słyszeć jego imienia.

Ethan podszedł bliżej, by uścisnąć żonę.

- Uważaj - syknęła. - Wszystko mnie boli.

- Znam to uczucie - oznajmił, muskając ustami jej czoło i włosy. „Czy była tego warta? Jak najbardziej”, odpowiedział sobie w myślach.

Malloy odprowadził agenta Josha Suttera do helikoptera, w którym znajdował się Robert Kenyon, dwóch oficerów hiszpańskiej policji oraz lekarz.

- Żartujesz! - powiedział Josh do Malloya. Ton jego głosu był tak samo pogodny jak w dniu, kiedy się poznali. - Celowałeś w jego serce?

- A co, myślisz, że chciałem trafić go w stopę?

-Policjanci mówią, że specjalnie strzeliłeś mu w nogę, żebyśmy mieli go żywego.

Malloy się roześmiał.

-Nieźła historyjka, niestety nieprawdziwa. Chciałem go zabić, ale spudłowałem.

Zatrzymali się przed śmigłowcem. Josh musiał już lecieć, ale chciał jeszcze coś dodać:

-Dzięki za to, że nalegałeś, żebym był obecny podczas aresztowania mordercy Jima... tak jak obiecałeś. To dla mnie wiele znaczy, T.K.

-Jak obiecałem, tak zrobiłem.

-Wiem, że obiecałeś, ale zazwyczaj ludzie coś mówią, a potem o tym zapominają. Nawet nie wiesz, jakie to było niesamowite uczucie, skuć tego gościa i przeczytać mu jego prawa.

-Myślałem, że wolałbyś zobaczyć go w kostnicy. Tak jak ja.

-Jim zawsze mówił, że nawet najgorszego drania lepiej pojmać żywego. Tak bardziej boli. Nie ma nic gorszego niż gnienie w więzieniu do końca życia. Tak uważał Jim.

-Nieźły był z niego twardziel. A przy tym dobry człowiek - powiedział Malloy.

- O tak, Jim to był złoty facet... - zgodził się Josh.

- Co z twoją pracą w FBI po całej tej aferze w Hamburgu? - zapytał Malloy.

- Szef powiedział, że chciał mnie odesłać do Niemiec, żeby mnie tam sądzili, ale potem Niemcy doszli do wniosku, że wcale mnie nie chcą. Stwierdzili, że nie zrobiłem niczego złego. Mój szef się uspokoił. Domyślasz się może, dlaczego

Niemcy ni stąd, ni zowąd zmienili zdanie?

- Ktoś podał im listę nazwisk z laptopa Chernoff - odparł Malloy.

- Co to za ktoś?

- Hm... powiedzmy, że starszy księgowy, dla którego pracuję. W każdym razie Niemcy byli tak wdzięczni za informacje, które od nas otrzymali, że postanowili zaakceptować naszą wersję wydarzeń.

- Czyli że to wszystko wina naszych niewinnych kolegów, Jima i Dale'a?

- Na to wygląda - potwierdził Malloy.

Josh Sutter przez chwilę się zastanawiał, po czym zauważył:

- A co z tą obławą w parku, gdzie spędziliśmy pół nocy? Za to też oberwało się Jimowi i Dale'owi?

- O nie! W parku ukryli się prawdopodobnie ludzie Chernoff... nie sądzisz, przyjacielu?

Berlin, Niemcy, Luty 1939

Na kopercie nie było adresu zwrotnego, ale tak jak cała jego korespondencja z ubiegłego roku, list nosił ślady otwarcia. Ktoś go już czytał. W środku znajdowała się karteczka:

Toczy się przeciwko tobie śledztwo.

Nie było podpisu, ale rozpoznał pismo Elizy. Wiedział, że narażała swoje życie, pisząc do niego to ostrzeżenie. Oczywiście od jakiegoś czasu Otto podejrzewał, że ktoś czyta jego listy i podsłuchuje rozmowy telefoniczne. Jeśli to Himmler wszczął przeciw niemu śledztwo, to nie spocznie, póki nie doprowadzi

tego do końca. Inwigilują go. Przypadkowy komentarz, niewłaściwa znajomość, przechwycony list o nieodpowiedniej treści i oczywiście szczegółowe badanie jego pochodzenia... Gromadzili przeciwko Rahnowi dowody, aby wykazać, że jest Żydem.

Świat zmienił się diametralnie w ciągu ostatnich dwóch lat. Otto był świadkiem koszmarnych zdarzeń w Dachau w 1937 roku, ale to było nic w porównaniu z tym, co widział w Buchenwaldzie. Naziści nie kryli się już ze swoimi zamiarami - Buchenwald był po prostu obozem śmierci. Oczywiście nie ustawiano tam ludzi pod murem, aby ich następnie rozstrzelać. Jeńcy po prostu umierali z przepracowania. Wynik był taki sam. Młodzi i silni, których trudniej było doprowadzić do śmierci wskutek wycieńczenia, byli głodzeni. Zresztą inni mieli jeszcze gorzej. Szalona żona komendanta obozu nawet wśród strażników zyskała sobie przydomek Czarownicy z Bu-chenwaldu.

Otto zachodził w głowę, jakim sposobem wylądował w samym środku tego piekła. Przecież nie był tego rodzaju człowiekiem! Ale oczywiście wielu tak sobie wmawiało. Prawda była taka, że po prostu dał się przekupić. Nazizm na tacy podawał mu to, czego pragnął. Cieszył się z wygod i przywilejów, które gwarantował mu Himmler. Cieszył się ze swojej pensji. Sława przyjemnie łechtała jego ego. Lubił przebywać w towarzystwie intelektualistów. Lubił się umawiać z pięknymi kobietami, które następnie spełniały każdą jego zachciankę. Lubił dobre restauracje oraz najlepsze miejsca w operze. Lubił nawet swoje odczyty, na które przychodziły jego wielbicielki oraz powszechnie szanowani starsi dżentelmeni.

Mógł przeklinać swoją decyzję i bić się w piersi, ale nie mógł zaprzeczyć, że to królewskie życie było bardzo przyjemne. Do momentu, gdy zrozumiał, że stał się mordercą jak pozostali. Podpisał cyrograf z Diabłem niczym Faust -

sprzedał swoją duszę za możliwość pisania! A największą ironią losu było to, że nie mógł już pisać! Nawet druga książka w znacznej części była już gotowa, zanim dostał posadę od Himmlera i wstąpił do Zakonu Trupiej Czaszki. Pozostałe fragmenty rękopisu zostały mu wyrwane, a następnie przepisane tak, by były zjadliwą krytyką Żydów. Dlaczego nie złożył wymówienia, kiedy odkrył, że perfidnie zmienili charakter i treść jego książki? Oczywiście doskonale znał odpowiedź na to pytanie - nie chciał rezygnować z takiego życia. Brzydził się tym, jak zmasakrowali jego dzieło, lecz nadal pociągało go wygodne, wspaniałe życie rycerza Zakonu, oficera SS. Świat przystojnych umundurowanych mężczyzn oraz pięknych kobiet na zawołanie. Cały ten wystawny spektakl urządzany na cześć Trzeciej Rzeszy, która szykowała się do rozgromienia swoich wrogów! W pewnym momencie wszystko się jednak zmieniło. Śmierć dwunastu górników, rozstrzelanych z rozkazu Bach-mana, prześladowała Rahna. Pozostawiła trwałe rany na jego duszy i spędzała sen z powiek. Obwinił się o bezsensowną śmierć tych niewinnych ludzi. Zaczął z całego serca nienawidzić niegdyś magicznego dla niego znaku SS. Kiedy patrzył na swoją dłoń, na której nosił pierścień, będący symbolem przysięgi przypieczętowanej krwią, momentalnie dopadały go mdłości. Nie mógł znieść myśli, że jest żołnierzem armii ciemności, sługą Diabła.

Rahn był świadom, że śledztwo przeciwko niemu dobiega już końca. Wkrótce odkryją jego największy sekret - fakt, że wśród jego przodków byli nie tylko poganie i heretycy, ale także Żydzi. W 1935 roku, mimo że obowiązywały już wtedy odpowiednie przepisy, nikt nie kazał mu wypełniać certyfikatu czystości rasowej. Nikt nie wypytywał o jego dziadków. Niby dlaczego mieliby to robić? Przecież to nie on sam wepchnął się do szeregów SS - to oni go wciągnęli!

Oczywiście na początku nikt nie zwracał mu głowy papierkami do wypełnienia, otrzymał formularz dopiero po kilku miesiącach. Wiedział, że ma problem, ale go zlekceważył. Cisnął formularz w kąt. Nikt się o nic nie upominał. Był przecież pupilkiem Himmlera! Mógł robić, co chciał, nikt nie miał prawa zwracać mu głowy papierkową robotą. Ale potem wszystko się zmieniło. *Kristallnacht*, czyli kryształowa noc, jesienią 1938 roku oznaczała wypowiedzenie wojny Żydom w Niemczech, a pozycja Rahna nie była już taka mocna. Nie mógł dłużej ignorować próśb o podanie informacji na temat swojego rodowodu. To tylko kwestia czasu, aż naziści sami, bez jego pomocy, dogrzebią się prawdy.

Dziwna była świadomość, że oto nagle stał się wrogiem Rzeszy. Czysty absurd! Nadal prześladowało go wspomnienie górników, których Bachman kazał zamordować. Podczas ekspedycji nie rozumiał obojętności, z jaką jedli posiłki. Nie rozumiał prawdziwej przyczyny pustki w ich oczach, grobowej ciszy, która między nimi panowała. Przypisywał to zmęczeniu. Ale tę samą pustkę zobaczył w Buchenwaldzie. To była świadomość nieuchronnej śmierci. Czasami, patrząc w lustro, dostrzegał ją także u siebie. Wiedział, że nikt nie wydostawał się żywy z obozu, ale próbował o tym nie myśleć. Chodził do pracy, do swojego gabinetu. Nadal był oficjalnie członkiem personelu Himmlera, wiedział jednak, że zbliża się dzień, kiedy po niego przyjdą. Aresztują go i wywiozą do obozu, by dołączył do podobnych sobie.

Gdy uprzytamniał sobie całą absurdalność tej sytuacji, wybuchał śmiechem, ale bywały też chwile, że aż skręcało go ze strachu. Wiedział, że to się zdarzy lada moment. Przyjdą po niego. Czy nie lepiej byłoby się zabić? Biurokracja to machina powolna, lecz precyzyjna - finał dochodzenia bez wątpienia jest już bliski. Wkrótce dowiedzą się, że przyjęli w swoje szeregi Żyda. Niektórzy już

teraz dziwnie mu się przyglądali. Na pewno były jakieś przecieki dotyczące śledztwa. Na jego widok ludzie przestawali rozmawiać i zerkali na niego kątem oka. Nawet Bachman wpadł do jego gabinetu oświadczyć, że Eliza źle się czuje, dlatego wszystkie wspólne kolacje w tym tygodniu zostają odwołane. Przekazał wiadomość i pospiesznie wyszedł. W następnym tygodniu chora była Sara.

Pewnego dnia Rahn pojawił się na progu ich domu bez zapowiedzi. Wiedział, że Bachman wyjechał z miasta. Gosposia powiedziała, że Frau Bachman jest zajęta i nie może go przyjąć. Czy Herr Rahn ma jakąś wiadomość do przekazania, zapytała. Myślał, że Eliza zgodzi się z nim zobaczyć. Gdy odmówiła, wiedział, że jest zgubiony.

To, co postanowił, nie było następstwem tego odrzucenia. Po prostu któregoś dnia wpadł mu do głowy pewien pomysł. Miało to miejsce, kiedy rutynowo przeglądał raporty, które wylądowały na jego biurku. W jednym z nich wspomniano o pracach w Berchtesgaden, gdzie budowano rezydencję Hitlera, Orle Gniazdo. Była to wspaniała posiadłość w stylu bawarskim, posadowiona wysoko pośród gór. Rezydencja miała zostać zaprezentowana Hitlerowi dwudziestego kwietnia jako główny punkt jego uroczystości urodzinowych. Fuhrer kończył pięćdziesiąt lat.

Berchtesgaden było strzeżone przez oddziały SS.

Pomysł zrodził się w umyśle Rahna zupełnie nagle, niejako wyłaniając się z chaosu jego myśli i lęków. Przez tydzień udawało mu się jednak skutecznie bronić przed tą myślą. Każdego ranka wstawał i szedł do biura. Pracował do późna, siedząc z nosem w książkach. Jadał sam, w nocy, ze wzrokiem wbitym w drzwi swojego mieszkania. Codziennie zastanawiał się, czy przyjdą tej nocy, czy może

zostało mu jeszcze trochę czasu. Na ulicy starzy znajomi udawali, że go nie widzą. Nikt nie chciał się z nim ani zadawać, ani nawet pokazywać.

Nawet sekretarki unikały jego wzroku. Udawały, że są szalenie zajęte i zabiegane, kiedy akurat wchodził do gabinetu.

- Jestem duchem - wyszeptał pewnego dnia, patrząc na swoje odbicie w lustrze. W tym momencie postanowił, że musi coś z tym wszystkim zrobić. Musi przynajmniej spróbować uciec. Wrócił do niego ten szalony pomysł, który nawiedził go tydzień wcześniej. Tym razem nie wydawał mu się już tylko fantazją.

Otto doszedł do wniosku, że zwykła ucieczka nie wchodzi w grę. Prawdziwemu rycerzowi Włóczni Przeznaczenia nie przystoi tchórzostwo.

Berlin, Niemcy, wtorek 28 lutego 1939

Ostatniego dnia miesiąca Rahn położył na biurku jednego z asystentów Himmlera kopertę.

- Proszę przekazać ten list Reichsfuhrerowi jutro z samego rana - powiedział.

- A co to jest? - zapytał asystent podejrzliwym tonem. Rahn odpowiedział dopiero po chwili:

- Moja rezygnacja.

Mężczyzna momentalnie zbladł jak ściana.

- Ale przecież składał pan przysięgę!

- Jeśli Reichsfuhrer będzie zainteresowany moim wyjaśnieniem, to z przyjemnością porozmawiam z nim osobiście. Na razie proszę po prostu przekazać mu ten list.

Rahn nie był pewny, czy w ogóle uda mu się teraz wydostać z budynku, ale zrobił tak, jak postanowił. A postanowił, że musi złożyć swoją rezygnację. Jeśli wszystko inne zawiedzie i Gestapo aresztuje go, zanim uda mu się wcielić swój plan w życie, przynajmniej będzie miał świadomość, że nie jest już członkiem tego parszywego Zakonu Trupiej Czaszki!

Gdy jego list czekał spokojnie nieotwarty na biurku Reichs-führera, Otto opuścił gmach, przeszedł na parking i poprosił o samochód służbowy. Mimo że podrobiony przez niego podpis Himmlera na dokumencie pozwalającym na wzięcie wozu był niemalże perfekcyjny, wyjeżdżał z Berlina z duszą na ramieniu.

Dojechawszy do Wewelsburga, Rahn przedstawił strażnikowi przy wejściu do twierdzy kolejną sfalszowaną przepustkę. Kapral poszedł zatelefonować. Rozmawiał dłużej, niż zazwyczaj. Rahn patrzył na niego, oblewając się potem. Koniec końców strażnik pozwolił mu jednak wjechać.

- Droga wolna, doktorze Rahn!

Otto przewidział, że minie kilka dni, zanim jego rezygnacja przejdzie przez sito biurokracji. Zatem tego dnia, przynajmniej poza granicami Berlina, doktor Rahn był postacią ważną i szanowaną.

Reichsführer przechowywał znalezisko z Langwedocji pod kluczem w zamkniętym pokoju nieopodal kwater oficerskich na pierwszym piętrze twierdzy. Sierżant zaprowadził tam Rah-na i nawet otworzył mu kluczem drzwi. Następnie poczekał, aż Rahn zabierze relikwię.

Himmler nie zareagował entuzjastycznie na Włócznię z Antiochii, którą przywiózł mu Otto, ponieważ w gruncie rzeczy był człowiekiem pozbawionym wyobraźni. Mimo wszystko wykazywał trochę zainteresowania odnalezionym grotem. Głównie dlatego, że pociągały go okultystyczne ceremonie, tajne bractwa

i stowarzyszenia czy też magiczne talizmany. Wierzył w duchy oraz w moc przedmiotów, których dosięgło przeznaczenie. I chociaż mówił Hitlerowi, że to Włóczęgą Świętego Maurycego przebito bok ukrzyżowanego Chrystusa, lecz w głębi serca wierzył Rahnowi i uważał, że to on, Reichsführer, posiada Prawdziwą Włóczęgę - a tym samym jest w stanie wpływać na losy świata. Uznał jednak, że było jeszcze zbyt wcześnie, by robić ze swojego skarbu użytek. Swoją tajemny talizman trzymał więc pod kluczem w swoim tajemnym zamku.

Rahn doskonale zdawał sobie sprawę, że utrata Włóczęgi będzie dla Himmlera największym ciosem ze wszystkich możliwych. Szczególnie, kiedy się okaże, że ukradł mu ją... Żyd.

Eliza nakazała gosposi nie wpuszczać doktora Rahna. Tym razem wdarł się do mieszkania siłą, domagając się, by go przyjąć. Zeszła więc na dół i kazała służącej zostawić ich sam na sam.

- Czy mam wezwać policję, jaśnie pani? - zapytała kobieta.

- Nie - uspokoiła ją Eliza, choć nie czuła ani odrobiny spokoju. - Dam sobie radę.

Usiedli na kanapie w salonie. Byli sami, tylko we dwoje.

- Otto, nie możemy się już z tobą widywać - powiedziała mu wprost Eliza. - Przykro mi, ale Dieter nalega, abyśmy zawiesili nasze kontakty. Do momentu, aż wszystko się wyjaśni.

- Nie po to tu przyszedłem - odparł. - Przyszedłem zadać ci jedno pytanie. Czy Sara jest naszym dzieckiem?

Eliza wydała się zdumiona. Odpowiedziała mu jednak szczerze:

- Byłam przekonana, że znasz odpowiedź na to pytanie.

- Czy Dieter wie?
- Między nami nic nie było od wielu lat. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że Sara nie może być jego córką.
- Czy będzie ją chronił, gdyby coś jej groziło?
- Chronił? Groziło? Myślisz, że Sara jest w niebezpieczeństwie?
- Jeśli wyjdzie na jaw, że jest moją córką, to tak, może jej wtedy coś grozić.
- Nikt się nie dowie. Nigdy. Dieter nie piśnie nikomu ani słówka. Przecież to leży również w jego interesie, jak pewnie się już domyśliłeś.
- Nie rozumiem.
- Nie zauważyłeś, że Dieter nieco zbyt przesadnie interesuje się młodymi mężczyznami? - zapytała.

Rahn był zaskoczony. Co prawda zawsze, cóż, zauważał pewne rzeczy, pewne sygnały, lecz nigdy nie był w stanie uwierzyć, że Bachman naprawdę mógłby być...

- Chyba zauważyłem - odezwał się po chwili.
- Sara i ja chronimy go przed skandalem. Z drugiej strony, on nas obie bardzo kocha. Sara jest dla niego najważniejsza na świecie. Jest wspaniałym ojcem. I dobrym człowiekiem.

Rahn podniósł plecak, który trzymał między stopami, i postawił go przed Elizą.

- Nie pokazuj tego Dieterowi. W przeciwnym razie zabierze ci to i nic wam nie pomoże, kiedy przyjdą po ciebie i Sarę.
- Nie rozumiem! - Eliza była przestraszona. - Dlaczego ktoś miałby...
- Jeśli dobrze to schowasz - przerwał jej Rahn - to w pewnym momencie Bachman będzie mógł tego użyć, żeby was uratować.

- Otto, ale przecież nikt nas nigdzie nie zabierze! Nasza tajemnica jest bezpieczna.

- Żadne tajemnice nie są już bezpieczne. Wystarczy, że gosposia rzuci okiem na jakiś list albo jakiś urzędnik zacznie grzebać w aktach twojej rodziny...

- Myślisz, że jestem Żydówką?

- Nietrudno było to sprawdzić.

- Czyli... już wiesz?

- Zobacz, co przyniosłem - powiedział, wskazując na plecak. - To może uratować ci życie.

- Co tam jest?

- Otwórz i zobacz.

Wyciągnęła z plecaka pozłacaną, podniszczoną szkatułkę i położyła ją sobie na kolanach.

- Zajrzyj do środka - poprosił Otto.

Eliza uniosła wieko. Ujrzała kawałek jakiegoś żelastwa owiniętego w wypłowiałe płótno. Spojrzała na Rahna zdezorientowana. Bachman nigdy nie wspominał jej o czymś takim.

- Jesteś bardzo tajemniczy, Otto.

- Obiecuj mi, że ukryjesz to gdzieś, gdzie nikt nigdy tego nie znajdzie.

- Nic z tego nie rozumiem!

- To jest coś, czego chce Himmler, i dzięki czemu Dieter będzie w stanie uratować wam życie.

- Otto, na Boga, coś ty zrobił?

- Elizo, przyrzeknij, że powiesz o tym Dieterowi tylko i wyłącznie wtedy, kiedy ty i Sara będziecie miały kłopoty. Zrób to dla siebie. Lub przynajmniej dla naszej córki...

- Dlaczego nie ufasz mojemu mężowi? - chciała wiedzieć Eliza. - Przecież nie zrobi nic, co mogłoby zagrozić Sarze.

- Nie mogę mu ufać. Wmówi sobie, że Sara jest bezpieczna. On doskonale potrafi sam siebie okłamywać. - Po chwili dodał: - Jak zresztą my wszyscy.

- Himmler i tak to znajdzie, jeśli tak bardzo mu na tym zależy! Wcale nie ratujesz mnie, dając mi to do przechowania, Otto. Przeciwnie, wpakujesz mnie w coś strasznego!

- My wszyscy już zostaliśmy wpakowani w coś strasznego, Elizo. Poza tym Himmler nie będzie cię o nic podejrzewał. Będzie polował tylko i wyłącznie na mnie.

Podniosła na niego wzrok. Na jej twarzy malował się potworny ból oraz przecucie zbliżającej się tragedii. Nigdy nie widział jej w takim stanie. Nigdy nie widział u niej tak smutnych oczu.

- Już nie wrócisz... prawda? - zapytała, choć doskonale wiedziała, jak brzmi odpowiedź.

Otto spojrział na nią i powiedział:

- Chcę się zobaczyć z Sarą, zanim odejdę.

Kufstein, Austria środa 15 marca 1939

Dopiero po dwóch dniach dotarła do Himmlera informacja, że Otto Rahn ukradł rządowy samochód. O tym, że ukradł również Włócznie Przeznaczenia z twierdzy w Wewelsburgu, dowiedział się trzeciego.

Kiedy wreszcie zrozumiał, co się stało, zawiadomił Gestapo i zorganizował ekipę, która miała ruszyć w pościg za złodziejem. Bachmana mianował dowódcą operacji.

- Czas i pieniądze nie mają żadnego znaczenia! - oświadczył. - Musicie odnaleźć relikwie!

- Tak jest, Reichsfuhrerze! - zapewnił Bachman.

- A jeśli chodzi o Rahna, to kiedy już odbierzecie mu Włócznie, doprowadźcie go do Berlina. Chcę z nim porozmawiać, zanim każę go rozstrzelać.

Bachman zainicjował zakrojone na wielką skalę polowanie. Dodatkowo wysłał swoich ludzi na południe Francji oraz do Genewy, gdzie Rahn miał starych przyjaciół. Swoją kwaterę główną urządził jednak w Berlinie, skąd kierował kilkoma różnymi brygadami. Wydał rozkaz, by niezwłocznie poinformowano go o pojmaniu Rahna, kiedy już do niego dojdzie i trzymał w gotowości samolot, by udać się tam niezwłocznie.

Minęło pięć dni od zniknięcia Ottona. Bachman kolejną noc leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć, nagle zerwał się na równe nogi. Zrozumiał, dlaczego nie znaleziono żadnych śladów zbiega ani we Francji, ani w Szwajcarii. Rahn wcale nigdzie nie uciekł, on nadal był w Niemczech!

„Knujemy spisek przeciwko Hitlerowi! Chcemy go sprzątnąć!”, Bachman przypomniał sobie żart, który wypowiedział Rahn, przyłapany na intymnej rozmowie z Elizą. Wtedy Dieter uwierzył, że to tylko głupi dowcip, teraz jednak

uświadomił sobie, że w tamtym momencie było coś dziwnego w głosie i twarzy Rahna...

Rankiem kazał jeszcze raz przeszukać gabinet oraz mieszkanie Ottona. Zaangażował do tego aż dziesięciu agentów. Dopiero po trzech dniach odkryto, że Rahn znał plan Orlego Gniazda, rezydencji Hitlera, gdzie Führer miał świętować swoje urodziny. Rahn - idealista i romantyk, omamiony walką dobra ze złem - zamierzał osobiście się tam stawić!

W poniedziałek trzynastego marca Bachman poleciał do Berchtesgaden i z miejsca zarządził dyskretne przeczesanie okolicznych miast i wiosek. Szukano żołnierza na przepustce, który gdzieś się zaszył i spokojnie spędza wolny czas.

W środę późnym popołudniem jeden z agentów Bachmana złożył raport, że w wiosce Kufstein, oddalonej o czterdzieści kilometrów od Berchtesgaden, odnaleziono wysokiego, dość młodego kapitana SS wynajmującego pokój w pensjonacie jakiejś wdowy.

Bachman wyruszył tuż po zmroku.

Rahn dotarł samochodem do centralnych Niemiec, a potem wsiadł w pociąg do Monachium. Następnie autostopem dojechał do wioski Kufstein znajdującej się tuż za austriacką granicą. Na przejściu granicznym sprawdzono jego dokumenty. Były dobrze podrobione, więc nie wzbudziły żadnych podejrzeń i ominęły go wszelkie problemy. Wynajął pokój u jakiejś starej wdowy, wmawiając jej, że dostał zwolnienie lekarskie, które chce wykorzystać na zwiedzanie okolicy, zanim wróci do czynnej służby w Berchtesgaden. Kobieta nie żądała żadnych pisemnych oświadczeń ani dowodów. Na wszelki wypadek, aby uspić jej czujność, Rahn

zostawił na stoliku wezwanie do stawienia się w Berchtesgaden dziewiętnastego kwietnia, tak aby kobieta z łatwością je znalazła. Dodatkowo powiesił w szafie swój mundur.

Czasami rozmawiał z właścicielką pensjonatu o swoich rodzicach oraz narzeczonej, która bez słowa wyjaśnienia zerwała zaręczyny. Potrafił ciekawie i dowcipnie opowiadać, czym zdobył sobie sympatię kobiety. Poradziła mu, że powinien pogodzić się z rodzicami, póki nie jest jeszcze za późno. Pewnego dnia pożałuje sprzeczek i zerwania z nimi kontaktów. A jeśli chodzi o narzeczoną, to jej strata. On sam spojrz na to inaczej, gdy minie trochę czasu. Czas jest najlepszym lekarzem, gdy w grę wchodzi złamane serce. Odparł, że pewnie ma rację, ale na razie odczuwa potrzebę samotności. Kobieta pokiwała ze zrozumieniem głową. Dlatego nie dziwiło jej, że młody mężczyzna spędza czas zamknięty w pokoju albo sam wyrusza na wycieczki do lasu.

Pewnej nocy przyszli po niego. Rahn usłyszał, jak wdowa otwiera drzwi, a potem krzyczy przerażona, kiedy intruzi wdarli się siłą do jej domu. Otto złapał mundur oraz swoje papiery i wskoczył na parapet. Rzucił na ziemię buty i mundur, po czym zaryzykował zejście po rynnie. Naziści stchórzyli i żaden za nim nie skoczył. Stali w oknie i patrzyli, jak ucieka. Mogli go bez problemu zastrzelić, jednak tego nie zrobili. Otto wiedział, że Himmler zabronił do niego strzelać. Musiał schwytać Rahna żywego, jeśli chciał odzyskać relikwię. A to znaczyło, że Eliza zrobiła to, o co ją prosił.

Kiedy Rahn dobiegł do podnóża góry Wilder Kaiser, włożył mundur i schował się przy krawędzi rowu, do którego w dawnych czasach wrzucano jeńców wojennych. Dobre miejsce na śmierć żołnierza, pomyślał.

Wilder Kaiser, Austria, środa- czwartek, 15-16 marca 1939

Bachman przybył z kilkoma oddziałami SS, aby otoczyć górę. Kiedy zaczęło się przeczesywanie terenu, postarał się jak najdyskretniej wezwać jeszcze więcej posiłków. Nie chciał, aby Rahn mu się wymknął, ale z drugiej strony wolał, żeby mieszkańcy wioski nie zauważyli działań militarnych.

Tuż po północy znaleziono cywilne ubranie Rahna, a dwadzieścia minut później jego samego.

Miał na sobie mundur kapitana, lecz ukrywał się jak zwykły bandyta w wydrążonym pniu drzewa. Kiedy Bachman dotarł na miejsce, żołnierze już od ponad godziny przetrzymywali uciekiniera. Zgodnie z zaleceniami Rahnowi nie spadł nawet włos z głowy, lecz kazano mu zdjąć czapkę oficera oraz pierścień *Totenkopf*. Sierżant wręczył je Bachmanowi wraz ze sfalszowanymi dokumentami, które miał przy sobie Rahn. Bachman rzucił okiem na papiery, a następnie z latarką w ręku podszedł do swojego starego przyjaciela. Uśmiechał się, lecz był to raczej grymas wykrzywiający mu twarz.

- To nie mogło się udać, Otto. Aresztowaliby cię w momencie, w którym pokazałbyś im te sfalszowane papiery. - Po chwili dodał: - Chyba jesteś świadomy tego, że będę musiał cię zabić?

Rahn się tylko uśmiechnął wrogo.

- Sam to zrobisz, czy ktoś cię wyreczy, Dieter?

- Dla ciebie to nie będzie miało większego znaczenia. Rezultat będzie przecież taki sam. Masz jednak wpływ na to, czy będziesz wcześniej cierpieć, czy nie. Himmler dał mi wolną rękę. Nadal możesz być moim przyjacielem, Otto. Załatwię całą sprawę błyskawicznie, nic nawet nie poczujesz. Lecz żeby tak się stało, mój

przyjacielu, najpierw oddasz mi to, co ukradłeś Reichsfuhrerowi. Rahn spojrzał na ludzi, którzy go trzymali, a potem na Bachmana.

- Przysięgnij! Na życie twojej córki! Obiecuj mi, że to będzie szybkie i bezbolesne.

- Przysięgam na życie mojej córki! - odparł Bachman. Rahn skinął głową.

- W takim razie powiem ci prawdę. Ale tylko tobie, Dieter. W cztery oczy.

Bachman przyjrzał się podejrzliwie swojemu staremu przyjacielowi.

- Jeśli kłamiesz...

- Nie kłamię - przerwał mu Rahn. - Jestem ci winien prawdę.

- Zostawcie nas samych! - rozkazał Bachman. Żołnierze odsunęli się od obu mężczyzn o jakieś piętnaście metrów, ale nadal stali dokoła nich w idealnym kręgu. Teren, na którym się znajdowali, był w miarę równy i porośnięty drzewami, tylko z jednej strony wznosiło się strome zbocze. W sumie było tam dwunastu żołnierzy, a każdy z nich kierował swoją latarkę na stojących blisko siebie Bachmana i Rahna. Światło rozjaśniało twarze dawnych przyjaciół.

Rahn rozmasował sobie nadgarstki i tupnął nogami, tak aby wróciło mu normalne krążenie krwi.

- Gdzie ukryłeś Włócznie? - zapytał Bachman.

- Musisz coś zrozumieć, Dieter. Kiedy dowiesz się prawdy, będziesz musiał okłamać Himmlera. Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś pozostał w nieświadomości.

- To wzruszające, że tak bardzo dbasz o moje dobro! - powiedział Bachman. - Wolę jednak usłyszeć prawdę. Gdzie schowałeś Włócznie?

- Masz na myśli Włócznie Przeznaczenia? - odpowiedział pytaniem Rahn.

- A niby co innego? - burknął Bachman, poirytowany.

- Nigdzie jej nie ukryłem! Jak miałbym to zrobić, skoro nigdy nie widziałem jej na oczy!

- Dlaczego się wygłupiasz? Przecież obaj ją znaleźliśmy.

- Ach! Masz na myśli tamto coś? Coś, co przywieźliśmy z Francji? To nie jest , Dieter. Myślałeś, że to autentyczny relikwiarz, a w rzeczywistości była to robota szwajcarskiego rzemieślnika, którego wynająłem! Kazałem mu pokryć szkatułkę złotem, a potem posypać ją klejnotami. Myślisz, że niby dlaczego poprosiłem cię o tak zawrotną sumę pieniędzy? Fachowe fałszerstwo nie mało kosztuje! A jeśli chodzi o ten kawałek żelastwa w środku, czyli tę niby Włócznie Przeznaczenia, odkopałem go przez przypadek w twoim ogrodzie!

Bachman gapił się na niego, nic nie rozumiejąc.

- O czym ty mówisz?

- Mówi ę o tym, że zabiłeś tych górników... to znaczy obaj ich zabiliśmy... zupełnie w imię niczego! To ja podłożyłem w tej jaskini upragnioną relikwię Himmlera. To dlatego nalegałem, bym mógł pojechać do Francji wcześniej niż reszta ekipy. To dlatego w taki, a nie inny sposób, kierowałem ekspedycją. To wszystko było teatrykiem! Przedstawieniem urządzonym tylko po to, abyśmy mogli przywieść kawałek złomu szaleńcowi i nadal pozostać jego pupilami.

- Nie wierzę, w to co mówisz!

- Nie chcesz wierzyć - poprawił go Rahn - ale przysięgam ci, że to prawda.

Przysięgam na życie mojej córki!

-Nie! - Bachman pokręcił głową. Próbował się uśmiechnąć. - To bzdura... bajka! To tylko twój nędzny podstęp! Robisz to tylko po to, żeby uniknąć tortur! Dobrze wiesz, gdzie znajduje się Włócznia!

-Wiem tylko, że zniknęła w Konstantynopolu ponad osiemset lat temu, Dieter. Nikt nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. A jeśli chodzi o Świętą Włóczęgę Katarów, to znajduje się ona w sercu każdego prawdziwego rycerza!

-Mówiłeś, że Rajmund odesłał ją z powrotem do Langwedocji, razem ze swoim najmłodszym synem!

-Jeśli faktycznie Rajmund ją miał, a mimo to wybrał tor tury zamiast oddania włóczęgi, to był nawet większym głupcem niż Piotr Bartłomiej! A jednego jestem pewny: Rajmund nie był głupcem. - Rahn, ku zdumieniu Bachmana, zaśmiał się jak obłąkany. - Próbuję wyobrazić sobie, jak zniesie to Himmler, kiedy mu o tym wszystkim opowiesz. Wiesz, że będzie obwiniał ciebie... Wiesz o tym, prawda? Nikt nie lubi, kiedy nabija się go w butelkę. A szaleńcy, tacy jak Himmler, nie lubią tego bardziej niż inni...

Otto spojrzał Bachmanowi głęboko w oczy.

-Jaką mam dla ciebie radę? Powiedz mu, że sekret zabrałem ze sobą do grobu. Obiecuj mu, że nigdy nie przestanieś szukać, ale że udało mi się wymknąć i nic nie mogłeś na to poradzić. Ale, mój przyjacielu, nie mów Himmlerowi prawdy, bo on cię za to zabije!

-Nieważnie, czy to autentyk, czy nie - odparł Bachman. - Ukradłeś Włóczęgę, więc teraz mi ją oddaj!

-Nie mogę tego zrobić, Dieter.

-Nie masz wyboru!

- Zawsze ma się jakiś wybór... nawet jeśli alternatywa nie jest przyjemna - stwierdził Rahn.

Sekundę później biegł już w kierunku skalnego występu. Trzech żołnierzy broniących przejścia stało na tyle blisko, żeby go zatrzymać, Otto był jednak

mężczyzną słusznej postury, a przede wszystkim kierowała nim silna wola. On chciał się przebić przez mur żołnierzy. Biegł prosto na tego najsilniejszego. Uderzył w niego i obaj się zachwiali. Dwaj pozostali żołnierze próbowali złapać go za poły płaszcza, kiedy runął do przodu.

Ale już go nie było.

Kufstein, Austria czwartek, 16 marca 1939

Rzucił się w przepaść. Słyszał szum wiatru w uszach. Oczy zaszyły mu mgłą. Ostre, ciemne kontury góry zmiękły, niemal zniknęły. Pomyślał o Elizie. Siedziała obok niego w cieniu Montsegur. Delikatnie pocałowała go w policzek i powiedziała, że już na zawsze tak właśnie go zapamięta - takim, jakim był tamtego dnia, kiedy oboje siedzieli wysoko ponad światem, a wokół nich wirowały piękne duchy.

Berlin, Niemcy, piątek 11 kwietnia 2008

Kilka tygodni po powrocie do Zurychu, Ethan otrzymał list od Frau Sary von Wittsberg, która była jednym z Paladynów Zakonu Rycerzy Świętej Włóczni. Prosiła go, by odwiedził ją w jej mieszkaniu w Berlinie jedenastego kwietnia po południu. Pisała, że ma do niego pewną sprawę.

Frau von Wittsberg mieszkała w zachodniej części Berlina, w odnowionym, dziewiętnastowiecznym budynku, z którego nie wyparował jednak staromodny urok. Okolica była przyjemna, tłumnie zamieszkiwana przez cyganerię. Ethan był

zdziwiony, że arystokratka i dawna królowa berlińskiej socjety, dobrze się czuła w tak bezpretensjonalnym otoczeniu.

Miała siedemdziesiąt kilka lat, lecz nadal można było ją nazwać piękną kobietą. Jej włosy były srebrzyste, a oczy duże, czarne i błyszczące. Każdy jej gest emanował wyrafinowaniem i pewnością siebie. Miała doskonałe maniery kogoś, kto obracał się w wielkim świecie oraz silny charakter i hart ducha kogoś, kto przetrwał pobyt w obozie koncentracyjnym.

Na ścianach mieszkania nie było fotografii upamiętniających jej trzydziestoletnią walkę o to, by Berlin Zachodni pozostał enklawą wolności. Zamiast tego pokój i hol udekorowane były obrazami niemieckich malarzy, wywiezionych z Berlina w latach trzydziestych. Naziści uznali ich sztukę za dekadencją. Ethan rozpoznał autorów kilku płócien, lecz samych obrazów nie znał. Przyglądał się im więc z uwagą, podczas gdy gospodyni parzyła herbatę.

- Giancarlo mówił mi, że kradł pan obrazy i zbił dziękitemu majątek - zagaiła, stawiając srebrny serwis na małym stoliku.

Ethan uśmiechnął się uprzejmie.

- Jeśli pani myśli, że ostrzę sobie zęby na pani kolekcję, to proszę się nie obawiać. Już się tym nie zajmuję.

- Tak, Bartoli o tym też mi wspomniał. Powiedział, że się pan nawrócił... czy coś w tym rodzaju. - Spojrzała na płótna, jakby widziała je pierwszy raz w życiu. - Wie pan, nie mogę powiedzieć, że lubię te obrazy. Tak naprawdę ich nie rozumiem. Kocham jednak to, co reprezentują. Ich autorzy nie wyrzekli się tego, w co wierzyli, mimo że taka postawa zrujnowała im życie. W dzisiejszych czasach artyści sprzedają się za pieniądze, których nawet nie potrzebują. - Po chwili zadumy dodała: - Wie pan, że byłam w obozach?

- Tak, proszę pani, czytałem o tym w jednym z pierwszych artykułów, które Zakon opublikował na pani temat.

- Moja matka i ja pierwszy rok spędziłyśmy w Buchenwaldzie.

- A dzisiaj przypada rocznica wyzwolenia tego obozu.

- Świetnie! Brawo, panie Brand. Giancarlo wspominał, że na pewno zrobi pan na mnie bardzo dobre wrażenie. Nie mylił się... Moja matka była wówczas jeszcze bardzo ładna, więc służyła strażnikom jako prostytutka. Po roku, kiedy jej piękno zostało zdeptane i zniszczone, przeniesiono nas do jakiegoś mniejszego obozu, gdzie chcieli nas zabić ciężką pracą i głodem. Gdyby mieli trochę więcej czasu, zapewne dopięli by swego - powiedziała i na chwilę zatopiła się w bolesnych wspomnieniach. - Ale to w Buchenwaldzie wszystko się zaczęło. Kiedy myślę o piekle, staje mi przed oczami ten obóz. Zamilkła. Po chwili zapytała:

- Wie pan, na czym polega pewien okrutny paradoks? Kilka lat po wojnie moja matka wyznała, że mój ojciec był kiedyś strażnikiem w Buchenwaldzie. My przyjechałyśmy do obozu pod koniec 1943 roku i spędziłyśmy w nim cały następny rok. Ojciec był strażnikiem przez kilka miesięcy, jesienią 1938 roku. Był historykiem zwerbowanym do współpracy z nazistami osobiście przez Himmlera, a w obozie wylądował z powodów dyscyplinarnych. Odkąd się o tym dowiedziałam, przez lata wyobrażałam sobie, że mój ojciec musiał być zupełnie inny niż strażnicy, którzy gwałcili moją matkę. Pamiętam go jako porządnego, łagodnego człowieka. Matka powiedziała mi, że był najszlachetniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznała. Uśmiechnęła się, a po chwili mówiła dalej:

- Kiedy dorosłam, panie Brand, uświadomiłam sobie, że mój ojciec prawdopodobnie zachowywał się dokładnie tak samo, jak reszta strażników. Trudno było mi się z tym pogodzić. Słyszysz się teraz, że w obozach pracowało wielu

dobrych, porządnych ludzi, ale w rzeczywistości każdy z nich był obrazą dla Boga... Jednak mój ojciec pod jednym względem różnił się od reszty. To jest fakt, a nie wytwór wyobraźni córeczki tatusia. Kiedy jego trzymiesięczna służba w obozie w Buchenwaldzie dobiegła końca, ojciec wystąpił z SS. Rzecz jasna Himmler nie chciał o tym słyszeć! Był wściekły. Upozorowano wypadek - śmierć na zboczu góry. W rzeczywistości jednak mój ojciec został zamordowany. W oficjalnych nekrologach wychwalano go, wypowiadano się o nim z najwyższym szacunkiem, podczas gdy jego zwłoki zostały gdzieś rzucone jak kawałek ścierwa. Dokładnie tak, jak Himmler traktował ofiary obozów koncentracyjnych.

Frau von Wittsberg uśmiechnęła się gorzko.

- Czy zna pan opowieść o Parsifalu? - zapytała nagle.

Ethan spojrzał na nią zaskoczony, nie wiedząc, dlaczego rozmówczyni o tym wspomniała.

- Parsifal był rycerzem, który na własne oczy widział Włóczęgię Przeznaczenia oraz Święty Kielich na dworze Króla Rybaka - odparł.

Frau von Wittsberg przytaknęła.

- To czarująca pogańska legenda, którą zaakceptowali nawet chrześcijanie. I dobrze, że tak się stało. Kiedy Parsifal ujrzał, jak rycerze i damy niosą Włóczęgię i Kielich, miał ochotę zapytać: „Komu służy ten, który idzie w tym pochodzie?”.

Gdyby zadał to pytanie, Król Rybak zostałby uzdrowiony, a chylące się ku upadkowi królestwo znowu byłoby u szczytu swej potęgi! Ale ponieważ Parsifal nie odezwał się ani słowem, nagle zapadł w głęboki sen. Kiedy się obudził, spostrzegł, że znajduje się sam - gdzieś na pustkowiu... Mój ojciec znał tę legendę lepiej niż ktokolwiek inny z jego pokolenia, a mimo to powtórzył błąd Parsifala. Był świadkiem wielkiego spektaklu nazistów: piękne mundury, kolorowe

sztandary, triumfalne pochody... A mimo to nie zadał pytania: „Komu służy ten, który idzie w tym pochodzie?”. Tak samo jak nie zadała go większość ówczesnych obywateli niemieckich...

Frau von Wittsberg wstała i naląła herbaty do dwóch filiżanek. Następnie przywołała Ethana, by usiadł z nią na kanapie.

- Nie chcę przemawiać do pana za pomocą metafor, ale błąd Parsifala jest u nas chyba rodzinny. Tak samo jak mój ojciec, ja również go popełniłam. I wstydzę się tego. Błąd za niechania, tak bym to ujęła. Co gorsza, mnie nie usprawiedliwia nawet brak doświadczenia czy młody wiek. Byłam już na tyle dorosła, że powinnam wykazać o wiele więcej mądrości w moich czynach. Przecież ciągle pamiętałam błąd mojego ojca! Ponadto jestem dzieckiem obozów koncentracyjnych. Widziałam najbardziej przerażające i szkaradne oblicze ludzkości. To wszystko jednak nie uchroniło mnie przed popełnieniem błędu! Straszego błędu zaniechania...

- Ma pani na myśli Radę Paladynów? - zapytał Ethan.

- Walczyłam o bezpieczeństwo Berlina Zachodniego od chwili, kiedy zawisło nad nim zagrożenie, aż do momentu, kiedy runął mur. To było blisko trzydziestoletnie oblężenie. Nikt się nie spodziewał, że zakończy się zwycięstwem! Nie szczędziłam pieniędzy na ten cel. Szczerze mówiąc, wydałam na to większość swojej fortuny. Emablowanie polityków i dyplomatów to nie jest zajęcie dla biednych. Toczyłam wojnę, panie Brand, zupełnie tak jakbym nosiła broń, i szukałam sprzymierzeńców wszędzie, gdzie się dało. Inaczej nie można tego określić. Nie byliśmy wybredni, jeśli chodzi o dobieranie sobie przyjaciół. Naszym podstawowym kryterium było to, by nasz przyjaciel mógł się nam na coś przydać.

Frau von Wittsberg uśmiechnęła się gorzko.

- Kiedy mur runął, byłam przekonana, że Zakon Rycerzy Świętej Włóczni po cichu się rozwiąże. Przecież nie mieliśmy już powodu, by istnieć! Z drugiej strony, było żal. Dysponowaliśmy funduszami, nasze siatki były nietknięte i świetnie funkcjonujące, komuniści w Związku Sowieckim już ledwo dychali. Nie mogliśmy więc poprzestać na zjednoczonych Niemczech, musieliśmy dalej działać! Szczególnie, kiedy na Bałkanach wybuchła wojna. Nie mogliśmy przymknąć oczu na tak koszmarnie ludobójstwo... - Westchnęła głęboko. - Nigdy nie przyszło mi do głowy, że moja wojna już się skończyła, i że powinnam zrezygnować z urzędu. Byłam dumna z osiągnięć naszej organizacji, ponieważ wiedziałam, że stawiliśmy czoło tyranii i wygraliśmy! Moja praca Paladyna oznaczała po prostu, że zmieniałam świat na lepsze, przynajmniej odrobinę. Ta działalność rozświetlała moje dorosłe życie i była przeciwieństwem mojego mrocznego dzieciństwa. To był dowód na to, że udało mi się nie tylko przeżyć, ale też coś osiągnąć. Zatem zamiast złożyć rezygnację, zgodziłam się, by reprezentował mnie Johannes Diekmann. Ufałam mu, wiedziałam, że w życiu kieruje się dobrem. Kiedy stan zdrowia nie pozwalał mu już dalej sprawować tej funkcji, oddałam swój głos jego bratankowi. Wszyscy to zrobiliśmy. Herr Ohlendorf posiadał wielki dar przekonywania, był niezwykle charyzmatyczny i błyskotliwy... i przeżarty korupcją jak nikt inny, kogo w życiu spotkałam. A musi pan wiedzieć, że osobiście poznałam nawet samego diabła! - powiedziała, uśmiechając się smutno.

- Staliśmy się organizacją humanitarną. Oficjalnie czyniliśmy dobro. Pod osłoną nocy jednak dopuszczaliśmy się koszmarnych zbrodni. Przez dziewiętnaście lat ani razu nie chciałam nawet spojrzeć na nasze „osiągnięcia”. Nie czytałam

raportów, a było to przecież moim obowiązkiem! Byłam jak Parsifal i tak też skończyłam -na pustkowiu. Sprzedawaliśmy broń i najemników najgorszym ludziom, którzy stąpają po ziemi. Przeprowadzaliśmy zamachy na polityków, którzy zwyciężali w demokratycznych wyborach. Kradliśmy pieniądze, i to na potęgę, na wiele różnych sposobów. Handlowaliśmy narkotykami, ludźmi, kradzionymi dobrami. I po co? Dla pieniędzy. Aż w końcu doszło do tego, że zaczęliśmy mordować własnych przyjaciół.

Ethan słuchał kobiety w najwyższym skupieniu.

- Mówię jako ktoś, kto jest odpowiedzialny za wszystkie te zbrodnie. Miałam prawo i obowiązek wiedzieć, czym zajmuje się nasza organizacja. Patrzeć nam na ręce. Ale odwracałam wzrok. Przymykałam oczy... Pragnę położyć temu wszystkiemu kres właśnie dzisiaj. Nie naprawię już swoich błędów. Nie cofnę czasu, by tym razem zabrać głos i uniknąć losu Parsifala. Mogę zrobić tylko jedną rzecz. Wziąć za to wszystko odpowiedzialność. - Frau von Wittsberg skinęła głową w kierunku skrzyni w kącie salonu, na której ustawione były donice z kwiatami. - Proszę zajrzeć do tej skrzyni. W środku jest coś, co, jak miemam, pana zainteresuje.

Ethan podszedł do skrzyni, odstawił kwiaty, a potem uniósł wieko. W środku była taca z różnymi przedmiotami i bi-belotami: monetami, pierścieniami, koralikami, szklanymi flakonikami.

- Proszę wyjąć tacę - zaordynowała gospodyni.

Ethan posłuchał i zobaczył pozłacaną szkatułkę wielkości pudełka po butach. Ozdobiona była perłami i rubinami. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że pod względem rzemiosła była to fatalna robota. Ale ta ocena zmieniała się

diametralnie, kiedy człowiek sobie uświadomił, czym jest owa skrzyneczka: prawie tysiącletnim średniowiecznym relikwiarzem.

- Niech pan będzie ostrożny przy otwieraniu. Zawiasy są zardzewiałe.

Ethan uniósł wieko. Ujrzał kawałek żelaza wielkości pięści. W kąt szkatułki wetknięta była karteczka z jakimś napisem oraz pieczętką przedstawiającą swastykę.

Na karteczce było napisane:

„odkryta przez doktora Ottona Rahna w jaskiniach Sabarthes w Langwedocji w roku 1936.”

Na dole karteczki Ethan rozpoznał własnoręczny podpis samego Heinricha Himmlera. Spojrzał na kobietę z niedowierzaniem.

- Kiedy moja matka umarła w 1960 roku, odkryłam, że od roku 1939 posiadała skrytkę w banku w Zurychu. Co dziesięć lat odnawiała abonament. Naturalnie wybrałam się do Szwajcarii, żeby zobaczyć, co się znajduje w owej skrytce. Szczerze mówiąc, liczyłam na jakieś papiery wartościowe lub obligacje. Coś starego, co po tylu latach nabrałoby jakiejś ogromnej wartości. Ale w skrytce znalazłam tylko to, co pan przed chwilą widział, oraz listy miłosne, które mój ojciec pisał do mojej matki. Karteczka w szkatułce była schowana pod jedwabiem. Nie jestem pewna, czy moja matka ją kiedykolwiek widziała.

- Czy domyśla się pani, dlaczego Otto Rahn podarował to pani matce? - zapytał Ethan.

- Naturalnie, że się domyślam! Otto Rahn był... moim ojcem, panie Brand. Zgodnie z aktem urodzenia jestem dzieckiem Sary i Dietera Bachmanów, lecz moja matka od zawsze powtarzała mi co innego. Listy są dowodem na jej słowa.

Ethan patrzył na nią w oszołomieniu.

- W dniu, w którym mój ojciec złożył Himmlerowi swoją rezygnację, zapewne odwiedził moją matkę i dał jej swój skarb. Pamiętam jego wizytę. Być może dlatego, że nigdy więcej już go nie zobaczyłam. To był mroźny zimowy dzień. Miał na sobie mundur oficera SS, w którym nigdy wcześniej go nie widziałam. Z początku w ogóle go nie poznałam! Wujek Otto, tak na niego mówiłam, od zawsze był częścią naszej rodziny. Tamtego dnia miał przy sobie jakiś pakunek. Nie większy niż relikwiarz, który trzyma pan w rękach. Myślałam, że wujek Otto przyniósł mi prezent! Zawsze coś mi przynosił, gdy do nas przychodził, ale tamtego dnia zapomniał. Mówił do mojej matki szeptem. Żałuję, że nie usłyszałam ani słowa.

Widziałam jedynie, że rozmowa była bardzo uczuciowa, oboje byli wystraszeni.

Potem moja mama rozplakała się... Kilka tygodni później mój oficjalny ojciec oświadczył, że wujek Otto zginął w wypadku, wspinając się na jakąś górę w Austrii. Sam przeżył go zaledwie o kilka miesięcy. Matka ponownie wyszła za mąż. Jej nowy mąż został jednak zabity na Sycylii, a wtedy jego kuzyni zadenuncjowali ją jako Żydówkę, aby móc przywłaszczyć sobie jej fortunę. Po wojnie znalazłyśmy się w takiej samej sytuacji, jak wszyscy inni. Stałyśmy na pustkowiu i musiałyśmy wszystko zaczynać od nowa. Kiedy wreszcie udało nam się odbudować Berlin, ja sama zdążyłam już wyjść za mąż, a moja matka zmarła. Tak wiele w życiu widziała... nigdy jednak nie musiała oglądać muru berlińskiego. O

skrytce w szwajcarskim banku dowiedziałam się kilka dni po jej pogrzebie. Niecały rok później Rosjanie zbudowali mur wokół Berlina Zachodniego. Hans Diekmann przyszedł do mnie i zapytał, czy nie chciałabym założyć organizacji, która stanęłaby w obronie miasta. Wtedy już miałam relikwiarz i byłam po lekturze książek na temat oblężenia Antiochii w czasie pierwszej krucjaty. Hans wytłumaczył mi, co on i sir William planują, powiedział, że jesteśmy mieszkańcami oblężonego miasta, i mimo że sytuacja wygląda beznadziejnie, to nie wolno nam tracić wiary. Przypomniało mi to historię Antiochii i uznałam to za znak od Boga.

Frau von Wittsberg opowiadała tak, jakby to działo się wczoraj.

- Powiedziałam Hansowi, że zrobię wszystko, o co mnie poprosi i co mi rozkaże. Jeśli trzeba będzie, mogę nawet uwodzić polityków. Mój mąż był za-
możnym człowiekiem, mieliśmy mnóstwo znajomych, mnóstwo kontaktów. To
były idealne warunki do tego, by nieść pomoc! Bez większego namysłu zapro-
ponowałam, aby organizację nazwać Zakonem Rycerzy Świętej Włóczni, ponie-
waż nasza sytuacja wydawała mi się tak samo rozpaczliwa jak los krzyżowców w
Antiochii. Wówczas byliśmy bardzo nowoczesnymi ludźmi, panie Brand, i Hans
nie chciał zakładać żadnego zakonu, szczególnie że świeżo w pamięci każdy z nas
miał Zakon Trupiej Czaszki Himmlera. Wtedy pokazałam mu znalezisko mojego
ojca. Po zakończeniu wojny Hans stał się głęboko wierzącym chrześcijaninem.
Spojrzał na relikwię i powiedział, że na pewno nam się uda! Wszyscy właśnie w
taki sposób, trzymając w rękach Włócznię, złożyliśmy przysięgę. Staliśmy się
Paladynami, kierowanymi świętą mocą Włóczni. Wtedy zrodziło się w naszych
sercach przekonanie, absolutna pewność, że wolą Boga jest, abyśmy pewnego
dnia obalili mur, tak jak krzyżowcom udało się rozgromić siły wroga.

Frau von Wittsberg na chwilę przerwała swoją opowieść, znowu zatapiając się we wspomnieniach tamtych wydarzeń.

- A teraz dochodzimy do sedna sprawy, panie Brand - odezwała się po chwili.
- Paladyni upoważnili mnie do rozwiązania Zakonu. O wiele za późno... Jak pan się może do myślać, wiele spraw trzeba jeszcze pozalutować, pozamykać. Między innymi musimy przeprowadzić wiele długich, trudnych rozmów z różnymi służbami zajmującymi się ściganiem przestępstw. Z tym dam sobie radę. Mój błąd miał wymiar moralny. W sensie prawnym osobiście nie popełniłam żadnego przestępstwa. Nie zasługuję jednak na posiadanie czegoś, co, tak jak Parsifal, zaprzepaściłam poprzez karygodne milczenie. Nie jestem godna tej relikwii. Nie mogę udawać, że jest inaczej.

Frau von Wittsberg zamilkła. To wyznanie nie było dla niej łatwą rzeczą.

- I w tym momencie do akcji wkracza pan, panie Brand. Giancarlo mówi, że będzie pan wiedział, co z tym zrobić.

Ethan był w takim szoku, że z trudem udało mu się odezwać:

- Szczerze mówiąc... - zaczął - nie mam pojęcia, co miał bym z tym zrobić!

- W takim razie niech pan się modli o wskazówki od Boga - odrzekła Frau von Wittsberg. - Proszę się nie śpieszyć. A potem niech pan po prostu zrobi to, co należy. Nie mam prawa wtrącać się w pana decyzje. Nie mam nawet prawa wiedzieć, co pan ostatecznie zdecyduje. Proszę jednak pamiętać, panie Brand, że niektórzy ludzie wierzą, iż ten, kto trzyma w swoich rękach Włócznie Przeznaczenia, ma możliwość wpływania na losy świata.

Epilog

Kufstein, Austria, niedziela, 15 czerwca 2008

- Masz absolutną pewność, że to nie jest autentyk? - zapytała Kate.

Razem z Ethanem siedzieli w kawiarni w wiosce Kufstein w Austrii. Znaleźisko Ottona Rahna leżała na stoliku pomiędzy nimi jak brzydki przycisk do papieru. Ethan wysłał wcześniej relikwiarz do prywatnego muzeum w Teksasie. Doktor North była bardzo podekscytowana możliwością zbadania znaleziska. Poprosiła Ethana o napisanie monografii relikwii, którą kierowany przez nią instytut z chęcią by opublikował. Ethan zgodził się i już zaczął pracę. Jeśli chodzi jednak o losy samej relikwii, decyzja nie została jeszcze podjęta. Dlatego właśnie postanowili przyjechać do austriackiej wioski.

- A może jednak się mylisz? Istnieje jakieś małe prawdopodobieństwo? - zapytała znowu Kate.

- Krzyżowcy na gwałt potrzebowali cudu w Antiochii Syryjskiej - wytłumaczył Ethan - a Rajmund z Tuluzy wpadł na niezły pomysł.

- Ale to był cud! Ocalił życie swoim żołnierzom, nazywając ten przedmiot Świętą Włócznią. Dlatego jest to kawałek historii, coś, co ludzie chcieliby oglądać - upierała się.

Ethan nie był pewien, czy Kate naprawdę wierzy w to, co mówi, czy tylko chce, żeby po fakcie nie żalowali swojej decyzji.

- To wiara w Boga tak naprawdę uratowała krzyżowców. A to żelastwo nie było relikwią, tylko rekwizytem - orzekł Ethan.

- Skąd wiesz, że to falsyfikat? Mówiłeś przecież, że wykopali go spod katedry w Antiochii.

Ethan pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Księża kazali robotnikom zerwać podłogę. Potem przekopywano się przez ziemię, coraz głębiej. Kiedy było już jasne, że nic tam nie ma, nakazano robotnikom wyjść. To wtedy właśnie Piotr nagle zawołał, że coś znalazł. Wskoczył do dołu, a po kilku sekundach wyjął z błota kawałek żelaza. Rajmund był już na miejscu, wziął do rąk znalezisko, zaczął je całować i dziękować Bogu za ten cudowny znak!

- To znaczy, że Piotr miał go wcześniej w kieszeni? Podrzucił go? - zapytała Kate.

- Nawet jak na średniowieczne standardy, był to przekręt szyty grubymi nićmi. Oczywiście wszyscy świadkowie tej sceny byli dość inteligentni, by zrozumieć, że to jedyna szansa na wydostanie się z oblężonego miasta.

Kate wzięła w ręce zardzewiały kawałek żelaza i przyjrzała mu się dokładnie w świetle dnia.

- Coś mi tu nie gra. Dlaczego Piotr Bartłomiej poddał się próbie ognia, wiedząc, że jego znalezisko to tylko złom?

- Próba ognia miała miejsce dopiero rok po wydarzeniach

w oblężonym mieście - wyjaśnił Ethan. - Wtedy Piotr dyrygował już wszystkimi posunięciami armii. Schlebiali mu baronowie, obsypując kosztownymi prezentami. Księża zgadzali się z jego wyrokami, mimo że tak bardzo go nienawidzili, a przez to Piotr stał się niemalże świętym! W każdym razie dla krzyżowców był wielkim autorytetem. Tak naprawdę wywodził się z plebsu i

zrozumienie tego, co się wokół niego działo, przekraczało jego możliwości.

Wiedział jednak, że jeśli odmówi, straci wszystko.

- A jeśli zgodzi się, umrze! - zauważyła Kate.

- Nie. Wierzył, że Święta Włócznia go ochroni.

Kate celowo upuściła żelazny przedmiot na stolik.

- To nie była żadna Święta Włócznia. Tylko złom.

- Piotr z czasem sam uwierzył w to co mówi! Uwierzył w świętość tego przedmiotu - stwierdził Ethan.

Kate pokręciła głową.

- Moim zdaniem on jednak znalazł coś wtedy w tym błocie. W przeciwnym razie nie zgodziłby się na próbę ognia.

- W takim razie musisz także przyjąć, że Piotr Bartłomiej faktycznie miał wizję. Ukazał mu się święty Andrzej i wskazał miejsce, gdzie zakopany jest skarb. A to by z kolei znaczyło - ciągnął dalej, patrząc Kate głęboko w oczy - że to jest głowica włóczni, którą rzeczywiście przekłuto bok Chrystusa!

Kate milczała. Nie była gotowa posunąć się w swoich spekulacjach aż tak daleko.

- Myślenie, że tak powiem, magiczne, było na porządku dziennym w średniowieczu - dodał Ethan. - Racjonalizm zyskał popularność dopiero trzysta czy czterysta lat później. Biorąc pod uwagę to, jak bardzo ówczesne społeczeństwa były zabobonne i naiwne, nie było wcale rzeczą trudną dla Rajmunda przekonać Piotra, że to właśnie Włócznia, a nie ich spisek, uczyniła z Piotra tak ważną osobę wśród krzyżowców. Kiedy Piotr w to uwierzył, uznał, że Włócznia ochroni go przed ogniem.

Kate uśmiechnęła się kostycznie.

- Już jeden krok po rozżarzonych węglach powinien mu wybić z głowy te rojenia.

- Niekoniecznie. On był już w transie! Wpadł w trans, zanim jeszcze dotknął rozpalonej ziemi. Całkiem prawdopodobne, że naprawdę nic nie czuł. Podobno jednak, kiedy już wychodził z dołu, księża kazali mu jeszcze raz przejść ten piekielny dystans. I to go zabiło.

- Czyli chcieli, żeby umarł? - zapytała Kate.

- Włócznia nie była problemem. Były nim rzekome wizje Piotra, w oparciu o które podejmowano wszelkie decyzje militarne. Nikt nie miał tyle władzy, aby kazać mu się zamknąć.

Uknuli więc spisek. Chcieli go wyeliminować - powiedział Ethan.

- Myślisz, że on naprawdę wierzył, że Włócznia i Bóg pomogą mu przeżyć?

- Wiem tylko tyle, że kiedy wyciągnęli go z dołu, kurczowo trzymał Włócznię w swoich rękach i nie puścił jej przez trzynaście dni, aż do momentu śmierci.

Kate znowu pokręciła głową. Co za smutna historia!

- Po co Rajmund miałby namawiać Piotra do samobójstwa? A może on sam też padł ofiarą zabobonu? - pytała Kate.

- Posiadanie relikwii męki Chrystusa uczyniło z Rajmunda bardzo ważną osobistość. Żaden inny przywódca krzyżowców nie mógł się czymś takim poszczycić. Nie chodziło tylko o prestiż. Dopóki ludzie wierzyli w prawdziwość Włóczni, posiadała ona też gigantyczną wartość materialną. Bez wiary ludzi była tylko bezwartościowym kawałkiem złomu.

- Chcesz powiedzieć - odezwała się Kate - że Rajmund poświęcił życie Piotra w imię pieniędzy?

- No wiesz, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- Ale przecież po śmierci Piotra prawda powinna była wyjść na jaw!

- Kiedy Piotr został wyeliminowany, księża byli wniebo wzięci! Z radością też ogłosili, że Włócznia jest autentykiem. Znowu mieli władzę. Nadal trzeba było odbić Jerozolimę, a wtedy już powszechne stało się przekonanie, że armia, która posiada Świętą Lancę, jest niezniszczalna.

Kate rozejrzała się dokoła.

- Dlaczego Otto Rahn przyjechał w to miejsce? Skoro miał przyjaciół we Francji i w Szwajcarii, dlaczego mimo wszystko przyjechał tutaj? Ethan pokręcił głową.

- Wiemy tylko tyle, że rankiem szesnastego marca 1939 roku pewien alpinista znalazł ciało Rahna u podnóża Wilder Kaiser. Kiedy austriacki oddział SS zrozumiał, z kim ma do czynienia, zawiadomiono niemiecki oddział SS stacjonujący w Berchtesgaden. Przyjechali i zabrali ciało.

- A w którym momencie ciało nagle zniknęło?

- Opinia publiczna usłyszała, że wielki uczyony Rzeszy miał wypadek na zboczu góry. Ludzie wtajemniczeni wiedzieli jednak, że taki właśnie los spotyka tych, którzy nie dochowują wierności Himmlerowi.

- Czy uważasz, że Rahn był dobrym człowiekiem, tak jak sądzi jego córka?

- Nie wiem, Kate. Myślę, że w SS było mimo wszystko całkiem sporo porządnych ludzi. Jakoś się w to zaplątali. Nie każdy z nich był potworem. Uważali, że należą do szlachetnej organizacji. Wydaje mi się, że wielu z nich z czasem zaczynało przypominać Piotra Bartłomieja - kurczowo trzymali się kłamstwa, nawet kiedy uświadamiali sobie, że weszli w ogień, który prowadzi do zguby...

Wilder Kaiser, Austria 15 czerwca 2008

U podnóża góry Wilder Kaiser Kate i Ethan odkryli miejsce, gdzie pod koniec zimy 1939 roku znaleziono ciało Ottona Rahna. Spojrzeli na niemalże pionowe, mroczne zbocze góry. Ethan wskazał ręką półkę skalną, z której w dawnych czasach strącano jeńców wojennych. Upadek musiał trwać trzy lub cztery sekundy. W takim czasie, zdaniem Ethana, człowiek mógł zdążyć w mgnieniu oka pomodlić się i błagać Boga o wybaczenie.

Ethan wierzył, że człowiek bez względu na swoje grzechy może zaznać łaski bożej. Jednak jego własna przeszłość kazała mu mieć pewne wątpliwości. Dobre intencje to nie wszystko. W ostatecznym rozrachunku to nasze czyny określają, kim jesteśmy. Otto Rahn służył w dwóch obozach koncentracyjnych. Nie był już w stanie przemykać oczu na koszmar, który rozgrywał się wokół niego. Być może przeżywał katusze, a być może został nawet duchowo upośledzony przez to, czego był świadkiem. Jednak dopóki stał u boku Himmlera, był częścią najbardziej nienawidzonego i okrutnego reżimu w historii ludzkości. Co więcej, sam był Żydem.

Czy naprawdę Rahn był nieco podobny do legendarnego Parsifala, który przebudził się z odrętwienia, tak jak chciała wierzyć jego córka? A może odkryto, kim naprawdę był, i zmuszono go do ucieczki, która tu właśnie miała ostateczny koniec. Ethan wiedział, że w życiu nic nie jest czarne albo białe, doszedł więc do wniosku, że Otto Rahn miał wiele powodów, by złamać swoją przysięgę i wystąpić z SS. Niektóre z tych powodów były znaczne, a inne niskie i egoistyczne. To akurat było nieistotne. Najważniejsze przyszło potem.

Może się wydawać, że dwa tygodnie to niezbyt wiele, ale właśnie tyle czasu pozostało Ottonowi Rahnowi. Na pewno był tego świadomy. Jako urodzony

romantyk i idealista, być może myślał o sobie w tych dramatycznych chwilach jako o kimś podobnym do skazanych na klęskę heroicznego rycerzy i trubadurów, których wielbił, kiedy był jeszcze młody, wolny i nieskażony. Jeśli faktycznie stał się rycerzem Świętej Włóczni - choćby na godzinę lub dwie - to również umarł jako rycerz.

- Włócznia należy teraz do ciebie, Otto - wyszeptał Ethan. Wziął zamach i rzucił relikwię w powietrze. Razem z Kate patrzył, jak upada pomiędzy polne kwiaty.

Noty historyczne

Kultura katarów od zawsze pobudzała wyobraźnię. Faktem jest, że wszyscy katarowie na początku XIII wieku zniknęli z powierzchni ziemi. Zapoczątkowana przez nich dworska miłość była ideą rewolucyjną i miała wielki wpływ na kulturę europejską. Jeśli natomiast chodzi o ich rzekomą herezję, to opinie są podzielone. Nie da się zaprzeczyć, że w pewnym momencie w kulturze katarów symbol Włóczni Przeznaczenia wyparł aprobowany przez Watykan znak Krzyża Rzymskokatolickiego.

Wszyscy są raczej zgodni, że to właśnie odkopana pod katedrą w Antiochii, o której traktuje spora część tej książki, przyczyniła się do zwycięstwa pierwszej krucjaty. Owe wydarzenia z pewnością zainspirowały legendę, według której armia będąca w posiadaniu Włóczni, nigdy nie może ulec w boju.

Życie Ottona Rahna nie zostało jeszcze dokładnie zbadane. Mimo to starałem się być wierny temu, co wiemy na temat ostatnich dziesięciu lat jego życia. Przed publikacją książki *Krucjata przeciwko Graalowi* miał się rozmaitych prac zarobkowych, spośród których najdziwniejszą była nieudana próba prowadzenia hotelu na południu Francji. Nie wiadomo jednak, w jaki sposób zdobył pieniądze na ten cel. Kiedy przebywał w Paryżu, skontaktował się z nim Heinrich Himmler, wysyłając anonimowy list. Wyrażał się w nim z najwyższym szacunkiem o książce Rahna oraz załączał pieniądze na pokrycie kosztów podróży do Berlina. Podczas ich spotkania Himmler zwerbował Rahna do SS. Młody Niemiec został przyjęty do świty Himmlera i przez jakiś czas był pupilkiem Reichsführera oraz

znaną osobistością na berlińskich salonach. Jego książka stała się bestsellerem w Niemczech trzy lata po publikacji.

Zapiski dokumentujące ostatnie lata życia Ottona Rahna przedstawiają go jako człowieka, który rozczarował się Rzeszą i popadł w konflikt z Himmlerem. Wspomina się w nich, że Rahn zaczął nadużywać alkoholu i prowadzić dość rozwiązły tryb życia. Często także negatywnie wypowiadał się o władzach na forum towarzyskim. Jego śmierć została odnotowana przez prasę, lecz nie ma żadnych wzmianek na temat pogrzebu. Ciało Rahna, znalezione przez oficerów SS, nigdy nie zostało zwrócone jego rodzinie. Dopiero po wojnie odkryto, że Rahn dwa tygodnie przed śmiercią złożył wymówienie Himmlerowi. Do dzisiejszego dnia nie wiadomo, dlaczego Himmler postanowił własnoręcznie podpisać i przyjąć rezygnację Rahna dopiero po jego śmierci.

Dieter oraz Eliza Bachman, jak również wszystkie inne współczesne postacie pojawiające się na kartach tej książki, są wytworem wyobraźni autora.

Więcej o *Włóczni Przeznaczenia* na stronie: www.craigsmithnovels.ch

Podziękowania

Pragnę podziękować Harriet McNeal, Burdette Palmbergowi, mojej żonie Marcie Ineichen Smith oraz mojej matce Shirley Underwood za czytanie pierwszych wersji niniejszej książki. Ich cenne uwagi oraz niesłabnące wsparcie bardzo mi pomogły w procesie pisania. Pragnę również podziękować moim dobrym przyjaciołom, Matthew Jockersowi oraz Britcie Luehr. Matt pomógł mi w opisach wspinaczek, natomiast Britta była moim przewodnikiem po Hamburgu. Dziękuję również wszystkim tym, którzy na przestrzeni lat dzielili się ze mną swoją wiedzą oraz udzielali mi swego wsparcia, kiedy najbardziej tego potrzebowałem. Szczególne podziękowania należą się Herbertowi Ineichenowi, Dougowi i Marii Smithom, Donowi Jennermannowi oraz Rickowi Williamsowi.

Na koniec chcę podziękować mojemu redaktorowi, Edowi Handyside'owi, oraz mojemu agentowi Jeffreyowi Simmonsowi. Bez ich ciężkiej pracy oraz wiary w moje pisarskie zdolności ta książka nigdy by nie powstała.

Craig Smith urodził się w Ameryce ,w 1993 przeniósł się do Szwajcarii, mieszka ze swoją żoną Martą w Lucernie. Autor pracował jako wykładowca uniwersytecki, posiada doktorat z filozofii uzyskany na uniwersytecie Southern Illinois. Jego pierwsza powieść, opublikowana w Wielkiej Brytanii pod tytułem *Silent She Sleeps*, a w Stanach Zjednoczonych jako *The Whisper of Leaves*, otrzymała brązowy medal przyznawany przez magazyn „ForeWord” w ramach corocznych nagród literackich.

PRZEKLĘTY ZAKON

Istnieje skrywana legenda, która głosi, że jeszcze przed ukrzyżowaniem Jezusa Piłat rozkazał, by wykonano portret skazańca. Ten jedyny prawdziwy wizerunek Chrystusa przetrwał gdzieś przez wieki, dając nieśmiertelność tym, którzy mieli go na własność. Zakon Templariuszy przez stulecia trzymał tę informację w ścisłej tajemnicy,

Czy taktycznie Templariusze, w których posiadaniu się znalazł, chronili go przed światem? A może właśnie chronili świat przed jego mocą? Albo woleli, by ludzie stracili go z oczu, ponieważ zamierzali wykorzystać wizerunek Chrystusa do własnych, tajemnych celów...

Jedno jest pewne, żądza posiadania tego starożytnego malowidła siała przez wieki — począwszy od średniowiecznych

lochów Zakonu Templariuszy przez mury tajnych bractw po sejfy współczesnych banków szwajcarskich oraz gabinety elit politycznych — jedynie śmierć i cierpienie.

Jaką tajemnicę skrywa starożytny portret... ?